

4267/30

WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Na podstawie ustawy z dnia 15 sierpnia 1928 r.

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

1928

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

M. GRABOWSKI

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

3  
33111-X  
1848.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXX.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1848.

WARSZAWSKA  
BIBLIOTEKA

4620.1848.2

II.

X-14128.
4620/ <u>II</u> 2.

1848



30,000,-

WARSZAWA

1881

# RYS HISTORYCZNO-STATYSTYCZNY

WZROSTU I STANU

## MIASTA WARSZAWY

OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW AŻ DO 1847 ROKU

SKRĘŚLONY

PRZEZ

*F. Maz. Soliszczrańskiego.*

(Ciąg dalszy).

### § 4. Wzrost i stan Warszawy od 1764 do 1794 r.

Panowanie Stanisława Augusta słusznie zaiste na nową epokę w historii Warszawy oddzielić można; odtąd albowiem we wszystkiém nowy postęp i inny sposób widzenia rzeczy nastawać zaczął. Wprawdzie, przygotowania poprzednie, o których w krótkości w ostatnim paragrafie napomknęliśmy, były niejako zwiastunem zwrotu i zbliżenia się do cywilizacji europejskiej, od której od dawna miasto tutejsze odstrychnęło się: obyczaje zaś potrzebą czasu i nowém wychowaniem wykształcone, tryb życia, sposób myślenia i dawne wyobrażenia zmieniać zaczęły.

Stanisław August Poniatowski w Warszawie pod okiem świątłych i uczonych Teatynów wychowany, podróżami po obcych krajach i na dworach europejskich wykształcony, zostawszy królem polskim (obraný dnia 7 września 1764 r.) zapragnął szczerze wznieść to miasto na stanowisko, na jakim wszystkie stolice Europy od dawna już znajdowały się. Mam pod ręką obfite źródła w rękopismach, które dostatecznie przekonywają, z jakim staraniem i zajęciem król ten opiekował się Warszawą, ileto projektów dla jej dobra z polecenia jego wykonano i w skutek obrócono (1); bo też potrzeby coraz bardziej objawiały się, a zaspokojenie ich było konieczne. Król wysyłał do wszystkich znakomitszych miast zagranicznych swoich agentów celem sprowadzania potrzebnych artystów, fabrykantów i rzemieślników; sam zaś z własnych dochodów zakładał fabryki i nad ich wzrostem czuwał. Tak niejaki De Loico i Reboul wysłani byli w r. 1765 do Paryża, dla zakontraktowania i przesiedlenia do Polski ludzi wydoskonalonych w tamiecznych zakładach przemysłowych i wyrobach rękodziel lub sztuki. W tym samym celu jeździł malarz królewski Marcelli Bałciarelli do Włoch, dla sprowadzenia ztamtąd wszelkiego rodzaju artystów. Tym sposobem zwabieni byli do Warszawy wyborni architekci, malarze, snycerze, siodlarze, ogrodnicy, złotnicy, sukiennicy i t. p. (2). Przemysłni cudzo-

(1) Udzielenie tych ważnych do historii miasta Warszawy rękopismów zawdzięczam W. Tomaszowi Zielińskiemu Naczelnikowi powiatu Kieleckiego, którego bogate zbiory starożytności sztuk pięknych i liczna z nader rzadkich dzieł złożona biblioteka, ze znaną jego uczynnością dla każdego z piszących jest przystępną.

(2) W zbiorze rękopismów które posiadam, znajduje się cała korespondencya rzeczonych posłańców w tym interesie z królem prowadzona.

ziemcy tłumem tutaj przybywali; niektórzy tylko z pliką projektów, lecz bez funduszków, wszystkich przecie król chętnie przyjmował, rady i projekta pozwalał im sobie podawać, prawdziwie korzystne dla miasta wspierał i w wykonanie wprowadzał, o nowych urządzeniach po zagranicznych miastach zaprowadzonych rozkazał sobie donosić i t. d.

Zmienił się téż zaraz na początku panowania Stanisława Augusta tryb życia wielkich panów; powoli ustawały liczne kalwakaty, mnóstwo sług, koni i powozów zostawało w domach, a panowie z małym tylko ich pocztem przybywali do Warszawy, gdzie już znajdowali na wzór miast zagranicznych wszelkie wygody do życia. Nie wożono odtąd z sobą szpizarni, kuchni i piwnicy, ani téż wielu naczyń stołowych. Na rynku warszawskim nie stały już kuchnie, jak to dawniej w czasie wielkich zjazdów bywało, bo mieszkał tam już głośny podówczas traktiernik Francuz Quellus. Podług zawiadomienia jego w roku 1766 w Gazecie z dnia 12 lipca umieszczoném, otworzył on traktjernią „ku wygodzie publicznej cudzoziemskim zwyczajem, w której już wielu panów orderowych na obiadach i kolacyach z zaproszoną kompanią bywa z chwałą i estymacją dla tegoż kuchmistrza, że w wybornych sosach i smakach osobliwych potrawy daje, i do tego w takiej okazałości i poradzie stoły trzyma, jak i panowie zwykli mieć stoły swoje. Zastawia cukrami, a wszystkie potrawy daje na srebro lub na porcelanie, lub téż na farfurze, kto i jak sobie rozkaże.” Za takowy obiad osoba jedna płaciła pół czerwonego złotego, z umniejszeniem zaś potraw tyńfów cztery i t. d. „To obwieszczenie, mówi dalej p. Quellus, podaje dlatego, aby przyjeżdżających uwiadomić, że

mogą się wybierać z domów na publikę warszawską z mniejszym ekwipażem, nie zabierając kuchni swojej; kiedy tu mniejszym kosztem, mogą mieć przyzwoitą swoją wygodę, zwłaszcza, iż nie przyjmują chyba tylko dystygowane osoby (1).” Inny Francuz nazwiskiem Bastian Hemeling, podawał królowi projekt założenia wielkiego hotelu na wzór paryzkich (*un hôtel en chambres garnies*) w gmachach Marywilu, gdzieby przyjezdni wszelkie wygody, jakich jeszcze do dziś nie ma w Warszawie mogli znaleźć (2). Król sam zachęcił niejakiego Francuza De Villers do założenia podobnego domu, i funduszem na ten cel uदारował.

Tym i tym podobnym staraniom przypisać wypada przyczynę, iż miasto tutejsze nadzwyczaj szybko w nowe budowle wzrastać poczęło; pola i grunta orne naokoło zakryły się domami, znikł ów folwark do starostwa warszawskiego należący, a w tém miejscu stały już nowe i ludne ulice, z których possesorowie tylko czynsz starości tutejszemu płacili. Szczególnie atoli za starostwa Aloizego z Ocieszyna Brühla generała artylerji, przywilejem dnia 29 grudnia 1764 r. ustanowionego, najwięcej gruntów w takową possesją wypuszczono. Pomnożyły się też znacznie dochody skarbowe z starostwa i miasta Warszawy, nawet w samym początku tego panowania: o czém lustracya ustawą sejmową 1764 r. do ziemi czerskiej, warszawskiej i t. d. wyznaczona, a w r. 1765 odbyta, przekonywa. Stanowiły one podług zdania sprawy lustratorów:

(1) Gazeta Warszawska z r. 1766 d. 12 lipca i Kalend. politycz. na r. 1847.

(2) *Projet pour etabliir un hôtel en chambres garnies de Hemeling, présentée au Roi (w Mss).*



a) „Ze Starój Warszawy:

1) Prowent z cła wodnego i ziemnego Starój Warszawy, aplikowanego nie więcej nad..... zł. 850.

2) Przewóz do starostwa warszawskiego *antiquitus* należący w posesyi JW. Potockiej kasztelanowej krakowskiej *vigore juris communicativ ad vita ejus tempora*, podług konstytucyi 1764 *annis* przyznany zostaje; ten *virtute Decreti Commissionis et Contractus Arendatorii* za sumę 18.000 zł. do dyspozycji prześwietnej Kommissyi należy, od którego prowentu należy kwarty..... zł. 4500.

b) Z Nowego Miasta Warszawy:

1) Od cechu rybackiego..... zł. 30.

2) Czyszu ś. Marskiego od rzeźników..... zł. 6.

Ogółem z obojga miast Warszawy..... zł. 5386.

c) Z miasta Grzybowa:

To miasto, mówią lustratorowie, fundowane na gruncie J. K. Mci do starostwa warszawskiego należącym, mieszczanie, wszyscy possesorowie na gruncie miasta Grzybowa lokowani, powinni dawać czynszu pieniężnego z placu długości łokci 70, szerokości łokci 40, po zł. 12; lubo naówczas kurrencya monety wyższa była, grosz jeden terażniejszych groszy 4 w sobie mający, jednakże i podług terażniejszych kurrencyj mało się takowych znajduje, którzy pomieniony czynsz, chociaż niezupełnie płacą. Ponieważ jest nam dowodem z położonych przywilejów po większej części przed nami stawających, iż więcej, bo znajduje się że sześć, pięć, lub cztery jeden posiada placów, a tylko zł. 12 do prowentu starościńskiego importuje, drudzy *in toto* są *retinentes*; a tak z położonego summaryusza spisanych konsensów *nullo*

*modo* nie mogliśmy zupełnego według opisu prawa i należyłości tak do dworu starościńskiego jako i na kwartę ustanowić prowentu.”

Przez przybliżenie atoli wykazano ogółem dochodu z Grzybowa zł. 3154.

d) „Ze wsi do starostwa warszawskiego należących. Składały się one z dziesięciu następnych: Wielka Wola, Mąkotów, Powązki, Węglana Wola, Brudno, Ząbki, Morki i Grodzisko, Słupno, Maciorki, Nadma. Nadto, trzy w dzierżawie będące, tojest: Młociny, Ożarów i Jeziorna. O nichto mówią lustratorowie 1765 roku. „Z tych wsiów i ich folwarków nie mogliśmy mieć komportowanych regestrów trzechletniej krescencyi i proweniencyi z przyczyny, iż te wsie do starostwa należące, były natenczas w possessyi arendownej kommissarzów dworu Augusta IIIgo, którzy zabrawszy kontrakta i registra, będąc *natione* państwa saskiego, *ad propria* odjechali; przeto urodzony Frąnkowski kommissarz starostwa warszawskiego przełożywszy i remonstrowawszy, chciał *juramentem comprobare*, jako żadnych nie ma *pro comportatione* regestrów, udaliśmy się sposobem innych starostw do wyprowadzenia intraty z pańszczyzny, sianożęcia, propinacyi, czynszów i innych podług opisu lustracyi danin, i nie inny jako ten, który się wyraża wykażać się mógł prowent.”

Ogółem dziesięć wsi czyniły dochodu zł. 13,470 gr. 26 1/2.

Z trzech wsi w dzierżawie zostających zł. 4,139 gr. 26 1/2.

Z miast obejga Warszawy..... zł. 5,386.

Z miasta Grzybowa..... zł. 3,154.

Wynosił tedy dochód dla skarbu z całego starostwa i miasta..... zł. 26,150 gr. 23 (1).

(1) Lustracya w województwie i księstwie Mazowieckiem przez urodzonych lustratorów konstytucyą sejmu konwokacyjnego anni

Taż sama ustawa sejmowa, która o dochody troszczyła się i nad dobrem miasta przemyślała, uchwałą r. 1764 i 1768 dwukrotnie chociaż bez skutku zniosła jurydyki (1). Gdy zaś przekonano się, iż najświętsze i najpozyteczniejsze prawa bez obmyślenia ich wykonania żadnej nie przynosiły miastu korzyści; stanęła nowa ustawa wyznaczająca osobną magistraturę, kommissyą dobrego porządku (*Boni ordinis*) nazwaną. Na czele jęj postawiono Bazylego Walickiego kasztelana, a następnie wojewody rawskiego, człowieka ze wszechmiar zacnego, światłego, prawego i uczciwego, lecz do działania w sposobie jak rzeczy tego wymagały zbyt słabego. Kommissya *Boni ordinis* widziała złe w jurydykach, ale je znieść nie była w stanie, choć prawa i ustawy miała za sobą zastaniając się przyczyną „iż te zbyt wiele za sobą; protekcji miały.” Działania jęj tedy, dobre chęci, piękne rozporządzenia szły w odwłokę, i nietyle dobrego dla miasta ile spodziewano się zrządziły (2). Mimo to kommissya ta od roku 1765 do końca panowania Stanisława Augusta istniejąca, osobnemi reskryptami i dekretami sądów za-dwornych i koronnych powiększana, paniętne po sobie zostawiła ślady. Przejrzała ona wszelkie prawa całego miastu służące, rachunki od lat kilkunastu dochodów miejskich sprawdziła, dochody jakie miasto mieć może i powinno ustanowiła, sposób władania temiz i ich

1764 do ziemi Czerskiej, Warszawskiej i t. d. delegowanych i wyznaczonych, in *anni* 1765 expedyowana. W Arch. Kom. Rząd Przych. i Skarbu.

(1) Volum. Leg. T. VII f. 80. Konst. 1763 tit.: Warunek miast i miasteczek f. 276, 277.

(2) Przekonywa o tem oryginalny memoryał królowi Stanisławowi Augustowi podany, w rękopismach p. Tomasza Zielińskiego znajdujący się.

rozchodami przepisała. Sprawy wszelkie, jakie tylko z różnemi klasztorami i innego stanu osobami o jurysdykcyę, grunta, place, domy i inne spory, które w sądach assessorskich od lat kilkudziesiąt zachodziły, większą częścią rozsądziła; prawa cechowe, które niezwłocznej wymagały poprawy, poprawiła; wszelkie niesnaski między urzędnikami a cechami będące, tudzież nadużycia, jak to akta z kilkuset arkuszy składające się zaświadczają, pozносиła. A naostatek bacząc potrzebę odmiany nieco dawniejszych rządów, ordynacyą nową ustanowiła, w której jurysdykcyą jednolitą według praw lokacyjnych, sądy niższe, sądy pupilarne potoczne *ad politiem* ściągające się; urząd ekonomii miejskiej, skrócenia procesu, złączenie innych jurysdykcyj, elekcyą prezydentów i innych urzędników, władze porządków miejskich; porządek ogniowy i inne okoliczności do rządu wewnętrznego i zewnętrznego urządziwszy i opisawszy, do decyzji królewskiej podała (1). Nie wszystko jednak w wykonanie weszło, a stary nieład trwał ciągle; urządzenia były piękne, myśli dobre, chęci jak najlepsze, ale wykonanie żadne lub słabe. Potwierdzano zawsze bowiem prawa i przywileje ogólne, bez roztrząsania nawet co w sobie zawierały: a ubliżano im przez szczególne ustawy, tak dalece, iż ktoby od czasu nastania tronu obieralnego w dawniej Polsce, aż do roku 1791 ustawy za lub przeciw dobru miast zapadłe rozbięrał, przekonałby się po daremnej a długiej pracy, iż względem nich, prawie wszystko do zrobienia zostało (2).

(1) Podług memoriału własnoręcznie przez Walickiego napisanego dla króla, pod datą 23 sierpnia 1776 roku.

(2) Ważne pod tym względem przedstawia szczegóły broszura p. t. „Zbiór praw, dowodów z treści tychże wynikających, dla objaśnienia stanu miejskiego służących r. 1789.”

Zresztą, co do wewnętrznego porządku Warszawy potrzeba i to wziąć na uwagę, iż ten przy jej ówczesnym składzie prawie był niepodobny. W roku bowiem 1766 znajdowało się tutaj jurysdykcij kilkanaście, a stałych sądów nie było. Ta oddzielność i różnaitość praw była przyczyną zajść ustawicznych, stwarzała między urzędami zawiść, ta zaś rodziła procesa, które ciągle dla miasta wydatki pomnażały, na czém ogół tracił. Występnii przez wielość jurysdykcij mieli sposobność unikania sprawiedliwości; zdarzało się bowiem, iż strony do kilku razem pociągane były sądów. I tak: pozwał kto kogo do jurydyki téj, on go do tamtéj, na marszałkowskie sądy, albo na ratusz Staréj Warszawy; pozwał kto na ratusz, ten go na marszałkowskie sądy i t. p. (1). Za tém poszło, iż nie lepszy mógł być i stan zewnętrzny miasta. Do roku 1789 sama tylko Stara Warszawa utrzymywała porządek ogniowy, rozprowadzenie wody, latarniowe i brukowe opłacała, wszystkie zaś jurydyki od tych ciężarów uchylały się; gdy tymczasem z funduszków kasę miasta niegdyś zasilających, nie zostały tylko wioska Solec, Kupno, dom wójtowski i dwie włoki na czynsze rozdane, oraz przychód mały stawnego i miejscowe od przekupek, jak o tém instruktarz i registra ekonomiczne poświadczają. I z tego jeszcze magistrat Staréj Warszawy w różnym rodzaju podatków do skarbu koronnego około trzech milionów wnosił. Gdy zaś w roku 1784 podatek podymnego w ilości 400,000 zł. nałożono, a szacunek possessyi tak dalece zmniejszył się, że co dawniej 3 lub 4 tysiące dukatów za kamienicę liczono,

(1) Podług broszury współczesnej p. t. Uwagi nad processami, w 8ce.

wtedy ledwie połowę płacić chciano; komorne zaś od sklepów, izbi szynków przy współzawodnictwie nawet w miejscach targowych najwyżej 70 dukatów szło, a na odległych ulicach ledwie jeden dukat; skutkiem tego stanu rzeczy, w roku 1780 magistrat Stariej Warszawy złożył dowody przez kommissyą *Boni Ordinis* potwierdzone, że fundusze miasta razem ze składką obywatelską publicznym potrzebom miasta nie wystarczały, a nawet sposobu zaradzenia temu wymyśleć nie umiano (1).

Pod względem porządku ulic i stanu bruków, przy wstąpieniu na tron Stanisława Augusta kommissya brukowa jeszcze pod zwierzchnią władzą Bielińskiego zostając, chciała po dawnemu działać. We własnoręcznym memoryale podanym królowi, którego oryginał przed oczyma mamy, tenże Bieliński radził, aby nie zaniechać dalszej czynności „gdy i w lat kilka, są jego słowa, koszt wyłożony na nicby się nie przydał” co równie ztąd wnosić można było, iż podczas ostatniego uporządkowania Warszawy, pokazało się przy brukowaniu na wielu miejscach po dwa, gdzieindziej i po trzy bruki jeden na drugim, błotem na dwa i więcej łokci poprzywalane. „Ma Warszawa, pisze Bieliński, już bruki na znaczniejszych miejscach, ma i wielkim kosztem fundowane przystępy do siebie, pryncypalnie od Wisły, od Ujazdowa, od Woli, od koszar gwardyi; ogólnie jednak biorąc, więcej niż czwartęj części bruków niedostaje, a między temi niebrukowanemi miejscami, zawiera się pryncypalnie ulica koło Cekhauzu (Długa), przystęp do Solca na którym jest skład drzewa całego miasta, i jeszcze trzeba

(1) Uwagi względem podatków miasta Warszawy. Broszura drukowana b. m. dr. i r.

dostateczniej opatrzyć przystęp do Wisły" (1). Rzezona atoli kommissya po śmierci Bielińskiego (1766) przestała zbawienne swoje wpływy na porządek miasta wywierać; niebawem ziściły się jego przepowiednie, bo poprzednie prace niszczały, w funduszach zaś swoich tak dalece była wyczerpaną, iż w roku 1786 dnia 10 sierpnia w podanym królowi memoryale przymuszona była oświadczyć, iż z powodu wycieńczonego stanu swój kassy, braku kamieni i robotników, pracę swoją do sposobniejszego czasu odłożyła (2).

Tymczasem lubo ustawy sejmowe ciągle jurydyki znosiły, jednak one i teraz przybywały, jakoto: jurydyka Stanisławów od imienia królewskiego nazwana; stosownie do przywileju dnia 10 października 1768 roku była jego dziedzictwem (3); na mocy zaś przywileju z dnia 23 lutego 1781 roku, jurydyka Maryensztadt i Stanisławów zostały co do rządów i sądów w jedno połączone, pierwszą bowiem król w r. 1780 na własność zakupił. Ogółem liczone wtedy piętnaście znaczniejszych jurydyk w Warszawie, a pięć na Pradze; temi były: 1) Stara Warszawa, 2) Nowa Warszawa, 3) Maryensztadt, 4) Dziekanka i Kapitulna, 5) Sgo Ducha, 6) Stanisławów, 7) Tamka i Kałęczyn, 8) Bożydar, 9) Alexandrya, 10) Ordynacka, 11) Solec, 12) Grzybów, 13) Leszno, 14) Wielopole, 15) Bieliny; nie licząc mniejszych, jakimi były: Inflantska, Gołubska, Szymanowska, Ra-

(1) Memoryał własnoręczny Bielińskiego dotyczący się ochędostwa i brukowania miasta Warszawy, podany królowi dnia 24 października 1764 r.

(2) Memoryał własnoręczny Władysława Gurowskiego M. W. L. do króla; w zbiorze p. T. Zielińskiego.

(3) Do jurydyki Stanisławów należały dzisiejsze ulice: Radna, Lipowa, Browarna, Leszczyńska, Łazienki, Wiślana i grunta belwederskie. Księga Jurydyk w Arch. Główn. Kraj.

dziwiłłowska, Oboźna i t. d. Na Pradze liczono nastę-  
pne jurydyki: Skaryszew, Gołędzinów, Kamień; jurydyki  
książąt Lubomirskich, Czartoryskich, panów Kazanow-  
skich i biskupów kamienieckich. Każda z tych jurydyk  
miała ratusz lub dom, w którym ich władze posiedzenia  
administracyjne i sądowe odbywały; miały osobnych  
wójtów i ławników, własną pieczęć, różne miary i wagi.  
Ze wszystkich atoli Stare-Miasto jako najwięcej posesyj  
pod sobą mające, ciągle pierwszeństwo nad niemi miało.

Jak dawniej tak i za tego panowania był ciągły i nie-  
ustanny starunek usunięcia z miasta i jego okolic żydów,  
którym wszystko złe przypisywano; a którzy, jakeśmy  
wyżej mówili, lubo ustawami i rozperządzeniami ztąd  
usuwani, zdołali w Warszawie utrzymywać się i handel  
sprawować. Procesy te i dekreta miały wprowadzić tytuł  
publicznego dobra miasta, lecz i prywatny użytek przy  
nich zaniedbywany nie był; albowiem po zapadłym każ-  
dym dekrete odebrawszy miasto grzywny i od żydów  
że mieszkali, i od tych że im mieszkać pozwalali, nie za-  
niedbało ich rugować z okolic swoich: lecz po upłynio-  
nym niejakim czasie, patrząc przez szpary na powra-  
cających do siebie żydów i pobłażając dawnemu ich  
sposobowi życia, gdy widziało znaczną już ich zgroma-  
dzoną liczbę, pozywało na nowo tak żydów jako właścicieli  
i posesorów domów o kontrawencyą przywilejów  
i dekretów, a zyskawszy nowe na nich grzywny, zno-  
wu ich rugować starało się, aby z powtórzonego po-  
wrotu nową dla procesowania ich i obarczania grzywna-  
mi znajdowało sposobność. Wtedyto korzyścią zysku  
wiedzeni książę August Sułkowski marszałek rady nie-  
ustającej, książę Adam Poniński podskarbi wiel. kor.,  
Józef Potocki krajczy koronny, właściciel Leszna i inni



panowie, dawali żydom protekcją i nowe osady za okopami na swoich jurydykach im zakładali. Najznakomitszą z takowych kolonij była osada „Nową Jerozolimą” zwana, a za dzisiejszemi rogatkami Jerozolimskimi wówczas istniejąca. Niedługo téj osadzie magistrat Warszawy w pokoju zostawać pozwolił, na dniu 28 grudnia 1775 roku dekret w sądach łaski wielkiej koronnej, o rugowanie ztamtąd żydów sobie wyrobiwszy. Lubo dekret ten potrafili Izraelici odwlec i spokojnie za okopami miasta jeszcze rok mogli handlować, atoli w r. 1776 dnia 22 stycznia poprzedni wyrok z całą surowością wykonany został; towary i żydów zabrano, a w następnym dniu i domy w Nowej Jerozolimie pobudowane do szczętu rozrzucono (1). Wprawdzie w następnym roku żydzi wyjednali sobie pozwolenie odbudowania sobie w tém samym miejscu zniszczonej osady; nie przyszło to jednak do skutku i prędzéj w samym mieście pomimo ciągłych przeszkód utrzymywali się i z pod nieprzychylnych dekretów uchylić się mogli. Najwięcéj ich do roku 1779 w budynkach niedaleko koszar kadeckich na Krakowskiem-Przedmieściu mieszkało, mieli zaś natenczas skład główny, tak zwane depozytoryum miejskie na towary żydowskie na ulicy Pokornej przy Cekhauzie. Tak było do początku roku 1784, w którym na usilne wstawienie się magistratu Staréj Warszawy, rozporządzeniem Michała Mniszcha marszałka wiel. kor. w dniu 14 maja 1784 wydaném, a 25 t. m. publicznie ogłoszoném, żydów z miasta i okolic rugować nakazano, nie oznaczając

(1) Wiadomość o Nowej Jerozolimie, podana przez T. Lipińskiego w Bibl. Warsz. na rok 1845 T. IV, str. 403. Potwierdzają ją memoryały, próśby i zaskarżenia żydów w zbiorze rękopismów p. T. Zielińskiego, równie jako i protokuty ekspedycyi Publicznej Rady N. 72, ks. 72.

im miejsca, na które przenieść się mają. Do rozpacz przywiedzeni żydzi, podali czułą a rzewną prośbę do króla na dniu 2 czerwca t. r. lecz nie wskórawszy, postanowili raz na zawsze opuścić Warszawę, i w tym celu udali się do Piotra Teppera bankiera warszawskiego i dziedzica Raszyna, żądając tamże przytułku dla siebie, na co ten z chęcią pozwolił. To gdy zdawało się przecinać nadzieję powrotu żydów, a handel za nimi za Warszawę przenosił się, miasto użyło wszystkich sprężyn do przeszkodzenia takowemu ich w Raszynie osiadaniu; czyniło żydom przegródki, iż ich i na tamtém miejscu z przywilejami swemi i dekretami dosięgnie, dziedzica zaś dóbr obsyłało przestrogami dosyć przykreimi, że krok jego względem żydów jest bezprawny, za który odpowie i wydało przeciw niemu pismo drukowane wyrzucając jego przestępstwo prawu i t. d. (1). Lecz gdy to wszystko nie uczyniło żadnego skutku, a miasto widziało większe szkody z blizkiego sąsiedztwa żydów, niżeli z mieszkania ich w samym mieście; znowu w Warszawie i już stale w pewnej części miasta osiadać zezwolono (2). Pierwszém takowém miejscem były budynki, pomiędzy ulicami Senatorską i Nowo-Senatorską, niegdyś od strony prawej Marywilu wzniesione. Budynki te przerebione były umyślnie na ten cel z pałacu niegdyś Warszzyckich, następnie Pociejów, a ztąd Pociejowem nazwa-

(1) Ordynacya dla miasta Warszawy względem żydów i uniwersał Michała Mniszcha m. w. k. drukowane, oraz oryginalne prośby żydów do króla. Ze zbioru T. Zielińskiego.

2) Broszura ta wyszła pod tytułem: Wywód z praw krajowych i szczególnych miastu Warszawie nadanych, okazujący że pretendowana przez p. Teppera lokacya żydów w Raszynie. jest prawu Majestatycznemu przeciwna, a skarbowi koronnemu szkodliwa. Fol. bez miejsca dr. i r.

ne, które Alexander Matensz z Kazanowa Borzęcki stolnik koronny, a syn Franciszka stolnika litewskiego i Maryanny z Pocięjów, w roku 1778 dnia 22 czerwca Tomaszowi Adamowi Uruskiemu szambelanowi J. K. Mei sprzedał (1), ten zaś dla większego zysku, rzeczzone budynki do niego przydał i żydom wynajmował. Były one o jednem piętze z długim szeregiem sklepików; w nich to cały handel żydowski podówczas mieścił się, tu wszelką tandetę, stare suknie, sprzęty i kramarszczynę sprzedawano (2). Przy rozszerzeniu tego handlu, gdy kupcy chrześcijańscy współzawodnictwa z niemi wytrzymać nie mogli i wynosić się z téj części miasta poczeli, żydzi cały Marywil, ulicę Senatorską na sklepy i mieszkania zajęli.

Do roku 1772 ulice w całej Warszawie i jej przedmieściach nie miały stałych nazwisk, chyba zwyczajem utrwalonych; były zaś takie, co po kilka rozmaitych nosiły, jak się komu podobało. I tak: ulicę Długą nazywano Błoniąską, Szeroką i Długą; ulicę Miodową nazywano Kapucyńską; ulicę Wierzbową, Radziwiłłowską; Czystą, Ossolińską i t. p. Wypadek dopiero porwania króla z Miodowej ulicy w dniu 3 listopada 1771 r. o godzinie 9 1/2 wieczorem, był przyczyną, iż niektóre urządzenia policyjne w wykonanie wprowadzono (3). Wtedy nowy pomiar całego miasta znowu uczyniono, okopano całą Warszawę rowem i wałem, znaczniejsze ulice zostały oświetlone, mianowicie Miodowa; wszystkie zaś

(1) Akta Starój Warszawy ks. 108, f. 48, w Arch. Główn. Kraj.

(2) Z tego powodu, kiedy żydów z Marywilu w r. 1809 na ulicę Królewską i Marszałkowską przeniesiono, miejsce gdzie na ten cel zajęli, dotąd Pocięjowem się nazywa.

(3) Najdokładniejszy opis tego wypadku w Thornische wöchentliche Nachrichten 1771 r. z listopada.

stałe nazwiska na tabliczkach po rogach przybijanych otrzymały. Po wykonaniu tego urządzenia okazało się, iż Warszawa od jednego do drugiego końca Wisły, czyli zacząwszy od Wisły na Solcu, aż do Wisły ponad folwark Pulków zwany, w obrębie wałów obwodu 19,793 łokci zawierała. Miała zaś cztery wjazdy u okopów, to jest: 1) na ulicy Czerniakowskiej, 2) na Marszałkowskiej, 3) na Chłodnej, 4) na Faworach. Z dawnego obwarowania murem zostały tylko trzy bramy: Krakowska, Bocznia i Nowomiejska; 190 ulicom ustalono lub nadano nowe nazwiska stosowne do położenia lub wypadku. Było natomiast 31 kościołów wyznań chrześcijańskich, oprócz kaplic, które na cztery parafie dzieliły się; 8 szpitali, 3 konwikty duchowne dla szlacheckiej młodzieży; szkół publicznych i szkółek 5, a temi były: 1) szkoły ex-Jezuickie na ulicy Jezuickiej; 2) szkoły Pijarskie na ulicy Długiej; 3) szkołka parafialna śgo Jana; 4) szkołka parafialna u Panny Maryi; 5) szkołka na uczenie języka niemieckiego na Bielinie, założona w roku 1771 nakładem 600 czerw. zlot. Fryderyka III księcia sasko-koburskiego, staraniem zaś pastora Scheidemantel. Szkołka ta na 18 dzieci, zostawała pod dozorem tegoż pastora; sumę zaś samą przyjął Piotr Tepper bankier warszawski (1). Ratuszów murowanych dwa: to jest Starój i Nowój Warszawy. Dwa rynki: Starój i Nowój Warszawy. Placów na targowiska siedmnaście, a takimi były: plac Dunaj w Starém Mieście; przed Bernardynami na Przedmieściu-Krakowskiém; tamże przed Wizytkami; przed kolumnami na Nowym-Świecie; na Solcu na ulicy Okrąg; na ulicy Karowój; przed Brygidkami na Długiej

(1) Zob. Acta Hist. Eccl. nos. temp. 2 Band. str. 848 i następ.

ulicy; przed domem Karowym; przed koszarami na Wielopolu (za Żelazną Bramą); na Grzybowie; na Bielnie za ogrodem Bielińskich; na Lesznie; na Muranowie przed Inflanty; na ulicy Żyznej; na ulicy Pokorniej; przed pałacem Błękitnym. Pałaców i domów rządowych sześć, to jest: 1) zamek JKMc i Rzeczypospolitej na ulicy Śgo Jana; 2) pałac Krasieńskich zwany, na ulicy Długiej; 3) pałac Kadetów zwany, na Krakowskiem-Przedmieściu; 4) pałac arsenał na ulicy Długiej; 5) koszary gwardyi pieszej koronnej, na ulicy Gwardyi; 6) magazyn brukowy i karowy na ulicy Przejazd. Domów dla wygody publicznej cztery: 1) biblioteka Załuskich na ulicy Daniłowiczowskiej; 2) ludwisarnia JKMc na Podwalu; 3) Marywil na ulicy Senatorskiej; 4) depozytoryum na towary żydowskie na cał handlujących, na ulicy Pokorniej. [Więzień publicznych cztery, a temi były: 1) wieża marszałkowska koronna na ulicy Bięda; 2) wieża Grodzka w zamku; 3) więzienia na dekretowanych sądem marszałkowskim na ulicy Bugaj; 4) dom poprawy czyli Cuchtauz na ulicy Pokorniej. Pałaców prywatnych było natenczas w Warszawie 65. Studni ku wygodzie publicznej 16; wyliczamy je tutaj, ponieważ wiele z nich na dawnych miejscach nie istnieje, były zaś: zdroj na ulicy Zdrojnej; dwie studnie w rynku miasta Stariej Warszawy; jedna studnia na Dunaju; jedna studnia na Kanonii; jedna studnia w rynku miasta Nowej Warszawy; jedna studnia pod Bramą Krakowską; jedna studnia na ulicy Podwał; jedna studnia na ulicy Maryensztad; jedna studnia na Krakowskiem-Przedmieściu pod pałacem Małachowskich; jedna studnia na Krakowskiem-Przedmieściu pod pałacem biskupa kujawskiego; jedna

studnia na Nowym-Świecie; dwie studnie na Długej ulicy; jedna na Kapitulnej; dwie studnie na Tamce (1).

Od wspomnionego wyżej wypadku, dopiero pierwszy raz nocne patrole wojskowe w r. 1772 w Warszawie zaprowadzono. W roku zaś 1775 książę Adam Poniński marszałek delegacyjny sejmowy, a potem podskarbi w. koronny wystawił swoim kosztem most na Wiśle na łyżwach, za co rząd zezwolił mu go przez dziesięć lat dzierżyć i dochody z niego pobierać (2).

Właściwie za panowania Stanisława Augusta niewiele budowli kościelnych powstało, a w Warszawie zaledwie dwa nowych rzymsko-katolickich, to jest: 1) kościółek Śgo Karola Boremeusza na Powązkach i 2) kościół i klasztor Bazyliński przy ulicy Miodowej. Nadto, król swoim nakładem na pamiątkę upłynionego stulecia od zwycięstwa pod Więdnem, wystawił obszerny klasztor dla Sakramentek na Nowém-Mieście, a książę Karol Radziwiłł w r. 1782 przyozdobił kościół Karmelitów na Krakowskiém-Przedmieściu wystawą z ciosu w stylu odrodzenia (*renaissance*). Z dawniejszych, nawet jeden klasztor i kaplica ks. Teatynów z powodu braku funduszów zamknięte zostały, księża zaś wszyscy prawie Włosi, w roku 1785 puścili na loteryą swoje budynki przy ulicy Długej położone, które zaledwie w następnym roku rozegrane były, a sami wynieśli się z kraju (3). Za to inne wyznania pobudowały sobie w tej epoce przyzwoite domy modlitwy. Gmina ewangelicka,

(1) Wyliczenie to uczyniłem podług współczesnych gazet, a mianowicie: *Thornische Wöchentliche Nachrichten und Anzeigen für das 1772 Jahr*, 25 Januar, p. 28 i: *Przewodnik Warszawski* na r. 1775, w Warszawie w drukarni Grölla, w 12ce.

(2) *Konstytucje sejmowe 1775*. T. 1, str. 84.

(3) *Gazeta Warszawska* z r. 1785 nr. 67, i z r. 1786.

jakieśmy wyżej wspomnieli, od czasu panowania Jana Kazimierza ciągle w Warszawie istniała, a jużto napływem mieszkańców, już pobytym za królów saskiego domu cudzoziemskiego wojska, powiększała się; wszelako świątyni osobnej z powodu nietolerancyi duchowieństwa katolickiego mieć nie mogła. W roku tylko 1736 gdy cmentarz ewangelicki na Lesznie był zaszczupły, zaledwie grunta jego biskup poznański powiększyć pozwolił (1). Z czasem atoli prawa przeciw tak zwanym dysydyntom zmieniały się, uprzedzenia powoli znikaly, a potrzeba osobnej dla tego wyznania świątyni, coraz bardziej okazywała się. W roku tedy 1767 na Królewskiej ulicy, na placu kupionym za wstawieniem się posła duńskiego Saphorino, wybudowana była naprędce szopa, w której Jakób Scheidemantel kaznodzieja tegoż poselstwa, pierwszy raz zaczął nabożeństwo odprawiać. Szopa ta byłato uboga drewniana buda: gołe belki, proste ławki i kazalnica, stół zamiast ołtarza, całą jęj ozdobą; nawet naczynia srebrne na uroczystości potrzebne, musiano z Węgrowa sprowadzać i napowrót oddawać. Stała ona w tém miejscu, gdzie teraz szkółka parafialna i mieszkanie zakrystyana, czyli tam, gdzie dziś kamienica pod nr. 1701 lit. b. mieści się. Taki stan rzeczy trwał do roku 1775, w którymto czasie już w Warszawie 5000 mieszkańców wyznania ewangelickiego liczone, a między niemi wielu czynnych, światłych i zamożnych ludzi. Z tych szczególnie Piotr Tepper bankier i senior kościołów ewangelickich w Małopolsce wyrobił u króla przywilęj, wydany 15 stycznia 1777 roku na wybudowanie nowego kościoła, w skutek czego kupiono

(1) Akta Staręj Warszawy, księga 921, f. 202, w Arch. Główn. Kraj.

zaraz potrzebne place, a 24 kwietnia tegoż roku z szybkością budowę teraźniejszej świątyni rozpoczęto, podług planu budowniczego Szymona Bogumiła Zuga, a ze składek i ofiar samych nawet rzemieślników nad nią pracujących, dnia 30 grudnia 1781 r. ukończono (1).

Podług świadectwa Karola Ludwika Kortum, liczone wtedy w Warszawie 7 do 8 tysięcy osób augsburskiego wyznania, około 210 do 250 reformowanych, którzy także sobie świątynię na Lesznie z byłego tam domu pod nr. 666 w roku 1777 wystawili, zaś 160 do 190 Greków (2).

Pod względem budownictwa świeckiego, za tego czasu liczne gmachy i okazałe pałace rządowe i prywatne wznosiły się. Zamek w zaniedbaniu i ruderach prawie zostawiony od Augusta IIgo, zaczynający się podnosić za jego syna, przyszedł do zupełnego urzędzenia i wspaniałości królewskiej, staraniem, kosztem i podług własnego planu Stanisława Augusta. Znakomici malarze: Smuglewicz, Bacciarelli, Canaletti, Belloto; snyczerze: Monaldi, Lebrun, i Rhigi, pięknymi dziełami pędzla i dłuta swojego ozdobili sale i komnaty tego gmachu. Sam król dom swój gdzie ojciec jego mieszkał przy ulicy Bielańskiej (dziś pod nr. 607) w roku 1766 obrócił na mennicę, zaś nową, letnią rezydencją Łazienki zwaną, od księcia Kacpra Lubomirskiego generała porucznika wojsk cesarsko-rossyjskich zakupiwszy, z wielkim gustem i kosztem wybudował. Nowe koszary dla woj-

(1) Obszerniejsze szczegóły wystawienia tego okazałego kościoła, jako i opis artystyczno-archeologiczny, umieściłem w 2gim tomie moich: Wiadomości historycznych o sztukach pięknych w dawniej Polsce, str. 101–105.

(2) Kirchen Verwaltung str. 187, w mss. kościoła ewangelickiego w Warszawie.



ska, mianowicie dla gwardyi, z kilku gmachów złożone i dla artyleryi ozdobnie wystawił; szczególnie zaś protegując nauki wyzwolone i przychylnie na zabawy ogółu patrząc, do rozszerzania takowych w tutejszém mieście przyczynił się. Przedewszystkiém za tego czasu sztuka teatralna w Warszawie wzrosła. Zaraz w początkach panowania Stanisława Augusta, za zezwoleniem dworu saskiego, w teatrze przy pałacu Saskim, dawano widowiska w roku 1765 w listopadzie przez poczynających aktorów polskich, dla wszelkiej publiczności otwarte, piérwszy raz za pieniądze. Odtąd zaczęto drukować i przyklepiać na rogach ulic afisze z wymienieniem ceny miejsca, sztuki i aktorów, co było dla Warszawy, jak mówi jeden współczesny pisarz, wielką nowością. Trwała w tym teatrze scena polska do roku 1772, w którym gmach ten jako grożący upadkiem, na wiosnę rozebrany został. Po nim w r. 1773 otworzono drugi teatr w pałacu księcia Karola Radziwiłła na Krakowskiém-Przedmieściu (dziś Namiestnikowskim), którego przedsiębiercą był Karol Thomatys dworzanin królewski, dyrektor teatrów, później nawet godnością hrabiego zaszczycony, i baron Kurtz niegdyś artysta teatru wiedeńskiego: zaprowadzili oni tutaj włoską operę i balet, który wielkie miał powodzenie. Następnie uchwałą sejmową 1775 roku wydany został księciu Augustowi Sulkowskiemu wojewodzicowi gnieźnieńskiemu przywilej, na utrzymanie i wybudowanie teatru na Nowym-Świecie przy pałacu Nowy-Sułków zwanym (gdzie dziś kamienica pod nr. 1315), który już dawniej do redut i innych zabaw *pro publico* był wystawiony. Przywilejem tym nadano wspomnionemu księciu wieczne prawo „ażeby tam tylko i nie gdzieindziej wszystkie opery, komedye, spectacula i zabawy

publiczne za pieniądze jakiegokolwiek gatunku, tudzież i reduty odprawiane były, a to pod karą tysiąca grzywien za każde od kogożkolwiek w tej mierze przestępstwo wzwyż wspomnianym uprzywilejowanym zapłacone być mającym, i ten przywilej *pro lege perpetua* mieć chcemy. Za który kompania obowiązana będzie rocznie importować cztery tysiące złotych polskich do skarbu laski marszałkowskiej, a bilety tak teatralne jak reductowe, nie droższe anizeli dotąd wydawać" (1).

Na teatrze tym grywano sztuki Bohomolca, Czartoryskiego i innych; wszelako po kilku latach istnienia, przedsiębiorcy nie mogąc utrzymać się, sprzedali swój przywilej Franciszkowi Ryxowi kamerdynerowi królewskiemu, później staroście piaseczyńskiemu, który za wsparciem królewskim i księżny Elżbiety Lubomirskiej, wystawił na placu Krasieńskim podług planu Bonawentury Solarego budowniczego nowy teatr, w roku 1779 ukończony (2). Otwarty on został dnia 25 listopada 1779 r. pierwszą komedią pod tytułem: Amant, Autor i Sługa, graną przez Bogusławskiego, i operą pod tytułem „Bednarz.” Bilet wnijsćia na parter płacono wtenczas 6 złotych, później zaś na 4 złote niżony został. Pod zarząd Ryxa, Kurtza a naostatku Bogusławskiego, miewał swoje świetne czasy i przedstawiał sztuki, na które wtedy bardzo uczęszczano i chwalono, aż dopók

(1) Konst. sejmu Extraor. Warsz. od roku 1773—1775. T. 1 f. 48, tit: Teatrum publiczne i pałac reductowy. Volum. Leg. T. VIII f. 153.

(2) W roku 1779 księżna Lubomirska marszałkowa W.K. w przytomności tutejszego państwa założyła na ten teatr pierwszy kamień węgielny. na którym umieszczony był następujący napis: Regnante Stanislao Augusto, Elisabetha Princeps Lubomirska Suppremi Regni Mareschalci Consors, hunc primum lapidem posuit die 11 Martii 1779.

budowa śpiesznie dzwignięta grożąc ruiną, w roku 1791 dla naprawy zamkniętą nie została (1).

Z początkiem panowania króla Stanisława Augusta otworzyło się téż pole świetniejsze w Warszawie i dla piśmiennictwa krajowego, a przemysł naukowy pomnożył się. Przy końcu téj epoki było już w Warszawie drukarni 9, a księgarń 10. Wyliczamy je tu porządkiem założenia: 1) drukarnia i księgarnia ks. Pijarów na Długiej ulicy; 2) drukarnia i księgarnia Jezuitów w Starém Mieście w samém kollegium, która po zniesieniu tego zgromadzenia w r. 1772, dostała się Kommissyi Edukacyjnój i wtedy nazwano ją drukarnią nadworną Prześ. Kommissyi Eduk. Pomędzy znakomitszemi dziełami wydała ta drukarnia: Zbiór dziejopisów Polskich Fr. Bohomolca i wiele innych, po roku zaś 1806 weszła w skład drukarni rządowej; 3) drukarnia Mitzlera przy Korpusie Kadetów istniejąca; 4) drukarnia i księgarnia Piotra Dufour, założona w marcu 1775 roku; istniała początkowo w Starém Mieście w domu pod nr. 58, dostała się zaś w spadku Tomaszowi Lebrun, a po nim Lesznowskiemu redaktorowi Gazety Warszawskiej dotąd utrzymującej się; 5) drukarnia i księgarnia Michała Grölla, założona w r. 1778 w Marywilu pod znakiem poetów, gdzie do r. 1806 istniała i wiele ważnych przedsięwzięć uskuteczniła. Później drukarnia ta była własnością Rakoczego i wtedy na Krzywém-Kole pod nr. 52 mieściła się; 6) drukarnia

(1) Ciekawy czytelnik historii sztuki dramatycznej w Polsce tych czasów, znajdzie ją przy dziełach Bogustawskiego; skróconą zaś w piśmie pod tytułem: Świat dramatyczny na r. 1838 nr. 8. Nowe szczegóły przezemnie wspomniane, które tam nie znajdują się, wybrałem z pism współczesnych lub od wiarogodnych świadków.

ks. Missyjonarzy przy kościele Śgo Krzyża na Krakowskim-Przedmieściu, którą zaprowadzili pod pozorem wydawania książek nabożnych, drukowali jednak wszystko; 7) drukarnia Kommissyi Skarbowej, założona przez Piotra Blanka bankiera we własnym jego domu na Senatorskiej ulicy (dziś pod nr. 461); 8) drukarnia Jana Potockiego, założona w roku 1789 we własnym pałacu przy ulicy Rymarskiej (dziś pałac Kom. Rząd. Przychod. i Skarbu), drukarnia ta później weszła w skład drukarni Korrespondenta Gazety Warszawskiej; 9) drukarnia i gisernia Piotra Zawadzkiego, założona w r. 1789 na Piekarskiej ulicy w domu pod nr. 52, trwała do r. 1808, w którymto czasie do Lublina ją przeniesiono (1).

Z księgarzy wyłącznych a odznaczających się byli następnii: 1) Jan August Poser, który do r. 1772 miał księgarnią swoją w kamienicy Wasilewskiego, dziś Dra Malcza na Krakowskim-Przedmieściu pod Nr. 372; później mieścił się w pałacu książąt Sułkowskich Rydzyna zwanym na Trębackiej ulicy (dziś nr. 634 do p. Pawła Jaworskiego należący) i najwięcej francuzkami książkami handlował; 2) Maciej Szczepański na ulicy Stojańskiej pod nr. 12; 3) brat jego Jan, miał księgarnią przy Nowomiejskiej ulicy; 4) Jana Ludwika Kocho; 5) Fryderyka Pfaffa w Marywilu; 6) Gaya wielki handel książkami francuzkami i pierwszy skład nut muzycznych, w pałacu pani Dębińskiej starościny olbromskiej przy ulicy Senatorskiej (gdzie dziś księgarnia Fr. Spiessa i komp. pod nr. 460).

(1) Podług broszury Piotra Dufour: O urządzeniu drukarni krakowskich, 1789 in f. i Bandtkiego: Historia drukarni w król. Polskiem T. II, str. 170—246.

Odpowiadał temu przemysłowi ruch naukowy i piśmienny w Warszawie. Za przykładem monarchy zaczęli wszyscy gorliwie do rozszerzania nauk przykładać się. Po skasowaniu Jezuitów, założona w roku 1773 Komisya Edukacyjna, duzo na pomnożenie oświaty wpłynęła; w tój także epoce upodobanie do języka francuzkiego silnie tutaj powstało. Panowie zaczęli z Francyi i Szwajcaryi sprowadzać na domowych nauczycieli Francuzów i Francuzki, a mania francuzczyzny jako szal gwałtownie to miasto ogarnęła. Awanturnicy, lokaje, wypędzeni z kraju przemysłowcy, wysłużeni żołnierze i dobosze, cisnęli się do Warszawy na mentorów do dzieci tutejszych. Modnemu językowi ustępowała łacina; język konwersacyi i salonów począł być francuzki, tém bardziej, gdy go i na język dyplomatyczny dworu polskiego, w roku 1773 dnia 3 września piérwszy raz do pisania not ministryalnych użyto.

Pomimo to, piśmiennictwo miejscowe coraz wyżej wznosiło się. Ciekawy czytelnik we właściwych źródłach znajdzie na to dowody, ja tu tylko wspomnę o pismach peryodycznych, jako bliżej i bardziej wyłącznie do historii miasta należących. Po Naumańskim, o którym w poprzednim paragrafie pisałem, w roku 1769 zaczął wydawać ks. Stefan Łuski Jezuita też same gazety pod tytułem: „Wiadomości Warszawskie.” Piérwsze to jest pismo czasowe ważniejsze we względzie literackim i do historii tutejszego miasta konieczne. Księgarze umieszczali w nich obwieszczenia dzieł nowych, które na sprzedaż mieli, równie i wszystkich ksiązek, które w Polsce z druku wychodziły: kupcy ogłaszali tu swoje towary; magistrat umieszczał rozporządzenia, a w roku 1770 przyłączono astronomiczne postrzeżenia ks. Rostana i t. d. Ga-

zeta ta wraz ze śmiercią wydawcy w roku 1793 wychodzić przestała (1). Wcześniej o pięć lat począł w r. 1764 „Monitor” na wzór Spektatora angielskiego wychodzić; dla szkoły kadetów tłumaczono go na język niemiecki. Za nim zjawily się wkrótce inne dzienniki. „Uwagi ekonomiczne” przestały dopiero z końcem roku 1770 wychodzić, gdy autor ich z Warszawy oddalił się. W roku 1770, zaczął Naruszewicz „Zabawy przyjemne i pożyteczne”; w tymże samym roku zaczęło towarzystwo literatów wydawać „Wybór ekonomicznych wiadomości”, lecz dla braku prenumeratorów wkrótce ustało. Taż sama przyczyna była powodem, iż w następującym roku w samym początku ustać musiało pismo pod tytułem: „Stan polityczny, cywilny i zakonny państw starożytnych.” Podobne usiłowania po kilkakroć czynione, były nareszcie zaniechane. Monitor tylko i Zabawy, do których utrzymywania sam król się przykładał, były ciągle wydawane. W roku 1786 zawiązane w Warszawie towarzystwo handlowe ze znakomitszych ludzi złożone, poczęło wydawać miesięcznemi poszytami w drukarni ks. Missyonarzy „Dziennik handlowy, zawierający w sobie wszystkie okoliczności czyli ogniwa całego łańcucha handlu polskiego.” Dziennik ten szczególnie protegowany przez króla i licznych mając prenumeratorów, po rozwiązaniu rzeczonoego towarzystwa wychodził ciągle do r. 1793, nakładem redaktora p. Podleskiego: pismo jedyne w tym oddziale umiejętności, odpowiadające ze wszechmiar swemu tytułowi, a mało dotąd znane, chociaż nader ważne wiado-

(1) Stefan Łuski Jezuita, niegdyś spowiednik króla Stanisława Leszczyńskiego, następnie rektor collegium warszawskiego, a nakoniec redaktor gazety, umarł w Warszawie dnia 21 sierpnia 1793 r., mając lat 69. (Wöchentliche Thornische Nachrichten für das Jahr 1793, s. 230).

mości zawiera. Nakoniec dodać tu wypada, iż bezpłatne rozsyłanie pocztą pism peryodycznych przy gazetach, ułatwiało wielce rozmnożenie prenumeratorów. Lecz i to nie pomogło; zwolna ustaly one wszystkie, tylko jeden Pamiętnik ks. Piotra Switkowskiego ex-Jezuity przetrwał do r. 1793. „Szczególny to był redaktor ten p. Switkowski; znałem go osobiście, pisze w swoich notatach Antoni Magier, mieszkał przy ulicy Trembackiej i byłem natenczas w mniemaniu, iż aby poświęcić się na redaktora podobnego pisma, trzeba było być tak co do ciała wyschłym, usuniętym od innych obowiązków i tracić zdrowie na pracy; kiedy oto widzę teraz licznych redaktorów zajętych urzędami i publiczném życiem, tłustych i wesołych, którzy na wszystko czas znajdują i nie ślęczą sami nad dziennikiem jak tamten ex-Jezuita.”

Jednocześnie wzrastał handel, przemysł i rękodziela w Warszawie, zmieniła się postać dawnego stanu rzeczy i pod tym względem. Młody mieszczanin warszawski mógł podróżować po obcych krajach; zaczęto odwiedzać Lipsk i inne handlowe miasta zagraniczne, zyskiwano tam kredyt i nawzajem go udzielano. Zwolna ze Starego Miasta przenoszono się ze sklepami na Krakowskie-Przedmieście, a w roku 1778 zdołał tę ulicę piękny rząd sklepów; ztąd też pierwsza ona najświetniejszą w Warszawie okazała się. Ustąpiły już wtenczas z niej liche budy, wystawione na chyłu jedne wzdłuż klasztoru ks. Bernardynów, drugie otaczające kolumnę Zygmunta III, w których brudne przekupki smażyły kiszki i kiełbasy, i tym podobne przysmaki pospólstwu gotowały, a które jeszcze na rzadkich ówczesnych rycinach widoków Warszawy Kanalettego, oglądać można.

Handel towarami zagranicznymi szczególnie się wtedy pomnażał. Nadzwyczaj świetne istniały magazyny w domu Resslera, Hurtiga na Krakowskiem-Przedmieściu, Hempla w pawilonie pałacu Radziwiłłów. Słynął także magazyn Jazewicza przy ulicy Miodowej, w którym same angielskie towary przedawano. Najmniejszy drobiazg kosztował tam jeden szyling czyli 2 złote polskie, bo była jakiś czas w Warszawie moda na angielszczyznę do takiej przesady posunięta, iż dandy ówczesny od stóp do głów ubierał się po angielsku, mówił tym językiem i dziwactwa tamtego kraju naśladował.

Liczba porządných rzemieślników, pilnych, przykładających się do ulepszeń zagranicznych corocznie wzrastała, na miejsce dawniejszych niedbałych i nieumiejętnych opojów, którym pochlebny był starodawny przesąd, że im kto lepszy rzemieślnik, tém większy pijanica. Znikało powoli zdanie, iż tylko cudzoziemcy mogą być doskonali, kiedy krajowcy do wszystkiego okazali się być sposobni. „Wszelako, pisze w swoich notatach A. Magier, polscy rzemieślnicy nie zaraz mogli wyrównać obcym; do roku 1780 co do buta nie mieliśmy doskonalszych jak Mentel, Rauch, szewcy niemieccy i dwaj bracia Anglicy Mendle”. Krawcy mężczy tak jak teraz modni, robili w Warszawie łatwo majątki. Celował zaś pomiędzy nimi szczególnie krawiec Francuz nazwiskiem Perdu, który mieszkał na Krakowskiem-Przedmieściu naprzeciw kościoła Śgo Krzyża. „Zdziérał on, powiada Magier, straszliwie, a kiedy raz byłem u niego, zastałem pokoje tego krawca lepiej ubrane, niż pałace najmożniejszych naszych panów, Jéjmość zaś sama w brabanckich koronkach ubrana, na miękkich sofach spoczywała”.



Jubilerski i galanteryjny handel nie miał jeszcze wtedy sklepów w Warszawie, lecz Francuzi, którzy się nim najczęściej trudnili, roznosili tego rodzaju towary po pałacach zwykle w porze obiadowej w czasie otwartych stołów, aby magnat jeden nad drugiego się przesadzał i te drobnostki przepłacał.

Pasztetnik, prócz dworskich, jeden tylko Szutowski przy ulicy Piwnej słynne wtedy ciasta wypiekał. Jeden także Niemiec na Lesznie, a drugi w Gdańskiej piwnicy (czyli w dzisiejszej kamienicy pod nr. 163 przy ulicy Nowomiejskiej, Gołębiój), dostarczali smacznych rogali. Dopiero około roku 1775 zjawili się tutaj Szwajcary czyli Gryzony, którzy nie tak jeszcze porządne i licznie uczęszczane utrzymywali cukiernie, a pierwszym z nich był Robbi na Krakowskim-Przedmieściu przy Karmelitach, a drugi zaś Mini na ulicy Freta.

Nie znano jeszcze wtedy wygodnych publicznych powozów do najmowania w mieście. Za czasów saskich ciężkie karety drogo popłacały się i z trudnością można je było znaleźć. W r. 1771 ku wygodzie publicznej zaprowadzono w Warszawie lektyki, które zaledwie dwa lata mogły się utrzymać, z powodu niewstrzemięzliwych nosicieli, co często razem z przenoszonymi przewracali się. Wkrótce potem zaprowadzono tutaj paryzkie fiakry; używano do nich z początku starych powozów, któremi wysłużeni lokaje i stangrety od panów byli obdarowani. Kurs tak jak dziś kosztował złoty jeden; na godzinę dwa tylko płacono. Nierównie później pokazały się nieporównane nasze dorożki.

Te co dzisiaj tak często wieczorem grające po ulicach pozytekki, pospolicie katarynkami zwane słyszymy, także dopiero za tego czasu pierwszy raz w Warszawie

zjawily się. Wnieśli je tutaj około roku 1765 wędrowni Włosi i Niemcy, pokazujący wtedy zarazem na cieniu z tak zwaną czarnoksiężką latarnią różne sztuki, figury i tańczące lalki, a między temi jedną odznaczającą się, którą zwano *charmante* katarynka, lub *szeyne* (schöne) katarynka, od czego i nazwisko to pozytewki u nas otrzymały.

Bez wątpienia nigdy tyle w Warszawie zabaw publicznych nie istniało, ile za tego czasu; powstało ich mnóstwo za panowania Stanisława Augusta króla, który sam przykład z siebie ku temu dawał, liczne bale wyprawiał i na dawane przez magnatów uczęszczał. Dopiero wtenczas zaczęto tańczyć do upadłego; nieznany przedtem kadryl, anglez, gawot, kontradans pojawił się; hasała młodzież przedtem powolna i do tego niezgrabna. Za modami obcemi przyszła i zmiana ubioru. Do roku 1776 jeszcze dawny strój był powszechny a pospolity. Ubiór ten w Warszawie jak i w całym kraju różnił się podług stanu; wszędzie szlachta nosiła żupany, na nich kontusze, a na kontuszach pas. Kupiec lub rzemieślnik obowiązany był nosić pas nie na kontuszu lecz żupanie, za którym zatkniętą miał pstrą chustkę od nosa, kontusz zaś zawsze rozpięty. Po wyżej wspomnianym roku, kiedy moda angielszczyzny do Warszawy zawitała, przyjęto od nich do codziennego ubioru fraki, do których uchodziło nosić krótką kamizelkę bez patek, tak jak frak i spodnie rozmaitej barwy, jak się komu podobało. „U nas w Warszawie, mówi w swoich notatkach Magier, dopiero około r. 1776 fraki w użycie weszły; ubiór który bardzo nas zachęcał, dla niewielkiego kosztu, i z tego podobno powodu powszechnie został przyjęty. Szczególnie zaś młodzież zrzucala prędko żupa-

ny, a do fraków się brała, minnowicie kiedy się to kobietom podobało. Biedni wtedy nasi krawcy, pisze dalej Magier, łamali sobie głowy jak z kontusza wykroić frak, a kapotę przerobić na surdut". Sposób noszenia włosów ulegał także częściej tutaj zmianie; wielkie peruki za Sasów, tylko sami możni panowie i to nie wszyscy nosili. Za Stanisława Augusta weszło w użycie pudrowanie włosów, które z tyłu w torebkę związywano. Ubranie głowy niemniej zmiennie miało czasy; dawniej same czapki noszono, a rzadko kapelusze, których użycie Sasi wprowadzili, lecz je prędko potem zaniechano, aż dopiero w r. 1780, jak utrzymuje Magier, kapeluszników z Wiednia, Berlina i Drezna sprowadzono, a ci robili najprzód stosowane kapelusze, które podówczas w wielkiej były modzie. Nie pierwój zaś jak w roku 1781 zaczęto nosić kapelusze okrągłe z płaskimi dnami, do których, pisze Magier, iż on pierwszy dał niejakiemu kapelusznikowi nazwiskiem Jędrzej Bacher do tego model.

Panowanie tedy Stanisława Augusta, jak widzimy z tych szczupłych a często oderwanych wiadomości, wiele w Warszawie zewnętrznych zmian uczyniło; nie możemy tyle o moralnym i wewnętrznym jój stanie powiedzieć, nie tu także miejsce po temu: kilka jednakże rysów, do ogólnego wyobrażenia koniecznych przywiode. W poprzednich paragrafach zebrałem dowody, iż oddawna istniały tu niektóre wyłączne przywileje na przemysł, który tutaj pospolicie uprawiano, jak na przykład warzenie piwa i gorzałki. Co do pierwszego wiemy, iż nikt w Warszawie piwa robić i dowozić nie był mocen, prócz mieszczan tutejszych w cechu piwowarskim zostających; tak było do roku 1764, w którym ustawą sejmu konwokacyjnego, każdemu robienia i dowożenia

wszelkich trunków w Warszawie pozwolono. Po wyjściu tego prawa, upadły właściwe cechy: wprawdzie ogół na tém zyskał, lecz obyczaje wiele straciły, tém bardziej, skoro po kościołach i przy klasztorach zaczęto napoje te robić i niemi handlować. Tak Jezuici na Starem-Mieście wino francuzkie sprzedawali na kwarty i garnce, a po ich zniesieniu, ks. Łuskiński redaktor Gazety Warszawskiej, dalszy w tém kollegium handel prowadził, do którego użył dawnego laika jezuickiego nazwiskiem braciszek Kościeszka. U Dominikanów na Nowem-Mieście zawsze wina i miodu dostać można było; nawet w samym klasztorze przeznaczono sporą izbę do tego handlu, w której znany podówczas brat Czesław szynkował (1). Sławny był także miód u Trynitarzy na Solcu, w który prawie wszystkie gospody w mieście zaopatrywano. Przy kościele parafialnym w Ujazdowie, warzono oddawna doskonałe piwo; przy szkole w której zarazem dzieci uczono i piwo sprzedawano, jak o tém w jednej wizycie tego kościoła czytałem: *Schola etiam raedificata in qua Rector scholae manet et pueros instruit atque cerevisiam propinat.*

Poszło za tem, iż pijaństwo i próżniactwo wielu służących i rzemieślników na starość do żebractwa przywiodło, które jeszcze za sposób do życia nader zyskowny wówczas miano; bo litość tutejszych mieszkańców na powody nie zważając, hojną jałmużną do pomnożenia ich dopomagała. Liczba takowych żebraków była nader liczna, a w brudnych i obdartych łachmanach często oszuci ukrywali się; tak dalece, iż jak świadczy jeden ze współczesnych obywateli tutejszych, wtedy służący co-

(1) Dopiero w r. 1825 arcybiskup Wojciech Skarzewski Dominikanom warsz. handlu tego zabronił.

kolwiek podstarzały, przekładał żebractwo nad płacone mu zasługi. Zdarzyło się, iż u ks. Łuskiny, kucharz przyjmujący służbę wymówił sobie, abymógł nosić zapuszczoną brodę i od południa od obowiązków być wolnym; wtedy bowiem przebrawszy się w łachmany i zmieniawszy swoje postać, chodził żebrak zyskownie po mieście. Był czas, kiedy w bramie Krakowskiej w dawnych framugach, na gnojowym barłogu żebrak cały dzień spoczywał, inny na wózku ułożony, stawał pod kolumną Zygmunta III i piękną łowiac jałmużnę, po 12,000 tynfów posagu za swoje córki dawał. Inny na ulicy Miodowej przy figurze czyli krzyżu blisko muru Kapucyńskiego stojącym, ukleciwszy sobie budkę słomianą, za swoje własność uważał, i innym żebrakom wynajmował i t. p.

Z żebrakami temi szczególny w Warszawie wypadek zdarzył się. Wr. 1783, przybył tutaj sędziwy Francuz, który generałem baronem Lefort mianował się. Posłał on do króla na dniu 1 marca t. r. obszerną notę, w której objawił, iż nakłoniony przykładem czcigodnego Bodouin, postanowił z czystej miłości bliźniego zostawić po sobie pamięć w Warszawie, uwalniając ją od téj ogromnej gromady żebraków i włóczęgów, którzy ulice zawalali, przykry i smutny zarazem widok miastu nadając. Nie żądał on wielkich zasiłków, podał tylko projekt założenia fabryki, w której ci żebracy mieli prząć wełnę w domu za Wolskimi rogatkami, do którego najęcia i opędzenia pierwszych potrzeb, ustanowił towarzystwo dobroczynne; następnie zaś dowodził, iż z dochodów téj fabryki potrafi ją nadal utrzymać, i pracującym żebrakom przyzwoite potrzeby do życia zaspokoić. Naturalnie, iż Francuz znalazł przychylnym do tego projektu króla,

a wiele możnych osób wsparło jego przedsięwzięcie. Pewien bogaty pan darował plac i 1000 cegieł na wybudowanie domu, z oświadczeniem oraz najęcia za małą kwotę swojego blizkiego domu, dla otworzenia bez zwłoki projektowanój fundacyi. Ogłoszono drukiem zamiar towarzystwa dobroczynnego, które niebawem z kilkunastu osób złożone, uformowało się, a Mniszech marszałek w. k. dodał ludzi do chwywania żebraków po ulicach, i dostawiania ich do założonego domu. Baron ciągle zdawał raporta królowi o postępie fabryki, obiecywał pomyślną jój przyszłość; tymczasem pod pozorem poratowania zdrowia wyjechał i więcj do kraju nie wrócił. Mam teraz pod ręką obszerne akta tyczące się tego przedsięwzięcia, tak z pozoru pięknego i filantropijnego, którego dalszy los i przyczynę upadku nie potrafiłbym sobie rozwiązać, gdyby nie notaty Magiera. Oto co on mówi, o tém całym miłosierném przedsięwzięciu: „Okolo roku 1784 przybył tu wędrowny jakiś baron francuzki, którego nazwiska nie pamiętam; ten pozyskawszy zaufanie rządu oświadczył, iż oczyści nasze miasto z żebraków zalegających ulice, dając im zatrudnienie i przyzwoite utrzymanie, a to wszystko za pomocą fabryki przędzenia wełny, którą za Wolskimi rogatkami założył. Mniszech marszałek wiel. kor. rozkazał chwytać i dostawiać mu żebraków. Baron już miał na pogotowiu podług odzież, kazał zbłoconych żebraków z łachmanów rozbiierać, czapki i pasy odbierać, a natomiast inne im odzienie dawał; wiedział bowiem baron, że tam pozaszywane były dukaty. Kazał potém owe suknie do siebie zanosić i sam je rozparał, znacznie się złotem obłowiwszy, wkrótce potém pod wymówką iż wyjeżdza na zakupienie wełny, gładko się z kraju wyniół”.

Wreszcie pamiętna jest także ta epoka i z tego, iż dopiero w r. 1782 za biskupstwa Okęckiego po tutejszych kościołach grzebać umarłych zakazano; dotąd ich bowiem w grobach pod kościołami, albo téż na cmentarzach przy tychże będących chowano. Tak kościół śgo Jana, ks. Augustyanów, ks. Bernardynów, ks. Reformatów miały najobszerniejsze cmentarze i groby. Kiedy zaś wyszedł pomieniony zakaz, od tego czasu w odleglejszych stronach miasta obrano miejsca na spoczynek zmarłych; gdy jednak ludność Warszawy powiększać się zaczęła i coraz liczniejsze stawiano budynki, cmentarze przeniesiono za rogatki miasta. Pierwszy oddalony od kościołów cmentarz był na Nowym-Świecie, w tém miejscu, gdzie dziś jest ogród należący do domu nr. 1258 lit. a. Pierwszy za rogatkami ogólny dzisiejszy Powązkowski, założony został dnia 4 listopada 1790 roku. Stał on na gruntach do jurydyki Szymanowskiej należących, której właściciele bracia Szymanowscy z Bronisz, ofiarowali na ten cel własnego gruntu 349 łokci długości, a 178 szerokości. Nie mniejsze poczynili ofiary i możni panowie z gruntów w bliskości do nich należących; król zaś wystawił swoim kosztem tegoż roku kościół, pod tytułem śgo Karola Boromeusza i murem wokoło oprowadził.

Wymieniwszy to, co nam do ogólnego poznania wewnętrznego stanu miasta potrzebném zdawało się, wracam do statystycznych szczegółów.

Podług kontrybucyi podatków miejskich, samo Nowe Miasto w r. 1772 opłacało od possesyj czyli od 569 domów (1). To nam daje miarę jój wzrostu. Ogółem zaś jak

(1) Kontrybucya podatków miejskich miasta Nowej Warszawy, za prezydencji Mateusza Łapińskiego 15 września 1772. Księgi Radzieckie M. N. W. nr. 220. w Arch. Głów. Kraj.

się pokazuje z tabelli kommissyi kwaterniczój d. 26 lipca 1779 ułożonój, znajdowało się w obojga Warszawie ze wszystkimi jurydykami 2663 domów (1). Podatek opłacany do skarbu, jakęśmy wyżej wspomnieli, wynosił przeszło trzy miliony, a samo kominowe w r. 1789 stanowiło dochodu 140,278 złotych, konsumcyjne i z jatek 886,443 zł. 10 groszy. Najobszerniejszy atoli miał być podatek łokciowego, który jednak z powodu nieuregulowania miasta, nigdy jak się należy nie był opłacany; przez co i nakazywane porządki w zupełności wykonane być nie mogły. Dopiero za marszałkowania Michała Wandalina z Wielkich Kończyc na Ossownicy hrabiego Mniszech, marszałka wielk. koron., dekretem sądu kommissyi brukowój pod dniem 30 marca 1784 r. zapadłym, rozkazano w tym celu znowu na nowo Warszawę ze wszystkimi przyległościami i posiadłościami przemierzyć „chcąc, słowa są dekretu, aby każdy podług istotnej gruntu i posesyi swojej przy ulicach publicznych rozległości, łokciowe na potrzeby publiczne i ochędóstwo miasta determinowane opłacał, a żaden nad miarę swój posesyi i gruntu tąż opłatą nie był ciężonym; oraz usiłując potrzebny ze wszechmiar względem wiadomości liczby domów] w miastach Starój i Nowój Warszawy, tudzież w wszelkich jurydykcyach królewskich, duchownych i szlacheckich znajdujących się uczynić porządek, potrzebny być pomiar generalny wszelkich posesyj po okopy rozciągających się znajduje.” Celem wykonania tego wszystkiego, oraz dania numerów każdej posesyi, których przedtém nie znano, kommissya brukowa tymże samym dekretem wyznaczyła Piotra Szustowskiego instygatora téjże kommissyi, Ja-

(1) Podług oryginalnej tabelli, którą w zbiorze moim posiadam.



kóba Kubickiego architekta jurysdykcyi marszałkowskiej i wielu innych, którzy zjechawszy na miejsce przy ogłoszeniu publiczném na wszystkich ulicach „że zaczynając od zamku JK Mci, tenże zamek, ratusze, pałace, kamienice, domy, dworki i wszelkie posesye tak jak tylko rynków, ulic i przejazdów publicznych dotykają, przybrany architekt na łokcie miary warszawskiej przemierzyć naznaczy; także domy i posesye choćby nawet przy prywatnych ulicach i przejazdach znajdujące się, aby tylko nie w jednego obywatela posiadaniu będące, podobnymże sposobem przemierzyć nakaze, a przy takowym rozmiarze nad bramami lub drzwiami zamku, ratuszów, pałaców, kamienic, dworów, domów, dworków, żadnej posesyi (prócz tylko kościołów) nie opuszczając ani wyłączając, liczby farbą czarną tak jak z kolei w przemiarze wypadną odmalować urządzi; a do któregooby dziedzińca lub kilka wjazdów, ulic lub rynków dotykających było, wtenczas na pryncypalnej bramie liczbę odmalować nakazawszy, a inne wygody do tegoż pryncypalnego numeru stosować będzie, utrzymanie tychże numerów napotém przez possesorów ostrzeże; jeżeliby gdzie z ulic publicznych na prywatny użytek cokolwiek gruntu zabranego było, ten stosownie do prostości tychże ulic z zabudowania uwolnić ostrzeże, szerokość każdej ulicy w rozmiarze swym oznaczy. Ulice własnym kosztem jurydyk lub obywatelów wybrukowane, choćby nawet od płacy łokciowego uwolnione, nie wyłączając onych od naznaczonego teraz przemiaru i numerowania domów opisze, taryffę łokciowego przemiaru z wyrażeniem numeru każdej posesyi i domu sporządzi, i do niej domy nawet i posesye dotąd łokciowego nieopłacające teraz przemierzyć miane opisze; oraz takową taryffę dokładnie sporządzoną,

celem ustanowienia płacy łokciowego stosownie do dawniej taryffy do kommissyi niniejszej odesła" (1).

Kommissya ta rozpoczęła swoje czynności dnia 26 kwietnia 1784 r., i w tymże roku zupełnie ukończywszy, sporządziła żadaną taryffę, którą 21 grudnia 1785 r. magistrat Stariej Warszawy zatwierdził. Odtąd dopiero Warszawa ma stałe numera posesyij, które do dziś dnia bez zmiany zostały. Taryffa podług wyżej wyrażonych przepisów ułożona, której oryginał w archiwum akt dawnych tutejszego Magistratu znajduje się, podług zdania p. Wilhelma Kolberga opiera się na wyrachowaniu bardzo zawikłaném. Położenie miejsca, ilość sklepów, okien, piąter i długość frontowej ściany każdego domu były danemi, podług których oznaczono podatek od łokcia frontu. Skutkiem takowego obrachowania, ilość opłacanego od łokcia podatku niejednakowa była nawet w domach sąsiednich jednej ulicy. Nie obejmowała ona wcale posesyij, które żadnego nie przynosiły dochodu i te, przed którymi właściciele kosztem swoim utrzymywali dawne lub zakładali nowe bruki; chociaż rozporządzenie wyżej przywiedzione, wyłączenia tego nie pozwalały. Taryffa ta wszelako utrzymywała się aż do roku 1828, a ogólny podatek coroczny wynosił 64,395 zł. 16 groszy (2). Posłużyła ona zaraz do wielu urządzeń, które poprzednio nie mogły być wykonane. I tak: kiedy ustawą sejmową 1775 roku miasto obowiązane było na kwaterach oprócz komendy marszałkowskiej 3,000 żołnierza pomieszczać (3), na co szczególnie wówczas na-

(1) Dostownie z oryginalnego dekretu w Arch. Mag. Warsz. i drukowanego Uniwersału Michała Mniszcha m. w. kor. ogłoszonego dnia 5 kwietnia 1784 roku.

(2) O brukach warszawskich przez Wilhelma Kolberga, w Bibl. Warsz. na r. 1843, T. III, str. 112.

(3) Konst. 1775 r. tit. Hetmani Wielcy f. 13.

rzekano, a wojsko potrzebnej dogodności nie miało; wtedy król Stanisław August chcąc raz na zawsze temu zapobiedz, w skutek podanego projektu rozkazał nałożyć nowy podatek na miasto do składki na budowanie koszar. Kommissya zaś lokacyjna stosując się do uczynionego pomiaru od łokcia, wspomniony podatek w r. 1784 urządziła, i na sześć rat, każda na cztery miesiące, wypłatę rozłożyła. Urządzona w tym celu taryffa wykazała dochodu 846,705 zł. 21 gr.; chcąc zaś przeświadczyć publiczność o wielości tej percepty i sprawiedliwości poboru, który jednakże prawie przez połowę do końca 1784 roku nie był uiszczony; taryffę onę w tymże roku wydrukowaną do powszechnej wiadomości podała (1). Podług tej taryffy znajdowało się w Starój i Nowej Warszawie ze wszystkimi przedmieściami i jurydykami oprócz Pragi ulic 197, posesyj ogółem 3140, między któremi muryowanych, tojest kościołów, klasztorów, pałaców i kamienic 980 znajdowało się, a drewnianych 2160. Dymów ogólnie liczono 11692, stałych mieszkańców było w roku 1780 oprócz Pragi 48000, w roku zaś 1787 statystyka ludności Warszawy była następująca:

914 duchowieństwa.

14721 mężczyzn żonatych z wojskowemi i żydami.

10391 młodzieży dorosłej.

8797 służących mężczyzn.

3328 czeladzi rzemieślniczej.

2377 chłopców w terminie.

6105 rozmaitych mężczyzn, między tymi żydów nieżonatych.

---

Ogółem 46633 osób płci męskiej.

(1) Piérwsza drukowana taryffa miasta Warszawy jest bez żadnego oddziału na jurydyki i t. p.; wysłała zaś pod tytułem: „Taryffa miasta Warszawy do składki na koszary na rat sześć cztero-miesięcznych w r. 1784 ułożona, perceptę z kwitami zgodną okazująca” 8vo.

14658	niewiast zamężnych z żołnierzkami i żydówkami.
11100	dziewcząt dorosłych.
10927	służących niewiast.
6130	rozmaitych kobiet.

---

Ogółem 42815 osób płci żeńskiej.

Razem 89448 dusz w całej Warszawie.

W roku 1781 liczone w mieście ogółem 3532 żydów.

Co zaś do Pragi, ta miała w roku 1787 ogólnie 655 dymów, a 6,695 mieszkańców płci obojój (1).

Starostwo warszawskie, którego w r. 1789 possessorem był Walenty Piętka Sobolewski, od Brühla w dniu 30 listopada 1785 nabyte i zupełnie już zabudowane. Na gruntach do starostwa należących były następne ulice, z których possessorowie czynsz opłacali: 1) Mazowiecka; 2) Królewska; 3) Twarda; 4) Grzybowska; 5) Żelazna; 6) Krochmalna; 7) Prosta; 8) Ceglana; 9) Ciepła; 10) Chłodna; 11) Elektoralna; 12) Wolska; 13) Wronia; 14) Łucka; 15) Chmielna. Summa ogólna z placów wynosiła 10,577 zł. 6 gr., ogółem zaś z całej Warszawy wraz z Grzybowem zł. 11,181 gr. 18. Podług tabelli lustracyi królewskiej w powiecie warszawskim znajdujących się, przez lustratorów od kommissyi tegoż powiatu wybranych, a w r. 1789 odprawionój, ułożona summa ogólnego dochodu wynosiła zł. 62,161 groszy 15 1/2 (2).

(1) Obliczenie to podług urzędowych akt sporządzone, wydrukowane jest w dziele pod tytułem: *Polens Ende, historisch, statistisch und geographisch beschrieben von Sirissa. Warschau, im Jahr 1773, 1793 und 1795. Oeffentlich bekannt gemacht 1797.* 8vo, p. 222—236.

(2) Księgi Lustracyjne nr. 124 w Arch. Kom. Rząd. Przychodów i Skarbu.

Przy schyłku roku 1788, w ciągu tak zwanego czteroletniego sejmu, kiedy i stanem miast dawnéj Polski zajmować się poczęto, Stara Warszawa mając natenczas prezydentem Jana Dekierta człowieka czynnego, światłego i nadzwyczaj do miasta przywiązanego, stanęła na czele interesu stanu miejskiego w całym kraju. Za powodem to i staraniem tegoż Dekierta zwrócono uwagę na zaniedbanie praw starożytnych, a z tego upadek miast wykazano. 'Onto w imieniu wszystkich jako umocowany plenipotent działając, starał się wszelkimi siłami wyrobić usunięcie miast od przemocy starostów, o porównanie z stanem szlacheckim, i o nadanie nowéj ustawy, któraby miasta upadłe podźwignąć była w stanie. Ile pracy, starań poniósł w tym celu Dekiert, zostaną nazawsze chlubném świadectwem w piśmiennictwie krajowém dotyczące téj rzeczy jego rozprawy. Zwątpiwszy atoli o doprowadzeniu zamiarów tych do skutku, zdrowiem i życiem przypłacił troskliwość swoje, przepowiedziawszy wprzód na piśmie ziszczoną przyszłość całego miasta (1). Owoce jednak jego pracy niezupełnie zaginęły; przed upływem bowiem tegoż roku wysilone starania Dekierta ziściły się, i mieszczanie odzyskali tak dalece swe dawne prawa, iż pierwsi magnaci polscy o przyjęcie do ich obywatelstwa starali się. Wtenczasto ustawa dnia 18 kwietnia 1791 r. zniosła znowu wszystkie jurydyki Warsza-

(1) Jan Dekiert umarł w kwiecie wieku dnia 4 października 1790 r. Ówczesne gazety warszawskie z dnia 6 i 9 października t. r. w osobnych dodatkach ogłosiły wiadomość o jego zgonie i wspaniałym pogrzebie, jaki mu miasto sprawiło. Powtórzył to toruński niemiecki Tygodnik (Thornische historische Nachrichten für das Juli 1790 nr. 80, 81), chlubne pochwały i wiele nowych szczegółów o życiu Dekierta dodając.

wy co do praw administracyi, ogłaszając je jedném miastem, które jednemu rządowi i jednej władzy sądowej podlegać miało; a stosując się do nowego prawa wewnętrznego urzędzenia miast w Koronie, podzielono Warszawę na zgromadzenia, które nie więcej jak pięćset kilkadziesiąt posesyjonatów składać miało, nie mniej zaś jak trzysta. Każdą część miasta składającą osobne zgromadzenie nazwano cyrkulem, a cyrkule podzielono na dozory, które nie mogły mieć mniej nad sto, a najwięcej nad dwustu posesyjonatów (1). W skutek tego urzędzenia, Warszawa miała 6 cyrkulów, a Praga 7 stanowiła. Nad każdym z takowych cyrkulów przełożono kommissarza policyi, który obowiązany był tak nad zewnętrznym jako i wewnętrznym porządkiem i stanem miasta czuwać. Wtedy do pilnowania spokojności w nocy i zapalania latarni, urządzona była straż nocna i patroliści z grzechotkami, którzy w ulicach swojego cyrkulu regularnie od zmroku aż do rannéj godziny grzechotali i ciągle przechodzić się z ulicy na ulicę musieli; w razie dostrzeżonego pożaru kommissarza policyi cyrkulu swojego zawiadamiali, i przez ciągłe a mocne grzechotanie, budzili stróżów pałacowych lub domowych, aby udawali się do miejsca wszczętego pożaru z sikawkami, bosakami i drabinami. Patrolistów takich było w każdym cyrkule po trzech.

Ludność Warszawy w r. 1792 do 12000, snadź napływem przez sejm ówczesny sprawionym, powiększyła się. Atoli wypadki, które niebawem nastąpiły i losy całego kraju rozwiązały, wstrzymały ten postęp i zakończyły razem dzieje Warszawy pod panowaniem Stanisława Augusta.

(1) Ustawa 1791, tit. Urządzenie miast w Koronie

Widzieliśmy tedy, iż niebrakło tutejszemu miastu na urządzeniach, ustawach i tym podobnych w teoryi porządkach. Uniwersałów, projektów drukowanych w tym celu, po zbiorach bibliotecznych dość znaczna jest liczba; w wykonanie przecież ani połowę nie weszło, a nawet dobrze rozpoczęte przez niedbałość lub inne okoliczności później zaniechano. Podług świadectw najbezsronniejszych zagranicznych podróżników Francuzów, Anglików i Niemców, równie jako i współczesnych miejscowych broszur, Warszawa, jak pisze Anglik Wiliam Coxe, w roku 1783 była nadzwyczaj źle brukowaną, brudną i smutną miała postać, przedstawiając dziwną sprzeczność bogactwa z ubóstwem, zbytku z nędzą. Ulice dość szerokie, lecz niegodziwie brukowane i błotniste co niemiara; kościoły i publiczne gmachy wielkie i wspaniałe, lecz większa część domów w mieście były drewniane (1). To samo powtarza Francuz Fortia de Piles w swojej podróży po Polsce w roku 1790—1792 odbytej, dodając, iż bruki w takim były stanie, że jeździć spiesznie powozem nie było można; ulice nieoświetlone, na Wiśle żadnego mostu tylko nędzny przewóz, który komunikacją utrudniał (2). Dokładniejszy od nich Niemiec Sirissa, taki nam daje opis tutejszego miasta: „Obwód Warszawy, są jego słowa, jest nadzwyczaj wielki z powodu bardzo rozległych ogrodów, pustych placów, a nawet pól, między którymi rozwlekłe i mało zabudowane przedmieścia mieszczą się. Jak wszystkie wielkie miasta, dzieli się na wiele części, które razem połączone, półkole

(1) Travels in to Poland, Russia, Sweden, and Danemark interspersed with historical relations and political inquiries by Wiliam Coxe, 2 vol. London 1784, 4to.

(2) Voyage de deux Français en Allemagne, Danemarc, Suede Russie et Pologne, faite en 1790—1792, Paris 1796, 8vo.

formują, i w téj postaci całe miasto leży na płaszczyźnie ku Wiśle prowadzącej. Rzeka ta ma wiele wysp, zaś niedaleko zamku, Warszawę z miasteczkiem Pragą za pomocą mostu na łyżwach łączy. Dziwić się wypada, pisze dalej ten cudzoziemiec, owemu mnóstwu gustownych a wspaniale wybudowanych tutejszych pałaców, które w najlepszych częściach miasta jeden około drugiego blisko siebie mieszczą się. Pałace te są wielkie, trwałe i ozdobne; wnętrza ich odpowiadają zupełnie zewnątrz: wspaniałe ogrody, liczne przyozdobienia sal i pokojów, bogate meble, zbiory obrazów, rycin i t. p. o zamóżności i upodobaniu w naukach wyzwolonych tutejszych mieszkańców przekonywają. Ponieważ miejsca bynajmniej tutaj nie oszczędzają, zwyczajem więc jest w budowaniu gmachów w Warszawie dawać im obszerne zamknięte dziedzińce, które nadzwyczaj do pomieszczenia powozów lub składu towarów są wygodne. Oprócz właściwych pałaców albo mieszkań wielkich panów, odznaczają się także pod względem budowy niektóre kościoły i klasztory, np. Pijarów i wiele gmachów rządowych, np. koszary kadeckie i wiele innych. Wprawdzie najpiękniejsze z tych gmachów dopiero przed trzydziestu laty są wzniesione; ogólnie bowiem od wstąpienia na tron terażniejszego króla, epoka ulepszeń i upiększeń tego miasta poczyna się. Most nawet na Wiśle dopiero od roku 1775 istnieje, poprzednio zaś przewozem go zastępowano. Lecz właśnie z tego powodu iż te gmachy są tak nowe, powierzchowność ich do najlepszego i najwytworniejszego nowożytnego smaku jest zastosowaną. Wprawdzie, można tutaj widzieć obok pysznego pałacu, tulącą się do niego nędzną drewnianą chatę i nikczemną lepiankę, lub chylący się ze



starości drewniany domek; wszelako wypadek ten rzadki jest we właściwém mieście, wtedy gdy po przedmieściach, które, jakośmy wyżej mówili, rozwlekły są i w sposobie wiejskim pobudowane, wiele jeszcze drewnianych domów znaleźć można. Byłto bowiem starożytny polski obyczaj, w tym sposobie domy budować; niekoniecznie aby ich do tego potrzeba zmuszała, nie rzadko bowiem w podobnego rodzaju domach rzemieślników i mieszczan tutejszych, znaleźć można wygody i dostatki życia, o których w pięknie murowanych domach wielkich miast niemieckich, ani wyobrażenia nie mają. Dodać tu także winniśmy, iż podobny stan rzeczy powoli w Warszawie znika; zabroniono jest bowiem prawem stawiać domy nowe drewniane, lub stare odnawiać: dlatego téż wiele jest teraz ulic nowych, które są zupełnie murowanemi domami zabudowane, a panowie tutejsi i bogaci kupcy nawet, ze spekulacji murują takowe domy, aby je potem rzemieślnikom korzystnie wynajmować. I tak, od roku 1767 w lat kilka powstało około dwadzieścia ulic zupełnie nowych, a jednocześnie przeszło 200 murowanych domów wzniesiono."

„Znajduje się wprawdzie w Warszawie wiele niebrukowanych ulic, ale to tylko na przedmieściach; co prawie we wszystkich miastach niemieckich zdarza się. Zresztą inne ulice są szerokie, proste i piękne, po których dniem i nocą spokojnie chodzić można, a kłótni i hałasów po nich nigdy nie słyhać. Warszawa dzieli się właściwie na Starą i Nową z przedmieściami Krakowskiem, Alexandryą i Leszmem, między któremi pierwsza najciaśniejszą i najsmutniejszą jest częścią; inne przedmieścia jakoto: Nowy-Świat, Wielopole, Bieliny, Solec, i Grzybów, sąto pojedyncze ulice, które od dawnego

miasta murem i bramami były niegdyś oddzielone. Teraz wokoło całej Warszawy idzie tylko wał, a rogatki za bramy służą. W ogóle ma to miasto 197 ulic, 32 kościołów, 80 pałaców, a 20 wielkich domów, które także pałacami mogłyby nazywać się. Publicznych placów rzeczywiście nie masz tu ani jednego, bo za takowe uważać nie można te, które tutaj placami nazywają, np. przed kommissją solną, przed zamkiem gdzie stoi posąg Zygmunta III i przy wstępie do Saskiego ogrodu. Jedno tylko Stare-Miasto posiada rynek albo plac targowy, który chociaż przez stojący na środku ratusz bardzo jest zwężony, wszelako w każdej porze czasu jest miejscem najbardziej tutaj ożywioném."

Nakoniec dajemy tu w treści wyjątek z obszernego i dokładnego opisu Warszawy przez F. Schultz Inffantczyka, który obznajmiony dobrze z wszystkimi stolicami Europy, zwiedzał tutejsze miasto w latach 1792 i 1793 (1). Przyznaje on, iż Warszawa od wjazdu z Pragi tak wspaniale przedstawia się, jak żadne miasto w Europie. „Podług planu, pisze on, który za najlepszy tu uważają, bo jest najnowszy (2), ma wprawdzie 197 ulic, z których atoli ledwo dziesięć porządnych, pięćdziesiąt znośnych, a reszta wcale złych. Większa część tych ulic jeżeli nie całkiem, to chociaż środkiem są brukowane, ale bruk najgorzej utrzymywany, a porządek około nich nawet wspomnienia

(1) Opis ten znajduje się w dziele p. t. „Reise eines Liffänders von Riga nach Warschau durch Südproussen, über Breslau, Dresden, Karlsbad etc.” 3 Theilen. Berlin, 1793, 8vo.

(2) Wspomniony plan wyszedł w Dreźnie nakładem warszawskiego księgarza Michała Grölla, pod tytułem: „Plan Ichnographique de la Ville de Varsovie, Residence des Rois de Pologne” sporządzony w r. 1779 przez majora Hennequin. Ma on tylko 6 cali długości i tyleż szerokości.

niegodny. Właściwie nie ma tu placów rynkowych, a zwłaszcza na przedmieściach, gdzie wszystko na ulicach sprzedaje się. Przed kościołem Sgo Krzyża dostać można świeżych solonych ryb, owoców, chleba, jarzyn ogrodowych, równie jako i mięsa; nawet gotowanych pokarmów lub w ciągle smażących rynkach kiszek i kiełbas. Przy wejściu do Starego Miasta, na całym Krakowskiem-Przedmieściu sprzedają tym sposobem cytryny, pomarańcze i inne zagraniczne owoce. W okolicy pomiędzy Starém i Nowém Miastem, gotują i smażą podobnie na ulicy i podają swoim gościom pokarmy bez talerzy, nożów i widelców, zostawiając im do woli, jakim sposobem kto pożywać potrafi. Tu także mają miejsce owi przekupnie, których pospolicie w Wiedniu *Geisler* zowią, a którzy suche jarzyny, sól, sér, masło, jaja i t. p. pod gołym niebem sprzedają. Po obu stronach Długiej ulicy mieszczą się przekupki z owocami i tandeciarze, którzy tutaj także i stare książki i ryciny sprzedają. Dalej na tak zwaném Tłómaczkiem, jest siedlisko żydów, a ci jak wszędzie i staremi i nowymi towarami handlują; ztąd téż sklepy ich, mianowicie na Senatorskiej ulicy, kupującymi zawsze są napelnione."

„Mieszkańcy Warszawy mają swoją odrębną cechę, która ich od innych wielkich miast w Europie odznacza. Już sam podwójny kształt ubioru sprawia tu pstroczną, a trzeci z dwóch poprzednich złożony, jeszcze bardziej ją pomnaża. Od najuboższego bowiem wyrobnika do średniego stanu mieszczanina noszą się tutaj w znanym krajowym stroju, ci tylko co nie są z pochodzenia Polacy, chodzą w zwyczajnym francuzkim ubiorze, którego tutaj niemieckim zowią. Pierwsi zatém, noszą suknie podwójne, długie, czapkę czworograniastą w zi-

mie i w lecie, i wasy, które ich od Niemców różnią. Drudzy, szczególnie ze średniej klasy po niemiecku ubierający się, noszą go jeszcze w staroświeckim kroju z długimi stanami, krótkimi połami i wielkimi płaskimi metalowymi guzikami. Trzeci ubiór o którym wyżej wspomniałem, stanowiący niejako przejście z jednego do drugiego, jest mieszaniną polskiego z niemieckim, który najdziwniej wygląda; spotkać bowiem można osoby w czerwonych lub żółtych bótach ubranych we frak niemiecki, lub w czworograniastej czapce na głowie i z harcapem z tyłu, owdzie w okrągłym lub trójgraniastym kapeluszu z wąsami, innych w długich polskich sukniach, w trzewikach i pończochach. Stroje kobiece ogólnie stosują się do mody, jaka jest we wszystkich wielkich miastach. Żebracy daleko tu mizerniej są ubrani jak gdzieindziej; długie albowiem krajowe suknie pomnażają bardziej ich łachmany, w tysiączne łaty zszywane, które obok długiej brody, rudych włosów i form istotnie lub zmyślonym sposobem przekształconych, straszliwą im nadają postać. Bezpośrednio za nimi co do powierzchności idą żydzi, których dość znaczna liczba w Warszawie znajduje się; ubiór ich w lecie jest znana długa, czarna suknia po kostki, która stosownie do możliwości noszącego, mniej lub więcej jest brudną i podartą. W zimie noszą długie lisie kożuchy. Kobiety ich ubierają się w szerokie gorsety i kaftaniki galonami obszywane, i w podobnie ozdobione jedwabne napiersniki, które im cały gors aż po pas zakrywają, tak, iż zdaje się, że cała ich postać tylko z jednej głowy i dalszej części ciała składa się. Dodajmy do tego mieszaninę ubiorów, którą na ulicach Warszawy widzieć można; tu i owdzie snujących się różnej barwy mnichów, żołnierzy,

i sług w rozmaitej liberyi, a między niemi wykwintnie ubraną możniejszą klasę mieszkańców, a będziemy mieli wyobrażenie o tutejszej pod tym względem różnaitości. Dalej odznacza się tu publiczność konno i w powozach, która mianowicie w czasie sejmów jest tak świetną, jakiej nigdzie w wielkich miastach widzieć nie można. Tu bowiem od zamożniejszego kupca począwszy, nikt piechotą nie chodzi, zwłaszcza kobiety, chyba tylko podczas najpiękniejszej pory roku, i to na niedalekich przechadzkach; ztąd nigdzie nie ma tyle ruchu powozów ile w Warszawie, nadewszystko w czasie publicznych zjazdów i na wielkich balach można ujrzyć w jednym dniu więcej powozów, niż przez cały miesiąc w Berlinie. To samo uważać można z jeźdzcami na koniu; nie masz tu albowiem żadnego porządniejszego domu, gdzieby obok powozu, wierzchowych koni nie utrzymywano, ztąd tyle jest prawie jeźdzców, co i w powozach jeżdżących. Gdy zaś nadto każdy możny lub mający kredyt jeździec nie obchodzi się bez jednego lub dwóch masztalerzy, łatwo tedy wyobrazić sobie można, jak to wszystko hałas na ulicach Warszawy pomnaża. Bez wątpienia Paryż, Londyn, Neapol i Wiedeń są najhałaśliwsze miasta w Europie; przekonałem się jednak, iż Warszawianie pod tym względem im nie ustępują.”

„Co do stanu przemysłowego w Warszawie, wszyscy tutaj począwszy od kupca, aż do najlichszego rzemieślnika, tylko na potrzeby i marnotrawstwo bogatych liczy i ogólnie z przyjezdnych zarabia. Dla zagranicy nie robią tutaj nic, i nikt też o nic tutaj nie udaje się; lecz i dla polskich prowincyj bardzo mało towarów ztąd wysyłają. Wprawdzie, szlachta mieszkająca w swoich dobrach, wszystko co do wygody lub przepychu potrzebuje

zład sobie sprowadza; ale rzeczy te nie są krajowego wyrobu, lecz pochodzą z Niemiec, Francji i Anglii, zład kupcy warszawscy je sprowadzają, wielka zaś liczba krajowych rzemieślników żadnego zład nie ma pożytku. A zatém, tego rodzaju mieszkańcy Warszawy zawsze są prawie ubodzy, i większa część siodlarzy, kowali, stolarzy, murarzy, cieśli, krawców, szewców i t. p. za lichą zapłatą zaledwie na codzienne i to niezbędne potrzeby do życia zarobić sobie potrafią. Lecz i na tym ograniczonym sposobie zarobkowania, możniejsi tutejsi kupcy jeszcze im przeszkadzają, mianowicie czterej: Prot Potocki, Ressler, Jaziewicz i Hempel, którzy obszerne i nadzwyczaj bogate sklepy z towarami angielskimi i francuzkimi utrzymują. W sklepach tych dostać można najmodniejszych powozów i piórka do zębów, wszystkich sprzętów gospodarskich i pugilaresów, żyrandoli i okularów, igły i śpilki, rzędy na konie i łańcuszki do zegarków, chustki, muśliny, cholewy i podeszwy, także papier listowy i angielskie piwo zarazem sprzedają. U nich więc co tylko do dobrego tonu należy wszystko kupują, a chociaż cena tych rzeczy do niewierzenia jest drogą i przesadzoną, krajowi przecież artyści i rzemieślnicy najbardziej usposobieni, pożywienia i zachęty nie mają.”

„Jedynym wyjątkiem z tego jest przedsiębiorca tutejszych fabryk powozów nazwiskiem Dangel, który wielką liczbę krajowców w swoim zakładzie zatrudnia. Połączył on bowiem w swoich wielkich domach i podwórzach na Senatorskiej (dziś kamienica pod nr. 468) i na Elektoralnej ulicy (dziś nr. 750 i 751) pracownie wszystkich artystów i rzemieślników, których do wystawienia powozu potrzebuje, jakoto: stelmachów, siodlarzy, ko-

wali, lakierników, tasiemkarzy, farbiarzy, pasamoni-  
ków i t. d. tak, iż w razie gdy kupujący w bogatym skła-  
dzie gotowych powozów tegoż fabrykanta, nie znajdzie  
do swego upodobania, takowy w niedouwierzenia kró-  
tkim czasie mu wystawią. Tenże Dangel otrzymuje  
z Londynu wzory co tylko nowego pod tym względem  
pokaże się lub wynalezioném zostaje, i to natychmiast  
w swoim zakładzie zaprowadza; wprawdzie sprowadza  
on także i niektóre potrzebne mu ztamtąd materiały,  
ale większą część jednak sami tu wystarczają. Ceny jego  
powozów zaiste mało są od angielskich niższe, lecz gdy  
co do trwałości i ozdobności im wyrównywają, a nadto  
tutejsi panowie biorą je u niego na kredyt, rzeczony  
więc przedsiębiorca znacznego już majątku dorobił się.  
W całych Niemczech nie masz podobnego zakładu, ja-  
kim jest Dangla; nawet słowna fabryka powozów Kauf-  
mana w Wiedniu, w porównaniu z nią jest nic niezna-  
czącą, chociaż jój wyroby są tak gustowne i trwałe,  
a cena prawie o trzecią część niższą."

„W mieście tedy, gdzie sposoby zarobkowania i utrzy-  
mania mieszkańców nie z krajowej pracy pochodzą,  
w którém nabywcy z własnych wyrobów nie są zadowole-  
ni, nie może być inaczej jak tylko wszystko drogie.  
Jakoż nawet pierwsze potrzeby, bez których i najuboż-  
szy mieszkaniec obejść się nie może, mianowicie chleb,  
mięso, sól, drzewo, piwo, światło i mieszkanie, za-  
równo dla wszystkich są tutaj drogie, chociaż kraj, któ-  
rego prowincye tak w zboże są zamożne, powinienby  
dla swoich dzieci po niczemu chleb dostarczać; jednak  
właśnie przeciwnie tu dzieje się i droższy on jest o wie-  
le niż gdzieindziej. W najnieżyzniejszych stronach monar-  
chii pruskiej chleb jest większy i lepszy niż tu w samym

środku najobfitszego kraju. Z jakich to przyczyn dzieje się, łatwo odgadnąć można, a między temi główne są: brak dozoru nad ogólnym wywozem, niebacność, na nadużycia pojedynczych kupców zboża i piekarzy po miastach."

„Właściciele gruntowi bez przeczności sprzedają wszystko zboże, które im od własnej potrzeby zbywa; jedna prowincya nie dowiaduje się, czyli drugiej na niem brakuje. Niech tylko obcy jeden złoty na korcu od krajowca postąpi, kupi wszystko co tylko jest do sprzedania; i tak: gdy Ryga, Memel, Gdańsk drożyznie i brakowi w południowych krajach zaradzają, szlachta polska z własnej woli w swoim kraju ją czyni. Ogromne też są tutaj nadużycia handlujących zbożem, a to, które piekarze, piwowary i gorzelnicy potrzebują, niemniej drożyznę sprawia. Pod ich bowiem imieniem unikają oni bezkarnie ścisłego dozoru policyi i oburzenia mieszkańców, tedy wypiekają tutaj chleb jeszcze gorszy niż tego potrzeba, aby swój wydatek pokryć, częstokroć wydają chleb wtedy nawet mniejszy, gdy już na zbożu nigdzie nie brakuje. Wprawdzie mają piekarze w Warszawie pewne przepisy, co do wielkości i wagi pieczywa; ale kiedyż są one wydane lub odnawiane? do wyższej lub niższej ceny zboża zastosowane? A gdyby i to już było, któż nad wykonaniem tych przepisów czuwa, któregooby interesowni pozyskać nie potrafili? Dlatego też piekarze warszawscy postępują sobie pod tym względem jak im się podoba, i stosują się do swój woli lub własnego interesu. Zresztą większa ich część tak jak i w innych polskich miastach, są rodem Niemcy; z tego więc powodu skład i kształt chleba w Warszawie, nie ma odrębnej cechy tak jak w innych stolicach np. Paryżu, Londynie i t. d."



„Przytoczone wyżej powody rozciągają się także i do innych przedmiotów, sprawiając, iż mięso, masło, światło, skóry, przy tak licznej i pięknej hodowli bydła, drzewo przy tylu niezmiernych lasach, sól pomimo znacznego z Prus i Galicyi dowozu, nadzwyczaj są drogie.”

„Co do drzewa, wprawdzie Warszawa nieco od wielkich krajowych lasów jest oddaloną; lecz nawet z bliższych stron dowóz ma utrudniony, gdyż furmanki i wozy w mizernym tu są stanie i niesłychanie kosztują, a zatem na potrzeby miasta najwięcej Wisłą drzewo do opału sprowadzają. Dostarczają go tutaj nie w szczapach i sążniach, lecz w całych klocach, tak długich i wielkich, jak całe drzewa, które pojedynczo stosownie do jego rodzaju i dobroci są sprzedawane. W czasie gdy spław jego nastaje, ogromne kupy takich kłoców leżą na ulicach Warszawy, tak, iż nieobznajmiony cudzoziemiec sądzi, iż we wszystkich częściach miasta drzewo do budowy nowych pałaców i domów jest przygotowane; ale za zbliżeniem się zimy, kłocce popiłowane i porąbane znikają. Co do ceny opału w Warszawie czytelnik może z tego przykładu wziąć miarę, iż w zimie 1792 roku, sam jedną wiązkę olszowego drzewa, która na dwa razy wystarczyła, trzy złote polskie płaciłem; wprawdzie, byłoto podczas sejmu i w hotelu wcale nie tanim, ale przypuściwszy, iż cena ta dwa razy od zwyczajnej była droższą, to i tak niesłychanie drzewo tu cenią, a dla biednych w czasie wielkich mrozów, jest ono niedostępne i dlatego też tak ich tu wiele marznie.”

„Sól otrzymuje Warszawa po większej części z Prus i Galicyi, ponieważ w kraju znajdująca się nie wystarcza. Mianowicie znaczne tu są składy drobnej białej pruskiej soli, którą po stałej taniiej cenie sprzedają; gdy atoli czą-

stkowo kupować ją tam nie można, przeto ubodzy z drugiej ręki od przekupniów nabywając, nie mają ztąd żadułej korzyści, bo ci dają im mniejszą miarę i zyski niewzwykle ciągną."

„Ponieważ klimat Warszawy jest prawie ten sam co i Drezna, nie brakuje więc tutejszym okolicom na wybornych owocach; jednakże najlepsze dowożą z południowych prowincyj, a te z powodu odległości miejsca bynajmniej nie są tanie. Melony hodowane są w Warszawie, również w ogrodach w mieście i okolicach znaczna liczba cytryn i pomarańcz; te jednak ogólniej potrzebie nie wystarczają, lecz przez Gdańsk z Portugalii i Hiszpanii są dowożone. Jarzyny i wszelkie ogrodowizny wcale są niezłe, lecz stosunkowo jest ich zamało i zbyt cennie drogie."

„Towary fabryczne i rękodzielne, jakoto: sukna, rzeczy jedwabne, muśliny i t. p. otrzymuje Warszawa z Anglii i Francyi; płótna i materje niciane, bawełniane i wełniane ze Szląska i Saxonii; wyroby ze stali, drzewa, skóry, szkła i wszystkie galanteryjne i zbytkowe rzeczy więciej z Anglii niż z Francyi. Wina wszelkiego rodzaju mianowicie z Francyi i Węgier dowożą, chociaż i na reńskich i hiszpańskich wcale nie brakuje. Prawie wszystkie te przedmioty z Gdańska tutaj przychodzą, ale koszta przewozu i cło sprawia, iż nie mogą one być tanie; zwłaszcza gdy tutejsi kupcy, za najmniejszym poniesionym kosztem, dwa razy tyle na każdym łokciu i miarze cenę ich podnoszą."

„Nie mogę tu przepomnieć także aby nie wymienić ceny niektórych rzeczy, jakie były za moich czasów w Warszawie. Zaczynam od niezbędnych. I tak: obiad przy gospodarskim stole, z rosółu, jarzyny, pieczeni z jakim

dotąd składający się, kosztował w zimie 1792 roku trzy złote polskie; obiad lepszego rodzaju z dwoma daniami więcej, cztery do pięciu złotych; najlepszy z sześciu lub siedmiu dań składający się, z wetami, sześć do dziesięciu złotych. Teraz nawet gdy już po sejmie znaczna liczba osób przyjezdnych miasto opuściła, obiady takowe tylko o pół albo cały złoty są tańsze. Zresztą, najbiędniejszego nawet stanu człowiek nie dostanie tutaj w garnkuchniach tańszego obiadu nad jeden lub półtora złotego."

„Zwyczajne stołowe czerwone wino Medoc albo Taveler, płaci się tutaj kwarta trzy do czterech złotych; burgundzkie najpośledniejsze siedem, reńskie średniej drobi ośm, węgierskie stołowe od dwóch do czterech. Najlepsze gatunki od 10, 12, 16 aż do 24 i 30 złotych dochodzą; szampańskie od dziesięciu do dwunastu złotych płacone bywa. Butelkę angielskiego piwa białego lub czarnego, płacą od trzech do czterech złotych. Saskie bardzo przyjemne białe piwo, kosztuje butelka półzłotego. Inne piwa w Warszawie za ledwie pić można, a i te przecież stosunkowo są drogie; dlatego też proszą ludzie za napój tylko wodę i wódkę używają."

„Sukno i inne cienkie lub grubsze materye do ubioru, płacą od 25 do 30 złp. procentu wyżej niż w sąsiednich krajach. Podobnie i towary skórzane. Para trzewików kosztuje tutaj dziesięć, dwanaście do szesnastu złotych, a para butów dwa, trzy, aż do czterech dukatów."

„Idzie zatem naturalnie, iż do ceny wymienionych przedmiotów, stosuje się płaca czasu, rąk i usługi. Najlichszy tutaj najemnik otrzymuje dziennie dwa złote, murarz i cieśla cztery, najety służący pięć do sześciu. Jeden złoty najmniejszą jest nagrodą, który za posyłkę lub za

co bądź się daje. Krawiec bierze za uszycie fraka 12 złotych, spodni 6, kamizelki 4 złote. Fryzyer za codzienne przyczesywanie włosów, trzy do cztery dukaty miesięcznie płaci się. Utrzymujący powozy dziennie za remizę dukat otrzymują; nadto dwa złote woźnica na wódkę. Szczegóły te zdaje mi się iż są dostateczne, aby mieć wyobrażenie o drogości wszystkiego w Warszawie. W ogólności można śmiało utrzymywać, iż w Prusach, Saxonii i Austrii, z pół dukatem można daleko dalej zająć niż tutaj z całym. Dodajmy do tego, iż przy tak przesadzonej cenie wszystkiego, nie masz tu żadnego dozoru policyi, któraby wzbraniała takową podług upodobania jeszcze wyżej podnosić; na czém mianowicie cudzoziemcy najbardziej cierpią, kiedy wpadną w chciwe ręce niesumiennego gospodarza lub najemnego służącego. Ponieważ zaś nie masz tu żadnych pod tym względem policyjnych przepisów, a ci jak się to najczęściej zdarza języka krajowego wcale nie rozumieją, można domyślić się, jak ich tu bez żadnej litości zdięrają."

„Właściwie mało jest w Warszawie domów zajezdnych, a z pomiędzy nich trzy albo cztery prawdziwie porządnych. Pochodzi to zapewne ztąd, iż w czasie sejmów całe miasto jest wtedy jednym zajezdnym domem. Na ulicach bowiem, które niedaleko od zamku położone, są wszelkiego rodzaju mieszkania do wynajęcia, tak dla pojedynczej osoby, jako i dla całej familii, nawet książęcej, któraby wielki dom prowadzić tutaj chciała. Dla tych ostatnich znajdują się tu całe pałace ze wszystkimi przynależnościami, których właściciel albo do Warszawy nie przyjedzie, albo drugi podobny pałac posiada, albo jeszcze do wystąpienia na świat zamłody. Najem podobnych mniejszych lub większych, skromnych

lub wspaniałych domów, dla pojedynczej osoby lub dla wielu, kosztuje miesięcznie od pięciu do stu dukatów i więcej. We właściwych zajezdnych domach, stosunkowo jeszcze jest drożej."

„Najlepszy hotel w Warszawie znajduje się na Tłomackim (gdzie dziś posesye od nr. 599 do 600 lit. a, b, c, d, e, f,) pod orłem. Tłomackie jestto dwór obszerny, czysto utrzymywany i dwiema okazalemi studniami ozdobny, który zawiera w sobie pięć do sześciu zupełnie nowych, rozległych i wiele małych budynków. Dwór ten niezbyt dawno jest wzniesiony przez Karola Schultza zięcia Piotra Teppera tutejszego bankiera, mającego szczególne upodobanie w stawianiu domów, których już przeszło siedm-dziesiąt w Warszawie, albo na nowo zupełnie wystawił, lub też z dawniejszych przebudował i takowe wynajmuje. Hotel pod orłem zajmuje średni budynek mający pozór pałacu, a stojący na wstępie jak się od ulicy Bielańskiej wchodzi. Utrzymuje go niejaki Polz Niemiec, wraz z traktyernią; odznacza się zaś od innych obszernością pokoiów, otwartem i wesołem położeniem, także ze swojej czystości, ale wcale nie z taniości. Najęcie pokoi kosztuje w nim od pięciu do sześćdziesięciu dukatów miesięcznie. Obiad płaci się od czterech do szesnastu złotych i więcej, jeżeli kto coś szczególnego żąda, albo do swoich pokoi zanosić każe. W tymto hotelu kosztowało mię w zimie 1792 roku najęcie trzech pokoi 15 dukatów miesięcznie, a teraz płacę za dwa, tygodniowo dwa dukaty. Obiad składający się z rosółu, sztuki mięsa, jarzyny, pieczystego i wetów, cztery złote; kolacya o jedno tylko danie mniejsza, trzy złote kosztowała. Można tu także dostać powozów do wynajęcia na miasto

lub w okolicy. Meble, pościel i t. p. czysta i porządna, wina dobre chociaż drogie, woda czysta i smaczna, taka o jaką trudno w Warszawie. Bezpieczeństwo i spokojność wszelaka, o dziesiątej bowiem godzinie regularnie w wieczór zamykają tu bramy, i wtedy jestto część może najspokojniejsza w całej Warszawie; gdzieindziej bowiem do drugiej i trzeciej godziny po północy, turkot powozów niesłychany hałas sprawia."

„Drugim w dobroci domem zajezdny jest hotel Polski (*Hôtel de Pologne*) na Senatorskiej ulicy. Utrzymuje go także Niemiec, dom to nowy; cena stołu prawie ta sama z tą różnicą, iż nie ma wspólnej sali jadalnej, lecz każdemu do swoich pokoi zosobna przynoszą. Stancye są mniejsze niż w pierwszym; zato można je i na jeden dzień, a nawet i na jedną noc wynajmować. Zresztą, zaleca się on także i swoim położeniem, bo w samym środku miasta, blisko zamku i poczty; tylko trzeba do hałasu ulicznego przyzwyczaić się i do brudów w okolicy; naokoło bowiem niego, sami prawie niechlujni żydzi mieszkają”.

„Trzecim domem zajezdny są gmachy w Marywili na ten cel przeznaczone, gdzie obok klasztoru panien Kanoniczek, ogrodu i licznych sklepów kupców chrześcian i żydów, są jeszcze pokoje, które przyjezdnym wynajmują. Szczególny bo to gmach w Warszawie; czego tu dostać nie można, i kto się tu nie mieści! Od skromnych i przyzwoitych Kanoniczek, do dam wątpliwiej obyczajności, byle pozory były zachowane wszystko tu się gędzi. Traktyernie i księgarnie, artyści i rzemieślnicy, tandeciarze i bankiery, wszyscy razem mieszkają. Bardzo rzadko w całym tym gmachu, który do małego miasteczka jest podobny, można znaleźć stałe mieszkania niewynajęte,

bo te są w całej Warszawie tutaj najtańsze; nawet sklepy w podziemiach zawsze są od żydów zajęte.”

„Niegdyś dom gościnny w Marywilu był tylko jedynym w Warszawie, a ztąd i najlepszym; lecz od czasu jak powstały dwa o których wyżej wspomniałem, tutejszy wiele stracił i do trzeciego rzędu spaść musiał. Jest jeszcze czwarty niezgorszy hotel, który niemieckim zowią (*Hôtel d'Allemagne*) na Długiej ulicy, w którym można znaleźć porządne mieszkanie; pomimo to jest on tylko od furmanów, wędrownych rzemieślników i innych niezamożnych podróżnych uczęszczany.”

„Co do bezpieczeństwa osobistego w Warszawie dla obcych i tutejszych, ustanowieni byli nocni stróże miejscy po wszystkich ulicach i patrole konne. Porządek ten tém bardziej w Warszawie jest konieczny, gdy dotąd prawie wszystkie ulice jeszcze nie są oświetlone. Domy już są teraz policzbowane, a gospodarze obowiązani byli swoich lokatorów w policji meldować. Niektóre z tych i tym podobnych urzędzeń, były wprowadzie już w roku 1792 w zaniedbaniu, lecz teraz zupełnie wszystkie są zaniechane. Żebracy na nowo tłumami po ulicach snują się i przedsięnia kościelne zalegają. Nie masz już stróżów nocnych i patroli, policya nie dowiaduje się o obcych na krótki lub dłuższy czas do miasta przybyłych; zatem zniknęło tu wszelkie bezpieczeństwo publiczne, kradzieże codziennie pomnażają się, a i morderstwa już się zdarzają. Co to dalej z tego będzie, nie wiadomo.”

Tak opisują Warszawę pod panowaniem Stanisława Augusta cudzoziemcy, umyślnie czterech z różnych narodów wybrani, którzy nam najbezsronniejszemi być zdawali się. Posłuchajmy teraz opisu współczesnych krajowców, tych, co z goryczą lecz prawdę głosić nie wahali się.

„W mieście rozległém jak jest Warszawa, pisze autor jednej broszury drukowanej w r. 1791, gdzie obywatele od kilkudziesięciu lat brukowe opłacają, w bezdenném przecież błocie tonąć muszą. Miasto nasze ma pewny a znaczny dochód, lecz zamiast na bruki i potrzebniejsze porządki, traci go na festyny i illuminacye ratusza, które kilkadziesiąt tysięcy kosztują; wtedy, gdy na ulicy Nowogrodzkiej, Smoczój, Rybackiej i innych nie brnąć, ale pływać po błocie można, chociaż i tam ludzie mieszkają i podatki płacą. Jaki tu u nas porządek, co za dozór! Każdy z przyjeżdżających jak gdyby był panem Warszawy, staje gdzie mu się podoba wśród ulicy, nie uważając, że nawet przejść nie ma którejdy. Już nie było ani jednej szybki w oknach pałacu dawnym Pocięjowskim w roku zaprzeszłym, gdy policya myśleć dopiero poczyniała o uspokojeniu owych swywołnych ludzi (1). Oświelenia ulic nie mamy prawie żadnego, bo czyto podobna, aby jeden strażnik  $\frac{1}{4}$  część Warszawy codziennie obszedł, aby dopilnował światła, aby nawet trafił wszędzie wśród ciemności? Zapalenie latarni nie od woli każdego partykularnego jak dotąd powinno zależeć, który wychodząc zaświecać, upatruje pierwój strażnika, a nie widząc go wraca się; ale jednego czasu dobrze oznaczonego, od takowych dozorców dependować powinno. Nie masz u nas urzędzeń targowych, a obok sklepów bogatych, stoją stragany i daszki niższe i wyższe jak straszydła wyglądające. Od domu naprzykład ś. Ro-

(1) Wypadek ten zdarzył się w dniu 16 maja 1790; rabunek mieszkań żydowskich i sklepów trwał do późnej nocy. Wszystkie okna, drzwi, piece, zostały poniszczone, dachówki pozrywane, a w dziedzińcu będące studnie, sprzętami i towarami zapełniono. Obacz obszerny o tém opis w Thornische historische Nachrichten 1790 z maja.



cha za pałacem Kazimirowskim, aż do domu p. Niedzielskiego (gdzie dziś nr. 404), stoją teraz takie straszydła, wyższe i niższe stoły na ziemi, na stołeczkach, na kamieniach, a i tak do domu wniść nie można: ryby, mąka jabłka do sieni domów cisną się. Co za widok przykry w Warszawie, uważać jak rzeczy do jedzenia sprzedawane, napół są z błotem zmieszane! Koło Śgo Krzyża z rana w święto i niedzielę ani przejechać, ani przejść niepodobna; okno otworzywszy, w izbie fetorek salsysonów, albo zdechłych ryb do izby się ciśnie. Wóz stanie w takim miejscu, iż dla jego niegrzeczności łokieć w błoto brnąć potrzeba. Stangret JW. pana siedząc na angielskim koźle, krzyczy tylko umykaj; nie uważa czy zbryzga, czy przejedzie ubogiego piechura, który wśród ciemnej ulicy napadniony, nie wie gdzie ratować się (1).”

„Wyznać należy, pisze w swoich notatach tyle razy od nas przywodzony A. Magier, że za czasów Stanisława Augusta, Warszawa znacznie została w domy pomnożona; lecz jakież porównanie co do liczby domów kosztownych, przepysznych gmachów teraz stawianych, na które z zadziwieniem spoglądamy, szczególnie my, którzy pamiętamy, iż prócz okazałych pałaców, których naliczyć można było pięćdziesiąt w stolicy, uważając atoli, iż żaden z nich dokończonym zupełnie nie został, a po śmierci pana który go stawiał, następcy albo nie byli w stanie, albo zaniedbali wykonać pomysłu jego. Dawniej dla niewystarczających zasiłków piędziennych, ani skarbu publicznego, ani obywateli miasta, szczupłemi tylko i źle urządzonemi domami, kamienicami zwanemi, Warszawę zapychano. Widać wprawdzie było w nich pokoje dość

(1) Myśli patrzącego przez okno na ulicę. Warszawa, 1791, w 12ce.

porządne, posadzki woskowane, obicia, firanki jedwabne, piękne zwierciadła, obrazy, chińską lub japońską porcelanę i t. p.; ale jakież do tych pokojów wchód, kiedy wśród dnia ze świecą w rękę wychodzących gości po ciemnych, wązkich, brudnych schodach odprowadzać potrzeba było. Niedbałość właścicieli co do ochędóstwa swych domów, czyniła nieraz wstret do ich najęcia. Mniej bowiem natenczas uważano na czystość, wygodę, światło i zdrowość powietrza w pomieszkaniach, zajmując się jedynie wykwinnym strojem, doborem pachnidel, grą w karty i t. d. Zresztą, prócz wielu niedogodności, które uważać można było w stawianiu dawnych kamienic, w których wyszedłszy tylko z izby wszędzie było ciemno, brudno i ciasno, brakowało jeszcze mularzom sposobu do ich zewnętrznego odnowienia.”

Naostatek co do klęsk, które w tój epoce w Warszawie zdarzyły się, pamiętnym był wylew Wisły w 1774 roku, dnia 23 lipca, w którym woda pod samą gnojową górę podeszła, tamy i domy nadwiślańskie zalała, towary i różne inne rzeczy zatopiła, inne zaś mianowicie wielkie składy drzewa, z niezmierną wielu szkodą z sobą porwała (1).

Mniej szkodliwy był wylew w r. 1782 dnia 6 marca, w którym gdy Wisła puściła, nagle wezbrana woda lody połamała i niższe nadwiślane budowy częścią zalała, oraz niektóre kłody drzewa zerwała (2).

(1) Gazeta Warszawska z dnia 27 lipca 1774 r.

(2) Gazeta Warszawska z dnia 9 marca 1782 r.

(Dokończenie nastąpi).

OPIS BIEGU ŻYCIA

# FRANCISZKA ARMIŃSKIEGO

ZAŁOŻYCIELA I DYREKTORA

OBSEKWATORYUM ASTRONOMICZNEGO WARSZAWSKIEGO.

---

Stosownie do wielkich praw przyrodzenia, gdy wszystko prędko niknie pod działaniem silnej ręki czasu, słuszną i pożyteczną jest rzeczą, starać się o przedłużenie pamięci o ludziach, którzy naukową pracą usiłowali przyłożyć się do postępu ludzkości; zwłaszcza, gdy ich imię łączy się z zawsze pożyteczną wiadomością historyczną o oświacie krajowej.

Z téj wychodząc zasady, postanowiliśmy tutaj skreślić bieg życia przebieżonego w zawodzie najużyteczniejszym, najpracowitszym, i oraz najskromniejszym, jednego z najzasłużeńszych professorów ziemi naszej.

Franciszek Armiński (\*) urodził się dnia 2 października 1789 r. w parafii Tymbark w górach Karpackich; straciwszy w niemowlęctwie rodziców, najpierwsze początki wychowania odebrał w domu swego wuja. Czu-

(\*) Szczegóły niniejsze, wyjęte są z własnoręcznego opisu biegu życia ś. p. F. Armińskiego.

jąc niejako instynktowo potrzebę oświaty, która opuszczonęj sierocie miała kiedyś zapewnić znakomite miejsce w szacunku społecznym, i będąc jeszcze dzieckiem udał się do Krakowa, gdzie wśród najdziwaczniejszych, nawet trudnych do uwierzenia kolei losu, ukończył szkoły normalne; a dalej mogąc już znaleźć utrzymanie z ciężkiego grosza, uzbieranego dawaniami lekcji prywatnych, i gimnazyalne, oraz pierwszoletnie kursa filozofii i matematyki. Nie widząc możliwości wykształcenia się dalszego w Krakowie, zostającym naówczas pod rządem austriackim, udał się następnie Armiński do Warszawy za czasów b. Księstwa Warszawskiego, gdzie pozostając w domu ś. p. kasztelana Alexandra Linowskiego, kształcił się w różnych częściach matematyki, w czém znalazł pomoc tak w ówczasowęj szkole inżynierów, jako téż i w prywatnie branych lekcjach od p. Livet, ówczesnego profesora szkoły aplikacyjnęj.

Poznawszy tak pracowitym sposobem szerokie pole zakreślone przez naukę, skoro tylko uzbierane z dalszego dawania lekcji fundusze na to mu pozwoliły, udał się Armiński przy końcu r. 1811 własnym kosztem za granicę, gdzie postanowił za główny przedmiot obrać sobie astronomię. Sława imion naukowych europejskich, zwabiała wówczas młodzież poświęcającą się umiejętnościom do Paryża; tam téżto w roku 1812 przebywszy Niemcy przybył i Armiński. Wśród wszelkiego rodzaju naukowych ułatwień stolicy Francyi, prędko rozpoznał on, że chcąc przeniknąć najgłębsze tajniki Uranii, potrzeba rozległego zapasu rozmaitych wiadomości, a w szczególności wszystkich części matematyki; z usilnością przeto wiek młody znamionującą, z uszczerbkiem nawet swego zdrowia, zaczął pracować w naukach stycznych przygo-

towawczych, aby później korzystnie mógł zgłębić przedmiot główny.

Wszystkie jednak powyższe usiłowania, możeby nie wydały spodziewanego plonu, gdyby nie pełna ludzkości pomoc naukowa, przez uczonych francuzkich podana młodzieńcowi, którego jedyném prawem do tego była wytrwałość i praca. Często słyszeć można było wymawiane przez Armińskiego ze czcią, obok imienia Maliszewskiego, znakomitego jego wówczas w Paryżu opiekuna, imiona Delambra i Arago; którzyto ostatni z rzadką uprzejmością prowadzili jego kroki, po początkowo ślizkich ścieżkach głębokiej umiejętności. Tęto ich ludzkości, winien swe prędkie wykształcenie się Armiński; podobnie jak jeszcze jeden z pierwszych dzisiejszych astronomów, który niedawno wzruszającym sposobem w tej treści w pismach czasowych oświadczył, że przybywszy bez żadnych poleceń do Paryża dla kształcenia się, znalazł współczucia u uczonych francuzkich, iż tylko wyłącznie temu, winien jest swe dzisiejsze położenie naukowe (\*).

Obznajmiony z zapasem pomocniczych nauk, oddał się Armiński wyłącznie astronomii tak teoretycznej, jak praktycznej, mając dozwolony i ułatwiony przystęp do wielkiego obserwatorium paryzkiego; i na tego rodzaju zatrudnieniach, pod okiem znakomitych mężów nauki, zeszedł mu czas od r. 1812 do połowy r. 1815.

Teraz już zbliżyła się chwila, w której Armiński zbierać miał owoce z mozolnej swojej pracy. Uczeni astronomowie francuzcy, a później już jego przyjaciele, chcieli

(\*) Quetlet dyrektor obserwatorium astronomicznego w Brukseli, w piśmie czasowém L'Institut.

przyswoić czynność jego narodowi, u którego pobrał wykształcenie, i w tym celu wyrobili mu miejsce dyrektora obserwatorium astronomicznego na wyspie Francuzkiej (Isle de France). Zaiste pochlebneto było wezwanie, dające mu pierwszeństwo wśród tylu młodych zdolności ówczasowej Francji; jakoż przyjął je i przed udaniem się na nowe swoje przeznaczenie, przez parę miesięcy pobierał już płacę ze skarbu francuzkiego.

W tymto czasie, w nowo utworzonem królestwie Polskiem, rząd baczną zwrócił uwagę na publiczne oświecenie, a znakomite znaczeniem i światłem osoby wpływające na to postanowienie, namówiły Armińskiego do zrzczenia się w kraju obcym zaszczytnój posady w terażniejszości, i świetnych na przyszłość widoków; jedna z nich z własnych funduszów udzieliła mu zasiłku pieniężnego dla nieprzerywania prac naukowych, a wkrótce potem ówczasowa Dyrekcyja Edukacyi publicznej w dniu 2 września 1814 r. przesławszy mu zł. 3000 na pozostanie jeszcze przez rok w Paryżu i zapewniwszy stosowne miejsce za powrotem do kraju, stanowczo go powróciła ziemi rodzinnój, nie bez wewnętrznego z tój okoliczności najmocniejszego jego zadowolenia.

Opuściwszy Francją i zwiedziwszy tak angielskie jako téż i obserwatoria południowój Europy, w 1815 r. wrócił Armiński do Polski; gdy zaś jeszcze wtedy nie było miejsca odpowiedniego jego usposobieniu: ówczasowy Wydział Oświecenia Narodowego przeznaczył go tymczasowo do dawania matematyki tak w wyższych klassach b. liceum warszawskiego, jako téż w kollegium ks. Pijarów. Po ukończonym zaś r. szkolnym, Kommissya Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oddała mu w mującym się urządzić wydziale filozoficznym

b. uniwersytetu, katedrę astronomii, oraz wezwała go, aby obok istniejącego wydziału prawa i administracji, natychmiast rozpoczął wykład matematyki dla kandydatów, których taż władza zamierzyła dla dalszego kształcenia się naukowego wysłać za granicę. Tu pierwsza nadarzyła mu się sposobność okazania gorliwości; skwapliwie chwytą ją Armiński, podwaja bezpłatnie liczbę godzin na jego wykład przeznaczonych, i tym sposobem ukończa z uczniami cały bieg najważniejszych części matematyki, którzy wtedy po zdaniu w obec władz rządowych zaszczytnie examinu i następnie dopełnieniu swego wykształcenia, z chlubą piastowali lub jeszcze piastują, ważne obowiązki służby publicznej.

Nauki matematyczne w wydziale filozoficznym urządzającego się wówczas uniwersytetu warszawskiego, liczyły wtedy tylko dwóch professorów, to jest księdza Dąbrowskiego Pijara, i Armińskiego; pierwszy oprócz swych obowiązków w szkołach wojewódzkich, wykładał algebrę wyższą i niższą, geometryą analityczną i początki rachunku różniczkowego; drugi zaś prócz astronomii w 6 godzinach tygodniowo, z własnej gorliwości w drugich 6 godzinach nauczał wyższego rachunku analitycznego, jakoto: różniczkowego (differencyalnego), całkowego (integralnego), różnic (calcul aux differences), nad-różniczkowego czyli waryacyjnego, z zastosowaniem tychże do mechaniki niebieskiej, a oprócz tego i trygonometrii kulistej. Tymto jedynie sposobem, tą szlachetną gorliwością, początkowy brak professorów wznoszącego się zakładu mógł być zastąpiony, i kształcącej się młodzieży podana sposobność, ogarnięcia całego ogromu nauki, dla prędszego usposobienia jój do późniejszego zaradzenia temu niedostatkowi. Przysługa niemała,

sকoro zważymy, że pierwsze kroki w głębokich umiejętnościach, bez zręcznych i biegłych przewodników, prawie postawić się nie dadzą.

Począwszy od r. 1817 do 1830, nauczał Armiński jako professor uniwersytetu tylko trygonometrii kuli-stój i astronomii w całej obszerności.

Wiadomo, iż obeznawszy się z astronomią teoryczną i znacznym szeregiem stycznych z nią nauk, jeszcze nie można uważać się za astronoma. Astronomia jako jedna z nauk przyrodzenia, opiera się na doświadczeniu, i drogą jedynie doświadczenia sprawdzić w niej można głębokie wypadki rachunku; z drugiej zaś strony, przez pracowite badania, przychodzi się do rozszerzania jój wzniosłej dziedziny. Przejęty tą prawdą Armiński, czując cały zaszczyt wykładania tej umiejętności, i ztąd chcąc swym uczniom najjaśnień okazać wielkie prawa budowy wszechświata, nietylko że pierwszy podał rządowi myśl założenia obserwatorium astronomicznego w Warszawie, ale i gorliwie starać się zaczął o jój urzeczywistnienie. Po mozolnych trudach w celu powyższym przedsiębranych, w których zapal młodzieńczy dla dobra nauki, naraził go nieraz na nieprzewidzianą przykrość; niczém niezrażony, doczekał się nareszcie tej pociechy, iż oceniono jak należało jego zachody, wyznaczono fundusz na wybudowanie gmachu obserwatorium i na zakupienie narzędzi astronomicznych, odpowiednich postępowi nauki. Wygotowanie zaś tak pierwotnego planu budowli (\*), jako téż i na-

(\*) Plan ten nie został w zupełności przyjętym. Porobiono w nim mimo woli Armińskiego następujące zmiany, które lubo umiejętności w działaniach praktycznych nie przeszkadzają, wpływają jednak na niekształtność sali obserwacyjnej; i tak, ażeby obserwatorium tworzyło korpus dwóch postawionych już poprzednio pawilonów i było w linii cieplarni ogrodu botanicznego;



bycie potrzebnych narzędzi poruczono Armińskiemu, który nie opuszczając swych professorskich obowiązków, sam z niezmierną stratą czasu zajmował się tak dozorem wznoszącej się budowli, jako téż i jej wewnętrznem urządzeniem, ażeby celowi swemu odpowiedziała. Jaka to jest praca, ile wymaga mozolu, i że tak powiemy poświęcenia, ci tylko dostatecznie ocenić mogą, którzy choć na małą stopę urządzali jaki zakład naukowy; jakoż sam Armiński w czasie przeznaczonym do spoczynku professorów, musiał kilkakrotnie wyjeżdżać jużto po marmury pod narzędzia astronomiczne, jużto dla zdjęcia planów innych obserwatoryów, już téż nareszcie po sprowadzenie zamówionych przez niego w Monachium narzędzi. Nawiasowo nadmienić tu wypada, że powyższe zlecenia, dopełnił z gorliwością i bez żadnego wynagrodzenia.

Wszystkie powyższe prace jakkolwiek znacznego mozolu wymagające, były tylko przedwstępniemi do wielkiej, przy ustawieniu i uregulowaniu narzędzi astronomicznych oczekującej go (\*). Rzecz ta tylko ręką znawcy dokonaną być może, inaczej narzędzia popsute zostaną, lub téż cel właściwy stosownego ich ustawienia nie bę-

rozkazano nowo wznoszącą się budowlę zetknąć obu końcami z temiż cieplarniami; ztąd wynikło, że powyższa budowla nie mogła być postawioną w kierunku płaszczyzny południkowej, i dla tegoto przecięcia w środkowej sali obserwacyjnej, klóre z potrzeby umiejętności muszą koniecznie być otwarte w kierunku téjże płaszczyzny, nie są prostopadłe do ścian frontowych budowli. Mimo zdania Armińskiego, dla lepszego kształtu budynku, wystawiono na nim wieże daleko wyższe, jak w podanym planie wskazano; ztąd powstały schody mniej wygodne, środek drzewem wyłożony i podwyższony, oraz utrudnione otwieranie przecięć.

(\*) Niniejsze odtąd szczegóły, czerpane są z akt b. królewskiego warszawskiego uniwersytetu, i ogłoszonych drukiem posiadzeń tegoż uniwersytetu od r. 1824 do r. 1830.

dzie osiągnięty. Wreszcie inna jest rzecz złożyć narzędzie naukowe małego wymiaru, a inna wielkie astronomiczne, do którego niekiedy oświetlenia, potrzeba częstokroć przebić masę utrzymującego je słupa marmurowego, a jedno przy tém uchybienie, psuje i cały ogromny kamień stale osadzony, i zupełnego przerobienia wszystkiego stać się może powodem; ztąd też za granicą przy urządzeniu obserwatoryów astronomicznych, mechanicznych narzędzia astronomiczne robiący, za bardzo znacznym wynagrodzeniem do powyższej czynności są używani. W braku u nas tego rodzaju ludzi, sam Armiński dobrowolnie pracę tę wykonał. Są jeszcze między nami, którzy widzieli w urządzającym się obserwatoryum, jak Armiński przed ustawieniem narzędzi przy przygotowaniu pod nie marmurów, z ujmą zdrowia, po całych dniach pracował jak prosty rzemieślnik, aż wreszcie po długim mozoł, doczekał się tej pociechy, że instytut jego staraniem wzniesiony, ujrzał się w r. 1825 już na takim stopniu, iż czynności naukowe w nim rozpoczęte być mogły. I tego także dokonał Armiński bez innego wynagrodzenia, nad najmilsze, że zostawia po sobie pomnik, który w późne czasy z dziękczynnym wspomnieniem przekaze następcom imię jego założyciela.

W następnych latach trudnił się Armiński już jako dyrektor nowego zakładu, dalszym urządzeniem narzędzi tak astronomicznych, jako też i meteorologicznych, i spostrzeżeniami astronomicznymi, które tak dla korzyści samej umiejętności, jako też i pożytku uczniów b. uniwersytetu Alexandrowskiego, a zatem i swoich, były wykonywanymi. W r. 1829 wszystkie narzędzia zostały ustawione i uregulowane, spostrzeżenia astronomiczne jako pewne zapisywane, i obserwatoryum stanęło na

stopie równajacéj je z piérwszemi tego rodzaju zakładami w Europie. Powyższy najmozolniejszy okres życia Armińskiego, pokrótce przez nas przebieżony, jedna mu najpiękniejsza prawo, do szacunku wszystkich przyjaciół oświaty krajowój.

W życiu poświęconém pracy naukowój praktycznej, trudno było znaleźć czas stosowny do rozszerzania umiejętności przez piśmienne drukiem jój prawd ogłaszanie; jednak i tu o ile tylko mógł starał się służyć Armiński oświacie krajowój, dowodem tego są niektóre jego pisma naukowe, drukowane w Rocznikach b. Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk, którego był członkiem i t. p.

Oprócz powyższych tak mozolnych zatrudnień, używany był Armiński i do innych ważnych prac rządowych. W skutku wezwania b. ministra Przychodów i Skarbu, w czasie feryj uniwersytetu w r. 1828 i 1829, oznaczył on położenie geograficzne niektórych miejsc b. województwa sandomińskiego w dobrach górniczych, a mianowicie najwyższego w Polsce, czyli góry zwanój Łysicą (\*); urządził obserwatorium astronomiczne w b. konwiktzie ks. Pijarów na Żoliborzu, wpływał do wszelkich deputacyj z jego przedmiotem związek mających i t. p.

Tyle i tak pożytecznych zatrudnień, zwróciło na niego powszechną uwagę. Uniwersytet Alexandrowski zaszczycił go stopniem doktora filozofii, a wiekopomnej pamięci cesarz Alexander, orderem s. Stanisława klasy IV.

Po roku 1830 pełnił Armiński obowiązki dyrektora obserwatorium aż do dnia swojej śmierci; i z tego

(\*) Zobacz pismo: Pamiętnik Sandomiński, czyli Starożytności Polski, wydawane przez Tomasza Ujazdowskiego, Warszawa r. 1830, tom 2, str. 427, gdzie Armiński cel swojej pracy i jój wypadki obszerniej opisuje.

czasu spostrzeżenia astronomiczne jeżeli kiedy będą drukiem ogłoszone, jak to było jego zamiarem, dowiodą, że w ścisłości nie ustępują pracom w témże obserwatoryum wprzódki wykonanym i znanym już uczonemu światu (\*). Oprócz tego w tym okresie nie pełniąc już obowiązków professorskich i mając więcej chwil wolnych, zajmował się przedmiotami naukowemi piśmiennemi, które jeszcze drukiem nie są ogłoszone.

Dotąd zastanawialiśmy się nad zaszczytnie przebieżoną drogą naukową założyciela warszawskiego obserwatoryum; dla dokończenia naszego obrazu, parę słów o życiu jego domowém nie będzie tu zbyteczném. Nie dzielimy wcale zdania, że o zgasłych albo nic się nie mówi, albo ich tylko chwalić wypada: bo głównym warunkiem historyi, chociażby i w najmniejszym jój zarysie, jest prawda; zaszczytne zaś wspomnienie tą drogą zmarłemu oddane, jest dopiero największą nagrodą jego pamięci uczynioną. Wreszcie Armiński dopióro co ubył zpośród nas, i zbyt wiele pozostaje znających go, aby w razie potrzeby, piszący przez poezją śmiało ubarwić rzeczywistość. Do sądu więc ogólnego odwołujemy się, utrzymując, że Armiński był jednym, z najgodniejszych ludzi, a charakter jego prosty, otwartość, szczerość, niczém niewzruszona prawość, jednały mu powszechny szacunek. Pomnąc na krótkość życia ludzkiego, żył ze wszystkiemi w zgodzie, i nigdy podła zawiść lub nikczemna złośliwość życia jego nie splamiła; z pominieniem względów nawet na własne widoki, szedł zawsze drogą prawdy, a święta jój pochodnia, wszędzie, nawet w obec wyso-

(\*) Oznaczenie położenia geograficznego obserwatoryum warszawskiego, umieszczone w piśmie francuzkiém: *Connaissance des Temps pour l'an 1846*, p. 30—32.

kich osób, zawsze jego słowa oświecała; ztąd téż doczekała się jego pamięć téj najśłodszej nagrody, że w uznaniu jego prawości nie ma zdań różnorodnych.

Dotknięty od niejakiego czasu ciężką chorobą serca, wśród najokropniejszych bólów przewidując swój zgon, przygotował się do niego jak przystało na człowieka, którego religia nie była w samych tylko słowach. Bez obawy patrzył na zbliżającą się chwilę przejścia, bo głęboka nauka już mu oddawna odkryła, że za grobem musi być lepiej, zważając jak w wszechświecie wszystko jest cudownie urządzone. Wyprzedził więc nas tam, dokąd wszyscy szybko zdążamy, opuszczając ziemię w dniu 14 stycznia 1848 r. Pochowany w pieczarach Powązkowskich.

Na tę więc przeto bolesną dla nas stratę, na grób jednego z najzasłużeńszych oświacie krajowej mężów, rzucamy należną mu gałązkę wawrzynu.

*Józef Betza.*

# BUDNIK.

OBRAZEK

PRZEZ

*Józefa Ję. Koraszewskiego.*

---

(Ciąg dalszy).

## VII.

Zrana więc, jedną ze ściezek leśnych posunął się ze strzelbą na ramieniu Maciej, za którym dążył w tropy Burek głodny, z podkulonym ogonem i jeszcze bardziej wpadłemi boki, ale uszyna najeżonemi i głową do góry. Drugą drożyną puścił się ku miasteczku, rezydencyi urzędowej pana Pomocnika stary Bartosz, wiodący konie żydowskie.

Pomimo nędznej jego odzieży i zmęczonych rysów twarzy, zastanawiająco jeszcze była postać. Niepochylony wiekiem, niezwalczony nędzą, nieupokorzony swym stanem, zdawał się raczej przebrałym w sierak dawnych lat wojakiem, nie ubogim puszczy poleskiej mieszkańcem. Męstwo i siła malowały się na obliczu pogodném, którego czoło tylko przeciał na dwoje fałd

poprzeczny, świadczący o długich myślach i głębokich cierpieniach. Fałd ten prawie zawsze ciemniejszy na czole, jak cięcie szabli malował się wśród łysiej, poły-skującej głowy; ale szablą tą nie ludzka władała ręka—prawica losu nią raniła...

Ułamaną po drodze w pączkach i kwiecie leszczyny gałęzią, popędzane konie dość zwawe i młode, biegły ściskając się i wyprzedzając, często zwężającą bardzo drożyną. On zadumany patrzył nie widząc przed siebie, czasem tylko pogładził wąsa i westchnął ponuro, jakby w przestankach ugniatającej go myśli.

Dobrze znając wszystkie drożyny leśne, machinalnie kierował się wśród nich, choć mnóstwo porosłych darnią, wykręcały się wśród zarośli: to szersze, to węższe, to prawie nieznaczne, tak zawieszzone młodemi przeszło-rocznymi wypustkami bujno rosnących krzewów. Przebywszy gąszcze otaczające chatę, łąkę co je dzieliła od przerzedzonego już lasu i większej drogi, potem świeże trzebieże, borem małym zbliżał się już ku miasteczku, ukazującemu się w oddaleniu za długą grzązką i topielistą groblą.

Wtém drogą ku niemu ujrzał pędzącą bryczkę ostawioną słomą, u której dyszla ogromny kołatał dzwonek znak niechybny jadącego urzędnika. Za bryczką tą konno, leciało dwóch ludzi, poprawując w biegu to czapek spadających, to rozwianych pół sukmany.

— Stój! stój! — rozległ się nagle krzyk, i przed Bartosza skoczył mały, czerwony jak rydz, trądem jak muchomor okryty, z oczkami drobnymi jak dwie atramentu krople, łysy jak arbuz, ospowaty jak czerstwy chleba kawałek, pan Pomocnik, racząc swą własną ręką chwycić za cugle konia, na którym siedział budnik.

— Trzymaj! łapaj!—dodał zapalając się i przywołując ludzi, widząc że koń złękniony do rowu się szarpnął. Konni natychmiast zastąpili Bartoszowi drogę. Stary nie mógł pojąć coto się z nim działo.

— Czego łapaj? albo uciekam?—odezwał się spokojnie,—czego chcecie?

— A! udajesz ty mnie tu niewinnego! Nie *nadmiesz* (wyrażenie właściwe) nie! postoj! Ja cię nauczę złodzieju jakiś, rakalio! Ja cię nauczę! — wrzeszczał pijany Pomocnik w paroxyzmie gniewu.

Stary Bartosz zarumienił się, a raczój oblał krwią, tak, że białka oczu w jednej chwili nią zaszczyły.

— Słuchajno pan — zawołał— czy pan wiesz co gadasz? za co mnie łajesz?

— Za co? ja ci pokażę pytać o przyczynę! Ciekawy? patrzajcie! Wiązać mi zaraz tego złodzieja.

— Mnie! mnie! — I stary gwałtownie rzucił się na worku na którym siedział—Mnie?

— Nu! tak, ciebie złodzieju jeden! Tak, nie rozprawiaj mi! Wiązać go!

— Ależ powiedz mi pan i wytłumacz co to ma znaczyć?

— Ja nie na to tu jestem aby ci tołkować trutniu! Wytłumaczę ci inaczej w *stanowej kwaterze*. Hej wiązać go!

— Czegoż pan chcesz odemnie? — w rozpaczę wykrzyknął budnik.— Panu się w oczach dwoi czy co? Pan nie wiesz co robisz!

— Ach ty psie jeden będziesz mi jeszcze takie rzeczy gadał, ty! I tupiąc nogami, machając rękoma jak do uderzenia, począł wrzeszczyć z całej siły pan Pomocnik:

— Śmieśz mnie, mnie śmieśz mówić! Ty wiesz, ja cię w kajdany okuję!



Stary zamilkł, bo przeczuwał że w tém wszystkiém jest jakaś omyłka. Wzywając więc wszystkich sił swoich na pohamowanie oburzenia i gniewu którym wrzał, spytał spokojniej:

— Słowo tylko: za co mnie więzicie? co to znaczy?

— Co to znaczy? Ja ci powiem hultaju! Oto ukradłeś konie i kradzione przeprowadzasz.

— Ja ukradł! — zrywając się ze szkapy i podskakując ku Pomocnikowi zaryczał nie mogąc się pohamować stary Bartosz. — Ja? od kiedyżto Bartosz Młyński złodziejem się zrobił?

Pomocnik wskoczył w bryczkę jak do twierdzy jednym susem i tu czując się bezpieczniejszym krzyknął:

— Wiązać!

— Tak! — kończył zbliżając się stary ze wzrastającą coraz zapalczywością — tak! konie są kradzione, ale nie przezemnie.

— Wiązać! — powtarzał Pomocnik.

— Żyd je wczoraj przyprowadził i zostawił u mnie, żyd Bramko, mam na to świadków.

— Tak! tak! wytłumaczysz się. Ja was znam i wasze świadki cygańskie. Wiązać!

— Prowadziłem te konie, żeby je wam oddać.

— Teraz ci to do głowy przyszło! Widzę, masz ty mnie za gołowąsa, hultaju jakiś! Nu! śledztwo okaże. Wiązać go i prowadzić do miasteczka.

Co się działo ze starcem, na którym przez długie lata nigdy obelżywy wyraz, wzdardliwe nawet spojrzenie nie spoczęło, bo do nich umiał nie dać powodów, i nie dopuścił nikomu nad sobą się znęcać; tego opisać nie można. Gniew, wściekłość, rozpacz, boleść niewysłowiona miotały nim naprzemiany; — tły nawet wytrysnęły

mu z pod zakrwawionych powiek, a usta próżno już wysilając się na słowo, którego znaleźć nie mogły, zamknęły się nareszcie, zdrętwiały; wzrok zatoczył obląkany, zachwiały nogi i gdyby nie ludzie co go już pochwycili i wiązać zaczęli, byłby upadł.

Pomocnik kazał zawrócić bryczkę i prowadzić za sobą Bartosza i konie.

### VIII.

Tymczasem Maciej szedł sobie powolnie, gapiąc się po drzewach, poświstując nieforemne piosnki, ziewając szeroko ze znakiem krzyża, szybko szatanowi drogę do żołądka tamującym. Ziewał najwięcej i zęgnął tyleż razy, miał bowiem zwyczaj zawsze być niewyspanym, choćby siedem dni i nocy spał z rządu.

Pawłowa szczególnych wiadomości przyczyn i skutków pełna, przypisywała to usposobienie Macieja temu, że się urodził w nocy, a żaden kur nie zapał gdy na świat przychodził. Przyczyna dość była wyrozumowana, jak na panią Pawłową.

Szedł tedy Maciej, to zawadzając o korzenie sosen, których nigdy nie widział pod nogami. to łapiąc się po niewczasie za twarz, gdy mu ją już gałąź przecięła, to zмирzając z fuzyi do suchego pnia, tak sobie, dla podochocenia i fantazyi. Czasem huknął na całe gardło, żeby innych hukających dalej pobałamucić, to pięścią zdusił wylażący biały grzyb z ziemi, to zaszczekał psim głosem, to zawył, a wszystko dla niewinnej zabawki. Wcale mu nie było pilno; wiedział, że w Sumaczęj go nakarmią i napoją, że czy co zabije czy nie, ojciec mu słowa nie powie, że do domu wróci wczas zawsze na chudą

i krótką wieczerzę pani Pawłowój, z którą już i klócić się o swój żołądek od niejakiego czasu zaprzestał. Pocięsział się myślą, że jak da Pan Bóg grzyby, rydę, syroizki i maślaki, zje licha czarownica, żebym jej jednego przyniósł, wszystkie sam sobie zjem. A będę chorował, to będę chorował, a taki żadnego nie przyniosę.

Maciej tę tylko cnotę wziął po ojcu, że był kozim sposobem uparty.

Ktoby zdaleka patrzył na Macieja, wziąłby go za pijanego lub ślepego; tak szedł zataczając się, błakając i napozór nieprzytomny. Wszakże odgłos tokujących cietrzewi, obudził go z tego rannego oczmocenia; stanął, posłuchał, czapki poprawił, ze strzelby kłak wyrzucił, podsypał na panewce i przeżegnawszy się, sunął borem bez ścieżki.

Burek doskonale wiedząc jakie są jego obowiązki w takim razie, pozostał w tyle i włókł się noga za nogą.

Tokowisko dobrze znane było, otaczały je stare sosny i młoda choina, pozwalająca przybliżyć się nieznacznie; podsunął się w to miejsce Maciej, potem prawie pełzając przypadł pod nawieszoną gałęzią wysokiej barci. Burek położył mu się w nogach. Cietrzewie tylko co toki rozpoczynały, ale zwijały się jeszcze dalej niż na strzał od Macieja; przyległszy więc na mokrej trawie, wytrzeszczywszy oczy, oczekiwał, palec na cynglu trzymając.

Dobra ćwierć godziny upłynęła, nim strzał nareszcie dał się słyszeć i wielki stary cietrzew zwałił się na ziemię, trzepocąc skrzydłami. Więcej nie żądał Maciej; wstał, poszedł go zabrać, wpakował do ogromnej torby, w milczeniu strzelbę oczyścił, nabił, na plecy zarzucił i poszedł dalej równie powolnie, równie rozespany jak

wprzód, ku dworowi. Cietrzewie tymczasem tokowały dalej.

Pijany, zamyślony czy drzemiący Maciej szedł dalej a dalej; przecież trafił bez ścieżki wprost do małej karczemki stojącej nad drogą, która już nieopodal była od dworu podkomorzycy. Tu najczęściej służba pańska hulanki sobie na wzór pańskich urządzała, pijąc, grając i szalejąc nocę całą.

Rudo-brody żyd stał w ganku swojej gospody w pluderkach tylko i pantoflach, używając świeżego powietrza, bo widocznie tylko co był podniósł się z betów. Piérze miał jeszcze konstellujące włosy, oczy nawpół przymknięte i ziewał co chwila a skrobał się i bokami poruszał, wyciągając to jedną rękę, to drugą, to obie razem, aż w stawach trzeszczało.

Wieśniak czy budnik, mieszczanin czy szlachcic zagrodowy, nigdy karczemki minąć nie mogą; byłoby to przeciwko odwiecznym zwyczajom. Gwałtowne przytém potrzeby zmuszają odwiedzić każdą. Jeśli gorąco, trzeba się ochłodzić wodą, jeśli zimno, ogrzać u komina, jeśli wietrzno, wytchnąć pod dachem, jeśli błotnisto, osuszyć, jeśli głodno podjeść, jeśli czczo wódką pokrzepić lub fajkę zapalić, lub drogi dowiedzieć; słowem, że zawsze dla czegoś wstąpić nieuchronnie do karczmy potrzeba. W najpilniejszym razie nigdy wieśniak, budnik, szlachcic i mieszczanin, zwłaszcza piesi, nie miną żyda, choćby tylko nogą na próg i zaraz nazad a dalej w drogę. Jestto jakby obowiązkiem podróżnych, pokłonić się tój pokusie naddrożnej. Jezdny czasem minie jedną, gdy gęsto stoją; pieszy żadnej. Żyd któryby zobaczył podróżnego przechodzącego obojętnie koło karczmy, miałby go w podejrzeniu i nie bez przyczyny.

Domyślicie się, że Maciej ściśle zachowujący zwyczaje starodawne, nie mógł Jankiela osobiście mu znanego ominąć. Jakoż brał za klamkę, gdy gospodarz wyciągający się jeszcze, zobaczył go dopiero i przywitał: — He? Maciej, he? a! dzień dobry!

— A! dobry dzień asanu.

— Zkąd?

— Juścić z domu.

— Może zwierzyna jest? Słyszałem ktoś strzelił niedawno.

— Jaka tam zwierzyna—cietrzewisko i to dla siebie.

— A sprzedać?

— Nie mogę, dla tatula—rzekł lakonicznie Maciej—  
Dajcie kieliszek.

— Za wiele?

— Za dwa.

— A macie pieniądze?

— To ja oddam.

— Nie mogę—rzekł równie sucho i krótko żyd.

— A cóż będzie?

Żyd ramionami ruszył.

— Chodźmy do izby, rozmówim się.

Jankiel dał się nakłonić i weszli.

Po chwilce Maciej wyszedł sam, bez cietrzewia nawet, ale widocznie weselszy, rumiany, czapka zwieszona na bakier, jedna ręka w bok. Gwizdał niesłychanym sposobem fałszywie i przeraźliwie, a corazto podbiegłszy ku nieszczęśliwemu Burkowi, kopnął go nogą dla facecyi. Burek, którego nie pierwszy widać raz ten dobry humor prześladował, podtuliwszy ogona, umykał przodem co miał siły, nie śmiejąc się i obejrzeć.

Maciej całkiem szedł inaczej teraz: prosto, żwawo, usta mu się uśmiechały, oczy wesoło grały, i tylko kiedy niekiedy potykał się na leżących po drodze faszynach, podskakując potem kilka razy do góry i klaskając palcami. Śpiewał przytém za każdą razą piosenkę, której jedyne wyrazy powtarzały się w różnych modulacyach: Hop—szytk! Fry—dryk! hop—szytk! i t. d.

Kiedy się już dwór ukazał bliżej, Maciej poprawił torby, obciągnął siermięzki, palcami włosy bezładnie najeżone przegarnął i starał się poważną minę ułożyć; ale to mu się nie udało. Korciło go niesłychanie Burka kopnąć nogą, czego dokazawszy zaczynał śmiać się do rozpuku. Potem jakby przypomniawszy sobie że śmieje się nie wiedziéć z czego, nagle tupał nogą, stawał, dawał sobie kuksańca w bok, czapkę na oczy napuszczał i szedł póki się nie potknął.

Potknąwszy się, *iterum* wyskakiwał do góry, śpiewał: Hop — szytk! dopędzał psa z poczęstowaniem zwykłym i śmiał się. Po śmiechu następował znów kuksaniec w bok. Nie wiem wiele ich sobie dał, i wieleby ich był mógł dać, bo nie znając rachunku prawdopodobieństwa, nie śmiém zapuszczać się w niebezpieczne obliczanie; ale to wiem, że szczęściem dla boków Macieja, mnóstwo przedmiotów odrywały go co chwila od wybryków wesołości.

Tam zagapił się na skowronka, który kołował w powietrzu i patrzył, patrzył, patrzył póki mu z oczów nie zniknął; dalej zajęły go dwie zielone muchy, które śledził aż się gdzieś skryły w rowie; to liczyć zaczynał stado dzikich gołębi unoszące się na roli, myśląc się i poprawiając bez końca i t. p. Pracowity umysł jego szukał we wszystkiém zajęcia; w ostatku na grobelce począł

w kałuży czystej dosyć robić sobie miny najdziwniejsze i zabięrał się do długiej *autoskopii*, gdy przerwały mu zajmujące to badanie nadciągające z hałasem furmanki. Przy nich konno jechał gumienny, niemal tak cięty jak Maciej, ale w dodatku kurzący sobie w nos fajkę, która dla niego wszystkie tak rozmaite zabawy Macieja, zastępowała.

— A pan Kasper? — rzekł z uśmiechem niewysłowionej grzeczności Maciej, i brnąc po kolano przez kałużę, poszedł zdejmując czapkę pocałować go w brodę. Przyjaciele poślinili się serdecznie.

— A dokądto panie Kasprze?

— Do miasteczka! Ekonomiska hreczka! cha! cha!

Pan Kasper, który był w parafialnej szkółce chorował na rymy, tak, że często i przed panem się niemi dławił.

— Cha! cha! — rzekł Maciej — eczka! eczka! bodaj aspana. Całuję nóżki! — I znowu pocałowali się na obie strony.

— Bywaj mi zdrów! nie wpadnij w rów! — rzekł zegnając gumienny.

Maciej odwrócił się i począł powtarzając to, tak się śmiać, że nareszcie sam sobie zmuszony został surowo się karząc, dać w bok szturchańca. Ale to nie pomogło powtarzał pożegnanie i śmiał się. I znów kułakiem, aż mu to przecie powoli odeszło.

Gumienny jechał, oglądał się i śmiał także aż padał.

Nareszcie stara cegielnia zakryła przed sobą dwóch przyjaciół, a zbliżanie ku dworowi upamiętało budnika, który obciągnął poły, poprawił czapkę i nadął policzki.

O kilkadziesiąt kroków od niego, stały znowu dwa ogromne wozy żydowskie ładowne skórą, wełną i Bóg wie jakim towarem, widocznie świeżo i pospiesznie we

dworze napakowanym. Żydzi krzątając się przy wozach, silnie o coś się spierali z sobą.

Maciej kwadrans słuchał ich szwargotania nic nie mogąc zrozumieć i śmiał się, powtarzając — o to gadają! o to!

Na wzgórzu niewielkiem, lecz płaskiém, panującym w okolicy, stał dwór pana Jana dokoła topolami starymi, olszyną i lipami osadzony. Na lewo bieląła oficyna i kaplica w stronie, którą zajmowała z częścią ogrodu matka młodego dziedzica; w prawo wznosiła się porządna murowana gorzelnia i folwark. Między dworem a nim, długie żółte stajnie i psiarnie pańskie szeroką zajmowały przestrzeń.

## IX.

Wesoło doprawdy było we dworze! bardzo wesoło! i pani Pawłowa nie darmo tak nad tutejszém unosiła się życiem. Na folwarku hulanka poczynąła się od białego dnia, a gospodarstwa doglądał sam gumieny lub wyręczał się polowym, jeśli polowy nie uprosił na swoje miejsce przysiężnego, a przysiężny nie posłał w zastępstwie chłopca od owczarni. Różnie bywało! Tylko przy wysyłkach produktów na sprzedaż, znajdowali się wszyscy a wszyscy razem, lub z kolei. Pani ekonomowa rodem z Warszawy i ztamtąd niedawno wywieziona przez podkomorzycę, z ulubienicy pańskiej dostawszy posag przyzwoity, przeszła na żonę pana Bizunkiewicza. Zaczęła ta niewiasta, nie wdając się wcale w babskie gospodarstwo, całą była oddana ubraniu, muzyce (grała na hiszpańskiej gitarze) i towarzystwu (niezmiernie lubiła oficerów od piechoty).



Na dole u pisarza prowentowego, często i teraz właśnie, paroch miejscowy, sekretarz assesora, dwóch szlachty i pisarz z miasteczka, grali w elbika, polewając to suche dosyć zatrudnienie wiśniówką i ponczykiem.

U klucznicy było także na śniadaniu mnóstwo dostojnych gości: dwie ekonomowe, jakaś obywatelka tłusta na kanapie prezydująca, z synem w mundurzyku szkolnym, ale z czarnemi już wąsikami; siostrzenica pana ekonomy i dwie pokojówki podkomorzynęj. A śmiech! a gwar! a uciecha! daj go katu!

W gorzelnii pijane dziewczęta tańczyły z parobkami, pisarz prowentowy, wirtuoz wielki grał na skrzypcach.

W stodole młocki spali, świnie żyto jadły. W magazynie gospodarowali żydzi i żydówki.

We dworze czy się jeszcze spać nie kładli, czy już powstawali, ale życie też było wielkie. Przed dom wprowadzono konie, klaskano z batów, prezentowano żrebce, próbowano wierzchowców. W ganku stała czereda przyjaciół, w kurtkach, surdutach, szlafrokach, płaszczach, z cygarami w ustach, fajkami w zębach, kartami w rękach, niedopitym ponczem u gęby.

Wśród nich, słuszny, piękny, młody człowiek, barczysty, ogromny, zdrow jak koń, silny jak niedźwiedź, wesół jak ryba, śmiały jak lew, zbudowany jak olbrzym głośno krzyczał i dowodził wszystkiemi. Był to biedny Jaś, poczciwy Jaś, syn pani podkomorzynęj.

Nie wiem czy miał lat dwadzieścia kilka, tak młodo mu z oczu patrzyło, tak życiem pierś buchala, tak w słowach był ogień; a obok, jakie w tyłże oczach znużenie, w tej piersi czczość i tęsknota niczem niezagłuszona, w wyrazach ust zgrzybiałe szyderstwo!

Jaś durzył się nie bawił, szalał nie żył, upajał a nie weselił. Z szafu w szaf, z pijaństwa w pijaństwo wpadając, z odurzenia w odurzenie, biegł szybko drogą życia nie śmiejąc ni za siebie obejrzieć, ni przed siebie rzucić okiem. Ludzie mówili — szczęśliwy; on przecież ciężko wzdychał przez sen, zasępnął się nawet po pijanemu, chmurzył brwi skoro sam jeden pozostał. I potrzebna mu była ta szuja co go otaczała, co mu szumiała w uszy, migiała przed oczyma, co mu śpiewała, brzęczała, pochlebiała, płaszczyła się przed nim i rękę wyciągała bezwstydną; bo sam sobie zostawiony, nie wiedział co z sobą począć. Sam jeden zostawszy, musiał kłaść się spać lub wlec się do ekonomowej, słuchać rozbitej gitary i piszczącego jej śmieszku; a w ostatku łajał, bił i pędział począwszy od psów pokojowych, aż do ludzi.

Byłato właśnie chwila szafu i upojenia. Noc zbiegła na kartach, na śpiewaniu, na skokach, przy butelkach i dziewczętach; ranek powitał rozmarzonych, rozkołysanych, szczęśliwych!! Jeśli się to nawet u nich szczęściem nazywało! Teraz probowano koni, szachrowano psami, mieniano się na najtyczanki, frymarczono strzelbami, i zapijano każdy handel, każdy zakład, każdą wygraną i przegraną.

Jaś rzucił się oklep na konia, ścisnął go silnemi nogami, wywinął nim na dziedzińcu, zakrwawił mu pysk mundsztukie n, w chwili okrył go potém i pianą, zasapał; a dowiodszy odwagi, siły i zręczności, z odkrytą pierśią, odkrytą głową i palącemi dłońmi, skoczył na ziemię w biegu, rzucając wierzchowcowi na łeb cugle, i wracając z pewną dumą rozkoszną na ganek, między towarzyszy.

— Niechże kto z was tego na nim dokaze!

— Brawo! — rozlegało się w sieniach.

— Wielka sztuka — zaburczał ktoś na ławce.

— Sztuka! żadna sztuka! Hej! podajcie tu panu wierzchowca, prosimy spróbować.

— O wa! no to cóż! spróbuj! — I mały, blady, suchy Kazio, który się zgrał w nocy i kwaśny był jak ocet, podbiegł zapalczywie ku karemu. Skoczył raźnie, ale gdy siadł na niego, oczy mu na łeb wyparło, usta się ścięły, dęba się spiął koń pod nim, potem dał szczupaka i — Kazio na murawie.

— Brawo! brawo! majster! — Jeszcze głośniej krzyczą panowie — Wiwat leżący! zdrowie leżącego!

Podniesiono go z ziemi, oblano dla otrzeźwienia rumem, napojono szampanem i znowu wesoło.

— Teraz już i mama wstała, pójdziemy strzelać do celu.

— Dobrze! dobrze! do celu — wołają wszyscy.

— Ot i na mszę dzwonią.

W istocie, w ogrodzie na lewo, gdzie oficyna i kapliczka, odezwał się srebrny głosek dzwonka, który cały dwór żeński i faworytów starej pani zwoływał co dzień na nieszczerą może, ale pozornie gorącą modlitwę. Wiedzą dworacy, że okazanie się na mszy zyskuje łaski pani, a pani wiele jeszcze może i ma do dania. Jaki taki więc spieszy od elbika, od szklanki, od czulej rozmowy z towarzyszeniem gitary, do kaplicy, gdzie mu więcej chodzi o to, by go stara pani podkomorzyna widziała, niż żeby mu Bóg modlitwę policzył.

Biegną więc dworacy, oficjaliści, dziewczęta co tchu do kaplicy; nawet ekonom, nawet żona jego porzuciwszy oficerów, i pisarz prowentowy, choć się zgrał z pańskiego śpichlerza (bo grali na wódkę) i lokaje pana Jana.

Ścieszka od oficyn, poważnym krokiem postępuje pani podkomorzyna powoli, oparta na ręku ulubienicy swojej panny Tekli Trawskiej, pocichu z nią rozmawiając. Twarz jej pełna łagodności i anielskiego spokoju, oczy niebieskie lecz zbladłe, postawa szlachetna, uśmiech dobroci niewymownej, ubranie wdowie i skromne. Dość spojrzeć by ją szanować. Każde jej słowo, każdy ruch objawia serce dziecinnę dobroci, słodycz charakteru nieporównaną; i taki spokój na czole, w uśmiechu, w duszy, gdy tuż, tuż obok, taka wrzawa, hałas i szaleństwo. Gdyby wiedzieć, gdyby zrozumieć mogła, ile powodów do zgryzoty i łez! Wszystko co ją otacza kłamie, począwszy od syna do ostatniego slugi; wszystko ją oszukuje; wszystko potajemnie kochając ją nawet, z jej słabości, z jej nieprzerwanęj extazy co świat zasłania, najgrawa się i szydzi.

— Jakże moja Teklusi, powiadasz — pyta idąc drogą panny Trawskiej — Jasisko moje zdrowe?

— O! proszę pani, jak rybka dzięki Bogu, zdrowiutęki.

— Widziałaśże go ty dzisiaj?

— A jakże. Biegałem oddać dzień dobry od JW. pani; chciał zaraz pospieszyć sam, ale to za temi gośćmi....

— O! już to powiem ci szczerze kochana Tekluniu, ci goście mnie męczą. Ledwie mogę zobaczyć Jasia. Zbięram mu się nawet kiedyś powiedzieć, że nadto do siebie figur przypuszcza, i Bóg tam wie wreszcie jakich! Ale to serce złote! przez dobroć to robi. Jakże moja Teklusi, spał dobrze?

— Dobrze kochana pani!

— A ten kaszelek?

— Zupełnie ustał po ślazier!

— A nosił na piersiach watowaną załózkę?  
 — Nosi proszę pani.  
 — Cóż oni tam robią?  
 — Nie wiem prawdziwie, ale mają podobnojechać na polowanie.

— O! jużto strasznie myśliwy, jak nieboszczyk stryj. I to polska natura: aby się tylko nie przeziębził, albo nóg nie zamoczył. Czy mówiłaś kochanie drogie, żeby włożył lisiurkę?

— A jakże, i przyrzekł.  
 — Boto teraz ranki chłodne moja Tekluniu. Ale, ale, jakże się tam ma ta pocziwa ekonomowa?

— Lepiej proszę pani. Koniecznie dziś być chciała na mszy świętej na intencją JW. pani, z podziękowaniem za łaski, których doznaje.

— Pocziwe serce! nieoszacowana kobiéta!  
 — A jaka przywiązana do męża, to JW. pani nie uwierzy.

— Jużto moja Tekluniu ja się tego zawsze spodziewałam, że takie pocziwe kobięcisko musi się prędczej później do niego przywiązać. Oj, to także pocziwy z kośćcami.

— Prawda Pani, że to rzadko takiego sługi.  
 — A pisarz ze swoją fluksyą?  
 — Już zdrów, dziękuje JW. pani za materacyk, ale biédak w wielkim kłopotcie.

— No! cóżto mu takiego?  
 — Coś mu tam podobno braknie kilkadziesiąt garncy wódki, która się podobno uschła, a że strasznie ma wielki punkt honoru, doprawdy boję się, żeby sobie czego złego nie zrobił.

— A widzisz Teklusię jak to źle — zawołała grożąco istaruszka — że ty mnie tego dawniej nie mówiłaś. Wiesz, to trzeba radzić. Widać biedaczysko z tego musiał fluksyi dostać. Bywa to ze zmartwienia. A wieleż mu to tam potrzeba?

— Ja myślę ze sto złotych.

— Dajże mu z moich pod sekretem, ale niech nie gada.

— Dziękuję za niego! — Teklusię pocałowała staruszkę w rękę, a ona ją w głowę.

— Pocziwa Teklunia, zawsze to tylko o drugich myśli, a nigdy o sobie. Weźże kochanie moje, tę czarną atlasową suknię, która mnie wdowie na nic się nie zdała, weź ją sobie za to, żeś mi pomogła do dobrego uczynku.

Panna Trawska przyklękła na ścieszcze i pocałowała podkomorzynę w kolano, ta ją znowu w głowę.

— Kiedy już pani mi tyle pozwala i taka łaskawa, to i reszty nie utaję — dorzuciła wstając z westchnieniem.

— No! no? coż takiego?

— Wszakto i słabość ekonomowej nie bez przyczyny, ona się biedaczka zmartwiła i zlekła o męża.

— A mężowiż co?

— Pani wie że on jednodworzec?

— I cóż?

— Koniecznie go chcą stawić w rekruty.

— Mój ty Boże! i powiadasz że jego żonatego mogliby wziąć?

— O! czemuż nie, nawet kolój na niego. Trzeba około stu rubli, a ja nie mam pieniędzy! Co my tu poczniemy? Chybabym gdzie pożyczyla.

— Niechno się po mszy naradzim, jakoś to załatwim. Biedne człeczysko! Prawda że i żona w niemałym być musi strachu! Proszę! proszę! Muszę ja pocieszyć zaraz.

— A! niech się JW. pani zmiłuje, nic jęj o tęg nie wspomina; mąż stara się przed nią udawać, że to omyłka, że to fałsz.

— No to nic jęj nie powięm. A odesłałaś serce do miasteczka kwartałowe do szpitala?

— Wczoraj.

— I dla żydów?

— Także.

— A moje wdowy?

— Modlą się za swęje dobrodziejkę.

Gdy tych słów domawiały, były już na wschodach kaplicy, gdzie cały dwór szeregiem stojący, schylał się przed panią, która uśmiechem słodczy pełnym, słowy lub skinieniem głowy witała starszych, pieściła dzieci, rozpytywała kobiety.

Że Bóg wysłuchał pobożnej niewiasty nie wątpię, lecz szatan cieszył się jęj dworem.

## X.

My wróćmy do Macieja, który powoli i poważnie kroczy do dworu. Zagapił się najprzód przed gorzelnią na tańczących parobków, wybijając takt nogą, potem przed folwarkiem, gdzie stały trzy bryczki oficerów i innych gości, które miał sobie za obowiązek sumiennie obejrzeć; potem w dziedzińcu stanął porachować szczekające psy i wierzgające konie, aż trafił gdzie panowie do celu strzelali.

Ciekawy a głupi, wparł się pomimo odpychania, pod sam prawie bok strzelającym. Mina jego zuchowato głupia, wyzywała do żartów i wystawiała go na pośmiewisko niechybne.

Jaś strzelił o czterdzieści kroków kulą z gwintówki i chybił; budnik ramionami ruszył i rozśmiał się głośno, a potem pomiarkowawszy czapkę zdjął i pokłonił. Pannicze to postrzegli.

— A ty czego śmiejesz się niedźwiedziu?

— He?—odezwał się Maciej głupawo—niedźwiedź nie, ale budnik.

— To wszystko jedno, czego się śmiejesz?

— Że kiepsko strzelacie.

— Patrzaj go, o czterdzieści kroków kulą.

— A o sześćdziesiąt? spytał Maciej.

— O sześćdziesiąt?

— Fanfaron! spróbujże!—zawołał Jaś.

— Jasny pan żartuje.

— Nie!—nie! ile razy trafisz, dam ci za strzał po dukacie i to tylko o czterdzieści.

— Jako dukacie? spytał budnik.

— Otoż bałwan! nie znasz dukata?

— Za coż do kata? Jak chybię to do kata, a póki...

Wszyscy się śmiali.

— Któż ty taki, nieoszacowany brusie?

— Budnik JW. panie.

— Zkąd?

— Z Osikowego Ługu.

— A! z moich lasów.

— Syn Bartosza, JWPanie, rodzony. JWPanżna Pawłową? otóż Pawłowy synowiec, a Julusi JWPanie brat, a to Burek mój pies, proszę JW Pana.

Wszyscy polegali od śmiechu, bo od wyrazów śmiejszniejszą daleko była rozradowana i promieniejąca twarz Macieja.



— No! strzelajże, kiedyś z nas żartowałeś; ale jak chybisz, bez pardonu stęplami.

— O! tego nie! JW Panie.

— Nie chcesz.

— Jak chybię, to wolę w pysk wziąć.

— No, zaraz widać kto ma rozum; pewny jesteś że ci nie dam. Strzelaj.

Budnik położył czapkę na ziemi, wziął strzelbę pańską podaną mu, pokiwał głową i oddał ją nazad.

— To śliczne strzelbisko, ale djabeł jego wie gdzie u niej co jest; ja z tego instrumentu nie potrafię.

— A może ze swojej, tém lepiej.

Wśród nieprzerwanych śmiechów, wyrwano Maciejowi z rąk jego strzelbę, powiazaną sznurkami, zardzewiałą od wilgoci, a w niektórych miejscach wyslizganą od noszenia; niepozorną, długą, ciężką jak szyna żelazna, z zamkiem klapiącym jak stare pantofle. Panicze dobrze się z niej przymierzając i celując naśmiali, gdy budnik tymczasem nic nie słysząc i nie widząc, szukał w głębokiej torbie kul, bez których nigdy nie chodził, i nie patrząc na nikogo, zabierał się do nabijania.

— *Place! place!* Komedją będziemy mieli—zawołał Jaś—Widzisz cel?

— Nie widzę.

— Jakto? koło, a w kole czarną plamę?

— Plamę to widzę, ale bardzo ogromną.

— Jakto? duża ci jeszcze?

Maciej głową kiwnął. Posłano służącego, który krędą w środku celu biały znak położył.

— A teraz?

— Poprobujem.

— Stoim o czterdzieści kroków, nie zmieniam słowa, za każdy raz dukat. No! śmiało!

Zawczasu zabierano się już szydzić, gdy krótko urwany strzał dał się słyszeć, i kula w samym znaku białym uwięzła. Maciej ani zważając na podziwienie i oklaski powszechne, już po raz drugi nabijał, po raz drugi trafił.

— Co chcesz za lufę?

— To nie na sprzedaj.

— Dam ci co zechcesz!—ozwał się jeden.

— Jakto co zechcesz? a jak zechcę....

Tu myśl nie przyszła czegoby mógł zażądać, i dodał z uśmiechem: — A na co lufa?

— Juściż to wiesz spodziwam się.

— Bo z pozwoleniem pana, pan myśli, że to lufa strzela?

— A cóż?

— To najprzód panie, że ja mam taki sposób na kule, a do tego panie, że to trzeba umieć.

Znowu śmiechy i budnika poczęto poić, rozgrzewając go i wódką i rozmową. Pan Maciej wszystkie zęby miał na wiérzchu, tak w doskonałym był humorze. Strzelił raz trzeci i czwarty z równém szczęściem.

Kazio porwał strzelbę budnika i chciał tój samój sztuki spróbować; Maciej spoglądał z flegmą gdy mierzył i splunął gdy chybił.

— Cóżto u diabła? mógłżem chybić.

— Najniezawodniój—rzekł Jaś rzucając dziesięć dukatów — kwituję z reszty; idź najedz się do kredensu i bywaj mi zdrów.— Budnik ucałował rękę pańską i pozostał długo w podziwieniu nad złotem, które piérwszy raz w życiu posiadał, nie wiedząc czy za nie kupić wioskę, miasteczko czy kilka mil lasu.

Starannie wreszcie skarb ten zawiązawszy w węzełek, w którym już znajdowały się dwa trzygroszniaki poważne, wyczyściwszy strzelbę i nabiwszy ją łostkami na wszelki przypadek, posunął się najprzód do kredensu, potem na folwark.

Tu potrzeba mu było uzyskać za kwitem należną mąkę, którą kum Bartosza, kowal dworski, obiecał odwieźć do Osikowego Ługu. Ale dajże sobie rady w takim dworze, nawet z rozumem Macieja! Najprzód nie było ekonoma, potem nie było pisarza, nareszcie nie było gumienego, który wiedział o przysiężnym; a gdy przysiężny przyszedł, nie miał kluczy, gdy się klucze znalazły, pokazało się w ostatku, że nie ma mąki. A zatem kowal pożyczyl skarbowi, za co skarb z lichwą miał mu oddać; dość, że szczęśliwy Maciej siadłszy na wóz, już miał wyruszyć z workami i kowalem, gdy zaufany pana Jana sługa, który raczej na podpanka niż na służącego wyglądał, wstrzymał go kiwając nań ręką zdaleka.

— Wasan jesteś syn Bartosza? — spytał od niechce-  
nia, spoglądając razem na Macieja i na wyjęty z kieszeni  
złoty cylinder.

— Tak, syn rodzony Bartosza, nazwiskiem Młyński.

— Hm, a cóż tam u was bięda?

— O! sroga biędzisko.

— Poco bo się tam w téj budzie kwasicie? hę? Wszak  
masz siostrę?

— A jeszcze jaką śliczną!

— Stara pani nasza obiecuje ją wziąć do garderoby;  
i tybyś może znalazł służbę we dworze, naprzykład na  
strzelca.

— Zapewne, co ja na strzelca i rodziłem się; a co do Julusi, to się pana ojca patrzy, nie mnie. Albo ja wiem czemu jęj nie oddaje? niechajby oddał.

— Powiedz tam ojcu niech ją przysśle.

— Alhoto oni mnie posłuchają!—Ruszył Maciej ramionami —A potem téz pojechali do miasteczka.

Kamerdyner uśmiechnął się. — No, to jak powróci.

— A do czegożto mówiliście mieli wziąć Julusię?

— Do garderoby!

Maciej długo milczał, rozważając co by to miało znaczyć, nareszcie odpowiedział:

— Pewnie tatulo nie zechce.

— Zechce, nie zechce, a ty powiedz swoje — dodał gładząc bokobrody służący—jeśli rychło jęj nie oddadzą, to potem i miejsca nie będzie.

Zawrócił się kiwnąwszy głową i odszedł.

— W istocie, mówił sam do siebie —nieszpetny dziewczak się robi, a w nędzy to to zparszywieje. Paniczowi raz wraz na myśli ta dziewczyna, a tu już we dworze same tylko łupinki. Nudzi się biédaczysko. Tylko że to sprawa ze starym Bartoszem! Bodaj żeby nie było ciężko. Ale takiz nas nie pozabija.

Ruszył ramionami i ziewnął.

— Trzeba pospieszyć rozporządzić się wedle śniadania, bo to ta szuja wiecznie głodna, zre, zre, a nigdy się naćkać nie może. A za karty gałgany szachrują i nie płacą. Szerepetki! tfu! Za całą noc wszystkiego piętnaście rubli, trudno się nie pogniewać. Skąpcy! bodajto nasz! A! tylko że go drą na wszystkie strony niemiłosiernie. No! jest bo co i drzść. Kiedy pan to pan! Piędzy zawsze huk, a kiedy da to garścią.

Ziewnął znówu.—Nieszpetny dziewczak, i kurczę to jeszcze młode, możebyśmy przy niej dłużej powisieli; a tu nam nie nastarczyć, coraz co nowego: dalej i na cztery mile wkoło nie dostanie. — I tak pomrukiwał wedle swego zwyczaju idąc ku dworowi, gdy Maciej tymczasem na furze z kowalem, powoli ciągnął się do budy. Nim się naprzód wybrał i jeden i drugi, nim się pod las po grobelce dobili, dobry był już zmiérch, ale mimo ciemnej nocy, na którą się zabięrało, nie obawiali się wcale zabłądzić. Znali oba doskonale drogi i drożyny, nawet te, któremi w bór po drwa jeżdżą, nie prowadzące nigdzie, krom porębów dalszych za błotami. Maciej poczęstowany kilkakrotnie czuł usposobienie do snu i kiwał się na workach; kował fajkę palił i dumał. Niekiedy zamruczał coś pod nosem budnik, Burek jakby dając znać o sobie że niedaleko ubiegł, zaszczekał, wóz zapiszczał, gałęzie zaszumiały i jechali dalej.

Smutny las w nocy, zwłaszcza gdy go jeszcze nie okryły liście. Te sterczące na mglistém niebie kościotrupy drzew suche, ten szum łamliwy i szorstki gałęzi, wcale różny od wesołego liści gadania; krakanie wron, które w najobrzydliwszą porę najbardziej rade się odzywają, i hukanie sów i wycie wichru, najweselszego jakimiś przepowiedniami zniszczenia zasmucić muszą.

Podróźni nasi, zatrzymali się u karczemki Jankiela, przed którą stały dwa wozy i dwa konie wierzchowe; kowalowi bowiem fajka zgasła, a Maciej chciał się napić choćby wody. Zleźli więc oba z wozu i zarzuciwszy trochę siana koniętom, a bardziej jeszcze kozom żydowskim i krowie, która z powagą wybierała między podróżnych zapasami najświętszą paszę, weszli do oświeconej izby.

Gwar był wielki i ludzi dosyć. Koło komina kupa wieśniaków z fajeczkami, przy stole z waszecia coś i z żołnierska się zwijało; w komorze pan gumieny głąskał pod brodę Sórkę, popijając wiszniak. Jankiel stał na przypiecku rozgarnawszy poły, i nogi wyjęte z pantofli z kolei to jedną to drugą ogrzewał przy piecu. Spojrzał tylko na drzwi gdy wchodził kowal i Maciej, i splunął.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

Dwóch odstawnych żołnierzy stojących przy stole obejrzeni się. Jeden z nich natychmiast rzucił się żywo, porwał za ramię Macieja i zawołał:

— Ot i on!

— Co za on?

— Ot! on jest! ot jest! — powtórzyli żołnierze oba. —

Nu! to szczęście — I nim jeszcze Maciej zagłupiony i nie mogący pojąć co to znaczy przyszedł do siebie, odebrali mu strzelbę, pochwycili od niego torbę, skępowali w tył ręce.

Budnik osłupiałym wzrokiem toczył wkoło, wszyscy kupili się koło niego.

— Co to? Co to? pytali ludzie — za co?

— A te gałgany budniki, to konie kradli. Dziś pan Pomocnik złapał ojca co prowadził je, a oto synalek, za którym nas posłali; sam w ręce wpadł.

— Nu! ruszajmy do miasteczka! ruszajmy! Noc się robi.

I nie czekając chwili, spiesząc się tak, że nawet zapomnieli za wódkę zapłacić, wynieśli się co najrychlej z karczmy. Kowal sam pozostawszy, rozmyślił się z mąką jechać choć po nocy do budy w Osikowym Ługu, i dać znać Pawłowéj i Julusi, że ojciec i syn pobrani zo-

stali. Byłoto poświęceniem z jego strony, ale téżto był pobożny i poczciwy człowiek; panów kochać i służyć im umiał. Panowie, Bogiem a prawdą, tyle się jemu i rodzinie dali we znaki, że porachowawszy ściśle co doznał i co czuł, nienawiść jego trzeba mu było przebaczyć.

Dwóch dworskich przytomnych wzięciu Macieja, powróciwszy wieczorem do Sumaczój, wypowiedzieli o tym wypadku w oficynie. Dowiedział się i służący pana Jana i panna Tekla, która o wszystkiém wiedzieć była zwykła, i pan Jan, bo mu zaraz o tém zausznicy znać dali.

Wywołany do sypialnego pokoju pan Jan, wysłuchawszy doniesienia służącego, wzgardliwie piękne usta skrzywił i rzekł:

— Jednakże to łajdaki! Patrzcie, konie kradli. A wszyscyście mi mówili o tym starym Bartoszu, że poczciwy, dumny i ciężki człowiek. Widzicie jak nie znacie ludzi!

— Terazby pora wziąć dziewczynę do dworu?

— Jak uważasz, rób tam sobie co chcesz z panną Teklą. Niechaj ona po nią pośle, mnie nie uchodzi; już i tak gadają. A potem zobaczymy.

## XI.

Wieczorem już późnym, weszła panna Tekla z zafasowaną minką do pokoju, w którym stara podkomorzyna robiła pończochę i odmawiała koronkę. Po twarzy swjej ulubienicy poznała zaraz zacna staruszka, że ma coś coby powiedzieć chciała, a raczej czegoby chciała, żeby się od niej dopytano.

— Cóż tam moja Teklusi?

— Wiatr i śnieżek pruszy.

— A! to biada! A tu bydełku paszy potrzeba. Ale coś ty moja droga masz minkę skłopotaną.

— O! nie! nie!—odpowiedziała panna siadając do roboty przed świecą.

— Ale kiedy ja bo już widzę. To znowu sobie jakiś kłopot cudzy za swój, twoje dobre serce przyjęło.

— Doprawdy pani, że nie.

— Ale kiedy ja cię zawsze poznam moja kochanko.

— Ale nie droga pani. To nic, to tak, doprawdy.

— Powieździe mi proszę cię. Ja od razu poznałam, że coś ci jest kiedyś wchodziła; ty nic ukryć w sobie nie umiesz.

— Ale bo, droga pani...

— Każę ci, mów, proszę bardzo, mów mi zaraz panno Tekło, bo się gniewać będę. Słyszałaś, że mówiłam ci, każę.

— Nie chciałam pani mówić, bo doprawdy. To znów o tych nieszczęśliwych budnikach, o których już razy kilka wspominałam pani.

— Cóż im tam?

— Nieszczęście, prawdziwe nieszczęście. Wszakto pokazuje się, że ojciec a podobno i syn należeli do szajki złodziejskiej.

— Jezu Maryja! czy to być może?

— Teraz pobrali ich do miasteczka, a ta nieszczęśliwa Pawłowa wdowa (coto JW Pani dawała jej maść do nogi) i córka Bartosza Julusia, same jedne i bez kawałka chleba zostały.

— To potrzebaby ja zabrać do dworu.

— A! doprawdy, toby był prawdziwie miłosierny uczynek. Ta młoda nadewszystko, to bardzo dobre dziecko, a tak opuszczona zwać się może.



— Ale moje serce, nuż jakie nic dobrego?

— Gdzie tam JW Pani, to ledwie może ma rok piętnasty!

— I jak to wygląda, bo ty się cudownie znasz na fizygnomii. Nigdy nie zapomnę, jakieś od razu poznała tego Piotra, który mi potem tak swemi głupimi oskarżeniami na wszystkich dokuczył, i Dorotę, co wiesz?

— Śliczne dziecko i zdaje się dobrze jęć z oczów patrzy; tylko, Bóg to jeden wie, co jeszcze z nięć być może.

— Tak! Bóg to wie i Bóg jeden moje serce, nawet już zepsutego łaską swoją nawrócić i na drogę dobrą wprowadzić może; nasz obowiązek, wyciągnąć rękę potrzebującemu pomocy. Zadysonuje moja droga konie po nich jutro. Niech mój Paweł jedzie wielkim wozem i sprowadzi tu te biedactwo. A za to żeś mnie naprowadziła do dobrego uczynku (podkomorzyna zdjęła z palca pierścioneć i oddała go pannie Tekli, która całując kolana i płacząc niby, przyjęła go).

— Co to za serce! co to za serce złote! — powtarzała staruszka.

Jak świt nazajutrz wysłano karecianemi końmi pana Pawła po Pawłowę i Julusię.

## XII.

My go uprzedźmy do budniczej chaty.

Cały dzień przeszły, siedziały kobiety same jedne oczekując Bartosza, a potem Macieja. Ostatniego wszakże znając z gapiowatej ciekawości, rychlej jak późnym wieczorem nie spodziewały się.

Długie próżne oczekiwanie na starego Bartosza, napełniało je niepokojem; nigdy bowiem wyjechawszy z domu za interesem i bez strzelby, tak długo się nie bawił: owszem, zwykł był rychlój niż się go spodziewano, powracać.

Z ludźmi swojego stanu, Bartosz nie gardząc niemi, nie unikając od nich, przestawał jednak niebardzo chętnie, zbywał milczeniem; czując się i rozumem i uczuciem daleko od nich wyższym. Wyżsi nie umieli go ocenić, bo sukmana zakrywała im człowieka; żydów stary cierpieć nie mógł, *pijawkami* ich pospolicie nazywając; wódki prawie nie pił: jedno co mu mogło czas ubiegający skrócić to las, samotność w nim i cisza. Zrodzony wśród lasów, od dzieciństwa do nich przywykły, tęsknił po borach i obejść się bez przechadzki codziennój nie potrafił. Nie było dnia szarugi, zawiei, śnieżnicy, dżdżu czy burzy, by przynajmniej godzin kilka pod gołym niebem nie strawił. Ze strzelbą na ramieniu, nie miał równego sobie myśliwca, łowcem był niez mordowanym i niepokonanym; bez niej chętnie zadumywał się wśród szumu borów, a nie cierpiąc próżnowania, które śmiercią nazywał, zawsze z czémś użytecznym powracał do domu. W porze grzybów zbierał grzyby; to jagody, to zioła lekarskie, to korę lub naczyńko jakie wystrugane, sprzącik, sidła na ptaki i tym podobnie.

Zdawało się, że przy pracy zapominał jakiéjs wielkiéj boleści, którą starannie taił, chociaż ona mu ciążyła widocznie. Okoliczni budnicy szanowali go jak patryarchę, radzili się go jak ojca, bali jak swojego naczelnika, chociaż słowy tylko był srogi.

Często na pniu przed chatą, na wywróconym ulu w polance usiadłszy, otoczony swoją bracią budnikami, gdy

z upartego milczenia ożywiwszy się wyszedł i usta otworzył, opowiadał im dawne dzieje, stare podania, które najlepiej pamiętał. Nazywał im po imionach i przyzwiskach pradziadów ich i dziadów dawno pomarłych, z ich życia dotykając to tylko, czém się wnukowie pochłubić i nauczyć mogli. To znowu sądził spory i godził waśni sąsiedzkie. — Myśmy, mawiał, garścią tu obcych wygnańców, powinniśmy być tém poczciwsi, pracowitsi i lepsi od drugich, bo my tu cudzy, a z nas sądzić będzie lud tutejszy o ojcach naszych i krwi całej, i ziemi rodzonej, z której nas czarna dola spędziła. Ubodzyśmy, to i Chrystus był ubogi i Józef cieślą się nie wstydał nazywać; pracujmy; biedniśmy, cierpmy a nie skarżmy jak baby, bo to i na nic się nie zdało i ludziom tylko śmiech.

W krótkich słowach często im wielkie dawał nauki; potem gdy widział, że je między sobą wzięwszy na rozum rozbięrać poczynali, rzucał ich, i smutny a milczący chwyciwszy strzelbę, szedł w las dumać i wytchnąć tam z sobą. Umiejętność leczenia ziołami, zwłaszcza ran i wścieklizny, niemało do niego ludu sprowadzała dawniej; teraz zabroniono mu tego i ukradkiem chyba kto się przywłókł.

Maciej nie miał biedaczysko serca u ludzi, a śmielsi nawet sztydził z niego; najzyczliwsi zaś kończyli o nim mówiąc: nie udał się w ojca.

— Ale coto jest, że Bartosz nie wracają? — mówiła Pawłowa wyglądając coraz oknem.

— Może w lesie — odpowiedziała Julusia — a wy wiecie, że w lesie gotowi się zapomnieć i do nocy.

— W lesie, po nocku! bez strzelby! A katażby tam robili! I Maciej bo głupi, jakby nie wiedział że chleba

niema, a mąka nam bardzo potrzebna! Ot oślisko i po wszystkim.

— Kochana pani Pawłowa, alboto my wiemy czego to on się tak opóźnił? Może...

— Jużto taki w tém nie chybi, jest jakieś лихо— szeptała stara — niedarmo się zrana sól wywróciła. Pamiętam, kiedy mój nieboszczyk szedł w tę nieszczęśliwą godzinę, co się miał pobić z tym krzywonosym a potém tak zmarnieć, to i wówczas także sól mi się z drewnianką wywróciła. I także na prawą stronę. A tu miérzchnie, dalibóg że miérzchniel

Zapalono łuczywo w bondurze, i dwie kobiety zaczęły prząść w milczeniu, przerywaném tylko niekiedy przysłuchiwaniami się zwodliwemu szumowi wiatru, który zdawał się to chodem ludzi, to turkotem wozu. Już się i dobrze zciemniło.

— No, jużto taki nie bez kozery — mówiła Pawłowa pokaszlując — gardło dam, że tu djabelska jakaś sztuczka jest. Stary nigdy się tak bez strzelby nie zabawią; a Maciej, choć taki Boże odpuść głupi, ale też i tchórz po nocy, i w lesie włóczyć się po zmiérzchu nie lubi.

— A jak kowal konia nie dał?

— To nie może być, kum. A zresztą kto go wie? może, może! Ja taki zawsze mówiłam, że to chytra sztuka; wiele obiecuje, jak przyjdzie do rzeczy zwłaszcza taki mnie, to na obwinienie palca nie zrobi nic. Zawsze mówi: daj mi asani pokój. Chłopsisko! O jużto z chamem to i w kumy zadać się nie warto; taki cham chamem.

— Ej! ciotuniu! a przeszłego roku na przednowku kto nas ratował?

— Wielka mi rzecz! taki bogacz, sam nie wie o swoich skarbach; kapnął tam co mu z nosa spadło: nie warto o tem i gadać.

Julusia nic na to nie odpowiedziała. Słuchały znowu, nikt nie przybywał.

— Dziw to dziw—odezwała się znowu Pawłowa po chwili, niecierpliwie kręcąc głową—od ilu lat tu jestem, nigdy tego nie bywało.

— O! byle tylko nie jaki przypadek—mówiła ze łzami Julusia. — Te konie cudze, z którymi ojciec pojechał, młode, boję się, żeby go nie uniosły, nie rozbiły.

Stara poskrobała się w głowę i mruzczała: — Już nie darmo sól się przewróciła, a gdy wychodzili z chaty, to wrony jak najęte krzyczały.

Wtém wóz kowala zdaleka turkotać począł.

— Ot i Maciej jedzie!—zawołała Julusia—a ojca ani słychu. Chwalić Boga, że choć brat jest, wysłemy go zaraz za ojcem do miasteczka.

Wóz zatrzymał się przed chatą i Julusia boso wybiegła z łuczyną aż na podwórze.— Macieju! Macieju!—krzyczała — nie wiecie co o ojcu, nie widzieliście go. Wszak do téj pory nie ma.

— Niech będzie pochwalony. Dobry wieczór.

— A to wy kumie, gdzież Maciej?

— Maciej—rzekł skłopotany kowal — Maciej...

— Jakto i Macieja nie ma! Cóżto się stało? To ojcu jakiś przypadek się zdarzył. A! mój Boże!— I rzucając łuczynę z krzykiem załamała ręce.

Pawłowa narzuciwszy kożuszyne, bo kaszlała, wyszła także do sieni.— Gadajcież kumie, gadajcie!

Kowal szukał w głowie co miał powiedzieć, i z trudnością zebrał się na kilka wyrazów.

— Bóg z wami! nie truście. Nie ma nic tak złego. Wy musicie lepiej wiedzieć odemnie, co to za głupia sprawa zatrzymała i ojca i Macieja w miasteczku. To o jakieś tam konie, dla świadectwa ich obu zatrzymał Pomocnik.

Stara Pawłowa pokiwała głową, Julusia zaczęła gorzko płakać i ledwie odpowiedziała ze łzami: — Ale to nie może być, żeby oni byli co winni; my wam zaraz opowiemy jak to było.

— Niechżeno ja wprzódymąkę zniosę — odparł kowal, i dźwignął jeden worek.

Cały wieczór potem trwało rozprowadanie obszerna wczorajszego przybycia żydów, które Pawłowa dziwnymi pomysłami ozdabiała. Nareszcie dobrze po północy, kobiety ustąpiły do alkierza, a kowal układał się w piérwszej izbie na ławie.

Szarzało kiedy powstawali, Julusia całą noc we łzach spędziła. Nim się kum wybrał napowrót i konie też przysłane przez podkomorzynę nadeszły. Wielkie było podziwienie naprzód, potem radość niezmierna Pawłowój, która wszakże pokryła ją udanym frasunkiem, starając się przekonać Julusię, że nie gardząc łaską pańską jechać należało.

Dziewczyna sama nie wiedząc czego płakała; kowal pocieszał ją opowiadaniem o dobroci starej pani. Chatę bez obawy szkody, boć tam w niej nic nie było, powierzono na straż sąsiadowi Marcinowi budnikowi, a krowę i kozy kowal zabrać z sobą przyrzekł. Wyjazd postanowiony został i obie kobiety już się około niedługo wyboru krzątały.

## XIII.

My opuścmy Julusię, odjeżdżającą we łzach do dworu, i Pawłowę, która łzy udaje, pociąga nosem, oczy wyciera, spluwa, charka, w sercu się radując próżnowaniem i dostatkim przyszłym; powrócmy do miasteczka, gdzie stary Bartosz i Maciej uwięzieni siedzą.

Na starcu przekonanym o swęj niewinności, nie mogącym pojąć, aby go jakimkolwiek, bodaj najniepoczciwszym sposobem uplątać miano w sidła; stan nowy zupełnie dla niego, czynił w początku wrażenie lekkiej rany, któraby nie będąc śmiertelną, srodze wszakże bolała. Lecz gdy po pierwszym i drugim dniu z początków śledztwa przekonał się, jak misternie żyd uplątał się na jego zgubę, ponura rozpacz opanowała starca, któremu nie tak kura, jak hańba występku była straszną. Jemu, co się nigdy nie zmazał niczém, na starość posądzonym być za złodziejstwo, uwięzionym ze złodziejami! karanym jak złodziej! W pierwszych chwilach, o mało nie oszalał, potem przetrwawszy je upadł na słomę i począł gorąco się modlić; nareszcie zachorzał. Zwolna i zdrowie staremu po troszce wracało, ale smutek i rozpacz zostały.

Maciej tymczasem przywołany do śledztwa; obwiniony o uczestnictwo, trzęsiony po więzieniu i znaleziony zbyt na budnika bogatym, bo miał dziesięć dukatów; zmieszał się jak winowajca, usiłował wytłumaczyć, jękał, bękał, ale im dłużej mówił, tém mocniej pętał. W sprawie ojca jął odpowiadać tak, jakby go chciał umyślnie potępić. Było to tylko głupstwo. Pomocnik poddawał mu odpowiedzi, on je za nim powtarzał, a za

jego słowy pisano zeznania, które Maciej wielkim znakiem krzyża na końcu utwierdzał.

Gdy staremu odczytano zeznanie syna, popatrzał ponuro i zamilkł. Odtąd postanowił nie odpowiadać i słowa na żadne pytania, nie tłumaczyć się i nie uniewinniać wcale. Zdał sprawę swoją na Boga, a w dumie swój i cnotie uwziął się na stoickie milczenie i wytrwałość.

Maciej na pierwsze zapytanie: czy widział kto konie przyprrowadził, odpowiedział że Bramko; który gdy krzyknął mu głośno że łże, poprawił, że był tam jakiś żyd nieznajomy.

Napisano więc nieznajomego tylko żyda. Bramko, że sam pierwszy doniósł, gdzie się konie ukradzione znajdowały, uprzedził, że pewnie na niego przez zemstę potwarz rzucac będą.

Potem spytany czy konie za pozwoleniem ojca zostawiono u niego, odpowiedział że nie. I znowu na lepszą drogę naprowadzony argumentem bardzo silnym, poprawił się, że żyd coś szeptał, że on nic nie słyszał, że o niczem nie wie, że może była jaka umowa.

Spytano dokąd prowadzono konie; zaklął się naprzód, że ojciec jemu kazał je do miasteczka do Pomocnika odprowadzić, ale zakrzyczany znowu, dodał natychmiast, że ojciec sam zaraz siadł je wieść, a on nie wie dokąd i po co.

W ostatku dobadywany jeszcze, czy żydzi często tam bywali, nagadał ile razy ich gdzie w lesie widział i zeznał, że u Jakóba Paciorkiewicza budnika, często konie podejrzane widywano. Słowem, poplótł Maciej niestworzone rzeczy, prawdę i fałsze i takie półsłowa, które spisujący kancelista mógł powywracać jak chciał; czego nie



omieszkał też uczynić i skierować je na najpewniejsze potępienie budników.

Bramko swoje doniesienie i zeznanie ułożył bardzo zręcznie i to zabójczém było dla starca. Nie było komu ani się za niego ująć, ani posmarować, ani chodzić i prosić. Córka, której kłamano że ojciec co chwila ma powrócić, nie wiedziała całkiem o położeniu jego i niebezpieczeństwie; bracia budnicy siedzący w lesie, nim się rozstuchali, nim naradzili, nim namyślili pójść, nim to uskuteczнили, wiele a wiele upłynęło czasu nienagrodzonego.

Już i liście na drzewach zapachem napełniały powietrze, a starzec jeszcze siedział w duszném, zamkniętém, miejskiém tak zwaném więzieniu. Lecz jak zmieniony, jak zestarzały, jak znędzniały! jak strapiiony i własném położeniem i niedołężnością syna i niepokojem o córkę o którą się lękał, i spodleniem, które go spotkało! Ciężko było poznać!

Duma i powaga, które tę piękną twarz niedawno jeszcze tak charakterystyczną czyniły, zmieniły się teraz w rozpacz niemą i głęboką milczącą boleść; przywalony zdawał się o kilka lat starszym, na skroni jego ciemny włos nagle poczynął się srebryć i bielć. Dokoła oczów zapadła skóra i porysowały się marszczki, a usta zacięte silnie, z trudnością nawet na westchnienie otwierały się; tak je wola starca rozkazem milczenia zamknęła potężnie.

Macięż ogłupiony bardziej jeszcze, nie wiedząc co się z nim dzieje, najspokojniej znosił uwięzienie i godził się ze swym losem. Mawiał tylko czasami, że boi się jak ich uwolnią, aby go tatuło nie połajali. Nie chcąc czasu tracić, uczył się fajkę palić.

## XIV.

Gdy się to dzieje w miasteczku, druga scena tego biédnego dramatu, odegrywa się we dworze.

Pawłowa z Julusią przybywszy do Sumaczej, osadzone zostały: jedna w garderobie podkomorzynéj, druga na folwarku jako pomocnica klucznicy. Każdy tu niezmiernie pomocnika potrzebował, bo nikt nic nie robił i rad był zwalić ciężar na drugiego, nie czując się wcale do obowiązków. Tak nierozważna dobroć psuje ludzi.

Tymczasem korzystając z uwięzienia starego Bartosza, którego dworacy znając lepiej od pana, obawiali się; zastawiono sidła na jego córkę. Podkomorzyna przez litosć, pomocnicy pana Jana przez rachubę, obdarzyli ją wykwintnym ubiorem i wszystkiém czego dotąd brakło ubogiemu dziecku lasów, przywykłemu stroić się w kwiatki tylko;—wszystkiém czego nie znało nawet, a do czego nie znając jako kobiéta wdychało. Sukienki, koszulki, fartuszki, bursztyny i korale na szyję, chusteczki kwieciste na głowę, trzewiczki foremne ze świecącój skórki, pończoszki białe i wstążki ponętne a wabiące oczy; wszystko to zleciało się do kufereczka Julusi, która choć smutna i strwożona, choć tęskniła za ojcem, nie miała siły, żeby te dary niebezpieczne odrzucać od siebie.

W zwierciadelku tak jój z tém było pięknie, gdy się w niedzielę przystroiła do kaplicy!

Często, często rozpytywała się o ojca, ale jój odpowiadano coraz nowemi kłanastwy lub nowemi nadziejami, uspokajając niebogę. Szczególniej Pawłowa, którój wierzyła Julusia, a która Boga w sercu nie miała, prawila jój to to, to owo; od dnia do dnia powrót Bartosza od-

wlekając, obiecując, oznajmując, donosząc jej fałszywe słowa, któremi ją niby pozdrowiał. Drżała wprawdzie na myśl jego powrotu, ale zdawało się jej potem i tem się uspokajała, że ciężko obwiniony nigdy już na swobodę nie wyjdzie.

Z długiej nędzy, z niedostatku, chłodu i głodu, z ciężkiej pracy, kiedy się młodość pragnąca życia wyrwie na światło, pogodę, do dobrego bytu i swobody; jakże nagle zamaszysto a szeroko bije serce, jak myśl ulata potężnie!

A wśród tego żywota nowego, ilekroć chmurka ma je zaćmić, jak sami kłamiemy sobie, że to nie chmura burzy, ale obłoczek deszczowy co tylko ziemię spragnioną orzeźwi. Lękamy się utracić chwili drogiej, wprzód niespodziewanej nawet, teraz warunkiem już życia będącej.

Przeszłe życie Julusi wśród głuchego lasu, wśród ciężkich znojów, często w niedostatku, którego wyobrażenia mieć nie możemy; tłumaczyło ten zapal i pragnienie wesołej, słonecznej chwili. Wspomniawszy na te dnie długiego milczenia, nieprzebyte, nieskończone, oblane łzami i potem, snem głodnych marzeń zamknięte, i samotność niczem nieprzerwaną; dziewczyna dostawała dreszczu i w głowie jej się kręciło.

Tu rówiennice, przyjaciółki, piosenki, i zabawy wesołe i przechadzki swobodne i tańce niedzielne i słówka pochiebne i jakiś raj w przyszłości świecą; czarną i okropną robiły przeszłość.

Zwykłej do pracy, do milczenia, do połajañ, łagodne i pieszczone obejście, wygody życia, stroje zalotne, uśmiechające się twarze, dnie spoczynku po dniach zabawy, dnie zabawy po dniach spoczynku, błogiem czy-

niły życie; nie wiedziała czy można było jeszcze życzyć czego, pragnąć więcej, chyba ojca przy sobie, wolnym i szczęśliwym jak ona była.

Węza co pełznął pod tym wieńcem kwiatów, nie wiedziało dziewczę jeszcze. A pan Jan często i nadto często począł się przechadzać do oficyn, i panna Tekla z Julusią, którą w szczególną wzięła opiekę, nierzadko téż robiła wycieczki ku dworowi, tak, że się prawie zawsze w lipowej ulicy spotykało z paniczem. Julusia dzika jak leśna koza, kraśniała, płonęła, mieszała się, spoglądała z pod oka; podobał jój się ładny chłopiec, ale zrozumieć jeszcze nie mogła, jaki jój los gotowano.

Czasem błyskawicą prześliznęła się myśl po głowie: a nuż panicz pokocha? I westchnęła i dumiała i śmiała się jak z marzenia.

Julusia nie była już nieświadomém dziecięciem, bo nędza i cierpienie dojrzewają rychło i uczą wszystkiego: złego i dobrego, a nad ich oddech nie ma straszniej trującego wyziewu; ale nauki ojca i własna myśl nie dozwalały jój pomyśleć nawet, żeby chwili upodobania i szalu miała siebie poświęcić; ile razy pan Jan myślami gorącemi zajął jój młodą głowę, śniła że ją pokocha i jak w bajce—z nią się ożeni.

Zdawało się jój to naturalném bardzo, a w zwierciadelku twarzyczka mówiła:—to być może! to być może!

Tymczasem co dnia, co godziny, oswoiwszy ją, powoli ścieśniano zastawione sidła. Ale środki użyte na biedne leśne dziewczę, złe były właśnie dlatego, że nie dotykały ani jój głowy, ani serca; zamierzając zgubić ją w sposób gwałtowny, zwierzęcy, przemocą i siłą.

Przemocy pojąć, przypuścić nie mogła; a dumném ciemnych oczu wejrzeniem, odtrącała zuchwałych daleko,

nie pozwalając nawet przybliżyć, nawet się dotknąć do siebie. Za serce, za głowę, nikt jej ująć nie umiał; panicz choć ją lubił, kochania grać, ani okazać nie myślał, a gdyby je czuł nawet, kto wie? możeby się wahał prostej dziewczynie objawić. Zdawało mu się, że się wszystko kupuje i za wszystko płaci.

Wreszcie gdy opór niespodziany a dumny i wzgardliwy niecierpliwie poczynał, a Julusia zastanowiwszy się nad sobą, tak uparcie zamykała się w garderobie, że z niej krokiem ruszyć nie chciała; gdy wszelka nadzieja dla panicza upadła, a sidła zostały próżne i daleko, potrzeba było o zmianie ich pomyśleć.

Po długiej naradzie z pokojowcem ulubionym i panią Pawłową, postanowiono: że sto razy lepiej, dogodniej i bezpieczniej będzie odwiedzić dziewczynę z starą ciotką do budy w lesie i tam tylko opatrzyć je we wszystko, by zdaleka od oczu, w głuchej ustroni odwiedzać gdy się podoba. Postanowiono wyporządzić i rozszerzyć budę, nieszczędzić podarków, działać przez namowy Pawłowej, która się podejmowała być szatanem kusicielem, nasyłać na Julusią dziewczęta garderobowe podkomorzynę, muzykę, dworaków; słowem, nie oglądając się na nic, szybko i wszelkimi środkami dążyć do celu! We dworze między innymi niedogodnościami, lękano się i tego, by wiecznie ślepa pani podkomorzyna, nie opatrzyła co się dzieje, a dziewczyna nie wygadała się z czem przed nią dziecinnie.

Pannie Tekli wmieszanej do haniebnego spisku, łatwo było wytłumaczyć przed starą panią, że Julusia nadzwyczaj tęskni za swoją chatą i lasami, że do nich przywykła bardzo, a dniem i nocą tajemnie płacze, nie

śmiejąc nic mówić. Ulitowało się dobre serce staruszki, i z dodaną Pawłową i stróżem ze dworu, wyprawiono obie nazad obdarzone, z bogactwami nieledwie, postarawszy się wprzód o powiększenie chaty, zaopatrzenie spiżarni, a na miejsce chudój krowy i dzikich kóz, piękne bydełko postawiono w obórce.

Lecz godził się szczegółowo malować tę część naszego obrazka, tak znajomą, tak pospolitą? Godził się po setny raz rozwijać przed wami historią uwiedzenia, które im łatwiejsze, tém sroźszej może warte jest chłosty! Potrzebaż opisywać i wieczorne odwiedziny w puszczy pana Jana, i zdradliwe namowy Pawłowej i upór Julusi i szal który nareszcie młodą zakręcił głową i wszystkie sposoby bezecne, jakich namiętność użyć nie wahała się?

O! zwierzę nie może być obrzydliwszém od spodłonego człowieka.

Cienie lasu pokryły zbrodnię popełnioną bez serca, w imię serca, z zimnym namysłem i rachubą, z lekkomyślnością występłą, z uśmiechem potępieńca. Jedną Pawłową a z nią szatan uśmiechnęli się tej chwili, którą wiele łez gorzkich obmyć miało.

Julusia została ulubienicą pana Jana, ale wkrótce wstręt, pogarda, rozpacz, zachwiały słabą jej głowę. — Przechodziła z szalonego śmiechu do łez nieutulonych, tłukła głową o ściany, rwała piękne czarne włosy, łamała ręce i latała jak obłąkana po łące i po lesie, powtarzając: Ojczel! Ojczel!

Wkrótce gdy Jan przybył z postawą pewną siebie i zwycięzką, odtrąciła go silnie, a nachmurzywszy brwi, przystąpić mu nawet do siebie nie dała. Ten dziki opór rozjątrzył tylko rozpustnika, i gdyby był rachubą,

korzystniejszym dla Julusi byłoby nie mógł. Opór ten i wzdąta, przywiązały panicza do biédnej dziewczyny.

Wyrzuty, obojętność, smutek i rozpacz ciągnęły go silniej może do chaty budnika, nizeli miłość, próoby, lzy i zaklęcia.

Pawłowa tymczasem mocno się zadumywała i niepokoiła, poglądając na Julusię.

— A to szatan dziewczka! — mówiła na przypiecku siedząc i głaszcząc ulubionego burego kota. — Licho wie co to tam w téj głowie; gdzie i ojowska krew. Dumne, głupie a niepokonane! Co to ubogiemu tak się z sobą drożyć! Oj! gdybyto Pan Bóg dał drugi raz młodość, wiedziałabym ja co z nią zrobić! A tymczasem żeby tylko lichu starego nie przyniosło, bom gotowa gusa oberwać albo i gorzej.

Jednego ranku nareszcie Julusia przepłakawszy noc całą, znikła nagle z chaty. Pawłowa sądziła, że ją uprowadzono do dworu, ale Jan nadszedł wedle zwyczaju i przestraszył ją zapewnieniem, że dziewczyny nie było we dworze. Rozbiegli się tedy jój szukać, i wieczorem dopiero znaleziono biédną w głębokim lesie, nawpół obnażoną, z rozpuszczonemi włosy, siedzącą na pnium z oczyma osłupiałemi, z usty skrzywionemi uśmiechem, obłąkaną zupełnie.

Wielki był przestach pani Pawłowój, i pierwszy raz może Jan uczuł dreszcz jakiś przebiegający od ciała do duszy, ściskające się serce, oczy krwią zabiegające. Niecałkiem jeszcze zepsuty, pojął nareszcie swą zbrodnię. Odtąd codziennie przybywał do obłąkanój i tu dnie całe prawie pod pozorem polowania trawił.

Dziwne było obłąkanie Julusi. Niekiedy ale rzadko w szat i wściekłość prawie przechodząc, uspokajało się

rychłym strumieniem łez, a potem zléwało się w słodkie jakieś marzenie, jakby senne widzenie, pełne czarownego wdzięku, a przerażające dla świadków — bo za nié m stała straszna rzeczywistość.

W szaleństwie rzuciła się na Pawłowę i innych przytomnych z czém miała; często nożem krwawiła sobie piersi chcąc się zabić, leciała do wody żeby utopić, szukała sznura starając powiesić! W każdym izby kącie widziała czarne oczy ojca, poglądające na nią z boleścią i wyrzutem. Zakrywała się od nich chustą i widziała wejrzenie ojca przez nią; narzucała na siebie wszystkie suknie swoje, kryła w najciemniejsze kątki i wszędzie i zawsze wzrok ten starego ojca przesywał ją wyrzutem zabójczym.

Potém osłabła, opadała, osuwała się i poczyniała płakać rzewnie, zdawała usypiać powolnie, aż znów otwierały się jasne jej oczy, uśmiechały usta, rozpromieniała twarz, i jeśli Jaś był przy niej wysnuwało marzenie, które wyrazy poznać dawały.

— Nieprawdaż — mówiła — chociaż pan jesteś bogaty, ale ty się ze mną ożenisz, tak jak w bajce, którą mi mawiała Pawłowa. Księżę ożenił się z pastuszką. I poprowadzisz mnie do swojej matki, a ona pobłogosławi nas. Dasz mi sukienki szyte w stońca, księżyce i gwiazdy, włożysz na głowę moję koronę, na szyję perły, na nogi złote obuwie i poprowadzisz mnie do ołtarza. Potém, potém. Mówże mi, co potém będzie?

Jan zachmurzony milczał.

— Wszak prawda, że się ze mną ożenisz? dopytywała się Julusia chwytając go za szyję — wszak prawda. Ludzie nie wierzą, śmieją się, ale ja wierzę. Ja jestem biedna dziewczyna, ale szlachcianka. O! nie chłopka,



nie! Ty mnie kochasz, matka pozwoli. Wszak mówiłaś mi wczoraj że mnie kochasz? Pamiętasz tam pod drzewami, na zielonej murawie, księżyc kąpał się w strumieniu, ptaszki śpiewały na gałęziach, a mój ojciec patrzył na nas.

Tu na wspomnienie ojca znowu zakrywała sobie oczy, narzucała na siebie suknie, chustki, pościel swoją, usuwała się pod sprzęty, aż przestrach który nią wstrząsał do głębi przeszedł powolnie, rozplynał się łzami, a po nim rozświtało znów rozkoszne marzenie.

— Patrzcie—mówiła—dokoła panowie, panie, księżęta, królowe, a wszyscy kłaniają mi się. Jasienko mnie prowadzi, prowadzi i posadził na bogatym tronie. Matka siwo-włosa błogosławi nam. Ot! i dzieciątko małeńkie to nasze! Jakie śliczne! co za włoski złote, jakie usteczka różowe, jakie oczki ma niebieskie!

Często dnie całe ciągnęły się te rozmowy samęj z sobą, z urywanych wyrazów składane, które Pawłowa słuchała z przestrachem, Jan pogrążony w głębokim zadumaniu i smutku.

Jan bowiem od niejakiego czasu odmienił się bardzo. Ludzie własni zrozumieć nie mogli, co mu się stało: bo nikt nie przypuszczał, żeby obłąkanie biednej dziewczyny przyczyną zmiany tej być mogło. Tak przecież było.

Zerwał nagle zabawy ze zgrają towarzyszków, odepchnął od siebie dawne ulubienice; chmurny, zamyślony, smutny, albo sam jeden siedział zamknięty, albo milczący przebywał przy matce, albo latał jak szalony na koniu, lub dnie całe trawił w chacie budnika o chlebie i wodzie.

Nie uszło to oka pani podkomorzynęj, która o zdrowie Jasienka frasować się poczęła i wysłała czempredzję po doktora.

Ale co lekarzom do chorób duszy i zgrzytot sumienia? tego ani hydropatya, ani allopatya nie uleczy.

Pokiwali głowami lekarze, zapisali coś na papierku i odjechali, upewniając, że choroba pochodzi z zamulania trzewów, lub oni nic nie rozumieją.

We dworze na wieczorynkach, zabawach, rannych schadzkach dworu, o niczém inném nie mówiono, tylko o chorobie panicza i o obłąkaniu Julusi; wróżono, wnoszono, domyślano się, jak téż się to skończyć może.

Najpowszechniej zdziwaczenie i przywiązanie się pana Jana, przypisywano rzuconym urokom i zadaniu pani Pawłowej, która uchodziła za czarownicę.

(Dokończenie nastąpi).

DALSZA POGADANKA

## O MNIEMANÉM PODROBIENIU DYPLOMATU,

KTÓRYM NADAŁ TYNIEC BOLESŁAW CHROBRY.

PRZEZ

*W. A. Maciejowskiego.*

**H**istorya, królując w przybytku nauk, obdarza łaską swoich czcieli, objawiając im prawdę, i upewniając ich o jój pojęciu za pośrednictwem słowa, które zwykle jój towarzyszy i zdanie swe objawia o niój. Następuje ten objaw przez danie sądu o pracy autora, który bądź stronnie, bądź bezstronnie wydany będzie, zawsze korzyść dla ogółu przyniesie; spowodowawszy, że publiczność znowu da od siebie sąd, na krytykującego i krytykowanego. Gdzie krytyki niemasz, tam i prawda nie żyje: boć właśnie brak pierwszej dostatecznie wykazuje, że ogół czytających albo obojętnie pojął prawdę, albo jój nie pojął; boć właśnie wydany o piszącym wyrok skazówką znowu jest, czy krytyk dobrze go osądził, lub czy przesądził wyrokując. Szczęśliwy więc i trzykroć szczęśliwy pisarz, którego pracę raczy przed swój sąd zavezwać krytyka, i wyrok na nią ogłosi. Czyli bowiem

wyrok ten z aktami, służącymi za podstawę sprawie zgodnie lub niezgodnie wydany zostanie, może w ten lub inny sposób dopomódz prawdzie do wydobycia się na jaw (której odgadnienie i wpłynienie przez nią na moralność, jest i być powinno jedynym i ostatecznym badacza dziejów celem); gdyż przez oświadczenie się za piszącym lub krytykującym, daje poznać publiczność, na którą przeszedłszy stronę, podzieliła z nim lub nie podzieliła prawdy. Wtedy dopięty zostanie cel, myśl wnijdzie w życie, albowiem publiczność przekonania nabyła, z kim jój trzymać należy.

Tą myślą, tą nadzieją łudzony, przyjąłem chętnie wezwanie do naukowej walki, o prawdziwość dyplomu Bolesława Chrobrego, którym mnie p. Szulca przed światłą publicznością obesał w Przeglądzie Naukowym; a pragnąc wszczęty spór uprościć, wytknąłem w nim dwa punkta najważniejsze, od których, według mego pojęcia rzeczy, zawisło sprawy rozstrzygnięcie. Obadwa godząc w sam cel, twierdzą:

1. Że dyplom w transumpcie nam dochowany, pochodzić musi od Bolesława Chrobrego, gdy takowy wydał król, z przydomkiem *gloriosus*.

2. Że przeciwko autentyczności jego nie mówi położona na nim data, gdyż zwyczajem średnich wieków było, tak niekiedy pisywać urzędowe akta, transumując w jeden dyplomatów kilka.

Resztę rzuconych przez p. Szulca w owym wezwaniu uwag, zauważyłem być prostą, naukowo nieobrobioną pogadanką, na którą zrazu odpowiedzieć dla braku czasu nie chciałem. Zważywszy atoli, że uwagami owemi objęta rzecz, byle ją rozwinąć, przynieść pożytek może, wdałem się w rozbiór pytań z przedmiotem nie wiążą-

cych się ściśle, spodziewając się, że nadal nie będzie już potrzeby rozprawiać o szczegółach, niekoniecznie należących do rzeczy. Zamiast dupliki na wniosek, zamiast odpowiedzi na wytknione punkta sporne, p. Szulc częstuje mnie znowu pogadanką i nowe pytania zadaje, jak gdybym ja miał dosyć czasu do stracenia i nie potrzebował go do innych zatrudnień. Bo jakże inaczej jeżeli nie pogadanką nazwać to, co mówi autor (1), twierdząc, że Chrobry oddzielną nazwą *magnus*, a nie *gloriosus*, nazywał się; gdy przecież wiadomém jest powszechnie, że przydomek pierwszy, był mu nietylko z poprzednikami swemi, ale i prywatnego stanu ludźmi wspólny (2). Drugiego bowiem przydomku *nikomu prócz Chrobrego* nie przyznaje kronikarz, woląc raczej stopniować jego wyraz (3), aniżeli wprost nazwać nim tego, którego wypadło mianować od sławy. I słusznie; bo uczony Francuz, który nam najdawniejszą z dotąd znanych napisał kronikę, biorąc rzeczy technicznie, *Bolesławowi Wielkiemu tylko* dał ten, zachodnim królom służący tytuł, jako temu, który pierwszy za równego ówczesnym europejskim królom przez cesarza zachodniego uznany będąc, otrzymał wraz z przydomkiem *gloriosus* królewskie insignia (4). Twierdzić, że przez dystynkcyą grammatyczną wyraz *gloriosissimus* więcej znaczyć musi niż *gloriosus*, jest toż samo co przyznawać, iż język techniczny zawsze z grammatyką w pa-

(1) Przegląd, numer 6, str. 167.

(2) U Galla 28 *Magnus Mescho*, 192. *magnus Michael*.

(3) Krzywoustego *gloriosissimus* nazywa Gallus 274.

(4) Du Cange p. w. *gloria*. Gallus 41 powiada, że Bolesław Wielki został *in regem ab imperatore gloriose sublimatus*. Każdy z tych wyrazów technicznie jest wzięty.

rze powinien chodzić; czego, jak mniemam, nawet wytykać nie potrzeba. Podobnież co o wyrazie *gloriosus*, odpowiedział p. Szulc na drugie pytanie. Lecz utrzymywać „iż lubo w Morawii z dwóch lub trzech dyplomatów robiono umiejętnie jeden, to jednakże wcale nie mówi za nietykalnością dyplomatu będącego w mowie,” jest toż samo, co prostą bawić nas pogadanką, do czego, jak rzekliśmy, czasu nie mamy.

Tak więc, dopóki p. Szulc danych mu do rozważania dwóch owych punktów spornych nie rozwiąże, wszystko co o mniemaném podrobieniu dyplomatu tynieckiego powie, za prostą uważać chcę pogadankę; na którą odpowiadając, pocieszać się będę tą myślą, że nie moja w tém wina, iż się próżno z piór poleje na papier atrament, że czcionki czernidłem pomazane jękną, tłoczone od pras drukarskich. Sześć pogadanek nowo zrobił autor, które roztrząśniemy.

1. *Fundare*, znaczy *uposząć* nowo założony kościół, *powiększać* fundusz dawno już założonego. Według upodobania więc wolno brać kronikarzowi ten wyraz, a historyka jest rzeczą wysłedzić, gdzie wyraz tenże w pierwszym lub drugim wzięty jest znaczeniu. Gdy Bolesław Chrobry założył Tynec, przeto fundując go według Długosza Kazimierz, nie zakładał go, lecz dochodami opatrywał. Gdy w pogańskiej Żmudzi fundował Władysław Jagiello według tegoż Długosza kościół, więc go założył nowo. Brać dowody z Długosza, Kromera, Starowolskiego, Szczygielskiego na to, co się w Xtym działo wieku, jest toż samo, co bytność Lecha kroniką Boguchwały tylko, a niczém inném nie dowodzić. Kiedy piszący po Chrobrym w kilkadziesiąt lat Gallus, opowiada o takichże czasach, wierzymy mu na słowo, bo on i pi-

śmienne dowody na to co mówi posiadał, i o dawne dzieje wypytywał się u starych ludzi (1). Wszelki inny pisarz (a zwłaszcza téż ci, których powołuje autor), musi nam złożyć dowody na to, o czém prawi, inaczej słuchanym być nie może. Wiemy bowiem dobrze, jak nasi kronikarze dawne pojmovali czasy, jak fałsze mieszały z prawdą, gdy drugą od pierwszego odróżnić nie było w ich mocy.

P. Szulc zapatrzwszy się w tablicy uroczystości świętych i błogosławionych mężów w poczet zakonników reguły *s. Benedykta* policzonych, lub zakonowi temuż przychylnych (z metnych lub nader późnych źródeł spisał ją Szczygielski), twierdzi, że klasztor obchodził w kwietniu pamiątkę Śmiałego, jako swego dobroczyńcy. Lecz tak nie jest: wyraźnie bowiem ów kalendarz mówi, iż modłami obchodził Tyniec pamiątkę Śmiałego, jako zakonnika niegdyś benedyktyńskiego (2) (na dowód mnichostwa tego, przywodzi tradycją klasztoru Ossiackiego w Węgrzech, tudzież powołuje na świadka Stanisława Łubieńskiego biskupa płockiego, niegdyś opata tynieckiego (3), a zresztą żadnego innego związku między Śmiałym a Tyńcem nie upatruje), i prawi fałsze, bo wiadomo, że mnichostwo Bolesława Śmiałego bajeczne jest (4).

2. O Chrobrym wspomina transumpt Egidiusza, mówiąc wyraźnie, że Bolesław król i Judyta darowiznę dla Tyńca uczynili: że ów król jest Bolesławem Śmiałym, to domysł autora niczém niepoparty; przywiedzione bowiem od niego dyplomata (5), rozumieją Chrobrego

(1) Gallus 130, 219.

(2) *V. Boleslai Audacis Regis Pol. post Monachi Ossiacensis.*

(3) Umarł r. 1640.

(4) Polska średnich wieków, II, 294 i nastpn, 315 i nastpn.

(5) W Przeglądzie na str. 169.

i żonę Władysława Hermana. Dyplomatu rzeczonego nie jeden, nie dwa były autentyki, bo różni Bolesławowie (Chrobry, Krzywousty) dawali je; dawali takowe i Władysławowie, a może i królowie inni, o czym się (1) gdzieindziej rozwiodłem. Mniema p. Szulc, że przez Bolesława księcia ma się rozumieć Krzywousty, a mniema na téj zasadzie, iż się on królem nie tytułował. Lecz i owszem tytułował się, i tytułem tym czczony był od papieża i postronnych królów (2).

3. Mnich wstępując do zakonu obumięra dla świata, a zrywając wszelkie z nim świeckie stosunki, nowe przybięra imię, i takowém mianowany bywa urzędownie. Tynieckiego opata nazywa Ditmar od klasztoru któremu przewodniczył, bądź że nie wiedział zakonnego imienia jego, bądź żeby go odróżnić od innego opata, toż samo może noszącego imię. Tak w naszym dyplomie wymieniony jest *Cosmas abbas*, z oznaczeniem klasztoru, w którym był opatem. Ponieważ zaś, jak rzekliśmy, nie przywiódł imienia tyneckiego opata Ditmar, musiał go przeto nie znać, gdyż inaczej byłby go nieochybnie wymienił; bo biskupem będąc, znał się doskonale na tytułaturach hierarchii duchownej. Nie pozostawało więc Ditmarowi jak nazwać opata sposobem świeckim, czyli od posiadłości Tyńca dać mu miano, z tą wyraźną (na innym miejscu) wzmianką, że miano to imię opata zastępuje (3). Wyraz *Tun*, *Tyn*, nie jest słowiański; w prze-

(1) W Bibliotece Warszawskiej za styczeń.

(2) Polska średnich wieków, II, 47 i nstp. Dethier (Epistola inedita Mathildis Suevae. Berolini, 1842. Porównaj 51 nstp.) dopełni co tam opuszczono.

(3) *Abbas suus Tunī, abbas suus Tunī nomine*. Bez *h* pisał to nazwisko Ditmar. Saxo grammatyk wypisawszy jego słowa. wciśnął do wyrazu *h*.



dłużeniu brzmi *Tuniec*, *Tynieć*, co nowszego jest pochodzenia. Spadkując po łacinie pierwotną nazwę, wyraził się Ditmar *Tuni*, co w przedłużeniu brzmiało później opat Tyńca (1). P. Szulc mniema „że w wyrazach *nomine Thuni* (mylnie pisze *Thunni*), *Thun* jest nazwiskiem opata Niemca, nie Tyńca.” Historyra nazwisk inaczéj wszakże uczy.

4. *Institutio*, *institura* znaczą w średniowiekowej łacinie (2) *postanowienie*, *zezwolenie* na to, o co się prosi, co się przedstawia, nie zaś naukę duchowną, jak autor mniema.

5. Kto twierdzi, że wyzwawszy kogoś do rozprawy, nie jest obowiązany na wszystkie jego odpowiadać zarzuty, a zarzuty takie, które z głównym przedmiotem rzeczy w ścisłym zostają związku (3), uwalnia tém samém przeciwnika od repliki na czynione sobie zarzuty. Ja atoli nie będę w téj mierze naśladował p. Szulca, i cokolwiek on i jakkolwiek w dalszém rozwinięciu sporu wyrzeczę, ścisłemu poddam roztrząśnieniu. Bo i za cóżbym uważał czytającą publiczność, gdybym w ten sposób chciał rozbiierać rzecz, przed światły jej sąd wytoczoną? Gdybym, jak tego mój przeciwnik doświadczył na sobie, zawikławszy się w hipotezie głównej (do mnie wystosował autor mylnie tę apostrofę), chciał, celem zapewnienia sobie wyjścia, wydobyć się z matni tak obroną ręką.

(1) Porównaj słownik Jungmana p. w. *Teyn*. Dalsze badania nad wyrazem zostawiam grammatyce: o nazwiskach świeckich miejsc, wsi, miast, osób, z kąd się u nas i u Niemców wzięły, słówko powiem w historycznym wywodzie, który do Biblioteki Warszawskiej podać zamyslałam.

(2) Porównaj Du Cange p. t. w.

(3) Zabranie Tyńca rodzinie Popielów, przyczyna niszcząca jej opór, mszał tyniecki.

6. Okazawszy taką, jak dowiedliśmy, znajomość rzeczy, taką wiedzę dziejów krajowych, taki wykład tekstu kronikarzy i dyplomatów (są słowa p. Szulca, któremi mnie pokonać myślał, postraszywszy rzetelném przywiedzeniem kalendarza benedyktyńskiego), rozwiódł się nad tém, co znaczy „dokładnie pojmować historiją, wmyśleć się w rzecz głęboko, urojenia mieć, jedne rzeczy brać za drugie.” Pomysł niezły, z tym jednak dodatkiem, że piękne te słówka wydałyby się dobrze w ustach jego, gdyby był nie napisał tego, co drukiem ogłosił. Wtedybyśmy może przyznali, że ma prawo do sądzenia tak o Naruszewiczu i o Czackim, jak ich osądził. Lecz złożone dowody o talencie historycznym autora, zniewalają nas do wyrzeczenia, że on nie ma tu głosu, dlatego właśnie, że nie zna drogi, po której chodzili dzieła swe pisząc Adam i Tadeusz. Mężowie ci nie żalowali pracy by się nauczyć tego, co wiedzieć powinien, kto się do pisania dziejów zabra; zaglądali do słowników, nie bojąc się zarzutu, że ich dlatego może ktoś miłośnikami nazwać dystynkcyj scholastycznych; zbierali źródła, nie przestając na trawestowaniu tych, które inny pozbięrał, a wykładając dzieje, mieli to na pamięci, ażeby je wyłożyć w duchu rzeczywistego postępu. Z fałszu, który posiadał jeden, prawdę wylamywał drugi; krzywa ścieżka którą czasem szli obadwaj, prędzej ich niż prosta zaprowadziła do celu, lub zawiodła tam naśladowców ich, dokąd sami zejść nie mogli mistrze, dostarczywszy im lepszych zasobów do wydobycia na jaw prawdy, i tak dopomógłszy do wydostania się z manowców na prostą drogę. Sam tego doświadczyłem na sobie. Widząc albowiem, że nie można polegać na tych dowodach, któ-

re położył Naruszewicz (1), odwołałem swe zdanie (2) o założeniu Tyńca przez Chrobrego, które niegdyś z Naruszewiczem wyrzekłem zgodnie. Teraz, na zasadzie wydanego od nas dyplomatu, wracamy do dawnego zdania, i wyznajemy jawnie, że krzywa ścieżka, po której nas poprowadził Naruszewicz, zawiodła nas tam, dokąd prosta nie mogła nas zawieść droga. Pojmuję ją dobrze, w jakim celu, nasze o tém urywkowo przywołując słowa (wszystkiego jak należało powiedzieć nie chciał), porobił przy nich p. Szulc wykrzykniki. Zastosował je bowiem do wyższych, jak się wyraził, szczeblów pojmowania dziejów, do tak zwanego systemu porównawczego i do szkoły filozoficznej, „która (jak dalej mówi), kładąc za warunek osiągnięcia celu, naukę wysoką, nie dozwoliła każdemu bojarzowi wystąpić drogą pierwszą na pole badań; która sprawiła, że umysł styraný szkolarstwem, dźwignął się w czasach dzisiejszych ze swojego poniżenia baśniowego i czystsze odetchnął powietrzem.” Rozumiemy dękąd ta mowa zmierza: jestto albowiem niby oracya powiedziana *pro domo sua*, ale bez znaczenia, gdyż jój wątku i słuchaczy nie dostaje. Tak rzekłby na tę mowę, gdyby z grobu powstał Naruszewicz i Czacki: i powiedziałby: „że nic nowego nie masz i nic podziwienia godnego w całej oracyi, wyjąwszy może to, iż autor radzi nam na wyższe wstępować szczeble, gdy na niższych stojemy jeszcze wątko i niepewnie; że chce, ażebyśmy pnąc się wyżej, doznali tegoż co sam losu w swoich poglądach na dzieje, w swoich rozwojuch historyi.” Takby rzekli ojcowie polskiej historyografii, których słowa podzielam, ceniąc wysoko

(1) Historia II, 332, 403, wyd. Most.

(2) Pierwotne Dzieje 359 i nstpn.

ich prace, i pewny będąc, że nie byłoby rzeczą dla nich trudną wystąpić na tém polu, gdyby byli mieli to przekonanie, że już czas jest po temu, i że wystąpiwszy na nióm, przyniosą większy dla narodu pożytek, nad ten, który przynieśli, nie latając zbyt górnio. Jestem bowiem tegoż co i oni zdania, i sędzę, że wprzód należy obrobić dzieje, a dopiero następnie według systematu porównawczego, według zasad szkoły filozoficznej, rozważać nam je potrzeba; że daleko więcej pożytku przyniosą nam nateraz prace (zukosa spogląda na nie autor), opisom dawnych miast, miastek, stolic, ogrodów, pomników, numizmatów, nagrobków poświęcone, anizeli bujania myślą, poza sferę nieznanych nam jeszcze dziejów, a których nigdy nie poznamy, jeżeli wprzód nie rozważymy ich, i głęboko się w nie wmyśleć nie zechcemy; jeżeli występując przed publiczność z czémś niewykończoném, siebie i ją ludzi nie przestaniemy. Tą myślą powodował się Naruszewicz, gdy się przewodniczyć nam w sztuce pisania dziejów krajowych podjął; wzorem być nie chciał, jak mylnie p. Szulc utrzymuje, lecz młodego na drodze rzeczywistego postępu kształcącego się pokolenia, pragnął być poradnikiem, żądając od niego w miejsce nagrody za swe prace to przyrzeczenie, że będzie prowadziło dalej, co sam rozpoczął tak chlubnie. Pokój jego ceniom!

## UWAGI

nad pismem p. Maciejowskiego: „Pierwotne  
Dzieje Polski i Litwy.”

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

Dokończenie.

**P**owtóre: Co do dziejów *wewnętrznych*.

Po skróceniu i rozwinięciu w dziejach zewnętrznych, w sposób który wyraziliśmy, pewnego systematu, p. Maciejowski przystąpił do dziejów wewnętrznych i rozwijał w nich także pewien systemat. Dzieje kraju wewnętrzne znakomitszej nawet wagi są niż zewnętrzne, od znaczenia ich bowiem zależy istotne znaczenie kraju w dziejowym rozwiciu. Podstawą dziejów wewnętrznych danego ludu, jest, jak słusznie uważa autor, główna natura ducha tego ludu, zwrot jego do tego co źródłem, do tego co celem swojego istnienia być sądzi, jego *religia*. Jak zatem zadaniem i celem, około których obracały się w oddziale dziejów zewnętrznych inne szczegóły, było głównie wskazanie: iż założycielami późniejszej Polski byli Lazowie z nad Elby, a Litwy Litowie Greccy; tak

główną treścią i celem w zastanawianiu się nad wewnętrznymi dziejami przez p. Maciejowskiego, jest wykład systemu, według którego rozwijała się mitologia czyli dawne wyobrażenia religijne w Polsce i Litwie.

Zastanawialiśmy się nad wywodem autora Lachów i Litwy od Lazów i Litów, zastanowimy się teraz bliżej nad pomysłem jego, oraz wykładem systemów religijnych tych krajów.

W ostatnich latach, dawna mitologia słowiańska zajęta się niejednego badacza była przedmiotem; najpracowicięj zwłaszcza dotknął jej *Hanusch* w dziele: *Die Wissenschaft des Slawischen Mythus*, wydaném w 1842 roku we Lwowie. Prace te dotyczące mitologii słowiańskiej w ogóle, dotyczyły w szczególności i polskiej; treść ich jednak nie zaspokoila autora Dz. Pierw., gdyż treścią tą był tylko zbiór faktów, bez zwracania uwagi na związek w nich, myśl ich i duszę. „We wszystkich dotychczasowych badaczach, mówi p. Maciejowski na kar. 510, jest pełno gruzu i śmieci, które trzeba rozrzucić, aby jaką perłę wynaleźć”; i dalej: „p. Palacki w swojej *Historyi Czech*, skrzył mylnie obraz pogaństwa, bo wystawił w nim jakoby Słowianie będąc najprzód czcicielami jednego Boga, wpadli następnie przez wpływ cudzoziemców w wielobóstwo....” „Jakób *Grimm*, Ludwik *Giesebrecht* mitologią słowiańską mają mylnie za okruchy i naśladownictwo germańskiej, *Hanusch* za wypływ indyjskiej.” Przodkowie Polski i Litwy, uważa autor, byłyto ludy oddzielne, ludy jak inne; musiały więc i w rozwinięciu swych religijnych pojęć, swęj mitologii, nakręślić momenta, jak inne. Te momenta u dawnych pogan, byłyto przejścia stopniowe od czci przyrodzenia, materji, do czci ducha; tenże przewód musiał się więc objawić

i w mitologii polskiej; takiz zaczęła, ale jednak (jako szczególnie wyjątek) odmiennie zakończyła litewska. „W okrucach bowiem dziejów, które o słowiańskim bogosłowu coś pewnego podały, zdało mi się dostrzedz, mówi p. Maciejowski, żeśmy byli najprzód czcicielami przyrodzenia, następnie żywiołów i ciał niebieskich, a nakoniec wznieśliśmy się do wyobrażenia o bóstwie rozdrobnionem na cząstki, i znowu łączącém się w jedności jestestwa swojego”. (509). „I Litwa była zrazu czcicielką przyrody, potem żywiołów; ale ani ze czci przyrodzenia, ani ze czci żywiołów nie mogła się po narodowemu wyrobić u Litwinów myśl o jednym Bogu: owszem, wielobóstwo ztąd rozplenić się musiało, i mnóstwem rozlicznych w duchu obczyzny pojmowanych bogów przynieść narodowy o czci żywiołów pomysł, z którego kiedyś możeby się rozwinęła była myśl swojska, o jedném bóstwie, wszechrzeczy panie” (498). P. Maciejowski jakkolwiek od pierwszych prac swoich oddanym był głównie zbieraniu dziejowych faktów, nie był jednak nigdy wyłącznie miłośnikiem samych tych faktów, ale raczej znaczenia ich. Polubiwszy nad wszystko badania w przedmiocie dziejów, badań tych, chcemy rzec, nie zatrzymywał nigdy na faktach zewnętrznych, ale się zwracał raczej do tego co je ożywia: do stosunków wewnętrznych, ustaw, urzędzeń, piśmiennictwa, oświaty, a nadewszystko religii danego ludu. Jestto oczywiście skutkiem pewnej wyższości wzroku autora, iż w rozważeniu szczegółów ludzkich, jako do pierwiastku wszystkiego zwraca się do religii; zdaniem wszakże naszym, autor przeczuwa, ale nie czuje rzetelnego znaczenia tego pierwiastku.

Powiemy zaraz jak, oraz z jakim skutkiem dowodził i dowiódł autor swoich powyższych założeń; powiemy jednak tu zgóry, iż wypadek ten już przez to samo szczęśliwym być nie mógł, że owe założenia nie były według prawdy dziejowej.

Czémże była w swém ogóle? jaką miała treść i zadanie w szczególe? a przeto jak tylko uważaną być mogła, dawna religia słowiańska i naszych przodków?

Już sama chęć dowiedzenia, że wśród sfery religijności, wyobrażenia u ludów nowych rozwijały się według tychże momentów, tychże kierunków jak u dawnych, jest nam wskazówką, że autor nie jest wcale właściwym sędzią pośród tej sfery. Religijność nie jest to własność *ludu*, ale *ludzkości*. Różność momentów jej jest skutkiem różności epok ducha ludzkiego. Nie w duchu epoki tego albo innego ludu, ale w duchu epoki całej ludzkości czerpią źródło owe momenta.

Uważaliśmy wyżej, iż moralne zjawiska w życiu pojedynczego ludu, są jak moralne zjawiska pojedynczego człowieka; iż jeżeli pierwszym moralnym źródłem pojęcia dziecka jest *pamięć*, tłem pierwszych objawień piśmiennych ludu jest tylko *tradycja*. Jak się ma człowiek do ludu, tak lud do ludzkości. Co być musi w rozwiciu ludu, to być musi i w rozwiciu ludzkości. Jak ludu, tak i ludzkości pierwszym utworem piśmiennym było spisywanie i przekaz swoich *dziejów pierwotnych*.

Owe wszakże dzieje pierwotne dawniej ludzkości, ze względu na czas ich spisania a swą naturę, były cechy w gruncie odmienniej od dziejów późniejszych; dlatego też innem nawet nazwiskiem są rozróżniane.

Tradycje ludów nam bliższych spotykając się z ich początkiem, spotykać się muszą z dziejami jakiegoś in-



nego ludu, z epoką rozsiedlania się ludów, obracać się około związków z temi ludami. Ale tradycje ludów z okresów najpierwszych, dawnych, musiały się nietylko spotykać z początkiem ich, z pierwszym rozsiedleniem ludów po ziemi, ale z początkiem ziemi. Przedmiotem więc tych tradycji z owój epoki pierwszej (nie my to mówimy, lecz dzieje), musiały być jakieś siły, które poprzedziły byt ziemi, które wydały ziemię; musiały być dostrzeżenia, spisania stosunków, które ziemia i ludzie mieli do owych sił. Ten stosunek stworzenia do Siły Twórczej, pojmowanie tego stosunku, zowiemy religią, i owe pierwotne księgi dziejowe, księgami religijnymi dziś nazywamy.

Te księgi, te ludów pierwotnych religie nie byłyto przeto *skutki docieżeń*, ale *podania*; nie byłyto rozwijanych już pojęć postępane wypadki, lecz byłyto jakieżś wiedzy pierwotnej rozpadłe i zapisywane warianty.

Człowiek pierwszy, według treści tych podań, uważanym był jako ostatni wpływ, król przyrodzenia; nie mógł więc uważać za wyższość, a tém więcój obierać za przedmiot swój czci: przyrodzenia.

Jakoż najpierwsze religijne księgi wszystkich ludów dawnych nie uczą nigdzie czci przyrodzenia, ale czci jednej siły najwyższej, pierwotnej, czyli czci *Boga*. Hymny indyjskie *Wedy* i *Prawa Menu* określające najdokładniej *pierwotny* system wiary indyjskiej, nie uczyły ani czci przyrodzenia, ani czci Bogów, lecz tylko *Duszy najwyższej*. Według pierwotnych ksiąg chińskich (*cztery księgi filozoficzne* i *księga Y*), najwyższym rządcą ziemi był cesarz niebieski czyli *Rozum najwyższy*. Według *Zendwesty*, ojcem Boga światła i Boga cieniów (Ormuzda i Arymana) był *Zerwene-Akerane*



czyli *Przedwieczny*. Pismo ś. hebrajskie od początku zna tylko *Pana*. I Egipcianie, pierwotni mistrzowie Greków, czcili zrazu *Światło najwyższe*. — Po przekwicie doby *pamięci*, nastął dla podrastającej ludzkości wiek jej bujającej *fantazyi* i dalej pierwszych *dociekań*; było wiek *wielobóstwa* i wiek pierwszych systematów *filozoficznych*. Cześć *duszy najwyższej* u Indyan, zamieniła się w owym wieku w cześć *massy bożyszcz*; cześć światła idealnego u Zendów, w cześć *materyalną* ciał jasných; w Chinach zamieszkał Buddyzm, sam lud nawet wybrany (hebrajski) został takim tylko w prorokach. Dociekania wydały rząd *mędrców*, lecz ich *mądrość* przy nich została.

W tym też czasie w życiu ludzkości dopełnił się *jako* wyś fakt *przeważenia*. Wiek stary, mówiąc praktycznie a w ogóle, z *jedności* szedł do *różności*; wiek nowy z *różności* do *jedności* zaczął być *biegiem*. Stara epoka była czasem *rozpadnienia* się *jednej* religii w *różne* religie; nowa jest czasem *łączenia* się *różnych* w *jedną*. Po *dobie* bowiem *podai*, *fantazyi*, *rozwinął* się wiek *rozbioru*. *Prawda* jedną jest i nie może w *dobie* rozbioru *ostać* się *inna* religia, jak ta, która jest *zdolną* wytrzymać *próbę* rozbioru. Religie i *mitologie* u *ludów* epoki *nowej*, *rozwijając* się *pod* *fatalnością* *cech* takich, *nie* mogły się *więc* *rozwijać* w *kierunkach* i *cełach* *dawnych*. Religie te *byłyto* tylko *odbicia*, *ostatnie* że *tak* *powiemy* *promienie* *słońca* *pogaństwa*, *ostatnie* *konieczne* *koła* *wszelkiego* *raz* *obudzonego* *biegu* *ziemskiego*. *Ztąd* też religie *nowe*, *najznakomitsze* *nawet* i w *szczegóły* *najbogatsze* (jako np. *Skandynawska*), *nie* miały *tego* *rozgłosu*, *tego* *znaczenia*, *nie* *wydały* *tych* *owoców*, jak *niejedna* *uboższa* *dawna*. I religie *zatem* *dawnych* *Germanów*, *Litwinów*, *Stowian*, a w *ich* *liczbie*



i naszych przodków, byłyto tylko kończenia, ostatnie w różnych stopniach ucieczki wyobrażeń dawnych, które z treści swój żadnej żywotności wydać, zostawić po sobie nie miały, i które nie były wcale odbiciem, jak mówi p. Maciejowski, rozwijanej stopniowo racyi.

Że pogańska cześć naszych przodków nie przedstawia i nie mogła przedstawiać faktów rozwijanej stopniowo racyi, główna przyczyna jest ta: iż myśl przodków naszych przez cały okres pogaństwa była według momentu swego roślinnego płodem w skorupie, ziarnem pod poziomem ziemi jeszcze leżącym, i że przez cały ów okres nie rozwijała się jeszcze racya. Jeśli jakie moralne fakta odznaczyły ów czas, byłyto tylko zjawiska, naturę cząstek składowych ziarna wykazujące.

Religia Słowian w ogóle, w szczególności więc i naszych przodków, w wieku VIym (tojest według najdawniejszego wyraźnego świadectwa), byłoto czczenie Boga jednego, piorun rzucającego, oraz mniejszych bóstw leśnych i rzecznych (*Prokopiusz*). Kwiat jój, tojest pogaństwa Słowian, wypadł w wieku XI oraz XII w zachodniem plemienu leskiem; źródłem jego praktycznym był opór przeciw chrześcijaństwu, na wschodzie Lechii, i w ogóle we wszystkich już krajach sąsiednich wprowadzonemu: tu tylko okazały się świątynie pogańskie, kapłaństwo, tu miasta święte, tu dwa najstraszniejsze i najslawniejsze słowiańskie bóstwa: *Świętowit* w Arkonie, *Radegast* w Retrze; tu mnóstwo innych bogów, które w świątynicy Rethry z podpisami nazwisk swych stały (*Helmold*, *Saxo-Grammatyk*, *Dytmar* i t. p.). W szczegółach czci téj, w naturze kwiatu, nie żaden racjonalny postęp, jak rzekliśmy, lecz odbijane tylko rysy ziarna myśli słowiaństwa dostrzedzhy można. Jednym

np. z rysów, jedną z moralnych cech pierwotnego słowianstwa, było, jak wskazują świadectwa: uczucie przyrodzonej jedności i miłość jéj. Dawne ludy słowiańskie żyły pokoleniami i tylko w czasie potyczek miawały wodzów. Kronikarze byzańscy ilekroć opisują napaści, odpory, ugody Słowian, wodzów ich tylko wymieniają (1). Za zmianą stosunków wewnętrznych na wzory sąsiednie, stan żaden nie uległ wzgardzie. Niewiasty z pierwszych rodzin nad Elbą (w słowianstwie leskiém) zajmowały się rolą, zwłaszcza żniwem (*Witykind ks. 2*). W Lechii *Leszek i Piast*, w Czechach *Przemysław* powołani byli na rządy od pługą, a suknie ich pierwotnego stanu były w skarbcu książęcym chowane, i od czasu do czasu ludowi ukazywane. *Eneaszy Sylwiusz* (papiész Pius II) osobiście znajomy z panującym księciem Karyntii, wspomina o obyczaju Słowian karyneckich, iż po obiorze księcia, odziewali go w szaty włóściańskie, poczém jeden z włóścian przybliżał się i upominał go giestem. Podobne rysy odbić więc tylko mogło, wyrażać i Bogosłowie. Jakoż *Radegast* stojący w Retrze, byłto posąg w postaci chłopa. (*Narusz. 1, 434*). Kapłan Świętowitowy (w Arkonie) czczony był nad wszystkich królików (2). Wiarę swą (za najlepszą ją mając), chciano widziéć *powoszechną*; Świętowit po całych nocach walczył przeciw nieprzyjaciołom wiary, i w dowód musiano co dnia rano ukazywać ludowi konia upoconego i błotem obryzganego

(1) *Prokopiusz, Jornand. Menander, Theophilactes, Theophan,* i t. p. „Kraje Słowian, mówi Porphirogenita, nie mają książąt, jedno żupanów”: „Lechitae, mówi Boguchwała o pierwszych wiekach, nullum regem seu principem inter se, tanquam fratres et ab uno patre ortum habentes, habere consueverunt”.

(2) *Rex apud eos modici aestimationis est comparatione flaminis. Helmold.*

go (1). Przywiązanie do wiary (to jest do tego co uważali za prawdę) Słowian, Pomorza i Rugii, było jak mówi Helmold i inni: dziksze, zawziętsze, niż całej reszty północy (państw Skandynawskich).

W ten tylko i temu podobny sposób rozważane być mogą szczegóły naszego pogaństwa; chęć oglądania i wykładania w nich rozwijanego racjonalnie systemu, stała się tylko źródłem szczególnego oślepienia autora, i zapomnienia na prostą logiczność śród szczegółów tego wykładu.

Przytoczymy tu pokrótce te szczegóły i pokrótce rozberzemy je:

P. Maciejowski, jak to już widzieliśmy, zamierzył okazać: iż najprzód przedmiotem czci naszych przodków było *przyrodzenie*, dalej *ciała niebieskie*, dalej *żywioty*, i wreszcie przyrodzenie, jak mówi autor, z grubizmu oczyszczone (to jest oczywiście *duch*). Nie lubimy chwycić za *słowa*, znamy całe ich braki, ich łączność i znaczenie każdego chcielibyśmy przyjmować w prostocie pojęcia, to jest z następnego wykładu. Nie rozumiemy jednak istotnie, dlaczego autor, z pod wyobrażenia i słowa *przyrodzenie* nie wyjął *ducha*, a wyjął *ciała niebieskie* i *żywioty*? Nie rozumiemy téż, dlaczego oglądał postęp w tych przejściach, które pomyślił? Z wykładu wnieść nam wypada, iż pod słowem *czesć przyrodzenia*, rozumiał autor *czesć tworów ziemskich* tak organicznych jak nieorganicznych, i następnie jój bytu dowodził:

„Że przodkowie nasi byli czcicielami przyrody, świadczą o tém, mówi p. Maciejowski, nasze kroniki dawne: *Długosz, Kromer, Błażowski*; świadczą pieśni i klechdy

(1) *Saxo Grammatyk*.

ludu, świadczą wreszcie źródła germańskie o pierwotnych dziejach Słowian i Litwinów wspominające."

Pierwsi nasi latopisarze nie przekazali nam żadnych świadectw o pogańskiej czci naszych przodków. Długosz dopiero piszący w wieku XV, to jest w 500 lat po zgaśnięciu w kraju pogaństwa, przekazał szczegóły o niem. Długosz przytoczył szczegóły te bez wskazywania źródeł, zaczynając tylko od słów „wiadomo jest” (constat autem), świadectwo to wszakże, mimo zawiść jaką obudził Długosz *Historią* swoją, nie było zaprzeczone, owszem, przez krytyczniejszych następców wnet powtórzone; świadectwo to nadto podaniami innych plemion jest w części stwierdzone, i rzeczywiście za najwierniejszą wskazówkę dawniej czci naszych przodków przyjętą być może. Owszem, z trzech świadków, na których powołał się autor, jeden tylko tenże Długosz pozostać musi; Kromer bowiem co do szczegółów mitologii krajowej, powtórzył tylko Długosza, a Błażowski tłumaczył Kromera.

„Według świadectwa kronik, powiada autor, przodkowie nasi czcili *Dziewannę*, *Marzannę*, *Dziedzilią*, któreto bogiń nazwiska są razem i nazwiskami kwiatów, więc czcili kwiaty.”

Długosz twierdzi, iż dawni Polacy czcili boginie *Dziewannę*, *Marzannę*, *Dziedzilią*, i nazwiska te są u nas istotnie i nazwiskami kwiatów. Wnieść wszakże winniśmy, iż nie na boginie z kwiatów, lecz z kwiatów na boginie nazwiska te przeniesione być mogły: dowód na to jest ten, że pierwiastek brzmienia tych bóstw zgodny z ich wewnętrznym znaczeniem, z kądinąd jest nam wiadomy.

*Marzanna* bogini śmierci, w wariantach swych *Moana*, *Morena* i t. p., znana jest u wszystkich plemion

słowiańskich, a pierwiastkiem jój brzmienia jest wyraźnie *mor, śmierć*.

W dźwięku *Dziedzili* przebijają się pierwiastki: *dziewa, dziad, dziatki, dziedziczyć*, związane wewnątrz z znaczeniem bóstwa miłości (1). *Dziewanna* zdaje się być zakończeniem żeńskim, znanych zapewne naszym przodkom wyrazów *Deus, Diewas* (Bóg); lub téż także prosto pochodzić od słowa *Panna, Dziewa*, jak zaś powiada Długosz, było przerobieniem z nazwiska *Dyanna*, przez naród obfity w lasy a łowy lubiący.

Kwiaty nasze *Dzięgiel, Dziewanna, Marzanna* nie byłyto więc zapewne boginie, lecz zioła, dla jakichś powodów boginiom tym poświęcone.

Przedstawił dalej p. Maciejowski pracowicie spisany wyciąg *zwierząt, ptaków, drzew, kwiatów* i t. p. w pieśniach ludów słowiańskich ze czcią wspomnianych, i ile od kar. 440 — 457 nazwisk takich przytoczył, tyle bogów przodkom naszym naliczył. Podobnie poparł się i świadectwami kronik ze zbioru Pertza: „Czczono, mówi autor, za bóstwa (w Słowiaństwie leskiem) lasy i pojedyncze drzewa; mianowicie zielone i owocowe, krzewy, zioła i t. p. Dowód na to stawia ów święty bór (*Zutibore*) wycięty od Niemców, *biały bór*, i rozliczne miejsca *lasami* zwane. Dowodem téj czci jest ów dąb poświęcony *Najwyższemu z Bogów*, z którego drzewa robiono wyobrażenia bóstw. Dowodem nakoniec jest ów orzech czczony na Pomorzu, wierzba, jesion, lipa, glóg,

(1) Jakoż głównie wzywana była, jak mówi Długosz, o zjednanie potomstwa. *Venerem nuncupabant Dzidzilia quam nuptiarum Deam existimantes, prob-foecunditatem, et filiorum atque filiarum ab ea sibi deposcebant numerositatem donari. Dlug. Cap. 11.*

ziele dzięgiel, émiel. Czczono ptastwa..... czczono zwierzęta czworonożne i t. p. (131).

Świadectwa wzięte z kronik, iż w Słowiaństwie zachodniém były dęby i lasy bogom i najwyższemu z bogów poświęcone, p. Maciejowski kładzie za dowód: iż dawni Słowianie nie znali ani bogów, ani najwyższego boga, ale czcili dęby i lasy. Piérwój wszakże musiał być znany przedmiot, dla którego dąb poświęcono, niż się znalazł dąb poświęcony. Autor w swym wywodzie czci przyrodzenia, wyraźnie cześć tworów bóstwom poświęconych, z czcią samego bóstwa pomieszał. I dziś lud wiejski w swych pieśniach ma takież jak niegdyś szczególnie *uprzywilejowane*, *lubione* drzewa, rośliny, ptaki i t. p. sił im jednak bóstwom właściwych nie przypisuje, i czci ich ze czcią Bogu należną wcale nie miesza.

Od czci przyrodzenia mieli przodkowie nasi, według założenia p. Maciejowskiego, postąpić do czci ciał niebieskich; dowód zaś téj czci, ma stawić *Świętowit*, który według autora był wymawiany *Światowit*, i oznaczał *zwycięzcę światła*.

Uważaliśmy już w inném piśmie (*Rys Osów. Słow.*) iż bóstwo leskie *Świętowit* przez spółczesnych a siebie najbliższych świadków pisaném było *Zvantevith*, *Szvantervith* i t. p., że przeto w składzie jego było wyraźnie brzmienie samogłoski nosowój tojest pierwiastek *święty* nie *światły*. P. Maciejowski zwraca uwagę, że Czesi również *światły* jak *święty* mówią *swiety*, że w dawnych kronikach za *ę* nieraz pisano *e*; nie dowiódł wszakże, iżby samogłoski otwarte, zamieniano w piśmie na nosowe. Zwyczaj zaś czeski ostrzega, iż nawet wypisany *Swetowit* mógłby się czytać *Świętowit*. Gdyby jednak istotnie bóstwo rugijskie imię *Światowit* miało, za pierwiastek je-



go równie jak *światło*, mógłby się uważać i *świat* (1) i założenie autora o czci ciał niebieskich, w gruncie bez dowiedzenia zostało.

Za dowód że nasi przodkowie czcili *żywoły*, t. j. *ziemię, wodę i ogień*, przytacza autor, iż wspomniana przez Tacyta w jego Germanii bogini Warynów *Nerta*, było rzeczywiście *Herta*, to jest *ziemia*; że są wzmianki o istnieniu u Słowian świętych *jezior, źródeł i rzek*; że brzmienia *Znicz, Perun*, pierwiastkiem było *zażęgać* i t. p.

Gdyby Waryni Tacyta rzeczywiście w bogini swęj *Herta* czcili *ziemię*, byłoby to dowodem, nie że przodkowie nasi byli czcicielami *żywołów* w uosobieniu ziemi, lecz że Waryni owi nie byli to nasi przodkowie, bo *Herta* jestto wyraz starogermański nie starosłowiański. O czczeniu przedmiotów świętych, dopiero mówiliśmy. Gdybyśmy święte rzeki, źródła i t. p. uważać mieli za bóstwa, za główne siedlisko wielobóstwa musielibyśmy poczytać dawną ziemię Izraelską, gdzie według *Genesis*, ledwo nie każdy kamień na uprzywilejowanym miejscu leżący, był poświęconym.

Mówi wreszcie i każe nam wierzyć autor „iż Słowianin czcząc gromy i światło a postąpiwszy w oświacie wniósł, iż jest ktoś jeszcze w świecie silniejszy, jest, kto kieruje gromem i światłem, i od błyskawicy nazwał go *Jesse* t. j. *jesnym* czyli *jasnym*”. Nie rozumiemy dlaczego w czci *Świetowita, Peruna, Znicza*, widział autor dowody czci

(1) Twierdzi wprawdzie p. Maciejowski, że w starosłowiańskim *świat* pisał się tylko *mir*, że przeto *świat* mogło oznaczać tylko *światło*, i w dowód tego odwołał się do pisma Miclosischa: *Radices Linguae Slovenicae*. Odwołanie się to, całkiem jest bezzasadne. *Miclosisch* pod wyrazem *mir* nie umieszcza nawet znaczenia *świat*, ale tylko *ἐπιφύνη παρ*; przeciwnie pod wyrazem *świat*, oprócz *lux* położone jest *mundus, κοσμος*. *Mielos*. 49—79.

ciał niebieskich i czci żywiołów, w czci zaś *Jesse*, widzi dowód czci twórcy tych ciał i żywiołów. Autor odpowie zapewne, że wspiera go tradycja o *Jesse*; przyzna więc razem, jak jest mylném uznawanie za przedmiot czci, t. j. za samo bóstwo pierwiastku nazwiska.

Szczegółów założonego systemu nie usprawiedliwił więc, jak widzimy, w zasadach swych autor; co zaś do samego systemu, którego byt miał okazać, ten nietylko nie został przez nie sprawdzonym, ale owszem wprost zaprzeczonym. Oddany pracowitemu zbieraniu z kronik i innych pomników tych szczegółów, które się dały podciągać pod przedmiot pierwotnej czci, p. Maciejowski zupełnie zapomniał na ów swój system. Przytaczając np. dowody czci świętych rzek, jezior, i t. p. czyli czci *wody*, nie wskazywał nawet, że cześć ta była późniejszą z daty od czci świętych *dębów, lasów, ptaków*, i t. p. czyli czci *przyrodzenia*. Od *ciał niebieskich* mieli postąpić przodkowie nasi do czci *żywiołów*; i w dowód, od *Światowita* cofa się autor do *Herty* Tacyta, t. j. wstecz o wieków XIIście. Długosz zapisując tradycje które przetrwały w kraju, zapisywał naturalnie ostatnie, to jest: szczegóły czci, która była przy rozwiązaniu pogaństwa. P. Maciejowski miał dowieść, iż przodkowie nasi zacząwszy od czci przyrodzenia postąpili dalej do czci ducha, w świadectwie zaś Długoszewém widzi dowód czci przyrodzenia; kiedyż więc miał się rozwinąć ów postęp? Ów *jedyny Bóg* Prokopiusza, to bóstwo *Alcis*, o którym powiada Tacyt, iż nie miało *wyobrażenia* (1), a które będąc w krainie Ligiów, było właśnie, jak tego dowodzi p. Maciejowski, i jak to już wnosili dawni kronikarze nasi (Sarnicki)

(1) Ejus numinis nomen Alcis; *nulla simulacra*, nullum peregrinae superstitionis vestigium. *Germ.* 43.

w krainie naszych przodków, sąto dawniejsze z daty, od Długoszewego świadectwa.

Nie oświecił więc w niczém p. Maciejowski pierwotnych dziejów wewnętrznych Polski, wprowadzeniem swego co do jój religii systemu, i nie dowiódł tego systemu; stało się toż i przy wykładzie litewskiego pogaństwa.

Mitologia litewska była nader ofitszą w szczegóły, znaczenie też jój w sobie, według autora, nader znakomit-szém było od polskiej. Mitologia litewska, uważa p. Maciejowski, tém była dla młodój Północy, czém rzymska dla starego Południa. Mitologia ta była połączeniem bóstw wszystkich krajów i ostatecznym systemem nowo europejskiego pogaństwa. Jeśli wszakże ztąd należy się cześć dla mitologii Litwinów, nie należy się dla Litwinów. Dawni Litwini, uważa p. Maciejowski, nie umieli jak dawni Polacy, jak wszystkie ludy starożytności postępnie swój racyi rozwijać.

Zaczawszy od czci *przyrodzenia* jak inni, postąpili wprawdzie od niój do czci *ciał niebieskich* i czci *żywiółów*, ale nie umieli dojść do czci ducha.

Przytaczamy tu co do tego założenia własne słowa autora:

„Spróbuję dowieść, mówi na kar. 497, że Litwa była najprzód czcicielką przyrodzenia, później, że ubóztwiała żywioły i ciała niebieskie, ale z pojęcia o nich nie mogąc sobie po narodowemu wyrobić myśli o istności jednego Boga, i cudzoziemskie w tój mierze przypominając wyobrażenia, sprawiła, że obce te wtręty zagłuszyły raczój niż rozwinęły wzrost pogaństwa litewsko-narodowego. Bo gdy obczyzna owa nie będąc zrozumiałą, nie mogła się spodobać ani *oświeconemu obywatelstwu*,

ani *ciemnemu gminowi*, poszło ztąd, że pierwsze wzgardziwszy nią przejęło się chrześcijaństwem, a drugi przejął się niém nie chcąc i nie mogąc, trwał przy wierze trwogą nabawiającej go i odstąpić się nie dającą”.

Kierunki i wypadki w szczegółach wykładu tego systemu co do mitologii litewskiej, są dalej zupełnie tójże natury, jak były przy wykładzie polskiej.

W dowód, że dawni Litwini czcili i zaczęli od czci przyrodzenia, przytacza p. Maciejowski szczegóły o mitologii litewskiej przez p. Narbutta zebrane, i tak mówi: „Pan Narbutt przywiódł przykłady czci martwych istot, jakoto: pola i kamieni, tudzież istot żyjących, jakoto; zwierząt, między któremi gady jadowite, węże domowe, ropuchy, jaszczurki, trzymały pierwsze miejsce”; przyczyną zaś tego według p. Maciejowskiego było to: „iż Litwa będąc wielką czcicielką *żywołów*, a mianowicie: *ognia i ziemi*, cześć szczególną okazywała istotom, które w obu tych żywiołach, według jój mniemania przemieszkowały” (498). Cześć tworów ziemskich czyli przyrodzenia, miała być według założenia autora w Litwie pierwotną; według *wykładu* zaś, była dopiero następstwem czci ognia i ziemi, t. j. żywiołów. „Hippaciejowski latopis, mówi dalej p. Maciejowski, pisze o Mindowsie, że on porzuciwszy chrześcijaństwo, powrócił do ojczystych bogów i czcił: *Nienadziewsa, Telewela, Dziworyksa i Zajęczego*; pierwszym z tych bóstw byłato zapewne *Medziojna* nimfa leśna, drugie to samo co *Tewels* bożek zdolności do uciech cielesnych; mamy więc dowód, że już w pierwszej połowie XIII wieku czcił Litwin przyrodzenie” (500). Nauczył nas p. Maciejowski w dziejach zewnętrznych, że *Piteas* na kilka wieków przed erą chrześcijańską widział Litwinów, że w wieku Iszym

téj ery wspomniał ich Tacyt, i zamierzywszy dowieść, iż zaczęli od czci przyrodzenia, zbiera dowody (tojest tak mianowane dowody) dopiero na wiek XIIIsty. Cześć ta przyrodzenia oraz żywiołów, która u wszystkich ludów była tylko momentem przejścia, dla umysłu Litwinów stała się, według autora, kamieniem obrazu. „W czci téj, powiada autor, utkwwszy Litwa, *nie mogła* loicznie bóstw swych jestestwa rozwijać, nie mogła naturalnym porządkiem rzeczy rozpladniać bogów. Poszło więc jéj pogaństwo drogą nadnaturalną, naśladowało mitologie obce, przyjmowało w siebie cudzoziemskie bóstwa, po to jedynie, ażeby one istniały w niej bez żadnej konieczności” (163). Nie wiemy, jakieto mitologie naśladować, i zkąd bogów mogła przyjmować po Mendogu Litwa, kiedy w wieku tym, sama już tylko była pogańskim krajem, a naokoło było chrześcijaństwo? Nie wiemy nawet, kto mógł przyjmować tych bogów? Nie lubiło ich bowiem, jak powiada autor w słowach które wyżej przywiedliśmy, „ani oświecone obywatelstwo, ani ciemny gmin.” Moznaby, sądzić iż narzędziem tych przemian byli kapłani, ale o tych kapłanach w Litwie tak autor mówi: „Kapłani litewscy Krywekrywejte zwani, a podobieństwo z wielkim lamą indyjskiego Budhy mający, starali się tylko utrzymywać cześć żywiołów, i nie dopuszczali *żadnych odmian.*” (501).

Na płótnie z takiéj treści utkaném i równie ugruntowaném, skreślił p. Maciejowski swój obraz i figurę polskiego i litewskiego pogaństwa; i obraz ten przedstawił nam tylko zamęt rysów i linii, członków bez połączenia skupionych, i rozrzuconych bez związku szczegółów, śród których odbijają najdziwniej te, które jakieś rozumowa-

nia religijne wyrażać na celu miały. Rozdziały o mitologii pierwotnej Polski i Litwy, są bez zaprzeczenia najślabszą stroną pisma autora. Nie wspominalibyśmy nawet całkiem o stronie téj, gdyby nie przedmiot jój podstawę dziejów wewnętrznych stanowiący, oraz ten wzgląd, iż autor do pomysłów i wykonania téj części szczególną wagę przywiązał. P. Maciejowski określeniu pogaństwa Polski i Litwy według powyższych swych zasad, najprzód w texcie kart 30, dalej w ustępie do 70, w ogóle prawie piątą część swego pisma poświęcił; rozdział opowiadający rysy systemu jednocześnie w oddzielném piśmie drukował, i owszem na zasadzie tych rysów i tego systemu, nową oddzielną książkę o mitologii Polski i Litwy ogłosić przyrzekł.

Co do praktycznych szczegółów, autor w wykładzie mitologii krajowej niejedną trafną (1), lecz nie jeden i całkiem mylny umieścił fakt lub uwagę (2).

(1) Jak np. wytłumaczenie *Swarazica* jednego z głównych bóstw Rethry (czytanego dotąd *Laurisici*), na zasadzie rękopisu słowiańsz. z XVI wieku i poprawnej pisowni Dythmara w Zbiorze Pertza.

(2) Przytoczymy tu kilka. Na kar. 460 sprzeciwiwszy się pan Maciejowski Długoszowi, iż bóstwo *Łado* nazwał Marsem a nie Wenerą, mówi: „Wszystkie zabytki pogaństwa świadczą o tem, że *Łado* kobietą a nie mężczyzną była”. Są istotnie świadectwa, że pod nazwiskiem *Łado* czczono kobietę, ale nie wszystkie. Strykowski mówi: „*Didis Łado*, t. j. wielki bóg, któremu bieluchne kapłony na ofiarę bijali, którego też święta od 25 dnia maja aż do 25 czerwca obchodzili w karczmach; a niewiasty i panny na łąkach, i po ulicach tańce, ująwszy się około za ręce stroili, śpiwając żałośnie a powtarzając: *Łado, Łado, Łado, wielki nasz Boże Łado*; co i dziś jeszcze, dodaje kronikarz, w *Litwie, Żmudzi, Inflanciech i na Rusi* lud czyni”; *Stredowski* w *Hist. Kośc. Morawskiej* na kar. 53 (u *Narusz. II 373*) mówi: iż *Ładon* u Słowian toż znaczył, co u Greków i Rzymian *Mars*. „Jeżeli więc *Łado* mógł być Marsem u Morawian, w Inflanciech, na Litwie, na Rusi; nie rozumiemy dlaczego miał się mylić Długosz, mówiąc: że i u Polaków był Marsem. Mamy w języku naszym imię *Ładystaw* sięgające cza-

Po skróceniu w ten sposób, t. j. w tych głównych ry-  
sach i na takich zasadach ich, dziejów pierwotnych Pol-  
skii Litwy, i dodaniu szczególnych *ustępów*; p. Maciejow-

sów pogaństwa, i nie sądzimy, iżby matki ludu bitnego myślące o sławie, chciały oznaczać swych synów jako czcicieli Wenerę. Na kar. 153 utrzymując p. Maciejowski bez żadnych dowodów, że kapłaństwo na zachodzie słowiaństwa było skutkiem pomieszanej tam litewszczyzny (autor nie wykazał żadnych podobieństw w nazwiskach, istocie bóstw, obrzędów i t. p. między tem pogaństwem a litewskiem) mówi między innymi: „iż nie mamy dowodów, iżby kapłani innych słowiańskich krajów, odróżniali się jak nadtabańscy od ludu golemiem brody”. Kapłani zachodni lescy, nie odróżniali się od ludu golemiem brody, ale tem, że owszem w świetne kędziory ją zawijali. „Hujus (Svantevithi) sacerdos praeter communem patriae ritum barbae comaeque prolixitate spectandus pridie etc”, mówi główny tej rzeczy świadek *Saxo Grammatyk*.

Na kar. 445 i innych, uważa autor, iż u nas węże żadnej czci nie odbierały. Długosz wszakże w ks. I wspomina „iż *Ziemiomysł* gdy mu się syn urodził, radził się wrózków, wieszczków, opętanych i *węży*”; i dalej: „iż przy kruszeniu bożyszc. Mieczysław kazał też uprząć guślarzy i wieszczków i *węży*”. Nie mniejszą więc przy najmniej cześć węże u nas odbierać musiały od tej, jaką według autora miały: kwiaty, ptaki i inne twory w pieśniach wspomniane.

Na kar. 149 autor mówi: „Słowiańskie pogaństwo żadnego nie podaje śladu, z którego u nas o istnieniu *świętych dziewic* czyli *prorokiń* wnioskować było można”. *Kosmas* (w *Chronicon Bohemorum*) mówi: iż wszystkie trzy córki Kroka były *wrózki*. Najstarsza *Kazi*, mówi, nie ustępowała Parkom w sile władania losem człowieka; druga *Theta*, wyuczyła lud czić *Dryady*, *Oready* i *Hemadryady*; trzecia *Libussa*, dziwiła lud roztropnością, wymową, czystością; wszakże nieszczęście mieć chciało, dodaje kronikarz, iż była *Pythonissą*. Tenże mówi o *Eumenidach* u *Luczan*, które umiały nauczać jak unikać śmierci na wojnie, jak łamać *węzły niewidome* (ligaturae invisibiles) i t. p. Tradycje te jednoznaczne są zapewne w swém źródle z tradycją u nas o *Wandzie*; jakoż i o *Wandzie* jako o jakiejś nadludzkiej sile mającej dziewicy, nasze kroniki mówią. Książę niemiecki, który przeciw niej walczył, mówią te kroniki, widząc swe wojsko wracające rozbite, zawołał:

„Wanda ziemi, Wanda morzu, Wanda *rozkazuje niebiosom*,  
Wanda i rycerzy niemieckich *urzekła*.”

Mamy więc ślady Sybilli i ślady Westalek.

ski położył dalej w swém piśmie rozdział p. t. *koniec i krytyka badaczów tych dziejów*.

Rozdziałowi temu główny zarzut do uczynienia mamy ten, iż autor w objaśnianiu swych zdań o pisarzach, nietyle miał zawsze na celu pisma tych pisarzy, jak własne.

Rozdział ten mógłby się nazwać właściwiej *połajaniem tych wszystkich, którzy od wieku XII pisali o dziejach pierwotnych Polski i Litwy lub mitologii ich*; to jest którzy dotykając tych dziejów, nie wyprowadzali Lachów z nad Elby, Litwinów z Grecyi, a w rozwijaniu się ich pogaństwa, nie widzieli tych systematów, które autor wyłożył.

Położenia te tém mniej za usprawiedliwione poczytujemy, iż autor zwrócił je zwłaszcza do tych, których badania i prace w téj rzeczy, najbliżej celowi odpowiadały; a ztąd mimo nawet przypuszczenia mylności zasad, na wzmiankę tylko pochwalną zasługiwały. Pod względem przedstawienia dziejów pierwotnych zewnętrznych, autor tu głównie *Naruszewicza*; pod względem zaś dziejów wewnętrznych litewskich, dzieło p. *Narbutta* potępił.

Rozprawa *Naruszewicza* o dziejach plemion, które na ziemi polskiej od pierwszych czasów historyczności, do wprowadzenia chrześcijaństwa, t. j. do wieku XI zamieszkiwały, jest istotnie znakomitą rozprawą. Pismo to w r. 1824 przez b. T. P. N. z kilku mappami ręką autora skróconemi wydane, i dwa obszernie tomy składające, jest bez wątpienia najdokładniejszą dotąd z historii naszych dziejów pierwotnych, w jakiejkolwiek mowie wydanych. Nie pominął tu autor żadnego z plemion od najgłówniejszych do najdrobniejszych, o jakich wspomniały dzieje: to jest własne lub obce kroniki, roczniki,



żywotopisma, akta i inne dziejowe źródła do wieków dawnych; i historią każdego od ukazania się do upadku, oddzielnie, i ze wskazówką przy każdym twierdzeniu źródeł opowiedział. Mówiliśmy już o charakterze (przesadnym nieraz pod względem wniosków), który odznacza krytyczny wykład tego autora; ale nie możemy nie przyznać, iż jest krytyczny. Nieraz wprowadzie i Naruszewicz szczegółom źródeł zaprzecza; nieraz domysł bez pewnych zasad przedstawia (jak np. pochodzenia *Lachów* od *Laziów* (1) it. p.); jeśli jednak zaprzecza, tłumaczy się dlaczego zaprzecza, a jeśli przedstawia domysł, tedy wyznaje jawnie, iż się tylko domyśla. Rozprawę tę jednak ściga głównie p. Maciejowski od pierwszej swój do ostatniej karty; w rozdziale zaś o którym mówimy, tak się o niej wyraził: „Naruszewicz zebrane do dziejów pierwotnych zasoby zostawił w rękopisie, które z dwóch tu i owdzie różniących się odpisów, wydało T. W. P. N.

(1) Nad morzem Czarném było królestwo *Laziów*, którego potęga w wieku Iszym straszną się nawet stawiała cesarzom rzymskim (miało to być dawne królestwo *Kolchów*, gdzie było złote runo, przedmiot wyprawy Jazona. *Prokop.*). Obok tych *Lazów*, było też wykazywane przez geografów państwo *Zechów*. Ponieważ *Do-bner* od *Zechów* tych wywiódł *Czechów*, *Naruszewicz* idąc za jego przykładem wywodził od *Lazów* *Lachów*, twierdząc, iż ludy te razem z *Hunnami* (którzy jak wiadomo przyszli z południowoschodu) w wieku IV do Europy wprowadzeni zostali. Tradycye w kraju o przyjściu *Lachów* z *południa*, czas ukazania się pewniejszych śladów słowiaństwa w wieku przyjścia *Hunnów*, podobieństwo brzmienia dwóch plemion, podobieństwo brzmienia sąsiednich; jeśli nie przedstawiają dowodów, usprawiedliwiają jednak powody *domysłu*. Na czas, fakt wędrowki plemion z nad morza Czarnego na północ, przedstawia nawet *Naruszewicz* dowód dziejowy; p. *Maciejowski* (który mimo zapowiedzenie rozbioru wywodów swemu przeciwnych, nie raczył nawet prawie wspomnieć o tym wywodzie), na fakt wędrowki plemion z nad *Elby* nad *Wisłę*, nie przedstawił równego dowodu.

Nie uczyniło przez to żadnej przysługi wyjaśnieniu przedmiotu, a wydając owe piśmidło, ubliżyło powadze wielkiego męża, który w sędziwym wieku, kiedy ustały w nim żywotne siły, pozbiierał liczne a mało znaczące wiadomości; który nie miał czasu rozważyć swęj pisanimy i przerobić ją; który drukiem ogłosić jej nie myślał wcale" (396). P. Maciejowski w badaniach dziejowych nietyle zdaje się cenić prawdziwość dziejowych faktów, jak raczej jakowys popis; uważaliśmy bowiem, iż nieraz czyni zarzut badaczom (jak np. p. *Kastorskiemu*), iż źródła które przytaczają są powszechnie znane. Zbiór wskazówek źródłowych do historii XIV wieków plemion zamieszkujących na ziemi polskiej, od historyka plemion tych nie może być uważany za próżny tylko zbiór wiadomostek. Na ostatniej (616) karcie pisma swego, zwraca wprawdzie uwagę p. Maciejowski „że Naruszewicz i piszący po nim historycy polscy, dziesiątą zaledwie część źródeł tych znali, które *Pertz* objął swym zbiorem." Zbiór ten wszakże obfitszy być zaczyna dopiéro z wiekiem XII, t. j. z wiekiem w którym już się skończyły nasze dzieje pierwotne; i prócz kilku cytacyi o Łazach w Niemczech, kilku użytków z rejestrów do kronik *Pertza*, nie znajdujemy nic prawie więcej w piśmie p. Maciejowskiego, czémby zbiór *Pertza* zbogacił go w badaniu właściwych dziejów pierwotnych, nad źródła *Naruszewicza*. Na zarzut nierozważenia pracy, sam czytelnik zapewne odpowie. Autor, który zostawił przedmiotu swego oddzielne dwa odrobienia (odrobienia te obok wydane, przedstawiają tylko różność wypracowania lecz jedność zasad), i który nie przestając na opowiedzeniu dziejów swych chronologicznie, dla przedstawienia ich łącznie w danych okresach, kilka map własną ręką uakrę-

ślił, oczywiście więcej nawet niż dostatecznie przedmiot swój musiał rozważyć.

Równie niestuszném jest i potępienie mitologii litewskiej p. Narbutta. Piérwszy tom wielotomowego dzieła tego autora p. t. *Dzieje Litwy*, obejmuje cały wyłącznie jéj *mitologią*. P. Narbutt zebrał tu pracowicie wszelkie szczegóły, jakie w *kronikach*, *pieśniach* ludu, *podaniach*, *pomnikach* i t. p. do przedmiotu tego mógł znaleźć; każde bóstwo określał z osobna i szczegółowie rozbióra jego znaczenie, brzmienie, nazwiska (ze względem na język litewski i obce); przytacza towarzyszące czci bóstwa, pieśni, legendy, obrzędy; ztąd robi wskazówki, źródła, a w przedmowie, rzucił myśli o systemie téj mitologii. P. Maciejowski, który w wykładzie swym religii dawnych Litwinów, korzystał właśnie głównie z dzieła p. Narbutta, który nawet korzystał w części z myśli tych o jéj systemie, i który sam nawet wyznał: że „żadnego szczepu słowiańskiego mitologia nie jest tak troskliwie obrobiona, jak litewska p. Narbutta”; potępił jednak w gruncie to dzieło. „P. Narbutt, mówi autor, nie trafił w tém piśmie do celu. Napisał sporą księgę lecz niekrytycznie, rzecz w niéj wyłożył *niepraktycznie*. Błędne są jego mniemania, a błędne dlatego, że się nie wpatrzył należycie w odległych wieków przestwór, i że nie rozważył okoliczności, na litewską mitologią wpływających” (495). Traktat Naruszewicza o dziejach pierwotnych na ziemi polskiej; tegoż o bogach słowiańskich (stanowiący ich część), i mitologia litewska p. Narbutta, przez pracowity a krytyczny zbiór szczegółów, sąto rzeczywiste skarbee dla literatury krajowej. *Dziejopisarz, lingwista, poeta, filozof, teolog*, znajdują każdy

w szczegółach tych (a mianowicie w szczegółach obu mitologii), żywy materiał do swego przedmiotu. Właśnie do kart Pierwotnych Dziejów p. Maciejowskiego stosować się to musi, iż jakkolwiek więcej cytują i więcej dowodzą, żaden jednak z nich prawie, nie może być *praktyczny* użytek.

Mówiąc o tym użytku przypominamy, iż winniśmy tu jeszcze wspomnieć o *mappie* przez autora skróślonéj a do Dziejów Pierwotnych dołączonej.

Mappa p. Maciejowskiego miała na celu przedstawić na jednéj karcie naocznie dzieje zewnętrzne Polski i Litwy w książce opowiedziane, a mianowicie pięć odmian na ziemi Polskiej od wieku Igo do XIgo zaszłych. Trzy kolory oznaczające: *Littów*, *Słowian* i *Lechów*, wyjaśniły tu teorią autora co do miejsc osiedlenia tych plemion; liczby rzymskie dodane do nomenklatury (I, II, III, IV, V), oznaczyły epokę odmian; liczby arabskie, dawność nomenklatury.

Mappa ta, jest nam świadectwem pracowitości oraz przejęcia się przez autora pomysłem swojej teorii; nie pod każdym jednak z zamierzonych względów przyniosła pożytek.

Zamiar wyjaśnienia rysami zaszłych na ziemi polskiej zmian w pięciu epokach, daleko skuteczniej byłby osiągnięty, gdyby autor do każdej z tych epok oddzielną mapę nakręślił (jak to uczynił Naruszewicz). Wyrażenie tych pięciu epok liczbami rzymskimi, zaledwo z trudnością odszukać się dającymi, sprawia: iż czytelnik zamiast oglądania przed sobą pięciu epok, nie widzi żadnéj epoki; i mappa ta pod tym względem, zamiast objaśnienia textu, sama przez text (to jest oddzielny obszerny rozdział) objaśnioną być musiała. Przypatrując się oznaczeniom

liczbą arabską t. j. czasu, historycznego ukazania się nomenklatur i ubikacyi miejsc, nie jedno pytanie o objaśnienie nastęrczać się musi, a mianowicie: czemu autor chciał ujmować starożytności rzekom? Czemu np. Elbę oznaczył rokiem 79 (datą pisma *Pliniusza*), kiedy ją po kilkakroć wspomniał już Strabon w ostatnim wieku przed erą chrześcijańską piszący (1)? Dlaczego *Lech* oznaczony rokiem 790, kiedy pierwszy wspomniał go Ptolomeusz, geograf z wieku IIgo (2)? Dlaczego *Chronus* oznaczony rokiem 300, kiedy go także tenże Ptolomeusz wspomniał między rzekami Sarmacyi? Dlaczego *Kraków* oznaczony rokiem 894, kiedy autor twierdzi, iż go założył Krakus, a o Krakusie tym iż był Gotem, a zatem w wieku Iszym czy IIgim przez przechodzących Gotów tu zostawionym? Czemu *Letavia*, *Letecicion* oznaczone latami 552, 620 kiedy nazwisko to miała im nadać legia rzymska w wieku IV przysłana? Czemu *Polan* Ptolomeusza (o czém mówiliśmy już) położył autor w dawniej Germanii, kiedy geograf ten umieszczał ich w Sarmacyi; na-

(1) Np. w ks. VII gdy mówi iż „*Albios* równolegle z *Renem* do oceanu wpada”.... Τα Ρηνου και του Αλβιος ποταμον ως παραλληλος πως εκεινω περι προς του οκεανου etc.

(2) System p. Maciejowskiego kazał mu niszczyć ślady Lechii przed-saskiej, twierdzi więc, iż gdy: „Ptolomeusz rzekę *Lech* nazwał *Lichos*; rzeka ta zatem w wieku II nie nazywała się *Lech* lecz *Lichos* Iszy zaś dopiero Paweł Dyakon historyk z końca wieku VIIIgo nazwał ją ze stowiańska *Lech*”. Między *Lichos* i *Lech*, niema wszakże innej różnicy, jak między wymową krajową imion właściwych a zagraniczną; *Lichos* mniej nawet jest różne od *Lech* jak jest *Alvis*, *Albis* od *Elby*, *Vistillus* od *Wisty*. Nazwisko *Lech*, nie pierwszy przytém Paweł Dyakon w wieku VIII wymienił, ale je z rękopismu biskupa Trewiry z wieku VI przytoczył; mówi bowiem: „Biskup Trewiry opisując wierszem pielgrzymkę do grobu św. Felixa w Tours w r. 568 odbyłą, wspomina, iż przebył rzeki Drawę i Byrrhus i miasto Augustę, które jest oblane przez rzeki *Vindo* i *Lech*”. *Paweł Dyakon*, §. XIII.

wzajem zaś dlaczego nazwisko *Guttalus* położył przy Niemnie rzęce sarmackiej, kiedy Ptolomeusz wymienił go między rzekami Germanii? Czemu autor przedstawiając z założenia pisma pierwotne dzieje kraju, pominął nomenklatury Helmolda, najszczegółowiej i najmniej wątpliwie zaludnienie między Elbą i Wisłą określające?

Tylko mowa kolorów istotnie wyjaśniła dobitniej teorią książki, i (daruje nam autor wyrażenie) wykazała tylko tém jaśniej całe jej *dziwactwo*. Jak przedstawiają się dziwnie te trzy kolory (plemiona) wzdłuż i wpoprzek przestrzeni rozsiane, wzajem przeplatane, z miejsca na miejsce jakby balonem przenoszone! Zwracamy tu np. tylko uwagę na owe trzy narodki *Anglów*, *Warynów*, *Eudozów*, które pośród Germanii Celtyckiej ukazują się już nietylko z przygody słowiańskie albo litewskie, ale jednocześnie (dwa kolory) słowiańskie i litewskie, jakby przez przecucie mającego nastąpić w wieku XIV połączenia się tych plemion. Zwracamy też uwagę na Polan ukazujących się na ostatnim krańcu zachodu z rokiem dopiero 797 (Ost i Westfalów), których autor nie wiemy dlaczego odróżnił kolorem od Leszków, i których ukazaniu się dopiero z wiekiem VIII, tém trudniej jest naznaczyć przyczynę, iż w czasie owym, jak sam autor powiadał, Saxonowie od morza do Elby już od kilku wieków się rozciągali, i że z Lachów najechanych: jedni, według autora, postąpili już byli nad Wisłę, drudzy zmarli. Wprawdzie liczby arabskie autora oznaczają daty nie nastania ale ukazania się w historii nomenklatur, wyjaśniają jednak razem sprzeczności dziejowe z jego teorią.

Takie są główne uwagi, które się nam nastęrczyły przy odczytaniu pisma p. Maciejowskiego: *Pierwotne Dzie-*

je Polski i Litwy. Czytelnik widzi, iż uwagi te nie dozwoliły nam podzielić wszystkich główniejszych zasad tego pisma, i widzi razem: iż mieliśmy tylko niemożność, nie zaś mieć mogliśmy niechęć tego podzielenia. Wszystkie główne założenia autora, miały tylko na celu rozszerzenie i rozciąganie dobrej sławy przeszłości krajo-  
wój, i mogliśmy tylko życzyć abyśmy przekonani zostali. Nie chcielibyśmy np. bynajmniej zaprzeczać naszej pierwobytności plemiennój na ostatnich krańcach europejskiego zachodu; nie chcielibyśmy zaprzeczać, że dzieje przodków naszych tak na północy, jak na południu już były pod piórem Tacyta; że drugiej połowy kraju przodkowie służyli już pod sztandarami szlachetnej Grecyi; że naszych nierówności wewnętrznych stali się dopiero mistrzami wychodcy sascy. Mielibyśmy nawet rodzaj wstrętu występować śród kraju przeciw pracownikowi, jakim pod względem usposobienia do badań dziejowych nie każda nam spółczesna piśmienność pochłubić się może, i który dowodząc owój pierwobytności naszej plemiennój na krańcach zachodu, z czujnością i gorliwością ściga wszelkie przeciwne temu, zewnątrz kraju ogłaszane twierdzenia.

Wszakże im więcej zyczylibyśmy powodzenia autorowi i jego książce, tém więcej żałować musimy, iż grunt dobrej sprawy popsuł przesadą założeń.

Wszystkie główne twierdzenia, które położył p. Maciejowski o dziejach pierwotnych, jak widzieliśmy, bez dowodów je położył. Co miało być dopiero wpływem, autor przyjął za źródła; przypuszczenia z góry wziął za pewniki i z tego stanowiska skręśliwszy text dziejów pierwotnych, dał nam pismo raczej ze sfery poetycznej jak historycznej.

Autor usprawiedliwiał wprawdzie cytacyami i dowodami szczegóły pochodne; system jednak usprawiedliwienia tak szczegółów tych, jako też niekiedy i głównych, nie wpłynął na stwierdzenie założeń. W rozumowaniach wewnętrznych, autor zapominał niekiedy, widzieliśmy, i zapominał zwykle na *wynikłość*. W usprawiedliwieniach zaś zewnętrznych za *dowody* już przytacza *domyśły*, już źródła w rozumieniu ich mylném, już źródła które nie istnieją, już jedne i też same przytacza raz w jedném, drugi raz w inném rozumieniu (1). P. Maciejowski zapewne odpowie nam: że równe omyłki, trafty, w obszerniejszej badawczej pracy nieuniknione są; iż są nieraz skutkiem przygody, skutkiem cytacyi z pamięci; iż nieraz potrzebą jest pewna śmiałość w użyciu źródła; iż jeśli się ma przekonanie o prawdziwości systemu, niejakie nagięcie świadectwa jest użyteczném; że wreszcie sąto skazy, przygody, drobiazgowym badaczom wszelkiego kraju, by nawet najznakomitszym spólne; nie zaprzeczmy temu, ale dodamy: iż to też jest źródłem zwłoki w odkryciach prawdy. Nie fakta do systemu naginać, ale odkrywającym się faktom system poświęcać, taka tylko być może droga badań żywotnych.

Kończąc to, nie potrzebujemy dodawać: iż pismo o którym mówimy, jest dziełem znanego już z prac i historycznych zasług autora, i że przeto lubo nieusprawiedliwione w zasadach, nie jeden zasób, nie jedną prawdę uboczną do sfery badań dziejowych przynieść musiało.

(1) Wzmiankując np. na kar. 289, iż w kraju słowiańskim nad Bałtykiem nie znano dawniej żelaza, cytuje autor świadectwo Teofilakta. Na kar. zaś 430, w sprzeczce przeciw Lischowi o grobach słowiańskich na Zachodzie, wzmieniwszy o znajdowaniu się tam żelaza, autor mówi: „duby więc prawi Teofilakt, iż nad Bałtykiem żelaza nie było”.



Jakoż takimi rzeczywiście w niém są np. zbiory faktów co do miejscowości słowiańskich na Zachodzie, co do zabytków języka, co do słów uprzywilejowanych w pieśniach, powieściach i t. p.; takimi są rozdziały przedstawiające szczegóły kraju z wieków pewniejszych, w świadectwa bogatszych; takimi są rozrzucone, częściowe domysły, częściowo uskuteczniane badania; takimi są wreszcie wszystkie *Ustępy* do dziejów zewnętrznych, i w części wewnętrznych, które nie mając na celu przedstawiania twierdzeń a priori, rozbiierają tylko zadania historycznie. Dodać téż winniśmy, iż wykład p. Maciejowskiego opowiedzianym jest od początku do końca stylem czystym i zwięzłym, styl głównych historyków rzymskich przypominającym.

Co do cechy wreszcie wewnętrznej ogólnej krytycznej, o téj już rzekliśmy. P. Maciejowski w piśmie *Dzieje Pierwotne* postawił piérwsze kroki okresu krytyki nowéj twierdzącéj. Treść pisma tego dowodem jest wprawdzie, iż sąto kroki dopiéro piérwsze; pozwala nam jednak razem przeczuwać całą znakomitość dalszą tego okresu.

## KOSZATKI

## W LASACH LITEWSKICH.

PRAKI

*Konstantego hr. Tyzenhauza.*

Udczytując zeszyt 84 Biblioteki Warszawskiej na miesiąc grudzień 1847 r. wydany, szczególniejszą zwróciłem uwagę na *Doniesienia w przedmiocie Historji Naturalnej*; które z tém większą zajęły mnie przyjemnością, że wyszły z pióra krajowego naturalisty, i że zawierają fakta krajowe okiem biegłego znawcy sprawdzone. Szczególniej zaś zajmujące opisanie koszatki polchy, obudziło we mnie chęć opowiedzenia tego, co wiem o koszatkach w naszych litewskich lasach mieszkających. Postrzeżenia moje w ciągu lat z górą trzydziestu zbierane, posłużą za dopełnienie tych, które uszły wiadomości profesora Wagi.

Zwierzątka te są może pospolitsze, aniżeli się być zdają; lecz nie są tak łatwe do wysłedzenia, bo żyją w lasach gęstych, od wsi odległych, w dzień zawsze ukryte, w nocy na żér wychodzą i tylko przez pół roku

jawnie żyją; a nie przynosząc ani szkód ani pożytków żadnych, nie są poszukiwane od ludu wiejskiego. Owoż tego są przyczyny niepewności, jaka o ich bycie, nietylko u nas, lecz i w wielu innych krajach mniej więcej panuje (\*).

Nie ma u nas przykładu, aby koszatki z kryjówek swych zimą wychodziły; od października aż do końca kwietnia, w stanie zupełnego odrętwienia czyli letargu, bez najmniejszej oznaki życia większą część roku przepędzają; owszem marzną nawet, jak płazy i węże, nie tracąc wszakże siły życia, która za powrotem stosownej temperatury, znowu się w nich objawia. Z pewnością twierdzić nie mogę, aby wszystkie gatunki koszatek na zamrożenie były równie wytrzymałe; naturalisci bowiem żadnej o tém nie czynią wzmianki, a moje własne doświadczenia, czynione na koszatce orzechowej, dostatecznie mnie o tak godnym podziwieniu wypadku zapewnniają.

(\*) Wówczas dopiero podobne istoty, nabiorą u nas rzeczywistej wartości i śledzone będą okiem badawczym, kiedy się w kraju naszym zamitowanie nauk przyrodzenia choć cokolwiek rozszerzy. Dziś jeszcze pod tym względem, za wielu ucywilizowanymi narodami daleko stoimy. Świeżym tego dowodem jest milczenie obojętne katalogów księgarskich, nawet kronik naszych literackich; które nietylko że nie wspominają, ale może i nie wiedzą, że już od roku wyszło nowe dzieło, w przedmiocie dotąd prawie nietkniętym w języku naszym. Dziełem tém jest *Mastologia czyli historia naturalna zwierząt ssących*, wypracowana przez pana Gustawa Belke, naszego ziomka, obywatela i urzędnika gubernii Podolskiej. Nie tu jest miejsce rozbioru tój chwalebnej autora pracy, godna albowiem porządnej recenzji, oczekuje aby Biblioteka Warszawska, tylu współpracowników uczonych w gronie swém licząca, poświęciła mu zaszczytną kartę \*.

\* Jednocześnie z niniejszym artykułem z Wilna nadesłanym, Redakcja otrzymała egzemplarz Mastologii pana Belkego, nadesłany z Kamieńca Podolskiego, i nie omieszka ogłosić wkrótce swoich uwag o tém ważnem dziele.

1. Koszatkę polchę (\*) *Myoxus glia*, pierwszy raz otrzymałem w roku 1805 w darze od pułkownika Ambrożego Kadlubiskiego; złowioną była w borze sosnowym, do majątności Wojtkuszek należącym, blisko miasta powiatowego Wiłkomierza. P. Kadlubiski utrzymywał ją na cienkim dwulokciowym łańcuszku, a pomimo, że nigdzie skryć się nie mogła i ciągle była między ludźmi, jednakże ani trochę się nie oswoiła, bo chrzących ją ująć lub pogłaskać, zazarcie kłosać usiłowała.

U mnie przez lato, przykutą była za koniec łańcuszka w oknie otwartém, z kąd do wolności tęskniąca nieraz chciała wyskoczyć, lecz zawsze łańcuszek sprzeciwił się zamiarom ucieczki; i tak biędne zwierzątko częstokroć przez chwilę za oknem wisiało, lecz prędkim zwrotem czepiąc się po łańcuszku, z niewymowną szybkością powracała na okno. Co w początku robiła w zamiarze oswobodzenia się od niewoli, to później zamieniła na pewien rodzaj gimnastyki; zapewne z potrzeby ruchu. Nakoniec, gdy w podobnej igraszce łańcuszek się zer-

(\*) Opisanie Rzączyńskiego koszatki, tak jest dwuwykładne, że do dwóch gatunków zarówno zastosowane być może. Lecz gdy on jako synonimę cytuje *Mus avellanarum* Gesnera, już wątpliwości nie ulega, że chce mówić o koszatce orzechowej *Myoxus nitela*. Drugiego nazwiska *koszatka* trudno wyprowadzić pochodzenie; chyba przypuszczając, że zwierzątka lubiące owoce, pładrują po koszach, w których te zwykle utrzymywane bywają. Koszatka zaś prof. Jundzitta, nie jest bynajmniej przekreśnieniem w razu *koszatka*, lecz dosłownie wzięta z synonimów Buffona (*Hist. Nat. des Quadrupèdes*, tom II, str. 352), gdzie ten autor cytując Rzączyńskiego pisze: *en polonais koszatka* (wiadomo, że w alfabecie francuzkim, głoska ł nie znajduje się). Trudniej domyślić się, z kąd wzięt prof. Jundzitt nazwisko gatunkowe *polcha*: tego w żadnym rossyjskim słowniku nie znalazłem. Rossyianie tę koszatkę nazywają *Cona*, *spioszka*. Pallas za nazwania rossyjskie podaje: *Zemlanaja Bielka*, *ziemna wiewiórka*: a jako słowiańskie przytacza *Puch*. To ostatnie zdaje się być źle wymówionym wyrazem *spiuch* ludu galicyjskiego.

wał, koszatka moja nazawsze uciekła do lasu. P. Kadłubiski często mi powtarzał, że na Ukrainie, z kąd sam był rodem, a mianowicie na Polesiu Wołyńskim, polchy nie są rzadkie, i że ich tam popielicami (\*) nazywają.

Co do kształtu barwy i obyczajów tego zwierzątka, w tém professor Waga ciekawość czytelników dostatecznie zaspokoił. Dodam tylko: że moja koszatka była koloru czysto popielatego; być więc może, iż ta, którą profes. Waga posiadał, wycierając się po rozpadlinach pieca, sierć swą zabrudziła (\*\*); tudzież, że pokarmy twarde, jak

(\*) I to nazwisko należałoby przy koszatce tu opisaniej zostawić, jak to już uczynił prof. Zawadzki; bo futra od kuśnierzy naszych popielicami nazywane, pochodzą z wiewiórek pospolitych, które jak wiadomo w krajach północnych przybierają na zimę popielatą barwę. Gesner nawet w opisie bardzo wątpliwego szczeniawego zwierzątka *Mus ponticus*, przywodzi polskie nazwisko popielica, które że mogłoby ująć za koszatkę polchę, dosyć spojrzeć na mizerny drzeworyt jego, mający wielkie do niej podobieństwo. Odczytując niedawno Dzieje Korony Polskiej i W. ks. Litewskiego od r. 1380 do 1535, przez Bernarda z Rachtamowic Wapowskiego po łacinie pisane, a przez Mikołaja Malinowskiego na polski język przetłumaczone, znalazłem w spozycie Iszym, na str. 80 taką o popielicy wzmiankę: „Wydaje nadto Litwa sobole, kuny, gronostaje, popielice, któreto zwierzątko greccy i łacińscy pisarze czarnomorskiemi myszami niegdyś nazywali; ich skóry są w wysokiej cenie, większa ich wszakże ilość znajduje się w głębszej Sarmacji” i t. d. Tu wyraźnie Wapowski mówi o *Mus ponticus*, któremu Rzeczyński najniewłaściwiej polskie nazwisko *polatucha* daje; Gmelin go zaś za odmianę wiewiórki pospolitej (*Sciurus varius*) poczytuje.

Jeśli więc nazwisko rodzajowe koszatka, przez samą wziętość od lat tyłu upoważnione, miało na przyszłość odmianie uleść, nie innebym obrał jak to, które prof. Zawadzki podaje; a to dlatego, że jest narodowe, i że charakterystycznie objaśnia przymiot przyrody tych zwierzątek. I wówczas nazwałbym trzy u nas znajdujące się koszatki: 1) *spióch popielica*, Zawadz. 2) *s. orzechowy*, 3) *spióch płowy*.

(\*\*) Trudno przypuścić, ażeby nie już naturalisty, ale i czyjekolwiek oko, mogło ubrudzenie się zwierzęcia wziąć za naturalny

orzeczy, rukier i chleb suchy, w łapki przednie ujmując, w ten sam sposób jak wiewiórki jadła; przeciwnie zaś, ciasto w mleku rozmiękczone, pożywała w miseczkę szczurzym obyczajem. W lat kilkanaście później, przysłano mi ze Żmudzi skórkę takieżę samęj koszatki, lecz tak źle zdjętą i przez psa który ją schwytał poszarpaną, iż nie mogłem ję użyć do zachowania w zbiorze moim.

2. Koszatka orzechowa (*Myoxus nitela*, le Lerot Franc.) od poprzedzającęj mniejsza; z wierzchu orzechowo-szarawa, spód ciała, policzki, boki szyi i łapki białe; wąsy, smuga przez oko ciągnąca się w tył poza uszy, tudzież połowa ogona z wierzchu czarne; ogon mniej odziany jak u polchy, od spodu biały: uszy wielkie, nagie; z postaci więćęj do szczura niż do wiewiórki podobna. Koszatka orzechowa od polchy mniej dzika, zbliża się do mieszkań ludzkich; lubi w ogrodach fruktowych przebywać, zwłaszcza w porze dojrzewania owoców; z tych najdojrzalsze wybiera i więćęj psuje anizeli na swój obraca pożytek, wgryzając się do jąder, które ję lepiej nad sam owoc smakują. W krajach południowych prawdziwą jest kłęską na brzoskwinię, śliwki i migdały; u nas na jabłkach, gruszkach i orzechach przestawać musi.

Ta, którą dostałem w roku 1828 pod koniec sierpnia, złowioną była w majątności Cerkliszkach, blisko miasta powiatowego Święciany. Wkradła się do składu owocowego, i tam po wyrządzonych szkodach dostrzeżona,

kolor jęgo. Dotęgo, prof. Waga wyrażając się (str. 506) o kolorze polchy, gdy dodaje, że ma kolor i spojrzenie szczura, uważa to ostatnie zwierzę w porównaniu z wiewiórką, względem której szczur jest popielatym (kolor główny), a wyrażenie Desmaresta, które (tamże) przytacza: *ciało brunatno-szaro-popielate*, jest zwykłym u naturalistów, chcących nietylko kolor główny, ale i przemieszki modyfikujące go oznaczyć.

P. R.

pojmaną żywa została. Zamknąłem ją na niejaki czas pomiędzy podwójnymi oknami, gdzie żyła wolna przez miesiąc parę, nie okazując chęci oswobodzenia się ucieczką; nie tłukła się o szyby, nie gryzła ram od okien. Później urządziłem dla niej mieszkanie z małego drewnianego o jednym otworze pudełka, wzniesionego na łokieć od poziomego okna, do którego po drabinie wchodzić mogła. Prędko się z tym nowym oswoiwszy przedmiotem, zaczęła doń znosić pakuły, w kącie okna umyślnie położone; zwijając je w małe kłębuszki za pomocą pyszczka i łapek, w przeciągu jednej doby usłała sobie miękkie, ciepłe, kuliste gniazdo. Po ukończeniu roboty, coraz to rzadziej do napoju i jadła schodziła, czasem dni kilka nie było jej widać. Nareszcie, gdy nastaly przymrozki, już się więcej nie pokazała. Wtedy zajrzałem do kryjówki, a po rozgarnieniu pakuł, widząc że zwierzątko w kłąb zwinione, w stanie jest zupełnego odrętwienia, odłożyłem me poszukiwania do późniejszego czasu.

W grudniu dopiero, gdy termometr wskazywał więcej 12 stopni zimna, a woda w miseczce pomiędzy oknami zupełnie zamarzała, wyjąłem koszatkę z gniazda; lecz jakież było moje podziwienie, gdy ją znalazłem wskrós mrozem przejętą, i jak kość stwardniałą. Sądziłem, że już nie wróci do życia. Nie tracąc wszakże nadziei, położyłem ją w miejscu ogrzaniem na stopni 14 Reaumura. Po kilku godzinach, skoro przekonałem się że zamróz z niej wyszedł, że już była miękką i podatną, wziąłem śpilkę i ukłóteń ją kilkakrotnie, chcąc doświadczyć czułości; lecz napróżno, bo martwą jeszcze była.

Postanowiłem jednakże z cierpliwością największą czekać pierwszych zjawisk życia. Zbliżyłem ją do pieca, i po upływie kwadransa dojrzałem małosnaczný ruch

w szczerce górnej; po chwili, pyszczek cokolwiek rozwarła; nieco później, poczęła spazmodycznie ziewać i trząść łapkami przednimi; dalej otwierała i przymykała naprzemian wielkie wypukłe swe oczy, z pociąganiem wszystkich członków ciała.

Ruchy te objawiały wyraz ciężkiego cierpienia i trwały około godziny. Naostatek gdy zupełnie się rozbudziła, nagłym ruchem obróciła się na łapki, usiadła, oglądała się na wszystkie strony; a upatrzwszy moment, kiedy osoby na to widowisko patrzące od stolika odstąpiły, zeskoczyła jednym susem i w ciemnym skryła się kątku.

Natychmiast podano jój pokarm i napój; piła z upragnieniem, a potem wzięła się do jedzenia. Przez dni kilka zostawiłem ją wolną w pokoju, gdzie obrawszy sobie miejsce przy piecu, cały dzień spokojnie siedziała, w nocy zaś wszędzie jój było pełno i bynajmniej do snu skłonności nie okazywała; aż gdy powtórnie zamknąłem ją między oknami, uczuwszy zimno, pobiegła natychmiast do gniazda, i już z niego nie wyszła.

W lutym, podczas największych mrozów, znowu wydobyłem ją z gniazda, równie jak piérwój zmarzłą; a że miałem zamiar wypchać ją do zbioru mojego, nie chcąc jój męczyć żyjącej, jeszcze nieodmrożoną na wskroś igłą bez śladu krwi w zadanej ranie przeszyłem, i tak przebitą położyłem w ciepłe, aby odmarzła. Lecz w godzin kilka nad moje spodziewanie, ruszać się zaczęła.

Ciekawy był to moment, w którym powrót do życia z oznaką blizkiego skonu jednocześnie się objawiał. Najprzód krew okazała się w pyszczku; potem naprzemian po sobie następowały: to poruszenia budzącej się ze snu z trudnością i pociąganiem, to konwulsyjne przed-



śmiertne członków drgania; te nakoniec przy coraz obfitszym krwi upływie przemogły, i po krótkiej chwili koszatka żyć przestała.

Odtąd otrzymałem jeszcze z miejsc różnych trzy koszatki orzechowe: z tych jedną, jadąc do Wilna traktem święciańskim udało mi się odebrać od ptaka drapieżnego jeszcze wpół żywą. Znajduje się ona teraz w muzeum zoologiczném uniwersytetu kijowskiego.

3. Koszatka płowa (*Myoxus muscardinus*, le *Muscardin Fran.*), z wierzchu rudawo płowa, od spodu biała; ogon ma długi, lepiej odziany niż u koszatki orzechowej; oczy wielkie, czarne; uszy małe, zaokrąglone; kształt i wielkość myszy domowej; najmniejsza w rodzaju. Koszatka płowa zdaje się być wszędzie od obu poprzedzających rzadsza, lecz na zimno wytrzymalsza, bo Retzius ją tylko jedną w Faunie szwedzkiej wymienia. Jedyny dotąd exemplarz dostał mi się w roku 1842 dnia 20 sierpnia. Znalezionej została w głębokiej po kartoszlach jamie (\*), wykopanej na wzgórkcu piaszczystym, pośród małego sosnowego lasku tuż pod wsią Aulasami, o pół mili od mieszkania mojego. Zauważyć tu muszę, że ani w tym lasku, ani na milę wokoło, leszczyna nie rośnie.

(\*) Zdarzenie to myśl mi podało łowienia małych zwierzątek podobnym sposobem. W tym zamiarze kazałem pokopać doły, od dwóch do trzech łokci głębokie, po lasach, ogrodach i między-połowych zaroślach, na miejscach wzgórzystych. Skutek zupełnie odpowiedział nadziei mojej, bo dowiedziałem się, że są u nas, mianowicie z familii szczurowatych gatunki takie, których szukając, możebym nigdy nie spotkał. Doły kopać potrzeba zawczasu przed skończeniem żniwa, o ścianach prostopadłych, a nawet jeżeli grunt jest tęgi, do środka trochę pochyłych, aby zwierzątka wpadły wydożyć się nie mogły. Na dno dołu, dobrze jest wrzucić garść suchych grochowin i cokolwiek rozmaitego ziarna. Jamy takie odwiedzać należy codzień z rana, gdyż jeżeli się to przez dni parę nie uskuteczni, większe gatunki pozajadają mniejsze, lub wygrzebią sobie ukośne nory aż do samej powierzchni ziemi.

Niedługo się jój posiadaniem cieszyłem. Piękne to zwierzątko trzymane w klatce, potrafiło się wygrzyźć i gdzieś tak się w pokoju skryło, iż pomimo najusiłniejszego starania, znaleźć jój nie mogłem. Po tygodniu dopiero niespodzianie ukazała się na biurku pomiędzy różnemi sprzętami; nie mogąc jój schwytać, zastawiłem na noc pułapkę, do której nazajutrz mysz zwyczajna wpadła, a koszatka już się więcej nie pokazała.

Gdy sam nie miałem zreczności czynienia postrzeżeń nad fenomenami odrętwienia jój zimowego, przytoczę tu doświadczenia p. *Lortet* (\*), odbywane od dnia 25 października 1843 roku, kiedy zwierzątko na zimę letargicznie usnęło, aż do początku czerwca. Do obserwacji użyty był termometr stustopniowy.

	Temperatura powietrza.	Temperatura zwierzęcia.
Od 28 listopada do 6 grudnia	11,9.	12,2.
„ 17 grudnia „ 24 „	12,3.	11,9.
„ 5 „ „ 15 stycznia	7,3.	7.
„ 17 stycznia „ 6 lutego	8,4.	8,5.

W chwilach przebudzenia się :

Od 7 stycznia do 9 stycznia	11,6.	32.
„ 15 „ „ 27 lutego	7,5.	30,2.
„ 16 „ „ 27 marca	9.	35.

Od 20 lipca aż do końca września, zwierzątko ciągle było rzeźwe i nie okazywało żadnych symptomów letargu. Powrót tego stanu znowu 15 października jak w roku przeszłym nastąpił.

(\*) *Annales des Soc. phys. et natur. d'agriculture et d'industrie publiées par la Soc. roy. d'agriculture de Lyon, VII, 1844, p. 153 et 430.*

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Obrazy z Państwa Flory.* Warszawa w drukarni Stan. Strąbskiego, 1848, str. 117 w 8ce.

**K**tóżby z nas nie rad był uznać chluby własnej w tej niezwykłej pism mnogości, któremi same warszawskie drukarnie co rok bojnieją, powszechną chciwość czytania usiłują nasycić? Zaiste, szereg ich w katalogu księgarskim świetnie przedstawia wzrost literatury krajowej, ale zacznijmy szacować te plody wewnętrznie, a zawołamy: czyto nasz język nigdy się tak nie ustali, ażeby nie przyjmował w każdym niema pisarzu prawodawcy nowego? nigdyż nie stanie się tak pewnym, ażeby to tylko wyrażał co autor wyrazić nim pragnął? tak giętkim, ażeby nie było odcienia myśli niepodobnego do wydania po polsku; tak szlachetnym, ażeby rzecz nim napisana budziła w czytelniku uczucia wyższe; tak harmonijnym, ażeby porywał i zniewalał? Zawszeż dzieła nim pisane mają być partactwem w porównaniu z temi, które codziennie przybywają literaturze narodów obcych?

W rzeczy samej, większą część tych nowych pism drukowanych, odznacza albo gruba niewiadość ich autorów i płytki sąd o rzeczach, albo wysokie niedbalstwo językowe, tak, że kiedy przyjdiesz do księgarni, przeczytasz tytuł i pierwszą kartę książki polskiej, którą ci tam za nowość literacką podadzą, tylko w tém cała korzyść i pociecha twoja, że zawołasz: *jak też wielu pisze!*

Jakaż więc radość, kiedy w tój przepływającej ciźbie fizyonomij zchorzałych, ujrzy się coś zapowiadającego życie trwałe i niejednemu pokoleniu użyteczne?

Nie umiem nazwać uczucia jakie mnie przeniknęło, kiedy pierwszy raz przeczytał te, o których mam mówić, Obrazy z Państwa Flory. Było ono zbiegiem zadziwienia i uradowania mocnego. Nie zginie mój język! zawołałem; jest on już przygotowany do wyrażania dzieł nieśmiertelnej trwałości, mimo wasze kłopoty, niewyćwiczeni pisarze, którym owo się i owo nie zawsze tak na zawadzie, jak zły taneczniczy rąbek. I z podwojoną uwagą a zawsze jedną rozkoszą, zacząłem powtórnie czytać piękną przedmowę do Obrazów z Państwa Flory.

Skromny autor nie wymienił swojego nazwiska, ale wszystko oznajmia, że Obrazy z Państwa Flory wyszły z pod pióra bardzo wydoskonalonego długiem i pełnem usiłowań pisanem. Sąto wspomnienia kilkuset najpiękniejszych roślin, ułożonych w abecadłowy porządek, według systematycznych nazwisk gatunków. Nie pierwszyż już autor zbiera dla literatury naszej materiały na polu botaniki do ułożenia dziełka, które miłośnikom tój pięknej umiejętności przyjemność sprawia (1). Ale jeśli dawniejsze tylko botanikę na celu miały, to podoba się wszystkim, bo z pięknoscią przedmiotu dziwnie umiało połączyć piękność wymowy i poezji. Wprawdzie zbyt krótka, zbyt wyciągowa jest ta praca, ażebyśmy nią śmieli przedłużać szereg dzieł botanicznych w literaturze naszej; lecz i najzaciętszy stronnik naukowej ścisłości złoży hold autorowi, bo uczuje może równo z nim szacunek dla swojej ulubionój nauki, ale go nigdy serdeczniej nie wynurzy. Dla autora Obrazów roślina jest tylko składem piękności, kolebką wspomnień, emblematem uczuć; a przecież ten poeta tłumaczy się wszędzie językiem tak poważnym, tak naukowym, jakby świeżo od-

(1) Z podobnego stanowiska zapatrują się na rośliny: Zasady plantacyj wiejskich przez W. S. wydane w Warszawie r. 1806.— Botanika dla poci pięknej p. Podymowicza, 1834, 2 tomy. — Botanika popularna p. Pisulewskiego, 1845.

szedł od grona Linneuszów i Dekandolów. Oto jak botanicę określa: „Botanika (mówi), której zamiłowanie w dzisiejszych czasach tak się upowszechniło, jest jedną z najpiękniejszych gałęzi w dziedzinie nauk przyrodzonych. Przedmiotem jęj jest opowiedzenie historyi życia roślin, we wszelkich stopniach i przemianach, życia które mgłą tajemnicy nieraz okryte, niemniej przeto cudowne i zadziwiające przedstawia zjawiska. Roślina, ów utwór półsenny matki przyrody, przeznaczona upiękniać ziemski nasz pobyt, godną jest zaiste najgłębszej rozwagi; nie przeto dziwnego, że w dzisiejszych czasach rozbioru i myślenia, stała się przedmiotem tylu postrzeżeń i uwag; żałować tylko wypada, że poznanie botaniki, tak wielkie dziś przedstawia trudności. Nauka chcąc przyjsć w pomoc pamięci, kamiennym murem etymologii otoczyła dziewiczą Flory krainę.” Tu z wymową i wzruszeniem użala się autor nad nieprzystępnością dróg, któremi botanicy dochodzą do oznaczenia i uporządkowania roślin (1); ale wkrótce postrzega się, i tak dalej mówi: „Wszystko to jest rzeczą okropną, nieszczęściem jednak potrzebną: podziwiać nie jesto znać; dla dokładnego zaś poznania, porządek i metoda są nieodzownymi. I w rzeczy samęj, jak tu poznać 20,000 gatunków roślin (2). nie podzieliwszy ich na pewne klasy? Smutnato ale dowiedziona, niczém nieodparta prawda, że nawet w państwie roślinném, wolném od uprzedzeń i namiętności, rozróżnienie jest potrzebném. Etymologia była więc konieczną, a zatém w imię miłości pięknej Flory, przeharzmy uczonym i wejdzmy w tę piękną krainę, której ciemność rozjaśnili. Uderza nas najprzód nieskończona różnaitość w gatunkach, tysiące odmian w postaci, odmienne życia warunki: dalej różnstopniowa użyteczność

(1) W tém rozżaleniu, autor, lak (*Cheiranthus cheiri*) mylnie poczytał za lewkonią.

(2) Samych jawnokwiatowych w drugiem wydaniu (1841) Nonenklatora Steudla, jest 78,005 gatunków.

objawiająca się w tysiącznych zastosowaniach, a zwiększająca się odpowiednio postępowi rozumu przemysłowego; tam wyżej myśl lotna mocuje się nad odgadnięciem istoty życia roślinnego, jako cząstki oceanu wszechżycia napelniającego całą przyrodę, które z natury swęj nieujęte nie dając się pochwycić, skrępować i poznać, uśmiecha się ironicznie lecz lekliwie na widok podobnych usiłowań. Sfinx odgadniony straciłby cały urok; poznany, nie przestałby być wprawdzie wielkim, wielkość ta przecież świadczyłaby jedynie o potędze śmiałego zwycięzcy. Meta wszakże jest zbyt odległą, a stan dotychczasowy wzajemnych usiłowań, przedstawia przynajmniej zajmujący widok, okazując zamgloną przyszłość w zielonej nadziei kolorach."

Wyznać potrzeba, że nikt z większą znajomością rzeczy, z większą sztuką i czuciem nie wystawił przedmiotu fizjologii roślinnej. Zobaczymy, jak dalej autora na tém samym polu fizjologicznych dociekań, poezya wiedzy. „Najwięcej wszakże zadziwiająca, mimowolne w nas uwielbienie wzbudzająca jest piękność nieporównana kolorów i kształtów. Niepodobna przypuszczać, aby świetność barw roślinnych była skutkiem owych przyczyn fizycznych, znanych i dowiedzionych. Sprawdzone nawet doświadczenia nie przekonywają zupełnie. Umysł ludzki mimowolnie skutki takowe wyższym przypisuje przyczynom. Cel natury wznioślejszym niezaprzeczenie być musi. Harmonijna wszechświatajedność i zgoda, objawia się jako doskonałość zupełna w najdrobniejszych nawet szczegółach; doskonałość jest matką piękności. Kolory jak głos są objawem ducha; niemasz koloru niemego. Świat cały jest pryzmatem, a siedm kolorów tęczy odbijają się w jednej kropli rosy. Tęcza jest godłem nieskończoności; wznosi w niebiosa siedm grzmiących głosów, śpiewających bezprzestannie chwałę i piękność stworzenia. Kolor jest objawem piękności, jak głos objawem chwały. Chwała piękności brzmi ciągle na strónach nieskończonej lutni, harmonia ożywiona jest promieniami nieskończonego słońca”.

Z równą sztuką, z tą samą pewnością mistrza, przeprowadza autor botanikę przez znaczniejsze epoki jój postępu. „W pojawach piękności roślinnych, już pierwszy człowiek radosném okiem swego Stwórcę powitał; wszak ów raj ziemski, bytło cudowny ogród, napelniony wszelkimi rodzajami roślin i innych tworów, wywołanych wolą wszechwładnego słowa, jakby na uczczenie kwiatu stworzenia, nieśmiertelnego młodocianej ziemi mieszkańca. Młodość i piękność po raz pierwszy powitawszy się wzajemnie, podały sobie ręce na znak nierozzerwanego przymierza; przymierza, którego prawdę i trwałość szereg wieków po sobie płynących potwierdza. Na ich tle rozkwitłe zaranie świata, błyszczą dotąd w pamięci ludów niezapominianym szczęśliwości blaskiem, niby światłem astralnym w najpóźniejszych odbitém pokoleniach.”

Potem przechodzi w mitologiczne czasy: „Człowiek, jakkolwiek w następnych wywyższył się czasach, nie zdołał przecież zapomnieć, że najpierwsza piękność kolébkę jego zdobiła i swym urokiem dalszego życia koleje rozświecała. Przewidzianą była wówczas cierniami usłana droga żywota: trzeba było początek jój barwą piękności osłonić, aby nieśmiały na drogę nowych wprowadzić przeznaczeń. Młoda, ożywiona, w pełni powabów dziewiczych kwitnąca przyroda, najpierw na siebie zwróciła uwagę; nowe, nieznane jeszcze zjawiska tysiącami powabów drażniły młodocianą ciekawość, która gubiąc się nieraz w uwielbieniach i ze szkodą dla siebie w zapomnienie wpadając, wielkość stworzenia za samego poczytała Stwórcę.”

I wstępuje nieznacznie w epokę pierwszych, niedokładnych ale szczerych i prostomyślnych opisywaczów roślin: „Rozmítowanie się takowe w naturze, dziś stanem dziecięcym w jakim się myśl ówczesna znajdowała tłumaczone, nie zgłębiając istoty utworu, ograniczało się jedynie na podziwianiu własności i przymiotów; kwiat pierwój żywością kolorów zachwycił, zanim cudami organizacyi rozważyć do myślenia pobudził. Koléjto zwykła w historycznym pochodzie rozumu ludzkiego, do dziś dnia powtarza się dosłownie

w fenomenach świata fizycznego; wyobraźnia i poezja pierwój zawsze cudami wymysłów i podań nieznanę otoczą zjawiska, zanim sąd ostateczny rozumu o ich prawdziwój zawyrokuję wartości. Niknie wówczas zorza poranna wiadomości, a słońce rozumu złotemi promieniami wspaniale zdziwioną ziemię obléwa."

Nakoniec o stanie umiejętności w naszych czasach tak się wyraża: „Odmiennym dziś wzrokiem pogląda na świat przebudzony człowiek; śpiwając chwałę stworzenia, wgląda w niezbadane tajemnice przyrody, śledzi jój praw w najdrobniejszych zjawiskach, a z tysiąca pojedynczych fenomenów, olbrzymią myślą podnosząc się do ogółu, bada ogólną wszechświata harmonią i siłę, która ją w odwiecznych i niezmiennych utrzymuje granicach. Myśl jak błyskawica w nieskończonych badaniach goni za myślą stworzenia, jój dopatruje we wszystkich zjawiskach i jój wielkością się zdoła."

Jakże wspaniały jest obraz korzyści, które nam botanika przynosi! „Wpływ botaniki na uprzyjemnienie i uszlachetnienie życia, jest niezaprzeczenie wielkim. Życie wiejskie, z istoty swój tak godne myślącego człowieka, bratające go co krok z pięknnością natury, jakże uprzyjemnioném zostaje hodowaniem roślin! Ogród piękny, to świat cały roślinny przez najwspanialszych reprezentowany wysłańców! przestrzeń globu ziemskiego w małe zestrzelona ognisko, uobecnione osobliwości wszelkich krajów! Podziwiać cuda stworzenia, wtajemniczyć się w tę mieniającą się milionowemi kształty panoramę, znaczy odbijać w własnej myśli odebrane wrażenia, i z bogactwą rozwagą oddziaływać na świat zewnętrzny. Widok piękności uszlachetnia serce i sprawdza ów wiérsz Milтона: „Sąsiedzi piękności złemi być nie mogli."

Nakoniec przystąpiwszy do wytłumaczenia początku botaniki emblematycznej, mówi: „Niegdyś wszelka uroczystość publiczna oznajmianą bywała zawieszaniem wieńców na budowlach i pomnikach; co większa, wszyscy filozofowie, wojownicy, wielcy ludzie wieńcami wynagradzani bywali; kilka drobnych listków, nagrodą dzieł wielkich! myśl zaiste



godna zastanowienia. Czas, który poniszczył państwa, nie zniszczył języka emblematycznego; korony z liścia dębowego, mirtu i wawrzynu, są po dziś dzień nagrodą chwały i geniuszu. Wieki rycerstwa pełne wiary w cudowność przygód błędnych rycerzy, młodzieńczą gorejąc wyobraźnią, rozwinały uczucie pięknego we wszelkich życia stosunkach, zostawiły mnóstwo czarujących podań, w których kwiaty znakomitą odegrały rolę. Na równinach Prowancyi śpiewano romans o róży, Trubadurowie z nad brzegów Renu przyrównywali piękność zaklętych księżniczek, do kwiatów perłami rosy skrapianych. Język kwiatowy należał wówczas do najważniejszych środków, jakich strzeżona używała miłość; młodzieńcza i ognista uważała mowę za słaby i niebezpieczny środek, w wzajemnym porozumieniu się utrudnionem żelaznemi kraty w zamkach feudalnych baronów; wynaleziono sposób, który mówiąc do oczów, przemawia wprost do serca."

Wspomniawszy jeszcze kilka miejsc z historii politycznej narodów, a z któremi wspomniane być muszą i kwiaty, jako ważnych czynów godła, mówi: „Zgoła, gdzie tylko wzrok nasz obrócimy, przekonamy się, że piękność kwiatów tkwiła zawsze w przeczuciu ogółu, że ją uważano za jeden z tych niebiańskich pierwiastków, oczyszczających ziemski żywot promieniami niepokalanéj czystości. Uznanie powszechne mylnem być nie może; istnieje w niem zaród prawdy, jak we wszystkiém co jest piękne, szlachetne i wzniosłe."

Zyczliwość dla czytelników pisma naszego, skłoniła nas do przytoczenia tytu wyciągów z przedmowy, zaledwo ośm stronic zajmującej. Niepodobna było oderwać się od tego co jest prawdziwie piękne i wzorowe. Biegły czytelnik Obrazów z Państwa Flory, pojmie wprawdzie co do tego pięknego dziełka zebraném zostało na polu obcém; ale zarazem nową uczuje radość mając w niem żywy wzór do przedstawienia, jakto należy korzystać z zamięłowania literatury obcój, aby wyczerpanemi ztamtąd skarbami bogacie własną. Nie jestto łatwa do nabycia sztuka. Ona tylko wydosko-

nalić się może w duszy tkliwej, pracującej wukryciu nie dla głośnych pochwał, ale dla szczęścia ziomków. Pod takim też jedynie warunkiem autor może swojemu piśmiu nadać ten niepojęty zbieg własności, że w niem goreje ogień młodzieńczy, równie jak panuje zimna rozważa; najwyższa piękność wyrażen godzi się z zupełną ścisłością nauki; jest i porywająca wzniosłość i zniewalająca skromność. Oby to pióro szacowne nie ustało nigdy w czynności, tak usposobione do rozszerzania prawdziwej oświaty, tak zdolne do przyczynienia chwały literaturze naszej. A. W.

## ROZMAITOŚCI.

---

### *Fabrykacja cukru z buraków w Związku Celnym.*

(Wyjątek z pisma czasowego: Handels Archiv, rok 1847, miesiąc maj).

Rok 1835 stanowi epokę dla fabrykacji cukru z buraków w Związku Celnym. W tym roku istniało w Prusach zaledwie pięć cukrowni; liczba ich wzrosła do 105, a w całym Związku do 159 w ciągu trzech lat następnych. Świetne wypadki tej gałęzi przemysłu we Francji, gdzie w roku 1835 na 1836 wyrobiono przeszło 700,000 centnarów cukru, obudziły ducha spekulacyi we wszystkich krajach Związku Celnego. Wiele przecież zakładów fabrycznych w pierwszych latach przedsięwziętych bez dostatecznego rozpatrzenia się w warunkach istnienia tej gałęzi przemysłu, upadło pod wpływem wydarzonych później nieprzyjaznych okoliczności, do których liczymy: zniżenie się cen cukru na wszystkich targach europejskich, oraz zniżenie cła od gatunku cukru zwanego Lumpenzucker. Cło to od dnia 1 stycznia 1837 r. podwyższone z pięciu do 11 talarów od centnara, z powodu coraz mniejszej różnicy tego gatunku cukru od rafinowanego, zostało zniżone na skutek traktatu handlowego, zawartego z Niderlandami na dniu 21 stycznia 1839 r. do 5 1/2 tal. Z upływem tego traktatu czyli z dniem 16 marca 1842 r. cukier zwany Lumpenzucker, został znowu porównany w opłacie z rafinowanym, wprzód jednak pań-

stwa należące do Związku Celnego, na skutek układu z dnia 8 maja 1841 r. zaprowadziły u siebie (od d. 1 września 1841) podatek od mączki cukrowej z buraków wyrabianej.

Rząd pruski, który już dawniej oświadczył się z zamiarem opodatkowania cukru burakowego, na rok przedtém, wprowadził opłatę kontrolną 5 srebr. gr. (złp. 1) od centnara mączki cukrowej, albo 3 fenigi od centnara buraków; miał to być, jak się z rozporządzenia z dnia 21 marca 1840 r. okazuje, krok przygotowawczy do rzeczywistego opodatkowania, które zdawało się koniecznym przy coraz więcej wzmagającej się produkcji cukru burakowego i oczekiwanym ztąd znakomitym niedoborze w dochodach skarbowych, wynikającym z zmniejszonego spożycia cukru kolonialnego. Jakoż rozporządzeniem z dnia 30 lipca 1841 r. wprowadzony został podatek od téj fabrykacji, ustanowiony na pierwsze lat trzy od d. 1 września 1841 r. do d. 1 września 1844 r. w wysokości 10 srebr. gr. od centnara mączki cukrowej, lub rachując, że 20 centnarów buraków wydaje 1 centnar mączki, po 6 fenigów od centnara buraków; na następne zaś trzechnecie od d. 1 września 1844 do d. 1 września 1847 r. po 1 talarze od centnara mączki czyli 1½ srebr. gr. od centnara buraków.

Przy takim stanie prawodawstwa, zmniejszyła się w latach od 1841 do 1845/6 liczba cukrowni w Związku Celnym od 136 do 96, pomimo ulepszeń znakomitych w sposobie fabrykacji i podwyższenia się w stosunku do r. 1842 cen cukru. Zmniejszenie to przypisać należy głównie upadkowi wielu fabryk, które w poprzedzającym peryodzie powstały nie mając warunków trwałego istnienia. Dopiero od roku 1841 istnieją dokładne daty co do rozciągłości fabrykacji cukru burakowego w Związku Celnym, bo w tym roku dopiero z powodu zaprowadzonego podatku, fabryki poddane zostały urzędowej kontroli. Lata do których ściągają się daty w późniejszym wykazie zamieszczone, liczone są od d. 1 kwietnia do ostatniego marca następnego roku. W każdym z takich lat, uległa podatkowi następująca ilość buraków do cukrowni przeznaczonych:

	Liczba cukrowni.				Ilość buraków, od których opłacono podatek.							
	1836	38	41	45	41	42	42	43	44	44	545	6
Lata.....	1836	38	41	45	41	42	42	43	44	44	545	6
Prusy wschodnie.....	"	2	1	2	10,554	11,443	16,651	10,223	12,393	10,223	12,393	
Prusy zachodnie.....	"	4	3	"	20,378	33,832	36,727	1,262	"	1,262	"	
Wielkie ks. Poznańskie...	"	7	5	7	71,302	57,581	96,787	96,638	101,421	96,638	101,421	
Pomorze.....	"	10	6	5	113,872	108,392	120,637	104,052	94,298	104,052	94,298	
Szląsk.....	2	16	21	16	537,526	241,808	626,911	619,011	604,247	619,011	604,247	
Brandenburgia.....	2	11	4	3	228,883	64,836	135,876	145,992	131,550	145,992	131,550	
Saxonia.....	11	43	48	37	2,460,040	1,397,421	2,529,516	2,224,136	2,656,531	2,224,136	2,656,531	
Księstwo Anhalt.....				4	199,913	100,280	190,821	162,331	266,345	162,331	266,345	
Westfalia.....	1	2	3	"	25,725	8,591	"	"	"	"	"	
Prowincje nadreńskie...	1	10	8	3	109,717	52,278	57,402	32,526	2,477	32,526	2,477	
Razem.....	17	105	99	77	3,777,912	2,076,462	3,811,328	3,396,172	3,869,262	3,396,172	3,869,262	
Do czego dodając wszystkie in- ne państwa związkowe, będzie:	21	159	136	96	5,064,287	2,491,603	4,326,391	3,893,859	4,446,458	3,893,859	4,446,458	

Liczba fabryk zmniejszyła się przeto w stosunku do roku 1838 w Prusach ze 105 na 77, czyli o 27 proc.; w reszcie państw związkowych z 54 na 19 czyli 65 proc.

Oprócz liczby fabryk, ma na spożycie buraków wpływ urodzaj ich, który w różnych latach bywa rozmaity. Lubo co do produkcyi buraków cyfry zebrane i poniżej zamieszczone nie są urzędowe, przecież jako czerpane z dobrych źródeł zasługują na uwagę.

W prowincyi Saskiej wydał morg magdeburcki w przecięciu:

w r. 1841	—	130,90	cent. bur.
„ 1842	—	108,85	„
„ 1843	—	152,86	„
„ 1844	—	131,58	„
„ 1845	—	135,84	„

Taka różnica w urodzaju, tłumaczy nagłe zmniejszenie się fabrykacyi w r. 1842 na 1843, i ciągły jej wzrost w r. 1843 na 1844. Za zasadę do porównania posłużyć zatem mogą tylko lata  $18^{4\frac{1}{12}}$  i  $18^{4\frac{5}{16}}$ . Z porównania tego okazuje się, że lubo liczba cukrowni zmniejszyła się w tym przeciągu czasu w Prusach, ilość przecież przerabianych buraków doznała podwyższenia z 3,777,912 na 3,869,262 cent. Przeciwnie w reszcie państw związkowych, liczba fabryk z 37 spadła na 19, a ilość przerabianych buraków z 1,286,375 na 577,206 cent. (Z ostatniej téj cyfry większa połowa przypada na Wielkie ks. Badeńskie).

Oto są niektóre uwagi, tyczące się samej fabrykacyi:

Im większe fabrykacya gdzie uczyniła postępy, na tém większą skalę pojedyncze fabryki są założone.

W prowincyi Saskiej (okolice Magdeburga) będącej głównem siedliskiem przemysłu cukrowniczego, przerabiała jedna fabryka w przecięciu w r.  $18^{4\frac{1}{12}}$  55,412 cent. w r.  $18^{4\frac{5}{16}}$  71,289 cent. Było tam w tym ostatnim roku 37 fabryk, mających 60 terek i 178 pras hydraulicznych; 23 fabryk posiadało 30 machin parowych o sile 341 koni, jedna fabryka działała za pomocą siły wodnej, a 13 za pomocą manieżów. System maceracyi buraków suszonych był zastosowany w dwóch tylko fabrykach, przyczém co do po-

datku zrównano 5½ cent. świeżych buraków z jednym centnarem suszonych. Koszta uprawy buraków wyższe są w Saxonii, niż w innych prowincjach pruskich. W przecięciu wynosiła tam cena dzierżawna jednego morga w roku 1845.....	tal. 25, sr. gr. 21, fen. 8,9
Uprawa kosztowała.....	„ 13, „ 22, „ 9.
Nasienie.....	„ 1, „ 2, „ 11,7.
Razem.....	tal. 30, sr. gr. 17, fen. 5,6.

W roku tym cena centnara buraków wynosiła w przecięciu 6 sr. gr. w r. 1841 7 sr. gr. 2 fen. W okolicach Magdeburga cena dzierżawna za morg najlepszej ziemi, doszła w r. 1845 25 tal. Jednakże korzyści wynikające z połączenia gospodarstwa rolnego z fabrykacją cukru, skłaniają coraz więcej fabrykantów do zaopatrywania się w buraki z własnego gospodarstwa; nie dzierżawią więc ziemi na morgi, lecz biorą całe gospodarstwa w dzierżawę na lat 10—15.

Przerób buraków na cukier zaczyna się we wrześniu i trwa do końca marca następnego roku, tak, iż w Prusach przynajmniej jedna trzecia część całej ilości przerobionych buraków, przypada na kwartał rozpoczynający rok nowy. Dalej przedłużać fabrykacyi nie dozwala psucie się buraków i coraz mniejsza ich procentowość w cukrze. Procentowość tę przyjęto kładąc zasady podatku na 5%; dziś atoli w lepszych fabrykach wynosi 7½ %, a w przecięciu śmiało przyjąć można 6⅔ %; czyli, że z 15 centnarów buraków, otrzymuje się centnar cukru (mączki cukrowej). Według tego przypuszczenia, produkcya mączki cukrowej w Związku Celnym wynosiła w roku 1845/6 cent. 296,432 (1), centnar opłacał podatku po 22½ sr. gr. czyli razem tal. 222,323. Gdyby zamiast krajowej mączki sprowadzono drogą handlu odpowiednią ilość z zagranicy dla rafinerii, miałby Związek Celny rachując po 5 tal. od centnara 1,482,160 talarów przychodu. Stracił zatem tal. 1,259,837 czyli złp 7,559 022.

(1) Centnar wagi przyjętej w Związku Celnym równa się 50 kilogramom francuzkim, czyli 123 funt. lut. 9 wagi polskiej.

Zagranicznej mączki sprowadzono na potrzeby rafinerji w r. 1845 1,408,556 cent. a tak stosunek cukru krajowego do zagranicznego był jak 21 do 100.

W końcu dodać musimy, że opodatkowanie cukru z buraków, równie jak cło od cukru z zagranicy sprowadzanego, utrzymane zostało w tój samėj co w ostatniem trzechleciu wysokości jeszcze na jeden rok, poczynając od d. 1 września 1847 r. do d. 1 września 1848. (P. Handels Archiv. za r. 1847, sierpień, str. 117). Z.

*Relacya o zdarzonym fenomenie na jeziorze zwaném Kru-  
hło w uroczyszczu Grażaliszkiém, leżącym w województwie  
Trockiém o półtrzeciej mili od Wilna, między południem  
i zachodem, w dzień Śwój Trójcy d. 26 maja n. s. roku  
1782, koło godziny piątej wieczorniej.*

Chłopi niektórzy ze wsi przyleglój, przypadkiem idąc przez owo uroczyszcze, usłyszeli ze strony jeziora huk wielki z szumem, podobny owemu, jaki zerwanie grobli lub upustów zwykło sprawować. Zbliżyli się na ten odgłos ku niemu i z wielkiém swém zadziwieniem znaleźli całe pokryte błotem, które ze środka wybuchając i kłębem się przewracając, ku brzegom się rozchodziło, wzdęte niby piana do półtrzecia łokcia wysokości. Powieść tych chłopów i nowość rzeczy, wielu innych na to miejsce skupiła. Wszyscy patrzyli, jak się ten widok odmieniał; czasem bowiem to wzburzenie uciszało się i ustawało razem, czasem tak się wzmagalo, że dla zbyt wielkiego szelestu, ledwie się rozmawiający słyszeć mogli. Trwało to do późnej nocy, ale najmniejszego dymu lub pary, ani żadnego do ognia lub światła jakiego podobieństwa nie postrzeżono; sam się tylko swąd nieznośny z jeziora przebijał, podobny do tego, jaki pospolicie, wedle wyrazu wieśniaków, za wzruszeniem zstarzałego blocka czujemy. Powołani na examen przed komissarzów wieśniacy, we wszystkiém zgodzili się co do



istoty fenomenu, z dokładnym onego opisaniem w Dyaryuszu W. J. M. Pana Dąbrowskiego podwojewódzkiego smoleńskiego, starosty międzyrzeckiego zawartym; wyjąwszy raport jednego wieśniaka, który zabiegłszy na zamroczu nad jeziorko, miał widzieć z pośrodku onego podnoszącą się z wielkim i niezwyčajnym szumem kolumnę wody do kilku łokci wysoką, czego drudzy nie widzieli. Wszyscy zaś zgodni twierdzili, że wzbita na wierzech jeziorka materya, aż po 24 godzinach osiadła w równi z powierzchnią łąki jeziorko otaczającej. Wysłani od akademii komissarze zdjawszy kartę geometryczną jeziorka i gór przyległych, znaleźli średnią jeziorka większą 285, mniejszą zaś 263 stopy długą. Wysokość góry na zachodzie do 40 stóp, podnosiła się przy 170 stopach pochyłości.

Dokoła jeziorka idąc ku wzgórzom północnym, zielenieje łąka 600 stóp długa, w równej wadze z powierzchnią wody. Ze strony przeciwnój, dalej się między górami podłużnie rozciąga. Część jęj leżąca na północ, przecięta dwoma rowami, zamknięta jest górą niższą od tych, które na wschód i zachód inne otaczają łąki. Strumień dosyć obfity płynie od wschodu i nieznacznie w łące ciągnącej się ku południowi ginie. Brzegi jeziorka są trzęskie i na wielu miejscach pod nogami uginają się.

Komissarze znaleźli jeziorko pokryte materyą błotnistą rudawą i klejką, która na łąkę blisko na dwa łokcie wybrzeżała. Rozkazali przeto ścinać drzewa i rzucać na błoto, dla zrobienia grobli, która będąc 168 stóp długą, do środka jeziorka sięgała. Z tej w różnych miejscach doświadczali głębokości jeziorka, spuszczać na dno pal żelazny, na długim powrozie uwiązany. Jakoż:

1) O 6 stóp od brzegu, żerdź 24 stopy długa, pchnięta prostopadle cała się w mule zanurzyła.

2) Koł żelazny o 50 stóp spuszczonej na powrozie, dochodził 48 stóp głębokości i zatrzymywał się na dnie twardém, co przeświadczało, iż nie było dalej torfem (a) okrytj wody.

(a) Torf jest rodzaj ziemi tłustej, składającej się z gnilizny rozmaitych życiorostów.

3) Koł żelazny spuszczone o 168 stóp od brzegu albo z końca grobli, do 48 i  $\frac{1}{2}$  stopy zanurzył się. W tej odległości, grubość mułu czyli warsty błotnistej na wiérzchu jeziora, była tylko na dwie stopy; głębokość zatem wody pod nią 46 i  $\frac{1}{2}$  stopy. Przypatrując się powierzchni jeziora z przyległego pagórka, postrzeżono na niem wielką liczbę cyrkulów jednośrednich czyli koncentrycznych, oraz w stronie południowej część małą jeziora od brzegu mułem nieskrytą, w której się żywe rybki, jakoto: karaski i okuńki znajdowały (b). Komissarze takowe uczyniwszy dostrzeżenia, przystąpili do examinowania natury mułu na wiérzchu wody wzbitego. Probowano go najprzód przez dotknięcie, biorąc zeń w dłoń i ściskając. W ten sposób spostrzeżono klejkość nielgnącą zgoła do ręki, a sączącą się z pomiędzy palców nakształt topionej tłustości. Nic się w nim nie pokazało twardego lub zsiadłego, prócz kawałków niektórych masy dosyć gęstej chociaż gąbkowatej, obficie kolorem lazurkowym okrytej. Między temi kawałkami, które w różnych miejscach i w różnej głębokości, nienadto jednak wielkiej dobywano, znalaziono jeden drzewa skrzywionego na cali 10 długi, a na jeden cal szeroki, który na wskroś przejęty był tym kolorem. W inszych postrzeżono słoje i liście całe, a w złamaniu onych kolor lazurkowy, który prawie zawsze wskroś całą masę albo cienkie warstewki tych kawałków przejmuje (c).

(b) Powiadali chłopci z Grażaliszek, blizkiej jeziora wioseczki, dziedzictwa JP. Hryniewicza sędziego trockiego, iż dawniej w tém jezioru poławiały się liny i karasie; przed sześciu latami ukazały się téż okunie, a w ostatnim roku i płotki, które kilkakrotnie niektórzy z chłopów w nastawianych znachodzili buczach. Niewodu nie używano na tém jezioru.

(c) Kawatki te powleczone kolorem błękitnym lazurkowym, przez 48 godzin chowane pod naczyniem zamkniętym, wydały zapach dosyć tęgi siołkowy; ziemia zaś czarna otaczająca cebulę ziółka zwanego *Orchis incarnata* od Linneusza, które o dwa sążnie od brzegu jeziora na gruncie torfiastym wykopane było, wiele miało warstw (sic) koloru błękitnego lazurkowego.

Ciż komissarze dalej chcąc pomykać swe dociekania, kazali tym mułem napelnić patelnię i smażyć go na ogniu przy ustawicznem mieszaniu. Doświadczenie to odbywało się na wolném powietrzu, a para podnosząca się w czasie operacyi, żadnego nie wydawała zapachu. Muł zaś przez wyparowanie straciwszy części wodniste, osiadł na dnie patelni w gruzelkach częścią szarych, częścią czarnych. W tych gruzelkach mikroskopem examinowanych, postrzeżono warsty mocno ścieśnione.

J. X. Strzecki jeden z komissarzów postąpiwszy na groblę z faszyn usłaną, w odległości najprzód 3 sążni od brzegu, zanurzył żerdź w mule jezioro pokrywającym, z największą jak być może łatwością. Przy nagłym onej wydobyciu gdy zbliżono zapaloną świecę, podnosił się niebieskawy płomień wzdłuż żerdzi z arcy lekkim pukiem. Powtórre, namieniony komissarz postąpiwszy na grobli stóp 168, powtórzył toż samo doświadczenie z równym skutkiem. Po danym raporcie swym kolegom innemi postrzeżeniami naówczas zabawnym, J. P. Żylibert prof. hist. natur., J. X. Mickiewicz prof. fizyki i J. X. Naruszewicz sekretarz akademii, w obecności jednego z dworzan W. J. P. podwojewodzkiego smoleńskiego, toż samo uczynili doświadczenie, najprzód w miejscu, gdzie muł już był rozgrabany. Nieudało się im ten raz, przeto postąpili do 30 stóp na grobli, i koł żelazny w miejscu gęstym mułem pokrytym zanurzyli. Przy wydobyciu onego, gdy zbliżono gorejącą świecę nie tykając się jednak kołu, podniósł się z lekkim pukiem płomień niebieskawy niemal do  $\frac{3}{4}$  łokcia. Powtórzono to dwa razy postępując na grobli, z jednostajnym zawsze skutkiem. Muł ten rozlany na poblížszym pagórku i na skwar słoneczny wystawiony, przylgnął do ziemi jak smoła rzadka, a po trzech godzinach tyle miał zsiadłości, iż dawał się toczyć między palcami w gałeczki; kolor jego naówczas był czarny.

Wysłani komissarze znalazłszy grunt łąki otaczającej jezioro trzęski i uginający się pod nogami, sądzili za rzecz przyzwoitą czynić dalsze fenomenowi dostrzeżenia. Tym końcem w linii od brzegu jeziora do wzgórza zachodniego,

doły czyli okna otworzyć rozkazali. Przy otwarciu okna pierwszego w odległości 30 stóp, postrzeżono warstę torfu czarnego, wilgotnego i zsiadłego, grubości 21 cali. Warsta ta torfu wisiała nad wodą jak sklepienie, i z łatwością wtykano żerdź gibką 12 stóp długą między tę warstę a wodę, której głębokość była 4 stopy. Drugie okno od pierwszego na stóp 16 odległe, dawało warstę torfu grubą 2 stopy i  $\frac{1}{2}$ ; żerdź zanurzała się do stóp 12, nie licząc grubości warsty. Trzecie okno od brzegu jeziorka na 75 stóp odległe, odkryło grubość warsty torfu dwie stopy i tyleż wody pod nim będącej. Czwarte okno od brzegu 78 stóp dalekie, miało warstę torfu grubą dwie stopy i 8 cali, a dwie i pół stopy wody pod nią; lecz postrzeżono, że to ostatnie okno najdalsze od brzegu, prędko się napępniało wodą sączącą się przez torf ze strony zachodniej od góry, tojest ze strony przeciwniej jeziorkowi.

Komissarze tegoż samego dnia powróciwszy wieczorem dla oglądania i zweryfikowania otwartych w łące okien, znaleźli ostatnie najbliższe góry pełne wody równo z powierzchnią łąki; w innych woda coraz w mniejszej stała wysokości, w proporeyi zbliżenia się okien do brzegu jeziorka. W drugiem oknie wyraźnie widziano podnoszącą się parę lekką, do dymu podobną. Kawałek korka rzucony na wodę, niesiony był kilkakroć w jednym kierunku z południa na północ; okiem nawet ciek tej wody był dostrzeżony. Koł żelazny silnie do trzech pierwszych okien spuszczoney, gdy go nagle wyciągniono, za przybliżeniem świecy gorzącej, zapalało się powietrze, wydając płomyk błękitny z arcy lekkim pukiem. Toż samo doświadczenie bez skutku było powtarzane w czwartém oknie.

Dokoła rzeczzonego jeziorka wszędzie czuć się daje swąd błota bardzo przykry, który się za poruszeniem materyi błotnistej natęża. Wieczorem tegoż samego dnia, oglądając komissarze okna czyli studnie z rana otwarte, postrzegli w stronie południowej dziurę czyli okno średnicy 6 cali. Woda w niem była czysta, a żerdź zanurzona do stóp 12,

stała na dnie mulistém, którego grubość zmiarkowaną być nie mogła. Okno to od brzegu jeziorka oddalone było na stóp 52. Tegoż wieczora komissarze obeszlí wkoło leżące grunta i znaleźli, że się od brzegu jeziorka do znacznej odległości trzęsawica tak na stronę południową, jako też i północną rozciąga, i że na miejscach twardych łąki, brzozy i olchy rosną.

Miejsca trzęskie łąki, okryte są różnemi trawy wodnej gatunkami. Między innemi rośnie: *Gramen cyperoides palustre* od botanistów, a *Spica perdula* kłos pochyły od Loeseliusza zwane; piękny i rzadki gatunek orkidy, która wedle opisanía Hallera (D), jest pośrednią między orkidą bukszpanową *Orchis sambucina* (e) i orkidą szkarłatną *Orchis incarnata* (e) podług Linneusza (d); wierzba czolągająca się *Salix repens* i wierzba liścia rozmarynowego *Salix rosmarinifolia* Linneusza. *Menyanthes trifoliata*, w której postrzeżono tę osobliwszą odmianę, że wieniec jój był podzielony na siedm bind i sześć nitek. *Pedicularis palustris* albo gnidosz błotnisty i wiele innych ziół, które się pospolicie na błotnistych i mokrych znajdują miejscach.

W samym mule znaleziono wielką liczbę ślimaków spiralnych, częścią szarych, częścią brunatnych. wielkości rozmaitej, jakie się wyobrażają w konchylogii J. P. d'Argenville na tablicy 31. Jeden z tych znacznie większy, koloru agatowego, tak był przytarty, iż w nim żyłki i przedziały wewnętrzne widziane być mogły.

Na przyległych pagórkach rozmaite są gatunki wapiennych kamieni, z których jedne mają znaki konch zwanych grzebień i konch gwintowych. Na górze zaś ku zachodowi, znajdują się wielkie kamienie dyamentu dwóch albo trzech stóp, dające ognia z pod krzesiwa, a w kawałkach odkru-

(Dd) Haller i Linneusz dwaj wielcy wieku naszego botanistowie; jeden rodem Szwajcar, drugi Szwed. Pierwszy baron SP. kr. kawaler orderu Gwiazdy polarnej, senator berneński, filozofii i medycyny doktor, umarł przed dwoma laty. Drugi także kawaler orderu Gwiazdy polarnej, fil. i med. doktor, zszedł z tego świata kilką laty od pierwszego przedź.

(ee) Tak zwane od podobieństwa koloru gdy kwitną.

szonych, postrzeżono błyskotki substancji mieniającej, koloru białego kwarcowego z czerwonym (f).

Drzewa, które tę górę w dole okrywają są: bez wodny *Viburnum opulus*, sosna dzika *Pinus sylvestris*, dąb *Quercus robur* L. Ostatnie dwa gatunki w tém są osobliwsze, że chociaż już stare, nie mają jednak grubości wiekowi przyzwoitej.

*Nota.* Dojeżdżając do jeziora nowo mułem zapłynionego, o  $\frac{1}{4}$  mili od domu J. P. podwojewódzkiego smoleńskiego, jest drugie znaczniejsze, które wedle powieści starych wieśniaków, dawniej było wodą napełnione, a dopiero pokryte jest łąką trzęską, na której rosną brzożki już do 4 stóp wysokie.

Takowy raport dali radzie akademickiej wysłani do jeziora krubelskiego komissarze. Chcąc zaś dostatecznie dać światło każdemu, któryby wedle partykularnego sobie układu chciał dawać przyczynę tego fenomenu, czynili jeszcze chemiczne doświadczenia. Tych cel był trojaki: 1) Dociekanie natury wody jeziora; 2) mułu błotnisteo czyli torfu na wierzch wzbitego; i 3) kawałków obficie kolorem lazurkowym okrytych.

P. S. Ledwo dni kilka zeszło po przybyciu osób od akademii wyprawionych do jeziora krubelskiego, dziwnym przypadkiem sławnego, gdy różne nowe w mieście latać wieści poczęły. Jedni twierdzili, jakoby jezioro do dawniejszego wróciło się stanu czystej wody, po opadnięciu torfu na dno; drudzy przeciwnie, że warsta torfu skrywającego wodę codziennie bardziej miękceje, staje się niedostępną i kolorem lazurkowym znaczniej coraz i obficiej nawodzi: inni nakoniec za rzecz pewną głosili, że woda z jeziora tego przeniosła się na inne miejsce o milę odległe. Łatwo wprawdzie wnieść można było o fałszu tych wieści, wylęgłych między pospółstwem. Ztémwszystkiem sądziła akademія za rzecz przyzwoitą, wysłać d wie osoby dla powtórzenia niektórych doświadczeń pierwszych, a dla sprawienia

(f) Kwarc z niemieckiego *Quartz*, jest nazwisko pewnego rodzaju kamieni mineralnych.

nowych. Tym końcem J. X. Strzecki i J. X. Mickiewicz dojechali na miejsce. Nie znaleźli żadnej odmiany na powierzchni nowej jeziora, prócz tej, że warsta torfu powlekająca przestrzeń jeziora, była już zsiadlejszą nizeli przed tygodniem, i że taż warsta gruba do 2 lub 3 cali, miała więcej koloru lazurkowego, oraz rozpadliny głębokie do 4 lub 5 cali, przez które wychodziła para przykro smrodliwa, wtenczas zwłaszcza, kiedy poruszano rozpadlin tych czeluście.

Ciż wysłani zanurzywszy w głąb jeziora naczynie ku temu zrobione, dobyli materji ze dna, która nie była odmienną od powierzchni, a ledwo w sobie znać dawała materji kolorowej. Nie można było w niej dostrzedz ani fibrów, ani żadnych jakichkolwiek części ciał ożywionych, czyli właściwie mówiąc organicznych.

Po zanurzeniu termometru w środku jeziora około godziny 4 wieczorniej, podniosło się żywe srebro wedle działu Farenhejta do 62° w głębokości jednej stopy ( $\frac{2}{4}$  łokcia); 60° w głębokości 2 stóp; 68° w głębokości 6 stóp; 50° w głęb. 10 stóp (5 łokci); 50° w głęb. 16 stóp (8 łokci). Za każdym razem termometr był trzymany na jednym miejscu przez minut dziesięć nr. 0°, 16.

Ciż Ichmość za powrotem swym, ukazali akademii wiele materji kolorowej, nazbieranej po przestrzeni jeziora. Materja ta, nie rozwodzi się zgoła w wodzie, lecz rozwolnwszy się na drobne proszki, opada natychmiast nie tracąc nic swego koloru; rozprawiona jednak z olejem albo z gumą, daje malarzom dziwnie piękną niebieską farbę. W przepaleniu czyli kalcynacyi, materja ta traci wcale swój kolor, zostawując tylko mdły rdzawy.

Doświadczenia te powtarzane kilkakroć, już były piérwej robione przez W. J. P. podwojewodzego smoleńskiego.

Względem zaś pogłoski rozniesionej, jakoby nowe jezioro zrobiło się o milę pod Rykontami, gdy J. P. podwojewodzy szukał zapewnienia, po uczynionych przezeń wszelkich krokach prawdę okazać mogących, pokazało się, iż tej bajce dał początek złów wody na niskich łąkach, po obficie spadłych dżdżach kilka dniami piérwej.

*Kilka słów o teraźniejszym stanie jeziora Kruhło.*

Cała przestrzeń dzisiejszego trockiego powiatu gubernii wileńskiej, przedstawia liczne pagórkowate wyniosłości gliniasto-wapienne i gliniasto-piaszczyste, tu i owdzie narzucone odłamkami granitów. Ustępy między nimi częstokroć torfowe łąki i krzakami zarosłe rojsty, są łozyskiem strumieni, rzeczulek i jezior, w które trocki powiat w ogólności bardzo jest obfity.

Jezioro Kruhło, na którym się zdarzył w dołączonej Relacyi fenomen (zapewne dla swego kolistego kształtu z rusniackiego narzecza u wieśniaków Kruhło zwane), leży o półtrzeciej mili od Wilna, po prawej stronie gościńca idącego z Wilna do Trok, między wsiami Manuliszki ze wschodniej, a Lantwarowo z północnej strony. Dla nieznacznój swojej wielkości i położenia na ustroniu, nie zasługiwałoby na żadną uwagę, i gdyby do jego imienia nie było przywiązane to ciekawe zjawisko, o którym i dzisiaj wieśniacy z podań ustnych rozpowiadają.

Rękopism z tą Relacją, leżał między papierami b. akademii medyko-chirurgicznej wileńskiej, pozostałemi od uniwersytetu wileńskiego w jej bibliotece; mnie się dostał po zamknięciu akademii w roku 1842. Nie podawałem go do pism publicznych dlatego, że chciałem wprzód opisać Relacyi z miejscowością porównać, odmianom jakim od tego czasu uległo jezioro Kruhło zajrzeć, i przez dodanie słów kilku, opisać samego fenomenu więcej interesującym uczynić.

Rękopism Relacyi bardzo czytelny, musiał być przygotowany do ogłoszenia drukiem nie tylko w kraju, ale i za granicą. Przy polskim tekście znajdowały się: tłumaczenie francuzkie (a) i mapka topograficzna jeziora *Kruhło*, odbita z miedziorytu.

(a) W rękopiśmie francuzkim poprawianym tu i owdzie przez *Giliberta*, oprócz niektórych niżej wymienionych wariantów znajdują się i inne szczegóły w *Relacyi* polskiej opuszczone, jako to: 1) że ówczesny biskup wileń. książę Massalski pierwszy o fenome-



Z tego się pokazuje, że już ówczesna akademja wileńska z jezuickiej na cywilną przekształcająca się stopę, w rzeczach dotyczących się nauk przyrodzonych obojętną nie była, chociaż kromy Giliberta z powołania botanika, osobnych profesorów do zoologii, mineralogii i chemii nie miała. *Gilibertowi* też pierwszemu choć krótką o fenomenie tym w za granicą wydaném piśmie, winniśmy wzmiankę (b). Akademia zaś dla przyczyn, które teraz niełatwo odgadnąć, może wreszcie i dla niedostatków naukowych saméj Relacji, rę-

nie tym uwiadomiony, nakłonił rektora i astronoma akademii wileńskiej ks. Poczobuta, do wystania kommissyi na miejsce dla dokładniejszego wybadania prawdy; 2) że między komissarzami był i ks. Mikołaj Tomaszewski (w prospekcie akademii pierwszy raz w roku 1786 87 jako vice-professor matematyki, sekretarz collegium fizycznego, nauk wyzwolonych i filozofii doktor wspomniany); i 3) że ks. Strzecki i ks. Tomaszewski powinni byli zrobić plan geometryczny miejsca gdzie leży jezioro Kruhło, a ks. Mickiewicz i Gilibert zająć się badaniami tyczącemi się fizyki i historii naturalnej.

Waryanty rękopismów tak się mają do siebie:

*W polskiem*

*We francuzkiem*

1) ...wzdęte niby piana do półtrzecia łokcia wysokości.

1) ...qui s'élevoit par un mouvement violent jusqu'à la hauteur d'un pied.

2) ...średnica jeziora większa stóp 285.

2) ...200 soixant et dix pieds.

3) ...zielenieje łąka 600 stóp długa.

3) ...une prairie de la longueur a donnée 820 pieds.

4) ...w stronie południowej część małą jezioro od brzegów mulem nie skrytą.

4) ...vers le bord méridional une petite portion de l'étang d'environ deux toises de diamètre offrait une eau claire.

5) ...wieniec na siedm bind i sześć nitok.

5) ...corolle divisée en six segments et à six étamines.

Muszę też dodać, że tłumaczenie rękopismu francuzkiego zawiera tylko *Note*, a P. S. idące po niéj, jest tylko w polskiem.

(b) W dziele: *Caroli Linnaei Systema plantarum Europae curante Emman. Gilibert. Coloniae Allobrogum 1785. Tom II, n. 365, w tych słowach pod rośliną *Orchis incarnata*: „In pratereamente circa lacum quendam celebrem qui una die fermentatione turfae fundum occupantis fuit repletus. Hoc phaenomenon observatum a. 1782 Mense Maii.”*

kopism w bibliotece swojej zachowała, nie dawszy choć pokrótce wiedzieć o tém zjawisku, w ówczesnej Gazecie Wileńskiej, której przywilej wydawania sama posiadała (c). Jakoż komissarze nie wiedząc jak nazwać zapalające się od płomienia świecy powietrze (gaz wodorodny) i materyą błękitną z mułem z dna jeziora wyrzuconą (fosforan żelaza, w który łąki torfowe litewskie obfitują), tém bardziej nie byli w możności zaradzenia poszukiwaniom chemicznym (d), których w rękopiśmie nie zostawili. Lecz pominąwszy z tego punktu niedokładność Relacji, nie można nie zwrócić uwagi i na inne, jakie się mimowolnie następują. Tak np. w pierwiastkowych poszukiwaniach, nie zwrócono bacności na temperaturę wody pod skorupą błotnistą będącej; w tydzień potém robione z termometrem doświadczenia były zapóźne i dorywcze. Z tego co komissarze w nocie swęj powiedzieli: *że dojeżdżając do jeziora nowo mułem zapłynionego, które wedle powieści starych wieśniaków dawniej było wodą napelnione, a dopiero pokryte jest łąką trzęską*, możnaby wnosić, iż się nigdy nie spodziewali, aby jezioro Kruhło zasklepienie lub jak oni wyrażają zapłynione mułem, kiedykolwiek mogło powrócić do pierwiastkowego stanu, i polegając na podaniach starych wieśniaków, byli pe-

(c) Zupełny exemplarz tęj Gazety, udzielony mi z biblioteki Szcorsowskiej przez ś. p. hrabiego Adama Chreptowicza przebiegałem umyślnie, ale nigdzie w niej najmniejszego o tém zjawisku nie znalazłem wspomnienia.

(d) Chemia podówczas w całej Europie w kolebce, w Wilnie jak mi często ś. p. ks. professor Jundziłł powiadał, za ledwo z imienia znana była; do przyjazdu *Józefa Sartorisa*, nikt o nięj w Wilnie nie słyszał. Sartoris piérwszy wezwany z Turynu, w akademii wileńskiej chemią Stalowską ku schyłkowi już się mającą, w pięknym i zwięzłym języku łacińskim wykładał. Kurs czystęj chemii rozpoczął w roku 178 $\frac{1}{2}$ , w następnych latach łączył ją z farmacją. Opuszczając Wilno w r. 1793, miłą zostawił pamięć między uczniami i w mieście, przez ofiarę 300 czerwonych złotych na zakład kliniki medycznej. Po wyjeździe Sartorisa, katedra chemii wakowała przez lat cztery. Ś. p. Jędrzej Śniadecki w r. 179 $\frac{1}{2}$  otworzył kurs jęj dwuletni w języku polskim, na zasadach nauki Lavoisiera.

wni; że i to się w trzęską zamieni łąkę (e). To przypuszczenie odwróciło ciekawość śledzenia w piękniejszym czasie stanu rzeczonoego jeziorka, którego zasklepiająca powierzchnią skorupa mulista na dno opadła, a samo jezioro po latach sześćdziesięciu kilku, znowu jest w takim stanie, w jakim było w r. 1782 przed 26 maja.

Zwiedziwszy je umyślnie wśród lata 1846 roku, nietylko samo jezioro, ale i całą okoliczną jego miejscowość znalazłem zupełnie zgodną z wymiarami mapki, robionej w czasie fenomenu. Brzegi jego są trzęskie i w suchém lecie niewszędzie przystępne; od strony wschodniej w miejscu, gdzie komissarze na wzdętym mule zakładali z faszyn i drzewa groblę idącą do środka jeziora, grobla ta zatopiona przy brzegu pod wodą i teraz daje się widzieć; ślady otwieranych okien podówczas, dla dojścia kierunku przytływającej doń wody, oznaczonych na mapce liczbami 1, 2, 3, 4 nie są jeszcze zatarte, a tylko oba rowy, zwłaszcza górny poprzeczny, zapłynęły mułem i błotnym zarosły czermieniem (*Calla palustris*).

Wegetacja przy jezioru względem téj, jaką w Relacji podali komissarze, znacznie się pomnożyła. Brzegi jeziora w stronie zwłaszcza zachodniej nagle spadziste, oprócz sitowia błotnego (*Scirpus Lacustris*), ożypalki szerokolistnej (*Typha Latifolia*), szaleni jadowitego (*Cicuta virosa*), jaskru wielkokwiatowego (*Ranunculus lingua*) i rdestnicy pływającej (*Potamogeton natans*) obficie zarosło się grzybieniem żółtym (*Nuphar Luteum*). Otaczająca je łąka trzęska i błotnista, oprócz właściwych podobnym miejscom roślin, jakimi są: *Menyanthes trifoliata*, *Parnassia palustris*, *Epilobium palustre*, *Triglochin palustre*, *Pedicularis palustris* i *Cirsium palustre*, porosła jest czarną olchą (*Alnus glu-*

(e) Zaprzeczyć nie można, że tym sposobem wiele błot i płytkich mulistych jezior wśród łąk mokrych leżących, z czasem powoli znika; lecz podobne dzieło przyrodzenie dokonywa wiekami pomnażającą się i wzrastającą coraz bardziej wegetacją tych miejsc, które całkiem miejsce wody zajmuje i z czasem w warstwy przeistacza się torfu.

*tinosa* Willd.), kilku gatunkami wierzb (*Salix pentandra* L. *S. nigricans* Fries, i *S. repens* L.) i brzozą omszoną (*Betula pubescens*). Na przygraniczających łące tej wzgórzach rosną: leszczyna, jesion i olcha biała (*Alnus incana* W.), a na polu tuż będącém ku zachodowi, toż samą leżą kamienie, o których komissarze w Relacyi swój wspominają.

Głębokość jeziorka teraz, według twierdzenia rybaków starych ze wsi Lantwarowo, w środku przechodzić ma sążni dwadzieścia; dla tej głębokości, nieprzystępnych brzegów i mnóstwa czepów, któremi dno zawalone, ryba w niem się nie poławia. W warstwach ziemi łąkowej powierzchniowych, równie jako i przy korzeniach roślin w jeziorce i na łące rosnących, nigdzie nie spotkałem znacznej ilości fosforanu żelaza, który w zjawisku tém wielką grał rolę.

Jaka właściwie przyczyna z dna jeziorka Kruhło muł torfowaty z obfitym fosforanem żelaza wypchnęła i powierzchnią jego całkiem prawie zasklepiła, pole domysłów do jój odgadnienia zostawując innym, którym znane są lepiej fakta tego rodzaju, uwagi moje zakończę zdaniem Linneusza: *Melius sit ignorantiam suam confiteri, quam vacillantibus novisque sententiis ingenioli sui foetum ostentare.*

Pisałem w Berlinie d. 10 lutego 1848 roku.

S. B. Gorski.

---

### Wiadomości literackie i artystyczne, krajowe i zagraniczne.

Na posiedzeniu towarzystwa archeologiczno-numizmatycznego w Petersburgu pod prezydencją Jego Cesarskiej Wysokości Księcia Maxymiliana Leuchtenberskiego dnia 6 grudnia 1847 r. odbytém, wybranym został na członka korespondenta tegoż towarzystwa p. Ignacy Zagórski autor dzieła: „O monetach dawniej Polski”, na co dyplom z podpisem dostojnego Księcia prezydującego, w tych dniach otrzymał.

\* We wszystkich dziennikach w Madrycie wychodzących, umieszczona jest wiadomość o świeżem, nader ważnem odkryciu dzieła Cerwantesa, nieśmiertelnego autora Don Quichota, pod tytułem: *El Busca pié*, które stanowiło zakończenie albo raczej służyło za klucz do zupełnego zrozumienia Don Quichota. Rękopism ten zaginął był, a wszelkie starania aby go po śmierci autora odkryć, dotąd były nadaremne; teraz szczęśliwym przypadkiem wynalazłszy go, cała Hiszpania radość swą z tego powodu objawiła, a akademia madrycka umyślnie do przejrzenia tego dzieła zebrała się.

\* Z początkiem teraźniejszego roku, piśmiennictwo serbskie znakomite uczyniło postępy; oto są niektóre pod tym względem nowości: Towarzystwo literackie w Białgradzie wydało pierwszy tom prac swoich, pod tytułem: *Zwiastun (Głaśnik)*, w którym mieszczą się ważne materyały do języka, starożytności i historyi serbskich. P. Gawryłowicz wydał tamże nader ważny słownik geograficzny księstwa Serbskiego. Niemniej interesujące jest pismo zbiorowe pod tytułem: *Zwierciadło ludzi (Zercalo ljudsko)*, pod redakcją ks. Tomasza Żywanowicza wychodzące. Władyka Czarnogórców, który jest zarazem jednym z odznaczających się pisarzy serbskich, pomnożył liczbę dzieł swoich wydaniem historyczno-dramatycznego obrazu pod tytułem: *Wieniec gór (Gornyi wieniec)*. P. Subbotycz drukuje grammatykę serbską, za którą już otrzymał sto dukatów nagrody.

\* W Brugge p. Stoop członek towarzystwa współzawodnictwa, wynalazł w archiwum starożytnej katedry śś. Donata rok śmierci sławnego malarza Van Dyka, o czém dotąd z pewnością nie było wiadomo. Pokazało się, iż znakomity ten artysta zmarł w miesiącu czerwcu 1440 roku i pochowany został w téjże katedrze; wiadomości wynalezione przez p. Stoop zawierają ciekawe szczegóły, a między innymi rachunki i kwity na koszt pogrzebu i służbę wydane, oraz cały oryginalny testament Van Dyka.

\* W końcu zeszłego roku z pod prasy rossyjskiej w Kijowie nader interesujące wyszło dzieło pod tytułem: *Prze-*

gląd Kijowa pod względem pomników starożytności, za Najwyższym zezwoleniem wydany przez Jana Fundukla gubernatora cywilnego gubernii kijowskiej. Kijów, 1847, w druk. Walnera, w 4ce wielkiej (XVI, 108 str.). Dzieło to podług zdania rossyjskich recenzentów jest z największym przepychem wydane, jakich jeszcze mało w piśmiennictwie rossyjskiem widzieć się zdarza; składa się zaś z opisu i 62 litograficznych rysunków, przesłicznie wykonanych i odbitych w Paryżu w zakładzie braci Thierry. Sam text na cztery części dzieli się. W pierwszej zajmują opisy mogił, uroczysk z natury powstałych, do których przywiązane jest jakie znakomite historyczne zdarzenie. W drugiej, pieczary i mogiły ręką ludzką wzniesione. W trzeciej, pomniki architektury starożytnej, mianowicie kościelnej; tu także umieszczone są opisy przedmiotów, które do powyższego oddziału sztuki odnoszą się. Nakoniec czwarta część przeznaczona jest na opisy wszelkich zabytków starożytności tak kościelnych, jako i świeckich, które w poprzedniej części miejsca nie znalazły. Ponieważ przy przeglądzie starożytnych budowli i innych pomników, wypadło mówić o terażniejszym ich stanie, a zatem w skład rzonego dzieła weszły także i nowe przedmioty, które albo w stosunku z starożytnymi zostają, albo z powodu swęj odznaczającej się osobliwości godnymi były opisu. Rossyjski recenzent przywodząc obszernie wyjątki z tego dzieła, nie może nachwalić się sumiennęj pracy i staranności autora, który nie skąpił ani czasu, ani wielkiego kosztu, aby zostawić pamiątkę po sobie w mieście, które pod jego zarządem zostaje.

\* W zdaniu sprawy z ostatniego roku towarzystwa szląckiego oświaty krajowej, znajduje się ciekawy artykuł pana Gundrych prezesa najwyższego sądu ziemiańskiego w Szląsku pod tytułem: „Przegląd ludności królestwa pruskiego pod względem etnograficznym.” Oto są główne jego wnioski:

I. W Prusach właściwych, a) w okręgu królewieckim z pomiędzy 812,992 ludności znajduje się 133,905 mówiących po polsku, zaś 40,023 po litewsku; b) w okręgu gombińskim (*Gumbinnen*) z pomiędzy 615,770 — 139,294 po

polsku, 121,640 po litewsku, 1313 po rusku (tak zwani Filipony); c) w okręgu grańskim pomiędzy 380,198 ludności, po polsku 83,497; d) w okręgu kwidzyńskim (*Marienwerder*) z pomiędzy 572,011, po polsku 221, 547.

II. W Brandeburgii we trzech okręgach niższych Łużyc (Kotbusy, Kałau i Sprembergu) wszystkich Łużyczan około 60,266.

II. W Pomeranii w okręgu Kieślińskim znajduje się 4000 Kaszubów.

IV. W Szlązku mówiących po polsku 528,691, po czesku 49,042 a po łużycku 36,912.

V. W Poznańskim a) w okręgu poznańskim 488,368 mówiących tylko po polsku, 180,179 po polsku i po niemiecku, 221,836 zaś samym językiem niemieckim. 6) W okręgu Bydgoskim (*Bromberg*) 193,188 tylko po polsku, 101,265 po polsku i po niemiecku, 158,241 tylko po niemiecku.

Tym sposobem wszystkich Słowian w królestwie pruskiem 2,221,409 znajduje się.

\* Podług doniesienia dziennika ministerium narodowego oświecenia w Petersburgu wydawanego na rok 1848, wychodzi w cesarstwie rossyjskiem oprócz królestwa polskiego pism peryodycznych tak politycznych jako i literackich w ogóle 147; z tych gazet 101, dzienników zaś 46, między którymi w języku rossyjskim wychodzi 104, w języku francuzkim 8, w niemieckim 26, w angielskim 3, we włoskim 1, w polskim 1, w polskim i rossyjskim razem 1, w łożyckim 3.

F. M. S.

## WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych.

---

### CHEMIA.

Podług wiadomości udzielonej przez p. Millon akademii umiejętności paryzkiej, w krwi ludzkiej ma się zawsze znajdować krzemionka, mangan, ołów i miedź; krzemionka w stosunku od 1 do 3 na sto, ołów od 1 do 3%, miedź od 0,5 do 2,5. mangan od 10 do 24. Miedź i ołów bytują tak jak żelazo w kuleczkach krwi. (*L'Institut* 12 *Janvier* 1848 w treści).

\* P. Leclair malarz, zwrócił uwagę akademii umiejętności paryzkiej, o ważności zastosowania w malarstwie koloru białego z cynku (niedokwasu cynku) za kolor biały ołowiany (węglan ołowiu).

Wynalazca używa nieustannie niedokwasu cynku za węglan ołowiu, gdyż podług niego pierwszy posiada wszystkie zalety drugiego, bez żadnej jego niedogodności; i tak, niedokwas cynku jest bielszy jak węglan ołowiu, rozarty z olejem odbija promienie słoneczne zamiast ich polykania; pokrywa lepiej, nie ulega zmianie od wyziewów siarkowych, czerniących niezwłocznie węglan ołowiu; wreszcie, wyrabianie jego nie jest połączone z utratą zdrowia. Główną rzeczą przy zastosowaniu tego ciała jest, aby ono tanio mogło być nabywane, i po zmieszaniu z olejem przędko wysychało. Zamiast glejty używanej do przyspieszenia wysychania, która posiada niedogodności związków ołowianych, p. Leclair używa ciała wysuszającego o zasadzie manganu.



Korzyści z powyższego zastosowania są te: 1) że zdrowie wielu ludzi oszczędza się; 2) że mieszkania mogą być malowane na biało, bez obawy aby wodoród siarkowy je poczerzył; 3) że w obrazach, z czasem biały kolor nie ulegnie zmianie (*L'Institut* 26 *Janvier* 1848).

\* P. Louyet zawiadomił akademią umiejętności bruxelską, o wypadkach wielkiej liczby doświadczeń, dotyczących się oznaczenia ilości względnej pierwiastków nieorganicznych w popiołach mąki zbożowej; praca jego miała za cel wykryć zafałszowanie mąki, przez badanie jej popiołów.

W ogólności mąka pszenna wysuszona w 100°C zawierała *najwięcej* 0,8 na 100 popiołu; żyto 1 na sto *najmniej*; mąka groszków i grochu wysuszona także w 100°C. wy-daje 3 na 100 popiołów; makuchy lniane wytrawione od swego oleju wyskokiem wrzącym, dają 10 na sto.

Podług więc tego, widzimy że przez dodanie pewnej ilości mąki groszkowej lub z makuchów, do mąki pszennej lub żytniej, powinna się powiększyć znacznie masa popiołów pozostałych po spaleniu danej ilości, a oprócz tego części składowe popiołów mąki zafałszowanej, będą inne od popiołów mąki niezafałszowanej.

Wypadki praktyczne z pracy p. L. są następujące: We wszystkich przypadkach gdy 5 gram. mąki pszennej poprzednio wysuszonej w 100°C, wyda więcej nad 0,045 popiołu, jest prawie zupełna pewność zafałszowania. Skoro waga nie przechodzi 0,100 bardzo jest prawdopodobne, że nie dodawano ciała mineralnego, gdyż dla jakiegokolwiek zysku, potrzebaby go dosypać 1 1/2 do 2 na 100 wagi mąki. Jeżeli popiół waży więcej nad 0,050, zapewne dodano ziarn strąkowych, o czém jeszcze pewniej przekonać może alkaliczność tegoż popiołu. Z 5 gramów mąki żytniej wysuszonej w 100 C. powinno się tylko otrzymać popiołu 0,050 do 0,055. Ważną tu nadto jest ta uwaga, że popiół żytni posiada widoczne własności alkaliczne, że przyciąga wilgoć z powietrza, bez zmoczenia papieru na którym leży, zwilgotnienie zaś znowu spostrzegamy przy popiole z grochu. (Treść z pisma *L'Institut* z 2 *Fevrier* 1848). J. B...a.

## HISTORIA NATURALNA.

## Zoologia.

*Pokolenia człowieka.* W niedawno wyszłem dziełku opisane jest obszernie pokolenie dzikich ludzi białych, *Munchies* nazwanych, którzy mają zamieszkiwać pewną dolinę przy Sierra de los Mimbro, nad rzeką wpadającą do Rio Gila, w prowincyi Sinora, w Meksyku. Jest ich około 800 indywidualów, cery takiej jak w pokoleniu czerkaskiem i pięknym kształtów. Są w obcowaniu z sobą spokojni, poczciwi i obyczajni i nieco wykwinności w swoich potrzebach życia mający. Żyją w jaskiniach i domach na niedostępnych górach, dolinę tę otaczających. Rękopisy dawniejszych wędrowników do Ameryki, w Watykanie zachowane, mają obejmować wiadomość o podobnym szczepie w Kordyliarach. Dojść jeszcze potrzeba, czy ten lud pochodzi od Hiszpanów, którzy z Kolumbem wylądowali, czy też od osobliwego narodu, który pozakładał miasta amerykańskie i Yucatan, dziś w zwaliskach po całym Meksyku i środkowej Ameryce rozrzucone. (*Fror. Not.* 1847 nr. 21, z *Littary Gazette*, nr. 1561).

Retzius, zgodnie z Szafarykiem (Słowiańskie Starożytności), uznaje Awarów za plemię wynikłe z pomieszania tureckiego z uralskiem, i tak opisuje czaszkę prawdziwego Awara: Tył głowy krótki (*diam. fronto-occip.* 0,147 m.), wysokie (*diam. occip. vertical* 0,157 m.), ukośna linia, poprowadzona z jego najwyższej, przez wyniosłości ciemieniowe utworzonej części, spada za tę część kości tyłogłówniej, na której się znajdują linie łukowate. Największa szerokość (0,137 m.) przypada tuż nad wysokością łuskowatych szwów kości skroniowych. Kość czołowa, nadzwyczajnie wysoka, i ku tyłowi spadzista ma na środku (2" nad łukami brwiowymi) poprzecznie idące zagłębienie, a zaraz nad niemi mocno wywyższony guzik, również poprzecznie idący; pomiędzy tym a guzikami czaszki, ciągnie się znowu poprzeczne zagłębienie, które na połączenie strzałkowego i krzyżowego

szwu trafia. Łuki jarzmowe są małe, nieco tylko wystające, alweolarne wysoki szczyki górnej małe, pionowe; przednie otwory jam ocznych romboidalne, podniebienie dobrze sklepienie, wysoki sutkowate (*processus mammillares*) małe. (*Id. nr. 10 z Archiv skandin. Beitr. Bd. 1 Hft. 1*).

\* F. Dickon, znakomity rolnik z Lincolnshire, wyniósł się do Jamaiki, w zamiarze zaprowadzenia tam polepszonogo rolnictwa. Udało się mu znacznie powiększyć plon wielkich plantacyj cukrowych użyciem nowego nawozu. Skąły tych zwrotnikowych krain zamieszkują miryady wielkich niedoperzów. P. Dickon kazał szparę w jednej skale rozszerzyć; urzrano mnóstwo niedoperzów ulatujących tamtędy. Trafiono naostatek na jaskinię 250 stóp długą, 20 szeroko a 20—30 wysoką, przez tysiące tych nocnych zwierząt zamieszkałą. Na dnie téj jaskini zebrano się na więcej niż 4 stopy grubo, a więcej niż 600 beczek wagi niedopérzego gnoju, który wyrównywa dobrocią najlepszemu guano z Ichaboe. (*Id. nr. 18 z Galignaniego Messenger, 3 Febr.*).

\* Sposób jakim królikowa łasicca (*Mustela furo*) ofiarę swoją zabija, jest według dokładnych postrzeżeń dra Buchanan, bardzo odmienny od tego który we wszystkich podręcznych książkach o zoologii podają. Jeśli ma do działania z większym zwierzęciem, np. z królikiem, uchwyca je zębami i trzyma tak długo, aż póki nie zdechnie skutkiem upływu krwi albo wycieńczenia. Jeśli zaś mniejsze jest zwierzę, np. szczur, łasiczka skacze na przeciwnika, zadaje mu tylko jedną ranę w tył głowy albo w grzbiet, ale za każdym razem tak, że jeden z kończących zębów pomiędzy czaszkę a pierwszy kręg, w mlęcz pacierzowy zapada i tym sposobem w mgnieniu oka zwierzę zabija. (*Id. nr. 16.*).

\* W okolicach Tunis mięso lwa jest jadalne i nad spożycie nasze znaleźliśmy je wybornem. Kawałki od żeber, końce żeber, z trochę soli i hiszpańskiego pieprzu ugotowane, dały nam smakowitą wieczerzę. W smaku mięso to najpodobniejsze było do młodej wołowiny, ani twarde, ani z odrażającym zapachem. (*Id. nr. 2, z A Journey through Algeria and Tunis by Capt. Kennedy. Vol. II, p. 205.*).

\* *Mehari* czyli *drabarz*. Mieszkańcy Sahary z podziwieniem tylko opowiadają świetne przymioty, któremi się odznacza *mehari*; są one treścią wielu podań gminnych, które pokolenie pokoleniu przekazuje w najlepszej wierze i z owym zamiłowaniem rzeczy cudownych, tworzącem główny rys charakteru Araba.

Według powszechnego mniemania, *mehari* odziedzicza wszelkie naturalne przymioty swojej matki, wreszcie i przymioty ojca. Jest on np. w stanie tyle razy pomiędzy wschodem a zachodem słońca zakres podróży dzienną przebieść, co jego matka, która mu życie dała. Oszacowanie przeto wartości samicy, uważa się za rzecz bardzo wielkiego znaczenia.

Zwyczajem jest wartość tę na 10 stopni rozdzielać, stopnie szlachectwa zwierzęcia tworzących. Od pospolitego wielbłąda który codzień swoją stację przechodzi, do *aszary*, który 10 stacyj na dzień przejść może, pośrednie stopnie rozróżniają się takimi nazwiskami:

- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 2 pochodów dziennych odbywa, zowie się *theni*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 3 pochodów dziennych odbywa, zowie się *thelathi*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 4 pochodów dziennych odbywa, zowie się *urba*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 5 dni odbywa, zowie się *chemasi*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 6 dni odbywa, zowie się *sedasi*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 7 dni przebywa, zowie się *sebai*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 8 dni przebywa, zowie się *themani*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 9 dni przebywa, zowie się *tesai*.
- Drabarz, który w dniu 1 przeciąg
- 10 dni przebywa, zowie się *aszari*.

Chociaż świetne przymioty, któremi się zdoła *mehari* uważane są za dar natury, za przywilój urodzenia, Arabowie jednak liczą wiele na wychowanie. Lud w Sabarze następujące daje wiadomości w tej mierze:

Zwierzę, jak tylko na świat przyjdzie, zagrzebuja w piasek, ażeby słabe jeszcze i delikatne golenie nie wykształciły się źle pod ciężarem ciała. Przez 14 dni zostaje ono w tym rodzaju uwięzienia. Masło jedynem jest pożywieniem, które się mu przez ten czas daje; dopiero 14go dnia otrzymuje nieco macierzystego mléka, a potém przez 5 dni jeszcze, je masło. Po upływie tego drugiego okresu dostaje zwierzę znowu nieco mléka.

Na końcu pierwszego miesiąca, *mehari* otrzymuje wolność, czyli lepiej się wyrażając, zmienia swoją niewolę. Wychodzi z piaskowego powicia i wtedy może się rozochocić i pójść za swoją matką; ale niedługo zaczyna się noszenie popręga, które trwa przez 3 miesiące. Po tém następuje żelazne kółko, zwane *resen*, a w które się zakładają cugle. Kółko to przewłóczy się przez nos zwierzęciu, które je na całe życie zatrzymuje.

Po takim wychowaniu, które jest uważanem za nieodzownie potrzebne, następuje wychowanie przyjemności i zbytku, które się oblicza głównie na rozwijalność władz umysłowych drabarza. Uczy się więc zgadywania woli, a nawet humoru swojego pana, i stosowania się do nich. Gdy on mu rzuci swój mezag, zwierzę powinno z należytą szybkością biedz naprzód, ażeby jeździec mógł oręż jeszcze w upadaniu schwytać. Kiedy jego pan wpośród szybkiego biegu utkwie od razu swój mezag w piasku, zwierzę powinno, bez żadnego innego znaku prócz poruszenia jeźdźca wkoło, tego stałego punktu kręcić się dopóty, dopóki dzida znowu nie zostanie wzięta, i wtedy dopiero biedz kierunkiem linii prostój, nie zmieniając szybkości. Kiedy jeździec raniony w bitwie polega, *mehari* zatrzymuje się natychmiast przy swoim panu; niespokojnem pogląda nań okiem, a jeżeli jeszcze dyszy, jeśli mu jeszcze tyle sił pozostało,

ażeby dał znak, wtenczas nauczony i pojętny sługa zniża się, ażeby mu podczas wstawania być pomocnym.

Targi największej staranności dokłada w tém drugiem wychowaniu swojego bieguna. Raz wraz przemawia do niego, a zwierzę uczy się wkrótce poznawać z rozmaitych załamań głosu zamiary tego, który go wydaje. Na jedno słowo, na jeden znak klęka, znowu powstaje, pozdrawia, stoi albo pośpiesza. W najszybszym pędzie dosyć jednego słowa, ażeby postęp jego zwolnić albo też całkowicie zatrzymać.

Do tych wszystkich przymiotów, które ma mehari, łączy się jeszcze łagodność; dzieci swawolą u nóg jego, bez najmniejszej obawy, lub niebezpieczeństwa. Od pospolitego wielbłąda w tém jeszcze jest wyższy, że żadnego nieprzyjemnego głosu nie wydaje.

Ale rzeźkość i pojętność są dwie cnoty, które nadewszystko obudzają podziwienie mieszkańców pustyni. Opowiadają mnóstwo przykładów szykkości meharego, wszakże lubiący prawdę lud w Ghedeme, wszystkie je ma za przesadzone, i mówi że *sedasi* i *aszari* sąto istoty, które nigdy nie istniały. Z drabarzami, powiadają, tak się ma jak i z końmi: są dobre, są złe. Nigdy jednak nie przebiegają więcej nad cztery pochodyienne w dniu jednym. Czasem się ich odbędzie 5, ale to tylko wtedy, gdy ocalenie życia od tego zależy, i rzadko zwierzę tę twardą próbę znosi. Potrzeba wtedy dniem i nocą jechać, i meharego albo kijem poganiać, albo mu dzidką boki rozdziierać.

Mehari prowadzi się na słabym sznurku, przymocowanym do kółka, które ma przez nos przewleczone, a czucie jego jest takie, że dosyć najmniejszego ruchu, ażeby poszedł w kierunku, w którym się go pociąga. Jako przykład następujące przytaczają zdarzenie: Pewien podróżujący, który się dla śniadania zatrzymał nad wodą, puścił tymczasem meharego swojego na paszę. Podjadłszy i przespawszy się godzinkę, Arab obejrzał się naokoło, a wielbłąda nie ma. Cóż się z nim stało? Ażeby miał uciec, rzeczą było niepodobną; poważne bowiem i flegmatyczne obyczaje tego

zwierzęcia nie dozwalały ani przypuszczać takiej lekkomyślności. Postrzeżę go naostatek w wielkiem oddaleniu, zawsze spokojnego i nieczułego jak zwykle; przybiega do niego i kiedy się chyli dla podjęcia cugli, czuje że mocno się trzymają w jamie tryszcza, czyli skaczącego zająca afrykańskiego (1). To szczurowate zwierzątko, przywabione zapachem oleju, którym koniec sznurka był napuszczony, uchwyciło zań swojemi ząbkami i do jamy wlokło. Jakkolwiek zwierzę słabo tylko za sznurek ciągnęło, mehari jednak nie widząc go, dał się, jak zwykle z pokorą i powolnością swemu małemu wodzowi prowadzić.

Ruchy meharego zdają się sprawiać podobną chorobę jak kołysanie się okrętu. Dla zapobieżenia temu, podróżni zwykli się od łądźwi aż pod ramiona pasami obwijać i mocno sznurować. (*Id. nr. 10 z Annuaire des voyages et de la géogr. pour l'année 1846 par F. Lacroix, p. 234—238*).

\* *Moa* (*Dinornis*) (2). Na posiedzeniach Lond. zool. Tow. d. 23 czerwca i 14 lipca 1846, doniósł p. Owen o ile postąpił z badaniami swojemi w przedmiocie tego ciekawego rodzaju ptaków, w skutek nowo mu nadesłanych z Nowej Zelandyi ich kości. Opisał najprzód kości, pomiędzy któremi znajdują się: część czaszki od *Dinornis struthioides*, jako téż odpowiednia jej część czaszki od *Dinornis dromioides*, obiedwie budowy bardziej dronta niżeli jakiegokolwiek innego żyjącego ptaka, ale się odznaczają znaczną szerokością w niższej okolicy tyłu głowy, która od dołu ku górze i od przodu bardzo ukośnie jest podana. Okolica kości bocznych, prawie płaska, gubi się prosto ku przodowi w okolicy kości czołowej, również bardzo niskiej. Dolki skroniowe są nadzwyczaj szerokie i głębokie, jamy oczne małe, zatoka powonieniowa (*sinus olfactorius*) mocno się w tył przedłuża, jednak nietyło co u *Apteryx*. Równina otworu wielkiego

(1) Tryszcze (*Dipus*), znajome afrykańskie zwierzątka polne, na długich tylnych nogach skaczące, mające tyle siły co zająca kryjące się w jamy.

(2) Zob. Bibliotekę Warszawską, 1845, tom IV, str. 487.

(*foramen magnum*), jest ukośna. Autor rozciąga się jeszcze nad wielu innymi cechami w budowie czaszki rodzaju *Dinornis*, i wykrywa gatunkowe różnice na obudwu niecałych czaszkach, poczem przechodzi do wykazania szczegółów w ukształceniu kości bębenkowej (*os tympani*) u gatunku *Dinornis giganteus*, i porównywa ją u dziś żyjących ptaków.

Opisuje potem p. Owen rozmaite grzbietowe i szyjowe kręgi, zdające się pochodzić od gatunków *Dinornis giganteus*, *ingens*, *struthioides* i *crassus*. Kości te są zupełne i zachowane dobrze, i razem z wymienionymi poniżej kośćmi wydaleń, znalezione były w formacji iłowej (*formation élastique [plastique?]*) na brzegu Wyspy środkowej (*Middle-Island*) przy Waikawaite.

Pomiędzy najciekawszymi sztukami otrzymanymi z tego wykrycia, znajduje się prawie zupełny mostek (*sternum*), który p. Owen gatunkowi *Dinornis giganteus* przypisuje. Jestto kość kształtu dosyć kwadratowego, bezszypułkowa, tarczowata, szerokości znaczniejszej aniżeli długość. Tylny kąt i mieczowata chrząstka są jak u *Apteryx*, długo wyciągnięte, ale nie zarzucone naprzód. Wysoki kruczodziobę (*dépressions coracoides?*) są bardzo małe. Opisuje tę kość bardzo dokładnie i z bezszypułkowymi piersiowymi kośćmi ptaków strusiowatych porównywa, z czego się okazuje, że kość ta u *Apteryx* ma z nią najwięcej podobieństwa.

P. Owen opisał potem kości wydaleń, które do r. 1843 tylko niedokładnie znane, albo wcale nieznane były. Są niemi: całkowicie zachowany ud gatunku *Dinornis giganteus*, tegoż piszczele i kość podymo-przednóżowa, które zapowiadają, że wyspę środkową zamieszkiwała niegdyś nader silnie zbudowana odmiana tego olbrzymiego ptaka; podymo-przednóże gatunku *Dinornis ingens* z Wyspy północnej (*North-Island*), odznaczające się pomarszczoną zapadłością, która wskazuje na bytność czwartego, w tył zwróconego palca, a więc na istnienie rodzaju od *Dinornis* odmiennego (*Palapteryx*); kości udowe, piszczele i podymo-przednóża gatunku tak wielkiego jak *Dinornis ingens*, lecz który mocniej był zbudowany i żył na Wyspie środkowej; i u tój



znajduje się ślad artykulacji na palec tylny; piszczele i podymo-przednóżowe kości od *Dinornis (Palapteryx) dromioides* z Wyspy północnej, odznaczające się długością i cienkością budowy; na podymo-przednóżu daje się także widzieć płaszczyna stawowatości na czwarty (tylny) palec, z czego się okazuje, że ten ptak do tego samego podrodzaju należy, co *Dinornis ingens* z Wyspy północnej.

Opisał potem p. Owen kości udowe, piszczele i kości podymo-przednóżowe, które były znalezione na Wyspie środkowej i do nowego gatunku my należą, *Dinornis casuarinus* mogącego się nazwać. Małe zagłębienie, 5 linii długie, a 3 szerokie, okazuje, że ten gatunek miał tylny palec, jak u nietola (*Apteryx*) położony, ale bardziej rudymmentarny.

Daléj okazał pan Owen ud i podymo-przednóże również z Wyspy środkowej, które do nowo odkrytego trójpalczystego żatunku, *Dinornis crassus*, należą. U jednego, który wzrostem równał się prawie strusiowi, kości te, w stosunku do swojej długości, przedstawiają niemal podwójną grubość. Musiał to być najgmaszystszy ze wszystkich ptaków, prawy wyobraziciel pachydermów w gromadzie upierzonych zwierząt.

Trzeci nowy gatunek jest stosunkowo mały, i pod względem wzrostu stoi pomiędzy *Dinornis didiformis* i *Dinornis otitiformis*. Ustanowiony on jest na kościach, które wyłączenie na Wyspie północnej znalezione były, i otrzymał od autora nazwisko *Dinornis curtus*.

Rozprawa p. Owena, wielu wizerunkami objaśniona, obejmuje w końcu uwagi nad rozpostarciem jeograficzném rodzaju *Dinornis* (*L' Institut* nr. 679, 6 stycz. 1847). Jako dodatek do niej, p. Owen dołącza swoje osteologiczne poszukiwania o droncie (któreśmy podali w Bibl. Warsz. b. r. Tom I, str. 429). (*Id.* nr. 29).

\* Prof. Carus rozglądając z kilku naturalistami niemieckimi sprowadzony z Drezna kopalny szkielet odkrytego w Ameryce przedpotopowego gadu *Hydrarchus*, ogłosił że na cienkich odłamkach jego kości i zębów, okazały się przez mikroskop wyraźne naczynia krwiste, nietylko brunatno-

czernym kolorem odznaczone w skamieniałej massie, ale nawet przedstawiające widoczne, pojedyncze krwi kulki. Te pierwsze raz widziane przedpotopowe krwi kulki, dosyć są podobne wielkością do kulek krwi u salamander, tylko nieco dłuższe, i stwierdzają inniemanie że to osobliwe zwierzę, bardziej się do gadów zbliżało. (*Id.* nr. 19).

\* *Gymnarchus niloticus*, mało dotąd znana ryba egipska, ma bardzo pięknie rozwinięte płuca, obok przyrzędu skrzelowego, ukształconego jak zazwyczaj. Płuca leżą na miejscu powietrznego pęcherza, wzdłuż całej brzuchowej części kręgosłupa; drugi ich wolny koniec przechodzi w kształt ostrokągu; wpadają potem krótką ale bardzo daleką tchawicą do polyka (przez górną jego ścianę) i zrazu okrągławe, potem coraz bardziej spłaszczone, w towarzystwie nerek od górnej swojej powierzchni, ciągną się ku tyłowi, stają się przytém w swojej środkowej części przez całą długość coraz cieńszymi, gdy części ich boczne pozostają grubszymi i mięsistszemi, tak, że oznaczony jest ich rozdział na prawe i lewe płuce. Ku otworowi odchodowemu koniec ich zokrągla się, a za niemi ku przodowi leży urynowy pęcherz, bardzo znaczny u téj ryby. Budowa płuc taka jest jak u *Lepidosiren*; ozdobną stanowi tkaninę licznych komórek, warstwami na sobie leżących. Płuca są przezroczyste, tak iż; jak np. u węzów, zaraz z zewnątrz można widzieć komórki. W miejscu, w którym tchawica w polyk wpada, ten ostatni tworzy z prawej i lewej strony mocną podłużną fałdę, widocznie do dobrowolnego zamykania ujścia tchawicy służącą. Do osadzenia muskułów temi fałdami władających, służy długa chrząstka, przylegająca do skrzelowego przyrzędu, którą pod tym względem możnaby także ze śladem krtani u *Lepidosiren* porównać (prof. Erdl w *Münchener gelehr. Anz.* 1846 nr. 202. *Fror. Not.* nr. 3).

\* Proboszcz Ekstroem podaje bardzo dokładną wiadomość o czasie tarcia się śledzi na brzegach Norwegii. Według niej czas ten trwa dłużej, niżeli zwykle przyjmujemy, bo od połowy marca do połowy maja. Okazano także licznymi badaniami, że większo wyikrzone śledzie, trzymają

się dłużej na miejscach tarcia i pożerają mnóstwo tylko co wyległego płodu (tak nazw. śledziowych oczu). (*Fror. Not.* 1847 nr. 9 z *Archiv. Skand. Beitr.* 1, Hft. 1).

\* Dr. Luigi Verdiani ogłasza w *Gazetta toscana delle scienze medico-fisiche*, 16 Oct. 1846, obszerną rzecz o ukąszeniu jadowitego pająka czerwonego (*Aranea tredecim-guttata Rossi*) znajdującego się w Toskanii. Pająk ten pierwszy raz spostrzeżony był na końcu przeszłego wieku w Volterra. Podług Piotra della Valle, który 1787 r. pisał o nim, w roku 1782 żniwa w Toskanii były tak nieobfite, że na wiosnę po nich musiano sprowadzać zboże z Sycylii i Afryki. W r. 1785 wielu postrzegalo pająka (czy dawniej wcale nie był widziany, tego nie okazano), odtąd zaś rozszerzał się on coraz bardziej. Pająk żyje na polu, mianowicie w miejscach pokrytych. Małe zwierzęta, owady, jaszczurki, nawet ptaszki umierają od jednokrotnego ukąszenia; większe, np. psy, chorują tylko mocno od niego. Człowiek doznaje gwałtownego bólu, który od miejsca ukąszenia rozszerza się powoli po całym ciele, i sprawia rozdrażnienie, świerzb, wymity, bledość, zimno, mały puls, krótki oddech, mdłości i t. d. Ratunkiem są skaryfikacye, bańki, morphium, lekarstwa rozwalniające, a naostatek pocenie się sprawujące. (*Fror. Not. nr. 12*).

\* Kapitan Kennedy (*Algeria et Tunis in 1845 vol. I, p. 159*). opowiada jako naoczny świadek, o jednym arabskim chłopcu nader odstręczającej powierzchowności (mianowicie z głową w wysokim stopniu potworną), którego nieznaną ale dlatego chytre rysy twarzy, zdawały się zapowiadać bardziej zwierzęcą aniżeli ludzką naturę. Chłopiec nie-ruchomie poglądał na towarzystwo podróżnych wzrokiem osłupiałym. Kapitan nie dawał z początku wiele baczenia na to indywiduum zdające się być w obłąkaniu, lubo krajowcy uważają takich za osoby święte, póki mu nie powiedziano że chłopiec tém udowodnił swoją świętą naturę, iż żywego niedźwiadka bez szkody połknął. Natychmiast okazany był dowód cudownej mocy takich ludzi, przed niedowierzającym Anglikiem, który sądził, że się piérwój jadowite żądło

wyłamuje zwierzęciu. Chłopiec stanął przed nim, trzymając w gołej ręce innego niedźwiadka, i kazał szukać kolca zwierzęcia kawałkiem drewna. Niedźwiadek był dosyć wielki, długi przeszło dwa cale, pełen siły życia i mogący nieprzyjaciela bardzo niebezpiecznie skaleczyć. Chłopiec podniósł rękę, włożył niedźwiadka do ust i ujął zwierzę zębami, przy czém wyraźnie widziano jak się mu kręcił i słyszano chrzęst jego skorupy, póki go chłopiec całkiem nie pożuł i nie połknął. Ani ręka, ani usta najmniejszego uszkodzenia nie doznały, a Arab niedługo potem tę samą scenę jeszcze raz powtórzył. (F. N. nr. 1).

\* Boheman (*Archiv. skand. Beitr. z. Naturg.* tom I, zeszyt 1) donosi, że w Szwecyi bywają tłumne przeloty szarańczy. Student z Ihlen oznajmił mu: „D. 16 wrześ. 1844 uważałem na ekskursyi ponad południowym brzegiem Braeviken w Gotlandyi wschodniej, na łące blisko Allonoe, wielką mnogość szarańczy, która wnet okazała się gatunkiem *Gryllus migratorius*. Odnaczała się niczego nieoszczędzającą żarłocznością, a cały obłok zniknął w kilka godzin, tak że nie można było dalej przelotu jego śledzić.” Ale późniejsza wiadomość donosi, że w tymże czasie przy Mem i Slaetbaken na południowej części Wikboland, zjawił się również liczny przeciąg brunatnej wielkiej szarańczy, i po kilku godzinach spustoszenia, znowu się oddalił. (*Id. n.* 12).

\* *Fosforescencya świetlików*. Matteuci w ciekawém dziele, którego w roku zeszłym (1847) wyszedł w Paryżu według drugiego włoskiego wydania przekład francuzki, z tytułem: *Leçons sur les phénomènes physiques des corps vivants*, takie podaje wiadomości o świeceniu świetlików gatunku *Lampyrus italica* (po włosku *lucciola*), z którymi najdokładniejsze doświadczenia w tej mierze czynił.

Świetlik jestto chrząszczyk żyjący na roślinach; dwa ostatnie pierścienie jego ciała, które w dzień okazują się żółtawemi, w nocy wydają z częstemi przerywaniami, obfite światło. Materya żółta, która dwa ostatnie pierścienie ciała wypełnia, nie przestaje świecić wydobyta ze zwierzęcia, np. gdy się zabije zwierzę i te dwa pierścienie pomiędzy

palcami rozgniecie. Z tego już okazuje się, że samo świecenie nie jest aktem życia.

Wiele świetlików nawsadzanych do szklanej rurki wkoło czulego termometru, żadnego w nim wzniesienia się nie sprawiły. Za ponurzeniem rurki w wodę i podniesieniem temperatury téj ostatniej do 30° R. moc światła wzrosła, przerywania ustaly; w temp. 40° R. świecenie nagle i na zawsze ustaje. Tenże sam wypadek dają odłączone od zwierzęcia dwa ostatnie pierścienie ciała. Na 0° R. światło staje się nieco tylko słabszem; na — 5° R. zwierzęta przestają świecić, nie ginąc wszakże, bo po kilku minutach pobytu w cieple, swoją własność świecenia znowu odzyskują.

W kwasie węglowym świecenie ustaje, ale powraca znowu w atmosferycznym powietrzu, jeżeli tylko pobyt w kwasie węglowym nie był za długi (nie dłuższy nad 30 do 40 minut). Nieco dłużej trwa świecenie w gazie wodorodnym.

Pod dzwonem z atmosferycznym powietrzem, zwierzęta po 24 godzinach przestały świecić. Kwasoród całkiem znikł a zastąpiła go równa objętość kwasu węglowego. Tylnie pierścienie same, nie wytrawiły w tymże czasie kwasorodu całego.

W gazie chlorowym trwa niejaki czas świecenie, potem jednak na zawsze ustaje.

W czystym kwasorodzie żyją zwierzęta około 40 godzin, ale odłączone pierścienie przez cztery dni jeszcze świecą. Kwasoród wtedy wytrawia się, a zastępuje go kwas węglowy.

W mieszaninie  $\frac{2}{3}$  kwasu węglowego i  $\frac{1}{3}$  kwasorodu, zwierzęta nie mogą żyć długo.

20 świetlików zamkniętymi zostały w atmosferycznym powietrzu; dwudziestu innym odjęte były ostatnie pierścienie, i tak skaleczone zwierzęta jako i ich pierścienie, każde osobno w atmosferycznym powietrzu zamknięte. Po dziesięciu godzinach skaleczone zwierzątka (które jeszcze żyły) i świecące pierścienie, razem wzięte, wytrawiły prawie zupełnie tyle kwasorodu, co zwierzęta nieskaleczone. Osta-

tnie utworzyły 2,8 cent. kub. kwasu węglowego; zwierzęta skaleczone 1,9 a świecące pierścienie 0,8.

Materya świecąca, roztarta w agatowym moździerzu, utracą nagle fosforescencyą i nie odzyskuje jęj nawet w gazie kwasorodnym.

W gazie wodorodnym siarczystym, zwierzęta prędko żyć i świecić przestają.

W próżni Torrycellego świecenie znika w 1—3 minutach; ale prędko wprowadzone powietrze znowu je wywołuje.

Owady starannie w gazie wodorodnym przechowywane, wyrabiają małą ilość kwasu węglowego kosztem powietrza zachowującego się jeszcze w tchawicach. Z pierścieniami się to nie staje. Zamknięte do nieprzezroczystych żelaznych puszek, zwierzęta wtedy dopiero możność świecenia tracą, jeśli nie są jednocześnie żywione, to jest kiedy wygłodnieją.

Po obciążeniu świecących pierścieni u zwierząt żyjących terpentyną, świecenie wprawdzie słabiej nieco, ale nigdy się nie przerywa zupełnie.

W roztworze kuleczyby, owady zmarły około 8—10 minutami wcześniej, niżeli w wodzie czystej, a w opium prawie o tyleż czasu później.

Uważając świeżo złapanego robaczka gdy na grzbiecie leży, widać ostatnie pierścienie odwłoka jakby czerwonym powleczone pokostem. W dzień i na niedawno zmarłych indywiduach, kolor ten nie jest tak wyraźny i staje się żółtym. Dopóki owad żyje, widać jak od czasu do czasu, już częściej już rzadziej, pierścienie świecą. Przy baczniem i powtarzaniem uważaniu spostrzedz można, że światło niewszędzie jednocześnie powstaje. Dostyć jest zwierzę zlekka w jakąkolwiek część ciała zadraźnić, ażeby zjawisko świecenia na chwilę wywołać. Jeśli się poruszy część tylnych pierścieni, świecenie trwa tęp dłużej. Jeżeli się w takiej chwili głowa zwierzątka odejmie, światło staje się słabszym a wkrótce całkiem ustaje, i wtedy wyraźnie widać czerwony kolor błony ostatnich pierścieni. W stanie tym mo-

żna zwierzę nawet bardzo mocno po tuluwie drażnić, bez wywołania światła, co raczej wtedy dopiero następuje, gdy świecące pierścienie same dotykanemi będą; rozjaśniają się wtenczas miejsca drażnione, a światło rozszerza się zwolna i na dalszą powierzchnią. Jeżeli przytém weźmie się zwierzę na ławeczkę mikroskopu (naturalnie z usunięciem wszelkiego oświecenia), widzieć można szybkie, kołyszące się poruszenie w pojedynczych częściach materyi świecącej, które w téjże chwili świecą. Jeśli się błona brzucha i boków grzbietu od materyi świecącej oddali, widać pod mikroskopem żółtawą ziarnistą substancją, w której się znajdują skupienia czerwonych kuleczek, mnóstwo rozgałęzień (tchawic?) i rodzaj rurek, które mają wejście włókien mięśniowych, ale przy dokładniejszem uważaniu czczemi się okazują. Jeśli się czyni postrzeżenia w nocy, widzieć można że materya żółta jest siedliskiem światła, a gdy się ją pomiędzy dwiema tabliczkami szklanemi naciska, zawsze jeszcze okazuje światło na brzegu.

Należycie oczyszczona skóra z brzucha, jest przezroczystą i gęsto włoskami porośłą. Skóra z grzbietu ma mniej przezroczystości, jest także opatrzona włosami, a oprócz tego na wewnętrznej stronie osadzona mnóstwem tchawic, które się w żółtą materyą rozchodzą. W przedostatnim pierścieniu odwłoka znajduje się zawsze pęcherzyk pięknie czerwonego koloru, złożony ze skupienia czerwonych kuleczek (?).

Materya żółta ma właściwy zapach, przypominający zapach nóg spoconych. Nie jest ona ani alkaliczną ani kwaśną, łatwo wysycha, z kwasami zdaje się krzepnąć, nie rozpuszcza się ani w alkoholu i eterze, ani w słabych alkalicznych roztworach. Rozpuszcza się i zmienia w mocnym kwasie siarkowym i solnym, od ostatniego jednak nie farbuje się błękitnie. Rozgrzana w szklanej rurce, wydaje produkta ammoniakalne. Fosforu odkryć w niej nie można.

Ze wszystkiego tego wniosek się uczynić daje, że właściwa żółta substancja w pierścieniach świecących, złożona z węgla, wodorodu, kwasorodu i saletrorodu, pali się kożstem kwasorodu powietrza wchodzącego w tchawice,

w zwyczajném powietrzu, bez wyraźnego podwyższenia się temperatury. (*Fr. N. nr. 9*).

\* *Quatrefages. Krew u pierściennic.* Jak wiadomo, Cuvier stanowiąc gromadę pierściennic (*les Annelides*), pomiędzy innymi cechami jęj i tę przywiódł, że krew u tych zwierząt jest czerwona. Przeciwko temu zaraz się odezwał p. Blainville przytaczając, że u niektórych większych, nad naszymi brzegami morza znajdujących się gatunków, krew ledwie jest zafarbowana; wszakże z wyrażen p. Blainville możnaby mniemanie Cuviera przynajmniej w ogólności usprawiedliwić. W nierównie mocniej uderzający sposób okazał później p. Milne-Edwards małoważność cechy ustanowionęj przez sławnego autora Królestwa Zwierzęcego, ogłaszając, że są pierściennice z rzędu *Tubicola*, zieloną krew mające. Niedługo potem p. Dujardin nowy odkrył wyjątek w gatunku małej pierściennicy, *Chlorema Edwardsii*, nad brzegami kanału La Manche żyjącej, a ja znalazłem kilka z tą samą własnością i które później szczegółowo zamierzam sobie opisać.

Zdaje się zatem, że kolor krwi w gromadzie pierściennic nie jest okolicznością ważną; wszakże niektórzy naturaliści ośmielili się powiedzieć że tu nie rodzaj zafarbowania ale obecność zafarbowanej cieczy istotę cechy stanowi. Nie sądzę, że z takim odsiężeniem mniemanie Kiuwiera da lęj zająć można, niżeli z pierwiastkowym zdaniem tego wielkiego naturalisty. U wielkięj liczby pierściennic krew jest zupełnie bezbarwna, i zdaje mi się że do takich massami doliczały można prawie wszystkie rureczne małe pierściennice, które w szuwarach i pod kamieniami na pobrzeżach naszych tak licznie się znajdują.

P. Delle Chiaje przywodzi, że u jednęj pierściennicy mórz neapolitańskich, w jednych naczyniach czerwoną, w drugich u tegoż exemplarza zieloną krew znajdował. U niektórych gatunków nad brzegami Sycylii sam postrzeżeniami doszedłem tego, co dla wszystkich którzy sposób krążenia krwi u pierściennic znają, wyda się niepodobném do uwierzenia. U niektórych rurecznych (*tubicola*) krew, gdy



jest zebrana w cienkie warstewki, ma zielonawo-zółty kolor; a uważana w massie, okazuje się wyraźnie czerwoną. Własność tę mają pewne gatunki sągw (*Nemertes*), a na jednej z nich dostrzegłem wszelkich ustopniowań tego zjawiska, pochodzących u niej z nagromadzenia dosyć wielkich, wpośród bezbarwnej cieczy pływających krwi kuleczek. Postrzeżenie zatem neapolitańskiego naturalisty jest według wszelkiego prawdopodobieństwa, niezupełne, lubo we względzie zmienności koloru krwi u tegoż samego egzemplarza, prawdziwe. Jestto zjawisko absorbeyi promieni światła, jedno z tych, które dostatecznie fizycy, a między innemi Young, wytłumaczyli.

Pierwszy, o ile wiem, p. Milne-Edwards mikroskopicznie krew pierścienic badał, i doszedł że w niej nie ma właściwych kuleczek, takich jak we krwi kręgowych zwierząt. W rzeczy samej, u większych, które mi się nadarzyły gatunków, krew ma tylko jakieś nader drobne ziarnistości, zdające się być, o ile się to z pomocą najmocniejszych stopni powiększenia osądzić daje, dosyć mierzysłnymi. Nie zdaje się, ażeby kolor krwi z obecności tych ciałek pochodził. Materya koloryzująca jest tu w samej krwi rozpuszczona, a ta już jedna okoliczność tworzy wielką różnicę pomiędzy jakością krwi pierścienic, a krwi zwierząt kręgowych.

Czyniącemu rzeczone postrzeżenia z nienależytą przezornością, zdać się może iż niemierzysłne we krwi ziarnistości mają dosyć znaczną objętość, u niektórych gatunków na 0,01 mil. średnicy a nawet więcéj; ziarka te wszakże nie do krwi należą, lecz pochodzą z cieczy zajmującej ogólną jamę ciała.

Jama ta i ciecz w niej zawarta, zdają mi się ważną grać rolę w organizmie niższych zwierząt. U niektórych pierścienic, jakoto u sągw (*Nemertes*), jaja lub spermatozoidy, rudymetarnie tylko rozwinięte w jajeczniku lub jądrze, wpadają do téj jamy, i w niej przechodzą dalsze stopnie rozwijania się swojego, odłączone od wszelkich stałych organicznych części i nie zostając w żadnym bezpośrednim

stosunku z przyrządem naczyniowym. Zdaje się, że ta ciecz, która je ze wszystkich stron oblewa, jest żyjącą, i że mi dostarcza wszelkich materyałów do powiększenia ich objętości niekiedy o dziesięć razy. Ciecz ta zatem jest względem nich zupełnie tęp, czém byłby organ: jajecznik lub jądro. Ciecz w ogólnej jamie pierściennic, jest niejako ciekłym organem.

Trudno jest przyjąć, ażeby ciecz, która w wyżywianiu jaj albo spermatozoidów tak wyraźną gra rolę, nie wywierała wpływu na muskuły i wewnętrznosci, które nią zewsząd są oblane. Wszystko owszem prowadzi nas do mniemania, że ona tę samą względem nich funkcją sprawuje, co i względem owych płodów rozmnażania. Dlatego musimy tę ciecz uważać jako rozpostartą po całym ciełe i je żywiącą, jako potężnego sprzymierzeńca krwi samej.

Skoro już tedy funkcyje żywienia nie wyłącznie do krwi należą, ważność téj ostatniej dla organizmu zmniejsza się, a w takim razie nie powinniśmy się dziwić, postrzegając, że ten przyrząd, służący na to, ażeby ją po rozmaitych częściach ciała rozwozić, przedstawia znaczną niedoskonałość, zahamowanie. U niektórych pierściennic rurecznych bardzo mało widać rozgałęzień w naczyniach. Przypadek ten zachodzi mianowicie co do gatunków, u których krew mocno jest zafarbowana, a najwyższego dosięga stopnia u sągów, u których już tylko główne pnie dojrzeć się dają....

Ciecz zawarta w ogólnej jamie ciała u rurecznych pierściennic, kurczeniem i ogólnemi poruszeniami ciała ustawicznie się zakłóca, każda jej przeto część, z różnemi organami zetknąć się może. Jednakże pod pewnemi okolicznościami zdaje się ona wykonywać mierzycielniejsze, podobniejsze do prawdziwego krążenia ruchy; uważałem to przynajmniej na bardzo małych indywiduach z rodz. *Sipunculus* (\*), znaj-

(\*) Rodzaj ten i z nim pokrewne, poczytuję za należące do typu pierściennic. Zdanie moje opiera się na okolicznościach anatomicznych, które postrzegałem w rodz. *Echiurus*, a o czém obszerniej w nowem obrazowem wydaniu Królestwa Zwierzęcego: *Zoophytes* 120 livraison, pl. 23. P. aut.

dujących się w gęstwinach szuwarów i czerkwini. Ogólna jama ciała jest u nich, jak u nitkowatych robaków (*Nematoides*), na niemierzytelne komórki podzielona, a te komórki w połączeniu z sobą zostają. Widziałem jak w tym układzie komórek, ciecz pełna kulek, podobnych z kształtu do malin a prawie równą wielkość mających, poruszała się w rozdłużoną elipsę z wężykowatym obwodem. Za przyciśnięciem jamy wpoprzek i rozdzieleniem jej przez to na dwie połowy, ciecz opisywała dwie krzywizny zwrócone do wewnątrz. Widzimy że to zjawisko przypomina z wielu względów, powszechnie znaną cyrkulację u ramienic (*Chara*).

Dosyć trudno ziarnistościom tym prawdziwą rolę naznaczyć; ale pewną jest rzeczą, że one są w wyraźnej zależności z fizyologicznym stanem zwierzęcia. Im silniejsze jest zwierzę, tym są liczniejsze i większe w niem ziarenka. Podczas ciąży zwierząt, kiedy one mają nadzwyczaj wytrzymałe życie, dwa i trzy razy więcej tych ciałek przybywa.

Niepodobna nie uznać tu podobieństwa z tém, co postrzegamy w gromadzie owadów. U nich znajduje się jeden tylko gatunek żywiącego soku, a krew prawie zawsze podobna jest cieczy w ogólnej jamie pierścienic zawartej. U niektórych gąsienic krew, równie jak i u tych pierścienic obciążona jest materią farbującą. Gdy zaś płody trawienia wychodząc z pokarmowego kanału, muszą się bezpośrednio mieszać z cieczą w ogólnej jamie zawartą, to więc podpie-  
ra wyżej już wzmiankowany wniosek, że ta ciecz przez wzgląd na swoje fizyologiczne znaczenie, wyobraża niejako krew zwierząt kręgowych, i że jest tém ważniejszą im mniej wyraźnym okaże się przyrząd krążenia (*F. nr. 6 z Annales des Sc. nat. Juin. 1846*).

\* O gatunku strzykw (*Holothuria*) znanym pod nazwiskiem *Trepang*, p. Earl w dziele swoim *Entreprize in tropical Australia*, tak mówi: „Z wielkości i kształtu strzykwa ta podobną jest do kolczystego ogórka, wyjąwszy że ma kolor szarobiałą, lubo nawet zupełnie czarne odmiany jej bywają. *Trepang* znajduje się we wszystkich portach, gdzie żyje na dnie, a żywi się zwierzętami miękkimi i roślinami

mi morskimi. Zbierają go w czasie opadnienia morza na skałach przybrzeżnych, dokąd rybacy udają się przez wodę do kolan im dochodzącą i ciągną za sobą czołna, a macając ustawicznie nogami, co natrafią na strzykwę, to ją wyjmują i do czołna wrzucają. Czasem wypada szukać w większych głębokościach, do czego rybacy używają w pomoc krajowców, doskonale nurzać się umiejących; lecz jeśli takich nie mogą dostać, biorą kończate w tył pozacinane żelaza, jak dzidy na długich bambusowych kijach poosadzone. Sposób przyrządzenia trepangu jest bardzo prosty. Wyjęty z czołna smaży się przez pół godziny w żelaznym kociołku nad słabym ogniem. Potem wyrzuca się na ziemię i ostrym nożem narzyna wzdłuż grzbietu; poczem znowu kładzie się do kociołka i około trzech godzin w słonej wodzie gotuje, z dodaniem nieco kory od Mangrove, przyczem odziera się zewnętrzna skóra. Po dłuższem gotowaniu, woda się odlewa, a strzykwy wykładają się na ramę z łupaną trzciny bambusowej, i tak zanoszą do budek z matów, ażeby pod nimi wyschły. Każda sztuka starannie się układa stroną ponarzynaną do dołu, poczem roznieca się ogień, którego dym bardzo prędko trepang suszy i uzdatnia do pakowania w kosze albo worki i roznoszenia gdzie wypadnie (*F. N.* nr. 8).

† D. 22 grudnia 1846, umarł w Paryżu, znany z bardzo wielu dzieł ważnych, z dalekich podróży i licznych odkryć, naturalista francuzki Bory de St. Vincent (*F. N.* nr. 9).

† D. 26 czerwca 1846, naturalista angielski John Gilbert umarł w wyprawie do środka Australii, przeszyty przez pierśi włócznią krajowca. (*F. N.* nr. 10). A. W.

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

1847.

WARSZAWA.

126. Lista lekarzy i aptekarzy w Królestwie Polskiem, oraz weterynarzy, felczerów i akuszerok, na rok 1847. 8ka. (Warszawa). Str. 214.

127. O cholery, jej oznakach, środkach ochronnych i leczeniu. Wydanie powtórne z polecenia wyższej władzy. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 22.

128. O użyciu eteru przy operacjach chirurgicznych. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 39.

129. Wiadomość dla ogółu mieszkańców o poznawaniu cholery, o sposobach ochronienia się od niej, jako też o leczeniu jej środkami pospolitemi. Wydanie powtórne, z polecenia wyższej władzy. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 22.

130. Wykaz lekarstw, które na zarządzenie komitetów ustanowionych na czas trwania cholery mogą być wydawane z aptek cywilnych na koszt skarbu w miasteczkach i wsiach gdzie nie ma lekarzy. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 9.

131. Wykaz lekarstw, które w czasie epidemii cholerycznej mogą być wydawane z aptek na ustne żądanie każdego bez recepty lekarza, nawet na zapas. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 3.

## WILNO.

132. Bias, dramat w trzech aktach. 12ka. Wilno. 1847. Druk A. Dworca. Str. 168.

133. *Broma atwierta, par Kuniga N. Olszewski*. 12ka. Wilniuię. 1847. Str. 348.

134. Eugeniusz Oniegin, romans Alexandra Puszkina. Przekład Adama Sikorskiego. 8ka. Wilno. 1847. Druk M. Zymelowicza. Str. 192.

135. Kijowianka czyli dziewica Dniepru, nowy utwor poezyi we dwóch częściach, przez Onufrego Mokrzeckiego, artysty dram. 8ka. Wilno. 1847. Druk M. Zymelowicza. Str. 96.

136. Konferencya w czasie Wielkonocnych rekolekcyi, miana do alumnów Seminaryum Dyecezyjalnego Wileńskiego w roku 1846. 8ka. Wilno. 1847. Druk A. Marcinowskiego. Str. 80.

137. Nauka czytania pisma polskiego. 8ka. Wilno. 1847. Druk A. Dworca. Str. 28.

138. *Naujes Allorius arba surynkimas Parsergieimu yr Maldu pri Spowiednes Kamunies szwętos, diel sygonu yr Myrsztaneziu teypogi Rozancziu Kabunku, Lytany Adlem, yr Kitu Wysokiu maldu. Kożname reykalę yr Atsycieme su pridicimu Maldu su atpuskais Kunęga Kazimiera Pryalgowski*. 12. Wilniuię. 1847. *Spaustuwicie Juozapa Zawadzka*. Str. 572.

139. Prawidła wymowy i poezyi, wyjęte z dzieł Euzebiusza Stowackiego. Wydanie czwarte. 8ka. Wilno. 1847. Druk J. Zawadzkiego. Str. 324.

140. Wigilia świętego Jana, przez A. Pietkiewicza. 12ka. Wilno. 1847. Str. 62.

## 1848.

## WARSZAWA.

28. Oblubieńcy Medyolańscy, historia z XVII wieku, znaleziona i przerobiona przez Alexandra Manzoni. 12ka, 5 tomów, Warszawa. 1848. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I. str. 269. II 297. III, 224. IV, 293. V, 309. Złp. 20.

29. Okolice Tarnoskały, przez Konstantyna F. Prawdzic Kalińskiego. 16ka. Warszawa. 1848. Druk Orgelbranda. Str. IV. i 214. Złp. 5.

30. Panorama wszystkich podróży naokoło świata i celniejszych do bieguna północnego, z francuzkiego przez tłumacza Historyi Podróży i Odkryć (W. Szymanowski). Z 12 rycinami i mapą. 5 tomów. 12ka. Warszawa. 1848. Druk Jana Jaworskiego. Tom I. str. 249. II, 248. III, 257. IV, 240. V, 267. Złp. 26 gr. 20.

31. Tygodnik rolniczo-technologiczny, poświęcony szczególnie praktycznym postępom gospodarstwa wiejskiego. Obejmujący:

gospodarstwo wiejskie i domowe, wychów zwierząt, rolnictwo..... redagowany przez Jana Nepomucena Kurowskiego. Rok trzynasty, część pierwsza i druga. 4ka. Warszawa. 1847. Nakładem Redakcyi, druk J. Kaczanowskiego. Kart 2, i str. 420. (Z ryciną.) Ztp. 24.

32. Wybór bajek i przypowieści oryginalnych i tłumaczonych, zebranych i wydanych z dawniejszych i tegoczesnych pisarzy polskich, przez T. Nowosielskiego. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1848. Druk H. Hirszel i M. Schindele, nakład J. Bernstejna. Tom I. kart 6 i str. 132. II kart 5 i str. 119. Ztp. 6 gr. 20.

33. Wykład początków Mineralogji i Geologji (sic), przez F. S. Beudant Członka Król. Akad. Nauk. Inspektora Jeneralnego Nauk i t. d. przetłozony i pomnożony przez Hieronima Łabęckiego. Tom I. Mineralogja. Str. XXVI i 297. Słownicza str. 16. Tom II Geologja. Str. XII i 351. Słownicza Str. 22. (Z mapą i kliszami w textcie). 12ka. Warszawa, 1848. Druk Strąbskiego, nakład Ig. Klukowskiego. Ztp. 24.

34. Wykład prawa karnego w ogólności z zastosowaniem kodexu kar głównych i poprawczych, z dniem 20 grudnia (1 stycznia) 1848 r. w Królestwie Polskiem obowiązującego, tudzież ustawy przechodniej i instrukcyi dla sądów, przez Franciszka Maciejowskiego M. O. P. Sędziego Trybunału, b. Pr. K. Prawnych. W końcu dodany jest abecadłowy spis przestępstw i wykroczeń, tudzież różnych przedmiotów prawa karnego dotyczących. 8ka. Warszawa. 1848. Druk Kom. Rząd. Sprawiedliwości. Str. XV i 542. Spisu kart 8. Ztp. 15.

## POZNAŃ.

35. Kilka słów o mierzwie, przez Z. P. 8ka. Poznań. 1848. Nakład Żupańskiego. Druk N. Kamieńskiego i Spółki. Str. VI i 42. Rejestru karta 1. Ztp. 2.

## WIĘDŃ.

36. Dokładny Słownik francusko-polski i polsko-francuski podług najlepszych źródeł przez W. Janusza. 16ka. 1848. Nakładem Ed. Winiarza we Lwowie, druk J. P. Sollingera w Więdnju. Kart 4 i str. 696. Ztp. 12.

## WROCLAW.

(Bez roku).

37. Pana Prawdzickiego z Wymysłowa dziwne podróże i przygody na lądzie i na morzu. przez niego samego w wesolem gronie przyjaciół opowiedziane, a przez jednego z tychże skreślone. 12ka. Wrocław. Druk C. H. Storcha i Spółki, nakład Zyg. Schlettera. Str. XII i 152 (z drzeworytami). Ztp. 6.

*Doniesienia literackie.*

## WARSZAWA.

Dramat J. Korzeniowskiego „Dama i dziewczyna” jeden z pięknieszych utworów tego pisarza, wkrótce wyjdzie z druku.

Druk dzieła „Wykład prawa handlowego” p. Szymanowskiego, już ukończony w jednym tomie. Tom ten zawiera do 50 arkuszy ścisłego druku wielkiego 8go formatu.

Nakładem G. Sennewalda z drukarni J. Unger wyszła powieść z pierwszych lat wieku XIXgo S. W. Grozy p. n. „Hrabia Scior na Ostrowcu”; w dwóch częściach.

R. Podbereski ogłosił w Petersburgu prospekt na nowy „Rocznik Literacki” z portretem Chodźki, autora „Obrazów Litewskich”.

Album malowniczego, wydawanego staraniem Hip. Skimborowicza wyszło już cztery zeszyty. Następne między innymi mieć będą: Podole, Elżbieta Drużbacka, Góra zamkowa w Wilnie, i t. d.

Z nowości muzycznych wyszły: Studya (Etudes), na pianoforte, ofiarowane Szopenowi, przez O. Kolberga, dzieło 14. Są do nabycia we wszystkich składach muzycznych Warszawy.

Ogłoszono prospekt na dzieło pod napisem: „Rys historyczny Zgromadzeń zakonnych obojęd pci, z stanami rycerskimi i orderami państw, w 3ch tomach, zawierając mających przeszło 260 kolorowanych rycin. Tom Iszy obejmujący 84 rycin z 168 figurami, opuści prasę drukarską w czerwcu r. b. Wydawcą tego dzieła jest O. Benjamin, prowincyał ks. Kapucynów w Polsce. Prenumerata na tom I wynosi złp. 36.



*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*



L. 1848. 135

Dziennik w obserwatorium  
 Długość dostawek wyniosła jest 377 stopni parzystych i bezwzględnie  
 była w dniu 1841-25-55 na wprost

Dzień	BAROMETR w milimetrach przegwaryjnych o 10		TERMOMETR o 10	
	0	10	0	10
1	757.2	757.2	17.7	17.7
2	757.2	757.2	17.7	17.7
3	757.2	757.2	17.7	17.7
4	757.2	757.2	17.7	17.7
5	757.2	757.2	17.7	17.7
6	757.2	757.2	17.7	17.7
7	757.2	757.2	17.7	17.7
8	757.2	757.2	17.7	17.7
9	757.2	757.2	17.7	17.7
10	757.2	757.2	17.7	17.7
11	757.2	757.2	17.7	17.7
12	757.2	757.2	17.7	17.7
13	757.2	757.2	17.7	17.7
14	757.2	757.2	17.7	17.7
15	757.2	757.2	17.7	17.7
16	757.2	757.2	17.7	17.7
17	757.2	757.2	17.7	17.7
18	757.2	757.2	17.7	17.7
19	757.2	757.2	17.7	17.7
20	757.2	757.2	17.7	17.7
21	757.2	757.2	17.7	17.7
22	757.2	757.2	17.7	17.7
23	757.2	757.2	17.7	17.7
24	757.2	757.2	17.7	17.7
25	757.2	757.2	17.7	17.7
26	757.2	757.2	17.7	17.7
27	757.2	757.2	17.7	17.7
28	757.2	757.2	17.7	17.7
29	757.2	757.2	17.7	17.7
30	757.2	757.2	17.7	17.7

## DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

*Luty 1848.*

Luty 1848.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza  
czyli w łuku 18°41'25",5 na wschód

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	
1	737.27	736.96	737.28	741.82	- 3.7	- 1.1	+ 2.1	- 0.7	96.
2	746.94	749.28	749.79	754.89	- 6.6	- 5.9	- 3.6	- 5.8	98.
3	760.61	762.15	763.41	763.81	- 8.8	- 9.2	- 6.0	- 9.7	100.
4	763.19	763.59	761.98	760.61	- 4.3	- 0.3	+ 0.7	- 3.1	95.5
5	758.83	758.07	752.88	751.40	- 5.4	- 1.3	+ 2.2	+ 1.3	85.
6	749.95	749.34	749.06	752.19	+ 1.5	+ 1.5	- 0.6	- 4.0	98.7
7	754.79	755.59	753.72	752.18	- 7.8	- 6.8	- 5.8	- 8.8	97.8
8	749.42	750.00	750.56	752.07	- 9.3	- 8.7	- 5.4	- 13.8	100.
9	751.06	750.77	746.15	742.72	- 14.8	- 12.6	- 9.8	- 5.7	10.0
10	739.46	739.07	737.64	737.55	- 4.7	- 2.6	+ 1.0	- 0.9	99.
11	736.17	736.28	736.37	737.01	- 0.5	+ 1.8	+ 2.2	+ 0.9	93.1
12	738.97	740.79	746.00	748.66	+ 1.3	+ 2.1	+ 2.4	+ 2.4	95.7
13	753.30	753.94	753.24	755.26	+ 0.5	+ 2.1	+ 3.3	+ 1.9	96.8
14	755.02	754.47	752.42	752.54	+ 0.8	+ 4.4	+ 5.3	+ 2.7	85.1
15	752.56	753.07	751.89	750.96	+ 2.1	+ 3.6	+ 5.1	+ 0.3	82.9
16	750.27	750.47	749.28	749.29	- 1.3	+ 0.8	+ 5.0	+ 2.1	89.5
17	749.36	749.78	749.61	751.06	- 1.1	+ 1.2	+ 3.3	+ 0.5	92.5
18	752.17	753.21	752.98	753.22	+ 0.3	+ 0.5	+ 0.6	+ 0.2	100.
19	751.42	751.16	748.69	745.56	- 0.6	- 0.2	- 0.6	- 1.1	95.9
20	744.25	744.03	742.45	741.58	- 1.2	- 0.7	- 1.1	- 1.2	98.8
21	740.61	741.12	740.41	740.02	- 2.5	- 0.6	+ 1.1	+ 0.6	98.8
22	740.24	740.20	741.25	741.62	- 0.4	+ 1.4	+ 1.5	+ 0.4	94.5
23	735.87	733.78	731.92	731.67	- 0.6	+ 2.1	+ 2.3	+ 0.8	93.5
24	732.26	733.56	734.37	733.06	+ 1.8	+ 4.1	+ 3.8	+ 2.5	95.2
25	736.74	736.80	736.36	736.22	0.0	+ 1.3	+ 6.6	+ 5.9	96.9
26	735.10	735.93	735.97	736.19	+ 4.9	+ 6.3	+ 7.9	+ 4.3	94.7
27	735.71	735.97	736.12	734.54	+ 3.4	+ 6.1	+ 7.8	+ 5.0	93.9
28	731.79	733.07	736.42	738.40	+ 6.7	+ 7.1	+ 7.9	+ 5.4	98.6
29	740.05	741.44	742.30	739.66	+ 3.6	+ 6.6	+ 6.7	+ 2.7	100.
Śre.	745.63	745.99	745.54	745.54	- 1°61	+ 0°09	+ 1°58	- 0°51	95.4

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>, +7  
względem południka paryzkiego.

Dnia	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dę- szczy	śnie- gu
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1	pr. pochm.	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pn.	1.0	
2	napót pog.	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		0.2
3	pochmurny	mgła	chm. podz.	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
4	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
5	smugi	napót pog.	napót pog.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	0.3	
6	dészcz drob.	dészcz	śnieg	pochmurny	Z.	Z.	PnW.	Pn.	10.4	
7	pr. pogodn.	pogodny	pr. pogodn.	pr. pogodny	Pn.	PnZ.	Z.	Z.		
8	pochmurny	napót pog.	napót pog.	pogodny	PdW.	PnW.	W.	W.		
9	pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
10	napót pog.	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
11	pochmurny	chm. podz.	pogodny	pr. pogodny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
12	chm. podz.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.	0.2	
13	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	napót pog.	Z.	Z.	Z.	Z.	0.3	
14	pochmurny	pochmurny	napót pog.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
15	pochmurny	napót pog.	pogodny	pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	PdW.		
16	pogodny	pr. pogod.	pogodny	smugi	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
17	lekkie chm.	smugi	smugi	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.		
18	mgła	mgła	mgła	dészcz dr.	Z.	—	—	Pn.		
19	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PdW.	Pn.		
20	śnieg drob.	pochmurny	śnieg b. dr.	pochmurny	Pd.	Z.	Pd.	Pd.		
21	pr. pogodn.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Z.		
22	pr. pogod.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.		
23	napót pog.	śnieg	pochmurny	pr. pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.		
24	smugi	dészcz	dészcz	dészcz	PdZ.	Z.	Z.	PdZ.	3.6	
25	śnieg	mgła	dészcz	pochmurny	Z.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
26	pochmurny	pochmurny	napót pog.	dészcz	Z.	Z.	Z.	Pd.	3.2	
27	smugi	dészcz drob.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Pd.	1.2	
28	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.1	
29	pochmurny	napót pog.	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pd.	1.6	
Śre.									23.9	0.2

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.72	27	6.575
Najwyżej dochodził — d. 3 o g. 10 w.	763.81	28	2.494
Najniżej — — d. 23 o g. 10 w.	731.67	27	0.346
Średnia zmiana dzienna wysokości barom.	4.379		1.941
Największa zmiana dzienna d. 12—13 o g. 10 w.	14.33		6.351
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających	4.719		2.091
Średnia temperatura Lutego wynosi: i ta jest niższa o od stanu normalnego tego miesiąca z 22 lat poprzedzających	750.439	27	8.666
Najwyższa temperatura d. 28 po połud.	— 0°.113 C.	—	0°.09 R.
Najniższa — d. 9 zrana	3.29 „	„	2.69 „
	— 3.40	„	— 2.72 „
	+ 9.37	„	+ 7.5 „
	— 14.75	„	— 11.8 „

(Termometrograf wskazał

Maximum: + 7.°5 R. d. 28 po połud.

Minimum: — 11.°8 R. d. 9 zrana).

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.45	„	1.56	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 9—10 o g. 4 w.	10.8	„	8.64	„

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 95.4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 5.14 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o  $\frac{1}{100}$  większa jak zwykle.

Wody z deszczu i śniegu spadło wysoko na 24,1 mill. czyli 10,68 lin. par. to jest tyleż co zwykle.

Dni pogodnych było 4; napół pogodnych 7; pochmurnych 18.

Dni deszczu 11 (d. 1, 5, 6, 12, 13, 24, 25, 26, 27, 28, 29).

— śniegu 5 (d. 2, 6, 20, 23, 25).

— mgły 3 (d. 3, 18, 25).

Wiatr panujący był zachodni; częste były także: południowe i południowo-zachodnie.

Wichrów zachodnich było 2, z tych jeden d. 28 był nader silny.

Luty r. b. był łagodny, ciepły, wilgotny, o 2,63 stopnie R. cieplejszy jak zwykle. Pierwsze dziewięć dni przy wysokim stanie barometru były mroźne, także i dni 19, 20, 21; inne siedemnaście dni, a osobliwie sześć ostatnich przy wietrze zachodnim były ciepłe. Co do pogody miesiąc ten był takiż sam jak w stanie normalnym. Deszcze lubo często padały, były jednak nieobfite. Śniegu bardzo mało spadło.

D. 8 po południu koło białe otaczało słońce.

D. 10 i 13 obręcz biała otaczała księżyc.

D. 26 o godzinie wpół do 5 wieczorem dwa słońca boczne widziano.

D. 28 o godzinie wpół do 3 po południu lody na Wiśle pod Warszawą ruszyły.

W tym miesiącu wiele plam na słońcu było widzialnych.

# BUDNIK.

OBRAZEK

PRZEZ

*Józefa Ję. Hruszewskiego.*

---

(Dokończenie).

## XV.

Stary Bartosz siedział dotąd w miasteczku, ale rzeczy powoli zmieniać się w jego sprawie poczynają. Pomocnik niespodzianie poróżnił się z żydem Bramkiem.

Zatém śledztwo w skutek nowych jakichś zeznań i wziętych poszlaków tajemnie przerabiać się zaczęło. Zwołany znowu Maciej, który gotów był pod groźbą i łukiem powiedzieć co się komu podobało na samego nawet pana Boga, zeznał, że konie nieochoybnie przypro-wadził Bramko, że ojciec je chciał oddać Pomocnikowi, gdy na drodze został schwytany, że żydzisko wreszcie przez zemstę tylko (bo stary Bartosz kradzieży jego prze-chować nie chciał) sam piérwszy zrobił fałszywe donie-sienie.

Prawda łatwo się bardzo popiera, tysiące więc dowodów na wzmocnienie tego zeznania znajdować poczęto. Jeden stary Bartosz tak się uparł w swoim dumnym i pogardliwym milczeniu, że trudno mu było nawet łagodnością usta otworzyć.

— Dlaczegoż? — odezwał się starzec poważnie— wprzódys pan tak nie postąpił, oszczędzając mojej starości, wstydu, cierpienia, które mi życie skróciło, a sobie zgryzoty na duszy?

Pomocnik zaczął się wymawiać, zaczął coś przewracając papiery paplać, gryźć cybuch w gębie, pluć, kręcić się, popijać gorzałkę, zakąsywać śledziem, i na tém się skończyło.

Bartosz rozpowiedział nareszcie całą historją. Sprawę więc na tém stanęła, że ojca i syna miano wypuścić na porękę, gdyby się tylko świadectwa ich uczciwości przeszłej znalazły.

Właśnie téż wszystko teraz składać się poczynąło jak najlepiej.

Od wzięcia Bartosza, w lasach które zamieszkiwali Mazury dawał się czuć brak tego naczelnika, który nie mając żadnej władzy nad bracią, największy przecież na nich wpływ wywierał. W początku może wszyscy radzi byli, że surowe oko i usta surowe, co ich nieraz karmiły, na czas się od nich oddalą; ale wkrótce poczuli dotkliwie jak im starego Bartosza brakło: ni kogo się poradzić, ni komu poskarżyć, ni leczyć i pocieszać nie było.

W niedzielę zejść się jak się schodzono do jego chaty na posłuchanie o starych czasach nie było gdzie. Kilku młodzieży wybierało się na flis, a tu umowy z żydami zrobić i kontraktu dopilnować nie było komu; inni

chcieli pójść belki w sąsiedni las ciosać, ale zabrakło także Bartosza, coby za wszystkich o warunki się z żydem rozmówił. Jeden i drugi zaczęli mówić:— O! źle nam bez starego! Taki co źle to źle.

— I taki nie godzi się żebyśmy go w biędzie opuścili; wszak on nas każdego i nieraz ratował.

— A jakbyśmy pomyśleli?

— Cóż my wymyślim?

— Czyżto już niewinnego poratować nie można?

— A gdybyśmy się złożyli?— dorzucił jeden pocichu.

— Tak! jakbyto było z czego!

— Porzućcież! znajdzie się, aby wola tylko. Tu skórka lisia, tam kilka zajęczych, gdzieś może i łosia; u tego trochę masła, u drugiego niepotrzebne ciele. Żebyśmy chcieli, znalazłoby się posprzedawawszy z czego złożyć jaki grosz.

Wielu wprawdzie niebardzo na to przystać chciało, ale gdy się starsi na to zgodzili, drugim już było wstyd, i niejeden odwiązał z brudnego węzła zachowany groszyk z westchnieniem składając go do kupki.

W chacie pana Marcina, niedaleko Bartoszewej budy położonej, zesli się wszyscy w sobotę, i tam przy kieliszku (bo Marcinowi na to stało, kawał bowiem pola obrabiał, a syna miał co mu służąc dworsko dopomagał potroszce) poczęli się naradzać, komu pójść do Pomocnika.

I trzech starszych a wymowniejszych i śmielszych, ofiarowało się do téj ciężkiej postugi.

— Wszystkoto dobrze— rzekł jeden po naradzie— ale jak starego da Bóg uwolnią a do domu wróci, da libóg nie wiem co będzie.

— A co ma być?— mruknął inny.

— Albo go nie znacie? O córce nie wie, a jak się dowie, nie zniesie tego lekko.

— Ba! alboż to on pierwszy!

— Nie chciałabym też być na miejscu Pawłowej! — mruknęła gospodyni.

— O! bieda jej będzie!

— At! wylazłszy z gorszego kłopotu.

— Coto wy gorszym nazywacie? Pan Bóg wie co gorsze! Niewinnemu nigdzie się nic nie stanie, a i tu sam Bóg nie poradzi na takie nieszczęście.

— Oj! prawda pani Marcinowa! Ależ taki, gdyby stary powrócił, toby coś pomyślał.

— Córka oszalała; dwór pomaga, ale to nie na długo: potem przyjdzie golizna i nędza. — A!

Zamilkli. Marcin pokiwał głową i węża pokręcił.

— Wszystko taki — rzekł — lepiej żeby gospodarz był w domu.

— Tylko mu na razie nie mówcie o tém.

— Musi już wiedzieć.

— Nie! nie! Któżby się zaś odważył z tém do niego przystąpić.

Długo tak jeszcze gwarzyli budnicy, aż gdy wódki i zakąski niestało, pobrawszy z kąta strzelby, bez których ruszyć się nie mogą, pocałowawszy się z gospodarzem, a żonę jego z kolei wszyscy w rękę, rozeszli się umawiając kto do miasteczka z Marcinem miał iść, o miejsce i godzinę.

Nazajutrz rankiem, w borsuczych torbach, nowych łapciach i białych koszulach, ale bez strzelb, trzech wysłańcy spieszyli do pana Pomocnika.

Na kraju lasu, przyłączył się do nich przypadkowo idący czwarty (był to niedziela), i tak gwarząc powoli

pociągnęli się ku miścinie, której szary kościółek, białą cerkiew i czarne domostwa, zdaleka widać było.

Nielatwoto w dzień targowy dostać się do tak wysokiego urzędnika, jakim jest w miasteczku pan Pomocnik. Tysiąc interesowanych drzwi jego oblegają; i teraz właśnie tak było. Żydzi, szlachta, obywatele pomniejsi, wieśniacy ze skargami i pobojem, parochowie z pozdrowieniem, wszystkoto napełniało dom, sień, podwórze dworku, na którego czole wisząca tablica, oznajmywała mieszkanie pana Pomocnika. Na baryerach, na ziemi, pod płotami, pełno było czekających ludzi, na ławach w ganku Izraelici, u drzwi kupa żołnierzy odstawnych.

Pomocnik tymczasem weselił się w gronie dobranych przyjaciół i szanownej połowicy jak on równie wesołej w towarzystwie, i lubiącej tę wesołość czerpać nie tak w sercu które często bywa próżne, jak raczej w butelce, która zawsze pełną być może; zwłaszcza, gdy tylko o napełnienie jęj okowitą chodzi.

Na kanapie odartęj, wysiedzianęj i kulawych krzesłkach, zasiadali dostojni goście, w których gronie pierwsze miejsce zajmował w nowiuteńkiej węgierce z kapszukiem u pętlicy, ekonom pana Jana. Rozmawiano o różnych zajmujących przedmiotach, o umarłym nagle soldacie, o zabitym żydzie, o skradzionych koniach. Wódeczka krążyła po raz trzeci czy czwarty przed kielbasą, którą nareszcie zadość czyniąc powszechnemu oczekiwaniu, wniósł na obitym półmisku służący w nowiusieńkich łapciach. Byłto pokojowiec gospodarza. Posiłkowała go w usłudze, rozdając szczupłą ilość krzywych widelców między gości, kucharka dziwnie brudna i utłuszczona, której nogi nie w obuwiu narodowém, ale w podartych trzewikach pani, na boso włożonych, po podłodze



szelepały. Goście rzucili się do kielbasy, której pożarcie poprzedzone było jeszcze raz wódeczką. Gospodarz bez ceremonii pierwszy sobie nabrał na talerz, a potem ręką wskazał półmisek żonie i gościom. W ostatku żywili się sosem z cebulą i chlebem maczanym, pisarz i kancelarya, składająca się z kosookiego, kulawego i łysego mieszczanączka.

Po śniadaniu i rozjechaniu się gości, których prosić na obiad zwyczajnie nie było, przystąpił usiadłszy na ławie w ganku Pomocnik z fajką do posłuchania przybyłych z prośbami, skargami i t. p.

Przyszła wreszcie kolej na budników, którzy z nieśmiałością przystąpili do ławki zajętej przez wysokiego urzędnika.

— No! a czego chcecie?

— My tu panie przyszli za Bartoszem Młyńskim.

— Czego?

— Prosić za nim.

— Hm! a gdzież prośba?— I popatrzał na ręce. Marcin wysunął się naprzód i całując w rękaw Pomocnika, wsunął mu *prośbę*. Ten ją z flegmą obejrzał, pokiwał głową i spytał dość łagodnie:

— A czegoż chcecie dla Bartosza?

— Ażeby Jasny Pan uwolniliście go. On nic nie winien, zaświadczą wszyscy, że uczciwszego chowaj Boże człowieka u nas nie ma. Cały wiek nigdy go nawet o nic nie posądzono.

— Hm! hm! Ja to i sam wiem, że on może nie winien, ale co chcecie? Prawo grunt! Był oskarżony. No! co ja temu winien! Ja za wszystko odpowiadam. To nie-małe *działło*. To *działło*. No, ale gadajcież, cobyście chcieli?

— Niech Jasny Pan uwolnią starego.

— Tak! uwolnić! Tu prawo grunt! Uwolnić! ba! Ja odpowiadam za niego przed gubernatorem! Wam się zdaje, że ja tu pan sam sobą, i że mogę co chcę.

— A tak JWPanie!

— A właśnie, że choć wiele mogę, bardzo wiele mogę, i prawie wszystko mogę, a jednak są takie rzeczy.... Bo widzicie, wy tego ciemni ludzie nie rozumiecie, że tu zakon ot dzieło!

Budnicy pokłonili się w milczeniu.

— I mógłbym uwolnić zresztą jeśli zechcę, ale kto za niego ręczy?

— My wszyscy.

— No! no! poczekajcież! namyślę się, namyślę. Pójdziecie do kancelaryi i pomówicie tam z moim sekretarzem...

Do wieczora przeciągnęły się starania; zmierzchem nareszcie wydany został rozkaz uwolnienia dwóch budników, z tém jednak, żeby się na zapotrzebowanie stawili. Strzelbę Bartosza zabraną w budzie, na ręce Marcina wydano.

## XVI.

Pospieżyli więc do więzienia budnicy, weseli i swobodni, że przecież raz skończyli to, co się im już nieskończonością wydawać poczynało. Bartosz jak zwykle leżał na słomie podparty na łokciu, gdy trzech wysłańcy, przyszli mu oznajmić uwolnienie jego.

— No, panie Bartłomieju— rzekł Marcin wesoło wchodząc—dzięki Bogu jesteście wolni.

Podniósł głowę.

— Ha?— spytał nie dowierzając.

— Wstawajcie i chodźmy ztąd; jesteście wolni.

— Doprawdy? — Zerwał się na nogi. — A! Bóg wam zapłać! — I wyciągnął rękę ku pierwszemu z brzegu. — Ha! ależ mi się zdaje, jakbym dziesiątek lat tu siedział. A Maciej?

— I Macieja uwolnili.

— Chwała Bogu!

W téj chwili wszedł i syn nieśmiało do izby, z krótką fajeczką w rękę, bo ta go już nie opuszczała ani na chwilę. Ojciec popatrzał na niego, łzy mu się zakręciły w oczach i cicho szepnął:

— Ciężka Boża kara, ale sprawiedliwa! Dzień się wola jego. — I silniejszym już głosem, odezwał się nakładając torbę. — No! chodźmy.

— A Julusia? a Pawłowa? — spytał na progu. — Coto jest, że żadna z nich nie dowiadywała się o mnie. Julusia zwłaszcza, moje ulubione dziecko. Nigdy się tego strapienia od niej nie spodziewał.

Budnicy zamilkli, w ich oczach wyczytał już stary ła-two, jakiś przestach i niepokój.

— Co się z nimi dzieje? — spytał znowu.

— A co! poczekajcie! Ot pójdziemy się ogrzać do Icka nad most, to tam wam wszystko rozpowiemy. Juściz nic tam, nic, nie frasujcie się.

To „nie frasujcie się” zachmurzyło czoło Bartosza, poszedł milczący, i ani słowa nie odezwał się już idąc przez miasteczko. W ulicy pociągnął całą pierś powietrza, spojrzął na niebo na którym połyskiwać zaczynały gwiazdy, otrząsnął się i szerokim krokiem dognał wyprzedzających go towarzyszków.

W karczmie na kraju miasteczka leżącej, w izdebce oddzielnéj, bo pierwsza wspólna wszystkim, zajęta była mnóstwem popiłych wieśniaków, przysiedli na ławach

budnicy. Kazano przynieść wódki, ale rozmowy nikt począć nie śmiał. Stary Bartosz ust nie otwierał, ci zaczęć go nie śmieli. Milcząc trącono w kieliszki z życzeniem: — Daj nam Boże dobre zdrowie — i powoli, powoli, gdy trunek w głodnych zaszumił, usta się otwierać poczęły.

— A co — rzekł Marcin — nie frasujciebo się panie Bartoszu. Ba! czyto mnie was uczyć i napominać! Wy to lepiej znacie jak sobie począć kiedy, i jak biędę klepać. A ot, chwała Bogu że jesteście wolni, to i zresztą także rady sobie dacie.

Bartosz milczał, tylko czarne jego oczy spoczęły przez chwilę na Marcinie, jakby z niego prawdę, o którą pytać nie śmiał, dobyć chciały.

— Mów!—odezwał się sucho — no mów! Nie obwijajcie mi, ja czuję już coś złego.

— Chodzi to po ludziach. Tak, musieliście już co i słyszeć?

— Mów!— silniej powtórzył Bartosz chwytając go za rękę, którą jak żelazem uścisnął. — Nie męcz mnie. Mów! Cóż? umarła Julusia?

— Ale nie! ale nie! Tak tylko... widzicie chora trochę... chora, ale...

— Chora tylko! a! dzięki Bogu! — rzekł wolniej odychając.—Tylko chora! no, to jeszcze nic! Tylko chora.

Marcin niezmiernie zakłopotany nie wiedział już co mówić.

— Dawnoż chora?—spytał starzec.

— Ona chora widzicie, i nie takto ona chora, bo...

— Ależ mówcie mi wszystko! Jak dawno?

— A jak ze dworu wróciła, tak potem...

Starzec zerwał się z ławy. — A! więc była i we dworze! poco była we dworze! poco? poco?

— Albo ja wiem! Widzicie, to stara pani nasza zlitowała się i wzięła ją była do garderoby; ale potem że to tęskniło, więc ją znowu z Pawłową do budy odesłali, i na budkach już jakoś zachorzała.

Bartosz wpatrywał się ciągle w oczy Marcinowi, który je spuszczał jak winowajca i dłubał coś około torby, dławił się i krztusił.

— Kłamiesz! — rzekł po chwili stary, znowu go porywając za rękę. — Mów! na rany Chrystusa!

— No! co mam cedzić po kropelce przez zęby! No co? ot wiesz to wiesz, a pocóż się pytasz? Ot bywał panicz, bywał, i... i — zwaryowała.

Ale jeszcze tych słów dokończyć nie pośpieszył, gdy Bartosz rzuciwszy rękę jego, popchnąwszy go tak silnie, że Marcin aż się zatoczył, pochwycił z kąta strzelbę, uderzył całym sobą we drzwi i jak strzała wyrwał się z izby i karczmy.

Wszyscy wybiegli za nim, ale w pomroce nocnej zniknął im zaraz z oczów. Marcin, Maciej i dwaj inni budnicy, co najrychlej najawszy wóz u wieśniaka, pośpieszyli do chaty Bartosza, chcąc go jeśli można uprzędzić, i upatrując, ażali go gdzie nie spotkają po drodze.

Mnóstwo wieśniaków powracało z targu, pełen ich był las, droga, grobla, i wśród tłumu ani podobna rozemnać starca. Najpodobniej też do prawdy, wprost przez lasy, bez drogi pójść musiał. W największej niespokojności dobili się już późno do Osikowego Ługu.

## XVII.

Stara chata Bartosza, którą on własnymi niegdy skłębcił rękoma, zmieniła się teraz bardzo, skutkiem częstego w nią pobytu Jana i troskliwości jego i podkomorzynęj, która o niczem nie wiedząc, przez miłosierdzie tylko, starała się opisać jej nędzne schronienie podnieść, czyniąc o ile było można wygodniejszém i schludniejszém. Przez nią przysłani cieśle dobudowali tu ganeczek do drzwi, drugą izbę z boku, część ścian otynkowano, wewnątrz oporzędzono, pobielono, dano podłogi, przywieziono sprzęty. Chwiejący stół i ławy usuniono do alkierza, gdyż na ich miejsce dane były wcale porządne, wzięte z oficyn stoliki i krzesła; u okien nawet czerwone okiennice i białe firanki zawieszono przez Pawłową, były podziwem braci budników. Pawłowa dostała także w dworze jakichś doniczek, któremi ubrała okna, starając się może temi dowodami dostatku i dobrego bytu, na przypadek powrotu Bartosza trochę go rozbroić.

Ale ona nie znalazła go wcale; starzec uczciwą nędzę miał za najpiękniejszy żywot w świecie, którego by za żadną ozłoconą i przybraną misternie podłosc nie miał. Dla niego cierpienie było czémś podnoszącém człowieka; bo je nieinaczéj pojmował, jak dopustem Bózym dla dobra i poprawy ludzkiej. Nieraz dawniej, gdy Pawłowa narzekała nieustannie i kwiliła, odpowiadał jej surowo i spokojnie: — Dajcie pokój! widać tak nam *sądzono!*

Nie wiem, czy kto zastanowił się nad głębokim znaczeniem tego pospolitego wyrażenia, Słowianom tylko właściwego: *sądzono*. Nie los więc ślepy, nie traf nie-

rozumny, ale sąd sprawiedliwy ludziom wydziela na co kto zasłużył.

Jestto dowodem, że my nie wierzymy w przeznaczenie, ale w rozumny kierunek rzeczy ludzkich; że nie wierzymy w *los*, ale w *Boga*.

Cicho było w chacie Bartosza, gdy Maciej, Marcin i dwaj inni budnicy, podjechali pod nią, nie śmiejąc już nawet wejść do dworku, którego powierzchowność coś nad mieszkanie budnika oznajmowała. Maciej pierwszy wyrapił oczy na ganek i przybudówkę nową, wołając:

— A to co? a to nie nasza chata! Zdaje się ma być nasza, a jakby nie nasza. A ot i pieniek podle płotu, o którego bywało zawsze się zawadzę. A cóż tu ten dworek robi?

— Cyt! cyt! to to panowie wam pobudowali.

— Za co?

Budnicy zamilkli. We dworku było cicho, a w oknach jasno; tylko głos urywany, srebrzysty, dźwięczny, w przestankach milczenia się odzywał, jakby pomieszany z płaczem. U płotu stał koń wierzchowy, kopiąc ziemię nogą.

Budnicy zajrzeli przez szyby, ale tu osłonki nic im dopatrzeć nie dozwoliły. Weszli więc do sieni, zapukawszy wprzód do drzwi. Wewnątrz, na przypiecku siedziała Pawłowa paradnie strojna i drzemała u kądzieli. Dalej, od ogniska oświetlona, pustą zdawała się izba, aż w samym dopiero kącie na ziemi, leżała Julusia z rozpuszczonymi czarnymi włosami, które dokoła jak płaszcz spływały; wśród nich biała, blada jak marmur twarz jej i oczy płonące ogniem dzikim świeciły. Ręce miała załamane, a nogi podkurczone. Jak dziecię senne wahała się na wszystkie strony, milcząca, z chmurném czołem,

zwisłą wargą, rozpiętą suknią, i potarzanym włosom; obok niej siedział Jan podparty na rękę. Nie było już zwawy hulaka, jakimiśmy go widzieli niedawno: zbladły, smutny, gniewny, zdawał się blizki tego szaleństwa, które z ust Julusi płynąc, sączyło się w mózg jego i serce. Ona mówiła pocichu przerywanym głosem:

— Jutro wesele, jutro! Wszystko gotowe we dworze, i jam gotowa. Tak, nic mi nie brakuje tylko wianeczka. A bez wianka ksiądz błogosławić nie zechce, pani matka wasza mnie odepchnie i ludzie śmiać się będą. Wianek powinien być koniecznie związany wstążką białą i kraśną. Biała wstążka to niewinność moja, a krwawa, to miłość, a zielone kwiatki, to moje nadzieje. Chodźmy Jasińku wiązać wianuszek na wesele; chodź, chodź! — I schyliła się ku podłodze, jakby kwiaty brała. — O dziw! dziwowisko! Co tu kwieciał! co tu kraśnego kwieciał! a co się po nie schylę, to mi od rąk ucieka. Pomóżbo mi. Ty stoisz jak trup! Aleś ty żywy. Daj mi rękę. O! ciepła jeszcze! Nie, nie, tyś jeszcze żywy.

Na te słowa weszli budnicy, a Jan zerwał się zawstydzony z ławy. Julusia obróciła oczy ku drzwiom i szepnęła:

— Nic to! to swaty!

Uśmiechnęła się, ale w téj chwili zobaczyła Macieja, który jęj rzeczywistość przypomniał. Zerwała się, podbiegła szybko ku niemu i zaczęła krzyczeć w obłąkaniu usiłując ukryć:

— Ratujcie! ojciec! ojciec! Al on mnie zabije!

— Dalibóg, wszak ona oszalała! — zawołał Maciej, biorąc się za włosy. — Aj! aj! ze wszystkiem się skręcili. Otóż tobie masz! Będą się tatulo tego gniewali!



Pawłowa przebudzona, nagle także obaczywszy Macieja, rzuciła się ku niemu niespokojna. — A co? zawołała — puścili was?

— A! całuję rączki! puścili.

— A! ojciec?

— Ojciec także wolny.

— Gdzież jest? idzie?

— Musić poszli na polowanie czy co, bo ze strzelbą — rzekł Maciej głupowato.

Wtém zbliżyli się i inni budnicy, i zaczęli opowiadać jak się to stało, że ich Bartosz porzucił nagle w miasteczku i uciekł nie wiedzą dokąd. Pawłowa pobladała, obejrzała się po oknach, zachwiała, potarła ręką po czołe i usiąść musiała, a raczej padła na przypiecek. Maciej tymczasem chodził po izbach i wszystko z ciekawością głupca oglądał: to siostrze obłąkanęj, to sprzętom nowym się przypatrując. I corazto czegoś nowego dojrawszy, uśmiechał się, weselił; naostatku wziął w rękę firanki i spytał:

— Pani Pawłowa, z pozwoleniem, do czego to te spodniczki; suszycie, czy co? — Ale nic mu nie odpowiesziano.

Jan był uciekł w pierwszej chwili tylnymi drzwiami, a Julusia upadła w kącie, nagarniając na siebie włosy, suknie, stoły, ławy i co pochwycić mogła.

Pawłowa słabła ze strachu wielkiego.

— To on tu niechybnie przyjdzie w nocy i ze szczętem nas powybijają jak pszczoły! rzekła łamiąc ręce. — A świadczę się wami, co ja temu winna. Ja głupiej dziewczynie ciągle mówiłam: — Ej dajcie pokój, bo to się źle skończy. A cóż, kiedy mnie nie słuchali. Teraz, ja wiem, wszystko spadnie na mnie. Tak, to jak kiedy

nieboszczyk mój potłukł się w téj nieszczęsnej karczmie, albo myślicie ja tam byłam? A taki zawsze mnie ostatnia bięda. Żeby tu było kogo zostawić, jabym do was poszła panie Marcinie, póki pierwszy ogień nie minie.

Marcin nic nie odpowiedział.

— Albo do was panie Ignacy.

Ignacy zmilczał.

— Albo i do was panie Piotrze.

Piotr odwrócił się żwawo.

— Oj! żeby nie noc, uciekłabym choć do dworu!

— Ale tu nie o was idzie moja matko — rzekł Marcin — ale o córkę, z którą źle być może, jeśli Bartosz bardzo do serca weźmie.

— A co on waryatce zrobi! — zawołała stara. — Jéjto lichu nie weźmie. A ja, jak Boga kocham, że ja niewinna, pieniędzy nie brałam, zawsze ją przestrzegałam. A co ja mogłam poradzić? Jak sobie posłali, tak niech się wyśpią. Ja ją raz wraz przestrzegałam: — Ej, ostrożnie, ej! będzie źle. — Ale to młode, a panicz taki i gwałtownik straszny..... i głowa się dziecku zawróciła, i zwaryowało to. Ale Bartosz i słuchać nie zechce, ja go znam. Ej! jeśli Boga kochacie, przytulcie mnie który, przytulcie!

Budnicy milczeli.

— Ale bójże się Boga pani Pawłowa — rzekł jeden nareszcie — a jakże wam to nieszczęśliwe, i tego, z pozwoleniem nie mówiąc złego słowa, głupca Macieja zostawić tak samych. Toćto nie do kogo należy. Oniż tak zostać sami nie mogą.

— A! zmiłujciez się, przynajmniej sami nie odchodźcie pod noc. Jakbyście wy byli tu, nietylebym się bała i o siebie i o nią. Ot! zostańcie.

— Z témżeto my tu i przyszli.  
— A! niechże wam Bóg płaci stokrotnie. Siadajcie, a zaraz i wódeczka i przekąska i coś na zęb włożyć się znajdzie.

Julusia leżała znowu w kącie, po gwałtownym przestrawieniu jakby odrętwiała i uśpiona. Głowa jej spadła na podłogę, czarne włosy tylko służyły za wezglowie. Otwarte miała oczy i usta, ale zdawała się nie oddychać, nie widzieć, nie słyszeć. Maciej stał nad nią i patrzył się zdumiony.

— To jakaś kiepska bardzo choroba!—mówił do siebie. — Co téżto za choroba? Święty Walanty czy co? Musić Walanty! Pani Pawłowa, zawołał, a możeby Julusie podnieść i na łóżku położyć?

— Nie ruszać jej, nie ruszać—krzyknęli drudzy wpatrując się zdaleka — tylko czém czarném nakryć, to się uspokoi.

Pawłowa pobiegła niewiele na to zważając do alkierza i zaczęła z niego wynosić co jej się nawinęło: począwszy od flaszki z wódką, aż do wędzonej kiełbasy; ustawiła to wszystko na stole i zaczęła zapraszać. Sama usiadła znów przy piecu i litując się nad sobą, płakała.

Budnicy nie dali się długo prosić; głodny lud, umiść jeść w strapieniu, we łzach, przy pogrzebie i narodzinach, w rozpacz i radości zarówno. Nigdy uczucie nie odejmuje mu głodu. Maciej jedném okiem na siostrę z politowaniem spoglądając, drugim upatrując co najlepsze kęski, częstował się jak należało.

Pawłowej wśród szlochów gęba się nie zamykała, bo i w głowie myśli latały jak czarownice w sabat.

— Licho mnie tu wniosło, jak pana Boga Kocham! Nie było mnie lepiej pójsć na służbę, albo do dworu,

gdzie ubogich radzi przytulają. Bartosz to taki stary waryat, gotów i zastrzelić i zabić. Wszak taki mówią, że ze strzelbą poszedł. No! a co ja temu winna; dziewczyny na pasku nie trzymać. Już kiedyś bięda! Kumie! kumie! odezwała się do Marcina. Marcin pełną mając gębę kielbasy, przybliżył się do niej leniwie.

— Radzcie mnie co tu począć? a to on mnie zastrzeli!

— I! może taki nie zastrzeli! Kto wie! może nie! Zreżtą co tu radzić? Rada nie pomoże.

— Oj! bo wy tak Bartosza nie znacie jak ja.

— Hm! calebz my to życie prawie przesiedzieli pod siebie.

— Otóż bo nie wiecie; my byliśmy wprzód na innych lasach, jeszcze u nieboszczyka łowczego, kiedy potaż palili. Lat to już temu garstka. Otóż wówczas...

— Tak! ale rychło się Bartosz ztamtąd wyniósł i już tu osiedział.

— No! ale posłuchajcie; coto było z młodych lat, to ja tylko wiem. I dlatego tak się boję. Choleryk straszny.

— Czegóż się tak boicie?

— Gorący człowiek, powiadam, choleryk! Wyto nie wiecie, jemu jak się co zamarzy, gotów na wszystko.

— Aby nie na złe, temuto nie uwierzę.

— Otóż i nie na dobre. Już ja taki co wiem to wiem. Dość, że to jemu nie pierwszyna awanturę zrobić. A potem mu i nieraz ciężko było w życiu i wzdychał i kawęczał: ale zrobionego nie odrobić. Co się stało, odstać się nie może.

— Ale cóż — bo się stało? spytał Marcin trochę ciekaw.

— A nie powiecie nikomu?

— A mnie to na co?

— Otóż zmiłujcie się tylko nie powtarzajcie. Ja przed wami jak przed ojcem rodzonym. Jeszcześmy wówczas byli w lasach pana łowczego i stary Bartosz i mój nieboszczyk razem. Nie wiecie bo, co to za człowiek był mój nieboszczyk! Jużto prawda, że czasami lubił z ludźmi uczciwymi podhulać, ta i podpić, ale co chcecie, taki człowiek człowiekiem. Ależ zato sprytny, a do wszystkiego do czego chcesz, a przewąchał bestya co się gdzie święciło i przez dziesiątą ścianę. Jakoś Bartosz z moim nieboszczykiem mało nie jednolatki byli, obaj nieżonaci, bo mój taki mnie jeszcze i nie zaznał. Aż tu matczyisko im stare umiera, jakoś w późną jesień przed Wszystkimi Świętami, ot i gospodyni w domu niestało. Nu, już taki jednemu trzeba się koniecznie ożenić. Mój był młodszy, o! i tęgi chłopak, jak Boga mego kocham. Ludzie poczęli im swatać nieboszczkę Bartoszwę młodą i śliczną dziewczkę; krew z mlékim, jagodkę, ale już była we dworze u nieboszczyka łowczego. Bartosz z początku nie zechciał, kiwał głową i nie smakowało mu coś, że to ze dworu, zwyczajnie. A no, jak zaczęli go namawiać, że stateczna, że dobra gospodyni, że uczciwa, a liczko taki gładkie było, tak się nareszcie odważył, ta i ożenił.

— Ale cóżto straszego pani Pawłowa?

— A no poczekajcie, no! To dopiero początek. Jużto że Bartoszwowa była piękna to prawda; bo i na mnie swego czasu ludzie mówili że była niczego, ale tamta to jak pani wyglądała. Więc że we dworze bywała, języka w gębie nie zapominała, a i w głowie się trochę przewróciło, i taki Boże odpuść, nie kochała Bartosza, a tak sobie za mąż poszła, że ludzie namówili. Świętą

prawdę mówię, nie dodaję, Bóg świadkiem. Po weselu tedy, aż tu Bartosz coś zmarkotniał, jakby go kosą podciął, a żonie zrobił się przykry okrutnie. Ta także sobie po nosie jeździć nie dała: co on jęć jedno, ona jemu dwoje, i taki osą w oczy. Aż i ze wszystkiem popstrykali się, ta i gadać do siebie przestali. Mój już się wówczas o mnie starał, a taki był sprytny, że zaraz dowąchał się, że to się źle skończy. I mówi bywało do mnie: Salusiu (bo taki Salomea mam imię) obaczysz, że tu z tego coś wyrośnie lichego. A ja na to nic, a on wiedział co mówił. Posłuchajcieżno tylko. Jeden drugi poczynają bąkać, że ze dworu jakiś gaszek do Bartoszewej udaje się, i jak bywało, nasi przy potażu dzień i noc, ona tam gościa przyjmuje, ta i dobrze. Doszło to do uszu Bartosza. Ale on jakbyto nic, aż jednej nocy znikł. No, nie ma, nie ma, myślą sobie, poszedł. A on nocą zakradł się i czychał. Nadjeżdża przyjaciel Bartoszewej, on jemu nic, puszcza go do domu, a sam w sieni zakrada się. Kiedy już sobie we dwojkę na łóżeczku siedli, ten wymierzywszy ze strzelby, a wzięwszy ich na cel, jak rznie, tak gachowi rękę tylko chwala Bogu przebił, a łaska Boża, żonie się nic nie dostało. Potem jak skoczy do nich, żona omdlała, ten uciekł okno wybiwszy. Jakoś się to potem pogodzili, ale nieboraczka z przestachu zachorowała i nędzniała jeszcze długo, aż po Macieju i umarła. Onto sam czuje, że jęć śmierć przyspieszył, choć niedarmo, bo taki dworka była i to jęć téż ponoś nie pierwszyna kochanie. Ale taki wszystko, za te głupstwo, człowieka ze świata gładzić niewarto.

Otóż widzicie, że ja się niedarmo boję; bo trzeba wam wiedzieć, że on córkę strasznie kocha, a nie bez myśli on ze strzelbą od was uciekł.

Marcin się zadumał.

— Jako— spytał— a za to przebicie ręki dworakowi nie było sprawy?

— Coto chcecie! to insze czasy były! A szlachcie i czuł że niedarmo dostał i panu Bogu dziękował, że się na tém skończyło. Bo taki nie umarł z tego, tylko zaklecał. Chodzi biédaczysko do dziś dnia za jałmużną; a pewnie go znacie: Jeremiasz.

— Jakże nie!

Przerwał rozmowę śmiech dziki, z którym przebudziła się Julusia z odrętwienia, w jakim leżała i powoli powstawać poczęła. Maciej pośpieszył do niej, Pawłowa i Marcin przystąpili także, a podniósłszy ją osłabłą z ziemi, położyli w alkierzu na łóżku.

Budnicy podjadłszy i zapiwszy wodą, pokładli się spać na ziemi, Maciej poszedł na znajome wyżki, prowadząc z sobą nieodstępного Burka swojego; Pawłowa tylko częstując Marcina, którego prosiła aby z nią został, trzęsła się ze strachu i krokiem od pieca ruszyć się nie śmiała.

## XVIII.

Koguty piałły już po północy, a wszyscy w chacie spali lub drzémali, łuczywo ciemno się dopalając trzaśkało na kominie, gdy szybki chód dał się słyszeć koło drzwi i sieni najprzód, potem izba otworła się z kolei.

Pawłowa, która się była z płaczu zdrzémnęła, chwyciła się równemi nogami, postrzegła wchodzącego Barto-sza i padła jak nieżywa na ziemię, wołając na głos:

— Nie zabijaj! nie zabijaj!

Budnicy rozespani popodnosili głowy z posłania, nie wiedząc co się to stało.

Starzec wszedł, popatrzał i popychając nogą Pawłową leżącą na ziemi z niejakiem obłąkaniem, zawołał ponuro:

— Precz gadzino! precz ztąd! niech cię oczy moje nie widzą! niech tu noga twoja nie postanie! Precz! uciekaj! lub....

Osłabły ze strachu Marcin, wypchnął natychmiast Pawłową za drzwi, obawiając się jak mówił później, aby Bartosz nieszczęścia jakiego nie zrobił.

Obejrzał się wkoło budnik, potoczył oczyma krwią zasłemi, westchnął i powolnie poszedł ku alkierzowi, wzięwszy w rękę łuczywo z pieca.

Gdy na progu ukazała się postać jego, uspiona jeszcze Julusia wstrząsała się, krzyknęła przeraźliwie i tuląc się pod koldrę, zawołała:— Ojciec! ojciec!

— Tak! tak! to ja dziecko moje! — ze łkaniem łagodnie odezwał się starzec — to ja! nie lękaj się biédna! Nie przyszedłem cię sądzić, ale pocieszać.

— A! zabijesz mnie! zabijesz!

— Julusiu! opamiętaj się, to ja!

Dziecię krzychało coraz mocniej, stary płakał wielkimi łzami, które mu grochem spadały na brodę. Rzucił ogień, załamał ręce i usiadł przy jój łóżku. Powolnie przyciągnął ku sobie jój głowę rozpaloną i ręce ostygłe. — Dziecię moje, Julusiu, nie obawiaj się. Wiém wszystko, tyś nic nie winna! ludzie Bogu odpowiedzą za ciebie, za mnie.

— O! jam niewinna! powtórzyła dziewczyna.

— To ja! ojciec z tobą, nie zbójcy i nie łotry, jakimi cię tu otoczyli bezemnie. A! nie ujdzie im to! Bóg świadek! O! nie przebaczę! Ale ty, tyś niewinna!



— Ojciec, ojciec! — odezwała się cichszym i spokojniejszym głosem — wy mnie nie zabijecie, jakżeście zabili matkę!

Starzec krzyknął boleśnie i ukląkł przy łożu.

— Boże! — zawołał — sroga kara twoja. Za brak miłosierdzia i przebaczenia, tyś mnie i dziecku nie przebaczył, tyś litości nie miał nad nami. Bądź wola Twoja! — Julusiu, chodź ze mną, pójdziemy ztąd daleko. Ja cię poprowadzę, a jeśli iść nie podołasz, poniosę, ale iść nam ztąd potrzebu! To miejsce hańby!

Na te słowa wyrzeczone prawie z czułością, z błaganiem i prośbą, dziewczyna powstała jakby ze snu, odgarnęła czarne swe włosy, i strumieniem dawno nieznanym łez, bo płakała suchemi dotąd oczyma, oblała powrót chwilowy do przytomności. Twarz swoją skryła w załamanych rękach.

— Chodź! chodź! dach to nie nasz! ziemia obca, cały dom skalany ich obrzydłemi podarkami! wszystko zmienione, cudze. Ustroili nas na świadectwo naszej hańby. Nie! ani chwili tu dłużej, chodźmy!

Julusia powstała nagle i jakby uprzytomniona powtórzyła: — chodźmy.

Wychodząc chciała wziąć na siebie nowe odzienie, ale stary precz je odrzucił i nogami podeptał, a zdięrając z siebie sukmanę, okrył nią drżące dziecko.

— To moje, rzekł, i czyste! Nic nie ma na tém prócz łez. Nic ztąd nie weźmiem, prócz iskry z mojego ogniska — nic!

I wyszedł z nią na próg pierwszej izby, w której rozbudzony Maciej i budnicy stali przypatrując się, słuchając i nic spełna co się działo rozumiejąc.

Dziewczyna ledwie się na nogach utrzymać mogąc, chwiała, słaniała, a szła za ojcem. Ten wziął głównie z ogniska i wyszedł milczący za próg. Wszyscy za nim na podwórze.

Tu opuścił na chwilę rękę córki i zatykając żar w słomianą strzechę świeżo poszytej szopki co obok stała, rzekł do Julusi: — Czekaj, niech oczy napasę pożarem!

Wiatr wkrótce rozdał płomień na dachu i posunął go na suche dranice domostwa.

W milczeniu zgrozy, podziwienia, przestachu, budnicy niezrozumiale coś między sobą szeptali, nie wiedząc co począć. Maciej tylko głośnawo mówił do siebie:

— Ale jakże się ślicznie pali! Ot! ot i chata! Taki się spali! Dalibóg się spali, a tam i kielbasy są.

Na wzgórzu stojąc, oświecony ogniem pożaru, z długą brodą, w jednej szarej koszuli, ze strzelbą na ramieniu, starzec poglądał na płonące domostwo, ale suchym okiem. Julusia osłabiona zsunęła się na ziemię, a w jej wejrzeniu znać było błysk powracającej przytomności. Niekiedy wlepiała zrenice w ogień, to znów w ziemię wilgotną na której spoczęła.

Rozdęty wichrem pożar, rozlecił się na dachu i zaglądał wewnątrz; w oborze ryczało bydło i rwały się becząc kozy, do których dym już zachodził. Czerwone blaski oświecały dolinę i las cały; ptastwo na gałęziach budziło się i świegotało.

Tymczasem i wczesny dzień letni, blade zarysowywał się na wschodzie. Starzec gdy pewien był, że domostwa ludzie uratować nie potrafią, bo całe płomienie objęły, pochwyił rękę córki i nie oglądając się nawet na syna, poszedł w las wielkim krokiem. Maciej po-

skrobał się tylko w głowę, ruszył ramionami i machinalnie pociągnął za ojcem. Burek za Maciejem.

Budnicy zostali milczący i osłupieni.

### XIX.

We dworze było spokojnie. Jan powrócił nocą i rzucił się na łóżko odprawując sługi. Ale sen odbiegł od niego daleko; rzucał się, kręcił, pił wodę i wino stojące przy łóżku — napróżno. Coraz to większa trawiła go rączka, większy nim miotał niepokój. Czego? nie wiedział. Sto razy powtarzał sobie: Cóż mnie ta dziewczyna ma obchodzić? Albożto pierwsza? Albożto tak wielka zbrodnia? Dam im co zechcą: nagrodzę, obdarzę, zapłacę.

A w sercu czuł przecie, że zapłacić nie był w stanie, że nienagrodzonego nagrodzić nie mógł, a na duszy wiecznie mu kamieniem występki ciężyc będzie.

— Głupstwo! powtarzał — głupstwo!

A przecież ani usnąć, ani się uspokoić nie mógł. — Oszalała! małoż szalonych na świecie? Cóżem ja temu winien. Lekarz mówi, że miała usposobienie. Tak jest, jam nie winien, usposobienie winno. Albożem chciał tego! A i to nawet przejdzie! to przejdzie!

Mogłaż ona myśleć, że ją pokocham, tak, że się wreszcie ożenię? Cha! cha! szaleństwo! Ja z nią! — I śmiał się sucho, straszliwie błyskając oczyma.

— Co mi tam! co mi tam!

Zaledwie się położył, ktoś do drzwi zapukał; wszedł służący.

— Panie!

— Czego chcesz i poco wchodzisz?

— Jakaś kobiéta, Pawłowa.

— Czego chce Pawłowa?

— Nie wiem panie.

— Zawołaj ją tutaj.

Stara wpadła drżąca i zapłakana.— Ach! nieszczęście! panicz! nieszczęście!

— Cóż się wam stało?

— Bartosz powrócił.

— I cóż z tego?

— A! i mnie wypędził i chatę zapalił, a sam z córką uszedł gdzieś w las.

— Z córką? w las?—powtórzył nieprzytomnie Jan.— No to cóż? niech idą sobie z Bogiem!

— Gdzież ja się nieszczęśliwa podzieję!

— Dadzą ci ką!—Skinął ręką.

— Paniczu, bój się Boga! — zawołała wychodząc Pawłowa — nie żartuj a strzeż się, on ci gotów co złego zrobić!

— On? mnie! — I Jan rozśmiał się, ruszając ramionami z dumą, pogardą i gniewem.

W tydzień pótém znowu zgraja była we dworze, znów hulanka u pana Jana i przyjaciół huk, bo ci na zawołanie, tylko świsnąć jak na psy. Znowu konie skaczą, znów szczekają wyżyły i gończe, butelki strzelają, panowie się śmieją.

Wśród tych gości wesołych, on chmurny choć się żywo obraca, choć mile mówi, głośno się śmieje, zachęca do hulanki, podsuwa kieliszki i wyżywa opowiadania obnażone a bezwstydne. Często w pół żartu wyrwie mu się westchnienie, potoczy dokoła oczyma, jakby kogo szukał, jakby się czego spodziewał albo lękał: zamilknie, siądzie i zamyśli się.

— Coto u licha Jasiowi?—dopytują się przyjaciele.

— A kat go wie! niezdrów może.

— On? daj Boże, aby moje konie takie zdrowe jak on były!

— To ta dziewczyna o której mówią, że z miłości dla niego oszalała, niepokoić go musi. Wszak o niej wiecie; ja ją widziałem, śliczna!

— Oszalała! Patrzcie! Ale boto on czasem zdaleko posuwa żarty. Więcie, mnie raz poszczuł chartami.

— Myślał żeś lis i niewiele się omylił.

— Ogona mu tylko braknie.

— No! no! dość tego! Wyz mnie prześladujecie, o Arystydesy!

— Co za erudycya!

— Patrzcie jak Jan dziko spogląda, to nie jest wzrok jego zwykły.

Jan się zbliżył, umilkli.

— A co? na polowanie?— odezwali się niektórzy.

— Chcecie? jedźmy!

— Jedźmy — rzekł Jan — każę wam konie posiadać, psy posmyczyć i z chartami.

— Cóż? po zasiewach?

— Co wam do tego! znajdę obłogi, a pójdzie zając w żyto, no, to i my za nim.

— Szalony!

— Co wam do tego!

Wydano natychmiast rozkazy, gdy służąca pani podkomorzyniej, która już dowiedziała się o polowaniu, przyszła od swojej pani przypomnieć, że to było święto uroczyste.

— Ale dajże mi pokój Nastusiu!

— Pani sama prosi pana!

Jan zamyślił się trochę, i gdy przyjaciele przyjmowali Nastusię otaczając ją kółkiem, on pobiegł do matki.

Naprzeciw nadchodzącego syna, który rzadkim był u niej gościem, podkomorzyna wyszła aż do sieni, i całując go w głowę: — Moje drogie dziecko, czy téżto prawda, że macie jechać na polowanie? Wszakcito uroczyste u nas święto.

— Kochana mamó, już po obiedzie.

— Jeśli chcecie koniecznie, czemużby nie jutro?

— Dla mnie, dziś, jutro, to wszystko jedno, ale moi panowie gwałtem się dziś napięrają.

— No! to Bóg z niemi, niechaj sobie jadą, daj im konie i psy, a sam zostań. Przyszędłbyś do matki, posiedzielibyśmy choć godzinkę razem, ja cię tak rzadko widuję!

— Moja mamó, ale toby było niegrzecznie.

Matka umilkła.

— A przytém — dodała uśmiechając się panna Tekla — wszak dziś wedle łacińskiego kalendarza nie jest święto.

Podkomorzyna nic nie powiedziała.

— Kiedy tak koniecznie chcecie.....

— O ja! nic a nic! przejadę się tylko, głowa mnie trochę boli.

— A widzisz moje biédne dziecię, możeby ci koloński wódki, alboby ogrzanie pomogło.

— Nie! nie! świeże powietrze, ruch! Dziękuję mamie.

I pocałował ją w rękę, matka go w czoło, i jak była zwykła, pobłogostawiła krzyżykiem. Jemu nie wiedzieć czemu łyż się zakręciły w oczach, uściśnęła rękę drżącą staruszką i zniknęła.

W dziedzińcu stały już konie, psy się rwały, a panie ujeżdżali swe wierzchowce, kręcąc wkółko po murawie. Jeden z nich krzyżącą Nastusią galopem obwodził po podwórzu. Podano Jasiowi karego, on skoczył nań, zażył ostro, i po przedzie całej bandy wypuścił co sił stało, gdzie oczy poniosły.

Podkomorzyna stała w oknie, żegnała długo i powtarzała do panny Tekli: — Byleby się mojemu robaczkowi co nie stało!

Wyprzedzając się, wrzeszcząc, zacinając konie, przeskakując rowy i płoty, młodzież leciała w pola, a polami ku lasom, brzegiem których stanąć miano, dla rozpoczęcia polowania, zastępując uciekającą zwierzynę od horu, do któregoby się schronić mogła.

Tylko co Jaś i towarzysze rozstawić się poczęli, gdy Jan, który pozostał sam jeden oczekując na opóźnionych, usłyszał szelest w pobliskich krzakach.

O trzy kroki od niego, z zaognionemi oczyma, stał Bartosz i trzymał go na celu.

— Nie rusz się, bo śmierć przyspieszysz sobie — zawołał szydersko. — No! przeżegnaj się i módl, daję ci chwilę póki tamci nie nadjadą.

Jan pobladł, zatrząsł się, dreszcz przebiegł po nim; domyślił się kto stał przed nim. Nadto był dumny, żeby w obęć śmierci nawet bojaźń miał pokazać; machinalnie szukał broni, ale jej nie miał.

— No! poleć duszę Bogu, jeśli ją masz, a spiesz się.

— Czego chcesz?

— Ja? twojej krwi!

— Za co?

— Nie wiesz! Na zmycie plamy, którą noszę, na nasylenie pragnienia, które mnie pali. Tyś mi odebrał córkę, ja tobie życie.

— Córkę? jam ci jój nie odebrał!

— Tak! tylkoś mi ją zostawił zhańbioną.

— Ja nagrodzę.

— Ożeniłbyś się?—Stary się rozśmiał okropnie.

Jan milczał.—Co chcesz? spytał.

— Twojój krwi! módl się, nie mam czasu! twoi nadzieżdżają! — W téj chwili strzał rozległ się głośny i blisko stojący już panicz zawołał: — A to co za głupiec strzelił?

Obejrzał się i zdrtwał.

Obłoczek sinego dymu unosił się o kilkadziesiąt kroków od niego nad miejscem gdzie stał Jan. Kary wierzchowiec swobodnie leciał zadarłszy ogona, wierzgając, po polu skacząc. Na roli leżał Jan z rozdartą wystrzałem piersią, a krew buchała mu otwartemi ustami; obłąkane oczy niebieskie zataczał wkoło, a ręką bezsilną chwycił się coraz ku sercu.

W chwili wszyscy go otaczali.

— Coto jest? coto się stało?— pytali jeden drugiego. Nikt odpowiedziéć nie umiał.

— Do domu! do matki! — słabym głosem rzekł postrzelony.— Nie szukajcie winnego, ja sam winienem, to przypadek.

— Ależ nie miałeś strzelby z sobą?

— Owszem, miałem; nieście mnie prędjéj! prędjéj!

Wzięto natychmiast Jana na zielone z gałęzi nosze i powolnie szalony orszak co dopiéro ze śmiechem i swawolą przez wieś leciał, powracał z spuszczoną głową i chmurném czołem do domu, wiodąc za sobą śmierć.

Podkomorzyna z panną Teklą nieszczęściem wyszły były na przechadzkę właśnie w tę stronę, z którój Jan omdlały, krew lejąc po drodze, powracał.



Pierwsze oko matki ujrzało niepojęte w początku skupienie młodzieży, wracającej pieszo i tłumnie a tak rychno do dworu.

Serce matki zabiło. Mimo wieku i osłabienia podbiegła żywo, i bez przygotowania niespodzianie trafiła na widok, który ją przytomności pozbawił. Padła omdlała, obejmując rękami nawpół tylko żywego syna.

Nikt nie pytał, nikt nie tłumaczył co się stało. Ludzie otrzeźwiwszy nieco mdlejącą bezustannie, ponieśli ją na rękach do domu. Wszyscy słudzy pospieszyli za lekarzami do miasteczka, ale krew obficie wylewająca się ustami postrzelonego, dla nieświadomych zdawała się niechybną bliższej śmierci oznaką. Droga którą niesiono Jana, dziedziniec, łoże, pokój, młodą tą krwią tak marnie przelaną zbroczone były. Podkomorzyna leżała w gorączce i spazmach.

Większa część przyjaciół przestraszonych, lękając się odpowiedzialności, zapytań, dochodzeń urzędowych, natychmiast niby za lekarzami powynosiła się cichaczem. Dwóch tylko czy trzech odważniejszych pozostało.

Nocą dopiero nadjechał lekarz i ranę zaledwie wśród powszechnego popłochu obandażowaną opatrzył na nowo. Jan strzelony był o cal wyżej serca, a kula przeszła piersi na wylot i wyszła ponad lewą łopatką.

— Czy będzie żył? czy wyżyje?—pytali słudzy, dworacy, oficjaliści.

Lekarz choć głową pokręcał, ale nadziei nie tracił; nie ani tak, ani owak nie mówiąc. Co było koni, rozesłano za innemi doktorami. Tymczasem ekonom, rządca, pisarze i cała zgraja sług, o sobie pamiętając, na wszelki przypadek oczyszczała spichlerze, magazyny, stodoły

i wywoziła ze dworu, co tylko dało się pochwycić wśród zamieszania.

— A coto ja mam być gorszy od drugich — mówił ulubiony sługa Jana, pakując co lepszego z pańskiej garderoby i przeglądając szkatułki. — Czemuto ja nie mam się pożywić kiedy wszyscy biorą?

Wśród powszechnego rabunku, ledwie kto pozostał coby przy łożu pani i syna chciał siedzieć. Jak wszędzie, ubożsi tylko i biędniejsi wiernemi byli nieszczęściu.

Oslabiona, przerażona podkomorzyna w nocy znalazła siły, żeby się zwlec z łóżka do syna. Rozpytywała otaczających go, co było przyczyną tak strasznego wypadku; ale nikt odpowiedzieć nie chciał, i nikt też dokładnie nie wiedział. Jedni utrzymywali, że strzelba czy pistolet, który Jan zawieszony miał na sznurze, targnięty w pędzie wystrzelił; drudzy, że jakiś nieznajomy człowiek z lasu wyszedłszy, stanął naprzeciw Jana, powiedział do niego słów kilka, jakby mu coś wyrzucał, zmierzył w piersi i wystrzelił.

Wyrazy wszakże Jana, który w piérwszej chwili wołał: „To przypadek, nikogo nie szukajcie!” najmocniej dowodzić się zdawały, że baśń o owym człowieku była skleconą tylko.

— Któżby śmiał? ktoby mógł? — mówiła podkomorzyna — strzelić do tego anioła dobroci! Komu on zrobił co złego? mógłże mieć nieprzyjaciół?

Matka, która ani rodzaju życia, ani nawet najpospolitszych codziennych czynności rozpieszczonego dziecka nie znała, pojąć takiej zemsty nad niem nie mogła.

Między ludźmi pocichu wieść się rozchodziła, że Bartosz ojciec Julusi, strzelił do pana Jana. Dojeżdżacz który stał nieopodal zaklinał się, że go widział dosko-

nale, słyszał nawet że coś wprzód mówił, ale zrozumieć nie mógł. Matce nic o nim nie wspomniano. Rządca tylko natychmiast nakazał obławę w lasach, i sam z kilkunastą ludźmi polecał ścigać budnika.

## XX.

Był wieczór późny, a po lesie rozlegały się hukania i rozświecały łuny zapalonych na pobrzużu ogni. Bór dokoła opasywano strażami, które do dnia białego wartować miały. W dalekim ostępie, na zielonej łące, którą otaczały gęszcze nieprzebyte, wznosiło się wzgórze piaszczyste, porośnięte suchą trawą, mchami srebrzystymi, posiane igłami otaczających kilku sosen. Gdzieś niedziedzie żółta, biała lub różowa nieśmiertelniczka, podnosiła główkę bez życia, na tej darni martwej jak ona.

U podnóża wzgórzka, pod starą sosną palił się pień wyrąbany, w który nagromadzono smolnego łuczywa; kopcąc więcej niż oświecając i grzejąc.

W zwieszonych ku ziemi gałęziach drzewa, upleciony był szałas, przykryty poucinaną świeżo leszczyną, dębina, osiczyną i wonnemi warkoczami brzozy. U samego wniścia szałas błyszczała trocha rozpalonego ognia. Opodal od niego siedział zadumany z odkrytą głową, ze strzelbą nienabita obok na ziemi leżącą Bartosz, budnik, wpatrując się w ogień temi oczyma, które raz skierowane na jeden przedmiot, nie chcą zniżyć z niego, bo już niczego na świecie nie szukają.

Przed nim na gałęziach i rozesłanej świcie, bieląło martwe ciało umarłej Julusi, której twarz blada w czarnym warkoczach włosów, wydawała się jakby chustą pokryta. Przymknięte miała powieki, zawarte usta sine,

a ostatnim znakiem niedawno ubiegłego życia, było kilka kwiatów uczepionych na skroni. Obląkanie tylko mogło ją tak ustroić w godzinę śmierci.

Z drugiej strony umarłej, siedział Maciej, który strugał nożykiem łuczywo i do ognia przyrzucał. Z niejakim strachem poglądał na martwe ciało siostry, to znów na zdrewniałego ojca, który łzy nie ronił i słowa nie rzekł.

Choć dosyć daleko stały zwołane oblawy, huk ich aż tutaj dochodził, głosy aż tu dolatywały. Lecz prócz Macioja nikt ich nie słyszał.

— Słyszycie tatulu! — zcicha ośmiewał się niekiedy wybąknąć syn, a Burek też piszczał lub zaczynał wyc smutnie; ale jedno spojrzenie Bartosza zamykało usta synowi i pies podtuliwszy ogona uchodził skryć się w kątek za gałęzie.

— Coto będzie! coto będzie! — mruczał Maciej. — Jeśli ja wiem coto będzie, niech mnie kaduk porwie. Siostra umarła, ojciec gdyby słup nieprzymierzając, chata spalona, Ciekawości! ciekawości!

Wilcy zaczęli wyc w oddaleniu.

— Ot i to potrzebne — mruczał Maciej ruszając ramionami. — A ten Burek taki głupi swoim wyciem, gotów ich nam tu naprowadzić. — I syknął na psa.

Stary tymczasem rzucił się na kolana i modlił się, a modląc rozplakał i upadł na ziemię twarzą.

— Ot i tatulowi coś — rzekł Maciej. — Tylko ja co się podobno zostanę; ta i Burek, jeśli nas wilcy nie pojedzą.

Bartosz nareszcie podniósł łysą głowę, zwałaną piaskiem i ziemią, i zawołał:

— Módl się! Czyż i u grobu siostry, ani ci co w sercu zabije, ani łza nie przyjdzie. A Boże?

Macię posłuszny rzucił nóż, którym strugał łączywo i pokłękł, przeżegnał się bez omyłki i głośno jak dziecko poczał bez zająknięcia pacierze odmawiać, a skończywszy wszystkie ile ich umiał, przeżegnał się znowu i wstał.

— Już! — rzekł do ojca.

Ten ściągnął się tylko z ziemi podpierając ręką. — Do roboty! rzekł. Widzisz, że leży bez trumny, zrobim jej trumnę choć z dranic, niech nie wala się biędne dziecko bez pogrzebu. Do siekiery.

Straszno było patrzeć na tego starca, który podwajając siły rozpaczą i gorączkowym pośpiechem, ciął drzewo potężnie i odrzucał ogromne trzaski. Sam on miarę wziął na ciało córki, sam kierował robotą trumny, która w kilka godzin mizernie skleconą została. Uklękł starzec wyścielając ją mchem i nieśmiertelnikami, a potem napozór obojętny, postąpił ku ciału córki. Ale tu znowu boleść nim owładła niepokonana, padł na jej ciało i płakał.

— Dziecko moje! dziecko moje! — mówił głosem przerywanym łkaniem — takiżto ja dzień w mej starej głowie marzyłem dla ciebie! Myślałemże kiedy, że ci zbójca w lesie z kradzionego drzewa trumienkę ciosać będzie i na nieświęconej ziemi, krwią zmazanemi rękoma, zwiędłą zawczasu i obłąkaną nawet w godzinę śmierci—pogrzebie! O mój Boże! jedno chowam, a drugie, drugie! Bóg wie jak ono skończy! Żegnaj mi dziecko drogie, przynajmniej cię teraz ręce cudze nie dotkną; ja sam złożę cię na wieczny spoczynek, jak ty ojca położył i powieki mu przysypać miałaś. Zadługo żyłem, zadługo!

I na silne wzięwszy ją ręce, podniósł z ziemi. Naówczas czarny jej warkocz ogromny, rozsypał się aż na darni, i kwiatki z niego posypały. Ojciec uklękł i pozbiierał je

do jednego. Maciej patrzył z otwartą gębą i trochę się krzywił; zdawało mu się że zapłacze, ale na to zebrać się nie mógł.

I znowu podniósł ją ojciec, a powolnie stąpając, złożył ostrożnie w ubogiej trumience. Tu jak matka do snu w kolebce układa dziecko, ułożył jęj na krzyż ręce, głowę na czarnym warkoczu i pokrył zrywając z siebie czém tylko mógł, jakby ją od chłodu osłaniał jeszcze. Potém pocałował w czoło, i z ojca znów stał się grabarzem. Klęcząc zabił ćwieki drewniane trumienki, i szpary gęsto, starannie, suchym mchem pozaciskał.

Skonczywszy, wyszukał drzewo, które obciosał nakształt rydla i skinął na Macieja.

Domyślił się i on przecie, że dół kopać było potrzeba. Przy słabym płomyku dogorywających łuczyw, starzec żywo jakby pospieszał, oglądając się na wschodnią stronę nieba, odrzucał żółty piasek; obok syn czynił toż samo, ale powoli i niezgrabnie. Burek siedział przy trumience i wyl żałownie.

Na dzień się zabięrało, gdy grób był gotowy. I spuścili ją powolnie w nieznaną mogiłę, a ojciec piérwszy posypał senne oczy biédnej dziewczyny, garścią żółtego piasku.

I sypali mogiłę, sypali aż rozwidniało i rozedniało, a dzień był jasny na niebie i huk postępującej oblawy zewsząd słyszeć się dawał, gdy Bartosz wyciosawszy krzyżyk, wkopał go w głowach Julusi.

Maciej upadł na ziemię zmęczony. Starzec pochylał się tylko na grób i nieruchomy pozostał.

A ptaki świérgotały na drzewach i wiatr chłodny, orzeźwiający, powiewał i słońce podnosiło się jasne, rozpromienione, wesołe.



W parę godzin oblawa schwytała starca i syna, leżących jeszcze u mogiły Julusi; Maciej był usnął.

Bartosz dał się związać, zabrać i prowadzić w milczeniu; powiedział tylko kilka słów do rządcy, aby Macieja wypuścił, przyznając się od razu do całej winy. Jakoż nie wiązano nawet syna, którego znano z tchórzliwego charakteru i ograniczonej głowy. Ojciec odwrócił się parę razy za nim, sądząc, że pozostanie w lesie, ale instynktem jakimś Maciej razem z Burkiem, powłókł się krok w krok za prowadzonym Bartoszem.

### XXI.

We dworze kilku lekarzy otaczali łoże pana Jana i jego matki; ona także znów w gorączce i bezprzytomna leżała. Syn postrzelony, chociaż kula przeszła mu ponad sercem, nie był raniony śmiertelnie. Pomimo niebezpieczeństwa, mógł wyżyć i znieść ten postrzał, który o cal tylko niżej, byłby go trupem położył.

Ale napróżno pocieszano tém matkę, która zrozumieć nawet co jej mówiono nie mogła. Musiano wreszcie przenieść ją w lektyce do syna, aby go sama siedzącego zobaczyła i żywego; dopiero tym środkiem zdołano powrócić jej przytomność i zdrowie. Wprzód bowiem wierzyć nie chciała, że żyje.

Ale wzruszenie wielkie wstrzęsło do reszty słabym umysłem i osłabiło ją nadzwyczajnie; zestarzała nagle i straszliwie, zgrzybiała w dni kilka. Najmniejszy szelest, śmiech, odgłos, uderzenie drzwiami, hałas w domu, przerażały ją i nabawiały milejącym strachem. Drżała przed każdą nieznaną twarzą, a choć dotąd nie wie-

działa kto do jój syna strzelił, jakiś instynkt macierzyński kazał się jój wszystkich obcych obawiać.

Jan także innym powstał z téj choroby człowiekiem; z krwią wylaną z młodej piersi, którą opłacił szaty młodości i występki swój, ubiegło zeń wiele złego. Pierwszém staraniem gdy przyszedł do siebie, było uwolnić od wszelkiego prześladowania Bartosza. Z trudnością to wprawdzie przyszło, ale że Jan żył i sam się o to starał, dokazano że budnik oswobodzony został, wymagano tylko aby się z tych stron oddalił. Jan hojnie opatrzyć chciał potrzeby starca, ale ten ze wzgardą i gniewem ofiarę odepchnął. Rozsypane pieniądze po izbie zebrali świadkowie, a stary wziął tylko swoje strzelbę z kąta, i wyszedł słowa nie rzekłszy. Maciej i Burek pociągnęli za nim.

Nim liście z drzew opadły na mogiłę Julusi, znaleziono budnika skrzepłego na żółtym usypie, obok krzyżka, który oznaczał grób córki.

Maciej i Burek siedzieli ponizéj; jeden plół łapcie, drugi kawał suchego chleba ogryzał.

We dworze? spytacie jeszcze.

Wiele się tam choć powoli zmieniło. Nie ma już hučných jak przedtém zabaw, ani szalonej młodzieży, ani rozpasanych przyjaciół. Jan podstarzał i siedzi przy matce, której dwór oprócz panny Tekli, zupełnie nowy. Macieja zrobiono leśniczym, a Burek dotąd się za nim włóczy, i często mógłby sprawiedliwie uzalać się na niewdzięczność swojego pana, gdyby psy nie były daleko pocziwsze od ludzi, a nadewszystko cierpliwsze!

Prawda, że téż to psy tylko!



WIADOMOŚĆ

## O JANIE REGULSKIM

medalierze i rzeźbiarzu na kamieniu twardym.  
Zabytki tej sztuki w kraju naszym.

PRZEZ

*Edwarda bar. Roostawieckiego.*

---

**S**ztuka rzeźby na kamieniach twardych i drogich, gliptyka, lithogliptyka, u starożytnych jeszcze wysokiego i niemal niezrównanego dostąpiła udoskonalenia. Wyroby te częstokroć wykonywane są na kamieniu jednobarwnym, lecz daleko korzystniej odznaczają się na kamieniach o dwóch lub kilku warstach i kolorach, czy też plamistych, w których szczęśliwe użycie owych odmian, dziwny nieraz nadaje dziełu powab i samej roboty piękność wydatniejszą czyni. Zwykle używanemi kamieniami bywały zdawna: kryształ górny, jaspis, kalcedon, karniol, krwawnik, agat, a szczególnie onyks. Rzeźby zaś same robią się wklęsło lub wypukło, z których pierwsze w sztuce zowią gemmami, drugie kameami; a że tak jednych jak drugich najpiękniejsze wzory ze starożytności

pochodzą, przeto też pod ogólną nazwą antyków bywają objęte. Sztuka ta w wieku odrodzenia świetnie we Włoszech wznowioną została. W czasach następnych, w różnych krajach i z rozmaitem powodzeniem, nie przestała być uprawianą; atoli w czasach nowszych naśladowanie starożytnych wzorów w odlewach i mniej więcej udanych fałszerstwach, sztukach zlepianych, stało się przemyśłu raczej anizeli sztuki właściwój usiłowaniem.

W Polsce sztuka owa zdawna zamilowaną i uprawianą była. Przodkowie nasi w odległych już czasach nosili z upodobaniem pierścienie, sygnety, herbami i rozmaitemi rzeźbami przyozdobione; nadto, do bogatego stroju należały na złocistych łańcuchach zawieszone medaliony, różne wizerunki w rzeźbie wyobrażające. Świadczą o tém dowodnie dochowane starodawne przodków portrety, jak niemniej dotrwale grobowcowe posągi: widać na nich nieraz u rąk szeregi pierścieni, palce zakrywające. Do niedawna w jedynym zażytków krajowych zbiorze, oglądać i podziwiać przychodziło kosztowne tego rodzaju wyroby, jako cenne pamiątki po najznakomitszych kraju przodkach, troskliwie i umiejętnie zebrane i przechowywane.—Jeden z monarchów naszych, wielki sztuk pięknych lubownik i sam w nich doświadcający się, król Zygmunt III, obok malarstwa, muzyki i złotnictwa, zabawiał się takoz rzeźbą na kamieniu drogim. Zwykł był odrabiać własnoręcznie łańcuchy złote i do nich rzezane na kamieniu wizerunki swoje, które dobrze zasłużonym krajowi osobom rozdawał. Ozdoby te nie bezzasadnie uważać można w owym czasie, jako rodzaj znaków honorowych czyli orderów. Ktoby którą z tych pamiątek dochowaną dziś jeszcze posiadał, niechaj ją trzykrotnie szanuje i ceni: jużto jako ciekawą za-

bytek sztuki krajowej, już jako godło zasługi zdobiące niegdyś pierś znakomitego w przeszłości męża, już wreszcie jako niewątpliwy wyrób ręki króla sztuk zwolennika.— Inny monarcha równy sztuk pięknych miłośnik, większy onych zapewne znawca i w kraju krzewiciel, Stanisław August, obok tylolicznych a nader kosztownych zbiorów, posiadał piękny i wielkiej wartości gabinet antyków. Synowiec jego książę Stanisław Poniatowski, podskarbi wiel. litew. obdarzony wyższą sztuką znajomością i niepospolitym smakiem, zebrał także niemały zbiór antyków, nie szczędząc przy tak chlubnej usilności znacznych nakładów. Prócz wiarogodnej o tém wiadomości od współczesnych osób uzyskanéj, znajduje się tego poświadczenie Adama Naruszewicza, w Dzienniku Podróży na Ukrainę króla Stanisława Augusta r. 1787 odbytej, gdzie opowiadając pobyt królewski w Kaniowie, pod dniem 17 kwietnia tak się uczony biskup wyraża: „Po obiedzie za odejściem N. Pana do gabinetu, książę Jmć podskarbi bawił na sali gości ukazaniem kolekcji różnych kamieni kosztownych i rzadkich dla swojej starożytności i wybornego rznienia, którą sam król Jmć przed kilką duiami oglądał, z wielką patrzących satysfakcją” (wydanie z r. 1788 w Warszawie u M. Grölla, str. 228). Tenże pan w późniejszych czasach osiadłszy we Włoszech, zbiory swe nowemi nabytkami do znacznej zwiększył okazałości, a tak w Rzymie jak następnie we Florencyi, gdzie na schyłku życia zamieszkał, gabinet ten jego należał dla przyjezdnych cudzoziemców do celniejszych oglądu godnych ciekawości miejscowych. Inni podówczas panowie polscy, dzielili niemniej sztuki téj zamięłowanie. Przywożono z Włoch kosztowne onéj wyroby, czyniono tamże obstalunki. Piękny meda-

lion z wizerunkiem księcia prymasa Michała Poniatowskiego, rżnięty na onyksie przez biegłego florenckiego rzeźbiarza Santarellego, dostał się do zbiorów moich. Książę Michał Radziwiłł wojewoda wileński niemalym nakładem i z wielką rzeczą znajomością nabywał także antyki i miał ich zbiór wielce cenny. Inny amator, hrabia Michał Walicki, znany z osobliwych życia zdarzeń a szlachetnego obrotu dostatków, posiadał kolekcją równie zamożną; a jak z opowiadania współczesnych wiadomo, zbiory Walickiego król Stanisław August z szczególném upodobaniem oglądał.— W czasach ostatnich w Warszawie, zmarły przed kilku laty znawca i lubownik podobnych przedmiotów Antoni Czyżewski, przy bogatym zbiorze kamieni kolorowych, miał téż znaczną antyków kolekcją. Obecnie wpośród najrzadszych zbiorów wszelkiego rodzaju sztuk i starożytności pomników, doborowy zbiór rzeźb na kamieniach drogich posiada słynny takowych kosztowności zwolennik i znawca hrabia Franciszek Potocki.

Czyli zaś w sztuce rzeźby na kamieniu twardym dochowały upłynione wieki godne wspomnienia nazwiska artystów polskich, wzbudza to ciekawość i zasługuje bezsprzecznie na bliższe dochodzenie badaczy.

P. Ambroży Grabowski wyczytał w rękopiśmie Stanisława Sarnickiego pod nazwą Ksiąg Hetmańskich, że hetman Tarnowski chował jakiegoś *Janasza*, wielkiego pijaką, ale mającego szczególną zdolność, iż „ręką każdego umiał esfingować” i był sycerzem „co signity ryl” (Ojczyście Spominki, Kraków, 1845, I, 228).

Za rządów Stanisława Augusta, tyle w kraju naszym kunsztom sprzyjających, pojawił się w Warszawie

biarz na kamieniach drogich, który w tej sztuce wysokiego dostąpił uzdolnienia, i w niej obok najpiérwszych artystów zamieszczony być może. Powziętą o nim i o jego tworach wiadomość, skreślić zamierzylimy.

*Jan Regulski* przyszedł na świat około r. 1760 we wsi Marcinowie w dawném województwie lubelskiém, z rodziców szlachtetnego rodu, lecz niezamożnych. W dzieciennych latach okazał już pochop do rysunku i szczególną zgrabność w drobnych snycerskich wyrobach, któremi się zabawił. W czternastym roku życia wypracował misternie z pestki oliwkowej koszyk z gniazdem ptasząt, a to za pomocą prostego szczyryka i szydełka od haftowania. Ta robota ściągnęła uwagę dwóch światłych i w kraju naszym prawdziwych nauk mecenasów, braci Ignacego i Stanisława hrabiów Potockich, którzy wzięwszy młodzieńca w swą opiekę, po odbyciu nauk szkolnych, do Włoch dla doskonalenia się w sztukach wyprawili. Kilkoletni pobyt w krainie sztuk i artystów, umiał *Regulski* z całą korzyścią obrócić na obznajomienie się gruntowne ze sztuką, wpatwienie się w jej celniejsze pomniki tak starożytności jak świetnego onej w czasach późniejszych zakwitnienia. Oddał się pilnie nauce rysunku, a obrawszy sobie za wyłączny przedmiot rzeźbę na kamieniu twardym, ćwiczył się w niej u najlepszych ówczesnych artystów Rzymu, Neapolu i Florencyi. Usilności te jego uwieńczone zostały skutkiem najpomysłniejszym, gdyż wyniósł się do stopnia celującego artysty.

R. 1788 powrócił do swego kraju, przyjęty jak najchlubniej przez króla, sztuk pięknych osobliwszego miłośnika, który go zaraz w poczet swych dworzan zamieścił i hojnemi łaskami obdarzył. Niepospolity talent *Re-*

*gulskiego* w trudnej a mało dotąd w Polsce doświadczanej sztuce, zjednał mu więźność wszystkich znawców. Odtąd oddany zupełnie powołaniu artysty, pracował wiele i wykonał wizerunki króla i całej jego rodziny, tudzież wielu znakomitych owęj epoki osób; nadto, wyrzynał wiele głów i przedmiotów starożytnych, naśladowując w nich wiernie naczelnę z tamtych wieków wzory. Stanisław August zamysłając otworzyć w Warszawie akademię sztuk pięknych, i odpowiednią jej galeryą i publiczne zbiory, przeznaczał *Regulskiego* na dyrektora muzeum antyków. Zamiarom tym okoliczności przeciwnie stanęły na przeszkodzie, przeto r. 1792 mianował go król inspektorem mennicy warszawskiej. R. 1794 uległ *Regulski* przykreemu zdarzeniu, z którego przecie wyszedł bez skazy; wzmianka o tém w wiernym żywotu obrazie pominiętą być nie powinna. W chwili ówczesnego poburzenia się ludu w Warszawie i wynikłych ztąd żalosnych wypadków, obwiniono *Regulskiego*, jako jednego z burzycieli spokojności publicznej; przeto uwięziony i pod sąd oddany został. Lecz wyrok sądu kryminalnego z dnia 28 czerwca tego roku wydany, uniewinnił go i do wolności przywrócił. Treść tego wyroku względem niego brzmi jak następuje: „Co się tyczy *Jana Regulskiego*, zarzut, że w czasie tych rozruchów rozdawał między lud pieniądze, nie został wcale udowodniony, jako téż nie okazało się, żeby się miał z popełnionych tych okrucieństw chęlić; owszem widoczna, że do stawiania szubienic wcale pomocnym nie był. Dlatego sąd zupełnie go z uczynionego mu zarzutu oczyszcza i natchmiast z więzienia wypuścić rozkazuje”.

Po nastąpijących zmianach krajowych, z rozkazu króla pruskiego wezwany został *Regulski* r. 1796 do Ber-

lina, w zamiarze powierzenia mu dozoru tamecznego muzeum antyków. O nader pochlebném przyjęciu go przez króla Fryderyka Wilhelma II, świadczą ówczesne dochowane listy. Król pruski polecił mu podróż do Włoch, dla poczynienia tamże zakupów celniejszych dzieł sztuki do berlińskiego muzeum. Puścił się przeto w tę podróż, i niemały zapas nabytych obrazów i marmurów do Berlina sprowadził. Lecz za jego powrotem zmieniło się położenie; Fryderyk Wilhelm II już nie żył, następca jego wojną zajęty, pamięć o sztukach nadobnych na bok odłożyć musiał; a tak zawarte poprzednie układy z *Regulskim*, zatwierdzone nie zostały. Wrócił więc z nabytkami swemi do Warszawy i odtąd ciągle w niej bawił, w pracach nie ustawając. Śmierć nagła w dniu 28 lipca 1807 r., zaskoczyła go w sile wieku, bo lat 50 nieliczącego.

W pozyciu *J. Regulski* był nader ujmującym, żartobliwym i dowcipnym; łączył przystojną powierzchowność ze szlachetnemi przymiotami duszy. Dostał też powszechnego szacunku i życzliwości, a w towarzystwach wyższych chętnie i mile bywał przyjmowany. R. 1789 wszedł był w śluby małżeńskie, i pozostawił dwóch synów i córkę. Syn starszy przez króla Stanisława Augusta trzymany do chrztu, imię chrzestnego ojca otrzymał i przez niego towarzyszem mianowany został. Synowi młodszemu nadał ojciec imię Ignacego, pamiętny na doznane łaski Stanisława i Ignacego Potockich, których imionami nazywając synów, przelać w nich życzył wdzięczność dla swych dobroczyńców. Oba w dalszém życiu godnymi stali się ojca potomkami. Stanisław oddany literaturze, odznaczył się jako wierszopis; przekłady jego kilku tragedyj, grywane bywały na scenie warszawskiej;

atoli popadł w srogie kalectwo zupełnej utraty wzroku i zmarł przedwcześnie 1831 r. Ignacy poświęcił się stanowi wojskowemu, a jako oficer 2go pułku Legii Nadwisańskiej, odbył ówczesne wojenne wyprawy. W Hiszpanii dostał się do niewoli, w której doświadczył wraz z wielu rodakami najsroższych kolei dzięki nienawiści i okrucieństw rozjątrzonego mieszkańca. Kazamaty Tarragony i Palmy, odludna wyspa Cabrera, świadkami były wielomiesięcznych cierpień, grobem większej części jeńców. Pozostający przy życiu przewiezieni do Szkocji, w Dumfries przez półtora roku jeszcze więźniami pozostawali. Szczegóły tej całej niewoli wielce są zajmujące, wzbudzają rozczulenie nad niedolą, zgrozę dla okrucieństwa, i służyłby mogły za tło do niejednego drammatu. Są tych zdarzeń poszczególne opisy, do których odsyłamy ciekawych (Między innemi, co do pobytu w Hiszpanii, w Rozrywkach Umysłowych, Kraków 1841 str 158—172; co zaś do więzienia w Szkocji, Podróż do Anglii Krystyna Lacha-Szrmy, Warsz. 1828, V, 294—297). Po powrocie do kraju, Ignacy Regulski służył mu jeszcze z chlubą do końca żywota w cywilnych urzędowaniach.

*J. Regulski* zostawił po sobie bogate zbiory sztuk pięknych w obrazach, rzeźbie i doborze odlewów z celniejszych antyków z Włoch przywiezionych. Roboty jego rzeźbiarskie, z największych zalet przez znawców jednozgodnie cenione, rozproszone są dziś po prywatnych rękach. Wiele ich wywiozła na Litwę córka artysty pani Faustyna Worotyńcowa; niektóre natrafiać się dają w Warszawie. Wielką część pozostałości po *Regulskim* przechowuje tu troskliwie synowa jego pani Joanna z Rychterów po Ignacym Regulskim wdowa, przejęta chlu-



bną dbałością o zachowanie pamięci znakomitego artysty, a zacnem matki życzeniem wzbudzenia szlachetnych dążeń w własnych synach, widokiem dzieł dziada, pamiątkami jego sławy. Z tegoto tak blizkiego źródła uzyskane były główniejsze szczegóły, wiadomością niniejszą o życiu i pracach *J. Regulskiego* objęte. Cześć białogłowie co imienia i domu swojego sławę szanuje, co ceniąc wartość pamiątek i pomników chwałę krajowi przynoszących, umie one należnie uszanować, a od zatracenia chronić.

*Dzieła rzeźbiarskie Jana Regulskiego :*

*Stanisław August król, kilkakrotnie.*

*Inni członkowie jego rodziny.*

*Kilka wizerunków dawnych królów polskich.* Pierścień z kameą *Zygmunta Augusta*, na onyksie z podpisem rzeźbiarza, w zbiorach generała *Xawerego Kosseckiego*.

*August II król, na kalcedonie.*

*Tadeusz Kościuszko, kilkakrotnie.* Jeden na onyksie jest u piszącego.

*Ignacy Krasicki, książę arcybiskup gnieźnieński.*

*Fryderyk Wilhelm II, król pruski.*

*Jego małżonka.*

*Antoni książę Radziwiłł.*

*Grzegorz Ghika, Hospodar Wołoski.*

*Achilles.*

*Priam.*

*Annibal.*

*Omsal.*

*Pilades i Orestes.*

*August Cezar.*

*Murzynka, głowa na agat-onyksie.* Ta praca okazana słynnemu archeologowi *Denon* w Paryżu, za arcydzieło

sztuki przez niego uznaną była. Jest w zbiorze u pani Regulskiej.

*Neptun na rydwanie, na agat-onyksie.*

*Fenix, na agat-onyksie.*

*Ofiara bogom: świątynia do której dwanaście osób wstępuje. Rzeźba wkłęsa na karniolu.*

*Kapłan grecki niosący kosz kwiatów na głowie, za nim sześć innych osób. Rzeźba wkłęsa na kalcedonie.*

Wiele pomniejszych głów w rodzaju starożytnym, kilka rzeźb erotycznych w tymże stylu, i niektóre pieczęcie herbcew polskie.

*Popiersia czterech ewangelistów, na słoniowej kości.*

*Głowa Sokratesa, na drzewie.*

*Dwie głowy starców, z alabastru.*

Prócz tego mnóstwo odlewów z masy szklanej, białej, brunatnej, szafirowej lub czerwonej, tak z antyków jako téż dzieł własnych rzeźbiarza.

Z dzieł jego medalierskich znane są trzy pięknego wykonania medale:

1. Na pamiątkę położenia kamienia węgielnego kościoła Opatrzności roku 1792 (F. Bentkowski nr. 692, E. Raczyński nr. 543).

2. Na cześć księcia Józefa Poniatowskiego r. 1792, jako naczelnemu wodzowi przez wojsko ofiarowany, z napisem: *Miles Imperatori* (Bentkowski nr. 800, E. Raczyński nr. 587).

3. Ofiarowany generałowi Buxhöwden w hołdzie wdzięczności przez miasto Warszawę r. 1795 (Bentkowski nr. 810).

Uzupełniając wiadomość o sztuce rytowania na kamieniach twardych w kraju naszym, przydać należy, iż od przeszłego już wieku żydkowie polscy, zwłaszcza zaś

rzeszowscy i żytomierscy nabyli pewnej sławy za granicą z biegłości w robotach tego rodzaju, a szczególnie pieczętarskich. Zaletne o tém wspomnienie znajduje się w *Allgemeine deutsche Real-Encyclopädie, siebente Auflage, Leipzig 1827, X, 679.* — W Krakowie w początku naszego stulecia mieszkał na Kazimiérzu żyd w podeszłym już wieku będący, nazwiskiem *Szachna Aszer* z profesyi pieczętarz, który wyrzynał stęple stalowe do czterestu medalów sławnych Polaków, odbitych w mennicy wiedeńskiej nakładem ks. Michała Soltyka referendarza kor., dziekana katedry krakowskiej. Syn tego pieczętarza *Aszer Szachna* wyżej podniósł się w sztuce, wyrzynał na kamieniach drogich głowy na wzór antyków w rzeźbie wypukłej, z niepospolitą biegłością. Nabywał je tenże ks. Soltyk, i w zbiorach swych różnego rodzaju rzadkości przechowywał. *Aszer* syn, po wcieleniu Krakowa do Księstwa Warszawskiego nie znajdując tu odpowiedniego zatrudnienia, wyniósł się do Wiednia, gdzie używał niejakięj wziętości i powodzenia, jako w sztuce swęj znakomicie uzdolniony. W późniejszym czasie wrócił był do Krakowa, odwiedzając zamieszkałe tamże rodzeństwo swoje.—W Warszawie jest dziś biegły pieczętarz starozakonny *S. G. Ejchel.*

Pisałęm w lutym 1848 r.

## UWAGI

nad uwagami p. Tyszyńskiego: „O Pierwotnych  
Dziejach Polski i Litwy”, wydanych przezemnie.

Wielkim jestem miłośnikiem krytyki, lubię nią walczyć, i mile widzę, gdy kto nią wojuje ze mną: bo starcie się myśli z myślą, musi wywołać na jaw prawdę; a jeśli jej nie wywoła, przynajmniej da poznać światu, kim i czem jest krytykujący i krytykowany. A tak krytyka, powtarzam, miłą jest i być powinna nie tylko pisarzowi, lecz i każdemu, który miłuje prawdę. O ile wszakże krytykę lubię, o tyle nie miłuję połowicznych krytyk, które kończąc się na sprawozdaniu z czytanego dzieła zwykle niedokładnym, sprawiają krytykowanemu ckliwość, stawiając go w konieczności dopełniać na pół odsłoniętą, na pół ukrytą prawdę, i tak zmuszając, by znowu powtórzył, co już raz powiedział. W tém właśnie położeniu stawia mnie po raz drugi (1) p. Tyszyński, który napisawszy uwagi nad pismem mojem najnowszem (2), oderwał mnie przez to na kilka godzin od ważniejszych zatrudnień. Nie byłbym uwag żadnych nad jego uczynił

(1) Porównaj Bibliotekę Warszawską z r. 1841, tom II, 469, III, 104, i nastp.

(2) Pierwotne dzieje Polski i Litwy.

uwagami, i tylko wprost stronicie przebieżonego przytoczył dzieła, uprzejmie wezwawszy autora, ażeby je raz jeszcze, a dokładniej przejrzał; zważywszy jednak, że o ile ckliwości dla mnie, o tyle pożytku przynieść może praca takowa dla mojego pisma (gdyż powtarzana rzecz może się przez to lepiej wbić w pamięć, i czytającą dzieło moje publiczność stawić w możności wyrzeczenia łatwiej światłego o niem sądu), chwytam za pióro, ażeby tymczasem sprostować sprawozdanie o *Polanach, Lachach*, źródle, z którego wiadomość o nich wyczerpnąłem, nakoniec o *Litach*, które dorywczo p. Tyszyński uczynił. Reszta w miarę postępu jego uwag przybędzie, zaokrąglając tak w mowie będący przedmiot.

Uwaga pierwsza (1) w to godzi, że Boulanów Ptolomeusza ani można brać za Ligiów, ani ich też należy poczytywać za Polan, gdyż nie mieszkali na lewym, lecz na prawym brzegu Wisły (w państwie Sarmatów, które się Wisłą od Germanii odgraniczać miało), gdyż ci Polanie dopiero od Lachów, według Nestora nazwali się, gdyż dopiero po przyjęciu chrztu świętego dawne nazwisko Lachów na Po-Laków zamienili. Lecz najprzód Ligiów (Łęczan) od Polan odróżniłem w mém dziele (2), objąwszy pod mianem pierwszym tych narodowców, którzy po łąkach, pod mianem zaś drugim tych, którzy po polach mieszkając, rolę zajmowali się wyłącznie. Boulanowie owi mieszkali na lewym brzegu Wisły; gdyż według Ptolomeusza Geografii (3), granice sarmackiego państwa stanowiła od zachodu taż rzeka, tudzież klin ziemi leżącej między Wisłą a górami Karpackimi (Sarmackie-

(1) Biblioteka Warszawska, r. 1848, tom I, str. 575.

(2) 29 i nastp.

(3) Wyciąg z niej, obejmujący całkowity opis Sarmacji europejskiej z rękopisami najważniejszymi porównany, dał Szafarzyk, Starożytn. 955.

mi nazwał je Ptolomeusz). Tak też Tacyt opisuje granice Germanii a Sarmacyi, mówiąc: że od zachodu nie mają one stałych pewników, lecz góry tylko, lub wspólna bojaźń stanowi je (czyniąc dlatego niestalemi). Oczywiście więc, że i wschodnia dzisiejszego Wielkiego Księstwa Poznańskiego strona, wchodziła w granice tego państwa, i tak też granice te wyrozumiał Szaffarzyk. Jakoż źródło i ujście Wisły, tudzież koryto rzeki blisko tegoż płynące ujścia, stanowiło rzeczywiście granice sarmackiego władztwa; dalsze zaś koryto bynajmniej: szeroko bowiem na zachód rozciągały się poza tém korytem sarmackie granice.

Wydatne imię Polski (*Polonia*) ukazało się dopiero w Xtym wieku, lecz imię toż samo, według wymowy wcześniejszej, *o* na *u* zamieniającej, występuje w dziejach nie dopiero w Xtym wieku, lecz wcześnień (1), bo w wieku VIII istnieje ono u pisarzów i kronikarzy niemieckich, a po ustaleniu się nawet nad Wisłą nazwy *Polonia* (jak się o tém z 7 i 9 czyli najnowszego tomu kronik Perca przekonać można) dawne nazwisko czyli *Bolani*, *Pulani* nosi. To imię w przestworze wieków trwające, wykazuje dobitnie, że czytanie *Sulmi* jest mylne: bo po Ptolomeuszu trwa i rozszerza się *Bulanów*, *Pulanów* czyli, jak wyraźnie dawne powiadają kroniki, *Polaków* naród, o Sulanach zaś ani słyhać. Od *pola* nazwa ta nie może, według uwagi p. Tyszyńskiego, pochodzić, lecz od *Po* i nazwy *Lachi*, niby że Polacy są to po-Lachi, tak od polania ich wodą przy chrzcie św. nazwani. Atoli domysł ten dawno już wysmiali poprzedni pierwotnych dziejów rozważacze (2). W długie wie-

(1) Pierwotne dzieje 32 i nstpn.

(2) Polska średnich wieków I, 249 i nstpn. urywek kroniki w Pamiętnikach moich, I, 152.

ki odróżniano obiedwie nazwy; i kiedy Lachowie nazywali się sami Polan, Polaków mianem, przecież zagraniczni tak Słowianie jak i cudzoziemcy, pomnąc na dawny między obudwoma jedno-plemiennymi a różno-stanowem polskimi ludami przedział, nazywali ich i dotąd nazywają po dawnemu: przez Lachów stan wyższego obywatelstwa, przez Polan zaś lub Polaków rozumiejąc niższego rzędu obywateli. W tym znaczeniu dotąd obadwa wyrazy pojmują Serbowie (1), Turcy i t. p. Niegdyś bowiem nie z Polanami, lecz z Lachami (2) w polityczne wchodzili stosunki.

Gdy wciąż od Dniepru aż do Łaby idąc natrafiamy na Polan ludy, gdy obok tychże Polan znajdujemy wszędzie Łęczan, a przy nich Kraińców czyli Ukraińców (3), któż zaprzeczy temu, że lud rolniczy i pasterski brał swe nazwiska od pola, łąk, od ugorów czyli kraińców ziemi, za którymi nieprzyjacielskie, a znowu za temi tychże samych nazwisk słowiańskie mieszkały ludy? Któż nie uwierzy w dawność nazwiska, gdy ono już w drugim i ósmym po Chr. występuje wieku, i dalej się w długie ciągnie czasy (4)? gdy do niego w niepamiętnych już czasach ważne przywiązywano znaczenie? co w następnym artykule tego rozwinięciu wykazaniem będzie.

*Fal* jest wyrazu „pole” niemieckie miano, i gdyby piszący nad mojem dziełem uwagi chciał był zastanowić się nad znaczeniem napomknionych od siebie Wiktopba-

(1) Pierw. Dzieje, 66. Serpskie narodne pjesme Wuka Karadzicza, wydanie nowe, porównaj III 48.

(2) Ze szlachtą.

(3) Do tego com powiedział w Pierw. Dziejach, dodaj *Paluczan* czyli Łęczan między Wartą a Notecią, a za tą rzeką Krainian, czyli Ukrainian.

(4) Pierwotne Dzieje 32.

łów, Tajfalów, byłby, z odniesieniem się do tego com tamże (1) o koczujących ludach a chwilowych rolnikach powiedział, osiągnął prawdy. Użala się, że nie wypisał mu o Polanach w zbiorze Perca mówiących kronik: jakby to trudną było rzeczą wyszukać ich według danej mu skazówki; jakby dlatego, bym mu oszczędził pracy, winienem był darcinnie powiększać już i tak wielkiej objętości dzieło.

Uwaga druga zwrócona jest na Lachów, którzy według niej nie mogli mieszkać pierwotnie nad Łabą, gdyż w pierwszych trzech wiekach, nie miało być żadnych śladów słowiaństwa na północy średniego pasa Europy. Jeżeli tak było, w cóż się obrócą Ligowie, których i p. Tyszyński za Słowian uważa, a którzy się aż w głąb dzisiejszej Pomeranii i Brandenburgii za Tacyta rozciągali? Niech się przy tém dobrze zastanowi nad tém, co o Germanach ze Strabona przywiódł, a sam odpowie sobie na uczyniony zarzut.

Powtarzając dawną piosnkę, wyprowadza Lachów z nad Dunaju, a powtarza na zasadzie tradycyi krajowej, iż Lechowie od południa przybyli. Rzecz się ma inaczej. Zkądby przybył Lech, o tém nie powiedział Boguchwała, wiedząc o nim to tylko, że przebywszy niezmierzone lasy, zawitał do Polski czyli do Wielkopolski. Dopiero Długosz wyprowadził go z południa i z Kroacyi przez Czechy do hercyńskich lasów, a ztąd do Gniezna przeprowadził; godząc tak zapewne krajową, nie wiadomo kiedy powstałą tradycyą, z Nestorem (2). Lecz właśnie

(1) Pierwotne Dzieje 196 i nastp.

(2) Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, iż w celu czytania Nestora i innych chronografów, w starości uczył się Długosz po rusku, na co wskazał Szlecer (Nestor russische Annalen II, 218), często niesprawiedliwie taje go za to, że bardzo dowolnie wykladał słowa, które o Lachach i Polanach niepewnie wyrzekł



Nestor powiada, iż kiedy Słowianie z nad Dunaju przybyli nad Wisłę, Lachami się przewali. A gdy przybywszy do nas przyjęli tę nazwę, więc jój z sobą nie przynieśli, lecz zastawszy u nas takową, przyswoili sobie. Zkądże się zjawiała Lachów nazwa nad Wisłą? Byłaż miejscową lub przyniesioną? Miejscową być nie mogła, boby się był pozostał jój ślad jakowy, przynajmniej w jednego powiatu, jednej okolicy nazwisku. Przyniesiona więc była, ale nie z Kroacyi, gdyż i tam nie była ona

ojciec ruskich kronikarzy. Mimo puściwszy to, zastanawiam się nad wywodem Lecha z za Karpat, i pytam, w jakim zamiarze zrobił Długosz wywód takowy? Domniemywam się, że to uczynił kwoli okoliczności, w których żył najznakomitszy ten z polskich kronikarzy, i myśl moję króciuchno nateraz objawię. Mniemam albowiem, że przez tradycją o Lechu chciał przypomnieć Polakom i Węgom stosunki, które ich odwiecznie wiązały. Wiadomo z Mateusza, że parci przez Wołochów (Celtów a następnie Rzymian) naddunajscy Słowianie przybyli nad Wisłę. Wiadomo z Porfirogenety, że wzajemnie z nad Wisły i za Wisłę przenosity się przed i zakarpaccie ludy. Wiadomo z kronik, że Madziarowie (zakarpaccich od X wieku najznakomitsi władcy ludów) wchodzili za pośrednictwem Chrobatów w stosunki z Polską (moje Pamięt. 1, 106 i nstpn. 146, gdzie dowody przywiodłem). Wiadomo nakoniec, że stosunki te trwały aż do śmierci Bolesława Śmiałego, który gdy w gościnie u Węgrów przebywając, miał z powodu swej dumy śmierć ponieść od nich (Gallus 115), to snadź sprawiło, że mitosć w Polakach ostygła ku Węgom, aż do czasu Władystawa Łokietka. Król ten poprzyjaźnił się znowu a nawet spokrewnił z Węgrami: skutkiem czego osiadł na polskim tronie Ludwik, a po nim Jadwiga; skutkiem czego i Jagiellończyk zasiadł na węgierskim. Postował Długosz na Węgry r. 1449, i wtedyto snadź wyrozumiał, czyli wyrozumianą mieć chciał tradycją o Lechu, w ten jak ją pojął sposób. Kończąc napomknieniem nadmieniam i to, że gdy z politycznych widoków zerwał odnowioną tę między Polakami a Węgrami przyjaźń Maciej Korwin (postanowił, że Polak nie może praw obywatelstwa na Węgrach nabywać, Matthi. etc. Decreta VI, 32, w Corpus juris. hung.), Węgrzyni przeciwnie odnowili ją sami za Leopolda I., wyciągając ręce do Jana III, ażeby ich z pod Niemców i Turków oswobodził (dotąd śpięwa lud zakarpaccy pochwały Jana Sobieskiego, Kollara Zpewanky I, 34).

pierwotno-miejscową (prosimy przekonać nas o błędzie), co i Nestor poświadcza. Że przybyła z Germanii, na to wskazuje tradycja pierwotna, przez Długosza jeszcze nieskażona; wskazują ślady wędrówki jój, przekonywając dostatecznie, że się od Łaby, razem z Lachami ku Gnieznu posuwała. Tu usadowiwszy się Lachowie nie uczyli języka spółplemienników swych Polan, bo ci tymże co i owi mówili, lecz nauczyli ich przywiązywać inne znaczenie do lechy; zkąd téż wtedy dopięro Lechowie jako kasta utworzyła się w naszym narodzie na sposób niemiecki, wbrew słowiańskim pojęciom, nie znającym dotąd wyobrażeń takowych; ztąd téż powstała szlachta, której nazwiska i takiego o niej jak się w Polsce rozwinęło pojęcia, nie miała cała Słowiańszczyzna, wyjąwszy Czechów, odwiecznie z Niemcami harmonizujących. Gdyby każdy Słowianin co na lesze siedział, miał być Lachem, toćby Lachów pełną była cała Słowiańszczyzna; atoli na uprzywilejowanej tylko lesze siedzący (jak nasze, stosując się do niemieckich o rycerskości wyobrażeń przepisywały prawa), Lachem, szlachicem był tylko.

Każę mi przytoczyć na to fakt historyczny, że z nad Łaby postąpili ku Wiśle Lachowie. Czyżem mu go nie przytoczył? Nie wywiódłemże na jaw Łazów, których sam autor za Lechów uważa; nie powiedziałże sam (1), że z Turynгии wyparci Słowianie szli na wschód? Czyż mu nie przywiódłem nazwisk, miejsc, gór, na wędrówkę Lecha czyli Lachów od Łaby ku Kruszwicy wskazujących? Piśmiennego i ówczesnego dowodu nie masz na to, ale są dowody miejscowe, tyleż co pismo, w wiekach, o których mowa, wiążące. Utrzymuje, że się sam

(1) Str. 500.

nie zgadzam z sobą co do epoki przybycia Lecha, raz w Vtym, drugi raz w VIIym, trzeci raz w VIIIym wieku bytność mu naznaczając; lecz co się piątego wieku dotyczy, to pana Palackiego a nie mój jest domysł. Ja stale twierdzą, że w VI wieku nastąpiły te przenosiny, a ciągnęły się aż do VIII, a może i później wieku. Przybywając zaś z nad Łaby Lachowie, tém samém przybywać mogli i od ludów w pobliżu téj rzeki mieszkających (1), siedząc między nimi pod nazwą Łazów (czyli Lachów), co właśnie jest dowodem na to, o co p. Tyszyński pyta (2).

W uwadze trzeciej zapytuje, na czém opieram mój dowód, iż z nad Łaby przybyli Lachowie? I odpowiada, że się jedynie na Długoszu wspieram. Nie Długosz mój źródłem, ale tradycja u Boguchwały zapisana, ale ubikacya, ale szlachecko-polskie prawa (3), długim łańcuchem nomenklatur i statutów krajowych spajająca polskich Lachów z Łazami germańskimi. Mimo postawionych mu dowodów, mówi p. Tyszyński, że go nie przekonał, iżby Leszkowie nasi byli przybylcami z Saksonii: w czém znowu wykrzywia prawdę, bo ja powiedziałem, że Lachowie przybyli z nad Łaby, i lechizm, czyli szlacheckość po niemiecku pojętą, spowodowali w Polsce: (4) a Leszkowie potomkami będąc tychże, porodili się na polskiej ziemi, z Saksonii nie przybywszy, a porodili się, częścią z przybyłych niegdyś lub przybywających do

(1) Pierwotne Dzieje. 35.

(2) Str. 581.

(3) Pierwotne Dzieje, 584 i nstpn. 362 i nstpn. 236 i nstpn.

(4) Ztąd właśnie wziętem podstawę twierdzenia: iż nadwiślańscy Lachowie od nadtabańskich poszli, czyli stanowić swą mieli. Co pan Tyszyński str. 579 o niesposobności do uprawy germańskiej ziemi mówi, mniemam, że tego i zbijać niewarto.

nas Lachów, częścią z krajowców, w poczet uprzywilejowanych, podobnie jak przybyłcy Lachowie przyjętych (1). Nie wierzę ja więc temu, ażebym go nie miał przekonać, i dopiero wtedy uwierzę, gdy łańcuch ów, którym Lachów i Leszków powiązałem z Polską, zerwać potrafi. Również zrazu autor Bibliograficznych Ksiąg Dwoje nie wierzył temu, com w rozprawach po pismach peryodycznych porozsiewanych powiedział o Lachach, aż uwierzył wreszcie, i powtórzył: „że nazwa Lechitów ma początek w nazwaniu pewnej klasy ludzi czyli stanu, że ci Lechici ścisłym wiążą się węzłem z germańskimi Łazami, mają własność uprzywilejowaną, lud zaś nie miał takowej” (różnicę tych własności nie wykazał dostatecznie). Zastrzegł sobie tylko, ażeby mu wykazać i przekonać go o tém, „czy nazwa Lachów stała się i kiedy nazwiskiem narodu?” tudzież nadmienił, „iż owe o Lechów stanowości odkrycie, nie ja lecz Szafarzyk zrobił (2).” Odgadłem te pytania, nie mając ich jeszcze zadanemi sobie (3), i odparłem je tą uwagą: że Lachów nazwa była nazwiskiem państwa nie narodu w czasach przed-Piastowskich, że nazwisko to, jako napływowe a nie ludowe czyli miejscowe, znikło z ustaniem władania Lachów, podobnie co Scytyi, Sarmacyi, Germanii nazwa; gdy przeciwnie ludowe nazwy Łęczan, Kujawian, Mazowszan i t. p. do dnia dzisiejszego istnieją.

Niegdyś nawet Lechii nazwa nie istniała; albowiem Mateusz mówiąc o pierwotnych czasach, nie o Lechii, lecz

(1) Pierwotne Dzieje, 46 i nstpn.

(2) Polska średn. wieków, I, 259 i nstpn., II, 303 i nstpn. *Considerations* na samem czele.

(3) Pierwotne bowiem Dzieje Polski i Litwy wcześniej od Polski średnich wieków wyszły.

o Lechitach rozprawiał, dając do zrozumienia, że przed Piastami były po Polsce rozsiane drobne Lechitów władztwa, ale ogólniej Lechii nie było. Jakoż dopiero Kadłubek Lechii nazwiskiem mianował polskie królestwo, hierarchicznie nie zaś etnograficznie lub statystycznie nazwisko to wzięwszy, i w tém je niby znaczeniu pojąwszy, co niegdyś Ruś lub dziś wieśniacy serbscy pojmowali i pojmują Polskę, nazywając ją *Lechią*, *lechicką ziemią* dlatego, że Lachowie mieli w niej przewagę, że oprócz lechickich czyli szlacheckich nie było między udziałnemi Polanami i t. p. żadnych innych rządów, i że obecnie wyobraża sobie wieśniactwo serbskie, iż w Polsce dziś jeszcze trwa dawny stan rzeczy (1). *Polonia*, *Pulania*, nazywało się więc urzędownie polskie państwo już w X wieku, statystycznie nie etnograficznie (bo znowu różne polskie kraje miały różną miejscową swą nazwę), mianując się tak. Na pytanie drugie, czyto ja, czy kto inny odgadł po raz pierwszy Lechitów znaczenie, odpowiedziałem mu tamże, wykazawszy chronologicznie, że na kilka lat przed Szafarzykiem odgadłem, iż Lachowie stanem ludzi, nie zaś narodem byli kiedykolwiek (2).

Czwarta uwaga bierze na wzgląd Litów (3) „których nazwę (według twierdzenia autora) wywiodłem z podobieństwa głosek, a nie z kładiną; których styczność z Litwą na niczem nie oparłem, nie wykazawszy nazwy

(1) *Sic igitur Kazimirus*, Kazimiérz Sprawiedliwy, *fit Monarcha Lechia*. Kadłub. II. 43, wyd. Kown. *Lachy* jako kraj u Nestora często, *zemla Lechanska* w Serpskie narodne pjesme III. 48.

(2) Porównaj co mówię o Lachach, w Pierwotne Dzieje podług rejestru zajrzawszy, tudzież 164.

(3) *Liticiani* nazywają się oni nie *Litiani*, i ci wespół z innymi mianowani są żołnierzami rzymskimi, jak wyraźnie Jornandes mówi.

i stosunku tychże Litów do Litwinów, ani zewnętrznie ani wewnętrznie". Lecz i owszem wykazałem, że od Armoryki począwszy aż nad Niemen idąc, natrafiamy w dziejach pełno litewszczyzny w mitologii, narodowości i zgoła w tém wszystkiém, co wydatne cechy wszelkiego wykazuje ludu. Co właśnie wewnętrznie popiera mój pomysł, przemawiając do rozumu i serca silniej (zdaje mi się) od dowodów, stawianych na poparcie pochodzenia Litwy z kądiną. Zewnętrznie zaś stwierdza go sama nazwa, sięgająca odwiecznej starożytności, która z słowiańskim *ljud* spowinowaconą będąc, przeszła różne w językach starożytnych i średnio-wiekowych koleje, a przez którą zapelni się próżnia, w pierwotnych dziejach Litwy dotąd się rozpościerająca, skoro się dzieje te na takim samym oprą początku, na jakim się historia sąsiednich Litwie narodów wspiera. Rozumiem przez to drużynę narodowców, przybyłą do kraju, który właśnie od niej Litwą nazwał się, podobnie jak Lechia, Ruś, od Lachów i Rusów. Tradycya, która początkowe dzieje Litwy do przesiedlenia się nad Niemen takowej drużyny odnosi, tudzież nazwisko kraju napływowe nie zaś miejscowe, są węgielnym kamieniem, na którym budowę litewskich dziejów oprze, kto za daną mu przez nas skazówką nazwę Litów dalej rozwijać będzie. Byłbym nierozsądnym, gdybym jak p. Tyszyński mniema, wszelkie nazwiska, osoby, miejsca, w których się dźwięk *let*, *lit* przebija, odnosił do litewszczyzny: wtedy bowiem byłoby mojego wniosku to następstwo, iż gdziekolwiek dźwięk ten dałby się słyszeć, tam i Litwy pierwiastek upatrywaćby należało: i wtedy wpadłbym w tę samą matnię, w jaką wpadli ci, którzy Łazów Kolchickich z Łazami nadłabańskimi wzięli

za jedno. Ale mniemać, że nazwa Litwy ma powinowactwo z wyrazem *Liti*, i wysledzić, jakim wypadkiem spowinowaciła się z nim, jest pewnikiem, który w logicznym stosunku skutku do przyczyny zostając, i właściwą dlatego zasadę swą mając, może być kluczem do odgadnięcia nazwiska litewskiego kraju, a zarazem i do wysledzenia pierwiastku dziejów Litwy. Język jest tą zasadą, wyraz nim wyrzeczony jest owym pewnikiem, historyczne zaś przez różne narodów mowy przeprowadzenie owego wyrazu, i wykazanie, iż postać w której się nam objawił, pokazuje powinowactwo jego z tym a z tym językiem, jest kluczem odmykającym owe dotąd niewykryte pierwotne dzieje.

Wiém dobrze, iż się o to nie pokusi pan Tyszyński, bo nie ma po temu siły; lecz mniemam, iż się taki znajdzie, który rozwijając dalej myśl moje, wykaże dostatecznie, że nazwa Litwy nie miejscową, ale przyniesioną jest, wzięta będąc ztamtąd, gdzie odwieczny a pierwotnych narodów mowie właściwy wyraz *ljud*, nie przez *u* lecz przez *i* wymawiano; gdzie następnie ubrano go w postać nową, ze zbiorowego uczyniwszy mnogi; gdzie później, mnogą liczbę jego na zbiorową znowu nakręcając, utworzono pojedynczą liczbę, wbrew duchowi mowy pierwotnej. Jakoż tylko język grecki i średniowiekowy łaciński, pierwotny wyraz *ljud* wykoślawił i nakręcił go na liczbę pojedynczą: przeciwnie język Słowian i Niemców, zbiorowo używał go zawsze i używa, dwugłoskę *ju* w nim brzmiającą, już jako *u*, już jako *i* wymawiając. Ażeby w ten pewnik równą co w Lachów dano wiarę, na to potrzeba czasu. Ten, który w nim upatruje widok błąkającej się wyobraźni dziejowej, błąka się sam widocznie.

Wiadomo z dziejów, w jakim stanie byli Litwini i Czudowie, tak za czasu tworzenia się Jarosławowej Prawdy, jak i później. Gdyby byli na układ téjże Prawdy wpływali, byłiby zapewne takąż co Rusini głównie postanowili dla siebie. Gdyby się byli Czudowie nie pomieszali z Litwą, nie byłiby jak dzisiejsi Czesi, obcym i swojskim krajowy język nazywali. Gdyby Litwy nazwa nie była napływowa, nie byłaby się nad Niemnem tylko, lecz i na Żmudzi, w Prusiech, na Podlasiu, słyszeć dała. Lecz jakże to pojąć, że wydobywszy się z niemieckiej niewoli Liti, nietylko stanowość (1), lecz i upośledzone nazwisko swoje zachowali? z kądże jedynym w dziejach przykładem nazwali się od stanowości, zwłaszcza gdy każdy co wychodzi z kraju, tém samém stan swój utraci? jakże od stanu ludzi można wyprowadzać nazwę Litwy, gdy nie podają dzieje dowodów na to, ażeby się miał jakowy kraj mianować od mieszczan, szlachty, wojskowych? Pytania te sam sobie zadałem, zabierając się do napisania pierwotnych dziejów Polski i Litwy, i znalazłszy na takowe odpowiedź w pomnikach historii Niemców i Germanów, zapisałem ją w mojem dziele. Z uczynionych pytań przekonałem się atoli, że u nas nie dosyć pisać, lecz i przypominać trzeba tym co czytają, że uważnie czytać mają co im napisano. A więc przypominał im, gdy tak padło.

Jżeli Litwini feudalizmem niegdys od Waragów gnębieni, mogli następnie użyć go za narzędzie do gnębienia swoich i obcych (2), więc widać że im tak było wygodnie, i dlatego zapomniawszy o tém, co sami niegdys cierpieli, wrócili się do dawnego nałogu, tém bar-

(1) Litów za stan, nigdy zaś za naród nie uważam, jak mylnie twierdzi p. Tyszyński, Bibl. Warsz. 584.

(2) Pierwotne Dzieje, 330 i nastp.



dziej, gdy tak czynić musieli. Toż samo zastosuj do Litów, a będziesz miał odpowiedź na to o co pytasz. Jeżeli znalazłszy do tego usposobienie w narodzie na kasty odwiecznie podzielonym, zachowali swą stanowść Litowie, więc wniosek łatwy, iż tego wymagały po nich okoliczności, i że téż same okoliczności zatrzymać im ją dozwoliły; co tém łatwiej nastąpić mogło, gdy i to wiemy, że stanowść ta nie była wszędzie upośledzoną w Niemczech (1), i że Litowie owi nie mieli powodu wstydzić się jój przez to, iż miano Lita nosił i niewolnik; podobnie jak panowie polscy nie mieli przyczyny gardzić tytułem szlachcica, przez to, że się szlachcicem nazywał i najuboższy w Polsce ziemianin. Jeżeli normandzkich Ombronów przez urągowisko zapewne nazwali Niemcy i Słowianie żołnierzami-nożowcami (2), czyli Saksonami (3), a ci wcale się o to nie rozgniewawszy nazwę tę właśnie przyjęli, i nią siebie tudzież państwo swoje mianować zaczęli (4), czemużby i Litowie (może na przekorę, iż ich tak spółplemiennicy nadniemiejscy pogardliwie nazywali), zaprzecić się mieli swojego nazwiska? boć pewno z czasem żałowali tego mieszkańcy nadniemiejscy, że się Litom oddali w opiekę? i pozbyć się ich, ale zapóźno chcieli; jak żałowali Rusini, że się powierzyli Waragom, których odtąd, ale bezskutecznie, wrogostwa nazwą prześladowali. Toż samo miało miejsce w Polsce. I tu nie lubił rolnik i pasterz Lacha, z przekęsem wspominał go, a jednakże do niego lgnął (5).

(1) Pierwotne Dzieje 98.

(2) Jakoby rzezakami.

(3) Pokonali ich bowiem zdradziecko, wydobywszy ukryte noże czyli pałasze krótkie, które za pasem, obyczajem dzisiejszych nosili Czerkiesów.

(4) Pierwotne Dzieje, 28.

(5) Pierwotne Dzieje. 110.

A gdy Saksonia, gdy Lechia i t. p. mogła się nazywać od żołnierzy, od szlachty, któż zaprzeczy, że i Litwa od Litów nazwisko wziąć mogła? Że się utrzymała Litwy również co Saksonii nazwa, w niepamięć jak nazwisko Lechii nie poszedłszy: powodem tego był stan ludzi, który ją przy życiu utrzymał, zginąć jej nie dozwoliwszy.

Wychodząc z gołą ręką utracą swą stanowisko; wychodząc z bronią przy boku, łukiem na plecach, a pieniądze w kieszeni, nie utracą jej, ale i owszem zatrzymuje w nowej ojczyźnie. Tak niemiecka szlachta przesiedlająca się na słowiańską ziemię, tak słowiańska osiadując wpośród Niemców, nie utracala swojego stanu; tak i Litowie przybywszy nad Niemen, nie przestali być czem byli; na co jak mniemam, dowodów nie potrzeba. Żąda odemnie p. Tyszyński, bym mu wypisy z drukowanych robił książek. To zawiele! Pisać i uczyć, na to zgoda; przepisywaczem być, klaniać unieźlenie. Wolę raczej pożyczyc dzieł, ażeby sam powypisował z nich co mu potrzeba.

*W. A. Maciejowski.*

## Odpowiedź p. W. A. Maciejowskiemu.

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

Czyniąc kilka uwag w tém piśmie nad dziełem p. Maciejowskiego: *Pierwotne Dzieje Polski i Litwy*, a mianowicie nad pomyślanym przezeń systematem do dziejów zewnętrznych, nie mieliśmy bynajmniej na celu skłaniania samego autora do widzenia inaczéj swego przedmiotu. Nie mieliśmy, ani mieć mogliśmy; albowiem uważaliśmy to, iż p. Maciejowski przy rozbiorze każdego przedmiotu dotykanego przez siebie, patrzy zwykle nie na ten przedmiot, lecz na siebie.

P. Maciejowski nam nie przyzna, ale każdy książki jego czytelnik to przyzna, żeśmy ani mylnie, ani niedbale rozwiniętéj w niéj treści nie przytoczyli. P. Maciejowski nietylko ukształcił był sobie wyobrażenia o przedmiocie bez pewnéj podstawy, harmonii, lecz i te które ukształcił, w czytelników swych nie przelewał. W dziele swém najprzód umieścił text złożony z twierdzeń a priori, powody zaś i niejakié wyjaśnienia tych twierdzeń, dopiero w dodatkach, objaśnieniach, przypisach tu i owdzie położonych, rozproszył. Twierdzenia te, przytaczając treść książki, staraliśmy się poszykować kategorycznie, kłaść

wnioski obok powodów ich, staraliśmy się owszem wyrażać każdy pomysł autora tak stronnie, jakby był naszym własnym; w dodanych uwagach chcieliśmy ukryć ów zamęt, brak związków w pomysłach, stawiliśmy nawet w cieniu brak dowodów w twierdzeniach, mylność cytacji i t. p. i pod tym względem, jak dobrze wyraził się autor, uwagi nasze nad jego pismem były tylko krytyką *połowiczną*; nie wyglądaliśmy bynajmniej za to wdzięczności autora, lecz wyznajemy: nie spodziewaliśmy się wcale urazy.

P. Maciejowski zamiast odparcia zarzutów, których odeprzeć nie mógł, przy początku i w zakończeniu swęj odpowiedzi porobił nam zarzuty, abyśmy odpowiedzieli na nie także nie mogli; są bowiem bez treści, i tylko wyrazy niezadowolenia na nas miotają. Powaga lat i piśmiennych zasług, nie usprawiedliwiają zdaniem naszym tego środka, w jaki autor zwykle repliki swe odzieżwa, a który dla samego autora najbardziej jest bez korzyści. Ton mistrza nie stwarza mistrza; uciekanie się zaś przez autora czyniącego odpowiedź do dróg i dowodów niewłaściwych, jest wyznaniem: że zbywa mu na właściwych. Objasniamy wszakże bliżej szczegóły danej odpowiedzi.

Wskazując najgłówniejsze twierdzenia w piśmie autora co do dziejów zewnętrznych, powiedzieliśmy między innymi: iż autor niewłaściwie *Bolan Ptolomeusza* pomieszał z *Ligiami* Tacyty i lud ten po lewym brzegu Wisły osadził; Bolanie bowiem według Ptolomeusza byli narodem sarmaekim, Ligiowie germańskim; dodaliśmy przytém: że to nazwisko Bolan nie mogło oznaczać *Polaków*, nazwisko bowiem Polski nadaném zostało Lechii i okazało się w kronikach dopiero z wiekiem X.

P. Maciejowski w odpowiedzi swój cofa się wprawdzie i twierdzi, że Bolan nie miał za Ligiów; rzeczywiście jednak uważał ich wszędzie za jedno w swój książce, np. na kar. 30 gdzie mówi: „*gnieźnieńscy* Polanie owi Bolanes Ptolomeuszowi.” Gniezno zaś było miastem Ligiów, mającém świątynią Alcis, według autora.

Aby dowieść, że owi Bolanes znajdować się mogli na lewym brzegu, p. Maciejowski mówi: iż według Ptolomeusza, Sarmacyą od Germanii odgraniczał nietylko bieg Wisły, ale i przestrzeń ziemi ciągnąca się od jej źródła do gór sarmackich; że wreszcie mogły stanowić granicę źródło i ujście tej rzeki, ale nie stanowiło koryto. Pierwsza uwaga autora jest zbytęcną; Bolan bowiem wymienia Ptolomeusz między Wenedami, którzy siedzieli przy ujściu, a Awarynami, którzy siedzieli przy źródle rzeki Wisły; przestrzeń zatem od źródła tej rzeki do gór sarmackich ciągnąca się, nie mogła być ich mieszkaniem. Twierdzenie zaś: że Sarmatowie być mogli i na lewym brzegu Wisły, żadném świadectwem geograficzném nie jest usprawiedliwione. Pliniusz żyjący za wieku Tacyta, *Vistillus* do rzék germańskich zalicza (1). Geograf z tegoż wieku Pomponiusz Mela, mówi: „Wisła przedziela Germanią od Sarmacyi, która ciągnie się dalej ku południowi” (2). P. Maciejowski czytał oczywiście ten fragment geografii Ptolomeusza, który jest przy dziele p. Szaffarzyka *Starożytności* (jak to sam wskazuje) i gdzie jest opisanie granic Sarmacyi; ale oczywiście nie zajrzał do całości Ptolomeusza, a mianowicie do opisanie granic Germanii, gdzie geograf ten mówi wyraźnie: iż Germanią od Sarmacyi odgranicza Wisła, to jest „*koryto* tej

(1) *Plin. IV. 14.* (2) *Pomp. Mel. III. 4.*

rzeki od jej źródła do ujścia" (1). *Agattemerus* geograf z wieku IIIgo mówi także: „Germanią za Wisłą spotyka Sarmacya" (2).

Podobnie geograf z wieku Vgo, *Marcin z Heraklei*: „Germanią odgraniczają na wschód góry sarmackie, po tych górach źródło Wisły, po tém źródle sama Wisła aż do morza."

Tacyt nie tylko Sarmatów, lecz téż wspomniał i Finów, dalej na wschód siedzących, a jednak nie wspomniał Wisły; przyczyną tego było zapewne to, iż pisząc daleko na zachodzie, nie słyszał o tej nie mającej jeszcze imienia rzece, lub ją pominął: i Mela bowiem, jakkolwiek znał ją i za granicę od Sarmacyi uważał, nie zaliczał jej jeszcze w opisie rzék germańskich do głównych. „Amnium in alias gentium exeuntium, mówi, Danubius et Rhodanus, in Rhenum Moenus et Lupia, in Oceanum: *Amisium Visurgis et Albis Clarissimi*" (3). Wszakże nie o to idzie, jak uważał ludy germańskie Tacyt lub inni, ale jak Ptolomeusz. Geograf ten powiedział wyraźnie, jaką przestrzeń za Sarmacyą uważał, i gdy dodał: „mniejsze narody zamieszkujące Sarmacyą są: Gythonowie, Vulanie v. Bulanie" i t. p. powiedział jasno na jakiej ci byli przestrzeni.

Powiedzieliśmy dalej, iż uważać tych *Bolan* za *Wielkopolan*, nie byłoby z wielką sławą dla imienia tych ostatnich; liczni bowiem następnych wieków pisarze, jak *Jornandes*, *Prokopiusz*, geografowie zwani *Armeński*, *Raweński*, *Bawarski*, *Eginhard* i t. p. opisują szczegółowie

(1) Ptolom. II. 11.

(2) „Θης Γερμανίας μετα τον Ονισουλαν ποταμον εκεται η Σαρματια". *Agatemor. II. 4.*

(3) *Pomp. Mel. de Situ orb. III. 3.*

nazwiska ludów nad Wisłą, a nie wspominają nazwiska Polan. Kraj polski zdaniem naszym przyjął nowe nazwisko z wiekiem X, t. j. w którym się przerodził moralnie po przyjęciu chrześcijaństwa, w którym same otworne nowe stosunki z krajami cudzoziemskimi, musiały ustalić jakąś nazwę. Głównym powodem tego zdania naszego było i jest to: iż w żadnej kronice, żadnej geografii, w żadnym *Corpus Historicorum* i t. p. nie znaleźliśmy tego nazwiska *Polonia* przed wiekiem X (1). P. Maciejowski odpowiada nam na to, iż kroniki zbiorem Pertza objęte, mnóstwo mają wzmianek *Bulani*, *Pulani* i t. p. przed wiekiem X. Wiadomość zaś tę, jako główny dowód i podporę części swego systemu, po kilkakroć rzeczywiście zapisał był w *Dziejach Pierwotnych*; na karcie np. 29 tak mówi: „To nazwisko (Bolanes) powtarzają pomniki języka niemieckiego i kronikarze od VIII, jeżeli nie wcześniej począwszy, aż do X wieku i następnie. Dają go Bolauom, Pulanom, Polanom czyli Polakom, to jest właśnie temu samemu ludowi, który imieniem Bulanus nazwał Ptolomeusz; zkąd wypada, dodaje autor, ten wniosek: że wymienieni u greckiego ziemiopisca Bulanes, a w pomnikach VIII, IX i następujących wieków Bolanes, Polane, jednym byli z Polakami narodem.”

P. Maciejowski oświadczył urazę, żeśmy nie uwierzyli tym słowom, a żądali jaśniejszej cytacji, i odsyła nas do rejestrów siedmiu wydanych tomów kronik Pertza. Po-

(1) Pierwsi kronikarze nasi, zdaje się, nie myśleli nawet, iżby nazwisko *Polski* mogło powstać od *pola*. Galus mówi bowiem, iż Polska jest krajem lesistym, a Boguchwała sądził, iż nazwali ją tak łacinnicy (*Polonia*) a *polo arctico*. Ponieważ pierwiastkiem brzmienia *Polska* nie jest *pole*, wnieśliśmy, iż jest przyimek *po*. P. Maciejowski mówi, iż wywodziliśmy nazwisko *Polski* od *polania*, chociaż nie wzmiankowaliśmy nawet o tym wywodzie.

wiemy więc jaśniej: że nietylko rejestra, ale i wszystkie w siedmiu tych tomach wzmianki o *Polanach* czytaliśmy. Polacy, i Polska rzeczywiście nazywani tu są *Polonia*, *Poleni*, *Bolani* i t. p. ale ani jedna z tych wzmianek nie przechodzi za wiek Xty. W badaniu dziejów chcielibyśmy oglądać badanie prawdy; p. Maciejowski badanie to, oczywiście tylko za zabawkę pióra uważa.

Przeszedłszy w *Uwagach* do kategorii Lechów, powiedzieliśmy, iż autor nie przelał w czytelnika jasnego wyobrażenia historycznego o przyjsciu Lachów z Saxonii nad Wisłę; po trzykroć bowiem odmieniał historyczną datę tego przyjscia, i naznaczał je raz w wieku VIII, drugi raz w VI, trzeci raz w V. P. Maciejowski w swój odpowiedzi cofa się i mówi: iż mniema dziś, że to przyjscie było w wieku IX (dodał więc jeszcze czwarty wariant), a zaś twierdzenie o wieku V, że nie jest jego, ale p. Palackiego. P. Palacki nie mówił jednak o przyjsciu nad Wisłę Lachów z Saxonii, i p. Maciejowski użył twierdzenia tego nie w rozbiorze pism p. Palackiego, ale od siebie, w miejscu najbardziej twierdzącém, t. j. w opisie mapy chronologicznej. Oto są własne słowa autora: „Podług tradycyi, miał przybyć do Polski *Lech* czyli jak my to podanie wykładamy, mieli przybyć do Lugiów i Polan Lachowie. Stać się to mogło w samym początku VI wieku, na co naprowadza mnie ta okoliczność, iż gdy obok Lecha figuruje w owém podaniu i Czech, przeto albo razem z Czechami (którzy w drugiej połowie V wieku, r. 451 odznaczają się w dziejach) (1), albo tuż po nich pokazać się u nas musieli Lachowie” (300).

W dowód, iż nazwisko Lachów powstało nad Wisłą, żąda p. Maciejowski świadectw, iż były w téj stronie miej-

(1) Palacki: *Geschichte von Böhmen*, I. 70. *Aut.*



sca od *Lechów* nazwane; jestto żądanie nader niehistoryczno-krytyczne: nazwiska bowiem szczególnych miejsc od krajowego imienia właśnie dowodem są, że osada jest zewnątrz kraju, nie w kraju. W Litwie np. w gub. mińskiej znamy wsie *Tatarszczyzna*, *Lachówka* (kolonia przy mieście Mińska), *Moskalewicze* i t. p.; co zapewne nie jest dowodem, iż pierwotnie była tu *Lechia*, *Tartarya* i t. p. Ślady w Saxonii, w Bawaryi i t. p. miejsc nazwanych od *Lechów*, właśnie wskazywać więc muszą, iż *Lehowie* byli tu przybylcami. Zarzut, który nam czyni autor, iż dawną Germanią nazwaliśmy nie krajem polistym, ale bagnistym, powinien był zwrócić nie do nas, ale do *Meli* i *Tacyta*; ich bowiem na to świadectwa przywiedliśmy.

Nazwisko Litwy wyprowadzał autor od *Litów*, którzy mieli być w Grecyi dawniej, a potem w cesarstwie wschodniem, i od *Litian*, którzy mieli być żołnierzami rzymskimi. Zrobiliśmy uwagę, że nie znamy historycznie żadnych *Litian*, którzy byli żołnierzami rzymskimi, bo słowa, które p. Maciejowski na dowód z *Jornandesa* przytoczył, historyk ten nie do *Litian* stosował, ale do *Imbrionów*; co zaś do *Litów* greckich, ponieważ dotąd nie znaleźliśmy ich i nie znamy, prosiliśmy autora, aby nam wskazał: z jakich źródeł (prócz dzieła *Zeusa*) mianowicie, wiadomość o nich poczerpnął, i w czem powinowactwo między nimi a Litwinami upatrzył. Obecnie cofa się autor od wyvodu swego Litwy od *Litów* greckich i rzymskich, i ścieśnia go tylko do *Armoryki*; co zaś do reszty, dodaje: iż szło mu nietyle o dowody, ile o przemówienie do rozumu i serca, i mniema, iż znajdzie się taki, który to sprawdzi, nie my jednak, nam bowiem brak jest po temu sił. Jesteśmy wdzięczni za to przyznanie

autora, iż nie upatruje w nas sił do podobnego sprawdzania. P. Maciejowski może być pewnym, iż się nie znajdzie nikt, któryby sprawdzać chciał jego pomysły; jeżeli sam będąc twórcą pomysłu, sprawdzić go nie zdołał.

Dodał wreszcie p. Maciejowski na zakończenie swęj odpowiedzi wyrazy, w jakie, jak już uważaliśmy na początku, zwykle ubiera repliki swoje, które jednak wśród reszty piśmiennego świata, przynajmniej pod piórem dobrej sprawy broniącym, spotykać się nigdzie nie dają. Robi autor uwagę na zakończeniu: „że wymagać od dającego nowy system dowodów i ztwierdzających cytacyj, jesto wymagać zawiele” i dodaje, że może nam przysłać książki, abyśmy je sobie z nich wypisali.

P. Maciejowski niech raczy raz w to uwierzyć i to pamiętać, iż ilekroć zastanawiamy się nad daném piśmem, nie mamy wcale na myśli autora jego, a tém mniej siebie. Nie mogliśmy od autora żądać dowodów dla siebie, bośmy wiedzieli z góry, że autor ich dać nie może; lecz żądaliśmy ich dla przedmiotu, dla miłośników przedmiotu, dla czytelników pisma p. Maciejowskiego, którzy nie mając czasu lub chęci sprawdzać szczegółowie dowodów, woleli uwierzyć na oko mnogości cytacyj (1).

(1) W tym duchu np. oświadczyli przyznanie wywodom autora recenzenci *Dziejów Pierwotnych* w pismach: *Dzwon Literacki*, *Tygodnik Petersburski* i inni.

RYS HISTORYCZNO-STATYSTYCZNY  
WZROSTU I STANU  
**MIASTA WARSZAWY**

OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW AŻ DO 1847 ROKU

SKRĘŚLONY

PRZEZ

*F. Mac. Sobieszczańskiego.*

(Ciąg dalszy).

**§ 5. Wzrost i stan Warszawy od r. 1794  
do 1807.**

**W** roku 1794, w skutek zmiany rządów miasta, powiększono skład magistratu, przeznaczając dwóch prezydentów z jednakową władzą i przywilejami, któremi byli Andrzej Rafałowicz i Józef Łukaszewicz; oprócz tego 12 radców, 27 ławników i odpowiednią liczbę podrzędnych urzędników (1), aby urządzenia i wszelkie zlecenia magistratu jak najściślej do skutku przyprowadzone być mogły. Ustawy nad porządkiem miasta, bezpieczeństwem, urządzenia co do rzeźników i piekarzy, oświetlenia ulic,

(1) Kalendarzyk Polityczny Warszawski na rok 1796 z przydatkiem różnych wiadomości i ciekawości potrzebnych, oraz użytecznych; w drukarni pojezuickiej, w 16ce.

meldunków przyjezdnych osób, ustanowienie straży nocnej, spisu ludności, dawniej zaniedbane w wykonanie wprowadzono (1). Obwieszczeniem 13 lutego 1795 r. grzebanie umarłych po kościołach, gdy pomimo poprzedniego zakazu miało miejsce, surowo zakazano. 4 maja liczne tłumy żebraków z ulic usunięte zostały, a wyznaczona deputacya z obywateli miejscowych złożona, zabezpieczeniem ich losu zajęła się. Ustanowiono nową kommissyą wychowania, którą pod zwierzchni nadzór duchowieństwu oddano (25 czerwca t. r.). Na miejscu dawniej kommissyi brukowej, która jakieśmy wyżej mówili, czynności swoje dla braku funduszków zawiesiła, urządzono na dawnych zasadach 5 lipca t. r. deputacyą brukową, pragnąc, jak wyraża się rozkaz Buxhewdena „aby miasto Warszawa co do ochędóstwa, ozdoby, tudzież wygody, a tém samém zdrowia i życia mieszkańców, rządowej doznało opieki”. Naostatek gdy okazało się, iż dawne jurysdykcyje marszałkowskie, tudzież sądy wójtowsko-lawnicze, władzę swoją zbyt miały ograniczoną, ustanowiono na dniu 8 lipca departament policyi, którego czynne działania i pilność w zaprowadzeniu dobrego porządku, liczne i korzystne dla miasta przyniżyły zmiany (2).

W r. 1796 d. 9 stycznia, Warszawa została główném miastem kamery Prus południowych, wojennój i ekonomicznój, tudzież południowo-pruskiej regencyi. W dniu 6 czerwca t. r. departament policyi zniesiony, i na jego miejsce dyrekcyja policyi pod naczelnictwem

(1) Podług obwieszczeń magistratu, umieszczonych w Gazecie Warszawskiej z r. 1794 nr. 56, 57, 58, 59, 60, 64.

(2) Wszystkie wspomniane ustawy umieszczone są w Gazecie Warszawskiej z r. 1795 w nr. 6, 13, 14, 29, 37, 48, 52, 55, 56 i t. d.

wojennego tajnego radcy policji i magistratu prezydenta Schimmelfening von der Oye urządzona, wszelkie obowiązki powszechnego porządku, spokojności i bezpieczeństwa dotyczące się w mieście i na przedmieściach, dopełniać zaczęła.

Przedewszystkiem zwrócono staranność swoją do urzędzenia w mieście tutejszém regularnej i stałej administracji sprawiedliwości; przeto wszystkie dotąd byłe sądy miejskie, które sądownicze czynności odbywały, mianowicie: były magistrat, sąd wójtowsko-ławniczy i wszystkie sądy wydziałowe, obwieszczeniem dnia 9 sierpnia 1796 r. wydaném zniesione, a na miejsce ich magistrat sprawiedliwości dla miasta i jego przedmieść, łącznie z Pragą, wprowadzony. Pod jurysdykcją tego magistratu zostawali w pierwszej instancji względem wszelkich osobistych sporów: wszyscy mieszkańcy Starego i Nowego miasta Warszawy, Przedmieścia - Krakowskiego, Nowego-Światu, Bielina, Grzybowa, Leszna, Nowolipia, Szulca, Pragi; wyjąwszy osoby stanu szlacheckiego, tudzież te, które dla urzędu lub zatrudnienia swego, innemu sądowi bezpośrednio były podległe. Wszelako także magistrat sprawiedliwości, realną jurysdykcją nad wszelkimi w wspomnionym okręgu sądownictwa położonemi dobrami, bez różnicy stanu i zatrudnienia właścicieli także nad wszystkimi żydami rozciągał. Do władzy téj podobnie należało rozsądzanie spraw wexlowych, i dozór nad zostającemi pod tą jurysdykcją nieletnimi osobami, i z tego powodu składał się z dwóch departamentów, tojest: z sądu miejskiego i z urzędu sierocego (1).

(1) Dodatek do książki pod tytułem: Nauka dla stron względem zachowania się w procesach dla państw pruskich; b. m. dr. i r.

Władze pruskie równą troskliwość na czystość i porządek zewnętrzny i wewnętrzny miasta niebawem okazały. Obwieszczeniami magistratu w tymże roku wydałemi, zakazano składania na ulicach opałowego drzewa, które przedtęm drogę zawałalo; taxy mąki, chleba, mięsa i t. p. artykułów żywności urządzono i regularnie po gazetach ogłaszać zaczęto. Wystawienie mięsa na sprzedaż na ulicach zakazano, i zawarowano, ażeby oprócz jatek nigdzieindziej nie wazono się przedawać. Skasowano monopolium tabaczne, a wolność zupełna tego handlu ogłoszona. Wreszcie reskryptem kamery tutejszjej na dniu 13 sierpnia 1796 r. policją lekarską w Warszawie urządzono (1).

Wyrokiem królewskim dnia 12 kwietnia 1797 r. wydanym, zaprowadzono urządzenia hypoteczne, na wzór innych prowincyj państwa pruskiego. Pewność i bezpieczeństwo własności i praw do majątków nieruchomych, przywrócenie i zatwierdzenie kredytu powszechnego, były celem téj ustawy, której dobroczynne skutki niebawem w Warszawie okazały się. Porządek i niezwykła łatwość kupna i sprzedaży, zaufanie, obieg dawniej ukrywanych pieniędzy, prawo hypoteczne sprowadziło (2). Dla zapobieżenia nadużyciom lichwiarzy, których nadzwyczajna liczba tutaj znajdowała się i oddawien prawdziwą plagą mieszkańców byli, a szczególnie biednych rzemieślników uciskali (3); reskryptem królewskim na

(1) Obwieszczenia w Gazecie War. na r. 1796 nr. 9, 11, 21 i 23.

(2) Gazeta Warsz. na r. 1797 d. 14 kwietnia, i na r. 1798 dodatek do nr. 3, tudzież broszura „De l'administration prussienne dans les eidevant provinces Polonaises”. 1808, b. m. i r.

(3) Interesujące pod tym względem szczegóły, jako też wiele innych do obyczajów tutejszych, czytać można w broszurze p. t. Dzwon staropolskiej fabryki ulany, w Warszawie r. 1791, w 12ce.

dniu 9 czerwca 1797 roku wydanym, zaprowadzono dom pożyczalni publicznej (lombard), pod dyrekcją magistratu poddany, którego głównym zadaniem było: aby rzemieślnicy i fabrykanci tymczasowie odbytu swych towarów nie mający, a pieniędzy nagle potrzebujący, przez pożyczanie tychże na pewny zastaw, wsparci być mogli; lubo i wszelkim innym stanom odmawianem nie było. Pierwotne urządzenie tego banku, oznaczyło sumę od trzech do kilku tysięcy talarów, które po ośm od sta wydawano, nie mniej nad jeden miesiąc, a nie więcej nad sześć. Pierwszy takowy kantor lombardu otworzony został w poniedziałek z rana o godzinie 8 w dniu 19 czerwca tegoż roku w pałacu Kazimirowskim (1), gdzie dziś gimnazjum gubernialne warszawskie. Policja lekarska wprowadziła w r. 1800 szczepienie ospy do tutejszego miasta. Z pomnożeniem stosunków handlowych, otwarty został za zezwoleniem rządu w dniu 21 września 1801 roku pierwszy w Warszawie kantor zleceń na wzór zagranicznych; otworzył go niejaki Gustaw Radzanski kupiec tutejszy, w kamienicy swój pod nr. 119 przy ulicy Zapiecek (2). Celem zabezpieczenia własności i nagrodzenia szkód z pożarów wynikających, wprowadzone zostało w dniu 1 grudnia 1804 r. towarzystwo ogniowe, do którego składka miała nie przewyższać  $\frac{1}{3}$  procentu, tojest od sta złotych wartości assekurowanej groszy 10. Główna dyrekcja tego towarzystwa której było dwie, ustanowiona w Warszawie (3).

Inne niemniej ważne odmiany w mieście były. Wy niesiono kollegiatę ś. Jana w r. 1798 przez bullę Piusa

(1) Gazeta Warsz. na r. 1797 dodatek do nr. 48.

(2) Gazeta Warsz. na r. 1801 dodatek do nr. 75.

(3) Gazeta Warsz. na r. 1804 nr. 93.

VI papieża, za wstawieniem się rządu pruskiego do godności kościoła katedralnego. Utworzono podówczas osobne biskupstwo warszawskie, a patentem królewskim z dnia 20 lutego 1797 roku, Józef Boucza Miaskowski pierwszym tutejszym biskupem zanominowany został. W salach pałacu Saskiego sposobem kupna przez rząd w r. 1797 nabytego, otworzono liceum, którego kursa w dniu 2 stycznia 1805 rozpoczęły się. Zresztą, niektóre ulice nad Wisłą znacznym kosztem wybrukowano, a ulicę Królewską głęboko zniżono i przebrukowano. Ulice szerokie na przedmieściach miały być po bokach dla pieszych drzewami wysadzone; zamierzano także most na Wiśle gruntowny wystawić, do czego projekta wygotowane, dotąd w archiwum magistratu mają znajdować się; zaś wykonanie tej budowli tamy czyli bulwary nad brzegami rzeki, miały poprzedzać. Względem przekupstwa żywności wyznaczono godziny, od których za odjęciem chorągiewki na targu, dopiero pozwolono też żywność na zarobek skupować; urządzenie, które dotąd dotrwało. Wydano dziełko razem w niemieckim i polskim języku, wymieniające prawidła policyjne, tyjące się ochrony życia, zdrowia i zabezpieczenia własności.

Nie wspominam już o licznych pomniejszych urządzeniach, które miasto za rządu pruskiego otrzymało; były one po większej części zawsze korzystne, mianowicie pod zwierzchnictwem zacnego generała leitnanta Köhler szefa regimentu huzarów, który po śmierci barona Wendensen, zmarłego tutaj 10 grudnia 1797 roku, gubernatorem Warszawy dnia 16 kwietnia 1798 r. nominowany został.

Odwiedzał nasze miasto po trzykroć monarcha pruski wraz z dostojną małżonką swoją, w latach 1798



dnia 13 do 18 czerwca; 1802 dnia 22 do 29 czerwca i 1805. Każdą razą unikając wystawy, skromnie do miasta przybywali, a mieszkańcy Warszawy, jak mówi jeden ze współczesnych pisarzy, przyzwyczajeni pod panowaniem królów polskich do wielkiej okazałości, gwardyi wojskowej, do pompy licznego dworu, dziwili się, iż nie powiększono nawet warty zamkowej; że oboje królestwo bez żadnego orszaku chodziło wpośród ludu po ogrodzie Saskim, uprzejmie każdego przyjmowało, zwiedzało zakłady publiczne lub dzieliło zabawy, z powodu téj uroczystości wyprawiane. Niemniej pamiętnym był pobyt w tutejszém mieście od 1801 do 25 lipca 1804 roku króla Ludwika XVIII, który tu pod nazwiskiem hrabiego de l'Isle wraz z małżonką swoją, księżtewem d'Angouleme i licznym dworem mieszkał. „Król francuzki, mówi w swoich pamiętnikach p. F. Kozłowski, przyjechał do nas z Rossyi, i stanął przy Krakowskiém Przedmieściu w domu Wasilewskiego pod nr. 372 (dziś dra Malcza) (1). Widzieć go nieraz można było stojącego na

(1) Ponieważ do historii tego domu łączy się nad te, które już wspominałem, kilka interesujących wspomnień, nie od rzeczy więc może przytoczyć je tutaj: kamienica pod nr. 372 wymurowaną była przez Józefa Seweryna Wasilewskiego, konsyliarza króla Stanisława Augusta w r. 1767, podług planu architekta Hliza, pod dyrekcją konduktora Schüz, na gruncie szlacheckim, do biskupów krakowskich należącym. Na tém miejscu stał dawniej drewniany dworek na podmurowaniu, w którym znajdowała się jedna, z kilku natenczas traktyerni w Warszawie. Po wybudowaniu tego domu, który wówczas był najozdobniejszym z kamienic obywatelskich, najpierwszą lokatorką była księżna z Branickich Sapieżyna, matka księcia Kazimierza Sapiehy, generała artyleryi, później marszałka sejmu czteroletniego. Potem dom ten zajęty był przez pocztę, przeniesioną później do dawnego pałacu Brühla, a natenczas biskupa kujawskiego Ostrowskiego, gdzie dotąd mieści się. Później zajmował dom ten Rybiński biskup kujawski, następnie bankier Kabryt, płacący za pierwsze piętro 1500 duka-

małym narożnym balkonie, postaci otyłej i często z nogi na nogę przestępującego, we fraku szaraczkowym, białej kamizelce, spodnie z *sierge gris* i kamaszach aksamitnych; podlegał bowiem podagrze. Włosy nosił w tył podfryzowane i pudrowane. Na przechadzkach często w ogrodzie Saskim wraz z księciem i księżną d'Angouleme bywał; tę ostatnią znano w Warszawie z dobrych uczynków i litościwego dla biednych serca. Hrabia de Lile przeniósł się wkrótce do pałacu obok kościoła ks. Bernardynów pod nr. 369, latem zaś mieszkał w tak zwanym białym domku w Łazienkach, i wtedy bywał na mszy w małym kościółku Ujazdowskim. Życie hrabiego było kosztowne, zwłaszcza stół, który po królewsku utrzymywano. Ogrodnicy ubiegali się z dostarczeniem najświeższych i najrańszych ogrodowizn, które dwór jego sownie płacił. Kurnicy przyspasabiali się w jak najlepszy drób i zwierzyne, którego towaru cena, natenczas znacznie się podniosła, gdyż Francuzi nie targując się, płacili co kto za swoje rzecz żądał. Orszak hrabiego był dość liczny, bo ze czterdziestu osób składał się; przystęp zaś do niego nielatwy, unikał bowiem wszelkich

tów rocznie. Następnie mieszkał Ignacy Krasicki biskup warmiński. Tutaj bywały u niego co tydzień tak zwane wieczory uczone, na których Krasicki obecnym literatom odczytywał swe dzieła. Często na takich wieczorach i król przebywał. W r. 1793 mieszkał tu biskup wileński Massalski, także Hugo Koltątaj podkanclerzy, który w tym domu najważniejsze swe dzieła napisał, a niektóre z druku wydał; w r. 1801 Ludwik XVIII król fran. W bliższych czasach zajmowali go: Felix Potocki i książę Giedroyc. Xawery Franciszek Wasilewski konsyliarz króla Stanisława Augusta, prezes Dyrekeyi Lekarskiej odziedziczył ten dom po ojcu swoim w r. 1793. W r. 1827 kupiony został przez Jana Wasilewskiego radcę Głównej Izby Obrachunkowej, a przez tego ostatniego przedany w r. 1830 doktorowi medycyny i chirurgii, Wilhelmowi Malczowi.

towarzystwi i znajomości, sływał zaś u nas jako dobry tancerz i helenista, książki rad czytywał, i bawił się ze sławnym swoim zbiorem brylantów. Sama królowa światła i także uczona, była małego wzrostu, szczupła i śniada na twarzy; chętnie odwiedzała nasz teatr, szczególnie, kiedy grywano ulubioną jej operę p. t. *Przerwana Ofiara*."

Przebiegłszy w skróceniu ogólne rysy zdarzeń ówczesnych z historyi Warszawy, przejdźmy do szczegółów statystyki i strony obrazowej miasta.

Wypadki poprzednie, los wojen, zniszczył znacznie, bo o dwadzieścia kilka tysięcy ludność tutejszą, a o 3600 Pragi i uszczuplił jej obręb. Taryffa w r. 1797 wydrukowana, liczy tylko 190 ulic, a 3041 numerów posesyi, a zatem o 7 ulic i 100 numerów domów mniej, niż w roku 1784 (1). Podług opisu Holscha, Warszawa w r. 1800 była prawie jedynem wielkiem w Europie miastem, na wszystkie strony otwartem, które ani wałów, murów, ani bram, rogatek nie posiadało. Przy samym wjeździe do niej, ujrzyć można było rozrzucone pojedyncze domy, które jeszcze żadnej porządnj ulicy nie stanowiły, lecz pomiędzy rolami i ogrodami były rozsiane; dalej w głąb postępując, domy uszykowane porządnie, nieznacznie kształciły ulice i wprowadzały do miasta, gdzie wśród okazałych pałaców, nędzne chaty tuż obok mieszczące się, dziwne wrażenie na obcym czyniły.

Co do ludności Warszawy, oprócz Berlina przewyższała ona wszystkie pruskie miasta. Aby zaś lepsze mieć pod tym względem wyobrażenie, następane tabelle statystyczne podług akt urzędowych na r. 17<sup>98/99</sup> ułożone, przedstawiam:

(1) Opis wszystkich pałaców, domów, kościoł., szpital. i ich posesorów miasta Warsz., dla wygody publicznej wydany w r. 1797.

a) Co do duchowienstwa.

Numer miejsca	NAZWISKA ŚWIĄTYŃ	Parafalne	Kaplice	Klasztory	DUCHO- WIENSTWO		Ogół.
					męzkie	żeńskie	
4	Śgo Jana.....	1	„	„	49	„	49
6	Kościół ks. Jezuitów su- prymowanych.....	„	1	„	8	„	8
112	Klasztor panien Marcin- kanek.....	„	1	1	2	8	10
113	Ks. Augustyanów.....	„	1	1	12	„	12
251	Ks. Dominikanów..	„	1	1	22	„	22
561	Panien Brygidek.....	„	1	1	1	8	9
588	Ks. Pijarów.....	„	1	1	20	„	20
592	Ks. Paulinów.....	„	1	1	9	„	9
485	Ks. Bazylianów.....	„	1	„	4	„	4
494	Ks. Kapucynów.....	„	1	1	12	„	12
464	Kościół Śgo Andrzeja...	1	„	„	5	„	5
366	Panien Bernardynek....	„	1	1	„	17	17
368	Ks. Bernardynów.....	„	1	1	21	„	21
370	Panien Karmelitek.....	„	1	1	1	13	14
314	Panien Sakramentek....	„	1	1	„	24	24
73	Kościół Śgo Benona....	„	1	„	26	„	26
186	Ks. Franciszkanów.....	„	1	1	23	„	23
1883	Kościół Panny Maryi....	1	„	„	6	„	6
1766	Kościół Śgo Jerzego....	„	1	1	6	„	6
2167	Ks. Bonifratrów.....	„	1	1	17	„	17
1975	Kościół Śgo Krzyża....	1	„	„	1	„	1
392	Panien Wizytek.....	„	1	1	„	27	27
386	Ks. Karmelitów.....	„	1	1	12	„	12
1071	Kościół Ewangelicki....	1	„	„	1	„	1
475	Panien Kanoniczek....	„	1	1	„	10	10
408	Kościół Śgo Krzyża Mis- syonarzy.....	1	„	„	45	„	45
1320	Dominikanów Obserw...	„	1	1	14	„	14
395	Klasztor Śgo Rocha....	„	1	1	„	„	„
2858	Klasztor Śgo Kazimierza.	„	1	1	6	„	6
1353	Klasztor szpitala Dzieciąt- ka Jezus.....	„	1	1	„	„	„
671	Karmelic na Lesznie....	„	1	1	12	„	12
660	Dom modlitw reformow.	1	„	„	1	„	1
473	Ks. Reformatów.....	„	1	1	21	„	21
1719	Kościół Ujazdowski....	1	„	„	3	„	3
2920	Ks. Trynitarzy.....	„	1	1	6	„	6
361	Probostwo.....	1	„	„	3	„	3
75	Ewangelików.....	„	1	„	„	„	„
Ogółem....		9	28	24	369	107	476

## b) Co do stanu topograficznego.

OGÓŁEM			MIĘDZY KTÓREMI ZNAJDUJĄ SIĘ					MIEJSCA PUSTE		
Dworów pa- niarskich	Ulic	Possesyj	Domów rza- dów	Palaców i dwo- rów pa- niarskich	Kościółków i klasztorów	Mających da- chy pobite		Mające wla- ściwość	Nieruchomości	Dużo zabu- wania
						Da- chów	Gont- mi			
7	190	3619	48	117	39	1996	1623	70	102	55

## c) Ilość stałych mieszkańców.

GOSPODARZY	SYNÓW	CÓREK	SZUŻĄCYCH		OGÓŁ.
Mężczyzn	Kobiet	Nad 10 lat	Mniej niż 10 lat	Slug i parob- ków	Dziewcząt
26017	14191	2641	5805	2755 6459	1872 2574 1776 6738 64829

W tej liczbie znajdują się:

Furmanów	Cechów i Salzbur	Żydów	DUCHO- WIEŃSTWO		Kupców	Fabrykantów	Rzemieślników	PRZYBYŁYCH			URY- SZYCH	
			Mężkie	Żeńskie				Krajowców	Cudzoziem- ców	Dzieci miej- skich	Zmarłych	Wyprowa- dzono się
138	137	7688	382	135	241	16	3523	10	13	4	52	40

Władz miejskich jakoto: policji, zarządu ekonomii i sądownictwa skład był następujący. Zarząd policji stosownie do ustawy pod dniem 22 maja 1796 r. zaprowadzony, znajdował pod zwierzchnim dozorem prezydenta po-

lieyi i urzędników jemu podwładnych. Dyrekcya policyi składała się z jednego prezydenta, jednego dyrektora i jednego inspektora. Policya zresztą miała 2 sekretarzy, 1 registratora, 7 ober-komissarzy policyi, 1 tajnego urzędnika, 2 kancelistów, 1 woźnego, 1 dozorcę, 7 assystentów kommissyi policyjnej, 9 policmajstrów, między którymi 2 do nadzwyczajnych wypadków, 7 dozorców targowych (*Marktmeister*) 4 chirurgów i 27 sług policyjnych. Cały zatem urząd dyrekcji policyi składał się z 75 osób, których płaca etatowa wynosiła 15,862 talarów.

Magistrat policyi od dyrekcji zupełnie był odrębny; atoli prezydent policyi był zarazem prezydentem miasta, równie jako i dyrektor. Zresztą, inni urzędnicy składali się z 8 radców miejskich (*Stadtrath*), z których pierwszy był syndykiem, 3 sekretarzy, z których pierwszy naczelnikiem kancelaryi, 1 dziennikarza, 1 registratora, 1 archiwisty i rachmistrza (*Kalkulator*), 2 kancelistów, 2 pisarzy, 1 tłumacza, 1 poborcę kamery (*Kämmerei-Cassen-Rendanten*), 1 buchaltera, 1 kassjera i kontrolera, 1 rachmistrza i asystenta registratury (*Kalkulator und Registratur-Assistenten*), 3 służących ratuszowych, 1 sługę kassowego, 1 pacholka kassy, 2 pacholków ratuszowych, 1 odźwiernego, 1 fizyka, 1 doktora miejskiego, 1 budowniczego, 2 poborców żydowskich, 5 dozorców żydowskich, 1 poborca wagi na Pradze, 2 sług do wagi, 1 pacholka poborcy, 1 pisarza, 7 szprycmajstrów, 1 introligatora (*Aktenhefter*), 1 dozorcę stajennego, 1 pisarza stajennego, 2 futtermajstrów. Ogółem cała służba magistratu miejskiego składała się z 62 osób, których płaca etatowa wynosiła 13,244 talarów.

Roczny przychód kamery w r. 1797<sup>7</sup>/<sub>8</sub> łącznie z sumą 15,000 talarów, która z kassy królewskiej dopłaca-

na była, wynosił 76,789 talarów. Rozchód zaś na płace urzędników, publiczne wydatki, procenta na długi, które mi kamera obciążona była, reparacye budowli, utrzymanie stajen miejskich i porządku ogniowego, prawie całkowicie powyższą summę wynosił.

Etat roczny na garnizon warszawski wynosił w tymże roku 71,469 talarów, na co miasto tylko płaciło 17,990 talarów ze składki podymnego, resztę zaś kassa królewska dodawała.

Magistrat sprawiedliwości (*Justiz-Magistrat*), sprawujący sądy miejskie, od dyrekcji policji i magistratu miejskiego odrębny, składał się z jednego dyrektora, 12 radców czyli konsyliarzy sprawiedliwości i stosownej liczby podrzędnych urzędników, których roczny etat 8000 talarów wynosił (1).

Sposoby zarabkowania, mówi dalej Holsche, i w ogólności stan przemysłowy i rękodzielniczy, nie był już tak kwitnący jak za dawnego rządu, gdy miasto było stolicą króla i miejscem gdzie sejmy odbywały się; panowie zaś z tego powodu mieszkający, wydawali w kilku miesiącach wszystko, co w ciągu całego roku z dóbr swoich zebrali. Wtedyto napływ pieniędzy tak był znaczny, iż w Warszawie więcej w obiegu dukatów, niż później złotych znajdowało się. Domy także w wysokiej cenie stały, a najem mieszkania stosunkowo daleko droższy. We wszystkich oddziałach przemysłu więcej zarobku, pomimo to jednak, tak jak w innych wielkich miastach, wiele ubogich i żebraków znajdowało się. Wprawdzie zniknęły już te czasy, Warszawa atoli była jeszcze zna-

(1) Skład znaczniejszych urzędników w Warszawie na r. 1798, umieszczony jest w Kalendarzyku Warszawskim politycznym i historycznym na r. 1798, nakładem Michała Grölla, w 16cc.

komitém miastem; mieszkała tu znaczna liczba możnych panów, niektórzy ciągle, inni czasowo, którzy jak zwykle wiele pieniędzy wydawali. Tu główne siedlisko wojskowej i ekonomicznej kamery; dyrekcye rządowe: celna, konsumpcyjna, podatkowa, izba sprawiedliwości i sądy miejskie, lombard, liczny garnizon i t. d.

Co do fabryk i rękodzielni, nie było miasto zupełnie z nich ogolone, a znakomitszemi z tych, fabryki kart i powozów. Za panowania Stanisława Augusta słynął tu szczególnie fabrykant powozów nazwiskiem Dangel (o którym w poprzednim paragrafie mówiliśmy), który znacznego majątku dorobił się; z czasem atoli gdy okazało się, iż wyrób ten był nader zyskowny, powstało więcej fabrykantów powozów z Danglem współubiegających się, co znacznie zakładowi jego dochodu zmniejszyło. Mimo to, tutejsze powozy zawsze służyły i pierwsze po angielskich miejsce trzymały, chociaż cena ich nie była tak jak dawniej wysoka.

Handel w Warszawie ograniczał się w większej części na wewnętrznych jedynie potrzebach; zewnętrzny wywóz prawie nic nie znaczył. W r. 1799 znajdowało się tutaj 7 bankierów, 80 kupców handlujących towarami bławatnemi, 7 towarami angielskiemi, 23 sklepów galanteryjnych, 2 norymberskie, 16 składów sukna, 15 żelaza, 2 magazyny towarów włoskich, 6 tureckich, 3 sklepów z perfumami, 3 z rycinami, 32 składów płótna, 5 księgarń, 73 sklepów korzennych, 36 winiarni. Ogółem 241 domów handlowych, które 138 sług, a 83 chłopców utrzymywały (1).

(1) *Geographie und Statistik, von West-Süd und Neu-Ost Preussen, nebst einer kurzen Geschichte des Königreichs Polen bis zu dessen Zertheilung; bearbeitet und herausgegeben von A. C. von Holsche. Berlin, 1804, 2 B. str. 357, 382.*



Liczba żydów co niemiara wtedy w Warszawie pomnażała się, gdy po wszystkich ulicach prawie handlować im i mieszkać pozwolono. Ulica Senatorska całkiem im oddana, a pałac Pocijewski drobnemi żydowskiemi kramami był przepelniony. Zastarzała atoli niechęć ścigała ich jeszcze, i przy sposobności dotkliwie dawała się we znaki. I tak, wr. 1804 w dniu 14 czerwca, w oktawę Bożego Ciała, gdy processya od kościoła ś. Andrzeja idąc, wedle Gołubskiego (na ulicy Senatorskiej nr. 471 lit. A i B) przechodziła, spadło kilka gontów na baldachin, pod którym ksiądz podczas processyi celebrujący, znajdował się; niektórzy twierdzili nawet, iż kamienie spadające widzieli. A że Gołubskie najwięcej przez żydów było zamieszkałe, którzy w swych domach zamknięci, przez szpary parkanów lub bram temu obchodowi przypatrywali się, utrzymywano tedy, iż żydzi umyślnie zaczęli kamienie rzucać; z tego powodu wpadnięto na podwórze tamtejsze, zbito żydów i uszkodzono w ich mieszkaniach okna, drzwi i piece: nadeszłe atoli wojsko ten zamach uśmierzyło, który jednak niezajutrz o wschodzie słońca okazał się gwałtowniejszy, i szkodliwsze jeszcze zniszczenia poczynił, gdy pospólstwo rzuciwszy się na sklepy żydowskie na Pocijewskim, w podwórzach pałacu Jabłonowskich (dziś ratusz) i w kamienicy Sodera (gdzie dziś eficyna pod kolumnami do teatru należąca) kładące, zrabowali towary, zburzyli dachy i t. d. a dopiero sprowadzone wojsko i zwierzchność cywilna, zdołały je poskromić i przykładowo winnych ukarać (1).

Między innemi, wprowadzono tu nowości przedtém nieznanne. I tak w r. 1796 kolektor loteryi klassycznej berlińskiej niejaki Weiss, założył pierwszy swój kantor przy

(1) Gazeta Warsz. na r. 1805. Dodatek do nr. 53.

ulicy Miodowej w domu pod nr. 489; zakazano w kraju i Warszawie loterye zagraniczne, chociaż mimo to grywano w nie, mianowicie w angielską. Administracyą komory celnój z licznych urzędników złożoną, na nowo przekształcono. Dyrekcyja poczt doznała także niejakiej zmiany; nastali piérwszy raz nieznani przedtém briefregery, dylizanse dla podróżnych wprowadzono; bejwagi, tak zwane wozy pocztowe, ułatwiały przewóz drobniejszych towarów, przesyłano niemi do Berlina niektóre artykuły żywności, któremi Warszawa wówczas jak i dziś celowała, naprzykład; mąkę marymontską, rozmaite kaszki, drób' karmny, zwierzynę i t. p.

Podług opisów ze współczesnych rękopismów wyjętych, w ostatnich kilku latach XVIII stulecie kończących, Warszawa całą swą dawną postać odmieniła. Wszystko zwróciło się do przemysłu i pracy; zniknęła okazałość w mieście, nie było widać przepychu, każdy żył skromnie, a wartość domów nadzwyczaj staniała. Tak pałac Branickich za ś. Krzyżem z ogrodem i całą przestrzenią, dziś nr. 1245 lit. A i B zajmującą, sprzedany był Wincentemu Świdzińskiemu za 4,000 dukatów. Pałac Borchy kanclerza w. koronnego przy ulicy Miodowej pod nr. 492, Nęstemu cukiernikowi za 3,000 dukatów. Dom szambelana Kwiatkowskiego, przy ulicy Przejazd, pod nr. 645, gdzie dziś pałac Kommissyi Rządowej Spraw W. i D. za 16,000 złotych i t. d., bo wydatek na utrzymanie i naprawę domu, opłata podatku i kwaterunek, przenosiły dochód, jaki z nich miano. Komorne spadło dużo, a mieszkańców z miasta ubywało; i tak, gdy na wsi dobra szły w górę, posiadłości miejskie mało wtedy ceniono.

Za tego czasu Warszawa, pisze w swoich notatach Magier, na powierzchni wiele straciła; rozbićrano co rok jakie bramy po ulicach, dla rozszerzenia przejazdu; jakoto: trzy bramy od Saskiego dziedzińca; jednę przy Kommissyi od ulicy Długiej, przy dawniej głównej straży pontonierów; Nowomiejską bramę przy ulicy Mostowej; poboczną od Dunaju do ulicy Podwał i t. d. Nowych domów zupełnie nie stawiano, bo zdawało się, iż dosyć już było murów na tak małą ludność ówczesną.

Ulice dla szczupłej liczby kar tak bywały błotniste, jak za polskich czasów; słabo je w nocy oświecano, bo policya zbyt była pobłażająca, i parę tylko razy do roku ogólnie wszystkich mieszkańców i właścicieli karała, za niedopilnowanie kiedyś światła w latarniach. Od tej pory nastali tu także latarnicy do najęcia, tojest chłopcy od kommissarzy cyrkulowych numerami na latarkach opatrzeni, podejmujący się przechodzącym po ulicach świecić. Byłto rodzaj paryzkich *décroteurs*, oni bowiem także podczas teatru lub redut, wchodzącym do sali, za małą opłatą obuwie czyścili; mieli oni później swoją gospodę przy ulicy Długiej, w narożnym sklepiku obok kościoła dawniej księży Paulinów, dziś bractwa niemieckiego.

Ze zmianą dawnego stanu rzeczy, innym torem żyć tutaj poczęto; brano się do trwalszego bytu, nastalo oszczędne lecz wygodne życie. Podczas kiedy w klasie wyższej w pierwszych latach panowania pruskiego, nie było ani balów, ani zgromadzeń publicznych, ani widowisk zadnych, a dopiero po tej przerwie, gdy czas zatarł wspomnienia, a urodzaje i nadzwyczajna popłata, materialnych strat ślady; towarzystwa na sposób dawnego francuzkiego toru otwierać się poczęły, plotkami, domysłami

i obmową zatrudniając się; kiedy salony pani Vauban w pałacu pod blachą, dziwnym swoim wpływem dając rozkazy modzie i dobrego tonu, rej prowadziły i obyczaje dawne krajowe na parodowane francuzkie przerabiały, a zły, pokoszlawiony język francuzki naprędce wyuczony był powszechnym (1); wtedy średnia klasa mieszkańców w Warszawie bawiła się swobodnie i zasmakowała, jak pisze Magier, w owych skromnych, a w Niemczech zwyczajnych zabawach. Lato poświęcano ogrodom, nie dlatego, aby uwielbiać piękności natury, lecz rozkoszując przy piwku, kalteszanie i buttersznytach, które dopiero za czasów pruskich do nas wprowadzono. Przechadzka na Czyste była wtedy ulubioną; podobały się naszym mieszkańcom zabawy po ogrodach, których liczba każdego roku w mieście i za miastem pomnażała się. Wtedyto otworzono ogród za rogatkami Wolskimi Unruha (dzisiejszy Rudolfa Ohma pod nr. 3086); słynęły także u Szulca i u Langa na Powązkach. Muzyki przedtém niesłyszane, z kompanii Niemców wędrownych całą orkiestrę składających złożone, bawiły po ogrodach; także kręgielnie, huśtawki i t. d. „W mieście naszym, zapisał Magier w swoich notatach, niebrakło wtedy rozrywki: tu w ogródku słyhać flotrowers, tam odzywa się arfa, waltornie, które różne niemieckie trele wywodziły; owdzie kule toczą się w kręgielni, a zwinny chłopiec woła: *alle neine*; indziej ujrzałeś wesołe *tanzboden* (tak zwali wtedy sale do tańców), żołnierz obraca się zwol-

(1) Sądząc ze źródeł jakie mam pod ręką, nie znam doskonalszego i wierniejszego obrazu wyższych towarzystw warszawskich tego czasu, jak są Pamiętniki Segłasa Fr. hr. Skarbka, mistrzowska skreślone ręką, a umieszczone w Bibl. Warsz. na r. 1844 t. IV i 1845 t. I i II.

na w sztajerze, a tu Wiener-Walza tańczą nieustannie. W ogrodach pełno huśtawek i karuzeli; kobiety szeregami obsiadały stoły, przed każdą kufelek piwa i na nim blaszana pokrywka. Zmierzcha się, zapalają światło, laski rozwiszają po drzewach, po stołach pełno fidybusów i t. d." Zimą w mnogich zgromadzano się szynkach, gdzie przy odgłosie katarynki albo innéj okazalszéj muzyki, ochocze tany wywijano. Sala Wrocławską zwaną za koszarami Mirowskimi za Żelazną bramą, zwała muzyką janczarską; miała galeryą dla widzów, kiedy inni bawili się tańcem, grali w billard lub karty.

Domowe zabawy w mieście, postępowanie rodziców z dziećmi, także się odmieniły; rodzice większe ku nim zdawali się okazywać przywiązanie jak dawniej. Gdy nadchodziły święta Bożego Narodzenia, sprawiano dzieciom, niemieckim zwyczajem, nowe zabawy *Weihnacht* zwane. W zamkniętym pokoju, na stole biało przykrytym, poukładano różne dla nich podarki. Stół był ubrany w jabłka, orzechy, pierniki, oświecony stoczkami; na gromadkach zabawek napisane imiona dzieci, którym podarunki owe przeznaczono, podług wieku i stosownie do postępu w naukach i obyczajach. Bawiło zaproszonych gości, gdy zamknięty pokój otworzono, a grono dzieci oczekując téj upragnionéj chwili, rzuciło się do ubranego stołu, każde dążąc do kartki z nazwiskiem swoim. Młodsze dostawały różne cacka; dla starszych przygotowywano drobiazgi jakie służące do stroju, lub nuty muzyczne, ryciny i t. p. Zastępował ten obchód dawny zwyczaj, kiedy przed Bożém Narodzeniem w dzień świętego Mikołaja, ubierano jednego z domowników za biskupa w infule z złotego papieru sporządzonej, z pastorałem w ręku, który jak święty Mikołaj czynił zapytania dzieciom

z katechizmu, dawał jabłka w nagrodę, a innych, grożąc różgą napominał. Za odmianą wychowania, mówi Magier, nabiérały dzieci ku rodzicom większej wdzięczności, większego uszanowania. W dzień imienia grywały dla nich komedyjki, śpiewały czule kantaty przez swych metrów ułożone; wszystko to dopiero XIXte stulecie u nas zaprowadziło.

Warszawa utrzymywała się natenczas samym swoim przemysłem, handlem i rzemiosłem, a chcąc wyrównać innym znacznym miastom handlowym, dla braku innych, zaczęto browar nazywać fabryką piwa, gorzelnię fabryką wódek, którychto fabryk liczba znacznie się natenczas pomnożyła. Wtedy, pisze Magier, każda professya była u nas fabryką, i tak: szewc swój warsztat fabryką obuwia przezywał: była fabryka waty, szuwaxu; garbarnia fabryką skór zwała się i t. d. Wiodło się wielu rzemieślnikom dobrze, a szczególnie siodlarzom, krawcom, kapelusznikom i tokarzom, których towary wysyłano na jarmarki do Łowicza, Łęczny i t. p. miast krajowych. Tokarze wystarczyć nie mogli robocie fajek, które wtedy w modę wchodziły, palono bowiem wszędzie fajki; zwyczaj przedtém nader rzadki i niebardzo od krajowców lubiony. Zdarzył się też tu wypadek w jednym ogromnym i słynnym z roboty fajek warsztacie tokarskim, iż gdy dążono przez noc do wystawienia w znacznej ich liczbie na jarmark do Łowicza, przez pośpiech wprzód pozagigano cybuchy, nizeli w nich dziurki były wywiercone; można się domyslić jak przyjęto tak wykończony towar, a tokarz na głowę stracił reputacyą i wszystkie fajki na powrót przywoził.

Odmienił się cokolwiek handel za czasów pruskich. Nasi kupcy, upatrując większy zysk w nabyciu dóbr nie-

ruchomych, kładli swe kapitały w ziemię i uczyli się rolnictwa; pruscy zaś brali się najwięcej do sprzedaży trunków. Tyle się też pokazało nazwisk gatunków wina zagranicznego, jak nigdy w Warszawie; najwięcej zaś magazynów różnych wódek i likworów. Dystrylatorów było bez końca, z których niejaki Tobiasz i Zelman jako najbogatsi słynęli. Handel kolonialny, cukru, kawy, cykoryi, materiałów aptecznych, malarskich, farbiarskich, dystrybucyj tabaki i tytoniu, rozkrzewił się znacznie. Związek handlowy bliższy nastął ze Szczecinem i Wrocławiem, a Lipsk został zaniechany. Jedwabny towar sprowadzany z fabryk pruskich, tani, pozorny, ale niepożyteczny, gdyż zawsze z obcą przędzą mieszany. Rozprzestrzeniono wtedy dom przy ulicy Bielańskiej pod nr. 602, dawniej Brandeburski zwany, na skład porcelany berlińskiej, przeniesionej z domu pod nr. 620 przy ulicy Daniłowiczowskiej, w którym przedtém była złożona. Porcelana ta ustępująca może w dobroci saskiej, ale co do nowego kształtu, pięknych malowań i pozłoty, przewyższała ją; gdy fabryka saska w nieodmiennéj staroświeczyźnie trwająca, prostém, najwięcej błękitném malowaniem berbersu pstrzyła się, a dopiero daleko później, w lepszym guście celować poczęła.

Niewiele wtenczas słyhać było o bankierach: słynni nawet dawniej Tepper, Blank, Kabryt, Łyszkiewicz, Prot Potocki i t. d. najzupełniej upadli i kantory swe zamknęli: natomiast ukazali się negocjanci, expedytorowie, kommisanci i spekulanci. Już się nikt nie wdawał w żadne facyendy, bo te zostały z kraju wywołane; robiono tylko przedsiębiorstwa, spekulacye handlowe i doświadczenia rolnicze. Największe atoli zyski ciągnęło w tych czasach wexlarstwo, którem po większej części sa-

mi żydzi trudnili się, i niemało na zamianie złota zyskiwali; korzystniej jednak wychodzili na monecie, która się dzieliła na kurant i na bilon, to jest na grubą i na drobną monetę. Dydki, moneta srebrna drobna, była w kraju najliczniejsza. *Agio* które lud na *łaze* i *łaza* przekręcał, zwano naddatek w pewnej ilości drobnej monety, kupując za nią kurant. *Agio* bywało większe lub mniejsze, od 4 do 12 groszy na sto złotych rachowano powszechnie; u wexlarzy dydki zawijano po trzy talary w pacce. Giełda kupiecka już w Warszawie nie istniała, kurs grubej monety nie był drukiem ogłaszany, a tylko wexlarzom wiadomy. Przyjechał obywatel z prowincyi, zaraz grubą monetę zyskownie zamienił u wexlarza na dydki, któremi wszystkie swoje sprawunki opłacał; kupiec chcąc posłać pieniądze za towar, udał się do wexlarza z dydkami które utargował, dla zmiany, a tym sposobem ci od pieniędzy w kraju krążących znaczny pobierając procent, mogli drogo opłacać komorne od sklepów, kiedy za izbę jeden tylko wchód od ulicy mającą, rocznie po 60 i 70 dukatów płacono: więcej, niż lokator na całym pierwszym piętrze w tymże domu mieszkający. To trwało prawie do 1811 roku, w którym ogłoszona została redukcya dydków z 6 groszy na 4 zniżonych.

Niebawem mieszkańcy Warszawy ze wzorów cudzej oszczędności korzystać poczęli; skromny i prosty ubiór zaczął bywać w modzie, tak jak i ogólnie w całej natenczas Europie: zarzucono pachnidło i puder do włosów. W roku 1794 ustały po większej części fryzury, i w tyle włosy w torebkę czarną kitajkową, kokardą przystrojone, związane. W roku 1795 nisko strzyżono na głowie włosy, a w następnym roku jeszcze niżej, co się nazywało *à la Titus*, *à la Caracalla*. W roku 1802 naj-



modniejszą rzeczą było nosić wysokie czubki na głowie, z włosów do góry podczesywane (1). Na suknie już nie używano żadnych pstrych ani jasnych kolorów; frak ciemny brązowy najpowszechniejszy. Noszono także fraki piusowe i innych ciemniejszych albo jaśniejszych kolorów, wedle czyjzego upodobania, z stanem wyższym lub niższym, dłuższe i krótsze, z podszewką jednostajną albo materyalną, takąż samą lub świetniejszą dla odbicia, z guzikami pozłacanemi, pobielanemi, stalowemi, lub za szkłem, na kółka żelazne lub mosiężne zakładanemi, że coraz inne do tegoż fraka były zaczepiane; co większy dostatek i różnaitość garderoby zdawało się okazywać. Spodnie takiegoż koloru jak fraki, albo zupełnie odmiennego: krótkie do kolan, długie po kostkę do trzewików i pończoch, albo wsuwane w buty, pantalonami i sankiulotami zwane, zwłaszcza, kiedy były ściśle opięte; robiono je z manszestru, z kaźmirku, nankinu, albo trykoty wełniane lub jedwabne. Kamizelki bywały rozliczne: aksamitne lub materyalne na zimę, z dymy albo jukięj materyi angielskiej na lato; a do białych lub czarnych, przyszywano u góry kilka kłapek i kołnierzy różnych materyj, kolorowych odcinków, jak gdyby tyleż jedna na drugięj kamizelek się nosiło. To było najwyższym elegancyi stopniem (2). W roku 1796 zaczęto nosić czarne z piór kitki u kupeluszy, które atoli niebawem jako znaki wojskowe, a tylko artyleryi ówczesnej właściwe, zakazano (3). Jak pachnideł tak i świecideł nie używano wtedy do ubioru; noszono zaś

(1) Kuryer Warszawski na r. 1827, nr. 176.

(2) Gołębiowski: Ubiory w Polsce od najdawniejszych czasów, aż do chwili obecnej. Warsz, 1830, str. 46.

(3) Gazeta Warsz. na r. 1796. Dodatek do nr. 18.

najpowszechniej żelazne pierścionki na palcach, z napisem: „i to minie”, zamiast złotych dawniej sygnetów.

Kobięty podobnie odmieniły gust w swym stroju, a idąc za powszechną w Europie modą, zarzuciły wszystko co dziwaczne, przesadne, wymuszone, i zbliżyć się do natury ośmieliły, do wspaniałych starożytności wzorów. Damy nasze brały powszechnie wtedy wzory z ubioru dawnych Rzymianek, prawdziwą sztukę podobania się w nich upatrując. Dzieło francuzkie Dandre-Bardona, obyczaje domowe, ubiory, naczynia i sprzęty starożytnych opisujące (*Costume des anciens peuples*) z rąk do rąk przechodziło. Każda nasza Warszawianka, píše Magier, do wytworności pretensye mająca (a któraż ich kiedy nie miała?), z przyłączonych w tém dziele rycin korzystając, starała się wiernie zachować rysunek i ubiór głowy w warkocze, węzły, kędziory z czystych włosów trefione. Podobało się wtedy wszystko co było *a l' antique*; a ponieważ już fraucymerów nie było, każda zatem dama, wspólnie ze swoją służącą, pracowała nad tém, aby przejąć się tą nowością i pięknie wystąpić. Zniknęły dawne robrony, szusty, rogówki, owe niebotyczne fryzury, krępowanie ciała; a hoża dziewica lub młoda mężatka, czarujące Warszawianki, które pomimo to zawsze i wszędzie z piękności i wabności słyęły, okazywały się teraz takie, jak je szczodra obdarzyła natura. Pomimo to od tego czasu, a mianowicie od r. 1804 nadzwyczajnie pomnożyły się tu modniarki. Niegdyś, o ile zasięgnąć mogłem wiadomości, magazyn mód był tylko jeden w Warszawie, utrzymywany przez Francuzkę panią Klermont na Krakowskiém-Przedmieściu w bliskości Saskiego pałacu, który dostarczał ubiorów dla dam najznakomitszych i dworu królowej Maryi Józefy; wszyst-

kie zaś inne obywatelki, zwykle same robiły ubiory na głowę, a suknie miały dostarczane przez krawców. W roku 1790 dwa najświetniejsze były magazyny, to jest pani Łazarewiczowój i pani Ledoux, z których na całą Polskę wychodziły najgustowniejsze stroje; dziwnym atoli zbiegiem, kiedy najoszczędniej zaczęto ubierać się, i modniarek liczba powiększyła się. Ta oszczędność i skromność w strojach była przyczyną, iż wartość klejnotów i brylantów tak była w Warszawie spadła, że już w r. 1798 po 25 za sto dochodziła; gdyż jubilerom niestarczyło pieniędzy na skupowanie ich po częstych licytacyach, mając tylko na widoku spieniężenie tego towaru w Moskwie lub Petersburgu.

Po roku 1803, kiedy dostatek w jakim się znajdowali obywatele ziemscy, napływ pieniędzy do miasta zgromadził, pomnożyła się też liczba nietylko porządných hotelów, domów zajezdnych, traktyerni, restauracyj, ale kawiarni i cukierni. W traktyerniach ogólnie coraz lepsze dawano obiady. Coto za ryby były u Szyllera na Długiej ulicy, powiada Magier, jakie tam kapłony wyborne zjadaliśmy! ale też sownie kazał sobie za nie płacić. Uprzykrzyły się gościom małe traktyernie, i oto na Tłumackiem u Rozengarta, gdzie dziś hotel Wileński pod nr. 599 lit. A. cały najwyborniejszy obiad za 5 złotych dostać było można. Dąbrowski, dawny kuchmistrz hetmana Ogińskiego, w pałacu biskupów krakowskich na Miodowej ulicy, pod nr. 496 trzymał zamówionych stołowników i doskonale ich karmił. Gąsiorowski w pałacu Kossowskich na Bielańskiej ulicy pod nr. 608, od wszystkich najlepsze i najsmaczniejsze dawał obiady, ze wszelkimi wygodami i zbytkami; dla zaproszonych gości były u niego osobne pokoje, stół

pięknie zastawiony, usługa pańska, meble wytworne, jeżeli w zimie, ogień na kominku: wszystko u niego dostanie pysznie, jak nigdy u nas przedtém nie bywało. Co do cukierni, stary Lessel w Saskim pałacu, lubo w miejscu wówczas niebardzo przyjemném, bo brudne podwórze poprzedzało wnijsie do jego wybornego sklepu, zawsze miał piérwszeństwo, co do wytworu i obfitości rozmaitego rodzaju słodyczy, których pakami wielu ponom na prowincyi dostarczał. NESTE niemniej słynął ze swoich ciast i cukrów we włoskim guście sporządzonych. Ten sam cukiernik zakupiwszy, jak wyżej wspomniałem, za pomocą Rzewuskiego pisarza polnego koronnego pałac przy ulicy Miodowej, pod nr. 492, przerobił go na *hôtel garnie* czyli dom gościnny, we wszelkie sprzęty i wygody do mieszkania opatrzony, który hotelem Paryzkim, a później hotelem Europy przeżywanym. Słynęły hotele u Chovot przy ulicy Miodowej, i Polski przy Długiej ulicy, Litewski przy Nowo-Senatorskiej, Wileński na Tłumackiem u Rozengarta, Niemiecki i Drezdeński na Długiej, Podlaski przy ulicy Bednarskiej i wiele innych. U Carlucciego cukiernika ze dworu ostatniego nuncjusza papieżkiego, który trzymał zarazem billard przy teatrze na placu Krasińskim, później zaś w pałacu Prymasowskim przy ulicy Senatorskiej, szczególnych dostać można było lodów. Nadewszystko atoli uczęszczaną była cukiernia Baldego przy ulicy Długiej, w domu pod nr. 552, gdzie odbywały się przy ponczu ugody handlowe ze szlachtą, umowy o przedaż zboża i t. p.; zachwalony bowiem ten trunek, niedawno w kraju zaprowadzony, dawany bywał u niego w sporych szklankach i dobrze arakiem wzmocniony. Napój ten zaczął być znanym w Polsce dopiero ro-

ku 1771, lecz tylko w domach dostojnych osób rozdawano go jako osobliwość. Piérwszy raz w Warszawie częstował ponczem Stępkowski wojewoda kijowski przybywszy z Gdańska, gdzie go skosztował jako nowość przybyłą z Anglii. Najpiérwsze miejsce w którém zaczęto sprzedawać poncz, była cukiernia dotąd istniejąca na rogu ulicy Freta i Sto-Jerskiej, u poprzednika rodziny Minich. Coraz bardziej zaczęło przybywać amatorów tego trunku, najbardziej atoli wstąpił się u Baldego, gdzie od r. 1789 do 1794, a później od 1801 do 1806 wypijano co dzień od 300 do 500 filiżanek. Damy posyłały do téj cukierni po karmelki, które także swoje wziętość miały, a właściciel prawie z tych dwóch przedmiotów, spłacił pałacyk sąsiedzki pod nr. 550, niegdyś do księżny Ruzwillowej miecznikowej litewskiej należącej (gdzie dziś trybunał handlowy gubernii warszawskiej). Jeden podupadły cukiernik odróżnił się w tym czasie od innych w robieniu doskonałych biszkoptów ósemkami zwanych, które zamówione roznosił po możniejszych domach, i tym swoim wyrobem na starość się utrzymywał i dawał wychowanie swéj córce. Melkie, którego znaną była cukiernia na Krakowskiém-Przedmieściu, zostawił pamiątkę po sobie w przerobieniu dotychczas istniejącej oficyny w ogrodzie Krasieńskim (gdzie dziś cukiernia Haberkanta pod nr. 549 od ulicy Nalewki) na piękny podłużny salon o kilkunastu oknach, gustownie ubrany, a zakończony z jednej strony bufetem czyli cukiernią, z drugiej pokojem billardowym. Mieściło się w tym salonie wiele gości, schodzących się na lody i inne chłodniki. Marko Bini Włoch, w domu na Podwalu pod nr. 532, utrzymywał fabrykę czekolady, którą do tego stopnia dobroci doprowadził, iż nawet ci znawcy przestawali na

niej, którzy przyzwyczajeni byli takową z Rzymu dla siebie sprowadzać. W roku 1804 zjawił się u niego nowy gatunek gazu w pęcherzykach zachowywanego, którego udzielał i zaprawiał nim wszystkie napoje, mianowicie pącz. Gaz ten nazywano *gaz de hilarité*, gdyż bez szkody na zdrowiu spożyty, rozweselał. Słynęła także ta cukiernia ze swój osobliwości, na którą cała Warszawa chętnie uczęszczała. Byłto Włoch nazwiskiem Wincenzio, który po wieczorach dla zgromadzonych gości, cudownie włoskie arye wyśpiewywał, towarzysząc niemniej biegle grą na lirze (*Viola*). Narzędzie to muzyczne małe, lecz nader już wtenczas rzadkie, a starannie od niego utrzymywane, w roku 1807 gdy napływ gości był, jednego razu w cukierni Biniego, skradzione mu zostało. „Daremne były poszukiwania, mówi Magier, po mieście téj przyjemnej lirki, będącej jedyném wsparciem biédnego Włocha, który za jój pomocą dziennie po kilkanaście złotych zarabiał; a tak był zmartwiony po jój utracie, iż stracił głos i ochotę do śpiewu, i musiał usługiwać gościom, roznosząc czekoladę.”

Pomnażały się téż kawiarnie w mieście, między którymi w r. 1802 szczególnie na ulicy Rymarskiej u Rozengardowej z doskonałej śmietanki słynęła. Tyrolska na rogu ulicy Elektoralfnej i Wiejska przy ulicy Wiejskiej pod nr. 1726 pani Nejbertowej.

Upodobanie do muzyki tyle nasze miasto teraz odznaczające, także dopiero za tego czasu powstało, tak powszechnie, iż nie było prawie domu, gdzieby jój słyszeć nie można; co dziwniejsza, iż jeszcze w r. 1792 do wykonania sławnego *Te Deum* Paesellego u Śgo Krzyża, zaledwie można było dwieście osób w całej Warszawie wynaleźć, którzy byli jako tako muzykalnie usposo-

bieni: lubo muzyka nie była u nas przedtém zaniechaną i bezwątpienia od chwały Bożej zaczęła się. Wiemy, iż Zygmunt I sprowadził kapelę włoską do Warszawy (lecz to nie dowód, aby jój przedtém nie znano) i ta grywała msze w kollegiacie ś. Jana. Zygmunt III podobnż sprowadzał tutaj i kochał się w muzyce, jakeśmy wyżej mówili. Władysław IV oprócz muzyki kościelnej, miał na świetnym swym dworze kapelę, która grywała koncerta. Za Jana Kazimierza bywały u dworu muzyki, a nawet amatorowie grywali dzieła dramatyczne, jakoto: Cyda, tłumaczenie Morsztyna i inne tłumaczenia klasyków francuzkich. Król Michał utrzymał muzykę swego poprzednika. Jan III Sobieski także był jój lubownikiem i hojnie wspierał artystów, czego dowodem nadane libertacye od kwaterunków domom mistrzów muzycznych. Oba królowie z domu Saskiego gdy przybywali z Drezna, z ich licznym dworem przyjeżdżała orkiestra. Za Augusta II przywilejem w dniu 25 sierpnia 1699 wydanym, ustanowione było w kościele ś. Jana zgromadzenie muzyczne, a kapela królewska wykonywała tam wspaniałe wielkotygodniowe oratoria. Za panowania Augusta III już kilka było muzyk kościelnych w Warszawie; młodzież bezpłatnie odbierała tam nauki muzyczne, z takich najcelniejszą była tak zwana bursa ks. Jezuitów, a z niój często wychodzili dobrze usposobieni artyści. Królowa Marya Józefa miała zwyczaj w jesieni bywać w tymże kościele o godzinie 6 z rana, na nabożeństwie nowenny do ś. Franciszka Xawerego, w czasie którego starano się, aby muzyka najdokładniej wykonaną była; kościół ś. Jana później miał swoje własną kapelę, pod przewodnictwem znanego kompozytora Jana Stefaniego. U Bernardynów amatorzy grywali w dniu świąteczne najcel-

niejsze ówczesne dzieła muzyki kościelnej, atoli po r. 1794 dla braku funduszków poczęła ona wszędzie po kościołach upadać, a dopiero około roku 1804 kościół Be-nonów był dla młodzieży i amatorów obszernym polem ćwiczenia się w muzyce; codziennie albowiem odprawiano w nim nabożeństwo z towarzyszeniem instrumentów. Wszelako dopiero rozpowszechnienie upodobania do świeckiej muzyki, pomnożyło lubowników i osób poświęcających się tej sztuce. Dotąd nie mamy śladu domowych metrów czyli nauczycieli muzyki, dających lekcye w domach prywatnych. Najdawniejszym o którym można było zasięgnąć wiadomość, był nazwiskiem Zaneyk, uczący na klawikorcie za Augusta III; zajęty on był ustawicznie daniem lekcyj po najznakomitszych domach tu-tejszych, nosił dawny ubiór francuzki i nigdy się nie uka-zał bez małej srebrnej szpady. Później wstawił się nie-jaki Kraska Polak, zawsze był ubrany po polsku, w kon-tuszu z materyi bławatnej i miał przy boku karabelę; znakomici panowie odsyłali go swemi pojazdami od do-mu do domu, w których dawał lekcye. Stanisław August sprowadził orkiestrę z Czech: była ona wyborna, a dotąd żyje jeszcze podobno ostatni z jej członków p. Wejnert. Piérwszy Maciej Kamiński zaczął uczyć w Warszawie śpiewu z słowami polskimi i on był piérwszym kompo-zytorem muzyki do najpiérwszej oryginalnej polskiej ope-ry, a tą była w roku 1778 napisana przez ks. Fran. Bo-homolca pod tytułem: „Nędza uszczęśliwiona” (1). Za

(1) Maciej Kamiński przeżywszy lat 86 umarł w Warszawie dnia 26 stycznia 1821 r. Imię jego w historii muzyki polskiej zaszczytne miejsce zajmuje. Oprócz bowiem wyżej wspomnianej opery polskiej, w r. 1779 napisał także muzykę do operetki: „Zo-ska” która wówczas była najupodobańszym widowiskiem, a 76 ra-zy grana. Jeszcze są jego muzyki do oper: „Prostota cnotliwa”



nim zjawili się inni krajowi kompozytorowie, którzy własnych sił na swojskiem polu probować poczęli. W roku 1799 przyjechał ze Lwowa do Warszawy czcigodny a dotąd żyjący nasz nestor Józef Elsner; zaczęto dawać koncerty publiczne: w pierwszych towarzystwach, w ogrodach i kawiarniach, powtarzano i obznajmiano się z kompozytami sławnych natenczas mistrzów w Europie. Monfreuille kupiec znany z prowadzenia zarazem rozmaitego rodzaju handlu, powiększył swój skład nut na Podwolu. Urzędnik pruski oberfiskal i inkwizytor publiczny, nazwiskiem Mosqua, podał szczęśliwy pomysł do założenia zabaw wieczornych w pałacu Mniszkowskim przy ulicy Senatorskiej, pod nr. 471 lit. B., pod nazwiskiem Harmonii, które uświetniała muzyka przez lubowników wykonywana, i gdzie przy małym wydatku nie brakowało na niczem, dla zadowolenia dobraneo towarzystwa. Były tam wszelkiego rodzaju muzyki, jakoto: oratorya, symfonie, kwarteta, trya, sonaty różne, nawet śpiewy i t. d.; częstokroć bawiono się muzyką w kilku razem do tego urządzonych salach. Czasy wojenne w r. 1808, przerwały czynności tego instytutu.

Publiczne pojazdy po mieście także znacznej w tym czasie zmianie uległy. W roku 1798 okazał się nowy ro-

napisanej przez Bohomolca, „Tradycya załatwiona” przez Zabłockiego, „Balik gospodarski” przez tegoż, „Słowik” przez Wilkowskiego. Gdy Stanisław August z okoliczności inauguracji posągu Jana III w Łazienkach w r. 1788 wspaniale dawał zabawy i widowiska, polecił Kamieńskiemu ułożenie muzyki do stosownej kantaty, która po kilkakroć powtarzana była. Prócz tego Kamieński pisał wiele polonezów, a jeszcze w r. 1820 przypisał publiczności jako ostatnie swe dzieło poloneza na tema z tańca Kopciuszka. Starzec ten do ostatniego dnia zgonu zachował zupełną przytomność i prawie nie chorując zasnął na wieki. (Kuryer Warszawski na r. 1821 nr. 24).

dzaj powozów do najęcia o jednym koniu; ponieważ nie było natenczas innych, zastępowały one dawniej używane fiakry: chcąc zaś uczynić ten pojazd wygodniejszym do pomieszczenia więcej niż jednéj osoby, dodano do niego drugiego konia, a zład powstały nieporównane dorózki, które w naszym czasie do wytworności posunięte, ledwie londyńskim wyprzedzić się dadzą. Podług notat Magiera, właściwie dał im początek wojewodzie Leduchowski. „Było to, mówi on, w czasach ogólnej oszczędności za rządu pruskiego, kiedy przemysł powszechnie zaczynał w Warszawie panować. Leduchowski założył w pałacu Mniszkowskim przy Senatorskiej ulicy skład mebli na sprzedaż w zamiarze, iż gust jego nada im pokup; zamawiał je po stolarzach, przekładając ten handel nad zatrudnienia rolnika. Potrzebując tedy pojazdu do objeżdżania swoich rzemieślników, urządził takowy dla siebie, szczupły, oszczędny i najmował dla niego konia. Podobał się ten pomysł niebawem innym, którzy go naśladować zaczęli.” Handel Leduchowskiego upadł, a dorózki do najęcia odtąd we zwyczaj weszły.

Przez cały ciąg téj epoki niebrakło Warszawie na publicznych zabawach. W roku 1795 pojeżdżali tutaj De Gabriel i sławny Pinetti. De Gabriel pokazywał swój teatr mechaniczny w oficynie pałacu Radziwiłłów, teraz Namiestnikowski (przylegléj do pałacu Tarnowskich, dziś nr. 388 przy Krakowskiém-Przedmieściu), nowość przedtém tu nigdy nie widziana. Kawaler lub inaczej zwany professor Pinetti, głośny w Europie, zadziwiał Warszawę swemi sztukami, które od 1 lipca do 9 sierpnia t. r. w niedzielę, wtorki i czwartki na teatrze pokazywał, a na które po 6 i po 9 złotych od osoby kazał sobie płacić. Współczesne gazety mówią, iż to co pokazywał, prze-

chodziło wszystkie siły rozumu i dowcipu ludzkiego (1). W roku 1798 publiczność licznie zbierała się do Enslema na Senatorskiej ulicy, w pałacu ks. Jabłonowskich (gdzie dziś ratusz), widzieć piękny jego gabinet różnych osobliwości, kształtnych figur, ruchomych automatów, duchów ukazujących się w powietrzu. Tam widziałeś Petrarke i Laure, wszystkie mitologiczne bóstwa, Dantego w piekle i t. d. (2). Pomiędzy możniejszą klasą mieszkańców, powstawać zaczęły zbytkowe zabawy. Podczas karnawału po domach obywatelskich wprowadzono tańczące kawy, kolejno dawane bale, bale migdałowe losem narzucone i t. p.; nareszcie porzęto dawać bale na rzecz ubogich, które rozmaitemi ozdobione pomysłami, słynęły doborem kostiumów i różnych pantomin; np. kilkadziesiąt dzieci w ubiorach azyatyckich, na palankinie ośmioletniego wznosiło lamę: ubiór jego kosztowny, mnóstwo brylantów i powaga jaką sobie nadawał, zajmowały obecnych: usiadł on na przygotowanym dla siebie wspianiem krzesła, przyjmował chińskich posłów, poczem następowały różne pantominy i wschodnie tańce (3).

W roku 1799 hrabina z książąt Poniatowskich Tyszkiewiczowa, otworzyła wytworny teatr amatorów, a brat jej książę Józef podobnyż w pałacu Radziwiłłów przy ulicy Miodowej pod nr. 493 dla pani Vauban urządził. Na teatrach tych grywane były komedye francuzkie przez najznakomitsze osoby. W roku 1800 uformowało się towarzystwo na wzór podobnego w Hamburgu zawiąza-

(1) Gazeta Warszawska na r. 1795, nr. 59.

(2) Gazeta Warszawska na r. 1798, nr. 33.

(3) Opisanie Warszawy przez Ł. Gołębiowskiego. Warsz. 1827, str. 224.

nego z trzynastu osób, złożone z majątniej a wesołej młodzieży, która wyrzucała płocho pieniądze na biesiady i zabawy. Zostawili oni jednak po sobie pamiątkę z rozrywki, której nazwisko dotąd dotrwało, a tą jest publiczna maskarada. Pierwsza taka zabawa (gdyż dawniej tylko na dworach wielkich panów lub na uroczystościach królewskich coś podobnego wyprawiano), odbyła się w Warszawie w roku 1801, w dniu 19 marca, na śgo Józefa. Wspomniane wyżej towarzystwo zajęło się daniem owój bezpłatnej i długosłynnój maskarady: płeć piękna wystąpiła wtedy okazale, w braku kostiumów, staroświeckie ozdoby w dawnych skarbcach zachowane na jaw wyszły. Mnóstwo było, powiada jeden ze współczesnych, klejnotów i wszelkiego rodzaju ozdób, jakoto: księżyców, naramników, kołpaków; tańce i scena polska i włoska naprzemiany całą noc bawiły zbraną publiczność, co wszystko naszym mieszkańcom podobało się, i odtąd co rok w karnawale poczęły bywać maskarady. Jako szczególność, która w swoim czasie wszystkich zajmowała, był także w r. 1804 bal w czasie karnawału, dany przez sławnego wtedy w Europie bogacza Michała Walickiego, z losu i fortuny prawdziwego Monte-Christo, który z gry w karty i wypadków nadzwyczajnych, doszedł do bajecznego prawie majątku (1). Powróciwszy z za granicy mieszkał

(1) Michał Walicki, właściwie z ojca nazywał się Mickiewicz. Chodził do szkół w Wilnie u Jezuitów, a następnie w Krakowie, gdzie mieszkając w domu, w którym trzymano publiczny billard tak się w tej grze wyćwiczył, iż z tego po całym mieście słynął. Dowiedziawszy się o dziwnej jego zręczności Soltyk podstoli koronny, zabrał Mickiewicza z sobą do Wiednia; tam gdy szczęście mu posłużyło, zebrawszy pieniądze sam pojechał do Paryża, gdzie wynalazł i potrafił przywiązać do siebie uczonego Krzysztofa Wie-

w Warszawie w domu swoim na Długiej ulicy, pod nr. 542, i zadziwiał zbiorem drogich zabytków starożytności i bogactw w kameach, nieocenionych kamieniach i rozmaitych klejnotach. Powiada jeden ze współczesnych, że na wspomniony bal umyślnie kazał cały swój dom w murach nawet zupełnie przerabiać, a pokoje litemi i osobliwyszemi bławatami obite, kosztownemi sprzęty przyozdobione zostały. W przymurowanej umyślnie na ten bal oficynie, czarodziejskie prawie wschody z pierwszego piętra prowadziły do dalszych bufetów na chłodniki i kolacyję; stopnie schodów zielono ubrane, gaily obok stojące drzewa cytrynowe i pomarańczowe. Stoły w dolnych salach licznem i nader misternie wyrabianem srebrem zastawione, pod ich ciężarem uginały się; zdobiła je nadto porcelana serwska, japońska i chińska. Cudnie ubrane pokoje przedmiotami najwytworniejszych

siołowskiego, od którego łatwym sposobem razem mieszkając nauki przejmował, a następnie zadziwiał niemi swoich znajomych. Grał przytém ciągle i nadzwyczaj szczęśliwie zgromadzał ogromne pieniądze; trzymał dom otwarty dla znajomych, a dla lepszego tonu kupił u Bazylego Walickiego wojewody rawskiego nazwisko, herb i przyjęcie siebie do jego rodzeństwa, zaś w r. 1787 od Stanisława Sołtyka za 4000 dukatów tytuł podstołego koronnego. Tak uzacniony, znalazł wstęp do dworu Ludwika XVI króla francuzkiego, grywał tam na grube stawki i ogrywał obojga królestwo, przytém ważne oddawał monarsze usługi. Zbogaciwszy się niezmiernie i zgromadziwszy niestychane skarby w klejnotach, przedmiotach sztuki i zbytku, wrócił do kraju, kupił sobie pałac na ulicy Długiej pod nr. 542; drugi w Grodnie i dobra Jeziory, 'nieopodal od tego miasta leżące. Na Litwie słynął z dobrych i filantropijnych uczynków, jakiś czas mieszkał w Petersburgu i zadziwiał swemi bogactwami, układnością, mianowicie zaś zbiorem brylantów; rząd posądzało go nawet, iż niemi na wielką skalę handlował skrycie, dlatego, aby nie stracił swęj wziętości pomiędzy wyższem towarzystwem, wówczas także przeciw temu stanowi uprzedzonemu. Walicki na starość stracił majątek i swoje bogactwa, i umarł w r. 1826 w Wilnie.

arcydzieł sztuk pięknych, i niesłychane bogactwo we wszelkich sprzętach i ozdobach, zachwycaly zaproszonych gości, mianowicie damy, które znalazły upajającą zmysły miękkość Wschodu i ludzące naśladowanie opisywanego przez poetów ziemskiego raj.

Co do teatru, polski w początkach panowania pruskiego był jakiś czas zamknięty; nielepij się atoli i niemiec-kiemu powodziło, albowiem nawet familie niemieckie od kilkudziesiąt lat w Warszawie osiadłe, mając prawie zawsze oddzielne zabawy, których się trwale trzymały, obojętne były na teatr i wcale na niego nie uczęszczały. W r. 1796 Olhorst ze swoim towarzystwem niedługo mógł utrzymać się. W r. 1800 drugie podobne towarzystwo z kilkunastu osób złożone, pod dyrekcją pana Kübler podobnie nie było szczęśliwsze. Grywali oni jedni i ci sami tragedye, komedye, dramy i balety, i nieraz, jak mówi Magier, ten, który w piérwszej sztuce grał rycerza, tegoż wieczora w balecie pajazzo przedstawiał. Szczupłe jednak tych artystów dochody zniewoliły ich wkrótce do wyjazdu. Tymczasem truppa polska lub jak ich wtedy zwano: „komedyantów polskich” z początku pod sterem Truskolaskiego słabo działająca, w r. 1800 pod kierunkiem Wojciecha Bogusławskiego ożywiona, nader liczną zwabiła publiczność, zwłaszcza, gdy ulubiony dyrektor i zarazem najlepszy aktor, autor i tłumacz upodobanych i zastosowanych do czasu sztuczek, umiał wziętość teatru polskiego utrzymać. Wziętość ta atoli, jak świadczy jeden z wiarogodnych pisarzy, nie pochodziła z upodobania w sztuce dramatycznej, ani przychylności dla artystów, ale ztąd głównie, że teatr był jedynem miejscem, w którym krajowym językiem przemawiano do zgromadzonej publiczności; że tam można się było ze swemi

znajomemi widzieć i być widzianym; zresztą na teatrze ówczesnym sztuki wzorowe nie popłacały, a publiczność liczniej się zgromadzała na sztuki hucznie bawiące, niż szlachetnie rozweselające i unoszące umysł (1). W roku 1804 oba teatry: niemiecki pod dyrekcją Karola Döbbelina i polski połączone zostały. Sławny ten komik berliński podług świadectwa współczesnych wielką miał wziętość w Warszawie, a publiczność zawsze mu wyższość jego talentu przyznawała; gra zaś jego korzystnie na Żółkowskiego Aloizego miała wpłynąć. Było tu także i towarzystwo aktorów francuzkich, z których w roku 1802 artyści Duparet i pani Levandoise, a w r. 1805 p. Fourez celowali. W ówczesnych teatrach warszawskich nie było jeszcze krzesel ani ławek na parterze, po którym jakby po wielkiej sali cała publiczność ciągle się przechadzała, co niezbyt korzystnie i dla aktorów, i dla sceny najczęściej wypadło.

Sprowadzony jeszcze w roku 1780 przez Tyzenhauza podskarbiego wielkiego litewskiego z Paryża Ledoux Francuz (zmarły 1823 r.), dla utworzenia krajowego baletu, który wyprawiał także publiczne kassyńa w pałacu pod nr. 556 przy ulicy Długiej (dziś dom Dücker-ta sukcesorów), z początku dla dorosłych a następnie dla młodzieży na pensjach uczącej się, założył w r. 1802 także szkołę tancerzy z 30 dzieci złożoną, z której wy-

(1) Z powodu wystawienia częstego na teatrze Abelina Bandyty Weneckiego, wydawca Pamiętnika Warsz. 1809 nr. IX, k. 353 napisał: „Łosem dziwacznym, Abelino przetrwał Brytannika, Cyda, Alzyrę, Horacyuszów, o których sztukach jeden z poetów na parterze powiedział:

„Jak piękne sentymenta! jak wielki Horacy!  
Z uniesieniem powszechnie wołali Polacy.  
Co za dzieło! wyniosłość! jak wyborne myśli!  
Klaskali... ale przecie drugi raz nie przyszli”.

szły sławne w swoim czasie tancerki: Górska, Szyjewska i inne. Nie mogąc atoli jój utrzymać bez publicznego wsparcia, udał się do Gdańska, lecz mimo dobre przyjęcie, wydatkom podołać nie był w stanie i rozpuścić tę szkołę był przymuszony.

Wreszcie, aby nie opuścić żadnego rysu do stanu wewnętrznego miasta, wypada wspomnieć i o tych istotach, które natura lub własna wola nacechowała jakąś dziwacznością, innym zaś los porządek w głowie przewrócił. Któreż ich miasto nie miało i nie ma! Londyn, Paryż i inne wielkie miasta mają podobne nieszkodliwe nikomu istoty, cel pośmiewiska ludu i uciecha uliczników. Miała ich oddawien Warszawa, a w starych dziennikach około r. 1750 pisanych, znalazłem wzmiankę o niejakiem Macieju z nazwiska nieznanego, którego tylko powszechnie cała Warszawa Maciusiem zwała. Był to starzec przeszło 80letni, mieszkał w lichój budce w stronie dzisiejszego Muranowa. Zatrudnieniem jego było uczyć czytać ubogich chłopców, co skutecznie codziennie przez dwie godziny rano i tyleż po południu. Za swą pracę nie brał żadnej nagrody; żądając tylko aby codziennie dostał grzanekę chleba, miseczkę kaszy z solą, a w niedzielę i czwartek z okrasą; dwie koszul na rok i na każdą pierwszą niedzielę miesiąca starą łątę, z których składała się jego oponcza. Mimo tak podeszłego wieku, miał czerstwe zdrowie i głos bardzo donośny: mnóstwo miał uczniów, których z nadzwyczajną łagodnością uczył czytać. Nie pijał żadnego trunku, a nie jadał innych potraw prócz kaszy. Jeśli mu kto z dobrodziejów przysłał cokolwiek pieniędzy, obrócił je na kupienie elementarzy dla swych uczniów, nie będących w stanie kupić, a gdy otrzymał znacznieszą jałmużnę,



sprawił ubogim chłopcom odzież. Znakomite osoby przybywały do jego budki aby widzieć tę szkołę; kilku panów złożyło się na rozszerzenie tego ubogiego mieszkania i wystawienie pieca, aby i w zimie nauka mogła się odbywać: drzewa na opał obficie dostarczali miłośni obywatele. Po kilku latach Maciuś rozpuścił swych uczniów na wakacje i oświadczył, że musi odbyć podróż, po której wróci do pełnienia swjej pracy; jakoż wyszedł lecz już nie wrócił; napróżno się troskliwie dowiadywano co się z nim stało. Innym dziwakiem był do r. 1801 w samym końcu ulicy Chmielnej, przy dawnym trakcie do rogatek Jerozolimskich mieszkający, niejaki Jan, także starzec 80letni, pustelnikiem nazywany. Do nazwiska zaś tego mogło dawać powód mieszkanie jego, naokoło prawie drzewami owocowemi zacienione, i samo postępowanie właściciela, nie udzielającego się nikomu, a nawet unikającego wszelkiej znajomości i rozmowy, jeżeli niekiedy za domem był spotykany. Syna swego lat czterdzieści przeszło mającego, w największej jakby nieletniego utrzymywał uległości; owoców z swego ogrodu, które były wyborne i drobiającego podostatkiem i w dobrym gatunku, nie chciał przedawać choćby za dobrą zapłatą: grunt przyległy swjej posesyi zapuszczał na trawę dla byka, którego chował bez żadnego użytku i do którego nikt oprócz niego samego, nawet syn jego, dla dzikości tego zwierzęcia, nie mógł przystąpić. Szczególnem upodobaniem tego człowieka było zbieranie wielkich kamieni, któremi dom swój i ogród wraz z gruntem obkładał, nadto budował z największych kamieni siedzenie przy drodze, nikogo do tej roboty nie używając: sam jeden bowiem pomimo tak podeszłego wieku, był w stanie zataczać sztuki, kil-

kanaście centnarów wagi mające, za pomocą jedynie drąga i walców. Po śmierci jego, syn wyniósł się z porządnie zagospodarowanego domu, który w krótkim czasie był rozebrany. Później rozweselały Warszawę trzy następne figury, zwano je pospolicie: jednego Kożuszkiem baranem, drugiego Stefankiem, a trzeciego Stasiem. Pierwszy z imienia Walenty, przybył z Podola czy z Ukrainy do Warszawy około roku 1790: wesóły, śmiały, rozmaite psoty damom i różnym kobietom, a szczególnie przekupkom pod królem Zygmuntem wyrządzał. Twarz miał przyjemną, oczy ogniste, ubierał się w krótki kożuszek i czapkę z piórkami rozmaitemi, chodził czyli raczej biegał boso po ulicy, ciągle śpiewając: „Kožuszek barani, czapeczka z piórami, nie zastawszy jegomości, łup cup po jójmości” i t. d. Prawie wszystko co mu dano, oddawał starym żebrakom. Odpowiedzi jego często były bardzo dowcipne; czasem rozgniwał znakomite osoby, którym na ulicach wymawiał że zbyt kuja, a nie pamiętają o biedakach. W roku 1801 za rządu pruskiego osadzony został w cuchthauzie i do robót tkackich przeznaczony, z kąd w roku 1806 do fortecy w Spandau przewieziony, wkrótce umarł mając lat przeszło 30. Drugi Stefan Wyszotrawka, powszechnie Stefankiem przezywany, przybył w czerwcu 1805 r. do Warszawy z dóbr starościny Chodkiewiczowej Pękałowa na Wołyniu. Póki mu przywiezione z sobą pieniądze starczyły, kupował co dzień kilka bukietów, które zaraz dorodnym a otyłym pannom ofiarował; był bardzo wesóły i zabawny, ubierał się dziwacznie i zwykle nosił frak biały staroświeckim krojem, kamizelkę pąsową, spodnie czarne, krótkie, pończochy białe jedwabne lub cienkie niciane, i kapelusz okrą-

gły z dużemi skrzydłami. Kiedy mu już funduszu na dalsze utrzymanie i kupowanie bukietów zabrakło, zaczął się trudnić krawiectwem, przerabiając lub nicując płaszcze i surduty. Mieszkał przez kilkanaście miesięcy w pałacu na Ordynackim pod nr. 2874, z kąd w październiku 1806 roku, napowrót do Pękałowa odjechał i tam wkrótce umarł, mając lat przeszło 50. Nakoniec Staś syn wyrobnika z nadwiślańskich okolic, z miłości dostał pomieszania zmysłów; ubierał się w kapelusz damski i zawsze kilka kotków z sobą nosił, suknią damską nakształt szlafroka one pokrywając. Śpiewał i uśmiechał się do przechodzących, a za otrzymywaną jałmużnę, dziękował w imieniu kotków, którym zaraz mleko i bułki kupował. Umarł około roku 1809 w posesyi Kasztelańskie zwane, obok mostu, mając lat przeszło 46 (1).

Najmniej może ze wszystkiego pod względem naukowym w Warszawie w ciągu tego czasu postąpiono. W pierwszych latach rządu pruskiego, wychowanie publiczne nie miało wyższego nadzoru, i zaniedbane dowolnie wszystkim wadom czasowym ulegało. Francuzi wszelkiego rodzaju, szczególnie zaś księża, bez względu na ich usposobienie, tak jak po dworach szlachty, tak i u bogatszych mieszkańców tutejszych najwięcej tem trudnili się. Każdy dom znaczniejszy musiał mieć Francuza guwenera czyli *labego*, bądźto dla uczenia dzieci i niedorostków mowy francuzkiej, bądź dla prowadzenia z panią konwersacyi. Było poniekąd zbytkowy, modny, a niezbędny mebel w każdym porządniejszym domu, a ponieważ każdy zbytek od większych do mniejszych przechodzi, upowszechnił się więc zwyczaj posiadania gu-

(1) Podług notat współczesnych łaskawie mi udzielonych.

wernerów Francuzów do tego stopnia, że ich na różne ceny, począwszy od dwunastu do stu dukatów rocznie, ustawicznie z zagranicy zapisywano (1) „a do Warszawy, pisze w swoich pamiętnikach Kozłowski, częstokroć całe bryki naladowane temi improwizowanemi pedagogami, których własny kraj z łona swego wyrzucał, do nas jak ostrygi pocztą zwożono.”

Pensye męskie i żeńskie także sami prawie Francuzi utrzymywali, między któremi najznaczniejsze były z pierwszych: pp. Rousseau, Gavarda, Gailleau, Marchanda, Rougeta i t. d. z drugich pp. Grand Geant, La Casa i t. d. a chociaż liczba ich pomnażała się coraz, było ich bowiem w roku 1800 przeszło sto, nie zajmowano się w nich istotnie potrzebnemi naukami, lecz kształcono do zabaw i zabiegów towarzyskiego życia. Utrzymywano bowiem wtedy powszechnie, iż na pensyach panny powinny się wcześniej do obejścia światowego przygotowywać; ochmistrzynie tedy po wszystkich pensyach wyprawiały baliki pensyonarskie, bądźto podczas karnawału, lub też z powodu uroczystego jakiego obchodu, np. imienin *madamy* i t. p. Rozumić się, iż pensye męskie idąc za tym przykładem, podobnie wyprawiały baliki i uczyły chłopców tańczyć i bawić się. Ci albowiem, co utrzymywali pensye lub szkoły wyższe, po większej części nie szukali w tém innéj nad swoje własną korzyść, mało troszcząc się o przyszłość wychowaućców, ich moralność i usposobienie; przestawano na uczeniu ich ladajako kilku języków, a zresztą zamykano oczy na ich prowadzenie się, lub pobłażano wadom i szkodliwym skłonnościom. Ogólnie prawie otwierano wtedy pensye

(1) Pamiętniki Segłasa, w Bibl. Warsz. na r. 1844, t. IV, str. 93.

i szkoły prywatne tak, jak sklepy handlowe; do których udało się przedsiębiorcy szczęśliwie zwabić znaczniejszą liczbę wychowañców, to najmował im dom obszerniejszy: w przeciwnym razie zamykał go i do innego rodzaju przemysłu udawał się. Trafiło się wtedy, iż jeden Francuz, gdy spekulacya na pensyi mu nie udała się, założył sobie sklep winny. Z drugiej znowu strony, sami rodzice szkodliwym podówczas zwyczajem wiele do zlego przyczyniali się. Zmieniano bowiem co rok pensye, utrzymując, iż dziecię tym sposobem więcéj się nauczy; co było przyczyną, iż właściciele tychże nie przywiązywali się do swoich uczniów, nie będąc pewnymi, czy ich nadal utrzymają, i sami uważali zakłady swoje hardziej do domów zajezdnych stosowne, niż na wychowanie młodzieży przeznaczone. Z tego téż powodu powszechnie wtedy chcąc oznaczyć dobroć jakiego naukowego zakładu w Warszawie, wyrażano się: iż ten lub ów pensye utrzymujący jest szczęśliwy, inny nieszczęśliwy: *tel a beaucoup de bonheur, tel est fort malheureux* (1). Rzadko którzy rodzice wysyłali swych synów na wyższe nauki do Wrocławia, Frankfurtu, Berlina i t. p. Wprawdzie szkoły pijarskie za najlepsze wtedy uważano, lecz tam jeżeli nie tańczono, to znowu kursa nauk dziwnie wykładano. I tak: ks. Osiński professor osądził, że lepiej dawać fizykę w szkołach we francuzkim języku powszechnie wszędzie przyjętym,

(1) Obszerne szczegóły o sposobie ówczesnego wychowania, dostarcza dziełko p. t. „Essai critique sur l'education publique, que l'on donne dans la Prusse méridionale autrefois Pologne, par L. A. Délicourt, maitre-és arts.” Varsovie, 1800, 8vo, które obszernie i bardzo szczegółowo zbija Murray w dziełku: „De l'état des études des lettres et des meurs en Pologne pour servir de réponse à l'essai critique sur l'education Polon. par E. N. Murray. Varsovie, 1800”; zgadzając się atoli w zarzutach, które tu przytoczyłem.

aniżeli w polskim; wynajdował więc wyrazy do jej tłumaczenia, co trwało przez kilka lat, i przez ten czas, jak mówi Magier, na examinach publicznych uczniowie dosyć ten fizyczny język nakaleczyli, fizyka bowiem była wtedy w modzie. W roku 1798 de Gabryel dawał publicznie mały kurs fizyki w salach reductowych, tłumacząc się po francuzku, a w roku 1804 przybył tu z Berlina doktor Lemos; ten dawał w niemieckim języku fizykę i chemią w pałacu pod nr. 492 przy ulicy Miodowej: opatrzony zaś potrzebnymi narzędziami, pokazywał niektóre doświadczenia chemiczne w ogrodzie tegoż pałacu, na któreto kursa dość licznie publiczność uczęszczała. Wielu mieszkańców Warszawy, a większa liczba obywateli ziemskich, zajmowali się wtedy doświadczeniami elektrycznymi i galwanicznymi, i w tym celu odwiedzali Magiera, dla nabycia różnych ku temu potrzebnych narzędzi, niemniej barometrów i termometrów wtedy upowszechniających się, a których ten szanowny dostrzegacz powietrza i zwyczajów Warszawy, znaczne miał zapasy.

Przy téj sposobności niech mi tu będzie wolno kilka słów powiedzieć o życiu człowieka szczerze i prawdziwie do miasta tutejszego przywiązanego, którego w swoim czasie cała Warszawa dobrze znała. Antoni Magier z dawnéj familii tutaj osiadłéj, dziad jego albowiem był winiarzem a wuj Jezuitą, urodził się w roku 1762 dnia 2 czerwca. Początkowe nauki pobiérał od roku 1773—1774 u niejakiego Roberta w rynku Starego Miasta pod nr. 69 pensją utrzymującego, od r. 1776—1778 chodził do szkół jezuickich na ulicy Jezuickiéj pod nr. 73 wtedy istniejących; następnie zaś młodość swoje przepędził na dworze Franciszka Bielińskiego marszałka w. koronnego, wczesnie nauce fizyki i astronomii

poświęciwszy się. Przy utworzeniu b. liceum warszawskiego professorem tych przedmiotów wybrany, słynął ze swoich dostrzeżeń meteorologicznych, które w gazetach umieszczał, a nad którymi w domu własnym na Piwnej ulicy pod nr. 95 na samym szczycie dachu, w osobnym do tego urządzonej miejscu spostrzeżenia czynił, a z kąd od r. 1803 przez lat 25 okazywał publiczności stopnie ciepła i zimna. Mieszkańcy Warszawy tak przyzwyczajeni byli do téj figury chudéj i wysokiéj, iż gdy go ujrzano w dniu pogodnym, wychodzącego na ulicę z parasolem w rękę, znak to był zmiany powietrza, w który wierzone. Umarł Magier mając lat 75, d. 6 lutego 1837 r. w tym samym domu, w którym się urodził, a który w szczególny sposób urządził. Uniósł on z sobą do grobu szacunek wszystkich którzy go znali, przyjaźń licznych wielbicieli, miłość przywiązanych krewnych i wdzięczność mnóstwa nieszczęśliwych, których był dobroczyncą. Z szczupłym majątkiem który zostawił, podzielił się z kochanym przez siebie miastem, zapisując w testamencie, w dniu 21 września 1836 r. urzędownie sporządzonym, następane summy: 1) dla urzędu municypalnego miasta Warszawy na wystawienie kompasu w miejscu przystępnym dla publiczności złp. 1000, 2) dla instytutu moralnie zaniedbanych dzieci złp. 2000, 3) dla Towarzystwa Dobroczynności na fundusz zupy rumsfordskiéj złp. 1500, 4) dla szpitala warszawskiego Dzieciątka Jezus zł. 1000, 5) na fundusz wieczysty dla wysłużonych aktorów sceny warszawskiéj zł. 1000; w ogóle złotych 6500, któryto zapis Rada Administracyjna królestwa na posiedzeniu swoim dnia 22 czerwca 1838 r. zatwierdziła.

Oprócz znanych jego prób czyli miar do wódek i wszelkich spirytusów, za urzędownie uznanych i techni-

czne miano od jego nazwiska mających, które dotąd jeszcze są używane. również barometrów i termometrów przez niego sporządzanych; jako autor wydał nadto następujące dzieła:

1) O używaniu barometrów i termometrów. Warszawa, 1802, w 8ce.

2) O próbach czyli sposobach próbowania mocy wódek i spirytusów. 3 wydanie, Warszawa, 1814.

3) Fizyka dla dzieci czyli łatwe i proste tłumaczenie niektórych téj nauki części. Warszawa, 1815.

4) Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w Warszawie od roku 1813 do 1824, umieszczone w Roczn. Tow. Przyr. N. Tom XVIII.

5) Dostrzeżenia meteorologiczne w Warszawie z roku 1826, umieszczone w Dzienniku Wileńskim na r. 1826 T. II, str. 45.

W ciągu swoich 25letnich badań nad stanem naszego klimatu, uczynił obserwacyj termometrycznych, to jest nad zmianami ciepła i zimna w liczbie 27,393; barometrycznych czyli nad zmianami ciśnienia powietrza także 27,393; hygrometrycznych, czyli nad zmianami wilgoci w powietrzu 25,203; obserwacyj z anemoskopem, to jest ściągniętych się do kierunku wiatru 27,393; udometrycznych czyli do ilości spadającej wody z powietrza w stanie deszczu, śniegu, gradu i t. p. uczynił około 3120; atmedometrycznych, to jest nad ilością wysychającej wody, około 555; naostatek nad stanem nieba czyli nad zmianami pogody, słońca i t. p. uczynił dostrzeżeń 27,393. W ogóle więc liczba obserwacyj zrobionych i zapisanych przez Magiera, jak się można zapewnić z jego dzienników przez rząd po śmierci zakupionych, wynosi z okładem 138,000. Oprócz tych dostrze-



żeń, wykonywanych przez samego Magiera w jego obserwatorium przy ulicy Piwniej, pomieszczone są jeszcze w owych dziennikach wszystkie podobne dostrzeżenia czynione przed nim w Warszawie, i te które od 50 lat zapisywane są przy moście nad wzbieraniem i opadaniem Wisły. Z tych wszystkich dostrzeżeń ułożony został obraz przedstawiający stan naszego klimatu, który pod nazwiskiem:

6) Karta meteorograficzna stolicy królestwa polskiego, Warszawa, 1829, wyszedł z pod prasy litograficznej w małej liczbie exemplarzy, wraz z objaśnieniem w polskim i francuzkim języku.

Zajmując się później historią obyczajową miasta Warszawy, dostarczał wiele krótkich, lecz nader interesujących artykułów, które były w Kuryerze Warszawskim w swoim czasie umieszczane; zaś jeden z obszerniejszych pod tym względem, w Rozmaitościach do Korrespondenta Warszawskiego na r. 1824 nr. 12 i 13 pod tytułem:

7) Zabawy zapustne, reduty, bale, pikniki i assamble, w Warszawie.

Lecz czém szczególnie dla historii Warszawy przysługę uczynił, to swemi pamiętnikami, a właściwie notatami, które w rękopiśmie zostawił. Nieoszacowane one są chociaż nieukończone, bo tylko do roku 1808 doprowadzone, i w składzie swoim bez ładu i planu kręślone. Notaty te następny noszą tytuł: „Estetyka miasta Warszawy, czyli historyczne opisanie rozmaitej zmiany, postaci tego miasta, obyczajów mieszkańców różnego stanu, sposobu ich życia, zabaw, wychowanie młodzieży, wzrostu literatury, kunsztów, rzemiosł, handlu i odmieniającego się gustu, w strojach, sprzętach, pojazdach

i t. p. od początku panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, tudzież z krótkim zakresem życia jego domowego, aż do teraźniejszych czasów, wraz z opisem niektórych w tych latach zdarzeń.”

Co zaś mu dało powód do zajmowania się temi pamiętnikami, i jak je sam uważał, na jednem miejscu w tych słowach tłumaczy: „Naoczny świadek sześciu panowań w przeciągu blisko lat siedmdziesięciu, opisałem wiernie wszystkie prawie odmiany i niektóre przygody ukochanego naszego miasta, w tym czasie wydarzone, któryto opis z niejakich czasem drobnostek złożony, miejscami wierszem ówczesnych poetów do okoliczności zastosowanym przeplatany, więcej podobno mnie sprawił zabawy, niżeli u czytelnika zasłużyć sobie może na jakąwą zaletę. Zajęty przez lat 25 dostrzeżeniami odmian nadpowietrznych w Warszawie, w późniejszych czasach zastanawiałem się nad niestałością obyczajów i mniemań w témże mieście, w czasie upłynionego mego wieku zdarzonych. Ułożyłem to opisanie w sposobie owych dawnych u nas dzienników familijnych; uwielbiałem bowiem zawsze ten zwyczaj przodków naszych, teraz niestety zaniedbany, i w nich uważałem obraz czasów i ludzi wierniejszy nad wszystkie dzieje.”

Notaty te posłużyły mi do niniejszej pracy i do jej przedsięwzięcia także zachęciły. Nieszczęśliwym atoli trafem, pozwolono mi korzystać z najmniej zupełnego egzemplarza, drugi bowiem daleko lepszy, zabrał z sobą na Litwę p. Michał Baliński, do zamierzanój przez niego historii tutejszego miasta; na nim więc cięży odpowiedzialność, aby jedyne tego rodzaju pamiętniki, wewnętrzny stan historii Warszawy przedstawiające, nie strąły się.

Wracając się do stanu nauk w Warszawie, za uspieniem ich powszechném poszło, iż drukarnie i księgarnie znowu tutaj upadły; zwątlale życie pierwszych, utrzymywały tylko pojedyncze kilku ludzi starania. Umarł Gröll i Dufour, oba najznacniejsi pod tym względem przedsiębiorcy. Uzięcia pierwszego, Rakoczego, drukował Czacki znane dzieło. „O litewskich i polskich prawach” (1801 r.) jedyna ważniejsza książka w tych czasach wyszła. Umarł Piotr Zawadzki (1796 r.), po którym wdowa nie umiała zakładu w porządku utrzymać. W drukarni tedy tylko pijarskiej najwięcej dzieł wydawano, bo była największą, a kierowana starannie przez zasłużonego w tém zgromadzeniu ks. Szymona Bielskiego, zalecała się szczególnie poprawnością tak dobrej korekty, jakiej dotąd nasze drukarnie nie mają. Nowy krok ulepszenia drukarstwa ukazał się w Warszawie w roku 1802, kiedy Tadeusz Mostowski założył przy ulicy Nowolipie pod nr. 646 w pałacu, gdzie dziś lewa strona gmachu Kommissji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych przy ulicy Przejazd, drukarnią w zamiarze wydawania wyboru pisarzy polskich. Wprawdzie do dopełnienia całego ogromu dorywcze i ułamkowe poczyniono kroki; wielki nakład na całość, a połatanne próbki: zamiast jednej dostatniej drukarni, zgromadzono pod jeden dach wielorakie z sobą nie stosujące się drukarnie małe: miało wychodzić jedno w stu tomach dzieło, a każdy jego tom wydawał się być z innego zakładu. Tak więc niedopełnione było przedsięwzięcie; jednakże czcionki piękne z Paryża i Lipska sprowadzone, Warszawę wzbogaciły; użyte na dobrym papierze, pięknie się wydały i z czasem po rękach rozeszły. Za przykładem Mostowskiego i pijarska drukarnia poszukując lepszych druków,

z Berlina je sprowadziła (1). Dąbrowski Wiktor w r. 1805 drukarnią urządzający, w tym sposobie nową zaprowadził.

Co do księgarstwa, i krajowcy i obcy którzy przemyślem wiedzeni, nowe w tym rodzaju sklepy zakładali, niedługo utrzymać się mogli; ci zaś co pozostali, zmuszeni byli inne przybiierać handle, i wraz z książkami rozmaite towary sprzedawać. Tak Fr. Chr. Netto na Krakowskiem-Przedmieściu, w kamienicy pod nr. 457 sklep mający (dziś do p. Antonina należący) obok książek, rycin, nut muzycznych, sprzedawał nasiona i różne wiedeńskie jarzyny (2). Jerzy Dawid Wilke księgarz, Thoms i Melchin księgarnią w kamienicy pod nr. 456 od ulicy Senatorskiej (gdzie teraz jest sklep p. Dobrycza) utrzymujący, niedługo w Warszawie przebywali.

Z pism peryodycznych Gazeta Warszawska i Gazeta Korrespondenta Warszawskiego największą wziętość miały; pierwszą redagował A. Lesznowski niegdyś deputowany z miasta na sejmach, drugą Hippolit Wyżewski b. szambelan króla Stanisława Augusta. Obie tylko dwa razy na tydzień wychodziły, dodatkami przy zdarzonej potrzebie pomnażając. U Pijarów drukowano od 1796 do 1806 roku niemiecką gazetę pod tytułem: „Warschauer Intelligenzblatt.” Doktor Leopold Lafontaine od roku 1801 do 1802 pisał po francuzku. „Dziennik zdrowia” tłumaczony na polski i drukowany przez Jakóba Adamczewskiego którego tylko 12 zeszytów wyszło. Franciszek Dmochowski co miesiąc od 1801 do 1805 r.

(1) Bibliograficznych ksiąg dwoje, t. I, 225.

(2) Przekonywać się o tem można z doniesień we współczesnych gazetach umieszczanych, np. Gazeta Warsz. na r. 1796 nr. 29 i następne.

wydawał u Pijarów „Nowy Pamiętnik Warszawski.” Jeden atoli i drugi dla braku pokupu, mimo rzeczywistych zalet ustać musiały. Nie było tedy czytelników, a tém samém niedostatek nakładu na opędzenie potrzebnych wydatków i piszących i drukujących zniechęcał i umniejszał. Literatura więc ówczesna bardzo była ograniczona, a jeżeli wychodziły jakie dzieła, to o hodowaniu owiec, bydła, paleniu wódek, warzeniu piwa, o korzystnej uprawie koniczyzny i t. p.

Język krajowy z jednej strony francuzkim z drugieji niemieckim ściśnięty, nabierał dziwacznych wyrażeń, które na długi czas ślady w nim pozostawiły. Pierwszy dziwaczną modą narzucony, pokoszlawiony i naprędce wyuczony, nazywał się językiem konwersacyi i dobrego tonu; a ponieważ nie umiano go dobrze, zatem swój gallicyzmami pstrzyć zaczęto. I tak wyrażenia: wystąpić (*se presenter*), kure robic (*faire la cour*), foty robic (*faire des fautes*), frapować (*être frappé*) i mnóstwo tym podobnych były w modzie i tak powszechnie, iż i po piśmich ówczesnych znaleźć je można. Język niemiecki potrzebą, lecz nie koniecznością i dlatego także powierzchownie nabywany, ponieważ nie był obowiązkowym a jednak pożytecznym; poszło zatem, jak utrzymuje bezstronny Jan Sam. Kaulfuss, iż w Warszawie źle mówiono po polsku, źle po francuzku, a jeszcze gorzej po niemiecku; a gdyby stan rzeczy dłużej potrwał przyszloby do tego, iż żadnym językiem mówićby nie umiano, lub nowy na podobieństwo francuzkiego *jargon* utworzonoby (1). Wprawdzie przy końcu téj epoki przedsiębrano środki zaradzenia złemu: uczony biskup Jan Al-

(1) Polens Untergang; ein charakteristisches Gemälde diaser Adels-Nation. Cöln, 1808, 1809, nr. 2, str. 29.

bertrandy założył na wzór zagranicznych, za upoważnieniem rządu w roku 1801, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, którego pierwsze posiedzenia odbywały się co miesiąc w bibliotece ks. Pijarów przy ulicy Długiej, a następnie we własnym domu przy ulicy Kanonia, z trzech domów pod nr. 85, 86 i 88 utworzonego. Lecz byłoby usiłowania prywatne i niewiele wpływu na ogół mające. Wreszcie ustanowiono w r. 1804 liceum pod zwierzchnictwem Eforatu czyli dozoru szkół.

Naostatek zamykamy ten rozdział wzmianką o szkodliwych wylewach Wisły, jakimi były w r. 1799 dnia 16 kwietnia, w którym woda do łokci 6 i cali 16 pod Warszawą wezbrała. W roku 1800 dnia 7 kwietnia na łokci 7 cali 17. Nakoniec w roku 1806 z dnia 28 na 29 kwietnia na łokci 7 cali 14, ze wszystkich najszkodliwszy. Wisła bowiem szeroko wtedy na brzegi wylała, i aż do 30 kwietnia tak przybięrała, że po ulicach przyległych czółnami pływano, zerwała kilka łyżew u mostu i wielkie poczyniła szkody (1).

(1) Gazeta Warszawska na rok 1806, Dodatek do nr. 35.

(Dokończenie nastąpi).

## ROZMAITOŚCI.

*O tożsamości tura (urus) i żubra (bison) z niemieckiego przez W. Weissenborna dra filozofii (1).*

Krytycznie badając podania, zawarte w pismach autorów dawnych i nowszych o zwierzętach europejskich z rodzaju wołu, doszedł, jak wiadomo Cuvier w czwartym tomie swojego dzieła *Recherches sur les ossemens fossiles*, do tego wypadku, że tur (*urus*) jest odmienném zwierzęciem od żubra (*bison*), że od pierwszego domowe bydło pochodzi i że ostatnie potomki drugiego w puszczy Białowieskiej w Litwie żyją. Pierwszemu gatunkowi wrócił on niemieckie nazwisko

(1) Artykuł ten ogłoszony w nch: 867 i 868 znanego pisma niemieckiego: *Frorieps Notizen aus dem Gebiete der Natur und Heilkunde* na r. 1846, wiernie przetłóżywszy, umieszczamy w piśmie naszym jako ściągający się pod pewnym względem do historii i historii naturalnej polskiej. Rzeczą jest wszakże nie do wytłómaczenia, dlaczego ani autor artykułu, ani wydawcy pisma w którym był ogłoszony, nie namienili przynajmniej że tego samego założenia dowodził już pierwój tutejszy naturalista ś. p. Jerzy Puszc, który w tym samym przedmiocie ogłosił: *Neue Beitræge zur Erlæuterung und endlichen Erledigung der Streitfrage ueber Tur und Zubr (Urus und Bison)* w *Archiv für Naturgeschichte von Wiegmann Jahrg. 1840 Heft 1*, gdzie nawet uważniej przetrząsnął i wielostronniej ocenił prawie wszystkie historyczne dowody przytoczone przez p. Weissenborna, który przeto mógłby był wiele trudu w poszukiwaniach swoich oszczędzić prostém wyznaniem: *przystaje na zdanie Pusza.* P. R.

*Aurochs*; ostatniemu niemieckie zepsucia słowa *bison*: Wiesant, Wisen. Chociaż osteologiczne badania całkowicie zbijały zdanie, przez Linneusza nawet utrzymywane, jakoby zwierzę dziś pod nazwiskiem żubra Białowieżką puszcze zamieszkujące, miało być pierwotnym szczepem bytła domowego (1), zdanie jednak Cuviera już na pierwsze wejrzenie okazywało się nader niespodziewaném, najprzód dlatego, że wiele jest przeciwko temu, ażeby pierwotna rasa bytła rogatego pochodziła z Europy; powtóre, że nazwisko niemieckie *Aurochs* towarzyszyło zwierzęciu żyjącemu dotąd w Litwie, od stanowiska do stanowiska w Niemczech, aż do ostatniego schronienia jego w puszczy Białowieżkiej, i dotąd jeszcze przy niém się utrzymuje. Powaga jednak Cuviera zjednała temu mniemaniu prawie powszechną więtość, dopóki Bojanus w r. 1825, w swojej klasycznej rozprawie *De ura nostrate* (*Nova acta Acad. Caes. Leop. Carol. Nat. Curios. T. XIII, p. II*) nie poddał krytycznemu roztrząśnieniu zasad, na których się Cuvier opierał, nie ukazał ich niegruntowności i nie nadał tym sposobem wysokiego stopnia prawdziwości mniemaniu przeciwnemu, to jest, że pod nazwiskami tura (*urus*) i żubra (*bison*) jeden i ten sam gatunek zwierzęcia rozumieć należy.

Wyjaśnienie jednak tej kwestyi przez Bojanusa, nie było zupełnie przekonywającém, a jakkolwiek każdy bezstronny sędzia zgodzi się na główne twierdzenia jego, Bojanus jednak to nie wyczerpnął należycie do celu swojego wszelkich jakie miał źródeł, to nie znał jak się zdaje, niektórych zdalnych dla siebie materyałów. Gdy zaś całkowite o ile być może uprzątnienie się z tą okolicznością jest dla historyi naturalnej rzeczą niemałej wagi, niech mi więc wolno będzie doświadczyć postąpienia z nią o kilka kroków dalej. Być może, iż niejeden dowód mniejszego lub większego znaczenia, uszedł i mojej wiadomości; miło mi jednak będzie gdy uda się innym dokończyć tego, nad czém ja pracowałem.

(1) Główna osteologiczna różnica na tém polega, że żubr ma 14 par żeber a tylko 5 kręgów lędźwiowych, wół zaś domowy tylko 13 par żeber a za to 6 kręgów lędźwiowych.



Pomijając wszystkie widocznie pozmyślano, lubo nawet mniej na rozmyślnem grzeszeniu przeciwko prawdzie, niżeli na utudzeniu się własnem donosicielei zasadzone, podania pisarzy dawnych o zwierzętach podobnych do wołu (1), udamy się zaraz do Arystotelesa, który znał dwa gatunki dzikich wołów: jeden w Arachozyi czyli w części Persyi najbliższej Indyi, widocznie rodzaj bawołu (2), drugi w Paeonii, *bonasos* albo *monapos* nazwany. Ten ostatni, opisuje on w następujący sposób: „Z ogólnego kształtu bardzo podobny do wołu, ale ma grzywę jak koń, która jednak rozciąga się nad łopatki, spada ponad oczami i z miększych składa się włosów. Kolor jest czerwono-szary, od spodu (3) sierć jest wełnista. Kolor rogów błyszcząco-czarny. Ogon podobny wołowemu, w stosunku do ciała jest krótszy. Skóra z trudnością daje się przerzynać. Mięso z wierzęcia wyborne, i dlatego czynią zasadzki na nie.” Jestto na Arystotelesa czasy prawdziwie wzorowe opisanie zwierzęcia dotąd w Litwie żyjącego. Pauzanasz, który dzikiego Paeońskiego wołu nazywa *bison*, opisanie to stwierdza jako naoczny świadek (4), i przywodzi że je łowią żywcem w wykopane doły, i głodem po części oswajają (5). Oppian,

(1) Przyczynę podobnych utudzeń można nieraz prawie z pewnością okazać. Gdy np. Agatharchides, Dyodor sycylijski i Strabo mówią o mięsożernych wołach, mających się znajdować w krajach na południo-zachód od morza Czerwonego, ledwie można wątpić, że wędrownicy którzy *bizona* znali, wzięli tam lwy za woły. Nie można nie przyznać obudwu zwierzętom ogólnego podobieństwa w kształcie, grzywy, ogona i t. d. a tym mięsożernym wołom przyznano zarazem paszczę aż za uszy rozwierającą się i ruchome rogi. Wszak i Rzymianie, pierwszy raz ujrawszy słonie gdy Pirrus wszedł do Italii, nazwali je wołami (*Bos luca*) a nawet Konrad Gesner nie umiał z pewnością powiedzieć czy stoł ma rogi. Porówn. *C. Gesner. Icones animalium*, wyd. hejdelberskie z r. 1606, str. 29. „*Elephantum cornua dentes videntur*”.

(2) *Cuvier, Recherches sur les ossemens fossiles*, tom IV p. 112.

(3) Wyraz *αχρωθεν* może się także wybornie do ogólnej wełny na żubrze ściągać.

(4) Pausanias, L. IX, c. 21.

(5) Lib. X, c. 13.

który nazwisko *bison* wyprowadza od Bistońskiej Tracyi (1), prostuje (wyżej za bajeczne uznane) podanie Arystotelesa, że rogi tego dzikiego wołu niezdatne są do boju, mówiąc, iż ostre końce rogów są jak z metalu twarde i stoją do góry, tak iż wół może w biegu ludzi i zwierzęta w powietrze wyrzucać (2). To zwrócenie do góry, nie samych końców ale środkowej części rogów, jest u żubra bardzo charakterystyczne; nie ulega przeto żadnej wątpliwości, że *bonus* i *bison* jednoż mają z polskiem *zubr* znaczenie, a nawet słowo *zubr* można z Grecyi aż do Polski śledzić, gdy za czasów jednego z cesarzy, Bardasa (zatem ku końcowi dziewiątego lub dziesiątego wieku ery chrześcijańskiej), dziki wół Tracyi (*Tragelaphus*) nosił tam nazwisko *zombros* (3), co Mołdawskiemu *zimbr* (4) a Polskiemu *zubr* odpowiada.

Jakkolwiek to wszystko jest jasnym, jeśli jednak zechcemy śledzić żubra od zachodu do puszczy Białowieskiej, natrafimy w Niemczech i w części Gallii na zwierzę nazwane *urus* (Auer, Auerochs), do którego się później inne, nazwane *bison* (Wiesant, Wisen) przyłącza. Że jednak te dwa nazwiska jednemu i temuż samemu zwierzęciu należą, spodziewam się przez poniższe badania okazać dokładniej, niż to uczyniono dotąd.

Wyraz *urus* najpierwszy raz zjawia się w dziele Cezara o wojnie w Gallii (VI, 28); Makrobiusz utrzymuje, że pochodzi z języka Gallów (5). Bądź jak bądź, według wszel-

(1) Można by go raczej od βῆσων albo βῆσων (kaszle) wyprowadzić, bo żubr nie ryczy, tylko krzaka albo jęczy. a okoliczność ta, w porównaniu z głosem bydła domowego, nader jest uderzającą i charakterystyczną. Jakoż Dio Cassius, *Hist. Rom. Lib. LXXVI*, nie pisze βῆσων, tylko βῆσων.

(2) Cyneget. II, 5. 160 seq.

(3) Zob. głoszę do Orygenesa *Philocalia* w Morelli *Bibl. Ms. Gr. et Lat.* 1, p. 59.

(4) Pisma Demetrynsza Kantemira (zapewne *Historia Mołdawii*), cytowane przez Buffona (Wydanie Cuviera, T. XVII, p. 83).

(5) Saturn. IV, 4. „*Urus gallica vox est, qua feri boves significantur*”. Greckie οὐρος ma być już na niemally czas przed Cezarem użyte od Empedoklesa (*Fragm. de Sphaera*), gdzie go jednak na próżno szukałem. Za to znajduje się w jednym epigrammacie cesarza Hadryana (*Anal. II*, 285).

kiego jednak podobieństwa, Cezar skróła swoje opisanie tura (*urus*) z powieści, i sam nigdy go nie widział. Inne bowiem zwierzęta Hercyńskiej puszczy, które on wspomina, mimo że przedarł się aż do granicy tej puszczy w Germanii, są opisane tak błędnie, iż zaledwie pomyśleć można, żeby tak bystro przeglądający badacz jak Cezar, opisywał je jako naoczny świadek. Mówi on o turze: „Zwierzęta te, są prawie tak wielkie jak słonie; z wejrzenia, koloru i kształtu mają podobieństwo do wołów; są nadzwyczajnie silne i szybkie, i nie oszczędzają ani ludzi, ani żadnego zwierzęcia które ujrzą. Rogi ich wielkością i kształtem mocno się różnią od rogów u naszych wołów.” Z wyjątkiem widocznie przesadzonej wielkości zwierzęcia, która tu jest okolicznością zupełnie obojętną, ponieważ z niej żaden dowód na korzyść gatunkowego rozróżnienia tura od żubra wyciągnąć się nie da, opisanie to całkiem się zgadza z żubrem; a że nie ma powiedzianego o grzywie czyli kudłatém obrośnięciu przedniej części ciała, opuszczenie to objaśnia okoliczność, że Cezar nie pisał jako świadek naoczny.

Jeżeli przejdziemy do tych starych autorów, u których się znajdują obydwa nazwiska *urus* i *bison*, najpierwszy przedstawi się nam Pliniusz, który jak sam wyznaje, do zebrania swojej historii naturalnej 2500 autorów użył. Przeczytamy w nim (*Hist. nat. L. VIII c. 15*): „Znajdują się w Germanii dwa osobliwe dzikie gatunki wołu: grzywiaste *bisontes* i nadzwyczajnie silne i szybkie *uri*, które lud niewiadomy bawołami (*bubali*) nazywa.” Ale Pliniusza świadectwo nie ma najmniejszej wagi; jeżeli różni autorowie odmiennych na to samo zwierzę użyli nazwisk i cokolwiek od óźnili się w opisanii, on tyle przyjął osobnych zwierząt ile znalazł osobnych nazwań; i tak, zaraz w szesnastym rozdziale jego dzieła, *bonasus* uznany jest za gatunek osobny, lubo jak okazaliśmy wyżej, znaczy to samo co *bison*. Jednakże za czasów Pliniusza starszego, tur (*urus*) musiał być znany tyśiącom Rzymian, którzy na polach Niemiec obozowali. Wiemy bowiem z roczników Tacyta (*Annal. L. IV c. 72*), że w szesnastym roku rządów Tyberyusza (28 po nar. Chr.)

Fryzowie zbuntowali się dlatego, że Olennius daninie ze skór wołowych, które na lederwerki dla wojska obracane były a z której się oni dotąd bez żadnego względu na wielkość i siłę skór uiszczali, skalę turowych grzbietów (*terga urorum*) za warunek nazaczył. Lubo takie skóry turowe ledwie dochodziły do samego Rzymu, Pliniusz jednak mógłby się być o dokładniejsze objaśnienia względem tura postarać, gdyby był więcej w życiu niżeli w książkach szukał.

Nadewszystko jednak tych pisarzy rozważyć nam wypada, o których mówi Cuvier, że jako naoczni widzowie gatunkową różnicę żubrowi (*bison*) i turowi (*urus*) przyznali, na obydwu zwierzęta w cyrku patrząc. Cuvier powołuje się w tej mierze szczególnie na Marcyalisa, mianowicie na wiersz: *Illi cessit atrox bubalus atque bison* (*De Spect. Epigr. XXIII*). Ale obok tego naumyślnie uprzedza, że Marcyalis pod wyrazem *bubalus* rozumiał to samo co *urus*, że zatém hołdował przykładowi niewiadomego gwinu (*imperitum vulgus*), do którego jednak żadną miarą liczyć się nie mógł. Prawdziwy *bubalus* (bawół), jak podaje Pliniusz (*l. c.*), pochodził z Afryki, i możnaby daleko słuszniej mniemać, że Marcyalis tego samego miał w myśli. Zresztą, byłoby to rzeczą całkiem naturalną, że wspomniane zwierzę występowało na amfiteatrze rzymskie pod imieniem *bison*, nie pod imieniem *urus*; bo z jednej strony *urus*, podług Cezara, nie dał się oswoić Niemcom (1) (może iż nie czynili nigdy wielkich usiłowań około tego), gdy według Pauzanasza, oswojony został w krajach na północ Grecyi leżących; z drugiej, nikomu nie mogło przyjść do głowy, ażeby zwierzę, które z Grecyi otrzymać można, długim i utrudzającym transportem po lądzie z Germanii sprowadzać. Jakoż, postrzegamy

(1) Caesar *l. c.* *Hos studiose foveis captos interficiunt. Sed adsuescere ad homines et mansuescere ne parvuli quidem excepti possunt.* Miejsce to jasno się przeciw temu wyraża, ażeby nikczemne o małych rogach bydło, które owocześni Niemcy według Tacyta (*Annal. L. IV, c. 72; Germ. c. 5*) chowali, pochodzić miało od tura, nawet gdyby on był odmiennym od żubra (*bison*) gatunkiem.

że Dio Cassius, który w swojej historii rzymskiej tak często namienia o upodobaniu cesarzów w łowach (*venationes*) w amfiteatrze, nigdzie nie mówi o *uri*, tylko o *bisones* (albo βισσωνες).

Inni, tak nazwani świadkowie naoczni, których Cuvier przytacza, najmniejszej nie mają wagi. Bo gdy np. Seneka (*Hippol. act. I. 63*) o kudłatych bizonach i wielkorogich urach mówi, dowodzi to raczej że sądzi o tych zwierzętach podług przypisywanych im cech w pismach i ze zwyczaju, nie zaś podług postrzeżeń własnych. Bison bowiem miał nadzwyczajnie wielkie rogi w Paeonii, jak i w Polsce w czasach w których dochodził jeszcze zupełnego rozwinięcia; a także i *urus* mógł być kudłaty, lubo Seneka, idąc za wyobrażeniami zwyczajowemi, gatunki rozdzielił i każdemu ze dwóch imion niestosowne epitety nadał. Co do wielkości rogów u bizona, Herodot o βοες άγριοι Paeonii, mówi: „ών τα κερρα ύπερμεγαλα” a Samios albo Simmios, rogi dzikiego byka, którego skórę król Filip, syn Demetriusza Herkulesowi poświęcił, nazywa: „όργυτια” a potem τεσσαρακαδεκαδωρα” (czternastopiędziowe) (1). Nadto Herberstein świadczy, że w Polsce ubito bizona (żubra), między którego rogami trzech ludzi usiąść mogło.

Łatwo pojąć jak z wędrówkami ludów od wschodu na zachód, nazwisko *bison* postąpiło w tym samym kierunku, w jakim nazwisko *urus*, przed nar. Chr. ze zdobyczami Gallów w Niemczech (2), zwróciło się ku wschodowi; tak znajdujemy, że już Solinus, który miał żyć w trzecim wieku naszej ery, w swojej *Polyhistor. c. 23*, Hercyńską puszcę, gdzie Cezar *uri* osadza, zaludnia nieugłaskanemi bizonami, i o kudłatym pokryciu ich przedniej części ciała wyraźnie namienia (3). Nikogo to zatem

(1) Brunckii Anthol. I, p. 485.

(2) O tych wczesnych zdobyczach Gallów zob. *Caesar B. G. VI, 24. Tacitus, Germ. 29 i 42.*

(3) Solinus l. c. (Germania, Saltus Hercynius). „*In hoc tractu sane, et in omni septentrionali plaga bisontes frequentissimi, qui bu-*

dziwić nie powinno, że w średnich wiekach imiona *urus* (Ur, Auer, Auerochse) i *bison* (Wiesent, Wisunt, Uizzunt, Wisen), znajdujemy obydwu w Niemczech używane, i przy zupełnym usunięciu się owoczesnego stanu uczonych od praktycznego życia, niekiedy tak rozumiane, jak gdyby dwa odmienne oznaczały zwierzęta. Dla przytoczenia uderzającego przykładu, jak podówczas uważana była geografia i badania natury, wspomnijmy nawiasem, że Aimoinus, mnich benedyktyński w opactwie Fleury nad Ligierą, w swojej *Hist. Franc. L. 1 c. 2*, opisanie Hercyńskiej puszczy i zwierząt w niej żyjących w dziesiątym wieku, wyciąga dosłownie z Cezara, nie troszcząc się o to, że od lat tysiąca mogło się tam niejedno odmienić, lub przybyć jaka dokładniejsza wiadomość o tamecznych natury płodach. W ogólności ten niezmierny zakres czasu od Solina do środka szesnastego wieku, który około 1300 lat ogarnia, nie przedstawia prawie żadnego materiału, któryby się dał użyć do rozsądzenia kwestyi naszój; jedno mi tylko nadarza się świadectwo, Cuvierowi wprawdzie nieznanne, ale mogące wytłumaczyć się pozornie na poparcie jego mniemania. W pieśni Nibelungów (*Nibelungenlied*), która na początku trzynastego wieku pisaną być miała, pomiędzy czynami, któremi się Siegfried na łowach w kraju Burgundów odznaczył, wymienione jest zabicie *Wisenta* i czterech *Ure* (1). Rozważwszy jednak, że Siegfried miał nawet szczęście w tém zdarzeniu lwa zabić w Burgundyi, łatwo będzie osądzić, że

*bus feris similes, setosi colla, jubar horridi, ultra tauros pernecitate capti assuescere manu nesciunt*". Po téj własnej swojej albo może z niewiadomego nam źródła wyczerpniętej wiadomości, idzie dalej, Pliniusza zwyczajem kompilatorów dosłownie przepisując: „*Sunt et uri, quos imperitum vulgus vocat bubalos*, któremu w odaniu wyżej już oddaliśmy sprawiedliwość, a potem jeszcze dodaje wyrazami Cezara, że te *uri* nazywczaj wielkie rogi miały.

(1) W. 3753 i 54 wydania Hagena. Berlin 1807.

*Darnach schlug er schiere einen Wisent und einen Elk,*

*Starker Ure viere und einen grimmen Schelk.*

(t. j. „Wkrótce potem zabił żubra i łosia, czterech tegich turów i wściekłego jelenia).

dla poety było bardzo wygodnym, iż mógł użyć dwóch nazwisk na jedno i to samo rozszerałe zwierzę, przypuszczając, że sobie przytém tautologią przypominał. Ale gdy Cuvier powołuje się na wiersz biskupa Fortunata z Poitiers, w którym jest mowa o bawole (*bubalus*), i na świadectwo autora męczeństwa ś. Genowefy, że wtenczas (w szóstym wieku) *bubalus* i *urus* miano zwyczaj uważać za jedno, to przeciwnie w wiekusiódmym, w księdze praw alemańskich (*Lex Alem.* c. 98) mowa jest o *bisson-bubalus*, a na wielu miejscach glossaryów Borborna i Juniusza, od dziewiątego do dwunastego wieku sięgających, *bubalus* przywiedzione jest jako synonima z *Wisent* tak, że można z tego jednoż znaczenie dla *urus* i *bison* z dostateczną pewnością wywieść. Z tychże czasów możemy jeszcze przytoczyć mnicha Sangalleńskiego (*Monachus Sangallensis*), jako ważnego w naszej sprawie świadka. Dzieło jego: *De gestis Caroli Magni* (1) poświęcone jest Karolowi Grubemu; a zatém pisane było w czasie w którym wielu jeszcze żyć mogło tych, którzy uczestniczyli w łowach opisywanych przez niego. Drobiazgowość nawet, z jaką najdrobniejsze wspomina szczegóły, ledwie dozwala wątpić, że go o tém naoczny uwiadamia świadek. Byłyto łowy na żubry czyli tury (2), wyprawione przez Karola W. dla uczczenia postów perskich, niedaleko od Akwisgranu, zapewne w Ardennach albo Wogiezach. Lubo tu *vel* jest przez się dwuznacznym, widocznie jednak autor chciał niém oznaczyć tożsamość dwojga zwierząt. Bo gdy jeden tylko okaz zabity został, który Karol W. zranił a Isambardus dobił, autor przy swojej drobiazgowości, z jaką nie opuszcza niczego co się polowania tyczy, byłby nam pewno powiedział, czy zabite

(1) Znajduje się ono w *Basnage, Thes. Mon. Eccl. Mag. w Bouquet, Script. Rer. Gall. w Duchesne, Script. Hist. Franc. w Hahnii Monum.* etc.

(2) „*Bisontes vel uri*”. Podług Fortunata (zob. miejsce z niego przytoczone w Cuvierze), *bubali* (*uri, bisontes*) w szóstym wieku znajdowały się bardzo licznie tak w Ardennach jako i w Wogiezach, co także stwierdza Grzegorz z Tours w swojej *Hist. eccles. Francor. L. X. c. 10.*

zwierzę, którego ogromne rogi wszystkich obecnych w zdumienie wprawiły (1), było żubrem czy turem. Oprócz tego, Hektor Boethius, w swojej *Descript. Regn. Scot. fol. XI*, taką podaje wiadomość o dzikich wołach, które za jego czasów (na początku szesnastego wieku) w Szkocyi się znajdowały. „Były one całkiem białe, miały grzywę jak u lwa, zresztą zaś nie różniły się w niczem od innego bydła. Tak się lękały, że kiedy człowiek ręką tylko dotknął na jakimś miejscu trawę, długo unikały tego miejsca. W niewoli zaraz umierały.” Był to widocznie odmiana żubra czyli bizona. O drugim dzikim gatunku wołów Wielkiej Brytanii nie mówi ani Boethius, ani żaden pisarz.

Cuvier domyśla się wprawdzie (według Pennanta, *Tour in Scotland. vol. II, p. 122 i vol. III. p. 387*), że H. Boethiusa nazwisko *bison* w błąd wprowadziło, iż temu dzikiemu wołowi grzywę przypisał, i że się okazuje z listów Forstera do Buffona (*Oeuvres compl. de Buffon par Cuvier, Paris 1826, T. XVII, p. 88*), iż znajdujące się wówczas, na 200 około lat po Boethiusu, w parkach książąt Hamilton Queensberry w półdzikie białe bydło, żadnej nie miało grzywy; w braku jednakże świadectw osteologicznych, hipoteza Cuviera, iż dziki wół opisany przez Boethiusa, był *urus* (za tem podług Cuviera *Bos taurus*), bardzo jest niepewna.

Pozostaje nam jeszcze głównego zbieć świadka za mniemaniem Cuviera (2), piszącego również koło połowy szesnastego wieku, a którego zeznanie wielką zdaje się mieć ważność, ponieważ długo osobiście przebywał w Polsce i w Rosyi. Zygmunt baron de Herberstein, który sprawował w pomienionych krajach dyplomatyczne interesa trzech cesarzów niemieckich, stanowczo pomieniony przedmiot rozstrzyga w swoich *Rerum moscoviticarum commentarii*, Basil. 1556,

(1) „*Immanissimis cornibus in testimonium prolatis*”.

(2) Cuvier przytaczając swoje dowody, sam nie powołuje się wprawdzie na Herbersteina, i nie sądzi ażeby Thur był tem samem co *Urus* starożytnych. Herberstein wszakże najwięcej się do tego przyłożył. że zdanie, któremu Cuvier hołdował, pierwiej już między uczonemi panującym się stało.



podaje wizerunek i opisanie dwóch gatunków z rodzaju *Bos* które według jego mniemania, w czasie kiedy zwiedzał Polskę, dziko się tam znajdowały. Jeden nazywa *Bison* lat. *Suber* pol. *Bisont* Germ. dodając, że niewiadomy lud zowie go *Urus*; drugi *Urus* lat. *Thur* pol. *Auerox* Germ. dodając że niewiadomy lud zowie go *Bison*. Wizerunek pierwszego jest widocznie wizerunkiem żubra, który dotąd jeszcze w puszczy Białowiezkiej żyje; wizerunek drugiego, o którym Herberstein podaje, że znajduje się jeszcze w niektórych objazdach Mazowsza, podobny jest we wszystkich istotnych względach zwyczajnemu domowemu bydłu.

Naturalną jest rzeczą, że tak stanowczo wyrzeczone zdanie jednego z najświetlejszych mężów swojego czasu i wiarogodnego naocznego świadka, na mniemanie późniejszych pisarzy przeważający wpływ wywarło. Należą do nich Konrad Gesner, Skaligier, Ulisses Aldrowandy, Jonston, Henneberger, Hartknoch, Masecovius, jako też i polski leksykoграф Knapiesz. Bojanus, z którego najwięcej tych imion wypisujemy, skłania się do uważania, że Herbersteina tur (albo *thur*) był zabytkiem pierwotnej rasy domowego bydła (1). Jednakowoż zdanie wielu gruntownych polskich badaczy, mianowicie Tadeusza Czackiego, Kluka, i Jarockiego, kończy się na tém, że *tur* (po ross. *tor*) była tylko synonima *żubra*, i że Herberstein w przyjmowaniu różnicy pomiędzy turem a żubrem, na błędnych jedynie podaniach się opierał. Co Rzączyński (*Hist. nat. Pol. p. 228*) o turze mówi, ściąga się widocznie do żubra. Bock (*Naturg. Preuss.*

(1) *Bojanus*, l. c. p. 420 i 421. Bojanus zdaje się być w tém mniemaniu niejako sam z sobą w sprzeczności; bo gdyby tur był pozostałością zwierzęcia dzikiego, które człowiek za domowe sobie przyswoił, wtenczas mielibyśmy w Europie środkowej dwa krajowe gatunki rodzaju *Bos*, a w takim razie gatunkowa różnica pomiędzy *Urus* a *Bison* nabyłaby znowu pewnego prawdopodobieństwa. Domowe jednak bydło śliską, gładką i krótką siercią, oznajmuje pochodzenie z klimatu cieplejszego niż ten, który Europa środkowa w historycznych czasach mieć mogła. Wymaga ono nadto w Europie środkowej koniecznego starania człowieka wśród zimy, a tylko w gorących albo ciepłych krajach dziczeje.

t. IV, p. 198) zaprzecza istnienia turów, jako osobnego gatunku, a Gilibert, który z wielką pilnością żubra badał i anatomizował, zupełnie się z nim zgadza (*De bove uro seu de bisone Lithuanico. Opuscula phytologico-zoologica prima*, p. 62). Jarocki, najnowszy badacz na tém polu (1), zdanie swoje opiera głównie na okoliczności, że mieszkańcy Mazowsza dotąd jeszcze znają rośliny, które tur przekładał nad inne, a niemi są właśnie te, które żubr w puszczy Białowiezkiej najbardziej lubi (kora drzew, mianowicie gorzka, np. wierzb, topoli, gorzkich kasztanów, porosty na drzewach rosnące, rośliny baldaszkowe i inne zielne, w bagnistych miejscach rosnące, jakoto: *Cnicus oleraceus*, *Calluna vulgaris*, *Agrostis arundinacea*, *Holcus (Hierochloë) borealis*); gatunki paszy, które i dla domowego bydła są przyjemne.

Po dokładném rozebraniu samego textu Herbersteina możemy się dostatecznie przekonać, że wszystko co on o turze mówi, na samój zamianie nazwiska z żubrem polega. Bo:

1) Jeżeli podaje, że tury samce łączą się niekiedy z domowemi krowami, ale potem z trzody innych turów wypędzane bywają, bajka ta niezaprzeczenie opiera się na mylném wytlumaczeniu przyczyny, dla której stare, niezdatne już do płodzenia tury samce, jakie w okolicach Białowieży nazywają *samowtorami* albo *odyńcami* (Zob. Jarocki *l. c.*), dobrowolnie odłączają się od trzody. Samotniki te by-

Milionami napotykać można zdziczone bydto na pampasach południowej Ameryki, gdy tymczasem w Kanadzie i północnej części Stanów Zjednoczonych, nie daje się nic podobnego widzieć, lubo tam bydto miałooby najłatwiejszą sposobność dziczenia. Najzimniejszy pas nieba, pod którym, o ile mi wiadomo, zdziczone bydto w zupełnej sile wzrasta, jest part Stephen w Nowej Holandyi, mający klimat prawie Włoch południowych. To dzikie bydto jest bardzo niebezpiecznym dla rolników tamecznych, którzy wszelkiej ostrożności używać muszą, ażeby domowe do tamtego nie przechodziło. Porówn. Stokes, *Discoveries in Australia*, London 1846, vol. I, p. 316 i 317.

(1) O puszczy Białowiezkiej etc. 1830.

wają tak rozszoszczone, że nieraz dla podróżnych na gościńcu niebezpiecznymi się stają.

2) Lubo Herberstein przytacza, że król Zygmunt dał mu w podarunku wypchanego tura, z jego jednak tekstu wynika, że pod imieniem tura, otrzymał żubra. Exemplarz bowiem był, Herberstein nie wie dlaczego (1), wykrojony; ale skóra z głowy żubra jest właśnie głównym siedliskiem piżmowego zapachu, i niegdyś przyznawano jej bardzo ważne tajemnicze skuteczności lekarskie, gdy turowi nie przypisywano piżmowego zapachu (2).

3) Herberstein opisuje skórę i sierć tura nie przy tej, ale przy daleko późniejszej okoliczności, kiedy mu przez Antoniego Schneebergera nadesłany był do Austrii pas z turzej skóry, na którym sierć zostawiono. Opisanie nadaje się zupełnie do skóry i sierci żubra, a Herberstein mówi o tym przedmiocie, jak o rzeczy całkiem sobie nowój (3). A więc Herberstein nie widział zapewne z jakiegoś powodu tura darowanego sobie przez króla Zygmunta. Byłby się on na miejscu o przyczynie tego szczególnego wykrojania wywiedział, jako też i o naturze sierci jego upewnił. Wtedy znikłoby całe jego złudzenie względem odmienności tura od żubra.

4) Heberstein dokładnie opisuje sposób polowania na żubra (*bison*) w Polsce. Atoli w dziele Konrada Gesnera *Icones animalium* p. 30 (wydania heidelberskiego z r. 1606), jest wizerunek polowania na tura (*urus*), opisowi Herbersteina najdokładniej odpowiadający. Gesner wziął wizeru-

(1) L. c. „Quod non temere factum esse credidi, quanquam cur id fieri soleret, per incogitantiam quandam non sum perceptus”.

(2) Nie miał mieć tego zapachu i tur (*urus*) starożytnych, podług Cuviera, i szczególniejszym sposobem wyprowadza on nazwisko *bison* od niemieckiego *Bisam*, gdy owszem *Bisam* mogłoby od *Bison* pochodzić.

(3) Cujus corium *duriusculum validumque* est; pili vero (quod mireris) *mollissimi*, instar pecoris lanæ, *densi coloris nigri, sed rufo modice admixto, si propius spectes*.

nek z „mappy kraju Moskiewskiego”; takie illustrowane karty były w owym czasie bardzo używanemi. W téj zgodności opisów polowania na tury i żubry, zachodzi dalszy dowód tożsamości obudwu zwierząt.

Gesner czyni jeszcze wyraźną uwagę, że Niemcy powszechnie bizona nazywają Auerochs. Ale za czasów Gesnera illiteraci mieli daleko więcej przewagi w zdaniu o historii naturalnej swojego kraju, aniżeli literaci, którzy płody przyrodzenia swojego własnego kraju, prawie tylko z niedokładnych podań illiteratów znali, i więcej starym książkom niżeli życiu wierzyli. Bardzo to być mogło, że w wielkich lasach, któremi aż do XVIIgo wieku wielka część Europy środkowej była okryta, utrzymywały się tu i owdzie trzody wółdziczałego (nie pozostałego ze stanu dzikości) bydła, które podczas zimy opatrywane były sianem przez właścicieli gruntu i łowczych. Takie istniały zapewne i w okolicy Warszawy (Mazowsze) i nazywały się tam turami (imieniem, które równie jak i ruskie *tor* pochodzi od *taurus* i może się brać rodzajowo), przez co Herberstein, którego dochodziło mnóstwo widocznie bajecznych wiadomości o turze, bez wahania się przyjął, że to jest *urus* starożytnych, że więc żubra (*bison*) niewiadomi tylko *Auerochs* (*urus*) nazywają.

Rozwiązałem przeto założone sobie zadanie, podług sił moich.

Weimar, w październiku 1846 r.

A. W.

### *Elekcya Stanisława Augusta w dniu 7 września 1764 r.*

(Wyjątek z współczesnych pamiętników, z rękopismu ogłosił F. M. S.).

...Dawniej były związki mniejszej a nawet najdrobniejszej szlachty polskiej z magnatami, najczęściej przez sejmiki,

gdzie potrzebowano głosów. Ojciec mój mając dziedziczną wioskę w województwie Krakowskiem, powiecie Lelowskim blisko Żarnowca, którego starostą był JW. Hieronim Wielopolski koniuszy koronny, oprócz sejmików, posiadał względy tego pana, i ja też oddany mu byłem na opiekę, której święcie dobowiał jak własny ojciec.

Po sejmiku proszowskim, na którym już przy szabli znajdowałem się, będąc przy boku mego opiekuna, nastąpił wyjazd do Warszawy na elekcyą, pamiętam latem, które było i gorące i pogodne. Wyjechaliśmy z Przemysłowa, a ja na koniu wierzchowym: n gniadym, bo taka była cała jego stajnia, przed pojazdem z dworzanami; zajechałem aż do Obór, dóbr tegoż Wielopolskiego pod Warszawą położonych, gdzie odpoczywaliśmy, a on sam wyjechał gdzieś do króla przysłego; był on bowiem zaręczycie mogę, najprzywiązańszy do strony królewskiej. Tymczasem dwór koniuszego koronnego powoli wjeżdżał do Warszawy, aż nareszcie stanęliśmy w jego pałacu, trzecim czyli czwartym od Śgo Krzyża ze strony Krakowskiego-Przedmieścia, pamiętam dobrze, chociaż od elekcyi nie byłem w Warszawie.

### Elekcyą.

Kiedy się zaczęła tego nie wiem, lecz mi się zdaje, że nie zaraz, gdyż dopiero po naszym przybyciu cały naród *viritim* zjeżdżał się na elekcyą; com ja widział, będąc oddany od JW. opiekuna, pod dozór dworzaninowi najpocziwшему Strawińskiemu (który był potem długo instygatorem grodzkim krakowskim), aby mnie wszędzie oprowadzał, wszystko pokazywał i tłumaczył. Tak też czynił mój mentor szanowny, za którego błagam majestat Boski. Cobyto znaczyło *viritim*? Rozumiem, iż wszystkie województwa całej Polski swym porządkiem podług starszeństwa, z swemi urzędnikami, nawet powiatowemi i ich insygniami stawily się; tylko z Korony województwo krakowskie było bez tych formalności, bo koniuszy koronny wielu obywateli (gdzie też był i mój ojciec), miał za sobą czyli przy sobie, jemu sprzyjających dla króla.

*W jakim porządku wchodziły województwa do  
Warszawy.*

Mając przewodnika nieodstępного a światłego i dobrego, ten mnie prowadził do okien u pałacu, dla widzenia wchodzących Krakowskie-Przedmieście. Wszyscy konno i zbrojno, a nieledwie wszyscy paradno, lecz bez mundurów. Najpierw urzędnicy wojewódzcy, zacząwszy od wojewody; kotły czyli bębny duże i trębacze toż było u każdego powiatu, podług porządku starszeństwa powiatów i ziem. Ciż wielcy dowódcy jak hetmani trzymali buzdługany w rękę, na nich ubiór: ładownica sutą i karabela bogata, buńczuki, kity, zawoje na głowach, pasy perskie złote i t. d. Konie, rumaki jakich dzisiaj już niemasz. Okrycia ich od złota i kamieni drogich, na rzędach czapraki, dywdyki kosztowne aż do ziemi. Pamiętam, iż pod niektórymi dwóch masztalerzy suto ubranych, prowadziło pienne się i skakające bez dzikości rumaki. Za nimi szlachta każdy zbrojno jak wyżej, a mało co różniąc się w bogactwie i dzielności konia i ubioru na nim; na wszystkich rzędy lub rzedziki i pistolety w olstrach, kulbaki wysadzone. Za nimi szły konie powodne, dworzanie tuż jechali, karawany, kuchnie, pojazdy czyli karety bez lokajów, bo ich naówczas u nas nie znano, a przynajmniej bardzo rzadko; hajduki, pajuki, strzelcy, kozaki, huzary i t. d.

A że mało szło przez Krakowskie-Przedmieście, więc mnie mój szanowny mentor prowadził po różnych stronach Warszawy dla widzenia, bo wszyscy przez Warszawę przechodzili, i wszyscy szli ku zamkowi, ciągnęli i nazad wracali na leże, stancye i kwatery. Każde województwo szło razem, prócz krakowskiego.

Jako mówilem toin wszędzie widział, że jeśli u jednych wspaniałość, możność, powagę, ozdoby i bogactwa, to u drugich dzielność i poczciwość, która na wszystkich twarzach malowała się.

Litwa tém się różniła od Korony i Rusi, iż wszyscy byli w żupanach i kontuszach koloru makowego z wyłogami

karmazynowemi, i wszyscy mieli ładownice blachmalowe. Więcej co było przed elekcyą nie wiem, bo to było nad mój wiek, a zmyślać nie chcę, jak to dzisiaj wielu robi.

### *Szopa i elekcyą.*

To tylko piszę com naówczas rozumiał, a dziś pamiętam. Kiedy się elekcyą zaczęła nie wiem, jakie ją poprzedziły formalności i tego nie wiem. Chodziliśmy z moim mentorem ledwie nie co dzień pod szopę. Szliśmy przez Senatorską ulicę około panien Kanoniczek przez Nalewki. Wyszliśmy w pole ku zachodowi pod Wolę, tam zaczynały się piaski, równina wielka piaszczysta, na której stała szopa. Gmachto był drewniany nowy właśnie, jak na cegłę do suszenia. Wschodów pełno, a pomiędzy nimi ławy proste w gradusy wysoko; z jednego końca nie było widno drugiego. Obszerność gmachu była wielka, stoły proste i ławki przy nich, a wszystko to bez najmniejszej ozdoby, w najprostszym guście z prostotą staroświecką. Około szopy był wielki plac wolny do chodzenia, bo niewolno tam było wjechać. Około placu był okop z piasku, w nim dokoła wychody, co się z czasem rozsypało, bo wały nie były wysokie, a tysiące ustawicznie po nich chodziło. Za okopami było obszerne miejsce, wolne zawsze, na którym zsiadano z koni gdy kto przyjechał do szopy. Dokoła szopy zachowywano jakikolwiek za okopami ustęp wolny, lecz reszta pola nieprzejrzana, osobliwie na południe i zachód ku północy, była okryta wojskiem a całym konnym i zbrojnym, których było do trzechkroć sto tysięcy (?). Sam wybór, bo i masztalcerze i pacholiki byli szlachta przy szablach, ładownice i pistolety miał każdy, a to wojsko rachowano co dzień pod szopą, lecz ani jednego z bronią nie było piechotnego żołnierza, ani warty u szopy. Na placach gdzie ten konny znajdował się ogrom, były wielkie słupy drewniane, a na nich tablice wyrażające każdemu województwu jego właściwe stanowiska. Sama tylko Litwa stała razem i zdawało się, jakby na tém miejscu piasek w mak się obrócił, dla mundurów makowych. Boże mój! coto był za widok zachwyca-

jący! W szopie i koło niej tysiące oficerów, za wałami krocie gotowego wojska, w szopie trzymano za pałasze u boku, za szopą trzymano konie za cugle, gotowe do wsiadania, a nikt nie miał miny posepnej ani milczał. Gwary tysiąca jarmarków razem nie dałyby wyobrażenia wrzawy, jaka tam była. To tylko było tam naganném, iż luzaki, tojest szarańcza pacholików pozwałała sobie bezkarnie słów obrażających ku osobom ktokolwiek one były, a osobliwie dla płci żeńskiej; i uważałem, iż bardzo rzadko i to ku wieczorowi do szopy przyjeżdżały, a powszechnie mało było pojazdów i te wraz odchodziły, bo ta tłuszcza konna stangretów niecierpiała. Co do obrad w szopie, na to jestem zupełnie ciemny: bywałem, siedziałem, kładłem kréski gdzie mi kazano i t. p. lecz więcej nie wiedziałem jak tylko, iż Stanisław Poniatowski stolnik litewski będzie królem polskim i na tém koniec. Do południa bawiliśmy z moim mentorem na oglądaniu Warszawy; byłem wszędzie i pamiętam wszystko, choć to już lat kilkadziesiąt temu, a potem nigdzie nie byłem. W zamku byłem we wszystkich pokojach; w jednej sali były obicia tkane złotem całe jedwabne, osób kolosalnych z brodami plecionemi, i to mi się najwięcej spodobało, bo były jak żywe a bez ręki malarskiej. Byłem w łoży królewskiej, gdzie król słucha nabożeństwa w kościele Śgo Jana. Korytarz do téj łoży był wystany cegłą, a to mi się nie podobało.

Bywałem u Zygmunta w Starém-Mieście, na Pradze, a nawet na Gnojowej górze pod zamkiem, dla widzenia województw wjeżdżających jak wyżej powiedziałem. Chodziliśmy do szopy, a ja myślałem, iż tak aż do zimy będziemy chodzić; to mnie bawiło, a najwięcej widok nieogarniony ludu i koni w samym wyborze. Płynęły czasy, aż jednego południa jakiś ruch nadzwyczajny pod szopą; panowie gromadnie to przyjeżdżali, to wyjeżdżali gdzieś w największym pośpiechu. Szopa była pełna ludu, wrzawy jak nigdy. Ja jako maleńki, stałem na ławce wysoko od wschodu od Warszawy; dziwiłem się niepomału coto jest, coto będzie? W ten właśnie dzień mój dobroczynny opiekun naj-



bardziej zalecił mojemu dozorczy, aby mnie nie odstępował na krok od szopy i dotrzymał.

Ku wieczorowi stał się wielki krzyk w szopie, któremu i ja z całej siły dopomagałem z moim mentorem, a ten był: „Wiwat! Stanisław Poniatowski król polski!” Aha! pomyślałem sobie: otóżto życzenia mojego pana spełniły się, wołajmyż teraz wiwat! i krzyczałem na całe gardło. Boże mój! cóż się tam działo, wypowiedzieć tego nie umiém, tylko mój dowódzca zawołał na mnie: śpieszmy do Warszawy, bo nas te tłumy zgniotą lub zajadą, i biegliśmy co tchu ztamtąd. Uszedłszy większe pół drogi, nowy widok zwrócił całą moją uwagę. Była to artylerya z armatami ciągnąca w biegu na wzgórek ku północy, dla dawania ognia na wiwat. Prosiłem mego dozorczy, abyśmy się zatrzymali, i widziałem jak na wzgórzu toż wojsko obróciło się rogatkami i stanęło w paradzie; gdy z tyłu spostrzegam drugie wojsko czerwone, bo tamci byli zieleni. Było generał Brübl, ciągnący z resztą artyleryi do tamtych. Tam znowu zapomniał o tamtych, tylko o tych myślałem. Generał jechał na dzielnym kasztanku z gwiazdką; trzy czyli cztery razy wypalono z armat. Koń naprzód, potem sam się obrócił, a generał zawołał na żołnierzy: marsz! koń się sam zwrócił i znowu: paf! paf! i znowu się obrócił. Ha! pomyślałem sobie, gdybym ja miał mego gniadosza teraz, nauczyłbym tak się zawracać. Za generałem jechał wóz tryumfalny, którego ośm koni ciągnęło, a na nich długie aksamitne nakrycie z srebrnymi galonami; także było nakrycie całego wozu aż do ziemi. Na tym wozie siedział jak Bachus regimentarz Pauckier czyli generał Pauckier; trzymał do góry srebrne pałki, a niekiedy niemi uderzał w srebrne wielkie dwa kotły, a jak Pauckier tak kotły byli zielono okryci aksamitem z galonami i kutasami srebrnymi. Musiałem ich opuścić, bo chmara od szopy ruszała się. Biegliśmy znowu, a już też trochę zmierzchało i gdy wchodziliśmy w ulicę ku zamkowi, bo wiedział mój mentor, gdzie miałem króla widzieć, o gwałtu, o nieba! aż tu widzę mnóstwo wielkie panów i mojego, otaczających w marszu króla, który sam tylko w pośrodku nich jechał na siwym

rumaku. Ach to dopiero wiwaty grzmiąły całej Warszawy! a król kłaniał się kapeluszem na obiedwie strony.

Cała ta parada udawała się ku zamkowi, a raczej i pewnością do kościoła Śgo Jana na *Te Deum laudamus*, a my na kolacyą do pałacu. Nazajutrz całowałem z drugimi na zamku rękę królewską, a trzeciego dnia panowie. Więc nie mam co mówić, bobym zmyślał; już i tego dosyć, z przydatkiem ostatnim, iż mnie w kilka dni raz jeszcze zaprowadził z rozkazu mojego mecenasa (niech im obum Bóg da niebo) na dziedziniec Saskiego pałacu, gdzie stało kilka karek staroświeckich dużych, darowanych królowi od wielkich panów, bardzo kosztownych: srebro, złoto, kamienie i perły okrywały te korabie ogromne. A mój dobroczyńca, ba! nauczyciel dał kilka tynfów stróżującym i wsadził mnie do najkosztowniejszej z błogosławieństwem, które spełniło się na chwałę Bogu jedynemu, któremu niech będzie cześć i chwwała. Amen.

---

### Narzędzia muzyczne z klawiaturą.

W niezmiernej liczbie narzędzi muzycznych tak dawnych i już ledwie z opisu znanych jak i nowych, z których wiele zaledwie się pojawiło i znikło bez śladu prawie przed upowszechnianiem się celujących, daremnie staralibyśmy się o zasadę wedle której klasyfikowaćby je można. Powszechnie przyjęty podział na dęte, strunowe i perkussyjne, innych jeszcze potrzebuje podziałów i podziałków, a i tak wszystkich instrumentów nie obejmie. Tak np. organy do dętych należące, różnią się przecież od innych téj samój rodziny ludzkim oddechem do wydania tonu zmuszanych; mechaniczność siła zbiera dla nich rezerwoary powietrza, mechaniczne urządzenie je rozdziela i miarkuje, a siłą tą rozporządza człowiek przez dotykane klawisza. Ileż tu kombinacyj sztucznych w budowie, ile komplikacji i rozmaitości

w mechanizmie! a jaka prostota innych narzędzi, fletów na przykład! Narzędzia strunowe dzielą na smyczkowe, jakimi są skrzypce, uderzane młotkiem, jak rodzina klawikordów, i poruszane palcem lub innem ciałem np. gitara. Gdzież więc pomieścić ową konew, po której brzegach nawiedzionych smołą, wieśniak nasz grubym piłując smykiem, tony wydobywa? Gdzie pomieścić owe niby fortepiany z pozorów, których struny powietrze porusza? Klasyfikacja dostateczna dla wszystkich używanych narzędzi muzycznych jest prawie niepodobna, tém bardziej taka, któraby czekać mogła nowo pomyślanych instrumentów, by zaraz je pod swoje rubryki podciągnąć: bo w naturze wszystko prawie za narzędzie muzyczne służyć może: od ziemi (harmonika o sztabach alabastrowych) do tłuszczu zwierzęcego (mechanik Rieffelsen wydobył ton z płyt przetopionego łożu wołowego, pocieranego żółtym woskiem). Dzielić po szczegółach zewnętrznych urządzenia, choćby ze względu na bezpośredni wpływ człowieka byłoby błędem, bo mnóstwo narzędzi dętych, smyczkowo-strunowych, perkusyjnych, nawet innych, dla których nie mamy wyrażenia, zaprasza mistrza do klawiatury; i oto zamiast spodziewanego odgłosu fortepianowego, brzmia trąby i puzony, albo płaczą flety i oboje. Jęczy kwartet skrzypcowy albo grobowe odzywają się głosy przestroga i skrucha dla żyjących, to wreszcie jakieś eteryczne, nadziemskie leją się pieśni. A mechanizm ukryty, posłuszny dotknięciom palców proroczych na klawisze złożonych, bije, trze, targa, trąca, oddechem wzrusza i z martwych ciał wydobywa życie, mające podnieść zakrzepłe uczucia serc ludzkich. Ta mała dźwignia klawiszem zwana, wielkich dokazuje cudów: umysły porusza, światem mogłaby władać, z posad ziemię wyruszyć, nie potrzebując Archimedesza!

Historia klawisza gdyby dobrze znajomą była, objaśnić by wiele mogła z dziejów muzyki, mechaniki i akustyki; boć od czasów Karola Wielkiego, gdy ledwie kilka w liczbie wynoszące szerokie na stopę i odporne klawisze, pięścią z wysiłeniem gnieść trzeba było, do naszych czasów unie-

jących lada dotknięciem je poruszać, różnica niezmierna i stopniowań musiało być mnóstwo. Historia narzędzi muzycznych niektórych, należy zarówno do fizyki i muzyki; a to tak jest prawdą, że dopiero od czasów wielkich matematyków jak Koepler, Euler, trzech Bernoullich, Herszel, Cbladni, mnóstwo pojawiało się narzędzi nie przypadkiem albo doświadczeniem stworzonych, ale na wyrozumowanej zasadzie opartych i w skutku spodziewanym niemylnych. Najwięcej przecież takich, które za pomocą klawiatury rządzone być miały, boto jest pośrednik mechaniczny najwięcej przedstawiający łatwości i korzyści. Przedstawiamy tu niektóre godniejsze uwagi, nie wdając się w naukowe ni techniczne o nich szczegóły, zresztą z opisu krótkiego wi doczne.

Zacząć wypada od fortepianu, jako z instrumentów o klawiaturze najwięcej dziś wziętemu, a raczej wyłącznie powszechnie znanemu. Niejeden grający na nim, pracujący nad nim od dzieciństwa, nie domyśla się nawet jakie były jego początki, jakie koleje przechodził, zanim wzrósł w zbytkowną skali rozległość, guszając potęgę tonu, trwałość zadziwiająca, zdolną się oprzeć długo wpływom atmosfery a nawet rozbojom Liszta i jemu podobnych *minorum gentium*, zanim stał się niemal orkiestrą, najgorliwszym propagatorem muzyki i—dodać należy, niewinnym jój mordercą. Jego najgłówniejsze części jak wiadomo są: struna metalowa jako ciało brzmienne, deka strojowa przedłużająca i pomnażająca brzmienie, i młotek drewniany skórą powleczony, za pomocą klawisza do uderzania struny zagnany. Przed dzisiejszym fortepianem istniał klawikord, którego resztki tłuką się jeszcze tu i owdzie, a i ten poprzedzony był Spinnettem. Czyto był początek fortepianu dzisiejszego, nie wiadomo. Spotykamy wprawdzie wcześniej przed Spinnettem strunę metalową na narzędzie Monochord zwano naciągniętą, do mierzenia stosunku odległości tonów przeznaczoną, ale śladu klawiszów nie ma. Spinnett miał być wynalazkiem owego zbyt głośnego w dziejach muzyki

mnicza benedyktyńskiego Guido d'Arezzo (1), któremu jak niezastuzenie wiele wynalazków przypisywano, tak i ten podobno; chyba, żeby to były pierwsze nader nieudolne próby, do których klawiatura organów mogła dać popęd. Zdaje się przecież, że takie narzędzie muzyczne zdolne równocześnie kilka tonów wydać, byłoby rychłej harmonią rozwinęło, albo dowodziło jej wykształcenia do pewnego stopnia, czego w teoryach ówczesnych dopatrzeć się nie można. Spinett więc zapewne dopiero w końcu XIII lub początku XIV wieku powstał. W ostatnim swym zapewne znacznie ulepszonej stanie, miał Spinett mniej więcej cztery oktawy, struny metalowe cienkie (zład strój wyższy o kwintę od zwyczajnego), przez tarcie rodzajem pióra klawiszami rządzonego, brzmiące. Klawikord (Cembalo) jest jego ulepszeniem. Spotykamy go już w początkach XVI wieku, w kompozycjach Orlando Lasso, gdzie widać, że do towarzyszenia śpiewom bywał używany. Aż do wynalezienia fortepianu w 1720 roku, klawikord był ulubionym i słusznie wysoko cenionym; miał bowiem już niekiedy więcej niż pięć oktaw, struny do większej liczby tonów podwójne, do niższych cienkim dracikiem obwinięte: nadto ton bardzo miły i poetyczny, wprawdzie jeszcze nie młoteczkami wywołany, ale uderzeniem tak zwanych tangentów (*tangere* dotykać). Głos słaby, hyle szelestem zgluszony, miły był jednak: bo nerwy ówczesne nietyle jeszcze co nasze rozdrażnione, mniej silnych potrzebowały bodźców. Niejaki Sylberman wstawił się w Niemczech doskonałą klawikordów fabryką; niektóre mimo niezbyt silnej budowy, po lat 50 służyły. Ale ta słabość i strun i tonu, nie dozwalała znacznych różnic w cieniowaniu siłą, i to było powodem, że szukano i znaleziono coś dogodniejszego. Wynalazek by też najmniejszy skoro pożyteczny, powinien uwiecznić imię wynalazcy. Stawiamy Kolumba, choć nie on pierwszy ze starego świata zawitał do Ameryki, choć to jego odkrycie jemu samemu na biędę wyszło, a ludzkość kosztowało po-

(1) Na początku XI wieku żyjącego.

toki krwi i łez, zrujnowało Hiszpanią i t. d. ale dało nam trochę pachnącego drzewa, wiele kartofli i tytuń. Czém tytuń w rozkoszach dzisiejszego życia, tём fortepian w muzyce; prawie nie bez niego, a niezawodnie wszystko dla niego z czasem się przerabia: on bawi, pociesza, roztkliwia; krótko mówiąc, muzyka, to się ma rozumieć fortepian. Pamiętajmy więc, że się zań należy wdzięczność Krysztofowi Gottlibowi Schröter organiście i nauczycielowi w Nordhausen. Już w 1717 r. przedstawił on model instrumentu, ale prócz pochwały nie nie zyskał, i dopiero wspomniany wyżej Silbermann mu pomógł. Równocześnie florentczyk Bartolo Cristofali coś podobnego zrobił, ztąd kłótnia między narodami Europy łatwoby powstać mogła. Jakkolwiek bądź, fortepian (tak zwany od *forte* i *piano*) szybko się upowszechniał na południu i północy, na zachodzie i wschodzie, i dziś zapewne pod równikiem i przy biegunach jest znany. Pierwiastkowe jego niedokładności mnogie poprawki wywołały, a zasada mechaniczna różnie stosowana była; to struny pod dekę mieszczone, ale niedogodność nawiązywania i strojenia rychło ten sposób zarzucić kazała; to młotki do uderzania z góry zmuszano, chroniąc tym sposobem struny od usuwania się z miejsca i zyskując ściśłość dźwięku, ale tracąc na pewności mechanizmu i na coraz potrzebniejszej sile tonu. Dostąpiono tego samego za pomocą używanej dzisiaj sztaby metalowej, cisnącej struny z góry, zbierającej drgania w jasny dźwięk i pomnażającej go własnem drganiem. Dla oszczędności miejsca złamano fortepian we dwoje, cieńszym końcem w górę go podnosząc i pozorem szafki kryjąc niesforność formy; ale i to jako niedogodne z użycia wyszło. Niepodobieństwo wylizac wszystkie przemiany zewnątrzności, zależące od fantazyi fabrykanta. Jeden z naszych, huczący korpus instrumentu posadził na piętrzących się watach morskich; pomysł przerażający prawdą i ogromem miejsca, zajmowanego przez ten szczególny korab, któryśmy oglądali na jednej z dawniejszych wystaw przemysłu naszego, gdzie także był fortepian z deką napół miedzianą. Oryginalna ta lubo nie-

udatna myśl nieboszczyka Kamińskiego fabrykanta naszego, zasługuje tu na wzmiankę, by kiedyś szczęśliwiej wykonana, gdzieindziej nam sławy pierwszych usiłowań nie odebrała. Dlatego wspominamy upatentowany pomysł Antoniego Zakrzewskiego, znakomitego u nas fabrykanta fortepianów, sklejanego dek strojowych w ich grubości. Jestto dowodem, że i u nas przemysł się podnosi, a że z samych tylko instrumentów mamy imię za granicą, dalszy ciąg pokaże.

Dawniej jeszcze, niedokładność klawikordu była pobudką do szukania ulepszeń w jego tonie, przez środki niewypływające z jego natury. Tak np. w 1774 zbudowano w Dreźnie instrument z sześcioma przemianami głosu: nazwano go *clavecin royal* (où l'hérarchie va-t-elle se nicher?); w 1795 zastosowano tak zwaną janczarską muzykę, a w szczególności dzwonki i bęben. Trzebaż było, by Janczary tyle robiąc złego na świecie i fortepiany psuły! Ów bęben, rodzaj drewnianego młota kujący dekę strojową, wstrząsał ją w osadzie i łupał niekiedy; a przecież był czas, gdy ten dodatek prawdziwie barbarzyński, bardzo był ulubiony i do dziś dnia jest rozkoszą nianiek i dzieci. Nic pociesniejszego także, jak ów fagotowy głos fortepianu, zdający się pochodzić z suchego gardziela dewotki z nosem okularami osiodłanym. Te i tym podobne urządzenia, pomnażając liczbę pedałów instrumentu różnie pomieszczonych, do najpociesniejszych ruchów grającego zniewalały; to nogami przebieżał jakby garnki wiercił, to kolana ku skrzyni instrumentu wznosił, to ręce w lot od klawiszów gdzieś do boku skrzyni przenosił, cisnąc jakąś rękojeść lub ją podnosząc, a to wszystko dlatego tylko, by ton właściwy instrumentu zmienić do niepoznania.

Jedno z ważniejszych ulepszeń z organów do fortepianu przeniesione, mało jednak upowszechnione, wiąże z sobą klawisze w ten sposób, że za uderzeniem jednego i oktawa jego wyższa się odzywa i ton wydaje. Pomnaża to pełność, siłę i jasność tonu, ale może niekiedy przeszkadzać grającemu i muzyce, gniotąc klawisz, którego nowe uderzenie byłoby potrzebne. Gdyby można tak urządzić mechanizm, by

oddzielne młotki oktawę do brzmienia budziły, korzyść byłaby rzetelna. Inne i znakomitsze urządzenie, zbliżało więc jeszcze fortepian do organu: byłoto zastosowanie pedałów z oddzielnymi strunami, zamkniętymi w pudle pod zwyczajną skrzynią instrumentu. Zwyczaj ten długo zaniedbany, dziś znowu powraca i byłoby do życzenia, by się upowszechnił. Wiele ztąd korzyści tak dla samego instrumentu, jak i dla muzyki w ogólności. Pierwszy zyskuje na tém przynajmniej dwie oktawy potężnego basu, zdające się być nowym przybytkiem dlatego, że nogi równocześnie przykładające się z rękami do wykonania muzyki, dopełniają ich czynności. Umiejąc wprowadzić niektórzy z rzadką zręcznością całą klawiaturę w ruch wprawiać, ale to nie jest pospolite i dzieje się kosztem jasności tonu i innych ważnych w muzyce wykonywanéj przymiotów. Takie pomnożenie pedałem bogactwa fortepianu, gdyby stało się powszechne, wpłynąćby musiało korzystnie na styl kompozycyi waleśający się dzisiaj po bezdrożach, na poprawienie smaku, częstoby usunęło potrzebę układania na cztery ręce, i co rzeczą jest wielkiej wagi, przygotowałyby zdolniejszych organistów. W zakładzie naszych fabrykantów Krall i Sejdler, już taki jeden pedał zrobiono właśnie dla artysty, którego dążność muzyczna do organu przeważnie się skłania, i na którym między wszystkimi u nas celuje.

Zupełnie czém inném są używane przy fortepianach tak nazwane pedały (od gniecenia nogami; pedes), zwykle dwa już tylko w liczbie. Jeden podnosi tłumiki leżące na strunach i tym sposobem dłużej im drgać dozwala, rozbudza powinowate tony, pomnaża więc masę brzmienia, ale jest także niewinną przyczyną niejasności dźwięku i łoskotu głuszącego. Pożądane to skutki tego pedału dla wszystkich, którzy radzi nim pokrywają fałsze chybionego uderzenia i niewyrobienie mechanizmu palców. Umiejętne obejście się i stosowne zażycie tego pedału, zdwaja niemal działanie instrumentu, nadaje mu pozór śpiewności, a przy dzisiejszych kompozytach nieodbicie jest potrzebne. Raczej wyzreczy się można po oktawie tonów z każdego końca skali,



do nieocenialnych już dźwięków doprowadzonej zbytkiem fabrykantów, niż tego pedału; ale ulepszyć go koniecznie potrzeba. Jednym naciśnięciem nogi w dzisiejszym urządzeniu wszystkie struny od tłumików uwolnione, huczą i trzeszczą, mącą jasność, a to tylko dlatego, by pewna część klawiatury suchiej brzmiała; nie lepiejże byłoby podzielić związanie tłumików na dwie przyuajmniej części dla wiolinu i basu, i dla każdej oddzielny pedał zastosować, albo raczej jeden szeroki na dwie części rozdzielić? Widzieliśmy taki instrument z fabryki głośniejszej u nas dawniej Bucholtza (ojca) i nie pojmujemy, czemu ten pomysł zarzucony został, bo jego korzyści są widoczne. Drugiego pedału z używanych dziś przy fortepianach zadaniem jest, ująć *massie* dźwięku, co się dzieje albo wsunięciem sukna między młoteczki i struny, albo nasunięciem klawiatury tak, by młotki w jedną tylko strunę uderzały. Sposób pierwszy słusznie dziś zaniedbany został, bo zmienia naturę dźwięku i w szczególony a niemiły uchu sposób go tępi. Sposób drugi, chociaż zdaniem wielu naraża instrument na rozstrojenie, przy lekkim zwykle traktowaniu i silnej budowie dzisiejszych fortepianów (rozumie się dobrych), nie dozwala się tego obawiać, a ton daje miły i ten sam zawsze, tylko jakby w miniaturze.

Dzisiejszy fortepian zdaje się być już doprowadzony do najwyższego stopnia doskonałości: jeśli jednak zapatrzymy się na różne jego dawniej rodzaje (1) i polepszenia, nie ze-

(1) Do wyżej wymienionych dodajemy kilka ważniejszych, pomijając inne dosyć liczne. *Archicembalo* wynaleziony w XVI jeszcze wieku, ale wkrótce zarzucony, był raczej spekulacją muzyczną niż instrumentalną. Wynalazca zrobił w nim zbiór wszystkich tonów w muzyce używanych i nietylko dyatonicznych i chromatycznych, ale nadto i enharmonicznych (np. *cis* i *des*, *fis* i *ges*). To spowodowało prawie drugie tyle klawiszów w oktawie potrzebnych, a ztąd trudność w graniu niezmiernie urosła. Dzisiejsze fortepiany według tak zwanej temperatury strojone nie mają wprawdzie dokładnej czystości, ale różnice tak są małe, że słuch nie pojmuje ich prawie. *Klawikord podwójny i poczwórny* miał tyleż klawiatur z różnych strun, by dla kilku razem osób mógł służyć. *Orphica* znowu jestto miniatura fortepianu; wyglą-

chcemy powiedzieć, że już dalej nie pójdzie. Obok przymiotów sobie właściwych: rozległości skali i zdolności do oddania naraz masy tonów, ma on niektóre wady, stanowiące wprawdzie jego charakter, zawsze wady jednak. Siła jego dźwięku jakkolwiek znakomita, nie zrówna sile innych narzędzi muzycznych, mianowicie smyczkowych; a że ton w najlepszych nawet fortepianach wkrótce po uderzeniu słabnie, brak mu więc wnikliwości w ucho słuchacza i mniej sposobny jest być tłumaczem melodyi, tego kwiatu muzyki. Traci na tém także powab materialny tonu, choć nieraz znakomity, bo fantazyja słuchacza zmuszona wypełniać przerwy między tonami, wyczerpuje się w téj czynności pracowitej, i dlategogo kompozycye, bez względu na naturę instrumentu, inné przedrzeźniające, wkrótce nas nużą. Wzrost siły i zmniejszenie jéj przy jednym długim tonie, nigdy się nie uda; co niezmierną daje wyższość narzędziom o ciągłym tonie. Te niedostateczności były powodem do mnóstwa pomysłów i przekształceń fortepianu tak licznych, jak żadnego innego instrumentu. Skrzypce na przykład prawie nie uległy zmianie od XIV wieku, bo miały w sobie wszystko co ucho ludzkie nęci; to téż nieraz były wzorem w przekształceniach fortepianu. Ważniejsze z nich wymieniamy zaczynając od tych, które najmniej naturę instrumentu przemieniły. Najpierwéj idzie *Tremolophon* wynalazku Girarda, niegdyś inżyniera Banku Polskiego. On, którego pomysł inny do dzisiejszego stopnia świetności doprowadził prze-

da jak pudelko, ma tylko kilka oktav, i klawisze tak wąskie, że tylko delikatne palce dam i dzieci mogą w nie uderzać. *Cembalo d'amore* miał dla mocniejszego tonu struny podwójnej długości. Za pomocą szczególnego urządzenia, tangent podnosił cokolwiek strunę do góry i stawał się podstawkiem na dwie różne części ją dzielącym; każda wydawała ten sam ton, zdwojony więc w mocy i śpiewności. Silniejsze jednak lub słabsze tangentem uderzenie, wyprężając mniej lub więcej strunę, brzmienie jéj czyniło także niejednakowém; zład ten instrument zarzucono, tém bardziej, że wynalazek fortepianu, potrzebę tamtego usunął. Dzisiejsze *pianino* w szczupłym obrębie skomplikowany mechanizm mieszczące, ma ton słaby acz łagodny, ale kosztowne.

dzalnie, nie mógł zwyciężyć uporczywój fortepianu natury, nie mógł mu nadać ciągłości tonu. Ograniczona szybkość uderzania młotka w strunę mechanizmem Girarda spowodowana, daje czuć przerwy tonu ustawicznemu drganiu podobne, co przecież w odległości nic rażącego nie ma. Dla poważnej choralnej muzyki, instrument ten jest przyjazny i pewnieby się upowszechnił, gdyby nie wysoka cena i konieczność pomocy czyjś, do obracania walca ruch młotkom nadającego. Można by to powierzyć nogom grającego, albo rodzajowi werku zegarowego, a koniecznie uprzętnąć tę śmieszność, pogardzoną katarynkę przypominającą. Być może, że to właśnie więcej niż niedokładność pomysłu wpłynęło na nieprzyjazne o nim zdanie w Niemczech. Uderzenie w struny jest tu zawsze jeszcze środkiem do wydobycia tonu, dlatego też łatwo da się połączyć z tremolophonem zastosowanie zwykłego fortepianom mechanizmu. *Syrenion* do ich rodzaju należy, ale ma struny tak grube, że raczej do sprężyn podobne; trwałość budowy i stroju, wielka siła tonu, oto jego zalety; deka strojowa niespojona ze skrzynią, a niekiedy cała z metalu (nawet srebrna) co piękność tonu pomnaża. *Melodicon* wydaje głos także za pomocą uderzenia młotka, ale ciałem brzmieniém nie są już struny, ale widelki strojowe. Zresztą natura jego jak fortepianu. W czasie gdy zjawiska elektryczności poznano bliżej i naukowym je doświadczeniom poddano, zjawił się także i klawikord *elektryczny*. Opis tego instrumentu poprowadziłby nas do tłumaczenia mnogich drobiazgów, z których jest złożony; tutaj tyle tylko powiemy, że ciałem brzmieniém są dzwonki po dwa dla każdego tonu, za przyciśnięciem klawisza uderzane naprzemian młoteczkami między nimi umieszczonym, i z taką szybkością, że ton prawie ciągły się zdaje i milknie z puszczeniem klawisza.

Przecież uderzenie jakkolwiek szybko ponawiane, musi mieć przerwy, i dlatego starano się zastosować działacz nieustannie czynny. *Organy*, w których ciałem brzmieniém jest kolumna powietrza w ciągłym ruchu utrzymywana, wedle nadpisu niniejszego artykułu, kwalifikują się także do



budowie pierwszego takiego instrumentu, słyszał spory i silne dowody, że wynalazcą właściwym był ś. p. Hoffman professor botaniki przy byłym uniwersytecie warszawskim. Połączył się on z Brunnerem dla wykonania pomysłu, co się działo w mieszkaniu i kosztem ostatniego. i może być, że to dało powód do przyznania mu wynalazku. Ciałem brzmieniém w choraleonie jest powietrze w cylindrach metalowych będące, do których dodano wielkie trąby blaszane, a siła tonu budzonego za pomocą mieszków nogami grającego deptanych, wedle jego życzenia tak się wzmódz może, że zagłuszy sto osób w połowie orkiestry, w połowie śpiewaków. Stopniowane poddawanie powietrza i w kolorycie głosu różnicę sprawiało; lekkie zadęcie brzmiało jak melodikon, mocniejsze jak krzyczący klarynet, bardzo mocne ryczało jak połączony odgłos trąb, waltorni i puzonów. Instrument ten stał jakiś czas na chórze kościoła ewangelickiego w Warszawie, dziś jednak rozebrany, leży w składowach kościelnych. Uboższe już pod względem potęgi tonu, rozległości skali, a nadto do melodyi tylko zdolne narzędzia dęte z klawiaturą są: *melodica* i *harmoniphon*. Pierwsze wybornie naśladuje głos fletu, a ma tę wyższość, że i w największém forte w tonie nie góruje, co jest wadą fletów zwyczajnych; drugie zastąpić może korzystnie miejsce oboju, któremu mało się osób poświęca dla jego trudności. Małe pudelko obejmujące klawiaturę do liczby tonów oboju potrzebną (skala jednak powiększoną być może), ożywione jest własném człowieka tchnieniem, przez wążką i giętką rurkę do wnętrza narzędzia przesyłaném. Cieniowanie więc i akcentowanie równie dokładnie odbywać się może, jak na zwyczajnym oboju.

Klawiatura jak to widzimy, znalazła częste i udatne zastosowanie do instrumentów dętych. Upowszechniona nauka grania na instrumentach z klawiaturą, równie jak żądza ulepszenia wad fortepianu zwyczajnego, mogły być do wszystkich powyżej wymienionych pomysłów bodźcem. Jakżeby nie miano próbować czegoś podobnego ze skrzypcami, a raczej narzędziami smyczkowemi, których ton naj-

podobniejszy do głosu ludzkiego, do tłumaczenia wszystkich uczuć bez wyjątku zarówno jest zdolny? Liczne doświadczenia, używanie różnej natury ciała brzmiennego, na mniej lub więcej udatne wypadki się składały; ważniejsze wymieniamy. Najdawniejszy w tym rodzaju jest klawikord *smyczkowy*. Struny głos wydające, używane były metalowe ale częścię zwierzęce. Pomysł pierwszy raz w 1610 r. jeszcze wykonano, i odtąd ciągle ulepszany w 1800 r. pod nazwiskiem *Xenophica* nic do życzenia nie zostawiał. Urządzenie tego narzędzia przeważnie skrzypcowe, prócz klawiatury i pełnogłośności fortepianom właściwej, nie fortepianowego nie miało. Probowano więc naturę skrzypiec i klawikordu połączyć; z kąd powstał instrument z podwójną klawiaturą, podwójnem nawiązaniem strun metalowych i zwierzęcych, i podwójnym czynnikiem klawiszami budzonym: smyczkami i młotkami. Tak więc zręczne obchodzenie się grającego, mogło go udarować duetem skrzypiec i fortepianu. *Orchestrino* jest także z tego samego rodzaju, tęp różne tylko, że jego struny zwierzęce są w wielkiej liczbie zebrane i od największej do najmniejszej grubości stopniowane, wydają wszystkie tony instrumentów smyczkowych, od kontrabasu do najwyższych tonów skrzypiec. Smyczek tu jest skórzany, powleczone jakim surrogatem kalfonii, za pomocą koła nogą obracanego działający. Siła tonu tego narzędzia, równoważy siłę potężnej orkiestry. Zamiast smyczka wymagającego wiele miejsca do swobodnych poruszeń, użyto nieraz kółka lub cylindra; tak *Hierochord* o jednej tylko strunie metalowej lub (częścię) zwierzęcej, obrotem kółka w ciągłym utrzymywanej brzmieniu. Różnicę tonu wywołują poruszane klawiszami tangentami, stanowiące ruchome podstawki, a tęp samę przedłużające lub skracające strunę. Tu się przypomina znana u nas i w całej Europie *lyra* wędrownych Sabaudczyków. Tęp się różni od Hierochordu, że stron ma zwykle cztery, niekiedy trzy tylko, z których dwie w oktawę lub kwintę nastrojone, ciągle brzmią jednakowo, gdy inne za pomocą tangentów klawiszami rządzonych, intonacją przemieniają.

Brzmienie owych dwóch strun pierwszych ciągle jednakowe, mała rozległość skali, niewielka liczba tangentów, wreszcie prostota muzyczna wirtuozów, pomagających sobie gwizdaniem i skokami, wszystko to wiedzie za sobą rodzaj muzyki powtarzającej się w kółko, z kąd pewnie pochodzi wyrażenie niemieckie *leyern*, pleść jedno i zawsze to samo.

Przemiana formy ciała brzmiącego, inne jego utwierdzenie, same już wpływają znakomicie na przemianę w rodzaju tonu, bo zmieniają kierunek drgań. Tak *szyfsty* pocierane walcami okrytymi płótnem, mocno kalafonią nasyoném, wydają ton mocno na nerwy działający, i podobny do głosu harmoniki Franklina (1). *Melodion* ma sprężyny metalowe, za pomocą śrubek dające się szybko wyżej lub niżej nastroić. Do drgania pobudza je cylinder elastyczném obwiedziony ciałem i nogą grającego poruszany, żywiej dla forte, wolniej dla piano, co samą tylko siłą naciśnienia nogą się zyskuje, a jako współczesne z psychiczną w człowieku przemianą, nie jest trudnością. Ten szczegół mocno instrument w mowie będący zaleca. Rzecz uderzająca, że sprężyny metalowe wydają tu głos wcale niemetaliczny, co zapewne od ciała pocierającego zależy. Ton pełniejszy, ale nie tak przejmujący jak harmoniki, podobny do głosu narzędzi dętych drewnianych jak flety, klarynety, fagoty; a nadto wedle woli grającego może ustać natychmiast albo brzmieć nawet po puszczeniu klawisza. W zdolności do expressyi, tylko głos ludzki *melodion* przewyższa.

Familia *klawicylindrów* przez znakomitego akustyka Chładni'ego wynalezionych, bardzo się rozrosła. *Panmelodion*, *Terpodion*, *Uranion* i inne tu należą. By się nie powtarzać (2), wstrzymujemy się od szczegółowego ich opisu, tém chętniej, że drobnemi różnią się szczegółami. Raczej zajmiemy się narzędziem niewydającym tonów, w którym kolory zastępują miejsce brzmienia. Jestto klawikord *dla oczu* (*Clavecin oculaire*, *Augen-Farben-Klavier*). Niepodo-

(1) Patrz Bibliotekę Warszawską na styczeń 1847, str. 181.

(2) Biblioteka Warszawska 1847 tom I.

bieństwo zaprzeczyć istnienia pewnego powinowactwa farb i tonów; mowa nawet ludzka ma wyrażenie: koloryt dźwięków. Rozprawia o tém Euler w listach swoich do jednej z księżniczek niemieckich, a Goethe w nauce o kolorach tak między innymi mówi: „Niepodobieństwem jest porównywać dźwięki i kolory, ale to widoczna, że te i tamte odnoszą się do jednej formuły i każde we właściwy sobie sposób dadzą się z niej wywieść. Ton i kolor są jakby dwie rzeki z jednego tryskające wzgórza, ale różnemi przyczynami rządzone, w różne strony świata się rozchodzą, a w całym biegu nic podobnego nie mają. Oboje, ton i kolor są wypływem powszechnego prawa rozdziału i styczności, powszechnego kołysania się w tę i owę stronę, ale każde we właściwym sobie kierunku, w różny sposób, ku różnym pośrednim elementom, dla różnych zmysłów.” Powinowactwo to snadź upatrywał Bernhard Castel zgromadzenia Jezuitów w Paryżu i zapragnął za pomocą zmian i harmonii barw, działać na czucie tak samo, jak się to dzieje za pomocą przemian i harmonii dźwięków. Stosownie do tego pomysłu zbudował rodzaj klawikordu, który zamiast tonów, miał pokazywać jedną barwę z ułożonego systematu kolorów. Zasada była następująca: Jest w muzyce ton główny, rodzic innych, np. *C*; między barwami jest także jedna główna: niebieska; w muzyce z głównego tonu rodzą się inne, łącząc się z nim, dają akord pierwotny *c—e—g*; między barwami są też dwie z innych niezłożone, a od niebieskiej zależące: żółty (tercja) i czerwony (kwinta). W dalszém rozwinięciu systematu powstała gamma kolorów: niebieski (*c*), zielony (*d*), żółty (*e*), aurora (*f*), czerwony (*g*), fioletowy (*a*), fiołkowy (*h*). Jak w gammie *f* skłania się do *e* i *h* do *c*, tak tu kolory skłaniają się ku sobie, a w całym szeregu wnikają w siebie i przechodzą znów w niebieski, ale o pół jaśniejszy (oktawa wyższa). Dla dowiedzenia prawdy tego pomysłu, zastosował Castel piszczałki mające tonem grę kolorów objaśniać, ale to porównanie niekorzystnie musiało wpłynąć na jego wynalazek, boć ton namiętniej niż kolor działa na nerwy.

Tak tedy klawiatura w instrumentach muzycznych jakiegokolwiek natury, przeważną gra rolę, a do kompletu nie brakuje ni harfy ni gitary; trudności różnorodne zwały się w jedną umiejętność grania na fortepianie; można więc powiedzieć: fortepian, to muzyka.

J. S.



## KRONIKA ZAGRANICZNA.

---

### Prawoznawstwo niemieckie i francuzkie.

I. *Lehrbuch für Institutionen und Geschichte des römischen Privatrechts*. Tom 3ci: *Das Obligationenrecht*, przez *Dr. Fr. A. Schilling*. 8. XVI i 1002. Lipsk. 1847. zlp. 29.

Ośm lat upłynęło pomiędzy wydaniem poprzedniego tomu powyższego dzieła a obecną publikacją. W każdym razie nie można autorowi uczynić zarzutu, jakoby nie obszedł się po ojcowsku z rozpoczętym przez siebie dziełem. Przypnać raczej wypada, iż tak długo pielęgnowane przez niego dziecko, na siłach i rozwinięciu nader wiele zyskało, mianowicie gdy zwrócimy uwagę, iż na 1000 stronicach niewszystkie jeszcze obligacye są skręślone, a między innemi niedostaje nawet obligacyi *ex delictis, ex variis causarum figuris*, oraz zmian i sposobów rozwiązania istniejących już kontraktów. Wprawdzie zbyt rozwlekłym mogłoby się zdawać w dziele z takim co obecne przeznaczeniem, przedstawienie *kontraktu darowizny* na 237 stronicach; ale któż z przyjemnością nie będzie czytał, jak autor w tym rozdziale jasnym i klasycznym językiem, z powagą i uzasadnioną polemiką przeciwko *Savignemu* i *Meyersfeldowi* występuje. Jeżeli w przyszłości dzieło obecne skróceniu będzie miało uledek, życzyłyby jedynie należało, ażeby mniej cytat druko-

wano, których zbyteczna obfitość nie ma do obszerności dzieła się przyczynia.

Dwa podobnej treści dzieła (*Puchta* i *Burchardi*) wyszło na widok publiczny w przeciągu ostatnich lat 9. Jeden z rzeczonych autorów przeżył zaledwie wydanie drugiego tomu swego dzieła. Wspomnienie to powinno pobudzić Dr. Schilling do wykończenia pozostałych jeszcze 2ch tomów swój, tyle ważnej ku zasadniczemu zgłębieniu prawoznawstwa rzymskiego pracy, w krótszych niż dotąd odstępach czasu.

Co się pojedynczych dotyczy nauk, autor w obecnym tomie trzymał się także *Makeldeya*, z większą wszakże niż w poprzednich tomach samodzielnością.

Według tego, dział ogólny rozpada na trzy rozdziały: *natura i rodzaje obligacyi, wynagrodzenie szkód, i procenta*, tak, iż *cessy* z działu tego są wyłączone; nauka wszakże o wierzytelnościach uprzywilejowanych, bardzo słusznie do działu ogólnego jest wmieszczona. Możeby życzyć jeszcze należało, ażeby obok tego, wspomnianem było o tak zwanych *pretensjach fiskalnych*, oraz o *pretensjach mortis causa donatari* i *legataryuszów*. Natomiast znajdujemy tam tak zwane *beneficium competentiae*, chociaż zdaje się, iż właściwsze miejsce dla tej nauki byłoby w rozdziale *de solutione*, gdzie możnaby zarazem umieścić i zwłokę, *mora*, jako skutek opóźnienia.

Na szczególną zasługę pochwałę dokładna korekta, jaką druk całego dzieła, mianowicie nader częstych i obszernych cytat się odznacza.

II. *Die formellen Verträge des neueren römischen Obligationenrechts in Vergleichung mit den Geschäftsformen des griechischen Rechts*, przez Dr. R. Gneist. 8. 528. Berlin.

1847. zlp. 16.

Dzieło powyższe znanego literata (professora prawa w Berlinie), zaszczytne zajęło miejsce między pracami histo-

rycznemi nowszych prawników. Samo zadanie jakie autor sobie uczynił, należy do nader ważnych i ciekawych. Wprawdzie kontrakty dawniejszego prawa rzymskiego, a mianowicie *stypulacya*, nie są pozbawione naukowego interesu, a nawet mistrzostwo rzymskich prawników najwyraźniej i najusilniej może w niej się objawia, i tak zwany *formalizm* stanowi bez wątpienia jeden z charakterystycznych rysów dawniejszego prawa rzymskiego; ale autor wywód swój rozpoczął od „*obligacyj nowszego prawa rzymskiego*” a widok który z tego stanowiska oczom się naszym przedstawia, jakkolwiek wiele bez wątpienia się przyczynia do uzupełnienia całkowitego obrazu, jednakowoż nie jest tyle ponętym, co teoria poprzedniego okresu prawa rzymskiego, która za arcydzieło z matematyczną ścisłością działającej prawoznawczej logiki, uważaną być winna. Późniejszy natomiast okres przez autora wybrany, historycznym jedynie odznacza się zajęciem, jako peryod powolnego spłaszczenia i upadku wspaniałej budowy przeszłości. W literaturze prawnej dawał się dotąd czuć brak historii tego upadku: im potrzebniejszą wszakże, a zarazem im trudniejszą jest do ułożenia historia rzymskiego formalizmu, z tém większą wdzięcznością przyjąć należy wszelką pracę na tém polu dokonaną.

Ale i pomimo tego nawet, ogólne wrażenie z przeczytania dzieła p. Gneist, na jego korzyść tylko uprzedzać może; chociaż z pewnej strony praca ta nie ze wszystkiemi oczekiwaniami odpowiada.

Przynajemy najzupełniej autorowi gruntowną znajomość prawa rzymskiego i jego historii, staranność i usilną pracę w nagromadzeniu źródeł, zręczność i talent w zastosowaniu takowych, ścisłość wykładni, jasność przedstawienia, na koniec wielonowych lub nowo dowiedzionych zdań i wywodów; ale właśnie ponieważ te *pojedyncze* zdania i wywody istotną wartość dzieła stanowią, dlatego też w nich zarazem i jego słabiej strony szukać należy. Główny zarzut jaki pracy p. Gneist uczynić jesteśmy obowiązani, jest ten, iż dzieło jego nie stanowi *jednej* całości, ale jest raczej agregatem pojedynczych, częstokroć od siebie zupełnie niezale-

żnych jednostek. Autor zaniedbał jednostki te starannie i należyście ułożyć i ugrupować, każdemu wywodowi właściwy nadać początek, kierunek i koniec; jedném słowem, nie dozwolił treści samodzielnie się rozwinąć. I tak, między innymi np. rozpoczyna autor swe dzieło excepcją *non numeratae pecuniae*, a mianowicie następującem zdaniem:

„Doświadczenie uczy, iż dłużnicy przyszłym swym wierzycielom częstokroć wystawiają akta jeszcze przed odebraniem pożyczki.” Z jakimże zadziwieniem czytelnik nie będąc wcale przez autora przygotowanym do drogi, którą chce go poprowadzić, nie będąc nawet uprzedzonym o stanowisku historycznym, z jakiego się autor na nowsze prawo rzymskie o obligacjach zapatruje, nie wiedząc nawet co chce rozumieć przez tak zwane *kontrakty formalne*, nagle dla poprzednio wspomnianej przyczyny spostrzega, iż autor rozpoczyna teorią o excepcyi *non numerate pecuniae*.

P. Gneist podzielił swoje dzieło na 5 działów:

I. *Exceptio non numerate pecuniae* (7—113);

II. *Stipulatio* (223);

III. *Querela non numeratae pecuniae* (223—321);

IV. Nowszerzymskie tak zwane *kontrakty literalne* (321—413);

V. *Syngrapha*, t. j. greckie formy postępowania przy obligacjach i ich wpływ na prawo rzymskie.

O ostatnim rozdziale, jako będącym za zakresem zwykłych prawoznawczych wiadomości i prac, właściwym sądzią sprawozdawca być nie może.

III. *Die Staatsanwaltschaft, ihr Werth im Civil und Criminalrechte*, przez Dr. F. A. I. Thesmar, adwokata przy sądzie apellacyjnym w Kolonii. 8. Bonn. 1847. 3 zlp.

Ogłoszony w r. 1842, a pod przewodnictwem ministra v. Kamptz ułożony projekt postępowania sądowego kryminalnego w królestwie pruskiem, z podziwieniem wszystkich

prawie prawników objaśnia, iż: „instytucya prokuratorów nie została uznana ani za *potrzebną*, ani za *pożyteczną*”. Publiczne to oświadczenie skłoniło p. Thesmar, zaszczytnie znanego w praktyce i nauce prawa, do zgłębienia instytucyi prokuratorów ze względu *pożytku i potrzeby*.

1) *Pożytek* téjże uważa autor w tém: „iż niezaprzeczoną dla sprawiedliwego wykonywania przepisów prawa stanowi korzyść, gdy jest w życie wprowadzoną instytucya, która zupełnie niezależnie przestrzega, ażeby żadna z władz sądowych nie przekraczała w niczem obowiązków swego urzędu; która z równą gorliwością czuwa nad interesem rządu, jak i nad interesem tych, którym ustawy nie pozwalają samoistnego dochodzenia swych praw i których dla téjże przyczyny rząd pod szczególną zachowywać winien opieką; instytucya, która wszelką stronność niweczy, niewinnego ochrania, winnego zaś po karę przed wyrokującego sędziego prowadzi, a w razie potrzeby wyrokowi właściwe umie nadać znaczenie i wykonanie: w ogólności instytucya, która przy wszystkich sądowych czynnościach prawo reprezentuje, o wszystkiém co się na posiedzeniach sądowych odbywa świadomość posiada, wszelkie usterki niezwłocznie naprawia i dłogę sprawiedliwego porządku wskazuje”.

Następnie autor wylicza z prawodawstwa francuzkiego wszystkie wypadki, w których prokurator w sądach cywilnych w czasie i za obrębem posiedzeń sądowych działał wczysto występuje. *Pożytku* jednak instytucyi tym jedynie sposobem niepodobna było wykazać; należało raczej z istoty czynności prokuratorów wywieść, dlaczego takowe przez oddzielną od sądującąj spełnione winny być władzę i dlaczego połączenie ich z urzędem sędziego, nietylko że nie byłoby właściwem, ale nawet niekorzystny i wsteczny wywrzećby mogło wpływ. Autor zapomniał co do téj okoliczności, jak i co do wielu innych postawić się na stanowisku przeciwników. Następnie p. Thesmar przechodzi do funkcji prokuratorów w zakresie prawa kryminalnego, i wykazuje z właściwych i łatwo się nastreżających zasad, konieczność postępowania sądowego na akcie oskarżenia opartego, a zatém konie-

czność głośności i urzędu prokuratora. Dodane przytém cytacye z prawa rzymskiego i niemieckiego średnich wieków są zupełnie zbyteczne, tém bardziej, że nawet przeciwnicy powyższego postępowania kryminalnego, uznają je za historycznie dawniejsze. Nie bez zajęcia się niektóre szczegółowe wiadomości z dzieł włoskich prawników czerpane, o początku i wywodzie tortury z zasady inkwizycyi.

2) *Potrzebę* instytucyi prokuratorów nie wyprowadza autor z konieczności *absolutnej* (a to z powodu, iż pojęcie takowej, jak mówi, może być bardzo rozmaitem), ale z konieczności *względnej*, dlatego, że rząd potrzebuje mieć pewien organ, któryby bez zwłoki właściwe środki celem obalenia przeciwnych prawu wyroków przedsięwziąć był w możności (co funkcją sędziego wyrokującego w żaden sposób być nie może), oraz organ niezbędny w razie sporu o jurysdykcję między sądownictwem cywilnym a kryminalnym. W miejsce dokładniejszego rozwinięcia podaje autor w zakończeniu szereg zdań i sądów o wartości instytucyi prokuratorów przez Montesquieu, króla Ludwika XII, cesarżową Katarzynę, Merlin, Steurion de Sauthey, Collmann i Zachariae wyjawionych.

A tak widzimy, iż pismo p. Thesmar z dzisiejszego stanowiska nauki uważane, nie ma ani zasługi nowości, ani starannym nazwać się może wywodem. Obrona instytucyi prokuratorów jedynie z powodu *pożytku i potrzeby*, nie odpowiada jeszcze wysokiemu znaczeniu tej instytucyi. W każdym jednak razie dziełko obecne nie jest bez wartości, jako na doświadczeniu oparty rozbiór znakomitego praktycznego prawnika, a pisma tego rodzaju zawsze z pobłażaniem cenione i ogółowi polecone być winny.

IV. *Handbuch des im Königreiche Württemberg geltenden Privatrechts*, przez Dr. C. G. v. Wächter. 2gi tom, 8. Stuttgart. 1847.

P. Wächter, którego nazwisko żadnemu z literaturą prawa obznajmionemu obcym być nie może, zamierzył w dzie-

le powyższem wypracować system prawa cywilnego wirtumberskiego, w taki sposób: iżby wszystkie żywioły, z których się rzeczzone prawo składa, z jednakową dokładnością w zgodną ujęte były całość, przy szczegółowem i najskrupulatniejszem podaniu obcych źródeł, mianowicie prawa rzymskiego i niemieckiego. Zamiar ten autor postanowił wykonać w pięciu działach: I część ogólna; II prawo osobowe w połączeniu z prawem familijnem; III prawo rzeczowe; IV obligacye; V prawo spadkowe.

Rozwinięcie powyższych żywiołów, poprzedza w tomie Iszym nietylko obszerna rozprawa o właściwych prawa cywilnego źródłach, ale nadto historia naukowych prac tego przedmiotu, oraz wpływu jurysprudencji i prawa zwyczajowego na organiczne kształcenie prawa. Obecnie wydany tom 2gi zawiera dział pierwszy, to jest część ogólną prawa, oraz na zasadzie własnych badań autora wypracowany kurs pandektów. Ten ostatni powód jest już dostatecznym do polecenia dzieła pana Wächter wszystkim zajmującym się nauką prawa cywilnego.

V. *Das römische Pfandrecht*, przez J. J. Bachofen, tom 1szy 8, XV i 691. Bazylea, 1847, 24 złp.

Autor powyższego dzieła przedsięwziął skutecznie wykład prawa rzymskiego o zastawie, jak mówi, w *rzymskiej formie*, czego (dodaje) w dotychczasowych pracach nie dostrzegł. P. Bachofen opierając się na dokładnym rozbiórce pism Gajusa i Marcyana *ad formulam hypothecariam* przekonał się, iż w księgach tych z akcyą zastawną połączone jest zarazem cała teoria prawa o zastawie, i dlatego téż wykład swój rozpoczął przez *actio hypothecaria*. Nowsi natomiast prawnicy (mówi autor str. 88) wychodzili z nowożytnego pojęcia prawa do rzeczy obcej, i z tego powodu do nauki prawa o zastawie wiele niewłaściwych włączyli żywiołów.

Tom 1szy, który się dotąd na widok publiczny ukazał, podzielony na 19 rozdziałów, ma głównie na celu dowieść, iż

w prawie rzymskiem akcyja zastawna jest kluczem do całej teoryi zastawu; przytém poniewaź rzeczywistym celem zastawu jest zaspokojenie wierzyciela przez ciągnięcie korzyści z zastawu lub przez jego sprzedaż, przeto i o tém autor obszernie naucza. Następnie p. Bachofen wykazuje, jak powoli *fiducia* i *pignus* w jeden się łączą instytut, *hypotekę*, która według niego wcale nie jest nowszego prawa wymysłem (str. 633). Przy końcu tego tomu dodany jest bardzo dokładnie i starannie ułożony spis źródeł do nauk w tymże tomie opracowanych.

Tom 2gi ma zawierać całą dogmatykę prawa o zastawie, oraz wykład akcyi zastawnej rzeczowej.

(Dokończenie nastąpi).



## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

#### FIZYKA.

**N**a zjeździe włoskich uczonych w Wenecyi (w październiku 1847 r.) Bancarelli odczytał pamiętnik o działaniu elektro-magnetyzmu na pary wody i alkoholu. W tej rozprawie opisał ruch, jakiego pod wpływem magnetyzmu doznaje bulka powietrza lub innego gazu zawarta w rurce szklanej, prawie całkowicie napełnionej wodą lub innym płynem; wskazał, że palenie żywić odbywa się w bliskości elektro-magnesu i t. p. Przedmiot ten nadzwyczaj ciekawy, obudził w członkach sekcji życzenie sprawdzenia głównego doświadczenia. Skutkiem tego, w przytomności wielu fizyków stwierdzonem zostało doświadczenie, że płomień lampy między biegunami elektro-magnesu za każdym zamknięciem stosu odpychanym bywa, wraca zaś do swego zwykłego pionowego położenia natychmiast po przerwaniu strumienia elektrycznego wzbudzającego magnetyzm w żelazie.

Ważne to odkrycie czyni działanie magnetyzmu prawie ogólnem; gdyż dawniej Faraday już przekonywał o wpływie magnetyzmu na ciała płynne.

Zantedeschi przytomny opisanemu doświadczeniu, za powrotem do Turynu powtórzył je, urozmaicając okoliczności towarzyszące głównemu faktowi. Przy swych ba-

daniach używał elektro-magnesu złożonego z walca żelaznego zgiętego, średnicy 0,15 metrów a długiego na 0,335 metra i z drótu miedzianego, długiego na 33 metry a na  $1\frac{1}{3}$  milimetrów grubego. Kotwicę składały dwa równoległościany żelazne, które można było ustawiać w rozmaitem oddaleniu między sobą. Stos Bunzena użytym był do wzbudzenia strumieni elektrycznych w drócie otaczającym walec żelazny. Elektromagnes stał pionowo zwrócony końcami do dołu. Śledząc te fenomena Zantedeschi doszedł do następujących wniosków:

Że odpychanie płomienia objawia się tak przy użyciu kotwic żelaznych pełnych jako też i wydrążonych, i trwa przez cały czas w jakim elektromagnes posiada siłę magnetyczną.

Że przy zamykaniu stosu, skoro płomień jest czystym i przedłużonym ostrzem zakończony, odpychanie płomienia towarzyszy niżanie; za przerwaniem zaś strumienia elektrycznego płomień natychmiast wraca do pionowego położenia i do swój zwykłej wysokości.

Największy skutek daje się spostrzegać, gdy płomień jest stycznym do wypukłości linii krzywych magnetycznych (jakie oznaczyć można za pomocą opilek żelaznych posypanych na papierze rozciągniętym nad biegunami elektromagnesu); żadnego zaś skutku dostrzedz nie można umieszczając płomień w środku odstepu pozostawionego między biegunami elektromagnesu; że zboczenie płomienia zwiększa się w miarę użycia większej liczby par stosu Bunzena.

Z późniejszych poszukiwań w tymże przedmiocie Zantedeschi ogłosił następującej treści notę: Że każdy biegun chwilowego magnesu odpycha płomień, tak, iż pod tym względem opisywany przez nas fenomen, należy do kategorii, w której znajdują się bizmut, antymon. Że i dym unoszący się z zagaszonego knota lampy spirytusowej, olejowej lub świecy, doznaje podobnego odpychania. Kamfora, siarka, niedokwas baryum, potassium w podobny sposób zachowuje się z elektromagnesem. Jodwab', wnelna, włośny, jod, szkło białe, cynk, miedź, kadium, palladium i t. d

przyciągane są przez bieguny elektromagnesu podobnie jak żelazo.

\* Faraday w pamiętniku „o stanie dyamagnetycznym płomienia i gazów” stwierdził fakt odkryty przez Bancarelli i popart licznymi i bardzo rozmaitemi doświadczeniami wypadki przez Zantedeschi otrzymane. W pamiętniku tym główny fakt odpychania płomienia i dymu przez bieguny elektromagnesu, daleko jawniejszym i więcej nauczającym sposobem jest opisany. Zamiast płomienia, Faraday używał dymu unoszącego się z zadmuchniętego knota świecy woskowej. Jeżeli knot świecy trzymać będziemy na cal pod biegunami elektromagnesu tak, iżby unoszący się dym przechodził trochę z boku linii łączącej bieguny elektromagnesu (linia osi), wtedy strumień dymu nachyla się na zewnątrz; podnosząc knot wyżej znajdujemy położenie, przy którym dym ciągnie poziomo w kierunku prostopadłym do linii osi. Jeżeli knot umieścimy na cal pod biegunami, ale tak, iżby strumień dymu przechodził przez linię osi, wtedy strumień się rozdwaja, jedna część posuwa się poziomo w prawą a druga część w lewą stronę; zbliżając knot kopący więcej ku biegunom, można pod wpływem magnetyzmu sprawić rozdzielenie strumienia dymu, nawet począwszy od samego knota.

Faraday rozbiera szczegółowo okoliczności mogące wpłynąć na opisywane zбочenie płomienia i dymu, jakoto: wpływ temperatury dymu, działanie strumieni powietrza, wpływ stałych cząstek z dymem unoszonych. Wnioskuje, że temperatura sprzyja zwiększaniu zбочania wynikającego od siły dyamagnetycznej (1). Uważając następnie, opisany wyżej fenomen, jako szczególny przypadek ogólnego prawa rządzącego wszystkimi gazami, Faraday doświadczał różnych gazów pod wpływem elektromagnesu.

(1) Dla lepszego pojęcia przypominamy, że Faraday dowiodłszy, iż wszystkie ciała (stałe i płynne) podległe są działaniu siły magnetycznej, rozdzielił je na dwie grupy: cechą pierwszej jest przyciąganie przez magnes, cechą drugiej jest stałe odpychanie. Pierwsze ciała nazwał *magnetyczne*, ciała zaś do drugiego działu należące *dyamagnetyczne*.

Strumienie gazów w dowolnych kierunkach, potrzebnych do tych doświadczeń, otrzymywał wytłaczając gazy za pomocą wody z naczyń, do których przytwierdzone były rurki w różnych kierunkach. Z bardzo licznych prób otrzymał następujące wypadki:

Strumień saletrorodu doświadczany elektromagnesem w powietrzu, podlega bardzo wyraźnie sile dyamagnetycznej. Jeszcze jawniej o działaniu tej siły świadczy strumień wodorodu. Podobny wypadek chociaż w różnym stopniu, okazały: gaz kwas węglowy, niedokwas saletrorodu, kwas saletrzany, gaz używany do oświetlania, ammoniak, chlor, jod, brom i t. d. Biorąc powietrze za punkt porównania, Faraday twierdzi, iż ze wszystkich par i gazów kwasoród najmniej podlega sile dyamagnetycznej, niedokwas saletrorodu mniej jak powietrze. Niedokwasy saletrorodu zmieszanie z kwasem saletrzanym i ogrzane, posiadają własność dyamagnetyczną w takim stopniu jak powietrze.

W końcu dla usunięcia wątpliwości, jakie słusznie nasuwaćby się mogły z powodu, iż doświadczenia z gazami w powietrzu, wystawione są na liczne okoliczności, mogące wpływać na skomplikowanie wypadków, Faraday w badaniu tego przedmiotu użył sposobu porównawczego, próbując jedne gazy w atmosferze drugich. W tym celu urządził małe pudełko z tafelek miki, otaczające końce elektromagnesu (i posiadające stosowne otwory), które napełniał kwasem węglowym. Przekonał się tym sposobem, że powietrze, kwasoród są mniej dyamagnetyczne aniżeli kwas węglowy; saletroród, wodoród, gaz do oświetlania, ammoniak, niedokwas węgla i t. p. bardzo wyraźnie są dyamagnetycznymi, nawet w atmosferze kwasu węglowego.

Tę nader ważną pracę Faraday zakończy uwagą, iż z tych wszystkich fenomenów wolno już zawnioskować, że bardzo wiele gazów posiadają własności dyamagnetyczne; trudno jednak dziś rozstrzygnąć czyli ten przymiot jest ogólną własnością wszystkich gazów, czy między nimi istnieją gazy magnetyczne i nakoniec, które z gazów są zupełnie

obojętne na działanie siły magnetycznej, czyli które gazy, uważane, pod tym względem stoją jakby na zerze. W końcu zamieścił i mniemanie, że ponieważ gazy są podległe wpływowi magnesu, to zapewne wkrótce odkrytém zostanie: iż gazy doświadczające działania, wywierają także wpływ na światło. Powietrze, w różnych temperaturach posiada w rozmaitym stopniu własność dyamagnetyczną, a ponieważ nasza atmosfera ciągle pozostaje pod działaniem magnetyzmu ziemskiego i w różnych warstwach zachowuje rozmaitą temperaturę, przeto można przewidzieć, iż te okoliczności zdolne są przeważnie przyczyniać się do sprawienia jakiego ogólnego skutku, w atmosferze działania na jej ruchy (1).

\* Callau prof. fizyki w Maynoth (Islandyi) przywodzi, iż z wielką dogodnością kosztowne tafelki platynowe, wchodzące w skład stosu Grovego zastąpić można przez tafelki ołowiane platynowane. Platynowanie odbywa się zanurzając tabliczki ołowiane w roztwór chloranu platyny; osadzony proszek zabezpiecza ołów od działania kwasu saletrzanego. (*L'Institut* nr. 726, 1847). S. P.

#### CHEMIA.

##### *Postrzeżenia nad niektórymi zjawiskami roślinności,* przez J. Persoz'a.

W latach 1838, 1839 i 1840 przebywając w odległej o 20 minut od Strasburga włości, użyłem wolnego czasu na doświadczenia około roślinności, mianowicie około

(1) Nowe i ważne te odkrycia dały już powód do utworzenia nowych teoryj, wyjaśniających układ świata, nasz systemat planetarny i t. d. Podobnych teoryj już kilka liczymy. Pohl, prof. fizyki w Wrocławiu, zbudował niedawno (1846 r.) układ świata na elektromagnetyzmie oparty. O tym układzie może wkrótce podamy szczegółową wiadomość.

uprawy kwiatów, szczególnie daliów czyli georginii. Po wielu doświadczeniach, zdołałem za pomocą nawozu złożonego z wytrawionego u garbarzów wapna z pośladków popielnych (zół popiołowych) ze samego popiołu, z pewnej ilości ziemi ogrodowej i krwi wołowej wyschłej, nadać uprawianym przezemnie kwiatom siłę i piękność barw, przez co niekiedy nowe pokazały się zmiany; lecz owa siła i piękność kwiatów wnet nikła, skoro nawóz przestał wyraźnie wywierać swój wpływ. Powróciwszy do miasta, chciałem dalej prowadzić moje doświadczenia, a że do mego rozporządzenia miałem o kilku tylko kwadratowych metrach ogród, tedy zaledwie kilką winoroślami i hortensyami mogłem się zająć. Podaję tu wypadek doświadczeń, które jak rozumiem, godne są zastanowienia.

*Uprawa hortensyi.* Roku 1843 na gruncie ziemi jałowej niewystawionej na słońce, zasadziłem 10 pniaczków hortensyi. Ich wzrastanie w ciągu tego roku nie objawiło nic szczególnego i aż w następnym roku zakwitły. W tym, to jest 1844 roku w jesieni, przesadziłem owe pniaczki następującym sposobem: Sztuk 5 wsadziłem w nasypane doniczki, mające 0,25 metra wysokości, a 0,30 metra w średnicy; inne 5 w skrzynkę długą na 1,82 metra, wysoką na 0,25 a szeroką na 0,26 metra; nasypałem ziemi zwyczajnej, poprzednio pomieszanej z 3 kilogramami kości spalonej na proch, 1,50 kilogramami sklepowego kwasu saletrowego i 0,50 kilogramami fosforanu potażu. Ta skrzynka stała na północnej stronie mojego domu i tylko zachodzące słońce widziało. Doniczki drugie, lubo w podobnym położeniu, miały trochę więcej słońca.

Już na początku czerwca r. 1845 postrzegłem wielką różnicę w rośnieniu tych roślin, a w okresie kwitnienia, 20 sierpnia, ściągnęły one na siebie uwagę odwiedzającego mnie podówczas pana *Schattemann'a*.

W roku 1846 rozwinięcie pniaczków hortensyowych, wystawionych na wpływ soli kwasu fosforowego daleko więcej postąpiło, niż pniaczków zasadzonych w ziemię jałową a przed dwoma laty zupełnie z tamtymi równych. Dość być

dzie powiedzieć, że na 5 pniaczkach owéj skrzynki naliczyłem 268 łatorośli, których większa połowa miała długości 0,80 metra; nadto każda z tych odrośli miała kilka kwiatowych baldaszków (Dolde), a z tych niektóre dochodziły 20 do 25 centymetrów w średnicy. Liście także objawiły silne rośnienie: były one ciemno-zielone, mięsiste i we wszystkich trzech wymiarach o trzecią część większe od tych, które do porównywania użyłem.

Zrazy (Ableger) poprzedzającego roku, z których jedno zasadziłem w jałowej ziemi, drugie w zwyczajnej pomieszanéj z fosforanem i saletranem wapna i potażu, objawiają teraz już równie uderzającą różnicę.

*Uprawa winorośli.* W jesieni r. 1842 zasadziłem dwa zrazy wyborowéj winnéj macy w odległości od siebie na blisko 2 metry. Przez dwa pierwsze lata tamowałem ich wybujaanie aby im nadać więcej siły przy podstawie. Na końcu drugiego roku obadwa rozwinęły się zupełnie i jednakowo. Dopiero z jednym z nich obszedłem się następującym sposobem. Do jego gruntu, w pewnéj odległości od korzeni, dodałem 0,5 kilogramów krzemionkanu potażu i 1,5 fosforanu wapna i potażu, pomieszanych z równym ciężarem suchéj krwi i odchodu gęsiego (ten ostatni zawiera znaczną ilość krochmału i tłustość).

Od roku 1845 drzewko téj winorośli tak się rozwinęło, iż można było powiedzieć, że tu leniwa roślinność została wypchnięta i zastąpiona przez szybką i silną. Średnica drzewka wyrosłego w roku 1844, miała 15 milimetrów, wyrosłego zaś w roku 1845 miała ich 23.

W roku 1846 nie można już było czynić porównania między tym krzakiem winnéj macy, a drugim zostawionym samemu sobie. Wybujaanie pierwszego w roku 1846 doszło długości 10,97 metrów, a z dziewięciu jego wypustków (Schössen) otrzymałem 25 gron z wielkimi i gęstymi jagodami. Drugi krzak winny wybujał zaledwie do 4,6 metrów, a dwa lub trzy wypustki, które był wydał, zniszczały. Nie można bez zajęcia widzieć, jak dalece na ten krzak winny działały fosforany.

Po tych doświadczeniach czynionych na roślinach tyle różnorodnych jak hortensya i winna macica, nie można już zaprzeczać wpływu użytych soli na roślinność, a następnie trzeba uznać potrzebę zbadania, jak w tym względzie działają pewne ciała. Tryb doświadczeń, jakiego się dotąd trzymano, poprowadził do najsprzeczniejzych wypadków, nieraz zupełnie niezgodnych z tém, co się wydarza w naturze. Przytoczę kilka przykładów:

Słyszeliśmy niedawno jak utrzymymano po odbytych doświadczeniach, że sole amoniakalne zabijają rośliny. Inni przeciwnie utrzymują, iż te sole wzmagają rośnienie. Jest rzeczą pewną, że polawszy fiołki, naprzykład tak zwane bratki (trójkolorowy, to jest purpurowy lub błękitny z białym i żółtym, gatunek fiołka) rozczytnem jakkolwiek małych ilości octanu, siarkanu, lub węglanu amonii lub salsmiaku, ów fiołek zniszczyje w kilka godzin albo nawet i prędzej. Silna *Cobea Scandens* (Cobée grimpanie wdzierająca się) również bardzo prędko umarła, gdy jój ziemię polano pewną ilością octanu amonii. Wiadomo przecież, iż te rośliny mianowicie pierwsze, bardzo lubią nawóz.

Widziałem jak silna i zdrowa winna macica przez częste uryną polewanie gruntu, w niespełna dwóch miesiącach niszczała. I mamyż ztąd wnioskować, że istoty zwierzęce są szkodliwe winnej macicy? Byłbyto wielki błąd; bo wiadomo, że dla tej rośliny niemasz silniejszego i wytrwalszego nawozu jak skóra, kości, lub rogi ze zwierząt.

Okazuje się z wyżej przytoczonych doświadczeń, że hortensye w zetknięciu ze znaczną ilością fosforanu i saletranu wapna, wybornie się udają, a jednak ja jedną hortensyą w upłynionym lipcu przez to zabiłem, że jój korzenie posypałem mieszaniną dopięro wspomnionych soli w tym samym stosunku, jaki do ich silnego wzrostu jest potrzebny, lecz w innej epoce.

Agronomowie i chemicy zasięgnąwszy rady z doświadczeń, jakie Teodor *Saussure* (\*) czynił badając działania

(\*) Teodor *Saussure* w swych: *Recherches chimiques sur la Végétation, Paris 1814*, zajął się chemią roślinną: mianowicie oka-



wywierane przez rozczyzny solne i inne istoty na rośliny w ogólności, muszą dojść do tego następstwa, iż niejedne sole, równie jak cukier i gummy zabijają rośliny: a jednak jak sam na drodze własnych doświadczeń, które później ogłosię, przekonałem się, iż te ciała, zamiast działać zabójczo, mogą w danych okolicznościach odgrywać względem roślin rolę pożywnych środków.

Bez wątpienia przeto, te wszystkie sprzeczne ze sobą spostrzeżenia zależą jedynie od trybu i sposobu wykonywania doświadczeń, tudzież od zadania sobie dostatecznego trudu ku wykryciu jakości wpływów, na roślinność działających.

I jakż wypada wniosek z doświadczeń podejmowanych w zamiarze wykrycia działania rozpuszczonej istoty na roślinę, a podczas których albo ją zostawiamy żyjącą w badanym roztworze, albo tym roztworem polewamy? Oczywiście żaden; bo tak w jednym jak w drugim przypadku następuje prawdziwa niestrawność, z której roślina umiera.

W Szwajcaryi, w tym kraju ciekłego nawozu, wtenczas dopiero rzucają nawóz na pola, kiedy ziemia przesiękła wilgocią; w którymto razie działanie nawozu na rośliny staje się daleko mniej bezpośrednie. Aby przeto ustalić działanie jakowej istoty na roślinę, trzeba najprzód poznać tryb i sposób postępowania, a ten tryb da się pochwycić tylko z roli jaką ma odegrać istota. Takim właśnie trybem doświadczeń jestem obecnie zajęty. (*Annalen der Chemie und Pharmacie v. Wöhler und Liebig. Januar 1848*). J. B...a.

#### HISTORIA NATURALNA.

##### Zoologia.

W *Brit. Assoc. for the Advanc. of Sc.* dnia 16 września 1846 r. czytany był artykuł P. L. Neeves, okazujący nieje-

zał tryb, jakim rośliny chłoną kwas węglowy ulatujący w powietrze z oddychania zwierząt.

dnakowość funkcji kalcynowania u zwierząt miękkich jednakowej organizacyi. Zpomiedzy czterech skorupę wydzielających rodzajów sepij: kałamarnicy, żeglarka, łodzika i skrętogródka (*Spirula*), każdy odmiennym sposobem tworzy swój domek, który nie tylko pod mikroskopem okazuje się całkiem odmienny, ale nawet odmiennie części ciała go wyłączają, chociaż te zwierzęta wszystkimi elementami anatomicznymi, jakie u nich części miękkie składają, najściślej spowinowaczone są z sobą. Gdy u kałamarnicy wapienne części wyobraża tylko wewnętrzna koścista szyba, zwykle węglanem wapna będąca, skorupa łodzika okazuje nader uderzający mechaniczny przyrząd, który się wyłącza z płaszcza otulającego wewnętrzne części miękkie. Przyrząd pomieniony składa się z dwóch warstw odmiennych: skorupy zewnętrznej i perłowej macicy wewnętrznej, i przeznaczony jest na to, ażeby utrzymał w pływaniu mieszkańca skorupy, nawet przy najrozmaitszych zmianach ciśnienia, któremu zwierzę w głębokościach miejsca pobytu swojego podlega. Skorupa żeglarka jest znowu lekką, sprężystą łódką, z materyi światło przepuszczającą; robi ją tylko samica na ten użytek, ażeby w niej jaja zachować mogła. U tego zwierzęcia działanie kalcynowania, osobliwym i niewyjaśnionym jeszcze sposobem, z płaszcza przeniesione jest na tylną parę ramion. Naostatek u skrętogródka, ta sama czynność wydzielania, pod niewiadomymi dotąd okolicznościami, siedlisko swoje obiera w płaszczu zwierzęcia stosunkowo tak nierównie większego od innych pławów. Pokazywany rysunek, zdjęty był z żywego egzemplarza, który niedawno, z poblizkości Nowej Zelandyi, pierwszy raz w całkowitym stanie przywieziono, a który p. Neeves chętnieby na rozczłonkowanie poświęcił, ażeby to zadanie, dla historii fizjologii pławów ważnym się być zdające, anatomicznym zwierzęcia badaniem o ile można rozwiązać. (*F. N.* 1847 nr. 6, z *Athenaeum* nr. 989).

\* Ruch komórek żółtkowych w jaju wyplawek (*Planaria*), spostrzeżony najprzód przez Sieboldta, znowu Koelliker uważał i obszernie opisał. Jestto już głębsze już pły-

tsze zapadanie, które nakształt ruchu perystaltycznego, od jednego końca komórki do drugiego przechodzi i znowu się wraca. (*Id. nr. 11, z Archiv Wiegmanna 1846 Hft. 4.*)

\* Dowiadujemy się z *Neues Jahrbuch* Leonarda i Bronna (1846 nr. 2) że agelakrynity, które dotąd w Ameryce tylko znajdowane były, dr. Beyrich odkrył niedawno w Czechach. Ciało ich jest szybowate; na każdej jego powierzchni widać pięć promieni, wszystkie kończące się w jednakowym oddaleniu od brzoza. Powierzchnia dolna jest równa, niekiedy nawet nieco wklęsnięta, i wszędzie przedstawia czworoboczne łuski; górna osadzona jest kończystościami czyli brodawkami. Od spodu widać otwór (jajecznika?) położony między dwoma promieniami, bardziej niż inne oddalonymi od siebie. Szczególne te zwierzęta, żyły pasorzytnie na innych, na których się trzymały dolną swoją powierzchnią. Trudno jest oznaczyć właściwe ich stanowisko w układzie; należą bardziej do rozgwiżdżonych niżeli do pokwitowatych (*Crinoïdes*). (*Id. nr. 8.*)

\* C. Eckhard ogłosił obszerne dzieło o organizacyi poligastrycznych wymoczków. Oświadcza się on z Ehrenbergiem za zwierzęcą naturą klosteryów, bacyllaryów i do roślin przez Siebolda policzonych wolwocynów; uważa dalej pokrycie ciała, organa poruszeń, kanał pokarmowy, rozmnażanie się i działające przynięm organa, układając systematycznie postrzeżenia Ehrenberga i wiele nowych ciekawych postrzeżeń dodając. (*Id. nr. 5, z Wiegmanns Archiv. 1846 Hft. 3.*)

† W pierwszym tygodniu lutego r. z. umarł w Paryżu 70letni Dutrochet, od lat 16 członek Akademii i jeden z najpilniejszych pracowników na polu fizyologii. Odkrycie praw endosmozy, zepewnia mu nieśmiertelne imię w dziejach fizyologii. (*Id. nr. 24.*)

A. W.

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

ROGOŹNO.

172. *Kleine Naturgeschichte für Anfänger*. Mała Historia naturalna dla zaczynających. 16ka. Rogoźno. Nakład Jonasa Alexandra. 1846. Str. 66. Złp. 1 gr. 15.

173. *Kleines Pflanzen Verzeichnis für Anfänger*. Krótki opis roślin dla zaczynających. 16ka. Rogoźno, 1846. Nakład Jonas Alexandra. Str. 32. Gr. 25.

1847.

LESZNO.

141. Krótkie medytacje o ostatecznych sprawach człowieka na kaźden dzień miesiąca dla użytku wiernych. Drugie wydanie. 16ka. Leszno i Gniezno. 1847. Nakład i druk Ernesta Günthera. Str. 50. Gr. 20.

GŁOGÓWEK.

142. Krótki rys Geografii Szląska dla nauki początkowej. Ułożył Józef Lompa. Z mapką kolorowaną kraju szląskiego. 8ka. Głogówek. 1847. Nakład Henryka Handla. Str. 48.

1848.

WARSZAWA.

38. Amaury de Leoville, przez Alexandra Dumas. 12ka. 3 tomy. Warszawa. 1848. Druk Tomaszewskiego. Tom I, str. 166, II, 166 III, 166. Złp. 12.

39. Drugi sąd Salomona, rys z panowania Piusa IX. Opowiadział M(arceli) Skotnicki. Z godłem:

O synu światłości!

Stąpaj ku światów nieodkrytych stronie,  
Wszystko co żyje, świeci, dźwięczy, płonie,  
Twojem, na drogach twój nieśmiertelności.— K.

8ka. Warszawa. 1848. Druk Jaworskiego. Kart napisowych 2 i str. 257. Złp. 7.

40. Dykteryjki przez S. Rozbickiego. 12ka. Warszawa. 1848. Druk Józefa Tomaszewskiego. Str. 275. Złp. 5.

41. Nauka początkowa gospodarstwa wiejskiego podług zasad praktycznego rolnictwa wyłożona, przez D. Puchalskiego. 8ka. Warszawa. 1848. Nakładem autora. Druk Józefa Ungier. Str. 371. Rejestru Kart IV. (Z tablicą). Złp. 5.

42. Wykład Prawa Handlowego, przez J. A. Rogrona adwokata przy radzie stanu i przy sądzie kassacyjnym francuzkim, przełożył Jan Szymanowski, podprokurator przy Sądzie Appellacyjnym Królestwa Polskiego, z dodaniem przypisów z najcelniejszych autorów czerpanych, jako też własnych uwag zastosowanych do prawodawstwa i jurisprudeneyi krajowych. 8ka. Warszawa. 1848. Druk Kom. Rząd. Sprawiedliw. Kart 4, str. VIII i 780. Złp. 18.

### Doniesienia literackie.

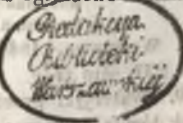
#### WARSZAWA.

„Album Literackie” pismo zbiorowe poświęcone dziejom i literaturze krajowej pod redakcją K. Wł. Wojcieckiego, tom I wyszedł już z druku; oprócz faksimilów, rycin i nót, ozdobiony dwiema rycinami kolorowemi, przedstawiającemi wizerunek śśiej Jadwigi i syna jej Henryka Pobożnego, poległego w bitwie z Tatarami 1243 r., podług rysunku znakomitego naszego artysty Lessera.

Wyborny przekład Moliera, przez Franciszka Kowalskiego, zaczął tomami wychodzić w Wilnie u T. Glücksberga. Wierność i dzielne władanie języka, odznaczają to tłumaczenie.

W Warszawie jeden z literatów przygotowywa: „Pamiętniki do dziejów Mazowsza po rok 1526” to jest do czasu przyłączenia Mazowsza do Korony. Będzie to bardzo ważna pomoc dla naszych dziejów, tém ważniejsza, że czerpana z najpewniejszych źródeł i nie ulegających żadnemu zarzutowi.

† D. 14 z. m. ksiądz Rafał Skolimowski, były prof. Szkoły Aplikacyjnej, potem Akademii Duchownej w Warszawie, jeden z najznakomitszych matematyków naszych, znany ze swojej rozprawy: *O wpływie umiejętności matematycznych na inne nauki*, i drugiej: *De motu planetarum* po łacinie napisanej. Pracował do zgonu nad dwoma obszernemi dziełami: jednem o matematyce, drugim o filozofii, których ukończone części drukiem ogłoszone zostaną.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



Marzec 1848.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>, 7  
czyli w łuku 18°41'25", 5 na wsch. zględem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				STAN NIEBA	KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z					
		6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	de- szczy	śnie- gu				
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.		god. r.	god. r.	god. w.	god. w.						
1		737.70	736.36	733.78	732.25	+ 3.1	+ 5.0	+ 4.8	+ 3.2	95	chmurny	mgła	pochmurny	dészcz drob.	Z.	PdZ.	Pd.	PdW.	2.4	
2		732.32	733.37	733.98	735.89	+ 1.2	+ 4.5	+ 6.0	+ 1.3	88	chmurny	mgła	pochmurny	pogodny	Pd.	PdZ.	Pd.	Pd.		
3		738.23	739.77	740.63	743.28	- 0.4	+ 3.5	+ 7.9	+ 2.3	89	chmurny	pogodny	napót pog.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.		
4		748.17	750.63	752.31	752.67	- 0.2	+ 1.8	+ 2.5	+ 0.6	100	chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	PnZ.		
5	☉	750.71	749.29	743.72	740.35	- 0.7	+ 1.7	+ 0.0	+ 0.0	99	chmurny	pochmurny	śnieg	śnieg	Pd.	PnW.	PnW.	Pd.	6.4	
6		740.72	741.87	744.33	744.95	- 0.9	+ 0.2	- 0.6	- 1.7	99	mgła	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PaZ.	Z.	Z.	6.3	
7		743.23	744.03	743.41	744.04	- 2.7	- 0.9	- 0.9	- 1.7	100	chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
8		742.96	742.80	744.03	746.44	- 1.9	+ 0.2	- 0.2	- 1.9	97	chmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	3.2	
9		748.24	748.51	747.79	747.50	- 2.7	- 0.2	- 1.1	- 3.5	100	mgła	śnieg	śnieg	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
10		746.22	746.26	744.99	742.96	- 2.7	+ 0.9	+ 0.8	- 1.5	88	mgła	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	PdW.	2.8	
11		738.20	738.43	737.35	735.46	- 2.5	+ 5.6	+ 6.0	+ 1.9	90	mgła	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	2.8	
12	☾	733.19	743.79	735.38	736.22	+ 1.0	+ 4.4	+ 4.7	+ 3.1	99	chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
13		736.95	739.83	741.80	744.45	+ 3.5	+ 7.7	+ 10.2	+ 2.9	76	chmurny	napót pog.	napót pog.	smugi	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
14		745.31	747.09	747.40	747.33	+ 2.9	+ 6.3	+ 7.3	+ 5.0	87	chmurny	pochmurny	napót pog.	napót pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
15		747.43	747.31	745.97	745.57	+ 3.3	+ 7.5	+ 9.9	+ 5.1	75	napót pog.	pochmurny	napót pog.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
16		745.39	746.63	746.17	746.33	+ 3.3	+ 6.0	+ 8.5	+ 5.6	69	chmurny	pochmurny	smugi	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
17		746.24	746.93	746.74	745.90	+ 2.9	+ 6.3	+ 8.4	+ 5.2	79	chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
18		744.65	744.75	743.65	742.19	+ 1.4	+ 5.8	+ 12.0	+ 3.3	87	pr. pogodn.	pr. pochm.	napót pog.	pr. pogodn.	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
19	☺	740.91	740.23	738.01	737.29	+ 2.0	+ 7.9	+ 12.5	+ 6.1	75	chmurny	pogodny	napót pod.	napót pog.	PnW.	PdW.	PdW.	Pd.		
20		738.04	741.00	741.56	741.43	+ 5.4	+ 7.2	+ 11.9	+ 5.0	70	dészcz b. dr.	napót pog.	napót pog.	pogodny	Pd.	PdZ.	Pd.	PdW.	2.0	
21		739.47	739.33	733.36	738.55	+ 3.7	+ 9.9	+ 8.3	+ 6.7	85	pr. pogodn.	napót pog.	pochmurny	dészcz	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	1.2	
22		739.87	742.07	745.05	745.59	+ 6.9	+ 10.2	+ 9.8	+ 7.9	94	mgła	pochmurny	pochmurny	dészcz	PdW.	PdW.	Z.	Z.	4.4	
23		747.22	749.75	749.95	751.16	+ 6.5	+ 10.0	+ 11.2	+ 6.9	87	mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	W.	PdW.	—	4.0	
24		751.61	752.93	752.36	753.01	- 2.2	+ 6.9	+ 9.3	+ 4.9	81	chmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		
25		754.23	755.23	755.67	756.95	+ 3.7	+ 5.9	+ 5.6	+ 2.2	80	chmurny	pochmurny	dészcz b. dr.	pochmurny	PdW.	W.	PdW.	PdW.		
26		756.64	757.62	756.26	758.33	- 0.2	+ 2.2	+ 4.4	+ 0.8	77	chmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
27		759.12	760.72	761.65	761.11	+ 0.0	+ 3.3	+ 6.1	+ 1.5	56	chmurny	napót pog.	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
28		761.66	762.33	761.10	761.79	- 2.1	+ 4.4	+ 8.3	+ 1.0	59	pogodny	smugi	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
29		761.81	761.95	759.87	758.27	- 1.9	+ 3.0	+ 9.1	+ 1.3	76	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdZ.	Pd.		
30		757.19	756.97	755.12	755.23	- 0.8	+ 5.1	+ 12.1	+ 4.9	60	pogodny	pogodny	napót pog.	lek. pochm.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
31		754.98	755.58	754.97	755.87	+ 3.5	+ 9.2	+ 13.4	+ 5.8	56	napót pog.	napót pog.	pr. pochm.	pr. pogod.	Pd.	PdZ.	PdW.	PdW.		
Sre.		745.086	746.923	746.534	746.722	+ 1° 19	+ 4° 88	+ 6° 72	+ 2° 72	83									14.0	21.5

	mm.	c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	746.566	27	6.951
Najwyżej dochodził — d. 28 o g. 10 r.	762.53	28	2.027
Najniżej — — d. 1 o g. 10 w.	732.25	27	0.604
Srednia zmiana dzienna wysokości barom.	3.60		1.60
Największa zmiana dzienna d. 4—5 o g. 10 w.	12.32		5.46
Srednia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających	2.468		1.093
Srednia temperatura Marca wynosi: i ta jest wyższa o	+ 3 <sup>o</sup> .87	C.	+ 3 <sup>o</sup> .10 R.
od stanu normalnego tego mie- siąca z 22 lat poprzedzających	3.24	"	2.60 "
Najwyższa temperatura d. 31 o 4 g. w.	+ 13.4	"	+ 10.7 "
Najniższa — d. 9 o 10 g. w.	- 3.5	"	- 2.8 "

(Termometrograf wskazał

Maximum: + 11.<sup>o</sup>3 R. d. 31 po połud.

Minimum: - 4.<sup>o</sup>4 R. d. 10 zrana).

Srednia zmiana dzienna temperatury 1.60 „ 1.28 „  
Największa zmiana dzienna temperatury 5.5 „ 4.4 „

Srednia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 83,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną; albo 5,69 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 3; napót pogodnych 10; pochmurnych 18.

— deszczu 6 (d. 1, 20, 21, 22, 23, 25).

— śniegu 6 (d. 5, 6, 8, 9, 10, 11).

— mgły 4 (d. 1, 2, 22, 23).

Wody z deszczu spadło wysoko na 21,5 mill. czyli 9,42 lin. par. z śniegu 14,0 mill. czyli 6,21 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 35,5 mil. czyli lin. par.

Marzec r. b. był dość suchy, nader ciepły albowiem jego średnia temperatura miesięczna jest o 2,6 stopni R. wyższa od normalnej; śniegu w dniach 5, 6, 8, 9, 10 spadło więcej jak w Lutym. Lubo zwykle w tym miesiącu panujące wiatry są Zachodnie, w r. b. były jednak najczęstsze Południowo-Wschodnie.

Wichrów było 5 Pd-W.

Słońca boczne trzy razy widziano d. 5, 28, 29.

Koła białe otaczały księżyc d. 13, 14, 19, 20.

Zorza zodyakalna wyraźnie świeciła dnia 27 między godz. 8—9 wieczór.



# TABELLA

ruchu wiosennego ptastwa w roku 1846 uważanego w Bychawce, położonej pod 51° 3' szerokości geograficznej i 40° 12' długości, przez W. Taczanowskiego.

Bychawka, Wiosna 1846.

Nazwiska ptaków.	PRZYLATUJĄCE NA LATO	PRZELATUJĄCE DWA RAZY W ROKU		PRZYLATUJĄCE NA ZIMĘ	PRZYPADKOWE	UWAGI
	pierwszy raz widziane	pierwszy raz widziane	ostatni raz widziane	ostatni raz widziane	widziane	
<i>Falco subbuteo</i> , Sokół kobuz	5 kwietnia	"	"	"	"	<i>Anemone nemorosa</i> zakwitła.
<i>Falco aesalon</i> , Sokół drzemlik	12 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół pustulka	6 marca	"	"	"	"	
<i>Falco naevius</i> , Sokół orzeł krzykliwy	2 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Falco lagopus</i> , Sokół kobuz włochaty	"	"	"	20 lutego	"	Śnieg ginąc zaczął.
<i>Falco apivorus</i> , Sokół kobuz pszczołodaj	20 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Falco milvus</i> , Sokół kania	5 marca	"	"	"	"	
<i>Falco ater</i> , Sokół kania czarna	27 marca	"	"	"	"	
<i>Falco rufus</i> , Sokół błotniak błotny	9 marca	"	"	"	"	
<i>Sturnus varius</i> , Szpak skorzec	6 marca	"	"	"	"	
<i>Bombycilla garrula</i> , Jemiołucha jedwabniczka	"	"	"	26 kwietnia	"	Miejscowe ziarnojady, jakoto: <i>Fringilla cannabina</i> , <i>Fr. Chloris</i> , <i>Emberiza citrinella</i> i <i>Em. miliaria</i> , w pary idą.
<i>Oriolus galbula</i> , Wilga żółta	1 maja	"	"	"	"	
<i>Coracias garrula</i> , Kraska gwarliwa	12 maja	"	"	"	"	
<i>Turdus merula</i> , Drozd kos	7 marca	"	"	"	"	
<i>Turdus musicus</i> , Drozd szpak	11 marca	"	"	"	"	
<i>Turdus iliacus</i> , Drozd zawojec	"	13 marca	9 kwietnia	"	"	13 marca śnieg zupełnie zginął.
<i>Lanius excubitor</i> , Dzierzbę srokosz	"	"	"	9 marca	"	
<i>Lanius minor</i> , Dzierzbę czarnoczelna	6 maja	"	"	"	"	<i>Hirundo urbana</i> gniazda lepi.
<i>Lanius rufus</i> , Dzierzbę rudogłowa	11 maja	"	"	"	"	
<i>Lanius collurio</i> , Dzierzbę cierniokręta	8 maja	"	"	"	"	<i>Melolontha vulgaris</i> 7 maja.
<i>Muscicapa albicollis</i> , Mucholówka białoszyja	14 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Muscicapa luctuosa</i> , Mucholówka żalobna	23 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Muscicapa grisola</i> , Mucholówka szara	28 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia rubecula</i> , Gajówka rudzik	15 marca	"	"	"	"	Czasami niektóre pozostają, tej zimy żadnej nie widziałem.
<i>Sylvia rufa</i> , Gajówka rudawa	2 kwietnia	"	"	"	"	<i>Lamium purpureum</i> zakwitło.
<i>Sylvia suecica</i> , Gajówka modra	12 kwietnia	"	"	"	"	Drozdzy na jajach siedzą.
<i>Sylvia trochilus</i> , Gajówka pierwiosnka	15 kwietnia	"	"	"	"	Skowronki na jajach.
<i>Sylvia curruca</i> , Gajówka piegża	16 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia hortensis</i> , Gajówka ogrodowa	20 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia phoenicurus</i> , Gajówka pleszka	22 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia tuscina</i> , Gajówka słowik	26 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia sibilatrix</i> , Gajówka świstunka	25 kwietnia	"	"	"	"	Tarnina kwitnie.
<i>Sylvia fluviatilis</i> , Gajówka strumieniowa	23 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia turdoides</i> , Gajówka drozdówka	21 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia arundinacea</i> , Gajówka łożówka	24 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia atricapilla</i> , Gajówka czarnoblista	25 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Sylvia hypoleis</i> , Gajówka szczebiotliwa	1 maja	"	"	"	"	
<i>Sylvia nisoria</i> , Gajówka jarzębata	2 maja	"	"	"	"	
<i>Saxicola oenanthe</i> , Opocznik białoszyjka	10 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Saxicola rubetra</i> , Opocznik białoobrwały	30 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Accentor modularis</i> , Płochacz pokrzywnica	8 kwietnia	"	"	"	"	<i>Primula veris</i> , <i>Caltha palustris</i> .
<i>Motacilla alba</i> , Pliszka siwa	14 marca	"	"	"	"	
<i>Motacilla flava</i> , Pliszka żółta	9 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Anthus pratensis</i> , Świergotek łąkowy	11 marca	"	"	"	"	
<i>Anthus arboreus</i> , Świergotek leśny	9 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Alauda arvensis</i> , Skowronek rolny	23 lutego	"	"	"	"	Śnieg ciągle ginie, powietrze znacznie ogrzana
<i>Alauda arborea</i> , Skowronek leśny	5 marca	"	"	"	"	
<i>Emberiza nivalis</i> , Poświerka śnieguła	"	"	"	21 lutego	"	
<i>Emberiza schoenclus</i> , Poświerka potrzos	7 marca	"	"	"	"	
<i>Pyrrhula vulgaris</i> , Gil właściwy	"	"	"	5 marca	"	
<i>Fringilla coelebs</i> , Łuszczałek zięba	6 marca	"	"	"	"	
<i>Fringilla linaria</i> , Łuszczałek czeczotka	"	"	"	24 lutego	"	
<i>Cuculus canorus</i> , Kukulka pospolita	18 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Junco torquilla</i> , Krętogłów pospolity	10 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Upupa epops</i> , Dudek pospolity	6 kwietnia	"	"	"	"	<i>Draba verna</i> , <i>Viola tricolor</i> .
<i>Hirundo rustica</i> , Jaskółka dymówka	13 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Hirundo urbana</i> , Jaskółka oknówka	23 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Hirundo riparia</i> , Jaskółka grzechółka	25 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Cypselus apus</i> , Jerzyk murzynek	13 maja	"	"	"	"	
<i>Caprimulgus europaeus</i> , Kozodój lelek	23 kwietnia	"	"	"	"	Makolągwy i skowronki młode, gniazda opuszczają. Słąkę młoda lotną ubito.
<i>Columba oenas</i> , Gołąb siniak	4 marca	"	"	"	"	
<i>Columba palumbus</i> , Gołąb grzywacz	18 marca	"	"	"	"	
<i>Columba turtur</i> , Gołąb turkawka	1 maja	"	"	"	"	
<i>Perdix coturnix</i> , Kuropatwa przepiórka	6 maja	"	"	"	"	Przepiórek znacznie więcej jak w roku przeszłym, nie tylko jednak co zwykle.
<i>Vanellus cristatus</i> , Czajka czubata	5 marca	"	"	"	"	Śnieg gdziegdzie tylko po drogach i lasach leży.
<i>Grus cinerea</i> , Żóraw pospolity	2 marca	"	"	"	"	Śnieg ciągle ginie. Żórawi mało leciało.
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla siwa	21 marca	"	"	"	"	<i>Viola odorata</i> kwitnie.
<i>Ardea stellaris</i> , Czapla bąk	10 kwietnia	"	"	"	"	<i>Veronica verna</i> .
<i>Ciconia alba</i> , Bocian biały	20 marca	"	"	"	"	<i>Leontodon taraxacum</i> .
<i>Numenius arcuatus</i> , Kulig kulon	9 marca	"	"	"	"	
<i>Totanus glareola</i> , Brodziec leśny	31 marca	"	"	"	"	
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec ficlau	1 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Totanus hypoleucus</i> , Brodziec mały	14 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Scolopax rusticola</i> , Bekas stonka	11 marca	"	"	"	"	
<i>Scolopax gallinago</i> , Bekas kszyc	12 marca	"	"	"	"	
<i>Scolopax gallinula</i> , Bekas mały	"	15 marca	17 maja	"	"	
<i>Scolopax major</i> , Bekas dubelt	18 marca	"	"	"	"	
<i>Crex pratensis</i> , Chróściel derkacz	9 maja	"	"	"	"	Więcej znacznie przybyło jak w roku przeszłym.
<i>Gallinula porzana</i> , Kurka średnia	16 marca	"	"	"	"	
<i>Gallinula chloropus</i> , Kurka wodna	11 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Fulica atra</i> , Łyska pospolita	10 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Podiceps auritus</i> , Perkoz uszaty	24 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Larus fuscus</i> , Mewa siwa	"	"	"	"	16 stycznia	Zapewne gdzie na oparzelisku zimowała; niepodobna bowiem przypuszczać aby w czasie najcięższych mrozów wędrować miała.
<i>Anas penelope</i> , Kaczka gwizdząca	6 marca	"	"	"	"	
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyraneczka	25 marca	"	"	"	"	
<i>Anas querquedula</i> , Kaczka cyranka	7 kwietnia	"	"	"	"	
<i>Anas fuligula</i> , Kaczka czubata	11 marca	"	"	"	"	
<i>Anser segetum</i> , Gęś zbożowa	"	1 marca	7 kwietnia	"	"	Nadzwyczajnie mało tej wiosny leciało.
<i>Mergus merganser</i> , Tracz nurogęś	"	"	"	24 lutego	"	
<i>Sterna nigra</i> , Rybolówka czarna	2 maja	"	"	"	"	

**Uwaga.** Ruch ptastwa w tym roku do najwcześniejszych policzyć można. Skowronki w roku przeszłym dopiero 27 marca pierwszy raz się ukazały, gdy tymczasem w tym roku 23 lutego licznie się pojawiły, również i inne wczesne ptaki znacznie się pośpieszyły, ztem wszystkiem, dla zimna, które w końcu marca i na początku kwietnia ciągle trwało, ptaki owadożerne tak się ociągnęły, że prawie w tym samym czasie, co i w roku przeszłym przybyły. Tym sposobem czas trwania ruchu ptaków, o miesiąc od przeszłorocznego był dłuższy. Gawronów, wróćców i kawek tak mało leciało, że ciąg ich za żaden uważać można, dlatego ich nawet nie zanotowałem. Ptastwa wodnego bardzo dużo przyleciało.

# TABLICA

Bychawka, Jesień 1846.

Nazwiska ptaków.	PRZYLATUJĄCE NA LATO		PRZELATUJĄCE DWA RAZY W ROKU		PRZYLATUJĄCE NA ZIMĘ	PRZYPADKOWE	U W A G I.
	początek ruchu	ostatni raz widziane	pierwszy raz widziane	ostatni raz widziane	pierwszy raz widziane	widziane	
		d	n	i	a		
<i>Falco subbuteo</i> , Sokół kobuz	"	24 paździer.					
<i>Falco aesalon</i> , Sokół drzemlik	"	1 grudnia					
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół pustulka	"	18 paździer.					
<i>Falco naevius</i> , Sokół orzeł krzykliwy	"	17 września					
<i>Falco milvus</i> , Sokół kania	"	9 sierpnia					
<i>Falco ater</i> , Sokół kania czarna	"	8 sierpnia					
<i>Falco lagopus</i> , Sokół kobuz wlochaty	"	"	"	"	24 paździer.	"	Sokołów tych nadzwyczajnie mało przyleciało, i przez całą zimę rzadko gdzie można je było widzieć.
<i>Falco apuorvus</i> , Sokół kobuz pszczołojad	"	12 września					
<i>Falco rufus</i> , Sokół błotniak błotny	"	2 paździer.					
<i>Falco cyaneus</i> , Sokół błotniak zbożowy	"	11 paździer.					
<i>Strix brachyotus</i> , Sowa puchacz błotny	"	28 listopada					
<i>Corvus corone</i> , Kruk wroniec	"	"	"	"	6 paździer.	"	
<i>Corvus monedula</i> , Kruk kawka	"	"	"	"	27 września	"	Tę jesieni wielkimi stadami ciągnęły, i dosyć ich na zimę pozostało.
<i>Corvus frugilegus</i> , Kruk gawron	"	"	"	"	11 paździer.	"	
<i>Coracias garrula</i> , Kraska gwarliwa	"	15 września					
<i>Oriolus galbula</i> , Wilga żółta	"	29 sierpnia					
<i>Sturnus varius</i> , Szpak skorzec	"	10 listopada					
<i>Bombicilla garrula</i> , Jemiołucha jedwabniczka	"	"	"	"	18 listopada	"	Przez całe lato i jesień było ich bardzo wiele, i długo bawiły. W tym dniu jedną tylko widziałem; w końcu dopiero stycznia i to zrzadka pokazywać się zaczęły.
<i>Turdus musicus</i> , Drozd lepak	"	4 listopada					
<i>Turdus iliacus</i> , Drozd zawojec	"	"	21 września	6 listopada			
<i>Turdus merula</i> , Drozd kos	"	7 listopada					
<i>Lanius excubitor</i> , Dzierzbę srokosz	"	"	"	"	29 września		
<i>Lanius minor</i> , Dzierzbę mała	"	9 sierpnia					
<i>Lanius rufus</i> , Dzierzbę rudogłowa.	"	12 sierpnia					
<i>Lanius collurio</i> , Dzierzbę cierniokręć	"	24 września					
<i>Sylvia turdoides</i> , Gajówka drożdówka	"	12 września					
<i>Sylvia arundinacea</i> , Gajówka trzcionka	"	5 paździer.					
<i>Sylvia phragmitis</i> , Gajówka tozówka	"	8 paździer.					
<i>Sylvia luscina</i> , Gajówka słowik	"	8 września					
<i>Sylvia nisoria</i> , Gajówka jarzębata	"	5 września					
<i>Sylvia rubecula</i> , Gajówka rudzik	"	7 listopada					
<i>Sylvia phoenicurus</i> , Gajówka pleszka	"	29 września		"	"	"	6 listopada widziałem jedną; wątpię aby ta odleciała, gdyż móróz dość silny ścisnął i trwał kilka dni.
<i>Sylvia atricapilla</i> , Gajówka czarnobista	"	18 września					
<i>Sylvia suecica</i> , Gajówka modra	"	9 września					
<i>Sylvia cinerea</i> , Gajówka popielata	"	21 września					
<i>Sylvia curruca</i> , Gajówka piegża	"	24 września					
<i>Sylvia hortensis</i> , Gajówka ogrodowa	"	27 września					
<i>Sylvia sibilatrix</i> , Gajówka świstówka	"	7 września					
<i>Sylvia trochilus</i> , Gajówka pierwiosnka	"	13 września					
<i>Sylvia hypoleis</i> , Gajówka szczebliwiwa	"	14 września					
<i>Muscicapa grisola</i> , Mucholówka szara	"	22 września					
<i>Muscicapa luctuosa</i> , Mucholówka żałobna	"	9 września					
<i>Saxicola oenanthe</i> , Opocznik białoszyjka	"	19 września					
<i>Saxicola rubetra</i> , Opocznik białobrzwy	"	12 września					
<i>Accentor modularis</i> , Płochacz pokrzywnica	"	6 listopada					
<i>Motacilla alba</i> , Pliszka siwa	"	17 paździer.	"	"	"	"	24 października młodą zbląkaną widziałem.
<i>Motacilla flava</i> , Pliszka żółta	"	18 września					
<i>Anthus arboreus</i> , Świergotek leśny	"	29 września					
<i>Anthus pratensis</i> , Świergotek łąkowy	"	30 paździer.					
<i>Alauda arvensis</i> , Skowronek rolny	"	2 listopada					
<i>Alauda arborea</i> , Skowronek leśny	"	9 paździer.					
<i>Fringilla coelebs</i> , Łuszczyk zięba	"	6 listopada	"	"	"	"	W zimie jedną widywałem.
<i>Fringilla montifringilla</i> , Łuszczyk jér	"	"	"	"	3 paździer.	"	W jesieni bardzo wiele się pokazało; na zimę prawie całkiem odleciały.
<i>Fringilla linaria</i> , Łuszczyk czeczotka	"	"	"	"	19 paździer.	"	
<i>Emberiza schoeniclus</i> , Poświerka potrzos	"	18 listopada					
<i>Emberiza nivalis</i> , Poświerka śnieguła	"	"	"	"	7 grudnia		
<i>Cinclus aquaticus</i> , Pluszcz nadwodny	"	"	"	"	"		
<i>Pyrrhula vulgaris</i> , Gil właściwy	"	"	"	"	20 paździer.		Z początku zrzadka się ukazały, później zupełnie znikły. dopiero w początku lutego powtórnie się pojawiły.
<i>Cuculus canorus</i> , Kukulka właściwa	"	23 września					
<i>Junco torquilla</i> , Krętogłów właściwy	"	14 września					
<i>Upupa epops</i> , Dudek właściwy	"	18 września					
<i>Hirundo rustica</i> , Jaskółka dymówka	"	3 paździer.					
<i>Hirundo urtica</i> , Jaskółka oknówka	"	24 sierpnia					
<i>Hirundo riparia</i> , Jaskółka grzebiolka	"	15 września					
<i>Cypselus apus</i> , Jerzyk murzynek	"	10 sierpnia					
<i>Caprimulgus europaeus</i> , Kozodój lelek	"	21 paździer.					
<i>Columba oenas</i> , Gołąb siniak	"	28 paździer.					
<i>Columba palumbus</i> , Gołąb grzywacz	"	10 paździer.					
<i>Columba turtur</i> , Gołąb turkawka	"	17 września					
<i>Perdix coturnix</i> , Kuropatwa przepiórka	"	26 paździer.	"	"	"	"	Daleko więcej było przepiórek przez całe lato, aniżeli w przeszłym roku.
<i>Vanellus cristatus</i> , Czajka czubata	23 czerwca	1 paździer.	"	"	"	"	Czajki dłużej jak zwykle bawiły.
<i>Charadrius pluvialis</i> , Dżdżownik siewka	"	"	28 lipca	16 listopada	"	17 września	
<i>Charadrius morinellus</i> , Dżdżownik morynel	"	"	"	"	"	"	
<i>Charadrius minor</i> , Dżdżownik mały	20 lipca	16 września	"	"	"	"	
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec ficlaus	25 czerwca	24 września	"	"	"	"	
<i>Totanus glareola</i> , Brodziec leśny	6 lipca	20 sierpnia	"	"	"	"	
<i>Totanus hypoleucus</i> , Brodziec mały	15 lipca	15 września	"	"	"	"	
<i>Tringa temminckii</i> , Biegus Temminka	"	4 paździer.	"	"	"	"	
<i>Numenius arcuatus</i> , Kulig kulon	25 lipca	16 sierpnia	"	"	"	"	
<i>Scolopax rusticola</i> , Bekas słąka	"	7 listopada	"	"	"	"	
<i>Scolopax major</i> , Bekas dubelt	30 lipca	15 paździer.	"	"	"	"	
<i>Scolopax gallinago</i> , Bekas kszyc	27 czerwca	11 listopada	18 września	9 listopada	"	"	Bekasów w ogólności wszędzie dość było. Dubelty z początku ciągle były oblane, do późna bawiły, ale przy końcu zupełnie zchudły. Ficlausów też samo znaczna ilość przeciągała.
<i>Scolopax gallinula</i> , Bekas mały	"	"	"	"	"	"	17 lipca młode pierwszy raz z gniazd wyleciały, 5 sierpnia zaczęły się gromadzić i odlatywać, od 20 sierpnia gdzieś tylko stare widzieć można było; 10 września widziałem zbląkanego. Żórawi mało leciało.
<i>Ciconia alba</i> , Bocian biały	"	26 sierpnia	"	"	"	"	
<i>Grus cinerea</i> , Żóraw pospolity	"	11 paździer.	"	"	"	"	
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla siwa	"	18 paździer.	"	"	"	"	
<i>Ardea stellaris</i> , Czapla błąk	"	2 paździer.	"	"	"	"	
<i>Crex pratensis</i> , Chróściel derkacz	"	8 paździer.	"	"	"	"	Chróścieli było znacznie więcej jak w przeszłym roku; nie tyle jednak co zwykle.
<i>Gallinula ochropus</i> , Kurka wodna	"	24 paździer.	"	"	"	"	
<i>Gallinula porzana</i> , Kurka średnia	"	28 paździer.	"	"	"	"	
<i>Fulca atra</i> , Łyska pospolita	"	2 listopada	"	"	"	"	
<i>Larus canus</i> , Mewa siwa	"	"	"	"	"	27 paździer.	
<i>Larus tridactylus</i> , Mewa trójpalczasta	"	"	"	"	"	2 sierpnia	
<i>Sterna minuta</i> , Rybolówka mała	10 lipca	18 sierpnia	"	"	"	"	
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranka	13 lipca	19 listopada	"	"	"	"	
<i>Anas querquedula</i> , Kaczka cyranecka	17 lipca	3 paździer.	"	"	"	"	
<i>Anas clypeata</i> , Kaczka płaskonoska	28 lipca	29 września	"	"	"	"	
<i>Anas penelope</i> , Kaczka piszczałka	"	20 paździer.	"	"	"	"	
<i>Anas leucophthalmus</i> , Kaczka podgorzałka	"	16 paździer.	"	"	"	"	
<i>Anas ferina</i> , Kaczka rdzawogłowa	"	28 paździer.	"	"	"	"	
<i>Anas clangula</i> , Kaczka gągor	"	"	"	"	2 listopada	"	
<i>Anas histrionica</i> , Kaczka północna	"	"	"	"	30 paździer.	"	
<i>Mergus albellus</i> , Tracz mały	"	"	"	"	18 listopada	"	
<i>Anser segetum</i> , Gęś zbożowa	"	"	4 września	7 listopada	"	"	Gęsi w początku ciągle bardzo mało, później wcale nie było widać, w końcu dopiero przelotu leciały wielkimi stadami.
<i>Anser albifrons</i> , Gęś białoczelna	"	"	"	25 paździer.	"	"	

**Uwagi.** Ptastwa wodnego, mianowicie rozmaitych kaczek, wiele bardzo na wiosnę przeleciało, i przez lato namnożyło się tak, że od lat już kilku tyle ich nie było. Krzyżówek wiele na zimę pozostało, również ptastwa tego rzędu zimowego, znaczna ilość i wcześniej przybyła. Ptastwa błotnego w ogólności przez całe lato było dosyć i długo bawiły. Kuropatwy w tym roku były tak rzadkie jak i w przeszłym. Ptastwa na zimę przylatującego, oprócz wodnych, bardzo mało widzieć się dało.

## O ZŁOCIE.

PRZEZ

*Jana Miłkiewicza.*

---

**Z**łoto: *Zołoto* u Rosyan; *Chrysos* u Greków; *Aurum* u Rzymian; *Gold* u Niemców i Anglików; *Goud* u Holenderczyków; *Guld* u Szwedów i Duńczyków; *Oro* u Włochów i Hiszpanów; *Oiro*, *Auro* u Portugalczyków; *Or* u Francuzów, jest symbolem mądrości, bogactwa, siły, rzetelności, czystości i stałości.

Dla człowieka zmysłowego żaden wyraz nie może być miłszy dla ucha i miléj przemawiać do serca, jak wyraz *złoto* w języku każdego ludu.

Dla niego złoto zawiera w sobie coś czarującego; promienisty blask jego, szczególny, właściwy, nieujety kolor *złoty*, powierzchowność pociągająca, nęcą ku sobie wszystkich niepojętą siłą i obudzają nader przyjemne uczucie. Taki jest wpływ jego na serce; rozum zaś i doświadczenie znajdują, że przyjemny kolor żółty, ciągłość prawie bez granic, niezmiennianie się od powietrza, ognia i wielu innych niszczących działaczy, oraz inne własności *sui generis*, uczyniły złoto *złotem*. Podług do-

świadczeń p. Malouin, wielokrotnie później powtarzanych, znaczna powierzchnia z czystego złota, dobrze wypolerowana, przyciąga wzrok każdego i wzbudza w patrzących na nią uczucia radości i szczególniejszego zadowolenia, którego niepodobna nie spostrzedz uważając dobrze osoby, na to doświadczenie wystawione. Nie podlega wątpliwości, że w samej naturze kruszcu leży przyczyna tego miłego uczucia.

Adepci i alchemiści porównywali złoto ze słońcem, i wyrażali je przez znak emblematyczny tej gwiazdy. Starożytny lud Izraela uwielbiał ten szlachetny kruszec pod postacią złotego cielca, a nowożytne narody wszystkie bez wyjątku, nie przestają mu oddawać takiegoż hołdu i czci, lecz z większym jeszcze zapałem i rozmysłem. Nie ma teraz wprawdzie w świątyniach złotych cielców, lecz w każdym sercu jest ołtarz dla tego bóstwa, którego nowoczesny lud Izraela jak za czasów starożytnych, jest zawsze najpiérwszym kapłanem i najwierniejszym sługą.

Złoto! złoto! Jakże czarujący dźwięk twego imienia, przenikający najskrytsze tajniki serca ludzkiego! Jaka wszechmocność i przewaga zdoła ci stawić dostateczny opór? Jaki gieniusz, nauka, rozum i talent nie nabiorą przy tobie większego blasku, nie podwoją swój sławy i rzeczywistej wartości? Jakaż piękność nie zwinie przed tobą swojej zwyciężkiej chorągwi? Jakaż cnota przed twym rażącym połyskiem nie spuści ocz, któremi nawet na słońce prosto patrzeć zdoła, i jeśli nie zostanie zwyciężona, to przynajmniej zarumieniona powoli się oddali, i tém samém przyzna niepodobieństwo walczenia z tobą? Ty jesteś głównym bodźcem działań człowieka, źródłem

rozkoszy, przyczyną największych nieszczęść i najokropniejszych czynów!

Złoto jako jednostka monetarna i najdogodniejszy środek zamiany, w terażniejszym postępowym stanie handlu i przemysłu, jest wpływem umiejętności człowieka, najwyższym wyrażeniem jego zdolności, początkiem i końcem: Alpha i Omega usiłowań ludzkich.

„Złoty klucz otworzy wszędzie”; przysłowie znane od wieków.

Już w przedhistorycznych czasach złoto musiało być znane towarzystwom ludzkim, bo w najdawniejszych podaniach ludów, które stanowią początek historii, są już o niem wzmianki jako o rzeczy, do której przywiązywano większą wartość, a zatem o rzeczy oddawna wiadomój, na której się poznano. Wszystko co starożytny człowiek uznawał pięknem, rzadkiem, drogiem, nazywał złotem, lub wyobrażał to ze złota. Pierwszy wiek od stworzenia świata nazywał on *złotym*. W ogrodach Hesperyd, raju poetycznym Greków, rosły złote jabłka; na dwanaście wieków przed erą naszą, Jazon (1) w towarzystwie Herkulesa, Kastora, Polluxa, Orfeusza i innych najslawniejszych bohaterów Grecyi, z których wielu policzono w poczet bogów olimpijskich, odbył niebezpieczną wyprawę do brzegów bajecznej Kolchidy, dla zdobycia złotego runa. Bez wątpienia, że podania te ułożone zostały daleko później, jak one same o sobie mówią; lecz to wcale nie zmniejsza pewności, że złoto i jego wartość znane były w pierwszych czasach istnienia towarzystw ludzkich.

(1) Według jednych historyków w 1263, a według drugich w 1350 r. przed narodzeniem Chrystusa.

W religijnych księgach Hindów, których głęboką starożytność udowodniono sprawdzeniem faktów astronomicznych, zapisanych na pomnikach świątyni tamecznych od tysięcy lat istniejących (na których wzniesienie potrzeba było drugie tyle wieków), znajdujemy wyraźne prawo, przepisujące surową karę za skradzenie złota; u Brahmana dusza winowajcy miała tysiąc razy przejść w ciało pajaków, żmij, kameleonów, potworów wodnych i złowrogich upiorów. Prawodawca w tym względzie był nieco jednostronny, bo nie przewidział wypadku odwrotnego. W najdawniejszych księgach egipskich, *hermetycznymi* zwanych, pisanych na 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa przez Hermesa (syna Anubisa), który miał wynaleźć hieroglify, geometryę, astronomię, astrologię, alfabet, i pierwszy nauczył Egipcyan pisać; wyłożone są zasady alchemii, nauki robienia złota i kamienia filozoficznego. Jakkolwiek księgi te mogły być później przez którego z uczniów lub zwolenników jego napisane, wszelako podanie ludu zostawiło fakt niezaprzeczony, że Hermes był niepospolitym człowiekiem, biegłym w naukach, i pracował nad temi ich gałęziami, które najwięcej zajmowały ówczesowy świat, t. j. nad filozofią, astrologią, astronomią i nad nauką robienia złota, którego wszyscy pragnęli.

Nie wiemy, jakimi sposobami starożytny, przedhistoryczny lud otrzymał złoto; lecz z powyższego wnioskować wypada z pewnością, iż nie pomijał żadnego z tych, jakie mu stan ówczesowy umiejętności mógł wskazać.

Pierwotni pisarze zostawili nam wiadomości o krajach, w których się złoto znajdowało i z których je otrzymywali. Źródła te nie wyczerpały się do naszych czasów,

nie zmieniły swojej miejscowości; a lubo z powodu nieustannego wybierania, bogactwo niektórych znacznie się zmniejszyło, za to w późniejszych czasach wykryto wiele nowych, bardzo mało lub wcale starożytnym nieznanym.

Złoto znajduje się tylko w żyłach skał pierwotnych albo w pewnych ziemnych pokładach, w piaskach i na dnie rzek, zawsze w stanie czystego metalu, to jest rodzimym: już w małych kawałkach, pepitami zwanych, już najczęściej w ziarnach drobnych czyli w stanie nadzwyczaj miążkiego piasku, już naostatek w małych blaszkach rozmaitego kształtu. Niekiedy złoto leży na samej powierzchni ziemi, albo zaraz w pierwszej powłoce ziemnej i nawet w kawałkach i w bryłach znacznej wielkości. Tak łatwy sposób wydobycia złota, nie potrzebujący szczególnych naukowych wiadomości, był bez wątpienia powodem, że człowiek zastosował je do swego użytku pierwiej, niż wszystkie inne metale. Według świadectwa Herodota (1), koczujące narody wschodniej Azji, większą część swoich narzędzi mieli ze złota. Mając w ciągłym użyciu ten metal, człowiek później, po wykryciu innych kruszców, poznał się na jego rzeczywistej wartości i podniósł go w cenie; od tego czasu złoto stało się głównym artykułem handlu starożytnych ludów. Pierwsze kolonie fenickie, egipskie, greckie, kartagińskie i rzymskie, odbywały niebezpieczne podróże i dalekie wyprawy morzem i lądem do środka Azji, Afryki i do brzegów mało znanej Europy po kupno złota, które następnie stawszy się przedmiotem handlu, służyło zarazem za najgłówniejszy środek zamiany, co trwa do naszych czasów.

(1) Herodot VIII, 27.

Gatunkowa ciężkość złota jest: 19,257. Ciągłość jego i kowalność większa jak wszystkich innych metali: z jednej uncji złota, można wyciągnąć przez przepustnię drut długości 73 francuzkich pocztowych *lieues* (1) czyli przeszło 51 mil polskich; ta sama ilość złota jeśli nią obciążniemy srebrny walec i przeciągniemy go przez przepustnię, wyda drut długości 97 pocztowych *lieues* czyli przeszło 66 mil polskich. Jeżeli ten drut znowu przepuścimy przez walec, wyciągniemy blaszkę szerokości  $\frac{1}{8}$  linii, a 111 *lieues* czyli przeszło 77 mil długości, na której złoto z obydwóch stron blaszki, zajmie przestrzeń szerokości  $\frac{1}{4}$  linii, a długości 77 mil czyli 2400 stóp kwadratowych.

Zupełnie czystego złota dotąd w naturze nie znaleziono; zawsze ono w rozmaitym stosunku połączone jest ze srebrem, tudzież z miedzią, żelazem, a bardzo rzadko z platyną. Ostatniemi czasy Del-Rio wykrył w meykańskiem złocie *Rodium*, a Claude w Filadelfii znalazł *Paladium* w złocie pochodzącem z Brazylii. Naturalne połączenie złota ze srebrem w stosunku jak 2:1, nazywa się *Electrum*, wyraz, którym starożytni oznaczali sztuczne połączenie podobne, zawierające złoto w stosunku do srebra jak 4:1 (2). Jeżeli stosunek złota do srebra jest mniejszy jak 1:2, wtenczas kompozycja nazywa się *złocistém srebrem*, bo traci już żółtawy kolor, i w przetopieniu ma wszystkie własności srebra.

(1) Francuzka pocztowa *lieue* = 3,898 kilometr. a mila polska = 5,5625 kilometr.

(2) U starożytnych Rzymian był jeszcze inny gatunek *Electrum magicum* zwany, do składu którego wchodziło w pewnych częściach złoto, srebro, miedź, stal, ołów, cyna i merkurjusz. Z téj kompozycji wyrabiali broń sieczną, która miała własność zwyciężania każdego nieprzyjaciela.



Najwyższa próba, jaką dotąd znajdowano w samorodnym złocie, była: czystego kruszcu 98,96, a najniższa bez widocznej odmiany właściwego koloru 84,43.

**Azya.** Prawie niepodobieństwem jest uwierzyć, jak ogromna masa złota krążyła w starożytnej Azji, na co jednak mamy historyczne dowody w opisanu bogactw Persów, Arabów i władców mongolskich. Narody azyatyckie miały powszechny zwyczaj, jak już wyżej powiedziano, wyrabiać swoje domowe sprzęty ze złota; oręż, cacka, przedmioty zbytku, serwisy stołowe, meble po domach, trony królów, rozmaitego rodzaju ozdoby, posągi bogów i t. d. za czasów Salomona były wyrabiane z kutego złota; odzież, kobierce, których tak wiele na Wschodzie używają, wszystko było suto złotem haftowane lub przerabiane. Znaczna część tych niezliczonych bogactw, przeszła później do Rzymu.

W starożytnej Azji mniejszej, bogactwa Krezusa króla lydyjskiego weszły w przysłowie, które się zachowało aż do naszych czasów, chociaż skarby Krezusa były dość mierne w porównaniu z bajecznymi bogactwy reszty Azji.

Góra *Tmolus* (Bouzdag czyli Zimna góra), należąca do skupień gór pod ogólnym nazwiskiem *Taurus* znanych, zawierała w sobie złoto. Rzeka *Paktol*, poprzednio *Chrysorrhoeas*, dziś *Sart*, z góry *Tmolus* wypływająca, toczyła na dnie swoim w piaskach wiele złota, wydzielającego się z góry. Za czasów Strabona, *Paktol* nie miał już więcej szlachetnego kruszcu. Rzeka *Hermus*, *Sarabat* v. *Kedus*, do której wpadał *Paktol*, podług *Wirgiliusza* była złotomętna (1).

Poeci greccy opowiadają, że *Midas* król Frygii prosił *Bachusa*, ażeby mu odebrał nadany przez siebie dar prze-

(1) Georg. II. 137. *Auro turbidus Hermus.*

istaczania w złoto wszystkiego, czego się tylko dotknie, nawet samych pokarmów, a Bachus przychylając się do jego prośby, kazał mu wykąpać się w Paktolu, który od tego czasu obfitował w złoto. Jakkolwiek mógłbyć powód téj allegorycznej powiastki, zawsze ona naprowadza na wniosek, że Midas, który żył w XIV wieku przed narodzeniem Chrystusa, czynił poszukiwania złota w górach Tmolus i w rzekach z nich wypływających, i że te poszukiwania gorliwe, były może uciążliwemi dla jego ludu, gdy ściągnął na siebie taką karę.

Rzeka *Meander* (Bojok *Meinder*, czyli wielki *Meander*, *Mendere* u teraźniejszych krajowców) brała początek w mieście *Celenes* we Frygii u podnóża gór *Messogis*, ze źródła położonego w samym pałacu królewskim *Cyrusa*, i płynęła w znacznej przestrzeni przez środek pałacowego parku. Obiedwie rzeki *Paktol* i *Meander*, znajdowały się w granicach starożytnéj *Lidy* i z nichto *Krezus* zebrał swoje znakomite bogactwa (1); metal ten *Lidyjczycy* w takiéj mieli obfitości, że sprzedawali go w sztabach innym *Grekom*, którzy go używali na posągi bogów w świątyniach.

O istnieniu kopalń prawidłowych czyli o wyrabianiu złota z żył w *Lidy*, żaden z starożytnych pisarzy nie wspomina, lecz sposób płukania złota używany za cza-

(1) Zdaje się, mówi *Drzewiński* (*Początki Mineralogii* str. 356 przyp.) że złoto, którego mieli tak wielkie mnóstwo niektórzy starożytni *Azyi* monarchowie, pochodziło wszystko ze skał napływowych i w naturalnej postaci proszku było chowane w ich skarbcach, czego dowodzi jedno miejsce w pismach *Herodota*, gdzie ten historyk mówi o *Krezusie*, który gdy *Alkmeonowi* dał tyle złota, ileby mógł z sobą wynieść ze skarbcu, ten rzucił się na kupę złotego piasku i napetnił nim swoje suknie, obuwie, gebę, i t. d.

sów Krezusa, za pomocą rzeszot i skór wołowych, utrzymuje się dotąd w narodach środkowej Azji.

Od granic Lidyi czyli w Karyi, przez kilka wieków *Phoenisa* v. *Phoenicia* zwanéj, zaczynał się łańcuch gór Taurus i ciągnął się przez Armenią, Midią, Hyrkanią i Persyą do końca granic Baktryanii czyli Wielkiej Bucharji, oddzielając tę ostatnią od Indyi wśród Gangesu, pod nazwiskiem łańcucha gór *Garopomis*, który historycy Alexandra Macedońskiego *Kaukazem* zwali (1). W całym tym łańcuchu gór, zawsze wydobywano, lubo niewielką ilość złota. Dotąd nawet w odnodze gór *Wesli-Kara* w okręgu chiwańskim, niedaleko rzeki Oxusa Amu Darii) istnieją ślady nadzwyczajnie głębokich starożytnych sztolni, z których do dzisiejszego dnia wydobywają złoto i srebro (2).

Na granicy Baktryany i Scytyi, dzielił się Taurus na dwie odnogi, z których jedna ciągnęła się na północ pod nazwiskiem *Imaus* (Imeja-Parubadam) i gubiła się w Scytyi, a druga południowa odnoga *Emodus*, szła pomiędzy Indyą międzygangesową a *Seriką* (teraźniejszą chińską Tartaryą) i łączyła się z łańcuchem *Otorocorras* czyli *Sericus*, stanowiąc północną granicę Indyi zagangesowej, dokąd sięgała znajomość starożytnych pisarzy o kuli ziemskiej.

Odnogi nieprzerwanego pasma Tauru, czyli łańcuchy *Imaus* i *Emodus*, dzieliły Azję na dwie części: Wschodnią i Zachodnią. Od punktu, w którym się one zcho-

(1) Takie było wyobrażenie starożytnych o tych górach, lecz łańcuchy te są oddzielone pomiędzy sobą i nie stanowią jednego nieprzerwanego pasma.

(2) *Allgemeine geographische Ephemer*, 1804, sierp. str. 447. *Moricr Travels* T. I str. 283.

dziły z główném pasmem Tauru, zaczynała się ta część tajemniczej, małoznanej Azji, która nadzwyczaj była obfita w złoto, w której głąb, starożytni kupcy, pomimo niezliczonych niebezpieczeństw i trudności, zapuszczali się daleko dla handlu złota.

Ta najbogatsza złotodajna przestrzeń, według podań starożytnych, ograniczona była jak się zdaje, na północ pasmem teraźniejszych gór *Kypczak-Tau*, *Bohdoola* v. *Thian Chan*, na południe łańcuchem *Kuentun*, na zachód *Kaszkar-Dawan* czyli *Bolor* i *Tsong-ling* do punktu połączenia z łańcuchem *Hindu-Koh północnym*, a na wschód bezgranicznym stepem Gobi.

Całą tę przestrzeń zajmuje część teraźniejszych chińskich posiadłości, Mała Bucharya i step Gobi, należące do cesarstwa chińskiego.

Rzeki, które wzięwszy z wspomnianych pasm początek, płynęły na wschód i zachód, w piaskach swoich toczyły obficie złoto; a w Małej Bucharyi nietylko dostawano złota z piasków rzecznych i ziemnych, lecz istniały nawet kopalnie tego metalu.

Herodot opowiada: (1) „Są Indyanie w bliskości miasta *Kaspatyrus* i w kraju *Paktyla* (miasto i królestwo *Kabul*). Mieszkają oni bardziej niż inni Indyanie na północ i prowadzą życie podobne do Baktryanów (sąsiadów swoich); składają naród najwaleczniejszy pomiędzy wszystkimi Indyanami, i onito właśnie wychodzą na poszukiwanie złota. Opowiadają, że w tym kraju jest wielki piaszczysty step, na którym są *mrówki* mniejsze od psa, lecz większe od lisa. Widziano je u królów perskich, a ci mieli je z tamtego kraju. Zwierzęta te kopią ziemię i nagromadzają piasek, na wzór greckich mrówek,

(1) Herod. III, 102—106.

ale ten nagromadzony piasek jest złoty i t. d." Zebrany złoty piasek, Indyanie mieli jak najspieszniej odwozić na wielbłądach do domu, bo mrówki napastowały ich i prześladowały. W taki sposób podług opowiadań Persów, jak pisze Herodot, Indyanie dostawali większą część swojego złota, które oprócz tego znajdowało się obficie w kopalniach, i na dnie rzek w piaskach.

Bajka o mrówkach powtórzona została z dodaniem nowych okoliczności, później, w czasie wyprawy Alexandra Macedońskiego do Indyi. Legenda ta tłumaczy się tém, że w greckim języku słowo *mrówka* ma jakieś podobieństwo z nazwiskiem indyjskiem hyeny albo szakala, i że rzeczywiście w Tartaryi zwierzęta te, jak również borsuki, lisy i wiele innych, kopią dla swego schronienia nory w ziemi, i tym sposobem wyrzucają na wierzch część piasku, w którym często znajduje się złoto. Oprócz tego doktor König i inni pisarze twierdzą, że w Wschodnich Indyach termity zwane zwykle mrówkami (*Termes fatale*), budując dla siebie z zadziwiającą regularnością mieszkania z gliny i piasku piramidalnej formy do 10 stóp obwodu przy ziemi i do 12 wysokości mające, wyrzucają glinę i piasek, których właśnie pokłady rozciągają się tam, pod pierwszą powłoką ziemną i zwykle złoto w sobie zawierają.

Ktezyasz pisze: że Indyanie, sąsiedzi Baktryańczyków (teraźniejsi Kabulowie), wybierali się na trzy i cztery lata w liczbie od tysiąca do dwóch tysięcy ludzi uzbrojonych, w zlotodajne stepy, dla zaopatrzenia się w złoto, które ztamtąd w znacznej otrzymywali ilości. Heeren mówi (1): dokądżeby te liczne karawany mogły udawać

(1) P. 418 T. III, Heeren: *Hist. de la politique et du commerce des peuples de l'antiquité*.

się na wschód, jeżeli nie do Chin przez step Gobi, dla złota i jedwabiu, które jako główne plody swoje, Chińczycy starali się zapewne drogą handlu zbywać. Lecz tu nastęcza się inne domniemanie: czy to karawany a przynajmniej ich część, nie odbywały wypraw do teraźniejszej Syberyi? bo Ktezyasz wyraźnie pisze, że one chodziły po złoto, o jedwabiu zaś nic nie wspomina. Podług miejscowych podań ludu, na południe za Bajkałem, w bardzo odległych czasach, żył oddzielny naród, który szczególnie się zajmował poszukiwaniem złota; miał swoich królów, swój własny język, i że następnie naród ten został podbity i rozproszony przez sąsiedni, potężniejszy naród; że pomiędzy Chojlara i Gobi znajdowała się stolica owego narodu, której zwaliska dotąd istnieją, i że podanie o tém zachowało się w narodowych mongolskich śpiewach (1). Nieznany ów naród w Syberyi nazywają ogólnem nazwiskiem *Czud'*, co ma znaczyć nieznany, obcy, albo cudzoziemiec. Starożytne kopalnie, które często się trafiają, i które właśnie posłużyły za wskazówkę do odkrycia teraz istniejących, nazywają *Czudskie kopalnie* (2). W jednej z takich kopalni, w r. 1726, za Bajkałem w miejscu zwanem *Kultuk*, znaleziono kościotrup człowieka i kilka kamiennych młotków (3). W innych znajdowano rozmaite miedziane narzędzia górnicze, lecz nigdy żelaznych. W r. 1772 w miesiącu maju, przy oczyszczaniu jednej z podobnych kopalń, znaleziono dwie miedziane wagi: jedna 2, a druga 4 funty wążące. Był na nich wryty jakiś napis, którego gdy nikt nie mógł wyczytać, okazano go

(1) Syberyjski Wiestnik (dziennik) 1819 r. część VII, str. 130.

(2) Syberyjski Wiestnik.

(3) Tamże.

Chińczykom. Chińczycy po obejrzeniu napisów oświadczyli, że to nie jest ani mandzurskie, ani mongolskie, ani chińskie pismo, lecz złożone z liter w całym ich państwie nieużywanych i nieznanych. Wagi te zachowane były w Nerczyńsku w składzie górniczym, lecz niejaki Goleniszczew-Kutuzów, przysłany do Nerczyńska na naczelnika górnictwa, spostrzegłszy je kazał przelać na inny użytek, a z niemi znikł jedyny, jaki dotąd istniał historyczny, piśmienny dowód zaginionego narodu.

Podanie więc Ktezyasza, że uzbrojone karawany Baktryano-Indyjskie, udawały się na tak długi przeciąg czasu w step dostarczający złota, łatwo da się wytłumaczyć. Mogli oni wprawdzie dostawać złota nieporównanie bliżej, z gór Baktryany lub Małej Bucharyi; ale te źródła nie były tak obfite, ażeby całkowicie zaspokajały ich życzenia, zwłaszcza, że odbył ich był już ustalony; a znowu niepodobna, aby dla samego tylko handlu jedwabiem, partye z tysiąca lub dwóch tysięcy uzbrojonego ludu, poświęcały się na podróż od trzech do czterech lat trwającą, w epoce, kiedy dróg było bardzo mało i trzeba było podróżować zawsze w jednym i tym samym kierunku jak wahadło w zegarze. Te liczne karawany mogły raczej odbywać wyprawy do owego zaginionego narodu, w stepach Gobi zamieszkałego, i razem z nim poszukiwać złota w górach terazniejszej północno-wschodniej Syberyi, po której obszarach można było podróżować nawet dłużej niż cztery lata; gdzie znajdujemy liczne ślady starożytnych kopalń, rozproszonych na ogromnych przestrzeniach; gdzie znajdowano w nowszych czasach wiele starożytnych grobowców, rozsianych bez systematu i porządku, odosobnionych jeden od drugiego, jakby ludu, który tam jak przechodzący chwilowo tylko zawę-

drował, bo na przestrzeniach zajmowanych przez koczujące narody, znajduje się zawsze więcej jakiegoś ustalenia i porządku w tém, co świadczy bądź chwilowy ich pobyt na jedném miejscu, bądź téż nieco dłuższe zamieszkanie. Nakoniec poetyczne podania Greków, nic nie podały nam allegorycznego o handlu Indyan z Chinami jedwabiem, o wyprawach zaś na północ Azji do Scytyi *Intra* i *Extra Imaum* były legendy, jeszcze do czasów Herodota, przez niego opisane, a w których zawsze figurowało złoto, jak o tém powiemy niżej.

Starożytna rzeka *Echardes*, *Serghien* u Scytów, a teraz *Kaszkar-Daria* bierze początek z gór Bolor, przecina Małą Bucharyą z zachodu na wschód w linii prostej przeszło na 125 mil, i wpada potem pod imieniem *Tarim* v. *Ergheon* w jezioro Lob-noor. W Kaszkar-Darya wpadają rzeki *Jarkund-Darya*, *Khoten*, i wiele innych pomniejszych, z których jedne wypływają z południa z gór Tsong-ling, a drugie z północy z gór Kypezak-Tau. Wszystkie te rzeki szczególnie w początkach swoich toczą w piaskach wiele złota, które dotąd jeszcze krajowcy przepłukują. Rząd chiński wypuszcza tam w dzierżawę wydobywanie złota, i pomimo, że oddział wojska z 500 ludzi złożony, użyty jest do dozoru policyjnego, płukanie odbywa się pokryjomu na znaczną skalę.

Z drugiej strony gór Bolorskich bierze początek starożytny *Oxus*, terazniejsza *Amu-Daria*, która przybięra to nazwisko od połączenia dwóch rzek: *Zur-aba* czyli *Wakeha* i *Badukszan*, i od tego punktu przebiega przestrzeń 1400 wiorst. Górne części Amu-Daryi a szczególnie rzeki *Kokka* w nią wpadającej, przy której leży miasto *Badokszan*, były i są teraz jeszcze słynne z obfi-



tych rozsypów złotego piasku. Według urzędowych wiadomości, han bucharski w początku XVIII wieku dostawał rocznie z samej prowincyi Bodokszkańskiej, przeszło 2000 funtów (1) złota w naturze, nie rachując drogich kamieni, szmaragdów, rubinów, lapis lazuli i szafirów. Rzeka *Zer-efszan* czyli złota rzeka, z tychże gór wypływająca, nad brzegami której leży starożytne znakomite miasto *Samarkanda*, wpada niedaleko miasta *Buchary* w jezioro *Dengis-Karakul* (czarne jezioro); rzeka ta na całej przestrzeni swego biegu toczy złoto w znacznej obfitości. Niedaleko morza Aralskiego nad rzeką *Ulu-Darya* o 100 wiorst od miasta *Chiwy*, wznosi się góra *Szasdech-Tan*, w której znajduje się nadzwyczaj bogaty złoty kruszec. Chiwianin, który odkrył te bogactwa i doniósł o nich hanowi *Szerhazie*, z rozkazu tegoż został żywcem w ziemię zakopany z obawy, aby nie rozeszła się wiadomość, któraby mogła spowodować napady sąsiednich narodów. O skarbach *Szasdechtan* dotąd niewolno wspominać (2). Według opisu pielgrzyma buddysty *Hiuan-thsang* (3) z r. 640, królestwo *Po-lo-lo*, które produkuje nadzwyczajnie wiele złota i srebra, przypada w początkach *Amu-Daryi*, *Kokki* i *Zer-efszan*, należących teraz do *Buchary*.

Na północnych granicach złotodajnej przestrzeni starożytnej Azji wewnętrznej, wypływa rzeka *Araxes*, terazniejsza *Syr-Darya*. W górnym jej ciągu, jak również i innych rzekach i rzeczkach w nią wpadających, znajduje się wiele złota. W późniejszych czasach znana była

(1) Полн. Соб. Закон. Рос. Имперіи №. 2809, 2811 i 2993.

(2) Rękopis: Путевыя Записки Геодезиста Муравина изъ Оренбурга въ Хиву въ 1741 году.

(3) Humboldt *Asie Central.* II, fol. 370.

ze swego bogactwa rzeka *Czyrczyk*, która bierze początek z gór *Alta-tau* (pstrych) i przepłynawszy kraj Tazkenców, wpada w Syr-Daryą. Nadbrzeżni mieszkańcy Czyrczyka, podług świadków naocznych, wydobywają złoto z rzeki za pomocą dywanów czyli kobierców; rozciągają kobierce na drewnianej ramie, i jeden człowiek sypie piasek, a drugi leje wodę; piasek splukuje się, a złoto osiada pomiędzy wełną kobierca: albo też rozścielają kobierce pod wodą rzeki na kilka godzin, a potem wysuszają je na słońcu i wytrzepują złoto. Cztery ludzie w tak prosty i niepotrzebujący nauki sposób, przemywają złota we cztery dni od 10 do 30 złotychników, co czyni od 9 do 27 (1) rub. sr. dziennie. W górze rzeczek i strumieni wpadających do rzeki *Il*, nad którą leży miasto *Kułdya*, mieszkańcy od dawnych czasów, pomimo surowego zakazu rządu chińskiego, płuczą pokryjomu złoto i przemycają gdzie tylko przedstawi się sposobność do tego.

Do złotodajnej części Azyi policzyć także wypada inne chińskie posiadłości, w których również od dawnych czasów wyrabiają złoto: jak okolice jeziora *Chu-chu-noor*, gdzie jeden człowiek w ciągu lata czasami wyrabia od 20 do 100 lan złota, czyli od 176 do 880 złotychn., co uczyni od 640 do 3240 rub. sr.; dalej na południe od jeziora płynie rzeczka *Altan-goty* (złota rzeka), która z wielu strumieniami do niej wpadającemi, bardzo obfituje w złoto. Po 20 dniach podróży na przestrzeni od jeziora *Chu-chu-noor*, przebywszy wielki chiński mur, spotyka się dwa miasta *Daba* i *Selyma*, pierwsze o pół mili, drugie o 3 mile od muru; w okolicach tych miast,

(1) Wartość złota rachowana po 3,55 rub. złotem, co czyni na srebro o 3% więcej.

wyrabiają złoto z piasków rzecznych i ziemnych, płacąc rządowi chińskiemu za prawo poszukiwania jeden zołotnik metalu co rok.

W północnej części środkowego Tybetu, z południowego spadku łańcucha *Kuen-lun*, który łączy się z innymi łańcuchami i ciągnie się do samych prawie brzegów Wielkiego oceanu, wypływa wiele rzek, nad których brzegami znajdują się znakomite kopalnie złota, znane już w starożytności. W teraźniejszych czasach, generalnemu rządcy Bengalu lordowi *Hasting*, przywieziono z tamtąd do Kalkuty tablicę z twardego kamienia wielkości wołowej skóry (1), gęsto okrytą kawałkami złota; kiedy p. *Hasting* kazał ją potłuc, znaleziono, że prawie cała była jakby nasiąkła najczystsze złotem. W południowym Tybecie w prowincyi *Keham*, niedaleko miast *Tar-czun* i *Litan*, wyrabiają także złoto.

W prowincjach Chin właściwych: *Jun-nan-szen* (2), *Sy-czuan-szen*, *Chu-nan-szen* i *Huj-czueu-szen*, położonych pomiędzy pasmem *Pe-ling*, stanowiącym odnogę *Kuen-lun* a królestwem Birmanów, znajdują się kopalnie i rzeki zawierające w piaskach wiele złota, a szczególniejsz rzeka *Kim-cha-kiang* (rzeka złotego piasku), stanowiąca część najznaczniejszej w Chinach rzeki *Kiang*, nad którą leży miasto *Nanking* i która do Wielkiego oceanu wpada.

W roku 1596 cesarz chiński wbrew zdaniu swoich ministrów, kazał otworzyć dziesięć kopalń złota i srebra

(1) A new and complect systeme of Universal Geography by P. Kelli, 1814—1819.

(2) *Szen* końcówka, oznacza prowincyą czyli gubernią, albo departament.

w prowincjach *Chu-nan*, *Chen-si* i *Chan-si*, a w sześć lat później rozkazał je zamknąć na nowo.

Podług chińskich statystycznych wiadomości, w roku 1812 w prowincyi *Juń-nań* i *Huj-czzeu* wydobyto złota 339 lan, czyli  $30\frac{9}{11}$  funta rosyjskiej wagi (1).

O produkcji złota w Japonii niema żadnych pewnych wiadomości. Niegdyś Portugalczycy a później Holendrzy wywozili ztamąd znaczną ilość szlachetnego kruszcu. Podług ich podań, bardzo bogate kopalnie i wysokiej próby złoto znajduje się na wyspie *Sado* (największej sąsiedniej Nifon), tudzież na wyspach *Guruma* v. *Suremga Bingo* i *Kin-Sima* (złota wyspa).

Na zachód od Tybetu, Marek Paweł (Marco Polo), wskazuje prowincyą *Gaindu* czyli *Chayndu*, w której się znajdowały kopalnie złota; prowincya ta jestto *Gang-Desh*, wspominany w *Zend-Awesta*, tojest ten kraj teźniejszy, który przerzyna rzeka Ganges, od źródeł do katarakt swoich.

Rzeka *Bramaputr* czyli *Brihmaputr* w Hindostanie, wpadająca do oceanu Indyjskiego, toczyła w piaskach swoich złoto, tudzież rzeki *Dekhan*, *Orissa* i *Berar* do tego czasu zawierają wiele złota; jak niemniej w *Penjabu* i *Kaszemir*, Ayen Akberi wspomina o wielu podobnych rzekach, co dowodzi obfitość tego metalu w górach *Imaus*. Z kopalń przytaczają za najbogatsze: *Golkonda*, *Karnatyk*, *Achem* i *Bengal*.

W królestwie Siamskim na wschodniej granicy wyspy *Sama-ra-Jat*, produkują złoto.

Za czasów Ptolomeusza wiele mówiono o *Wyspie Złotej*, której ziemia złożona ze złota i srebra. Było

(1) Статистическое описание Китайской Империи przez Sakim-fa Buczuryna, 1842 r. Tom I, str. 147.

właśnie *Chersones Złoty*, czyli terazniejszy półwysep *Malakka*, gdzie w starożytności wyrabiano złoto, lecz gdzie ten przemysł zupełnie dziś ustał.

W zachodniej części Azji, w Arabii szczęśliwej, gdzie teraz nie wyrabia się złoto, w starożytności w prowincyi *Iemen* wiele go płukano w rzekach; były nawet kopalnie jego szczegółowo przez starożytnych opisywane (1), aktórych ślady dotąd istnieją. Kupcy miast *Saba* i *Raema* czyli *Maryaba* (*Mareb*) niedaleko ciałniny *Babel-Mandel*, handlowali krajowem złotem. Wszędzie w ich domach błyszczał ten kruszec, słoniowa kość i drogie kamienie. Mieli dostatek wszelkiego rodzaju wyrobów ze złota i srebra, złote puławy, siedzenia i trójnogi z podstawami ze srebra. Perystyle i kolumny były obciążone złotem z kapitelami i rzeźbą ze srebra; skarpy i drzwi ozdobione złotem i drogiemi kamieniami. W ogólności do upiększeń i ozdób budowli, używano drogich metali z nadzwyczajnym zbytkiem (2). Srebro, jak świadczy *Agatarchides*, kosztowało w szczęśliwej Arabii dzieśnięć razy drożej jak złoto; taka była jego obfitość (3). W r. 1003 przed nar. Chr. królowa Saby *Belkis*, słysząc o mądrości *Salomona*, przybyła do *Jerozolimy* z liczną karawaną wielbłądów obciążonych złotem, aromatami i drogiemi kamieniami.

Z powyższego widać, że na całym stałym lądzie starożytnej Azji, znano miejsca, które wydawały złoto; że starożytni wyrabiali je od bardzo dawnych czasów, albowiem niektóre kopalnie wyczerpnęły się jeszcze przed narodzeniem *Chrystusa*. Rzeka *Paktol* za czasów *Str-*

(1) *Strab.* XVI 1103. Tom II. 50.

(2) *Heeren.* V str. 183—184.

(3) *Bochart* str. 139.

bona już nie wydawała złota, a zapewne jest i wiele innych podobnych źródeł, które się wyczerpały. Wszystko to mówi, że złoto było główniejszym przedmiotem handlu starożytnych, na który cała ich dążność i usiłowania skierowane były.

Odkrycia złotodajnych miejsc rozrzuconych na nieograniczonych obszarach azyatyckich, mało lub wcale niezaludnionych, okrytych nieprzebytemi lasami, przepelnionemi dzikim i drapieżnym zwierzem (1); na lądzie poprzedzielanym skalistemi górami, poprzecinanym bezpłodnemi stepami, w czasach, kiedy prawie żadnych nie było związków lub bardzo rzadkie i nader niebezpieczne, przekonywają, jak wiele potrzeba było ze strony człowieka usiłowań do uskutecznienia prac tak wielkich i trudnych; ile upłynęło wieków nim zdołał człowiek podobne przedsięwzięcia wykonać; ile nim wybudował w miejscach niezręcznych i odludnych piękne miasta, któremi się szczyciła starożytna Azja, i zaludnić je dla ożywienia handlu, którego, jak wyżej powiedziano, złoto było główniejszym przedmiotem i celem.

Prace podejmowane dla odkrycia miejsc złotodajnych naprowadzają na wniosek konieczny, że po wykryciu takich źródeł, człowiek nie zwalniał swojej czynności; i rzeczywiście bogactwa i skarby nagromadzone przez starożytny lud azyatycki, są zadziwiająco. To co nam podano o skarbach habilońskich, assyryjskich, osobistych Krezusa, Cyrusa i Nabuchodonozora, przechodzi moż-

(1) Aby mieć wyobrażenie, do jakiego stopnia azyatyckie lasy przepelnione są zwierzem, przytaczamy fakt: w r. 1753 w jednej wsi o 25 wiorst odległej od Nerczyńska, 25 myśliwych zapędzili do jednego ogrodu na raz 4027 dzikich kóz. Dziennik: Сочинения и переводы къ пользѣ и увеселенію служачаго, 1764 roku, listopad, str. 457.

ność uwierzenia. Król Salomon posiadał w własnym skarbcu przeszło 5 miliardów rub. sr. złota i rozmaitych kosztowności; królowie perscy mieli domowe meble ze złota, płacili żołd najetemu licznemu wojsku złotą monetą darykami zwaną, pobierali podatku od Indyan złotem w naturze podług Herodota 14,500 talentów rocznie, co czyni od 13 i pół do 14 i pół milionów rub. sr. na terazniejsze pieniądze; satrapowie perscy i dygnitarze innych królów, a nawet wiele prywatnych osób, posiadały niemniej ogromne bogactwa.

Jakkolwiek produkcja złota była wielka w tej części Azji, którąśmy powyżej opisali i sięgała dawnych czasów; niepodobienstwem wszakże byłoby przypuszczać, aby źródła te wystarczyły same z siebie do wydania tyle tego drogiego metalu, ile go krążyło w handlu pomiędzy ludem, a szczególnie w wyższych klasach towarzystwa i na monarszych dworach. Nie pojmując zkąd ciągle dochodzi, przypuszczano istnienie jakichś obcych, nieznanych źródeł, o których tworzono rozmaite powieści i legendy, przez Herodota i innych starożytnych pisarzy potomności przekazane. Bajeczne krainy obudwu *Scytyj Intra* i *Extra Imaum*, gdzie się zaczynał koniec świata, gdzie panowała wieczna noc, mgła i nigdy nie topniejące śniegi, gdzie już nie było życia; tam podług upowszechnionego mniemania zakopane były niezliczone skarby złota, strzeżone przez fantastyczne, nadnaturalne istoty. W całej Azji znana była bajka o *gryfach*, które strzeżyły złota. Herodot opowiada: „Północ Europy ma bardzo wielką ilość złota. Nie umiem powiedzieć, gdzie ono się znajduje; mówią, że *Arimaspy*, którzy mają jedno tylko oko, odkradają złoto u *gryfów*. Ale mnie się nie

zdaje, aby mogli istnieć ludzie o jedném oku i t. d." (1). Bajkę tę przed Herodotem podał *Aristeas* w poemacie swoim, gdzie dokładnie opisuje, że gryf czyli gryfon jest zwierzę podobne do lwa, mające skrzydła, dziób orli i skórę jak u lampartów centkami pokrytą. Maltebrunowi się zdaje, że tradycya o gryfonach oznacza kopalnie istniejące za nader odległej starożytności w środkowej Azji. Podług niego, siedlisko *Arimaspów* Herodot mylnie umieścił w północnej Europie, z powodu, że wtedy nie miano dokładnego wyobrażenia o geograficznem położeniu Europy i Azji. Podług Humboldta, wypada ono na północnym spadku terazniejszych gór Altajskich, pomiędzy dwiema równoległymi liniami pod 53 i 55 stopniami.

Porównywając legendy o *Hyperborejach*, którzy mieszkali na terazniejszej granicy, oddzielającej Rosyją azyatycką od europejskiej; o *Arimaspach* i *gryfonach*; podania o wyprawianiu zbrojnych karawan przez Baktro-Indyan: nie można ani na chwilę wątpić, że ten tajemniczy nieznany kraj, na który zwrócone były umysły wszystkich, o którym fantastyczne powieści wzbudzały nadzwyczajną ciekawość, i w którym znajdowały się niezliczone skarby, nie innym był, tylko terazniejszą południową Syberyą z przyległemi posiadłościami chińskimi. *Czudskie kopalnie* i wiele innych pomników dziś wykrytych, stanowią niezaprzeczony dowód istnienia w bardzo odległej starożytności przemysłowego narodu lub narodów, które zajmowały cały południowy syberyjski pas i przyległe na południu obszary, począwszy od gór *Ryfejskich* (Uralskich), aż prawie do brzegów Wielkiego czyli Wschodniego oceanu. W rozmaitych dzien-

(1) Herodot III. 116.



nikach, w rękopismach niewydrukowanych i w podaniach miejscowych, wiele się znajduje nader ciekawych wiadomości o tym przedmiocie, o którym przeto pomówimy nieco obszerniej.

Syberya stanowi północną część azyatyckiego lądu; graniczy ona na północ z oceanem Północnym, na wschód z oceanem Wschodnim, na zachód z górami Uralskimi, a na południe z posiadłościami chińskimi i stepami Kirgiz-Kajsackimi.

Syberya leży pomiędzy 76° a 208° długości i 40° a 78° szerokości północnej, obejmując przestrzeń długą od zachodu na wschód prawie 132°, a szeroką od południa na północ do 38° stopni.

Powierzchnia Syberyi zawiera 209,902 geograficznych mil kwadratowych czyli 10,285,198 wiorst.

Oddawna, bo jeszcze za czasów Rzeczypospolitej Nowgorodzkiej, która w r. 1032 czyniła wyprawę do *bramy żelaznej*, to jest do gór Uralskich, wiadomo było w północnej Europie o bogactwach syberyjskich, o których u ludu upowszechniło się starożytne przysłowie dotąd istniejące: *Syberya złote dno*.

Łańcuch gór *Anibi*, od bardzo dawnych czasów zwany był *Altai-Alin*, *Alta-in-Oala*, Altajskie czyli *złote góry*, jak również wiele innych podobnych starożytnych nazwisk: *złota rzeczka*, *złoty kurhan* i t. d. bardzo często napotykać się w Syberyi; tradycyjne te nazwiska, przechodzące w spuściznie z jednego narodu do drugiego, świadczą, jak oddawna w tych krajach wyrabiano złoto. Według chińskich kronik, po podbiciu przez Siambijczyków i Chińczyków mongolskiego cesarstwa, *Chun-nu* jedno z plemion upadłej monarchii *Aszyna* zwane, z księciem swoim z domu *Chun-nu* w końcu I stulecia

po narodz. Chrystusa uciekło w Altajskie góry, gdzie na samych wzniosłych punktach w dolinie ponad brzegami rzeki *Czuj* osiadło. Miejsce to, że kształtem podobne było do helmu, nazywało się po mongolsku *Tuhultha* czyli w skróceniu *Tultha*, co oznacza *helm*; od czego potem cały naród wziął nazwisko. Naród *Tuhulthajski* czyli *Tulthajski*, przez kilka wieków ciemiężony od *Siambijczyków* a później od *Żuzani*, zajmował się wyłącznie górnictwem; podług podań chińskich, miał wyrabiać tylko żelazo, lecz bez wątpienia wyrabiał on i inne droższe kruszce, bo wkrótce jedno jego plemię zubożyło się i stało się tak ludnym i mocnym, że w V wieku wypędziło swoich panów *Żuzani* i utworzyło nowe mocarstwo *Tukiuj* czyli *Tultha*. Wyzwobodzony lud nawzajem ujarzmił *Żuzani* i obrócił ich na górników (1). Później a mianowicie w epoce panowania w Kijowie Włodzimierza Wielkiego, a w Polsce Mieszka czyli Mieczysława I, w X wieku po nar. Chr., cesarz chiński, założyciel dynastji Soun (Song) wyprawił posłów do Azzlan Khan (hana lwów) w góry Altajskie, którzy opisywali krajowców jako naród biały, stateczny i uzdolniony do wyrabiania złota, srebra, żelaza, a szczególnie wprawny w obrabianie twardego kamienia, u Chińczyków *Yu* zwanego, bardzo wysoko przez nich szacowanego.

Czytamy w dawnym rękopisie Szląska się tyczącym, że: „Górnicy miasta Goldberg w r. 1241, w liczbie 2,500 ludzi, mieli udział w nieszczęśliwej bitwie przeciw Tatarom, i kiedy miasto było wzięte, wielu górników zginęło, a resztę Tatarzy zabrali do niewoli i uprowadzili z sobą do Syberyi. Wnosić tedy można, że jeń-

(1) Zdanie synaloga księdza Jakimfa. Библиот. для чтения, 1846 г. T. LXXV, str. 117.

cy ci i ich potomkowie, łącznie z krajowcami, wznowili regularne roboty w starożytnych *Czudskich* kopalniach już wtenczas opuszczonych, a które powtórnie znowu były zaniechane; jakoż w Syberyi znadują się ślady zarzuconych kopalń *dawniejszych* i *późniejszych*.

Dotychczas (1) w Uralu, na obydwóch spadkach tak europejskim jak i azyatyckim, wykryto liczne *kopalnie Czudskie*, na północ ograniczone rzekami *Czusowaja* i *Iset*, na wschód rzekami *Bahariaki* i *Połdnewoj*, a na zachód rzekami *Białą*, *Diuma* i *Karhata*.

W górach Altajskich, *Czudskie* kopalnie często do głębokości przeszło 100 stóp dochodzą; starożytni górnicy dla braku stosownych narzędzi, dalej w twarde skały zagłębiać się nie mogli. O istnieniu *Czudskich* kopalni w górach Nerczyńskich, inaczéj *Jablonowemi* albo *Grzbietem Stanowym* zwanych, mówiliśmy już wyżej.

Czasem w tych kopalniach znajdowano narzędzia kamienne lub miedziane, ale nie znaleziono nigdy żelaznych; natrafiano niekiedy na sprzęty z metalowej kompozycyi w rodzaju mosiądzu, do składu której głównie wchodziła miedź; co dowodzi, że tym starożytnym górnikom, metalurgia nie była już obcą. W jednej z *Czudskich* kopalni na Uralu, w głębokości 15 sążni, znaleziono czapkę z obszyciem sobolowém, dość dobrze zachowaném i worek skórzany; w drugiej kopalni w Altajskich górach, w wierzchnich pokładach, znaleziono kawałek szczęki mamuta, a w dolnych kościotrup spróchniały górnika i przy nim skórzany worek z rudą.

(1) T. j. do roku 1819, później zostały wykryte nowe takie kopalnie.

Oprócz kopalni *Czudskich*, na szczególną uwagę zasługują starożytne grobowce, rozsiane w górach południowej Syberji, i w przyległych stepach koczujących narodów (1). Muller opowiada (2), że w XVII wieku tak wiele było podobnych grobowców, że utworzył się dla poszukiwania i wykopywania ich osobny przemysł, z którego wielu ludzi utrzymywało się, i robiło w tym celu wyprawy znacznemi partyami. Przemysłowców tych w Syberji nazywano *Kurhańczykami* i *Bugrowczykami*, od słowa kurhani i bugor, co znaczy kopiec. Kurhańczycy czyli grabarze, w długim swoich prac zawodzie, nabyli tyle biegłości, że na samo spojrzenie, umieli rozróżnić rodzaj grobowców, dwojaki im przyznając, jakoto: *grobowce czudskie*, dawniejsze *majaki* albo *stańcy* (3) zwane, i *Kirgizskie* późniejsze czyli *kurhany*. Wiele grobowców, a szczególnie dawniejszych, były wyłożone wewnątrz dzikim kamieniem, i miały jedno a czasem i dwa sklepienia z tegoż kamienia; inne były wycembrowane modrzewiem (*Pinus larix*).

Czudskie grobowce *majaki*, zwykle odznaczały się nagromadzeniem na nich mass kamieni i wielkością kopców; niektóre wznosiły się do zadziwiającej wysokości, bo czasami przeszło do 25 sążni nad powierzchnią ziemi. Znajdowano w nich złoto w blaszkach i kawałkach, piękne srebrne kubki, rozmaite cacka, strzemiona i inne części końskiego rynsztunku złotem i srebrem inkrustowane.

(1) W Altaju najwięcej znajduje się czudskich grobowców na brzegach rzeki *Czarysz* i wpadających do niej rzeczek, tudzież na brzegach *Kan*, *Ebehan*, *Kerlyk*, *północnego Abay* i *Uba*.

(2) Ежемесячныя сочинения С. Петербургской Академіи наукъ 1764 года. Grudzień.

(3) Podróż Pallasa III, str. 538 i 539.

stowane, miedziane siekiery, noże rozmaitego kształtu, puginały, młotki, oskardy i tym podobne przedmioty; świadczące byt ucywilizowanego narodu, lecz nigdy nie znalazło się nic żelaznego. W grobowcach zaś późniejszych czyli *kirgizkich*, zwykle pomiędzy kośćmi w jednej kupce leżał popiół zmarłego i na nim złote blaszki, i inne metalowe przedmioty, miedziane lub żelazne, świadczące bardziej o życiu człowieka koczującego i napastnika (1).

W ogólności dotąd na brzegach Irtysza, Obi i w Altajskich okolicach, t. j. koło siedlisk *Arymospów* Herodota, znajdowano więcej bogatych grobowców jak w górach Sajuńskich lub w kraju zabajkalskim.

Na lewym brzegu rzeki *Alej*, wpadającej z lewej strony w Ob', o 60 wiorst od rządowej fabryki żelaza *Loktewską* zwaną; w r 1818 istniał jeszcze wielki kopiec 4 sążni wysokości nad powierzchnią ziemi, a 44 sążni obwodu mający. Na zachód od niego w prostej linii było 15, na północ 5, a na południe 4 mniejszych kopców. Przed 100 laty zaczęto pierwszy raz rozkopywać wielki kopiec, i wtenczas znaleziono w nim około 10 funtów złotych drobiazgów, do końskiego rynsztunku, jak się zdawało należących; później wykryto jeszcze do 50 funtów rozmaitych złotych rzeczy, i dlatego ko-

(1) W jednym z grobowców na pół arszyna od powierzchni ziemi, znaleziono kościotrup obrócony głową do południowo-wschodniej strony; na pół arszyna głębiej drugi kościotrup, obrócony głową do północno-wschodniej strony; jeszcze głębiej, znajdował się marmurowy słup, arszyn wysokości, grubej roboty; pod słupcem znaleziono kościotrup koński z żelaznym i miedzianym rynsztunkiem, na koniec o 5 arszynów jeszcze głębiej leżał kościotrup dziecka, lat 12 mieć mogącego; obok niego wazon gliniany, grubej roboty, wiele narzędzi domowych i dziecinnych zabawek (Библиот. для Чтения 1846 г. Т. LXXV str. 118).

piec ten nazwano *Zołotar*, a wypływający z niego strumień *Zołotucha*.

Grobowce dotychczas jeszcze odkrywane bywają. W 1845 r. na rzece Arguni w zabajkalskim kraju znaleziono wiele ciekawych rzeczy, które przesłano cesarskiej akademii nauk w Petersburgu. W roku 1846, w Sajańskich górach, z grobowców pomiędzy innymi przedmiotami wyjęto 20 srebrnych małych dzbanków  $6\frac{1}{2}$  funta wających; niektóre z nich przechowują się w *Moskiewskiej Zbrojowni*.

Prawidłowe działania *kurhańczyków* syberyjskich teraz ustały, bo zmniejszyła się liczba grobowców, które przeszło przez sto lat rozkopywało tysiące ludzi. Wiele wydobytego złota i srebra przetopiono, nie zważając na nieocenioną wartość przedmiotów pod względem historycznym; ledwie późniejszymi czasami nauka zdołała wyrwać niektóre z rąk chciwego kurhańczyka, i te w muzeach są zachowane. Piotr Wielki wydał nawet ukaz, aby skupować złoto z grobowców syberyjskich wydobywane, i ciekawe rzeczy bez nadwężenia odsyłać do petersburskiego kolegium górniczego (1).

W jednym łacińskim rękopisie z r. 1681, pisanym przez Polaka, który 15 lat mieszkał w Syberji, i za powrotem w wydanym przez siebie dziełku „ad perillustrem ac Praenobilem Dominum Hildebrandum ab Horn Sacrae Regiae Majestatis Daniae Secretarium” (2) autor przytacza, że w czasie bytności jego w Tobolsku, w klasztorze przy rzece *Iset'* leżącym, żył niejaki pustelnik

(1) Ukaz 1 sierpnia 1720 roku i 16 lutego 1721 r.

(2) *Relatio de Siberia* etc. Imię autora nie jest wiadome. Rękopis znajdował się w bibliotece Załuskich, a teraz w petersburskiej publicznej bibliotece.

*Jow*, bardzo biegły w czarnoksięstwie, który wyplwiał niby srebro z kamieni, a w rzeczy samej dostawał je z *Czudskich* grobowców, które rozkopywał. Można ztąd wnosić, od jak dawnego czasu poszukiwania w grobowcach w Syberji czyniono. Tenże autor pisze: „nade wszystko zadziwiająca rzecz, że w stepach i miejscach bezleśnych, po większej części *Czudskie grobowce* czyli kopce, okryte są lasem i dlatego łatwo je poznać.

Przytoczone powyżej szczegóły świadczą, że w południowej Syberji i przyległych przestrzeniach, w czasach bardzo odległych istniały kopalnie złota, a później i innych metalów. Czy te kopalnie prowadzone były wyłącznie przez lud przychodni z kądinąd, jak naprzykład przez partye Baktryano-Indyjczyków, czy téż i przez miejscowy stałe tam osiadły? Podobniejszém do prawdy jest to ostatnie; bo jedna lub dwie karawany, to jest tyśiąc do dwóch tysięcy ludzi, a choćby i znacznie mniej, przybyłe z tak odległych krajów, jak Ktezyasz wspomina, nie mogłyby utrzymać się w tamecznym surowym klimacie, nie zastawszy jakichkolwiek, bogatych lub ubogich, byleby licznych osad, u którychby przytułek i środki wyżywienia się znalazły. A nadto, zwaliska wielu miast obszernych i świątyń, ślady napisów na skałach i w jaskiniach, świadczą, że w starożytności miejsca te zamieszkałe były przez naród polityczne ciało stanowiący, a przeto mniej lub więcej ucywilizowany. Wiele jeszcze upłynie czasu, nim ta część Azyi dokładnie zbadana i rozpoznana zostanie. Klimat, niezmierzone przestrzenie i wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, długo będą stawiały opór światłemu podróżującemu w jego ścisłych badaniach. Terazniejsze koczujące tam narody żyją jak-

by od wczoraj, nie mając innej historyi, nad tradycją i fantastyczne podania.

Głębokie śniegi i buruny czyli straszne uragany w ziemie, śmiertelne dla podróżującego; północna zorza ze swoim drżącym, tajemniczym światłem; długie zimowe noce, w czasie których niebo pokryte myriadami gwiazd iskrzących, jasnych prawie jak nasz księżyc, w lecie zaś roślinność zwrotnikowa, żywość kolorów, cechująca tameczną florę; nadzwyczajnie piękne i rozkoszne wieczory; wysokie, w rozmaitych kierunkach kraj przerzynające łańcuchy gór z fantastycznymi skałami, zdaleka wydającymi się, jakby zwaliska zamków lub pałaców; zadziwiający chaos i straszliwy nieporządek w jakim skały te są rzucone jedne na drugie, a pomiędzy nimi nader malownicze doliny, nieprzebyte lasy lub niezmierzone stepy z oazami i ludzającymi mirażami; niestały, koczujący rodzaj życia terazniejszego ludu i ruiny storozżytnych niegdyś kwitnących miast i grobowców, stale osiadłych wówczas narodów, i nakoniec rozsiane wszędzie złoto ze swoją przyciągalną siłą: nadają krajom tym coś utoczonego, czarującego, lecz więcej zatrważającego i przerażającego niż powabnego i łagodnego, mniej przemawiającego do serca niż działającego na wyobraźnię, co wszystko nastęrcza człowiekowi, na niskim stopniu oświaty tam zostającemu, te fantastyczne obrazy, z których tameczny lud utworzył sobie miliony podań i legend, jedne nad drugie cudowniejszych, w których po większej części przebijają się tajemnicze skarby ukryte lub zdobyte. Podania te, jak wyżej już mówiliśmy, przeszły na północ Europy, gdzie lud tyle jest do nich skłonny, tyle na nie chciwy, jaki na Wschodzie.



Pierwotne bogactwa w tych odległych krajach zebrane, przeszły za handlem do starożytnych Greków i innych narodów Azji mniejszej; późniejsze zaś zagarnęli hanowie mongolscy.

Poseł króla kastylijskiego Henryka III Clavio, wysłany w r. 1403 do Tamerlana, opisuje z nadzwyczajnym zadziwieniem jego obóz i maluje przepych z jakim był przyjęty przez władcę mongolskiego. Liczne namioty, w których obiadował dwór Tamerlana i główniejsi dygnitarze, okryte były złotogłowiem i sutemi jedwabnemi materyami, ozdobionemi w perły, rubiny i inne drogie kamienie; stoły były z czystego złota; półmiski i puhary do napoju ze złota, srebra, fajansu (*de barro vedriado*) i z porcelany; gościom podawano końskie mięso, gotowaną i pieczoną baraninę, ryż i frukta. Posłowi i jego towarzyszom oddzielano tak ogromne porceye, że mogłyby wystarczyć im na pożywienie z całą światą przez rok cały. Barany i konie gotowane i pieczone, kładziono na tragi okryte złotem, które niosły na sobie wielbłądy, prowadzone przez masztalerzy bogato ubranych. Czasami, zaproszonej na festyn publiczności, rzucano srebrną i złotą monetę, a nawet i turkusy.

Z upadkiem mongolskiej potęgi w krajach tych, wycieńczonych i wyludnionych przez krwawe wojny, charakterystyczny przemysł, dobywanie drogich metalów, na nowo upadł i zupełnie zniknął; tylko podania o nim zostały w narodzie.

W początku XV wieku, znakomity murza Złotój Ordy, *Strogonów*, przeszedł do Rosyi, przyjął chrzest pod imieniem Spirydona, i osiadł w wołogodskiej gubernii nad rzeką Wyczegdą, gdzie urządził saliny. Strogonów wierzył szczerze w podania narodowe o bogactwach Sy-

beryi, i dlatego odłączywszy się od swoich jednowierców, którzy mieli jeszcze wielką w tych krajach przewagę, starał się zachować stosunki za pomocą handlu z sąsiedniami zauralskimi władcami, i chociaż później wzięty do niewoli przez Tatarów, został zamordowany, synowie jego Jakób i Grzegorz osiedli już w Syberyi i ustalili stosunki z półdzikimi krajowcami. Uzyskawszy oni przywilój od cara Iwana Wasilewicza Groźnego na budowanie fortec i utrzymywanie na własny koszt wojska, zamierzili podbicie Syberyi pod berło Rossyi, mając dla siebie zapewnione wielkie prerogatywy. Kolosalny majątek Strogonowów nastęczał im do tego środki (1). Wkrótce jednak obaj bracia umarli, i pozostały trzeci brat Szymon przystąpił do wykonania familijnego zamiaru. Zebrawszy 5 do 600 Kozaków i 2 do 300 Tatarów Litwinów i Niemców, których wykupił z niewoli od Nogajców, poruczył wyprawę pięciu Rossyanom wygnanym na brzegi Wołgi, z których *Jermak* objął główne dowództwo. 1 sierpnia 1581 r., oddział wyruszył z terytorjum Strogonowów do Syberyi i w przeciągu 3 lat pierwszy dał początek zawojowaniu Syberyi, która pod następném panowaniem, została zupełnie podbitą. U ludu wschodniej Syberyi, pomiędzy innemi istniało podanie, że kiedy w lasach tamecznych zjawi się *białe drzewo*, wtenczas kraj zostanie podbity pod berło *Białego Cara*; właśnie na początku XVII wieku niespodzianie zjawiła się w lasach nadbajkalskich brzoza, której tam do tego czasu, jak mówią, wcale nie było.

(1) Podług Fletezera powstał zbięty królówej angielskiej w roku 1588, u Strogonowów, którzy oprócz wielkiego nieruchomego majątku mieli gotówki półtora miliona terażniejszych r. sr.; na salinach w wologodskiej gubernii było 15,000 robotników, z których  $\frac{1}{3}$  wolnego najętego ludu.

Podbicie więc Syberyi nie cel polityczny spowodował, lecz zamiar osiągnięcia znakomitych bogactw wszystkich trzech królestw natury, w które ten kraj tak hojnie jest uposażony.

Nie upłynęło pół wieku od czasu podbicia Syberyi, a już poszukiwania złota i srebra gorliwie czynione były na całej jej południowej przestrzeni. W połowie XVII wieku pierwsze otrzymano urzędowe wiadomości od miejscowych zwierzchników, o istnieniu złotego i srebrnego kruszcu w górach Sajańskich i Jabłonowych. Zdarzało się, że we wnętrznościach zabitych ptaków znajdowano ziarnka złota, a w r. 1699 w okolicach Nerczyńska postrzeżono złoty piasek w legowisku suhaka. Pierwszy transport *złocistego srebra* z Nerczyńska do Moskwy nadszedł w r. 1711 (1), i od tego czasu zaczęto systematycznie wyrabiać srebro a później i złoto. W Uralskich górach wykryto złoto w r. 1745, a pierwsze dobywania jego zaczynają się od r. 1754; w górach Altajskich odkrycie piasków złotodajnych przez rodzinę Popowów nastąpiło w r. 1827, samo zaś wybiieranie we dwa lata później (2). Od podbicia Syberyi, wydobywanie metalów rząd wziął na siebie; od roku zaś

(1) Wydobywanie srebra rozpoczęło się od r. 1704, i w tymże roku do Moskwy z Nerczyńska odesłano na pierwszy raz 1 funt i 24 złotych srebra.

(2) W Altaju zaczęto wyrabiać kruszec koło r. 1625 (Encyklopedyczny dykcyonarz 1835 r. T. IV artykuł *Barnaul*). Podług urzędowych wiadomości, Demidowowie założyli kopalnię miedzi w Zmiejnogorsku w r. 1726. Później nabył ją od nich rząd i zaczął wyrabiać srebro. Od początku do r. 1835, zmiejnogorska kopalnia wydała srebra 36941 pud. 5 funt., od którego odłączono złota koło 1000 pudów; wszystkie zaś altajskie kopalnie wydały srebra od początku ich odkrycia po r. 1835, pudów 60,705, od którego odłączono koło 1900 pudów złota.

1813, zaczęto wyrabiać złoto przez prywatne osoby, które w terażniejszych czasach, za opłatą rządowi ustanowionej premii, wyrabiają daleko więcej niż w zakładach rządowych.

Pokłady złotodajnych piasków rozgałęzione są na całej przestrzeni Syberyi; odległość od krain mieszkalnych, surowość klimatu, brak ludności i trudność w przesyłaniu żywności, czynią niepodobnym wydobywanie złota w północnych krainach, przynajmniej w terażniejszej epoce, pomimo, że tam istnieją złotodajne rozsepy. Część przestrzeni, którą już poznano i na której odbywają się poszukiwania, jest nader mała w stosunku z obszarami niebadanemi, a które niewątpliwie zawierają szlachetny kruszec. W czasach głębokiej starożytności, powszechnem było mniemanie, że Azya im dalej ku wschodowi, tem bogatsza jest w złoto. Humboldt nawet, pomimo zasad *dogmatycznej* geognozyi, podziela to zdanie; przekonani są o tem i krajowcy, którzy opowiadają o bogactwach za rzeką Leną nadzwyczajne rzeczy; wiele już poszukiwań robiono, posyłano kilkakrotnie partye, jednak bez osiągnięcia pożądanego skutku. Postępowaniu na wschód z wyszukiwaniem złota, stoją na zawadzie też same przyczyny co i na północy, o których powiedzieliśmy wyżej, a które czas usunie. Wiadomo z pewnością, że jest złoto w górach Ochockich i Udskich, które się ciągną przy brzegach Ochockiego morza. Najbogatszy dotąd złotodajny pas w Syberyi, zajmuje przestrzeń od samej jej południowej granicy na północ, aż do Podkamennej Tunguski, t. j. pomiędzy równoległemi liniami 51 i 62 stopniem; i im dalej posuniono się na północ a szczególnie ku N. O. N. tym obfitsze znalaziono złoto. Wydajność piasków, t. j. ilość złota zawartego

w pewnej ilości piasku, jest zadziwiająca i przenosi wydajność najbogatszych piasków amerykańskich. W Uralu, a szczególnie w Złoto-Ustowskim okręgu, trafiają się częściej jak w innych miejscach Syberyi *samorodki* czyli bryły złota.

W gabinecie mineralicznym korpusu górniczego, przechowuje się przeszło 700 sztuk samorodków, z których prawie wszystkie znaleziono w dwóch kopalniach zwanych Carewo-Alexandrowska i Carewo-Mikołajewska. Samorodki te, wszystkie razem ważą przeszło 657 funtów (1). Największa ze znanych bryła samorodnego złota, ważąca 87 funt., 92 zoł., znaleziona została także w Uralu w 1842 roku. Kawalki samorodnego złota trafiają się często w zachodniej Syberyi; najmniej we wschodniej. Znajdowanie się samorodków nie jest koniecznym znakiem obfitości szlachetnego kruszcu; złotodajne piaski wschodniej Syberyi wydają najwięcej metalu, chociaż tam, jak wyżej powiedziano, najmniej znajduje się samorodków.

Wydajność piasków najmniejsza, od której przy ternajniejszych mechanicznych środkach i przy małej liczbie rąk rozpoczynają się roboty, jest pół złotnika w stu pudach (4000 funt.) piasku, czyli = 0,0000039. Jeżeli wydajność jest mniejsza, produkcya nie może pokryć kosztów. Lecz wydajność ta w niektórych okolicach nadzwyczajnie się powiększa; tak naprzykład od 0,00001302 do 0,00007812, czyli od 5 do 30 zołotn. złota w 100 pudach piasku. Produkcya złota w 1843 roku we wschodniej Syberyi, w systemach rzek Podkamenniej

(1) Największy z nich waży 24 funt., 68 zołotn.; drugi 16 funt., 86 zoł.; trzeci 16 funt., 60 ½ zoł.; czwarty 15 funt. 53 zoł.; piąty 13 funt., 6 ½ zołotn. Inne mniej ważą.

i Wierchniej Tunguski, w przecięciu okazała wydajność 0,00001311, czyli przeszło 5 zołotn. w 100 pudach. Przy wydajności piasków 0,0000026 czyli 1 zołotnik metalu na 100 pudów piasku, koszta produkcji wynoszą w przecięciu:

a) Podatek i inne wydatki rządowe	od 19 do 27%
b) Utrzymanie robotnika.....	32%
c) Administracya.....	16%
d) Procent od kapitału i nieprzewidziane wydatki.....	12%

---

Razem od 79 do 87%

a więc czysty zysk dla wydobywających złoto, pozostaje od 13% do 24% od użytych nakładów, i powiększa się w stosunku wydajności piasków.

Wyrachowano, że uralskie kopalnie na przestrzeni dotąd mniej więcej zbadanej, na której wydobywają złoto, a która ciągnie się wzdłuż na 1000, wszere na 90 wiorst, przy terazniejszych wprawdzie wydoskonalonych, lecz nie wszechmocnych, jakiemi staną się może z czasem, sposobach płukania, kopalnie te, jeżeliby wydajność ich zmniejszyła się o 5 razy, na wydobywanie téj ilości złota, którą teraz w przecięciu wyrabiają, wystarczą jeszcze na lat 2000, a przy zmniejszeniu wydajności o 20 razy, wystarczą na lat 500. Cały zaś zlotodajny pas syberyjski, nie rachując uralskiego, dotąd znany, ciągnie się wzdłuż blisko na 5000, a wszere na 900 wiorst; z tego można wnosić, jakie bogactwa kraj ten zawiera, chociaż odkrycia nowe za obrębem powyższej przestrzeni nie ustają i obfitość tak piasków jak i wydajność ich nie zmniejsza się.

Od rozpoczęcia poszukiwań Syberya wydała złota (1):

		Pud.	funt.	zoł.	dol.
Nerczyńsk .....	od r. 1704 do 1846 włącz.	167	29	84	16.
Ural .....	od r. 1754 do 1846	—	7646	11	66 88.
Zachod. Syberya...	od r. 1829 do 1845	—	1620	1	9 76.
Wschod. Syberya..	od r. 1841 do 1845	—	3388	21	25 53.
Stepy Kirgizkie....	od r. 1842 do 1846	—	26	29	3 49.
Złoto odłączone od srebra altajskiego i nerczyńskiego	od r. 1839 do 1846	—	304	38	— —
Zachodnia i wschodnia Syberya łącznie w roku 1846.....		—	1335	17	— —
<b>Razem.....</b>			<b>14489</b>	<b>27</b>	<b>93 92.</b>

(1) Ilość wydobytego złota w Syberyi.

Uralskie góry na obydwóch spadkach: europejskim i azyatyckim.

Od r.	Pud.	funt.	zoł.	dol.
1754 do 1832	2936	„	58	„
1832	362	29	33	58
1833	341	29	74	„
1834	309	21	24	48
1835	292	13	55	„
1836	292	36	88	„
1837	309	21	38	„
1838	299	27	88	„
1839	325	32	56	„
1840	303	19	12	„
1841	303	26	54	„
1842	302	13	35	42 (1)
1843	313	30	90	„
1844	310	2	31	24
1845	328	„	22	30 1/4
1846	314	25	74	88
<b>Razem</b>		<b>7646</b>	<b>11</b>	<b>66 88</b>

czyli w przecięciu lat 96 po 3324 1/2 fun. rocznie, to jest po 83 pud.

Altajski górniczy okręg, czyli Zachodnia Syberya. (Oprócz terytorium zachodniej Syberyi; pod zarząd górniczy wcielony jest *Minusiński* obwód, należący podług geograficznego podziału do wschodniej Syberyi.)

Od r.	Pud.	funt.	zoł.	dol.
1829 do 1838 włącznie	628	14	60	19
1839	—	178	5	9 „
1840	—	242	22	55 „
1841	—	93	12	18 50
1842	—	107	25	94 38 1/2
1843	—	150	31	10
1844	—	119	8	47 1
1845	—	100	1	13 54
<b>Razem</b>		<b>1620</b>	<b>1</b>	<b>9 76</b>

w przecięciu 18 lat po 3600 1/8 funt. rocznie czyli 90 pudów.

(1) W tej liczbie znajduje się 1 funt, 30 zoł. 48 dol. złota odłączonego od platyny.

Rachując wartość złota podług wyżej przyjętej zasady, t. j. po 3.55 kop. złotem żółtnik czyli po rub. 340 kop.

Wschodnia Syberya, to jest terytoryum wschodniej Syberyi, oprócz minusińskiego obwodu i nerczyńskiego górniczego okręgu.

	Pud.	funt.	zol.	dol.
W r. 1841	358	33	14	72
1842	479	16	95	22
1843	785	26	65	78
1844	912	12	14	11
1845	852	12	27	64½
<b>Razem</b>	<b>3388</b>	<b>21</b>	<b>25</b>	<b>55</b>

w przecięciu lat 6ściu rocznie po 22590½ funt. czyli 564¾ pud.

W r. 1846 w zachodniej i wschodniej Syberyi 1535 pud. 17 funt.

Nerczyński górniczy okrąg.

	Pud.	funt.	zol.	dol.
Od r. 1704 do 1835 od odłączenia złota od srebra	69	4	69	77
Od r. 1832 do 1835 włącznie na płuczkarniach ..	„	34	91	83
1836.....	„	21	82	„
1837.....	„	26	„	„
1838.....	1	7	62	„
1839.....	3	25	11	„
1840.....	6	6	91	„
1841.....	7	„	17	„
1842.....	7	23	12	48
1843.....	10	„	„	„
1844.....	15	„	„	„
1845.....	20	39	31	„
1846.....	25	„	„	„
<b>Razem.....</b>	<b>167</b>	<b>29</b>	<b>84</b>	<b>16</b>

w przecięciu 132 lat po 50<sup>100</sup>/<sub>132</sub> funt. rocznie czyli 1¼ pud.

Złoto odłączone od srebra w nerczyńskim i altajskim okręgach.

Od r. 1835 do 1839..... (nie ma wiadomości).

	Pud.	funt.	zol.	dol.
Od r. 1839 do 1841 włącznie	95	17	„	„
1842 —	38	„	„	„
1843 —	38	„	„	„
1844 —	42	„	„	„
1845 —	42	„	„	„
1846 —	49	21	„	„
<b>Razem</b>	<b>304</b>	<b>38</b>	<b>„</b>	<b>„</b>

w przecięciu lat 8miu rocznie po 156½ funt. czyli prawie 4 pudy.

Stepy Kirgizkie.

	Pud.	funt.	zol.	dol.
W r. 1842	9	16	„	25
1843	6	17	31	53
1844	5	5	18	32
1845	2	38	93	16
1846	2	31	55	19
<b>Razem</b>	<b>26</b>	<b>29</b>	<b>3</b>	<b>49</b>

w przecięciu lat 5ciu, rocznie po 213½ funt. czyli 5 pudów.



80 złotem za funt, powyższa produkcja uczyni rub. sr. 203,447,237 czyli zł. 1356 milion. 314,913 gr. 10 (1).

Produkcja złota powiększyła się nadzwyczajnie od r. 1841, to jest od czasu jak zaczęto wyrabiać złoto, we wschodniej Syberyi.

Biorąc średnią produkcją roczną złota w Uralu za jednostkę, wydajność złota okaże się w następnym stosunku:

Nerczyńsk .....	0,0015.
Ural .....	1,000.
Zachodnia Syberya .....	1,084.
Wschodnia Syberya .....	6,783.

Pozostaje jeszcze namienić, że złote runo Argonautów, byłyto podług mniemania wielu pisarzy, skarby wywiezione przez Phryxusa z Tessalii; alhowie starożytność nie wiedziała o bogactwach w złoto gór Kaukazu. Kopalnie srebra w tych górach istniały bardzo dawno, a główniejsze z nich, jak widać ze starożytnych sztolni, są *Achtalska*, *Altwerska* i *Szambłudska*. Wszakże z poszukiwań na początku bieżącego wieku czynionych i z niezbyt dawnego przywileju władców imerytyńskich, którzy zawarowali dla siebie prawo zbierania *piaskowego złota*, nie podlega wątpliwości, że w górach Kaukazu są złotodajne piaski. Czas pokaże, czy można zajmować się niemi z należyłą korzyścią.

Pismo święte wspomina jeszcze o *Ophirze*, kraju, do którego floty Hiram króla Tyru i króla Salomona, co trzy lata odbywały wyprawę i przywoziły z tamąd wielką ilość złota i drogich kamieni. Uczeni nie zgadzają się

(1) Rachując zaś funt srebra po rub. sr. 22,75, a złoto 14 razy drożej, to jest po rub. sr. 318 kop. 50, wtenczas powyższa summa zmniejszy się prawie o 7% czyli o rub. sr. 14,241,306 i uczyni rub. sr. 189,206,931.